



PIEKŁO
NIEBO

BEATA KĘPIŃSKA

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

B E A T A K Ę P I Ń S K A

P I E K Ł O
N I E B O

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

===

Beata Kępińska
Piekło-niebo

ISBN: 978-83-65521-04-0

Copyright © by Beata Kępińska, 2016
All rights reserved

Redaktor: Monika Ślusarska
Projekt okładki i stron tytułowych: Anna M. Damasiewicz

Wydanie I

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Spis treści

PROLOG ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10 ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13 ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15 ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ 18 ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20 ROZDZIAŁ 21 ROZDZIAŁ 22 ROZDZIAŁ 23 ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25 ROZDZIAŁ 26 ROZDZIAŁ 27 ROZDZIAŁ 28 ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30 ROZDZIAŁ 31 ROZDZIAŁ 32 ROZDZIAŁ 33 ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35 ROZDZIAŁ 36 ROZDZIAŁ 37 ROZDZIAŁ 38 ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40 ROZDZIAŁ 41 ROZDZIAŁ 42 ROZDZIAŁ 43 ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45 EPILOG

PROLOG

Maria nie mogła zasnąć. Była to jej ostatnia noc w celi. Powinna się cieszyć, że nadszedł wreszcie kres tej codziennej beznadziei, życia bez znaczenia i bez chęci, upływu czasu dla samego tylko ubywania. Ale się nie cieszyła. Co najdziwniejsze, czuła lęk przed jutrem. Gdyby mogła wybierać, pewnie wolałaby tu pozostać. Kiedyś więzienie kojarzyło jej się z prawdziwym piekłem. Dziś bała się, że to, co przyjdzie na wolności, okaże się dużo gorsze. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że czeka ją kolejne piekło. Wolność oznaczała konieczność nauki życia prawie od podstaw, a ona nie miała na to ani sił, ani ochoty.

Opuszczała więzienie pięć lat wcześniej, niż wynikało to z wyroku, lecz zamiast radości, miała takie uczucie, jakby ktoś wyrzucił ją z domu. Przez moment całkiem poważnie rozważała infantylny pomysł, żeby zrobić coś złego lub tak szalonego, by do końca życia pozostawiono ją w odosobnieniu. Myśląc o jutrzejszym dniu, widziała siebie stojącą już za bramą więzienną i doznawała lęku. Serce jej kołatało, kręciło się jej w głowie i miała mdłości. Tak samo czuła się na krawędzi urwiska. Wolność nie cieszyła, a przerażała, jak przepaść. Po co jej ta wolność, skoro nie wie, co z nią zrobić? Piekłem nie jest dla niej oswojone już więzienie. Teraz piekło to ta okropna niewiadoma, ta pustka, otchłań, która jest przed nią.

Życie osadzonych za kratami w pewnym sensie przypomina egzystencję małych dzieci. Nic od nich nie zależy. Wszystko podane, zorganizowane, o niczym się nie decyduje. W zasadzie, jak dla Marii, sytuacja idealna. Mogłaby nawet to polubić lub potraktować jako rodzaj rekonwalescencji, gdyby siedziała w pojedynczej celi. Po tym, co przeżyła, nie garnęła się do ludzi. Przystosowała się wprawdzie do panującej w celi hierarchii, w której stała nawet dość wysoko, ale nie dlatego że potrafiła być władcza i brutalna. Przeciwnie, starała się nikogo nie drażnić i nauczyła się, jak być prawie niewidzialną. Jednak to, za co siedziała, dawało jej już na wejściu duże fory.

Jeśli więc wziąć pod uwagę fakt, że nie była w sanatorium, tylko w więzieniu o zaostrzonym rygorze, naprawdę nie mogła się uskarżać. Poza kilkoma incydentami, kiedy miała do czynienia z kompletnymi degeneratkami, na ogół była traktowana dobrze przez współwięźniarki i klawiszy. Doskwierała jej jednak ta ciągła konieczność obcowania z innymi skazanymi. Ta bezpośrednia bliskość obcych pod każdym względem ludzi przeszkadzała, uwierała jak kamień w bucie, powodowała nieustanny dyskomfort, a czasem ból i cierpienie.

Ciągłe rozmowy, w których rzadko uczestniczyła, śmiechy, prostackie żarty czy seksualne ekscesy wdzierały się raz po raz w jej świat i nie dawały zapomnieć,

gdzie jest i z jakiej przyczyny. Nie pozwalały wystarczająco skupić się na czytaniu ani na pracach plastycznych. Potrzebowała więcej ciszy, więcej odosobnienia, by swobodnie w dowolnym momencie przenosić się w wyobraźni w inne miejsca. A przecież wyobraźnię wciąż miała tak sprawną jak małe dziecko. W nielicznych chwilach spokoju przywoływała więc obrazy z dzieciństwa, a jeszcze chętniej z dobrego okresu młodości i miłości, kiedy była już żoną Bronka i młodą matką Jacusia i Małgosi.

Jej dzieci były już dorosłe. Nauczyły się żyć bez niej.

Miała ich w miarę aktualne fotografie i była z grubsza poinformowana, co się dzieje w ich życiu. Ten kontakt sprawiał, że nigdy nie pomyślała o odebraniu sobie życia. Chciała przecież jeszcze zobaczyć i uściskać swoje dzieci, a potem może także ich dzieci. Nie łudziła się, że mogłaby kiedyś z nimi żyć. Że umiałyby znów być zwykłą matką czy babcią. Ale bardzo pragnęła je widywać, choć od czasu do czasu. Patrząc, jak rozkoszują się jasnym, dobrym światem, o którym zawsze dla nich marzyła. Nie mogłaby więc zrobić czegoś, co znów zmaciłoby im błękit nad głowami. Wierzyła bowiem, że tylko jej życie ktoś pomalował czarną farbą, a nad Jackiem i Małgosią wciąż świeci słońce.

Właśnie te kolory — błękit ze złotem i czerń z krwistą czerwienią — były dla niej odpowiednio symbolami nieba i piekła, życia dobrego, pogodnego oraz złego, ponurego koszmaru. Stało się tak za sprawą popularnej wśród dzieci zabawy w piekło-niebo. Kiedy była jeszcze mała i wszyscy nazywali ją Maryjką, starszy o trzy lata od niej Adaś, syn sąsiadów, wykonał z poskładanej w specjalny sposób kartki zmyślne narzędzie do tej zabawy. Niektóre pola kartki pomalował na błękitno ze złotymi promieniami słońca, a inne na czarno z czerwonymi jęzorami ognia.

— Pokaż, wzdłuż której linii pójdziesz — powiedział do niej, ściskając palce, na które nałożone było coś w rodzaju połączonych ze sobą papierowych kapturków. Palce ścisnął mocno, bo bał się, by nie zobaczyła na ich styku śladów niebieskiej lub czarnej kredki, które pomogłyby jej w wyborze właściwej drogi.

— Gdzie mam iść i po co? — pytała mała Maryjka swego guru i towarzysza zabaw.

— To jest wróżba. Powiedz, wzdłuż której linii mam otworzyć tę papierową paszczę. Zobaczysz piekło albo niebo. Zależy, co wybierzesz.

Nadal nie bardzo rozumiała, ale na odczepne wybrała jedną z opcji. Adam rozwarł palce i okazało się, że ziele na nią czarno-czerwone piekło. Aż się cofnęła, poczuwszy na twarzy jego płomienie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się diabolicznie Adaś. — Będziesz w piekle! — Cieszył się, chociaż uważała go za przyjaciela, a nawet chyba troszkę się w nim podkochiwała.

— Wcale, że nie! — zaprzeczyła gwałtownie.

— No to spróbuj jeszcze raz. — Adam przekreślał parokrotnie w palcach poskładany papier, a Maryjka tymczasem usiłowała zapamiętać, gdzie może być niebezpiecznie, czyli czego nie otwierać. Była pewna, że tym razem będzie dobrze, ale znów wyszło piekło. Adaś triumfował.

— To są czary i zawsze się sprawdzają. Będziesz w piekle! — straszyl, a jej trzęsła się bródka, a ogromne, czarne oczy zaszyły łzami.

— Do trzech razy sztuka. Daj jeszcze raz spróbuję — poprosiła. Adam schował zabawkę za plecami i znów nią obracał.

— Twoja ostatnia szansa. Namyśl się dobrze — ostrzegwał. Wyciągnął zza pleców pomiętą nieco papierową wyrocznię. Maryjka trzęsącym się paluszkami pokazała pożądaną przez nią kierunek rozwarcia paszczy. Po raz trzeci ukazała się czarna otchłań, ziejąca straszliwym ogniem. Wielkie, słone łzy spłynęły po policzkach dziewczynki.

— Nie chcę do piekła! Nie pójdę! — szlochała. — Oszukujesz! — oskarżała. — To ty pójdiesz do piekła!

— Ta gra mówi prawdę. Od razu wiedziałem, że ci tak wyjdzie.

— Bo oszukujesz. Daj mi to, a ty zgaduj. — Maryjka wytarła nos rękawem i przejęła od kolegi „magiczną” zabawkę. Adaś miał szczęście i bezbłędnie trafił do nieba. Powtórzył jeszcze dwa razy, żeby było sprawiedliwie, i za każdym razem po rozwarciu jej paluszków ukazywał się radosny błękit ze złotem.

— Pójdiesz do piekła, bo jesteś dziewczynką — powiedział Adaś z dziwną satysfakcją w głosie. — Wszystkie dziewczynki pójdą do piekła — doprecyzował.

— Kłamiesz! Dziewczynki są grzeczniejsze. — Maryjka się nie poddawała.

— Pójdą, dlatego że są dziewczynkami.

— Nieprawda! Pani dozorczyni miała córeczkę, która poszła do nieba zaraz po urodzeniu. Słyszałam, jak opowiadała babci.

— Mój tata jest mądrzejszy od dozorczyni. Powiedział mi w sekrecie, że dziewczynki mają spółkę z diabłem i kuszą mężczyzn, dlatego muszą iść do piekła.

— Ja wcale nie kuszę — obruszyła się Maryjka. — Powiem mamie, co ty mówisz i że mnie denerwujesz.

— Nie możesz o tym z nikim rozmawiać, bo to tajemnica. — Adaś ściszył głos. — Może ci się coś stać, jak komuś powiesz. Rozumiesz?

— Dobrze, nie powiem. Ale do piekła nie pójdę? — próbowała coś utargować.

— Może nie pójdiesz, jak tata cię wyleczy. Mój tata czasem leczy dziewczynki, co mają w sobie diabła.

— To poproś go, żeby...

— Ale to boli i one krzyczą.

— Ja się nie boję. Wytrzymam.

— Tylko pamiętaj, nikomu... — Adaś, żeby przypieczętować tajemnicę,

przyłożył brudny palec do jej ślicznie wyciętych i zawsze jakby nadąsanych, różowych usteczek. — Lepiej jeszcze przysięgnij na swoją duszę. Powiedz: „Przysięgam na moją duszę” — domagał się, bo widział taką scenę w filmie i bardzo mu się podobała.

— Przysięgam na moją duszę — powtórzyła poważnie Maryjka, zupełnie nie martwiąc się tym, że nie wie dokładnie, co to jest ta dusza i gdzie ją ma.

Maryjka miała wówczas cztery lata i nie zdawała sobie sprawy, jakie to sekrety będą teraz przez nią chronione. Robiła po prostu wszystko, na czym zależało Adamowi. Trzeba przyznać, że zachowała dyskrecję bardzo długo, głównie dlatego, że nie miała o tym z kim w domu porozmawiać. Z mamą stale miała dość napięte stosunki, a tata rzadko bywał dla niej dostępny, bo jako ordynator ginekologii w szpitalu klinicznym wciąż był albo na oddziale, albo na uczelni. Najlepiej o niezrozumiałych rzeczach było zawsze pogadać z babcią Hanią, ale ta akurat się rozchorowała i leżała w takim dziwnym szpitalu, w stojącym w lesie pawilonie, do którego jechało się aż za miasto. Babcia od czasów wojny chorowała na gruźlicę, która zaleczona, co jakiś czas dawała jednak o sobie znać.

Wkrótce Adaś wymyślił już inną zabawę. Złożył z papieru lunetę, w której kolorowe papierki tworzyły niezwykle wzory i obrazy, więc sfatygowane piekło-niebo wylądowało w koszu na śmieci. Nowa zabawka dawała Maryjce przewagę, bo miała większą wyobraźnię i odkrywała rzeczy, które Adaś dostrzegał dopiero po tym, jak mu opowiedziała, co widzi. Dziewczynka szybko zapominała więc o swojej fatalnej predestynacji i wesoło bawiła się ze swoim przyjacielem.

Kiedy była już dorosła, nierzadko wspominała tę porzuconą dziecinną wróżbę i myślała, że być może Adam wcale nie manipulował zabawką i nie kłamał. Pomazana przez niego kartka okazała się bowiem prawdziwą wyrocznią. Tak właśnie, jak wskazywała wróżba, wyglądało jej życie. Co z tego, że pragnęła rajy dla siebie i swoich najbliższych? Bardzo się starała i pozornie wszystko dobrze się układało. Wtedy właśnie, gdy zaczynała się czuć szczęśliwa, nagle rozwierała się przed nią ziejąca, czarna paszcza piekła, a życie zmieniało się w koszmar.

Myślała z lękiem, czy gdy zamkną za nią wszystkie kraty i zasuwę, gdy zatrzasną się ostatnie ciężkie drzwi więzienia, a ona wybierze którąś z dróg, nie będzie to znów ta zła i czarna otchłań. Może jednak już nie. „Może wyczerpałam wreszcie swój przydział nieszczęść” — szeptało jej coś w najgłębszym zakątku umysłu.

Dziwiła się swojej nieuleczalnej naiwności. Ujrzała jednak w oknie celi skrawek prawdziwego błękitnego nieba i nagle zapragnęła opuścić więzienie. Podniosła się z kolan i dała znać, że jest gotowa. Słońce weszło już dość wysoko, nowy dzień był pogodny, złoto-błękitny. Wyszła więc odważnie na dziedziniec, odetchnęła pełną piersią i pomyślała: „A może tym razem się uda”.

ROZDZIAŁ 1

Tak zwane wypadki marcowe 1968 roku miały fatalny wpływ na psychikę Maryjki Wierzbickiej. Właściwie to nie same strajki studenckie czy dyskusje oraz ferment w środowiskach akademickich ani nawet nie brutalne rozpędzanie protestujących przez Milicję Obywatelską i ORMÓ wspomagane grupami uzbrojonych w pałki robotników, ale ich skutki. Ośmioletnia dziewczynka nie była świadoma tego wszystkiego, co wówczas działo się w jej ojczyźnie, zwanej PRL-em. Tym bardziej nie miała pojęcia, jakie były powody pokazywanych w telewizorze awantur ulicznych. Zobaczyła w wieczornym Dzienniku Telewizyjnym ulice wielu dużych miast zadymione i pełne uciekających ludzi. W wiadomościach regionalnych pokazywali także znaną jej Piotrkowską, najważniejszą ulicę Łodzi, na której panowało takie samo dziwne zamieszanie. Potem Władysław Gomułka, łysy pan w okularach, mówił, że wszystkiemu winni są jacyś syjonści, którzy będą musieli opuścić Polskę raz na zawsze.

— Czy my jesteśmy syjonistami? — spytała zaniepokojona rodziców podczas kolacji.

— Co za głupoty opowiadasz?! Ktoś ci coś nagadał?! Może, jak zwykle, babcia? — napadła na nią matka, a ojciec nie odezwał się ani słowem, tylko smutno spoglądał na żonę. Jedzenie mu chyba nie smakowało, bo nie dokończywszy kolacji, zamknął się w swoim gabinecie.

Maryjkę zdziwiła ta nieadekwatna do niewinnego pytania reakcja matki, zaczęła więc drażnić temat. W tym celu udała się do mieszkającej na parterze tej samej kamienicy babci Hani, która była mniej nerwowa niż mama i bardzo lubiła, gdy odwiedzała ją jej jedyna wnuczka. Potrzeba wyjaśnienia pewnych kwestii stała się właściwie palącą, bo dzieciaki z oficyny zaczęły Maryjkę przezywać rudą Ryfką. Ruda była naprawdę, miała bowiem ogniste długie loki, którymi wszyscy dotąd się zachwycali, ale na imię miała Maria, nie żadna Ryfka. W szkole pani i uczniowie zwracali się do niej: Marysiu, czego nie lubiła, a w domu od zawsze nazywano ją Maryjką. Nigdy w życiu nie spotkała kogoś, kto nazywałby się Ryfka. Nie wiedziała nawet, czy to imię, czy nazwisko. Miała natomiast pewne przypuszczenia, że może to być jakieś świńskie wyzwisko. W oficynie ich kamienicy nie mieszkały bowiem zbyt grzeczne dzieci.

Maryjka nie знаła ich bliżej, gdyż mama nie pozwalała jej wychodzić do nich na podwórko. Czasami tylko dziewczynka mogła się pobawić ze starszym o trzy lata synem sąsiadów, Adamem Majem. Jego ojciec, podobnie jak jej tato, był lekarzem, a matka prokuratorem. W ogóle Maryjka rzadko mogła spędzać czas, jak inne dzieci, na zabawie. Od najmłodszych lat miała życie dokładnie zorganizowane przez matkę. Lucyna Wierzbicka z domu Gzik, która przed zamążpójściem

pracowała na oddziale męża jako położna, gdy została panią ordynatorową, a następnie matką Maryjki, zajęła się domem, a zwłaszcza wychowaniem córki bardzo ambitnie.

Ta niepracująca, młoda kobieta, pełna kompleksów ze względu na małomiasteczkowe pochodzenie i niższe wykształcenie, postanowiła, że wychowa dziecko na geniusza. Jeździła więc z małą córeczką tramwajami i autobusami, bo jak większość pań z jej pokolenia nie miała prawa jazdy, w różne punkty Łodzi, gdzie Maryjka pobierała różnorakie nauki i rozwijała swoje czasami bardzo wątpliwe talenty. Tak więc na Dąbrowie, u czterdziestoletniej panny Klary Pacewicz dwa razy w tygodniu bębniła na pianinie. Za Górnikiem przy ulicy Sanockiej, na wprost parku Wenecja, mieszkała jej niziutka i śmieszna nauczycielka francuskiego, u której powtarzała do znudzenia słówka i trudne do wymówienia dla sepleniącego jeszcze w ojczystym języku dziecka frazy.

Przy Franciszkańskiej jakaś pani ogłosiła nabór dzieci do szkoły baletowej, więc profesorowa Wierzbicka natychmiast zjawiła się tam z córką. Mimo że Maryjka oprócz poczucia rytmu i pewnej giętkości nie wykazywała zapału do tańca i dość skupienia, by nie mylić kolejności figur oraz kroków, została na usilną prośbę matki przyjęta do grupy. Z miną męczennicy ćwiczyła zatem także dwa razy tygodniowo różne piruety i pas. Z własnej woli i z przyjemnością uczestniczyła jedynie w zajęciach plastycznych w Młodzieżowym Domu Kultury przy Moniuszki.

Taki nawał obowiązków męczył Maryjkę i nie pozwalał jej bawić się z innymi w chowanego lub w berka na podwórku. Dzieciaki, które spędzały tam praktycznie cały wolny czas po szkole i przesiadywały wraz z dorosłymi na ławeczce pod wielkim krzakiem bzu, wiedziały więcej niż ona o życiu, a nawet o niej samej i jej rodzinie. Znacznie lepiej wyczuwały także nastroje panujące w Komitecie Centralnym przewodniej siły narodu, czyli PZPR. Do niedawna bowiem, gdy Maryjka razem z Adasiem mijała podwórkowych andrusów, wołano za nimi najwyżej: „Panna z kawalerem pod siódmym numerem. Panna kawalera pocałuje, a on dziecko jej zmajstruje”. Ostatnio jednak ich repertuar się zmienił. Oprócz wspomnianej już rudej Ryfki któregoś dnia doszło nawet do rękoczynów. Starszy od Adasia wyrostek podszedł do niego po cichu z tyłu i przystawiwszy mu do pleców kij, krzyknął znienacka:

— *Hände hoch!* Żydzi do gazu! — Dziewczynka przestraszyła się, a Adam rzucił się na większego od siebie prześladowcę z pięściami. Wtedy ona także ruszyła do ataku i wkrótce wszyscy troje mieli siniaki, ale chłopak wycofał się w koniec podwórza i wdrapawszy się na płot, wrzeszczał:

— Wielkie państwo z pejsami! Ojciec grzebie w dupie grabiami!

Tego już było za dużo. Maryjka z płaczem pobiegła do babci, bo uważała ją za najmądrzejszą w rodzinie, a w każdym razie najbardziej serdeczną i oddaną jej

osobę. Zapytała więc babcię Hanię, dlaczego spotykają ją te wszystkie szykany i co w ogóle znaczą.

— Miałam ci tego nigdy nie mówić, bo łudziłam się, że czasy się zmieniły i ludzie też — zaczęła babcia. — Twoja mama chyba wolałaby, żebyś nie dowiedziała się, że jestem Żydówką i twój tata jako mój syn też jest Żydem.

Babcia mówiła długo i zawile, bo niełatwo było wytłumaczyć ośmiolatce, skąd się nagle w jej rodzinie wzięli jacyś Żydzi, o których Maryjka słyszała na religii tylko tyle, że ukrzyżowali dobrego Pana Jezusa.

— Ja jestem Polką i Żydówką. Mój syn jest więc Żydem, ale także Polakiem. Twoja matka nie jest Żydówką, więc ty także nie — tłumaczyła babcia. — Twój tata zgodził się, żeby mama cię ochrzciła, więc jesteś chrześcijanką. Mój syn nie wyznaje żadnej religii. Mnie jest smutno, że się nie modli i nie obchodzi ze mną szabasu ani żadnych naszych żydowskich świąt. Ale cóż mam zrobić? Po ostatniej wojnie, w której zamordowano tylu niewinnych ludzi, a najwięcej Żydów, wielu straciło także wiarę. Jak będziesz trochę starsza, opowiem ci o twoim dziadku, a moim mężu, który najpierw był bardzo wierzący, a potem stał się bezbożnikiem. W ogóle dowiesz się więcej o naszej rodzinie, kiedy już poznasz trochę historii. Teraz byś nie zrozumiała. Nie przejmuj się tym, co mówią dzieciaki na podwórku. One same tego nie wymyśliły. Powtarzają po niemądrych dorosłych. Ryfka to piękne żydowskie imię. Moja siostra je nosiła.

— A gdzie mieszka twoja siostra? — Maryjka przerwała babci zbyt długą przemowę.

— W niebie. Zabili ją Niemcy w czasie wojny — odparła babcia i szybko odwróciła twarz, bo mocno poczerwieniały jej oczy.

— Czy miała rude włosy?

— Nie, włosy miała czarne jak niegdyś moje. Twoje włosy są najwspanialsze na świecie i dzieci dokuczają ci z zazdrości.

— A czy mój tata grzebie grabiami w...? — Maryjka nie mówiła brzydkich słów, więc nie chciała po raz drugi powtórzyć paskudnej rymowanki. Wiedziała, że tata wykonuje potrzebny i ogólnie szanowany zawód lekarza, ale nie była pewna, co tak naprawdę robi z pacjentkami w zamkniętym przed nią gabinecie, w którym stoi bardzo dziwny fotel. — W pupie się nie grzebie, to grzech, prawda? — zapytała babkę, patrząc jej prosto w oczy.

— Każdy nasz organ wymaga zbadania przez lekarza, gdy jesteśmy chorzy. Nawet pupa. Ale na pewno twój tata nie robi tego grabiami. Jest bardzo dobrym lekarzem i wiele kobiet potrzebuje jego pomocy. Te panie z oficyny także.

Maryjka wydawała się uspokojona. Kwestią żydowską, na razie przynajmniej, się nie interesowała. Częściej za to snuła się pod gabinetem taty, by dowiedzieć się, co on takiego robi pacjentkom, a zwłaszcza, jakimi narzędziami się posługuje. Nie dało się jednak podejrzeć tego przez dziurkę od klucza, bo drzwi

gabinetu w ogóle nie posiadały dziurki. Zrobiła więc podczas nieobecności taty potajemny przegląd ginekologicznych narzędzi, ale grabi ani nawet małych, dziecinnych grabek do piasku w gabinecie na szczęście nie znalazła. Ponieważ ani ona, ani Adam, zgodnie z instrukcją babci, nie reagowali na zaczepki dzieciaków z oficyny, te wkrótce się uspokoiły. Już przed wakacjami łobuziaki zapomniały o Żydach i uganiały się za nieszczęśliwym Poldusiem, który nosił okulary i w dodatku pociągał jedną nogą.

Właśnie wtedy, gdy wydawało się, że wszystko już wróciło do normy, jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że Adaś wyjeżdża wraz z matką gdzieś bardzo daleko, aż za granicę, i Maryjka prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczy. Dowiedziała się o tym przypadkowo z rozmowy rodziców.

— Wiesz, z Reginą to jest inna sprawa — mówił ojciec o matce Adasia, prokurator Reginie Rottger-Maj. — Ona sobie za dużo pozwalała. Już po pięćdziesiątym szóstym mieli ją wyrzucić z prokuratury, ale w końcu tylko ją przenieśli tu do nas z Krakowa. Zresztą Regina już od jakiegoś czasu chciała wyjechać z synem. Nieraz powtarzała, że Adaś powinien chodzić do dobrych szkół, których u nas nie ma, żeby w tej zapyziałej Polsce nie zaprzepaścił swoich zdolności.

— A Karol też pojedzie? — spytała matka.

— Nie. Przecież wiesz, jak to z nimi jest — odparł ojciec. — Niby razem, a jakby osobno.

— No tak, zdradza go na prawo i lewo. W ogóle się z nim nie liczy. Kiedyś, pamiętasz, po twoich imieninach, jak za dużo wypła, to krzyczała, że ona musi z innymi, bo on jest impotentem? Okropne, jak można takie rzeczy przy ludziach? Ten chłopak to jest pewnie nie... — Matka nie skończyła zdania, bo zauważyła wlepione w siebie oczy Maryjki. — A ty, jak myślisz, dobrze robisz? Czy my też nie powinniśmy wyjechać? — ściszyła głos.

— Nie. Regina to już postanowiła i ma załatwiony bilet w jedną stronę. A Karol mówi, że on nigdzie nie wyjeżdża. Ja zresztą też nie mam zamiaru. Tak obaj postanowiliśmy i kropka — powiedział stanowczo ojciec. — Chyba nie myślałaś, że mógłbym cię opuścić albo wywieźć was do Izraela? Co ty byś tam robiła? Pewnie nie chciałybyś pracować w kibucu? — Wyciągnął rękę i pogładził żonę po włosach, ale ona strząsnęła jego dłoń, jak strząsa się owada, który nagle spadł z drzewa na głowę, i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

— Nie trzeba jechać koniecznie do Izraela. Można gdzieś do Europy Zachodniej lub do Stanów. Regina jedzie do Szwecji. Jest okazja. A może twoja matka z niej skorzysta?

— A mam cię! — wykrzyknął doktor ze śmiechem, chwytając żonę w objęcia. — Chciałaś się przy pomocy Gomułki pozbyć teściowej! — Klepnął ją żartobliwie w pośladek. — Porzuć wszelką nadzieję. Jest za stara na takie zmiany,

a poza tym ona kocha nas i ten kraj.

— Ty też?

— Ja też. Mam tu swoją klinikę, swoje pacjentki. Bądź spokojna, nikt mi w ogóle nawet nie wspomniał o wyjeździe. Jestem dobrym obywatelem, mam porządnie brzmiące nazwisko i nawet ślub kościelny. O, i córkę ochrzczoneą — wymieniał.

— Za to raczej cię w partii nie pochwalą — stwierdziła Lucyna.

— Nigdy nie wiadomo, jakie jeszcze czasy przyjdą. Najważniejsze to być zabezpieczonym na różne okoliczności.

— Ach, to ja i Maryjka jesteśmy twoim zabezpieczeniem? A ja naiwna myślałam, że się kiedyś we mnie zakochałeś. — Lucyna przyjęła napastliwy ton i postawę. — Oddziałowa mnie ostrzegęła, żebym uważała, bo mnie pan ordynator tylko przeleci, a potem wylecę z oddziału.

— Lucynko, to zwykłe kalumnie. Nigdy tak nie robiłem. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia i kocham cię nadal. A ty robiłaś ze mną, co chciałaś. Piękna byłaś... i jesteś — poprawił się. — Ja, stary dziad, nie śmiałem nawet marzyć o tobie — mówił i przytulał się do żony. — Życzyłaś sobie ślubu w kościele. Był w Łasku, w farze, z całą pompą. Zmyli mi trochę głowę w komitecie, ale ty wiesz, że bym ci nieba przychylił.

Maryjka niewiele zrozumiała z całej tej rozmowy, ale dotarło do niej najgorsze. Na zawsze traci przyjaciela. Była załamana. Adaś miał się z nią ożenić, jak dorośnie, a teraz co? Wyjeżdża.

I wyjechali akurat wtedy, gdy ona była na francuskim. Nawet go nie pocałowała. Od tego momentu co dzień po przyjeździe ze szkoły wyczekiwała na listonosza, stojąc na klatce schodowej schowana za załomem ściany korytarza. Ale Adam do niej nie pisał. „Tacy są mężczyźni” — myślała rozgoryczona i szła zniechęcona na któreś ze znienawidzonych zajęć pozalekcyjnych. Potem wracała zmęczona do domu i dopiero zabierała się za lekcje. To także robiła bez większego zaangażowania. Nic jej już właściwie nie cieszyło, bo jej ośmioletnie życie straciło wszelkie barwy. Pozostała jej tylko tęsknota.

Któregoś dnia zobaczyła, jak ojciec Adama wyciąga ze swojej skrzynki grubą kopertę oblepioną zagranicznymi znaczkami. Domyśliła się, że to może być list od żony lub syna. Serce zabiło jej mocniej i wyszła z ukrycia. Doktor Maj na jej widok także wyraźnie się ożywił. Ta podobna do śpiącej lalki Maryjka już jakieś dwa lata wcześniej zrobiła na nim niesamowite wrażenie. Zachował się wówczas bardzo ryzykownie i niemądrze.

Pamiętał dokładnie ten moment, gdy wrócił niespodziewanie wcześniej z pracy i w swoim gabinecie zobaczył dziwną scenę. Na kozetce leżała rozebrana córeczka sąsiadów. Buzię miała zaróżowioną i oczy przymknięte, a Adaś oglądał jej narządy rodne, sprawdzając jednocześnie ich nazwy w *Atlasie anatomii*

człowieka. Pobudzony niesamowitym widokiem doktor Maj spoliczkował chłopaka i wyrzucił go z gabinetu, czym wywołał przerażenie i płacz dziewczynki. Zaczął ją więc przytulać i całować. Powiedział, że musi jako lekarz sprawdzić, czy niechcący Adaś nie zrobił jej krzywdy. Sytuacja była jednak nerwowa, bo Maryjka nie dawała się uspokoić, a Adam na pewno stał pod drzwiami. Ubrał zatem małą, dotykając tylko niby przypadkiem jej intymnych części ciała, a potem zamknął się w łazience.

Od tamtego momentu starał się unikać tego dziecka, bo czuł, że może nad sobą nie zapanować, a to byłby wielki błąd. Teraz, gdy zauważył rudą główkę czającą się w mrocznym korytarzu, odezwał się do Maryjki głosem pełnym słodyczy:

— Mamy list od Adama. Znów chyba przysłał zdjęcia. To już trzecia taka koperta. Za każdym razem cię pozdrawia. Przyjdź do mnie wieczorem, to ci pokażę listy i wyjaśnię, gdzie teraz jest i co robi twój przyjaciel. Tylko nie mów mamie, że idziesz do mnie. Będzie nam potrzeba więcej czasu, bo chcę ci pokazać czary, a ona zaraz pewnie po ciebie przyjdzie, żebyś odrabiała lekcje. Polecisz ze mną do Afryki. Chcesz? — Maryjka bez słów na znak akceptacji pokiwała głową. — Ale żeby czary zadziały, trzeba zachować tajemnicę. Nikomu ani słówka, sza. — Doktor przyłożył palec do ust, jak niegdyś Adaś, i uśmiechnął się ciepło.

Dziewczynka nie mogła się doczekać wieczoru. Powiedziała matce, że idzie do koleżanki na Wierzbową, bo nauczycielka poprosiła ją, żeby przekazywała lekcje ciężko chorej uczennicy. Na wszelki wypadek pobiegła najpierw schodami głośno w dół, a potem na paluszkach przeszła obok swojego mieszkania i udała się na drugie piętro. Doktor Maj już czekał. Miał przygotowane zdjęcia i listy, a nawet pyszne czekoladowe cukierki. Dowiedziała się, że Adam bardzo krótko przebywał w zimnej Szwecji i zaraz potem poleciał samolotem do gorącej Afryki Południowej.

Maryjka nie uczyła się jeszcze geografii, więc nie miała pojęcia, gdzie leży ten kraj, ale pan Karol objaśnił jej wszystko i pokazał na globusie. W ogóle był bardzo miły. Zrobiło jej się sucho w ustach po słodyczach, więc podał jej jeszcze soczek do picia. Zapalił jakieś świece i kadzidełka, a potem wyciągnął z szuflady magiczny naszyjnik prawdziwego afrykańskiego czarownika. Do Afryki miał ją przenieść dywanik, na którym się położyła. Dobrze, że leżała, bo wkrótce cały świat zaczął z nią wirować. Po chwili naprawdę znalazła się wśród Zulusów. Dziwnie ubrana tańczyła z nimi i biła w bębenek. Baraszkowała potem z wielkimi, dzikimi kotami w buszu wśród suchych traw. Bawiła się cudownie. Tak się zmęczyła, że chyba zasnęła. Kiedy doktor zawołał ją, żeby wróciła z powrotem do pokoju, wszystko w nim było jak poprzednio, a ona nie nosiła już barwnej spódniczki z trawy ani ozdób z koralików. Miała na sobie swoją normalną, granatową, uczniowską spódniczkę, która nie była pobrudzona ani pognieciona po

tych szalonych eskapadach.

ROZDZIAŁ 2

Doktor Karol Maj był ostrożny. Z córką sąsiadów postępował w nietypowy dla siebie sposób. Nie spotykał się z nią zbyt często, chociaż Maryjka najchętniej przychodziłaby na tajemnicze seanse codziennie. Tłumaczył jej, że czar przestanie działać, jeśli będą go nadużywać. Był zresztą człowiekiem bardzo zajęтым, ponieważ jako jeden z nielicznych psychiatrów wyspecjalizował się w chorobach i zaburzeniach dziecięcych, a oprócz pracy w szpitalu przyjmował jeszcze pacjentów w domu. Przyjeżdżali do niego ludzie z dziećmi, których Maryjka i Adaś bardzo się bali, bo wyglądały dziwnie i często wydawały niesamowite odgłosy. Dziewczynce nie było wolno przychodzić do doktora w godzinach jego przyjęć i bez wcześniejszego umówienia się.

Czasami czekała nawet miesiąc na kolejną podróż do Afryki, a czas między seansami dłużył jej się niemiłosiernie. Właściwie przestało ją interesować cokolwiek innego. Snuła się po domu, nasłuchując kroków ludzi idących do sąsiada na górę. W ich klatce nie mieszkał nikt poza jej rodziną, panem Karolem i babcią. W szkole Maryjka stała się jakby nieobecna, a w domu była mrukliwa i opryskliwa. Nauczycielka francuskiego wymówiła jej lekcje, bo nie robiła żadnych postępów. Nie najlepiej szło jej też w balecie, ale tu matka się uparła i nadal ją przywoziła. Do MDK na zajęcia plastyczne, począwszy od czwartej klasy, jeździła sama. Jechała kilka przystanków tramwajem ulicą Nowotki, a potem od placu Wolności do Moniuszki szła pieszo Piotrkowską, oglądając wystawy.

Napięcie związane z oczekiwaniem na cudowne przeżycia, konieczność trzymania swoich kontaktów z sąsiadem w tajemnicy spowodowały emocjonalną huśtawkę jej nastrojów. Z Maryjką naprawdę trudno było wytrzymać. Kłótnie z matką i ciągły konflikt z koleżankami i kolegami w szkole zwiększał jej stres, który po prostu „zajadała”. Maryjka jadła dużo i rosła prędko. Niestety, nie tylko wzwyż. Systematycznie zwiększała się również jej waga. Wreszcie pani od baletu powiedziała bez ogródek, że takie pulpety nie mogą tańczyć na scenie. Matka szalała ze złości, a Maryjka była bardzo zadowolona, ale do czasu. Rodzice próbowali ograniczać jej jedzenie, więc chodziła do babki zebrać o kanapki i łakocie, a ta, pamiętając jeszcze okupacyjny głód, nie potrafiła jej odmówić.

Maryjka dojrzała wcześniej niż inne dziewczynki z klasy, wcześniej też urósł jej biust oraz włosy łonowe. W wieku trzynastu lat wyglądała już na szesnaście. Oglądali się za nią starsi panowie lubujący się w puszystych kształtach. Ta wczesna dorosłość sprowadziła na nią następną w jej życiu klęskę. Pan Karol od jakiegoś czasu twierdził, że nie dostaje już nowych listów od syna, i nie pozwalał jej przychodzić do siebie.

— To mogą być stare listy i te zdjęcia, które znam — przekonywała go ze

łzami w oczach.

— Jesteś już za duża, żeby wierzyć w czary i odwiedzać pana, który nie ma żony. To nie wypada — powiedział oschle. — Trzymaj buzię na kłódkę i nie opowiadaj nikomu o czarach, bo wezmą cię za chorą psychicznie. Wtedy będę musiał zamknąć cię w szpitalu w Kochanówce i leczyć elektrowstrząsami, które są bardzo nieprzyjemne. Po tych wstrząsach straszni wariaci siedzą w klatkach i wyją całe dni jak dzikie zwierzęta.

Wizja spędzenia reszty życia w klatce ze strasznymi wariatami była wystarczająco przerażająca, by zakneblować jej usta.

Biedna Maryjka znów poczuła się zdradzona i porzucona. Na ogół była smutna, apatyczna i wycofana, choć potrafiła też wykazywać agresję, zwłaszcza w stosunku do rówieśników, którzy wyśmiewali się z jej rosnącej wciąż tuszy. W szkole miała coraz gorsze oceny. Ledwie dostała się do liceum ogólnokształcącego i pewnie by go wcale nie skończyła, gdyby matka nie biegła z prezentami do nauczycieli, a ojciec nie załatwiał im różnych rzeczy. Wyrosłyby też pewnie na skończonego głąba, gdyby nie książki, które pochłaniała w ogromnych wręcz ilościach. Kiedy przeczytała wszystko, co było w domu i u babki, ojciec zapisał ją do Biblioteki Uniwersyteckiej. Miała więc sporą, choć nieuporządkowaną wiedzę humanistyczną, ale słabe widoki na to, że zrobi maturę z matematyki.

Rodzice martwili się, że jest dziwaczna i taka samotna. Poszli w końcu po radę do specjalisty, czyli doktora Karola Maja. Zachowywał się dziwnie nieprofesjonalnie. Nie chciał jej zbadać ani nawet przez chwilę porozmawiać na osobności. Poradził jakby od niechcienia, żeby kupili jej psa, który zmobilizuje ją do spacerów. Najpierw byli zbulwersowani lekceważącym podejściem przyjaciela rodziny do ich dziecka, które w istocie dzieckiem już nie było. Po zastanowieniu postanowili jednak posłuchać fachowca.

Sześciotygodniowy szczeniak sznaucera olbrzyma zjawił się w życiu Maryjki na rok przed maturą i wyrócił je do góry nogami. Dziewczyna już w wakacje schudła osiem kilogramów, a następane dwanaście w ciągu pół roku. Znów była śliczna, zgrabna, zręczna i tryskała energią. Kiedy szła ulicą, nie tylko faceci, ale i kobiety oglądały się za nią, jedne z zazdrości, a inne, żeby popatrzeć przez chwilę na to piękne zjawisko. Maryjka wyskakała i wybiegała sobie idealną figurę. Jej czarne oczy błyszczały teraz innym, zdrowym blaskiem. Miała odwagę rozpuścić na wiatr swoje niezwykle włosy, a po szkole ubierać się w niebanalny sposób.

Do półrocza czwartej klasy podciągnęła się nawet nieco z przedmiotów ścisłych. Teraz dla odmiany nic nie czytała. Nie miała już na to czasu. Po szkole odrabiała szybko i dość pobieżnie lekcje, by resztę czasu poświęcić Zulusowi, bo tak nazwała swojego czworonożnego, czarnego przyjaciela, który był chyba

najlepiej wypielęgowanym i ułożonym psem obronnym pod słońcem. Nie tylko rozumiał wszystkie komendy, ale wprost odgadywał myśli swojej pani. Na ogół był wesoły i łagodny. Jeśli jednak ktoś próbował zanadto zbliżyć się do niej, słyszał głębokie, pochodzące z głębi trzewi warknięcia, które mroziło krew w żyłach.

Przyjaźń z psem dodała Maryjce pewności siebie, ale nie naprawiła jej relacji z ludźmi. Dziewczyna nadal nie miała żadnej bliższej koleżanki i nie rozmawiała prawie z chłopakami, a umawianie się na randki w ogóle nie wchodziło w grę. Żaden chłopak nie zaryzykowałby starcia z umięśnioną, skoczną, brodatą bestią, której białe zębiska kruszyły wielkie, wołowe gnaty. Poza najbliższą rodziną ludzie, zwłaszcza młodzi, dla Maryjki po prostu jakby nie istnieli.

Wielkimi krokami zbliżała się studniówka, a ona za żadne skarby nie chciała iść na ten pierwszy w życiu bal. Nie miała partnera i nie chciała się bawić z żadnym z chłopaków ze szkoły. Wielu teraz smaliło do niej cholewki, ale jeszcze rok temu odwracali się z kpiącymi minami lub wprost wyśmiewali. Pamiętała klasową dyskotekę, na której nikt nie poprosił jej do tańca, a gdy nauczycielka zarządziła białe tango i Maryjka ruszyła w stronę wcale nie szczuplejszego od niej przewodniczącego samorządu, ten uciekł na korytarz, a klasa pokładała się ze śmiechu. Dziewczyna nie była w stanie zapomnieć tych przykrości, więc nie planowała swojego uczestnictwa w tej imprezie, ale matka ją zmusiła.

— Specjalnie dla ciebie zaangażowałam się do gotowania potraw, pieczenia ciast i podawania do stołu. Czy myślisz, niewdzięczna dziewczyno, że kocham to robić? Nienawidzę, ale to jest najlepsza okazja, żeby obgadać z profesorami sposób dostarczenia ci śniadania na matematyce. Nie uczyłaś się przez cztery lata, więc teraz nie masz prawa wyboru. Maturę musisz zdać, bo ja bym chyba nie przeżyła takiej kompromitacji. Lepiej podziękuj, że załatwiłam ci także partnera.

Ów partner okazał się kuzynem matki z rodzinnego Łasku. Chodził w Łodzi do technikum samochodowego i mieszkał w internacie. Maria w pięknej, długiej, czarnej spódnicy z Telimeny i fantazyjnie, własnoręcznie haftowanej białej bluzce wyglądała skromnie i elegancko. Kiedy ujrzała w drzwiach chudego wyrostka z czerwonawą, trądzikową cerą w śliwkowym garniturze i żółtym krawacie, miała dość wszystkiego. Lucyna jednak siłą wrzuciła ich oboje do taksówki i pojechali na zabawę.

Kuzynek na szczęście specjalnie nie narzucał się zarozumiałej i aroganckiej córce wujostwa. Zaraz na wstępie zdjął koszmarne marynarkę, bo ciążyły mu poupychane w kieszeniach półlitrowki. Z taką amunicją szybko zjednał sobie grupę kumpli oraz wielbicielek i całkiem dobrze się bawił. Maryjka, siedząc sama, znudzona przy stoliku, co jakiś czas sięgała również do owej wiszącej na krześle marynarki i wlewała do swojej oranżady po trochu przyniesionej przez partnera wódki. Nieprzyzwyczajona do alkoholu po paru szklaneczkach była już na niezłym rauszu. Śmielej rozejrzała się po sali i nagle spostrzegła za filarem chłopaka jak ze

snu. On wpatrywał się w nią już od dłuższego czasu, lecz obawiał się, że w każdej chwili przy stoliku może się zjawić właściciel śliwkowej marynarki, której dziewczyna zdawała się strzec. Wyluzowany i niedwuznacznie zachęcający uśmiech podpitej Maryjki dodał mu odwagi.

Niedługo potem maszerowali już oboje piechotą przez puste ulice nocnego miasta, zaśmiewając się z byle czego i całując co krok. Ona niewiele miała do powiedzenia o sobie. Wiadomo, w tym roku robi maturę. Chyba będzie coś studiować, ale jeszcze nie zdecydowała. On pochwalił się, że jest studentem piątego roku Wojskowej Akademii Medycznej. Na bal wpadł dopiero po północy, żeby na tak zwany krzywy ryj najeść się i pohulać. Od paru lat tak się zabawiają z kolegą, również WAM-owcem. Kolega obiecał, że będzie tu z jakąś dziewczyną, lecz jak widać, wystawił do wiatru i jego, i dziewczynę. A może wcześniej przeszli już do następnego etapu zabawy?

— Na tyłu studniówkach już byłem, ale nigdy dotąd nie spotkałem tak pięknej licealistki, bo ja raczej nie oglądam się za młodymi dziewczynami — powiedział z miną specja od damskiej urody przystojny, lecz trochę zarozumiały student, w którym Marię zachwyciło wszystko, oprócz zalatującego wiochą imienia Bronisław.

— Ja też — wyszeptała bez sensu Maryjka, ale zaraz się poprawiła i zadziwiła Bronisława swoją szczerością. — To znaczy chciałam powiedzieć, że jesteś właśnie takim chłopakiem, o jakim marzyłam. Bo ja głównie marzę — dodała. Nie potrafiła nic szyfrować ani ukrywać, więc mówiła wprost. W dodatku czuła, że nogi miękną jej z emocji i od wypitej czystej z oranżadą.

— A co z twoim partnerem? — zapytał nagle Bronek.

— A niech go sobie weźmie moja matka, skoro go zaprosiła. Ja dzisiaj nie wracam do domu. Będę się bawić, jakby jutra miało nie być — wykrzykiwała podchmielona i raz po raz, nie mogąc utrzymać równowagi, padała w objęcia niedoszłego doktora i oficera.

Maria miała wszystkie niezbędne, według Bronka, atrybuty urody. Długie, szczupłe nogi, zalotnie ukazujące się w głębokich rozcięciach spódnicy, wąską talię i duży, ale jędrny biust, który okiem znawcy ocenił na rozmiar 70 E. Spojrzenie jej czarnych, lśniących oczu powodowało, że włosy na całym ciele, i nie tylko włosy, stawały mu dęba. Rude włosy dziewczyny również dobrze rokowały w teorii tego domorośłego znawcy kobiecego libido, znamionowały bowiem ognisty temperament i obiecywały rozkosze w łóżnicy. Chciał całować bez końca te jej namiętne i po dziecinnemu nadaśane usta. Po chwili miał już ochotę na znacznie więcej. Wówczas podjął decyzję, że zabierze Marię do mieszkania pewnej starszej nieco od niego kobiety, z którą łączyło go to i owo. Krysia wyjechała w delegację, zostawiając mu klucze od swojej chatki-kopulatki, mieszczącej się w bloku przy ulicy Wierzbowej.

— Wiesz, boję się tak chodzić po cywilnemu, bo WSW może mnie wylegitymować i zwinąć — zaczął. — Przebiorę się w mundur, a potem weźmiemy taksówkę i pojedziemy do Garnizonowego Klubu Oficerów. To niezbyt daleko, przy Tuwima. Jest tam dobre żarcie i niedrogi alkohol.

— A gdzie się przebierzesz? Mieszkasz tu niedaleko? — spytała Maryjka. Szli właśnie Nowotki i byli już blisko skrzyżowania z Buczka, gdzie znajdował się jej dom.

— Niezupełnie. Na Wierzbowej mieszka moja ciotka, u której trzymam cywilne ciuchy. Ona jest samotna, rozwódka — nie skłamał nawet zbyt wiele. Kryśka była rozwódką i ciotką, tyle że nie jego.

— Ale jest środek nocy — zauważyła przytomnie dziewczyna.

— Ciotki nie ma, wyjechała służbowo — uspokoił ją, więc odważnie wsunęła mu rękę pod pachę i poszli dalej prosto aż do skrzyżowania z Wierzbową, mijając Buczka. Zaraz skręcili i weszli do jednej z klatek trzypiętrowego bloku, w którym na parterze mieściło się mieszkanie Krychy.

Bronek tak naprawdę nie planował już żadnej wyprawy do kasyna. Jak zwykle nie śmierdział groszem, a podebranie forsy Kryśce było poniżej jego godności. Grał więc na zwłokę. Rozebrał się do połowy i, kusząc idealnie umięśnionym torsem, biegał po mieszkaniu w poszukiwaniu jakiejś zaginionej rzeczy. Zajrzał do kredensu „ciotuni” i „przez przypadek” znalazł tam pyszną naleweczkę z wiśni, która przysłała w samą porę, ponieważ Maryjka wytrzeźwiała nieco przez drogę i zaczęła odczuwać pewne skrępowanie sytuacją.

Wspaniałe ciało Bronka, mocne ramiona, pięknie ukształtowana szyja i zapach dobrej wody toaletowej z Peweksu, która była prezentem od Krystyny, rozbroiły kompletnie Maryjkę. Zaczęła zachowywać się jak kotka w rui. Bronek był pewien, że ma do czynienia z młodziutką, lecz doświadczoną osobą. W dodatku Kryśka wycięła mu głupi numer i schowała gdzieś prezerwatywy, które zawsze znajdowały się w szufladce obok wersalki. Pomyślał nawet po łacinie, że trzeba będzie zastosować *coitus interruptus*, ale potem był zbyt napalony i machnął ręką na zabezpieczenie. Ta lamparcica na pewno wie, co robi i kiedy może — rozgrzeszył się. Czuł wprawdzie początkowo spory opór i trochę się zdziwił, lecz już nie w głowie mu było analizowanie sytuacji lub zadawanie jakichkolwiek pytań, tym bardziej, że dziewczyna nawet nie syknęła z bólu, a wkrótce zaczęła jęczeć z rozkoszy. Poszedł więc na całość.

Krwawa plama na prześcieradle go przeraziła. Rozleniwiony, zapalając papierosa, pomyślał, że będzie musiał ją zaprać i wysuszyć, zanim wróci Krycha. Zresztą pal sześć Krychę, dawno już powinien się wymiksować z tego układu. Ta ruda dziewczyna zgodnie z przewidywaniami okazała się cudowna. A właściwie to go zaskoczyła. Poszła z nim tak od razu, zachowywała się jak dziwka, a tu taki numer. Dziewica. Musiał zrobić na niej piorunujące wrażenie. Przeżywała jak

żadna z jego poprzednich, a trochę ich już przeleciał. Broniek uśmiechał się z zadowolenia i czochrał po zarośniętej klatce piersiowej, wspominając niedawną rozkosz. Maria wyszła z łazienki i znów łapczywie rzuciła się na niego.

Na kwadrans przed szóstą student elew wpadł w popłoch. Musiał lecieć na WAM, bo o północy skończyła mu się przepustka, a on stale podpadał i jeden taki na portierni był na niego cięty. Maria nie robiła żadnego problemu, ona także powinna dawno być w domu. Całkiem możliwe, że rodzina już jej wszędzie szukała. Przy rozstaniu nie podała mu adresu ani numeru telefonu. Chciała, żeby przyszedł do niej pod szkołę. Bała się, że matka zaraz skojarzy, iż studniówkową noc córka spędziła z mężczyzną, który do niej dzwoni, a nie miała zamiaru przyznawać się do takich rzeczy. Obawiała się, że jeśli matka ze swoją wścibskością, zaradnością i pruderią wkroczy w tę jej miłość, czar prysnie.

Od dzieciństwa wiedziała, że magia wymaga tajemnicy. A to, co zdarzyło jej się tej nocy, było magią. Nie będzie już tęskniła do Afryki. W ramionach Bronka odnalazła dzikość, żar i słyszała w uszach dźwięk tam-tamów. Była ogarnięta euforią, hormony szczęścia zalewały jej mózg. Nie zastanawiała się nad tym, że mogą się już z tym cudownym chłopakiem nigdy nie spotkać, bo młodzieżowym zwyczajem nie wymienili nawet swoich nazwisk. W ogóle wiedzieli o sobie mało. Na jego pytania odpowiadała wymijająco, gdyż wszystko, co dotyczyło jej życia, wydawało się jej bardzo nieciekawe. Każdą dłuższą jego wypowiedź przerywała gradem pocałunków, bo właściwie żal jej było czasu na rozmowę. Sądziła, że zdążą się jeszcze nagadać na kolejnych randkach, a nie wiadomo, kiedy znów ciotka Bronka wyjedzie. Była głęboko przekonana, że ten człowiek jest jej przeznaczeniem, i wszystko inne się nie liczyło.

Do domu miała bardzo blisko, ale chciała się trochę przejść, żeby ochłonić i wymyślić jakąś historyjkę dla rodziców. Poszła więc Nowotki do Kopcińskiego. Okrążając rondo, zauważyła, że otwarty jest już kościół Świętej Teresy. Wspięła się po szerokich schodach i weszła na chwilę do przestronnej, nowoczesnej świątyni. Prawdopodobnie z racji miejsca zamieszkania należała do tej parafii, lecz nigdy wcześniej nie miała potrzeby tu zawitać. W całym jej życiu tylko parę razy matka zaprowadziła ją do kościoła i zawsze było to w Łasku, gdzie ją ochrzczono i praktycznie bez przygotowania posłano do Pierwszej Komunii, bo ze względu na stanowisko ojca i jego zaangażowanie partyjne trzeba było zrobić to dyskretnie.

Rozejrzała się w mrocznym wnętrzu świątyni. Tylko przy ołtarzu paliło się kilka świec i czerwona lampka. Kilkanaście osób klęczało w skupieniu, ale mszy jeszcze nie było. Początkowo Maryjka chciała tylko w spokoju zebrać myśli, ale po pewnym czasie trwania w ciszy i w modlitewnej pozie odniosła wrażenie, że nie znalazła się tu przez przypadek. Powoli nabierała przekonania, że przywiodła ją tu jakaś tajemnicza siła. Przeżycia minionej nocy skłonna była porównywać z ekstazą świętych. Przypomniała sobie teraz, że na szyi Bronka na srebrnym łańcuszku

wisiał krzyżyk. Przeszkadzał jej nawet trochę podczas miłosnego zbliżenia. Pozbawiona normalnej katechezy z racji chrztu była jednak chrześcijanką, ale nie można jej było nazwać katoliczką, bo nie znała zbyt dokładnie zasad wiary, w której ją ochrzczono. O Bogu czytała wiele, ale z różnych źródeł. Nieobca była jej także literatura wojująca z Kościołem. Bez żadnego przewodnictwa duchowego wybierała to, co jej pasowało z jednej i drugiej strony. Teraz też nie miała żadnych oporów, by błagać cierpiącego na krzyżu Jezusa o następne seanse szczęścia i nie miała zamiaru myśleć o swoich cielesnych zbliżeniach w kategoriach grzechu.

Kłęczała w ławce i modliła się, by jej szczęście trwało wiecznie. Kogo zresztą miałyby prosić o coś na wieczność, jak nie Jego — Wiecznego Dawcę Miłości. Zatopiła się w marzeniach. Na każdym witrażu i w posągu każdego świętego widziała tego nowo poznanego chłopaka. Był jasny, piękny jak anioł. W jej wyobraźni kochali się teraz w rajskich pejzażach zapamiętanych ze zdjęć oglądanych w domu pana Karola. Ułożyła już plan ich wspólnego życia. Żeby utrzymać swoją miłość z dala od matki, która zaraz zechciałaby dyrygować córką i narzucać jej swoje zdanie, wyjedzie z Bronkiem do RPA, bo tam jest prawdziwy raj na ziemi. Będą mieli dużo dzieci i będą bardzo szczęśliwi. W ten sposób od mistycznych niemalże wizji przeszła do prozy życia.

W kościele zapłonęły światła, zagrały organy, rozpoczynała się pierwsza poranna msza. Maryjka przepełniona szczęściem opuściła kościół. Jakież było jej zdziwienie, gdy tuż za ciężkimi drzwiami, które starała się zamknąć jak najdyskretniej, schwyciła ją za rękę jej własna matka. Lucyna, nie mogąc doczekać się w domu na córkę, obdzwoniła prawie wszystkich uczniów z klasy i nauczycieli Maryjki, a następnie udała się ponownie do szkoły, zaglądając po drodze do wszystkich bram, podwojek i rozpytując o nią nielicznych o tej porze przechodniów, ale dziewczyny nikt nie widział. Powstrzymała się na razie od zgłoszenia zaginięcia dziecka na komisariacie milicji, bo zdawała sobie sprawę, że nie potraktują jej poważnie. Maryjka skończyła już osiemnaście lat, a kontaktu z nią nie było zaledwie od kilku godzin.

Zdesperowana kobieta nie chciała wracać do domu, w którym spał jej pijany, nieszczęsny kuzynek. W domu nie było na razie także męża, wezwanego do skonsultowania ciężkiego przypadku na oddziale. Bała się też, że teściowa, która wiedziała o niechęci wnuczki do uczestniczenia w studniówce, zacznie ją oskarżać o zniknięcie Maryjki. Postanowiła więc wstąpić do kościoła, by pomodlić się o szczęśliwy powrót przynoszącej jej ciągłe utrapienia, ale jednak ukochanej jedynaczki. Na widok Maryjki wychodzącej właśnie ze świątyni skoczyło jej gwałtownie ciśnienie.

— Wpędzisz mnie do grobu, podła dziewczyno! Gdzie ty się włóczysz?! Co ty tutaj robisz?! — krzyczała, nie bacząc na powagę miejsca.

— Widzisz przecież! — odwarknęła Maryjka i wyszarpnęła rękę.

— Pytam, coś robiła tyle czasu?! — krzyczała nadal matka. — Kościoły zamyka się na noc!

— Modliłam się — padła bezczelna odpowiedź.

— Nie kłam! — darła się nadal matka.

— Proszę trochę ciszej, bo tam ludzie się modlą. — Młody ksiądz wyszedł do nich zaniepokojony dobiegającymi do wnętrza kościoła wrzaskami. — Niech się pani nie denerwuje — próbował wpłynąć na Lucynę. — Widzę, że nie ma pani zaufania do córki. Musicie szczerze ze sobą porozmawiać.

— Ona mi wmawia, że spędziła pół nocy w kościele. — Lucyna emocjonalnie wymachiwała rękoma księdzu przed oczyma.

— To jest możliwe, bo mieliśmy dzisiaj modlitewne czuwanie młodzieży akademickiej przed Najświętszym Sakramentem.

Alibi, jakie nieświadomy niczego kapłan dał Maryjce, kompletnie rozbroiło jej matkę, a dziewczynę utwierdziło w przekonaniu, że sam Pan Bóg sprzyja tej miłości.

ROZDZIAŁ 3

Maryjka po raz pierwszy w życiu leciała do szkoły jak na skrzydłach. Koło południa nie mogła się już zupełnie skupić na lekcjach i wciąż, mimo przejmującego zimna, wychodziła przed budynek. Broniek jednak się nie pojawił ani w poniedziałek, ani we wtorek, ani w żaden z następnych dni tygodnia. Dziewczyna złościła się na siebie, że nie umówiła się bardziej konkretnie. W następnym tygodniu pod różnymi pretekstami zostawała nawet dłużej w szkole, przepytywała woźną, czy ktoś o nią nie pytał, lecz nic takiego nie miało miejsca. W stanie nieustannego oczekiwania i napięcia nerwowego minęły jej trzy tygodnie.

Coraz trudniej było z nią wytrzymać, wybuchała gniewem z byle powodu, a potem zamykała się w pokoju i płakała. Prawie nie jadła, więc czuła się słabo i miała zawroty głowy. W końcu zaczęły trapić ją nudności. Wychodziła z domu z zamiarem pójścia do szkoły, ale na ogół wymiotowała już w bramie. Traciła ochotę do siedzenia na lekcjach i szła powłóczyć się po ulicy Źródłowej, przy której znajdowały się koszary Wojskowej Akademii Medycznej. Stawała po przeciwnej stronie jezdni, na wprost portierni, i obserwowała. WAM-owcy wchodzili i wychodzili, niektórzy, zobaczywszy atrakcyjną dziewczynę, podchodzili bliżej i próbowali do niej zagadywać, ale nie była skłonna do konwersacji. Bronka jednak nie udało jej się spotkać.

Kiedy zmarzła, udawała się pieszo do Biblioteki Uniwersyteckiej na Matejki. Tam w kafejce zwanej Piekiełkiem przesiadywało zawsze sporo studentów z WAM. Znajdujący się w piwnicy lokal miał fatalną wentylację, a większość studentów w latach siedemdziesiątych paliła papierosy i to w dodatku te najtańsze. Zwłaszcza w drugiej salce, położonej jeszcze nieco niżej niż bufet, można było dosłownie zawiesić przysłowiową siekierę. Umieszczone na ścianach kinkiety dawały bardzo mało światła, a kłęby dymu unosiły się nad studentami zajętymi intelektualnymi dysputami lub tylko zwykłym wkuwaniem.

Było tam dosłownie jak w piekle. Mimo mdłości wywoływanych przez smród papierosów, Maryjka zaglądała tam codziennie w poszukiwaniu ukochanego. Wypijała herbatę, jedną lub dwie, czasem coś przekąsiła, a potem wolała już siedzieć z książką w holu pod ogromną agawą, na wszelki wypadek blisko toalety. Nie miała już żadnych wątpliwości, że jest w ciąży. Chciała, bardzo chciała powiedzieć o tym Bronkowi, lecz ten jakby zapadł się pod ziemię.

Na świecie zrobiła się wiosna, a w sercu Maryjki panowała ponura słońca. Powoli traciła nadzieję, że ujrzy jeszcze kiedykolwiek mężczyznę swoich marzeń, owego anioła, którego już coraz rzadziej jej wyobraźnia umieszczała na tle rajskich pejzaży. Z czasem mdłości mniej jej dokuczały i ogólnie czuła się już lepiej. Któregoś dnia odważyła się odwiedzić rzekomą ciotkę Bronka. Przeżyła szok, bo

kobieta okazała się całkiem młoda i do tego wulgarna. Obrzuciła dziewczynę najgorszymi obelgami i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem, złorzecząc również „bezczelnemu sukinsynowi”.

Tego samego dnia także w domu czekała na Maryjkę nieprzyjemna niespodzianka. Rodzina dowiedziała się o jej wagarach. To był sądny dzień. Maria zemdląła podczas awantury, którą urządziła matka. Ojciec zawiózł córkę na badania do szpitala. Dziewczyna zgłaszała najróżniejsze dolegliwości, próbując zmylić lekarzy, ale w końcu się wydało. Najbardziej żał jej było ojca, który nie krzyczał, nie wyzywał jak matka, tylko pobladł i przygarbił się, jakby wór ziemniaków spadł mu nagle na plecy. Cichym głosem pytał, kiedy i z kim do tego doszło.

Córka nawiązała do pobytu po studniówce w kościele i wymyśliła następującą historię:

— Kiedy się modliłam, nagle usłyszałam łopot skrzydeł. To jasny anioł sfrunął do mnie spod kopuły. Stał tak blisko, że czułam jego gorący oddech, i osłonił mnie swoimi skrzydłami. W tym momencie poczułam oszałamiającą rozkosz — mówiła, wpatrując się w niebo. — To musiało się dokonać w tym właśnie momencie. Jestem szczęśliwa, że zostałam wybrana.

Gdyby opowiadała takie rzeczy, a nie była w ciąży, rodzice uznaliby, że zwariowała. Jednak uwierzyć w niepokalane poczęcie córki nie umieli, więc zawiadomili milicję. Brutalnie przesłuchano księdza prowadzącego modlitwy, lecz ten był cały czas z grupą studentów obojga płci i miał murowane alibi. Nikt z młodzieży nie znał tej dziewczyny i nie widział jej nocą w kościele. Ona też nie wskazała nikogo jako sprawcy, upierała się, że to był anioł. Póki dziecko nie przyszło na świat, nic nikomu nie można było udowodnić, ale na akademickie duszpasterstwo w kościele Świętej Teresy spadło jednak odium podejrzenia i było ono odtąd jeszcze pilniej inwigilowane.

Ojciec Marii w noc po przesłuchaniu córki dostał udaru. Na szczęście dość szybko dotarł do szpitala, więc mózg nie został jeszcze zbyt mocno uszkodzony. Miał trochę niesprawną lewą stronę i kłopoty z mówieniem. Po opuszczeniu szpitala zamknął się w swoim gabinecie i nie odzywał do nikogo, a w domu rozgrywały się dantejskie sceny. Lucyna domagała się, by mąż, jeśli nie czuje się na siłach osobiście wykonać zabieg, dyskretnie załatwił córcę aborcję w swoim szpitalu. Wierzbicki wahał się, gdyż Maryjka od kilku tygodni czuła już ruchy płodu, więc zabieg mógłby być niebezpieczny dla jej zdrowia i płodności, ale w końcu poprosił o pomoc swojego zastępcę.

Maryjka nie pozwoliła jednak zbadać się ojcu ani dotknąć któremukolwiek z lekarzy. Mówiła, że nienawidzi rodziców. Wyzywała ich od morderców, którzy chcą w wyjątkowo okrutny sposób zabić jej dziecko. Poczytała trochę fachowej literatury i dowiedziała się, że tak zaawansowane ciążę usuwane są poprzez

rozkawałkowanie płodu. Chciała uciec z domu, ale nie miała gdzie. Na babcię też nie mogła w tym momencie liczyć, bo staruszka od kilku miesięcy znów przebywała w szpitalu gruźliczym i kontakt z nią był utrudniony. Zdesperowana dziewczyna udała się do sąsiada, który pomógł jej w dzieciństwie przeboleć utratę przyjaciela i powiedziała bez ogródek:

— Chciałam prosić pana, żeby się pan ze mną ożenił. Uprzedzam lojalnie, że będę miała dziecko. Myślę, że nieważne jest z kim. Tego kogoś już nie ma i nie będzie nigdy w moim życiu. Jeśli pan się ze mną ożeni, będę spełniać wszelkie pana zachcianki, w łóżku i w kuchni. Nie pożałuje pan. Wszyscy będą panu zazdrościli młodej żony, a ja będę wierniejsza niż pies, tylko niech mnie pan przyjmie do swojego domu i uratuje moje dziecko — błagała. Wiedziała już, że jej niewątpliwym atutem jest uroda i duży temperament. Chciała więc w ten sposób zadziałać na wyobraźnię Karola. W lustrze wystudiowała powłóczyście spojrzenia i obiecujące pozy, lecz wszystko to okazało się niepotrzebne.

— Jestem impotentem i nie mam zamiaru wiązać się z jakąkolwiek kobietą, zwłaszcza tak młodą siksą — powiedział prosto z mostu sąsiad i zamknął jej drzwi przed nosem.

Wróciła do domu jak niepyszna. Chciała popełnić samobójstwo. W tym celu wykradła z gabinetu ojca silne środki znieczulające do podawania w iniekcji. Otwierając kolejne ampułki, szykowała sobie śmiertelną w jej mniemaniu dawkę. Zanim zdążyła ją zażyć, doktor odkrył brak lekarstwa i wszedł do pokoju córki. Niesprawną jeszcze ręką wytrącił jej ampułki z dłoni. Krzyczał dramatycznie, a jednocześnie śmiesznie. Zdenerwowanie sprawiło, że nie mógł wymówić poprawnie ani jednego słowa, seplenił i popłuł sobie brodę.

Maryjka parsknęła śmiechem. Jej reakcja była tak zdumiewająca, że ojciec wcale nie poczuł się dotknięty, ale również zaczął chichotać. Objął córkę i oboje śmiali się i płakali na zmianę. Dołączyła do nich także Lucyna. Nagle opadły z niej hodowane od miesięcy złe emocje.

— Nie wiem, co mnie opętało — mówiła, szlochając. — Nie chcę przecież tak naprawdę śmierci żadnego dziecka, a zwłaszcza twojego. Będę się nim opiekować, ale powiedz, na miłość boską, kto jest ojcem. Przecież nikt cię chyba nie zgwałcił?

— To chłopak, którego spotkałam tylko raz w życiu. Wiem, że wyjechał, więc nie męczcie mnie więcej, bo wyskoczę przez okno. — Maria znów wpadła w histeryczny ton. — Pewnie dla was to niewyobrażalne, ale nie znam jego nazwiska — dodała po chwili już całkiem spokojnie.

Trzy miesiące później na świat przyszedł dorodny chłopiec, któremu na chrzcie w kościele w Łasku nadano imię Jacek. Zarówno dziadek, jak i babcia oszaleli na jego punkcie.

Młoda mama dobrze zajmowała się dzieckiem i wcale nie martwiło jej to, że

nie zdawała matury ze swoim rocznikiem. Musiała bowiem opuścić szkołę, zanim ciąża stała się widoczna. Maryjka nie zawracała sobie głowy tak przyziemnymi sprawami jak wykształcenie i konieczność zarobkowania. Zawsze miała zapewniony przez rodziców byt i zaspokojone różne zachcianki, sądziła więc, że taki stan będzie trwał zawsze, tym bardziej, że ojciec po owym incydencie mózgowym przeszedł rehabilitację i wrócił już do pracy. Nie operował wprawdzie, ale miał teraz więcej czasu na publikacje i wykłady, więc nie zarabiał dużo gorzej. Myślał jednak z niepokojem o przyszłości córki.

Dopingowana przez rodziców Maryjka zrobiła maturę w wieczorowej szkole dla dorosłych i złożyła papiery na Akademię Sztuk Pięknych. Chociaż jej prace zainteresowały komisję, poległa na teorii. Startowała na polonistykę, lecz okazało się, że jej wiedza, zwłaszcza historyczna, zawiera spore luki. W dodatku egzamin z języka obcego poszedł jej fatalnie. Zbita z tropu tymi niepowodzeniami nie wzięła się solidnie za naukę. Po prostu zrezygnowała z wyższych studiów i została słuchaczką dwuletniego Policealnego Studium dla Wychowawczyń Przedszkoli. Na lamenty matki odpowiadała obcesowo, że ona też studiów nie ma, a została panią profesorową.

Ojciec ze smutkiem patrzył na córkę. Nie chodziło mu nawet o wybór szkoły, bo przecież zawód przedszkolanki według niego był społecznie potrzebny i bardzo odpowiedni dla kobiety. Profesora niepokoił brak wokół tak pięknej dziewczyny jakichkolwiek zalotników. Posiadanie nieślubnego dziecka pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku nie skazywało już kobiety na społeczne potępienie. Dzieckiem w zasadzie zajmowała się babcia, więc Maryjka miała możliwość umawiania się na randki, biegania na dansingi i w ogóle korzystania z życia. Kiedyś nawet dyskretnie podpytywał ją, czy nie powinna pomyśleć o jakiejś hormonalnej antykoncepcji, bo wolałby nie zostać po raz drugi dziadkiem za sprawą jakiegoś „anioła”. Maryjka jednak powiedziała groźnie:

— Możesz być zupełnie spokojny, już nigdy nie zaufam żadnemu mężczyźnie.

ROZDZIAŁ 4

Bronek nie miał łatwo w życiu. Matkę stracił wcześniej, ojca nie znał wcale, wychowała go na wsi obarczona wielodzietną rodziną ciotka, a mimo to był prawie zawsze wesoły, energiczny i pełen temperamentu. Choć brakowało mu nieco ogłady, a w niektórych momentach także zwykłej delikatności, łatwo zjednywał sobie sympatię ludzi. Od ukończenia szkoły średniej mógł liczyć tylko na siebie, a mimo to radził sobie doskonale. Musiał oczywiście trochę kombinować, żeby, nie mając żadnego wsparcia finansowego w rodzinie, dobrze jadać, od czasu do czasu wypić jakiś szlachetniejszy trunku niż „wino patykiem pisane” i mieć za co zabawić się z ładną dziewczyną. Na erotyczne rozkosze był szczególnie łasy. Właściwie kochał życie we wszystkich jego aspektach. Nie wydawał za to prawie wcale pieniędzy na ubranie, bo na co dzień chodził w mundurze. Wiedział zresztą, że ze swą idealną sylwetką raczej rozebrany robił największe wrażenie. Twarz miał prostokątną z mocno zarysowaną żuchwą, jasne włosy, duże szare oczy i zmysłowe, piękne usta promieniejące wciąż uśmiechem, w którym chętnie pokazywał mocne, równe, białe zęby. Gdyby mieszkał w Hollywood, na pewno biliby się o niego producenci westernów.

Chłopak miał głowę na karku i chęć do nauki, nie tak jak dzieciaki ciotki. Bogobojna opiekunka marzyła dla Bronia o karierze księdza, ale jemu oczy świeciły się na widok każdej ładnej panienki. Wybrał studia na Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Wojskowa uczelnia miała tę przewagę nad cywilną, że ojczyzna ludowa zapewniała mu naukę i całkowite utrzymanie, a oprócz tego wypłacała jeszcze żołd. Wymagała jednak dostosowania się do wojskowego drylu, a to Broniowi raczej nie odpowiadało. Stale przekraczał godziny przepustek, uciekał, gdy nakazano mu pozostanie w koszarach, symulował, żeby wywinąć się z ćwiczeń na poligonie itp. Gdyby nie jego niewątpliwe zdolności i świetne oceny, dawno by już został relegowany z uczelni.

Kariera lekarza wojskowego była nęcąca ze względu na wyższe niż w cywilu zarobki i różne dodatkowe bonusy, ale miała też swoje minusy. Komunistyczne władze niechętnie wypuszczały wojskowych za granicę, a Bronek był ciekawy świata. W skrytości ducha marzył o wyjeździe do Ameryki. Samodzielnie wkuwał angielskie słówka i słuchał anglojęzycznych stacji, czym podpadł nawet przełożonym politrukowi, którzy nakazali usłużnym informatorom dyskretną obserwację studenta. Nie przejmował się tym zbytnio, bo miał swój plan na życie, w którym nie było wojskowych awansów, kolejnych gwiazdek i belek.

Już na drugim roku dowiedział się, że można być zwolnionym z wojska, jeśli ma się drobne zaburzenia psychiczne, które dla wojskowego mogą być co najmniej niebezpieczne. Bronuś poczuł, że takie problemy na pewno będą go nękały, ale

dopiero pod koniec studiów, i nie pozwolą mu zostać oficerem Wojska Polskiego. Po zwolnieniu z WAM zamierzał oczywiście natychmiast przenieść się na akademię cywilną, aby dokończyć studia. W połowie piątego roku zaczął się właśnie konkretnie koło tej sprawy kręcić. Umówił się ze znajomym, starszym kolegą, który rozpoczął staż na psychiatrii, że ten będzie go instruował, co i jak symulować.

Wtedy właśnie poznał Marię. Szalona noc, dziwna i piękna dziewczyna warte były tego, by kolejny raz złamać regulamin. Ale miarka się przebrała, a być może ktoś życzliwy go zakablował. Barwne życie Bronka, jego powodzenie i zdolności budziły bowiem zazdrość wielu kolegów. W ów niedzielny poranek, gdy na Wierzbowej rozstał się z Marią i pobiegł do koszar, dowiedział się na portierni, że dwanaście godzin temu miał się zameldować u dowódcy. Lista zarzutów była długa. Kończył ją dopisany już po zgłoszeniu się elewa punkt dwunasty: brak szacunku dla munduru. Faktycznie Bronka stanął przed dowódcą w zabłoconych butach, brakowało mu jednego guzika i miał brudną czapkę, gdyż porywisty wiatr strącił mu ją już w pobliżu koszar do kałuży. Dowódca był zafrasowany. Po ojcowsku radził, aby student się opamiętał i przemyślał swoje postępowanie. Dostał tydzień ścisłej paki na przemyślenia, a potem jeszcze miesiąc bez przepustek. Według dowódcy były to wyjątkowo łagodne kary.

Bronka w pace nie bolał wcale nad swoją postawą abnegata, tylko wspominał upojne chwile z Marią. Kiedy wychodzili ze studniówkowego balu, była dla niego tylko ładną lalą, kolejnym podrywem. Potem jednak nabrał przekonania, że między nimi wydarzyło się coś, czego nie chciał zapomnieć. Ta dziewczyna go intrygowała, przyciągała. Umówiła się z nim jak z łaski, nie zapraszała na obiadek z rodzicami jak większość studentek, które poznał. Być może wiązało się to z jej młodym jeszcze wiekiem. Co ona teraz robi? Czy myśli o nim? Czy w ogóle czeka? — zastanawiał się. Nie mógł się doczekać, kiedy kara się skończy, żeby biec pod szkołę, ale wtedy właśnie kolega z psychiatrika dał mu cynk, że jest znakomita okazja, by załatwić wiadomą sprawę.

— Więc jesteś zdecydowany na sto procent odejść z woja? — spytał ścisłym głosem młody lekarz, gdy Bronka stanął przed nim w Kochanówce.

— Do tej pory może i nie byłem, ale teraz pomogli mi podjąć decyzję. Jak rekrut, dosłownie za bzdety kiblowałem w pace — poskarżył się.

— To jest najlepszy moment. Ordynator wyjechał, a z zastępcą mam dobre układy. Zostaniesz u nas na obserwacji. Mogło ci się pogorszyć po niesprawiedliwym ukaraniu.

— I pogorszyło. — Bronka roześmiał się szeroko. — Tylko boję się...

— Bój się, bój, im więcej, tym lepiej. Właśnie o lęki nam chodzi. — Kolega przekręcił klucz w drzwiach gabinetu i wyciągnął z biurka butelkę napoleona.

— Wiesz, czasami myślę, że jestem jak Napoleon, i zaczynam szykować

wyprawę na Zachód — powiedział Broniek, spoglądając pod światło na złocisty trunek nalany do źle umytej szklanki.

— Chciałeś powiedzieć na Wschód — poprawił go kolega.

— Nie. Jestem kolejnym już wcieleniem Napoleona Bonaparte, które wyciągnęło wnioski z porażek, i zamierzam, jak tylko nadarzy się okazja, spieszyć na Zachód. Wschodni kierunek to dla zdolnych i niezależnych ludzi same porażki. Zima syberyjska mnie przeraża.

— Śnią ci się białe, puste przestrzenie? I co jeszcze?

— Chłód jest tak paraliżujący, że mam siłę tylko nacisnąć spust...

— Nie kończ, bo muszę zapisać: „Pacjent ma skłonności suicydalne”.

Obserwacja psychiatryczna jest poważną metodą badania i musi trwać odpowiednio długo. Ta trwała kilka tygodni. Kiedy diagnoza była nareszcie gotowa, Broniek żartował, że w zasadzie powinien tylko zmienić pawilon i rozpocząć odwyk u alkoholików. Zaraz po opuszczeniu szpitala odmeldował się parę razy pod ogólniakiem Marii, ale jej nie spotkał. Być może właśnie wagarowała w Bibliotece Uniwersyteckiej. Broniek nie sterczał godzinami pod szkołą, wpadł bezczelnie podczas lekcji do wszystkich czwartych klas po kolei i w żadnej z nich nie zobaczył znajomej dziewczyny z ognistą burzą włosów. Miał dużo latania i załatwiania swoich spraw, więc na razie odpuścił. Chciał zaliczyć letnią sesję jeszcze na WAM i przeskoczyć już na szósty rok cywilnej, ale tak się nie dało. Programy obu uczelni nie były całkowicie kompatybilne. Pewne przedmioty miał do przodu, inne jeszcze mu zalegały. W sumie wyszło na to, że podczas tych wakacji powinien solidnie się pouczyć, by w następnym roku nadrobić zaległe ćwiczenia i egzaminy.

Z chwilą, gdy przestał być studentem WAM, znalazł się w Łodzi bez lokum i bez pieniędzy. Na Krychę po aferze z poplamionym krwią prześcieradłem, którego nie zdążył zaprać, nie mógł już liczyć. Zrzuciła go razem z jego jedynym wyjściowym garniturem i tym brudnym prześcieradłem ze schodów. Na chwilę przyjął go „na waleta” do swojego pokoju kolega z cywilnej, ale żeby żyć, trzeba było szybko zacząć zarabiać. Wynajmował się więc do nocnego rozładunku wagonów, a w dzień odpoczywał i szukał lepszego zajęcia. O Marii nadal myślał, ale już coraz rzadziej. Wykombinował, że pod szkołę pójdzie w dzień rozpoczęcia pisemnych matur i będzie czekał, aż ona wyjdzie.

Marii jednak nie było wśród opuszczających salę. „Może jest chora?” — pomyślał i natychmiast wspomniawszy pustą szufladkę, w której na próżno szukał prezerwatyw. Niepewnie podszedł do grupki roześmianych dziewcząt i zapytał o rudowłosą dziewczynę o imieniu Maria. Zdawał sobie sprawę, że brzmi to głupio, ale nie znał przecież jej nazwiska. Maturzystki przerwały na moment ożywione relacje ze swoich egzaminacyjnych emocji, zmierzyły przystojniaka, a jedna z nich powiedziała z dziwnym uśmiechem:

— Ryża Marysia zrezygnowała ze szkoły już jakiś czas temu.

— Tuż przed maturą?! — zdziwił się. — A co się stało? — Czuł, jak dopadają go złe przeczucia.

— Daj sobie spokój z tą wariatką — doradziła litościwie druga. — Ty wiesz, jaka z nią afera była? Anioł jej się podobno objawił. Milicja księży przesłuchiwała, studentów bili, żeby się przyznali, który tego anioła odegrał.

— Ona zawsze była kopnięta. Już w pierwszej klasie miała urojenia — włączyła się następna. — Pamiętacie, dziewczyny, jak opowiadała, że wyjeżdża do Afryki?

— Oj, pamiętam, pamiętam — potwierdziła pierwsza z dziewcząt i, niby to staniając się ze śmiechu, chwyciła nagle Bronka za ramię. — Nabijaliśmy się z niej, że marzy jej się... No wiesz? No, większy rozmiar tego... — Dziewczyna przyjęła bardzo kokieteryjną pozę. Bronek za to zrobił głupawą minę. Chciał uwolnić ramię, ale dzierlatka trzymała go mocno. — Znalżyliśmy kiedyś w jej teczce widokówkę z RPA, a na odwrocie było napisane: „Kochany Tato! Jesteśmy zdrowi. Tu jest bardzo gorąco...” i takie tam jeszcze. A podpisany był jakiś Adaś. Rozumiesz? Mały chłopiec wysyłał z Afryki kartki do swojego taty, a ona tworzyła w swojej głowie romanse. Już nie miała życia w szkole.

— A w ogóle była głupia — włączyła się znów druga. — Taka niby dama, profesorska córka, a żebyś widział, z jakim wieśniakiem przysłała na studniówkę. Urznął się i było śmiechu co niemiara, a ona właśnie wtedy chyba z tym „aniołem” odpłynęła.

— Tobie też coś pewnie nabajerowała? — Dziewczyna uwieszona u ramienia Bronka zaglądała przymilnie w jego szare i coraz bardziej zdumione oczy. Śmiała się jednak nieprzyjemnie i wydała mu się zbyt nachalna, więc uwolnił rękę i odsunął się od niej. „Oj, nie są to dobre koleżanki” — pomyślał.

Bronek był oszołomiony i chyba pierwszy raz w życiu na tyle zbity z tropu, że nie zapytał nawet o nazwisko ani adres Marii. Profesorska córka? Jakiś anioł? Przesłuchania księży? Milicja bijąca studentów? Co to się działo i dlaczego? Jeśli nawet te dziewczyny trochę przesadziły, to i tak jest tego aż nadto dużo, żeby dać sobie spokój. Maria naprawdę może być niezrównoważona psychicznie. To jej ekstatyczne zapamiętanie i żadnego lęku o konsekwencje. Nie знаła go wcale i poszła z nim tak od razu do łóżka — rozpamiętywał. Nagle to, co wcześniej uznał za zalety, teraz wydawało mu się podejrzanym.

Był podłamany. Taka śliczna dziewczyna i pewnie ma schizofrenię. Świeżo po pobycie w psychiatryku szybko postawił diagnozę. „Lepiej się z tego układu chyłkiem wycofać, póki nie jest jeszcze za późno” — myślał. Niczego jej nie obiecał, poza ewentualnym spotkaniem. To nie jego wina, że nie wyszło — tłumaczył sam sobie, żeby zagłuszyć ten słabutki wewnętrzny głosik, który nakłaniał go, by wrócił jednak do szkoły i spróbował zdobyć adres Marii.

W końcu jednak udało mu się zagłuszyć sumienie, bo wkolo był maj, kwitnące kasztany, a po ulicach spacerowało tyle pięknych dziewcząt. „Nie mam nastroju do ciężkich tematów. Lepiej na razie nie kręcić się w tej okolicy” — postanowił i porzuciwszy rozładunek wagonów oraz niedograne do końca sprawy na uczelni, wyjechał na wieś do ciotki. Przydał się podczas sianokosów, potem przy żniwach, a w końcu załapał się także na wykopki. Opalił się, wzmocnił mięśnie i odpoczął psychicznie. W październiku z zapalem znów rozpoczął kolejny rok studiów na Akademii Medycznej w Łodzi, tym razem cywilnej.

O Marii już nie myślał. Podrywał piękne polonistki, pozwalał się uwodzić koleżankom z medycyny, ale nic głębszego z żadną go nie łączyło. Dziewczyny pod koniec studiów urządzały istne polowania na mężów, więc bardzo się wystrzegał rodzinnych obiadków i zbyt częstych spotkań z tą samą kobietą. Trudno powiedzieć, dlaczego tak postępował. Może po uwolnieniu się z wojska bał się wpaść w inne więzy narzucające mu rygory i ograniczenia? W każdym razie bardzo ostrożnie korzystał ze swojego uroku osobistego i wiódł przyjemny żywot motyla.

Dużo czasu poświęcał też nauce i wyniki miał znakomite. Kończył staż i wiedział już, że może robić specjalizację i doktorat na ginekologii w klinice na Sterlinga pod patronatem profesora Mieczysława Wierzbickiego. Wszystko układało się pięknie. Udało mu się nawet załatwić pokój w hotelu asystenckim, więc nie musiał tułać się w Łodzi po stacjach. Jego promotor kilka lat temu miał pewne problemy zdrowotne, ale nadal był cenionym w środowisku fachowcem, a prywatnie bardzo sympatycznym, wesołym człowiekiem. Sam przed laty był niezłym podrywaczem. Ożenił się w późnym wieku z pielęgniarką, o której urodzie starzy pracownicy szpitala opowiadali istne legendy. Teraz z życzliwością patrzył na młodego, zdolnego stażystę, który zawrócił w głowie prawie wszystkim pracownikom szpitala, od salowej do poważnej pani neonatolog, ordynator oddziału noworodkowego.

ROZDZIAŁ 5

Wczesną wiosną 1981 roku w łódzkich przedszkolach panowała ospa wietrzna. Z tego powodu na początku marca mało dzieci przychodziło do przedszkola, w którym Maria od kilku miesięcy pracowała jako opiekunka maluchów. Starsza od niej kilka lat Jadwiga Soszka, wychowawczyni średniaków, odebrała dzwoniący w sekretariacie telefon. Po drugiej stronie kabła usłyszała zboląły głos profesorowej Lucyny Wierzbickiej, która chciała rozmawiać z córką. Ale zanim Maria doszła do telefonu, jej matka nie wytrzymała i zaczęła konwersację z Jadwigą.

— Ja już tego nie wytrzymam! — wyznała profesorowa na wstępie, a potem trajkotała jednym ciągiem, bez przecinków i nabierania tchu: — Jacuś od rana jest kapryśny a mnie dopadła migrena niech pani powie za czyje grzechy ja tak cierpię bo na pewno nie za swoje mąż niby lekarz profesor ale nie zapyta jak żona się czuje czy wnuczek zdrowy Maryjka też wychodzi do pracy i nie przyłoży dziecku ręki do czoła nie spojrzy w oczy każdy się śpieszy ma obowiązki tylko ja nie mam mnie można wszystko zostawić na głowie ja muszę sobie poradzić ze wszystkim co dzień zakupy sprzątanie gotowanie i dziecko nawet się nie skarzę bo co by to dało moja córka proszę pani nie zdaje sobie sprawy jak ciężko jest wychowywać małego chłopca który w dodatku nie ma ojca nie ma więc dyscypliny a kto ma z nim biegać grać w piłkę ja nie mogę nie mam siły ani czasu jak mówiłam wszystko na mojej głowie dlatego tak mnie boli i boli dzisiaj to od samego rana...

— Przepraszam panią. — Koleżanka Marii z trudem wpadła Lucynie w słowo. — Oddaję słuchawkę Marii — powiedziała i szybko uciekła do swoich obowiązków. Uwzględniwszy zmianę słuchającej, Lucyna mówiła dalej w podobny sposób:

— Bo właśnie mówiłam tej pani że musisz już od września zapisać Jacka do żłobka bo nie jestem jeszcze taka stara żeby mnie zamykać w domu jak w grobie chociaż jestem już dziś chyba bliska śmierci... — Maria usłyszała w tle głośny krzyk swojego dziecka. Okazało się, że babcia posadziła Jacusia na wysokim krześle i podczas rozmowy całkiem o nim zapomniała. Malec kręcił się, aż wreszcie spadł i rozciął sobie górną wargę. — Przychodź natychmiast bo ja się wykończę! — krzyknęła histerycznie Lucyna i rzuciła słuchawkę.

Jadwiga zgodziła się zostać ze swoją grupą i maluchami Marii, żeby ta mogła wrócić szybciej do domu. Maryjka zarzuciła więc na siebie lekki, haftowany, afgański kożuszek, na głowę wciągnęła kaptur, bo na dworze wiał przejmujący wiatr i zacinał deszcz ze śniegiem i prawie biegiem ruszyła w kierunku domu. Z ulicy Rewolucji 1905 Roku, przy której mieściło się przedszkole, do Buczka było niezbyt daleko. Po drodze wstąpiła jeszcze do apteki

po wodę utlenioną i coś na zabicie temperatury. Na rogu Buczka i Nowotki zderzyła się z jakimś dryblasem, który podczas gwałtownych podmuchów wiatru szedł tyłem. Wściekła podniosła na niego gniewne spojrzenie. Ona też niewiele widziała spod puszystego obszycia kaptura, lecz rysy twarzy wysokiego mężczyzny natychmiast wydały jej się znajome.

— Maria? Maria! To naprawdę ty?! — krzyknął młodzieniec, odwróciwszy się do niej.

— Bronek...? — wyszeptała niepewnie. Facet był w cywilnym ubraniu i miał włóczkową, czarną czapkę nasuniętą głęboko na czoło, więc nie miała stuprocentowej pewności.

— Gdzie ty się przede mną ukryłaś, dziewczyno?! — pokrzykiwał, a szare oczy śmiały mu się coraz bardziej. Tak, to był Bronek.

— To raczej ty zniknąłeś na trzy lata z okładem — powiedziała i miała zamiar iść dalej w swoją stronę.

— O nie, nie puszcę cię teraz tak łatwo! Musisz się ze wszystkiego wytłumaczyć. Chodźmy gdzieś spokojnie porozmawiać. Może do Teatralnej? — Bronek złapał ją mocno w pól i starał się pocałować.

— Śpieszę się do domu i teraz naprawdę nie mogę — powiedziała Maryjka, odsuwając twarz. — A co ty tu robisz i dlaczego chodzisz w cywilu?

— Byłem w domu mojego szefa, załatwiłem drobną sprawę i jestem do twojej dyspozycji. Chodź, pogadajmy, co u kogo. Mam ci tyle do opowiedzenia. Jestem już naprawdę wolnym człowiekiem, przeszedłem do cywila.

— Ty jesteś wolny, a ja mam obowiązki. Nie mogę dzisiaj, ale innym razem... Może...? — Dziewczyna z niecierpliwości przestępowała z nogi na nogę.

— Daj mi adres, telefon — domagał się Bronek. Maria wyciągnęła z torebki karteczkę i napisała numer telefonu do przedszkola oraz swoje nazwisko. Chłopak spojrzał i, uśmiechnąwszy się, powiedział: — Co za zbieg okoliczności, mój szef nazywa się tak samo.

— Wierzbička to dość popularne nazwisko w naszym kraju. Wierzby na Mazowszu zresztą też. — Maria wspięła się na palce i cmoknęła Bronka w policzek. On chciał natychmiast przyłgnąć do jej ust, lecz nie zdążył, gdyż szybko odwróciła głowę, naciągnęła głębiej kaptur i pobiegła ulicą w dół.

Kilka dni później zadzwonił. Umówiła się z nim do kina, a rodzicom nakłamała, że idzie z koleżanką. Matka była bardzo zadowolona, że córka ma nareszcie koleżankę. A Maria tak naprawdę szła na pierwszą w życiu prawdziwą randkę, bo przecież przypadkowego spotkania na studniówce i tej wspólnej nocy nie można tak było nazwać. Poszli z Bronkiem najpierw do kina Polonia. Podczas filmu on trzymał ją za rękę. Potem spacerowali po ulicach, gdyż wieczór był całkiem ciepły i prawie bezwietrzny. Bronek próbował zaprosić ją do siebie. Marzyła mu się przecież powtórka erotycznych przeżyć, ale Maria zdecydowanie

odmówiła. W ogóle wydawała się całkiem odmieniona. Miał wrażenie, że jest skrępowana.

Podczas następnego spotkania pili wino w restauracji Kaskada i atmosfera trochę się rozluźniła. Broniek w pewnym momencie odważył się więc zapytać o historię z przesłuchaniami księży i studentów, którą usłyszał od jej koleżanek.

— Czasem niewinne kłamstwo potrafi tak wszystko skomplikować — powiedziała Maria z westchnieniem. — Ty też masz swój udział w tej aferze. Próbowałam jakoś usprawiedliwić swoje wielogodzinne zniknięcie tamtej nocy i powiedziałam, że byłam w kościele. Potem wypadki potoczyły się już same. Milicja chyba skorzystała z pretekstu, żeby dowiedzieć się, co robią i mówią studenci podczas różnych kościelnych akcji. Tłumaczyłam, że nikt z nich nie jest sprawcą mojej ciąży, ale funkcjonariusze nie chcieli mi uwierzyć.

— Ja... kiej ciąży?! — Broniek zbladł.

— Mamy dziecko — powiedziała spokojnie Maryjka.

— Mamy dziecko? — Broniek powtórzył za nią jak echo. — Dziecko! — krzyknął ponownie, gdy sens komunikatu wreszcie do niego dotarł.

— Dziecko płci męskiej, rasy białej, waga urodzeniowa trzy osiemset, Apgar dziesięć, imię Jacek, nazwisko Wierzbicki — wyrecytowała i spytała ze złośliwym uśmiechem: — Jakich informacji jeszcze potrzebujesz?

— Chłopiec? Jacek? Jacuś? Ile ma lat? — Broniek wyglądał jak ktoś, komu cegła spadła na głowę.

— Policz sobie. W październiku skończy dwa lata. Nie chcę nic od ciebie, więc żadnych badań robić mu nie będę. Możesz mi wierzyć albo nie, to już twoja sprawa. Nie powinniśmy chyba się spotykać, bo wspomnienie tej idiotycznej nocy zawsze będzie powodowało moje zażenowanie — powiedziała oschle.

— Jak to idiotycznej? Więc nie było fantastycznie? Nie powinniśmy? Mam nie przyznawać się do syna? Nie widywać jego matki? Za kogo ty mnie uważasz? — Broniek się rozsierdził. — Chcę zobaczyć Jacusia i to choćby zaraz! A z tobą? Z tobą się ożenię! — wykrzykiwał na cały lokal, aż ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli się uśmiechać. — Wiedziałem to od razu, jak tylko cię zobaczyłem. Wyjdiesz za mnie? — Przyklęknął na jedno kolano i podał jej plastikowego żonkila wyciągniętego z małego flakonika stojącego na stoliku, którego dziewczyna natychmiast odłożyła na swoje miejsce.

— O tym porozmawiamy, jak poznamy się bliżej — odparła chłodno. Była dumna z dystansu, jaki udało jej się zachować. Ale serce tak naprawdę podskakiwało jej z radości. Nie spodziewała się takiego entuzjazmu ze strony faceta, który dowiedział się o konsekwencjach jednej upojnej nocy spędzonej z łatwą dzierlatką.

— Dzisiaj jest za późno na wizyty, ale jutro przyjdę do ciebie, tylko podaj mi wreszcie swój adres — gorączkował się Broniek. Kiedy Maria napisała na serwetce

ulicę, numer domu i mieszkania, jego twarz znów przybrała nieco zaskoczony, żeby nie powiedzieć głupawy, wyraz.

— Byłem tam niedawno. Tam mieszka mój szef, profesor Wierzbi... A mówiłaś, że... — bąkał niepewnie. — Czy ty ze mnie nie żartujesz?

— Nie. Profesor Wierzbicki to mój ojciec — potwierdziła Maria. — Czy to coś zmienia?

— Z mojej strony nic. Ale co profesor na to powie? — Zuchowatego zazwyczaj Bronka obleciał strach przed wizytą, na którą sam się wprosił.

— Więc mam się cię jutro spodziewać i przygotować Jacusia? Bo możemy równie dobrze zapomnieć o naszym przypadkowym spotkaniu i mój syn będzie nadal dzieckiem „anioła”.

— Nie mów takich rzeczy. Jestem nieślubnym dzieckiem jakiegoś sukinsyna, który nie zatroszczył się ani o mnie, ani o moją matkę, ale mój syn ma ojca i chce, żeby o tym wiedział. — Bronkowi ze wzruszenia drżał nieco głos.

Następnego dnia była niedziela. Broniek wyczyścił buty, założył białą koszulę i swój jedyny, znoszony już nieco garnitur. Udało mu się kupić pęk wiosennych kwiatków od ulicznej handlarki. Niestety, w sklepach nie było wówczas w wolnym obrocie takich rzeczy, jak cukierki czy czekoladki. Na szczęście w kiosku Ruchu wypatrzył jakąś lekko wypłowiałą książeczkę i tandetne plastikowe autko, więc wziął je z myślą o synku. Było mu wstyd, że po trzech latach zjawia się z takim badziewiem, ale nie chciał już odwlekać spotkania ani o jeden dzień dłużej.

Rodzina Marii przyjęła go z pewną rezerwą. Ojciec na szczęście powstrzymał matkę od robienia wyrzutów gościowi i przy stole bardzo pozytywnie wypowiadał się o medycznych zdolnościach przyszłego zięcia, czym dodał mu odwagi. Jacuś początkowo nie miał ochoty podejść do odnalezionego nagle taty i się z nim przywitać, ale w końcu oswoił się z Bronkiem, a nawet przywiązał mu sznurkiem nogę do krzesła. Staruszka babcia od początku uśmiechała się przyjaźnie do młodzieńca, a po jego wyraźnej deklaracji, że pragnie ożenić się z jej wnuczką, powiedziała:

— Piękna z nich para. Nie ma na co czekać. Niech się pobierają i rozmnażają.

— Babciu! — krzyknęła zaczerwieniona po końce płomiennych włosów Maryjka, która przy rodzinnym stole stała się bardzo skromna.

— Oj, dziecko, przecież widzę, jak on na ciebie spogląda. A ty się już nie rumień poniewczasie. Ja cię rozumiem, też bym okazji z takim ładnym chłopakiem nie przepuściła, gdybym była na twoim miejscu. He, he, he! — zarechotała starsza pani, sprawiając, że jej synowa poderwała się od stołu, syn poluzował krawat, a Broniek wlepił wzrok w pusty już talerz i mile połechtany uśmiechał się pod wąsem.

Babcia Hania uwielbiała wprawiać wszystkich, a zwłaszcza swoją synową, w zakłopotanie. Zawsze była osobą konkretną, więc od razu zadeklarowała wcale nie małą sumkę, w dodatku w dolarach, na prezent ślubny. Szybko ustalono, że ślub kościelny, Lucyna i Broniek zgodnie tylko taki brali pod uwagę, odbędzie się w najbliższym możliwym terminie. Broniek jako oficjalny narzeczony mógł już teraz bez przeszkód odwiedzać Marię i syna.

Ślub w kościele Świętej Teresy odbył się w czerwcu. Ciotka Bronka na ślub nie przyjechała. Z jednej strony nie chciała, żeby Bronuś czuł się zażenowany jej wyglądem, gwarową wymową i zachowaniem. Poza tym była też trochę zgorszona, że dziecko od trzech lat na świecie, a tu dopiero ślubowanie. Nie miała najlepszego zdania o przyszłej żonie siostrzeńca. Kiedy jednak dowiedziała się, że teść Bronia jest jego przełożonym i w dodatku ma tytuł profesora, złagodniała i obiecała modlić się za pomyślność wychowanka i jego rodziny. Młodzi, jadąc w podróż poślubną nad morze, nadrobili trochę drogi i zajechali do Jedlna. Pół wsi się zleciało, gdy wysiedli na podwórku ze swojego nowiutkiego, groszkowego wartburga, który dostali od rodziców w prezencie ślubnym. Młodzi wydali się pocziwej kobiecie tak piękni, szczęśliwi i bogaci, jakby byli bohaterami z filmu, a nie członkami jej własnej rodziny.

— Ty, Broniu, nawet już do tej swojej Ameryki nie musisz jechać, bo Ameryka przyszła do ciebie sama — powiedziała na osobności siostrzeńcowi, ocierając łzy wzruszenia. — Pan Bóg jest naprawdę miłosierny, że nawet bękarta mojej nieboszczki puszczałskiej siostry obdarował tak hojnie — zawodziła.

ROZDZIAŁ 6

Bronek nie porzucił jednak myśli o wyjeździe do Stanów lub innego bogatego kraju. W Polsce warunki życia stawały się coraz cięższe. Solidarność pokazywała swoją siłę nie tylko w dużych zakładach pracy, ale i w mniejszych jednostkach — w szpitalach, przychodniach, w szkołach, na uczelniach i w przeróżnych urzędach. W ludziach budziła się nadzieja, że będą jakieś reformy, że nawet w tym systemie da się rządzić i żyć inaczej. Także w klinice, gdzie pracował ojciec Marii i jej mąż, młodzi lekarze i pielęgniarki domagali się wyższych płac, lepszego zarządzania, ale i sprawiedliwego dostępu do awansów.

Profesor Mieczysław Wierzbicki z nadania PZPR był ordynatorem i władał oddziałem ginekologii w klinice nieprzerwanie od przeszło dwudziestu lat. Był miłym człowiekiem i niegdyś dobrym fachowcem, ale w związku z niesprawnością spowodowaną udarem i podeszłym już wiekiem dla większości było jasne, że na tak odpowiedzialne stanowisko się nie nadaje. Długo jednak nikt nie śmiał domagać się zmiany i rozpisania konkursu. Wierzbicki zaczął w końcu zachowywać się jak udzielny władca. Swego świeżo upieczonego zięcia, młokosa jeszcze bez specjalizacji, szykował już na następcę, czym rozsierdził członków Solidarności. Personel się zbuntował i zażądał konkursu na stanowisko ordynatora. Podstawowa Organizacja Partyjna w tym momencie nie chciała zadrażnień z NSZZ Solidarność, więc z dnia na dzień odesłano profesora na emeryturę, a jego nepota zaraz potem pozbyto się z oddziału. Profesor bardzo mocno przeżył ten afront. Pienił się, odwoływał do Komitetu Miejskiego i Wojewódzkiego PZPR bez skutku. Miał zamiar jechać do Warszawy i prosić o interwencję kogoś z KC, lecz nie zdążył. Dwa rozległe udary, które nastąpiły dzień po dniu, były przyczyną jego śmierci.

Zapłakana Maryjka stała jak skamieniała nad grobem ojca. Mały Jacuś w jednej rączce kurczowo trzymał bukiet z białych różyczek, a drugą gniótł spódnice mamy. Bronek podtrzymywał babcię Hanię, która nawet nie płakała, ale jej mizerna twarz wyrażała wielki ból i tragiczną rezygnację. Staruszka nie mogła uwierzyć, że ona, od tylu lat ciągle chora i chora, wciąż żyje, a jej jedyny syn, taki zażywny, rumiany i w dodatku lekarz, już nie. Zdziwiona patrzyła na księdza, którego wbrew jej woli sprowadziła synowa, jak wymachiwał kropidłem i mówił nieprawdziwe rzeczy o nawróceniu profesora na wiarę katolicką. „Obrzezany Żyd, któremu komunizm w głowie namieszał, mógł się nawrócić tylko na judaizm” — myślała, ale nie mogła przecież wyrwać ciała swego jedynaka i uciekać z nim spod bryzgów święconej wody i znaków krzyża, które co chwilę czynili licznie zgromadzeni uczestnicy pogrzebu.

Tylko wdowa cała w czerni i w eleganckim kapeluszu z woalką wykazywała

się energią za wszystkich. Tyle rzeczy musiała sama załatwić, tyle trudności pokonać samodzielnie, bo na rozlazłą Maryjkę jak zawsze nie mogła liczyć, a zięcia nie we wszystkie rodzinne sekrety chciała wtajemniczać. Naużerała się w tym trudnym momencie także z teściową, która upierała się, żeby syna pochować na żydowskim cmentarzu. Jeszcze by tego brakowało, żeby nagle wobec tylu ważnych osób z uczelni i szpitala przyznać się do tego, czemu się zawzięcie zaprzeczało. A babka mogłaby wykazać więcej wdzięczności dla Kościoła, który, nie pytając o nic, ciało jej syna, zatwardziałego ateisty, miłosiernie przygarnął po śmierci. Toż katolicka rodzina jej drugiego męża przechowywała ją po ucieczce z getta aż do wejścia Rosjan, narażając swoje życie. Ale Żyd to Żyd, więc na stare lata do swoich zatęskniła — w Lucynie wrzała złość na teściową.

Właściwie mogła się spodziewać, że stara coś takiego wymyśli, bo już od jakiegoś czasu regularnie szabas u siebie odprawiała i Mietka wciąż zapraszała. Na szczęście, jak to mówią: „za pieniądze ksiądz się modli”, i udało się załatwić księdza z odległej parafii, żeby pochówek był jak należy. Młodzi to nie rozumieją takich rzeczy, ale przecież ona chce kiedyś przy własnym mężu profesorze godnie w grobie leżeć. I co, miałyby na wieczność w nieświęconej ziemi z komunistami spoczywać, jak już komunizm się kruszy? Albo jeszcze gorzej, z Żydami dać się pochować? — myślała gniewnie.

Po śmierci profesora sytuacja finansowa jego rodziny trochę się skomplikowała. Bronek miał trudności z szybkim znalezieniem miejsca na ginekologii w Łodzi. Planował nawet z żoną i synem wyjechać na prowincję, ale Maria nie chciała zostawić w Łodzi matki i coraz słabszej babci, tym bardziej, że po pogrzebie o jakiegokolwiek współpracy obu kobiet nie było mowy.

Lucyna nie zdążyła wypracować własnej emerytury, zresztą była jeszcze za młoda na emeryturę. Wdowia renta była skromna, a pani profesorowa rozrzutna. Póki jej mąż miał prywatną praktykę, zarabiał dobrze, ale po udarze zamknął gabinet, więc już od pewnego czasu przejadali oszczędności. Potem przyszły naprawdę duże wydatki związane z zamążpójściem Maryjki i zakupem dla niej auta, zatem w zasadzie „skarpeta” była już pustawa. Kiedy Bronkowi trafiła się propozycja etatu w Szpitalu im. Barlickiego i robienia specjalizacji z anestezjologii, długo się nie zastanawiał.

— Jako ginekolog też kokosów bym nie zrobił — tłumaczył żonie swoją dość zaskakującą decyzję. — Nigdy nie miałem zamiaru skrobać. No, chyba że z dobrze udokumentowanych powodów zdrowotnych — dodał zaraz, gdyż nigdy w niczym nie był tak do końca pryncypialny. — Poza tym anestezjologia będzie lepsza, gdybyśmy mieli kiedyś prysnąć za granicę. Łatwiej dostać pracę, bo mało jest chętnych na specjalizację w tej dziedzinie.

Tymczasem plany wyjazdu z Polski stały się jeszcze bardziej nierealne, odkąd ogłoszono stan wojenny. Nie tylko nie jeździło się już na Zachód, ale nawet

na odwiedzinę chorej ciotki w szpitalu w Radomsku Broniek potrzebował przepustki. Ale im gorsza jakość życia była w kraju, im bardziej szara rzeczywistość, tym piękniejsze i barwniejsze były marzenia młodych ludzi. Broniek po wielu nieprzespanych dyżurowych nocach widywał w snach siebie spacerującego między drapaczami chmur na Manhattanie. Maryjka zmęczona koniecznością wystawiania po pracy w ogromnych kolejkach pod sklepami po każdą niemalże rzecz i rozdrażniona wiecznym utyskiwaniem oraz kłótnością matki śniła nawet na jawie o pięknej krainie na końcu afrykańskiego kontynentu, gdzie banany i pomarańcze rosną na drzewach. Wystarczy wyciągnąć po nie rękę, zerwać i podać dziecku.

Minęły miesiące solidarnościowych uniesień i stan wojenny, a Guziałowie wciąż mieszkali w brudnej Łodzi, w kamienicy przy Buczka, a ich sąsiadem niezmiennie był doktor Karol Maj, który zapomniał już chyba o dziecinnej propozycji małżeństwa złożonej mu swego czasu przez zdesperowaną Maryjkę. Znów stał się bardziej swobodny i sympatyczny w kontaktach z nią. Chętnie przystawał, żeby pogadać w bramie lub na ulicy. A szczególnie serdeczny stał się, gdy w 1984 roku Maria urodziła śliczną, słodką córeczkę. Często pomagał jej wносить po schodach wózek i zakupy. Przedtem zawsze był zaabsorbowany i zapracowany, a od pewnego czasu nie śpieszył się tak bardzo. Ciekawie zaglądał do wózka, podziwiał małą, jak szybko rośnie i pięknieje. Kiedy Małgosia skończyła dwa lata i dobrze już biegła, doktor Maj czasem nawet załapywał się z nią i z Marią na spacer po parku. Młoda mamusia mogła sobie wówczas coś spokojnie poczytać, bo starszy pan z poświęceniem zajmował się dzieckiem, nosił na barana i galopował jak koń po trawnikach lub po prostu prowadził dziecko za rączkę. Spacerujące z wnuczkami babcie posyłały mu powłóczyście spojrzenia i uśmiechały się filuternie do przystojnego, zadbanego „dziadka”, ale on nie nawiązywał z nimi kontaktów, a wręcz się ich wystrzegał.

Ciekawe, że mała wcale za nim nie przepadała. Chowiała buzię przed natarczywymi pocałunkami i wyrywała się z jego objęć, by swobodnie pobiegać lub pobawić się z innymi dziećmi w piaskownicy. Zbyt częsta obecność sąsiada u boku Marii drażniła także jej męża. Nie mógł jednak sam zbyt wiele czasu poświęcić żonie i dzieciom, gdyż bardzo dużo pracował. Brał w szpitalu wiele dyżurów i dodatkowo przyjął etat w przychodni, a ponadto uczył się do specjalizacji. Maria chętnie korzystała zatem z towarzystwa sąsiada, którym była zafascynowana już od dzieciństwa. Często w owych spacerach towarzyszył im również Jacek, ale pan doktor chłopca prawie nie zauważał. Jego uwagę przykuwała głównie mała, złotowłosa dziewczuszka.

Maria zawsze wypytywała Karola, co słyhać u jego syna Adama. Dowiedziała się, że jej dawny przyjaciel też skończył medycynę, a aktualnie mieszka i pracuje w Johannesburgu. Adam ponoć niejednokrotnie zapraszał ojca do

siebie.

— Wybierałem się go odwiedzić, zwłaszcza że nie mieszka już z matką — mówił doktor. — Ale mam tyle zobowiązań wobec moich małych pacjentów, że trudno mi tak przerwać moje eksperymentalne leczenie i jechać, bo wiem, że nikt nie jest w stanie mnie zastąpić. Stosuję metody nie do końca jeszcze uznane i opisane, ale niezwykle skuteczne — chwalił się. — Odwlekałem wyprawę, a teraz to już pewnie nie pojedę, bo czuję się stary i zmęczony — kokietował, ale żadnych oznak jego zmęczenia nie było widać, gdy miał możliwość pobawić się z Małgosią. Biegał wtedy szybciej od Marii, a jego ramiona z ochotą dźwigały słodki ciężar.

Któregoś dnia, kiedy rozmowa zesłała na luksusowy styl życia, jakie wiedzie Adam w Afryce, Maryjka powiedziała, że gdyby mogła dostać od Adama zaproszenie, bardzo chętnie, choćby ze względu na wspomnienie niezwykle zabaw, jakie organizował jej pan Karol w swoim mieszkaniu, pojechałaby do RPA. Doktor Maj udał, że tego nie słyszy, i poderwawszy się z ławki, pobiegł do kucającej za drzewkiem Małgosi.

Karol Maj był zdruzgotany tym, że mimo usilnych starań wciąż nie ma dobrego kontaktu z Małgosią, takiego choćby jak miał z jej matką. Poza tym tak się układały okoliczności, że dziewczynka nigdy nie zostawała z nim sama. Temperamentem także bardzo różniła się od matki. Była dużo szybsza, energiczniejsza i pewniejsza siebie niż Maryjka w jej wieku. Nie miała żadnych zaburzeń ani problemów psychicznych, żeby mógł zasugerować jej przebadanie. Marzył o takim całkowitym poddaniu się jego woli i sugestiom, jakie potrafił narzucić Maryjce, która swego czasu była wręcz fantastycznym medium. Wspominając tamte chwile, doktor Maj wzdychał i jak pajak snuł sieć, w którą mógłby pochwyć prześliczną dziewczuskę. Zaczął zabiegać o względy Jacusia. Kupował mu klocki w Peweksie i przynosił zajmujące książki, rozmawiał z nim na różne tematy, zdobywając zaufanie oraz sympatię chłopca z myślą o tym, by w przyszłości przyprowadził on swoją siostrzyczkę do niego.

Plan Maja był chytry, tylko jakoś nie bardzo chciał się zrealizować do końca. Owszem Jacek był bardzo wdzięczny za książki, a jeszcze bardziej za lego, z którego budował istne cuda, ale nie opiekował się Małgosią samodzielnie i nie wypuszczano jej razem z nim na podwórko. A odkąd poszedł do szkoły, był właściwie stale zajęty. Sam pozapisywał się na różne kółka zainteresowań, a ponadto czytał bardzo dużo książek. Żywiłowa Małgosia chodziła już do przedszkola, a po południu babcia Lucyna prowadziła ją na balet, zaś w zimie jeszcze na łyżwy. Dziewczynka nie buntowała się przeciwko rodzinie jak jej matka i nie chowała po kątach. Była więc bardzo trudnym celem dla sąsiada.

Zbliżały się Święta Wielkanocne 1989 roku. Dwaj sąsiedzi, Karol Maj i Bronek Guział, spotkali się na korytarzu przy skrzynkach pocztowych. Bronek ze swojej wyciągnął cały plik kartek z życzeniami, a doktor Maj tylko jedną kopertę

z nadrukiem poczty lotniczej. Broniek rzucił okiem i zorientował się, że to pewnie list z RPA.

— Kupiłem ostatnio Jackowi klaser i zamówiłem na poczcie nowe serie znaczków. Chłopak podpałił się do zbierania — pochwalił się Broniek. — Czy mógłbym mieć w jego imieniu prośbę o te piękne znaczki? — zapytał, wskazując na list, który sąsiad trzymał w ręku.

— Ależ oczywiście. Dam mu zaraz całą kopertę, niech sobie sam umiejętnie odklei — odparł Karol. — To taki wspaniały, mądry dzieciak. Ma tyle różnorodnych zainteresowań. Można panu naprawdę pogratulować syna. — Uśmiechnął się z wyraźnym przymusem, bo uśmiech w ogóle rzadko gościł na jego ustach. Drżącymi nieco rękami rozerwał list i podał kopertę sąsiadowi, którego tak naprawdę szczerze nie znosił za jego młodość, urodę i witalność, ale przede wszystkim za to, że Małgosia go uwielbiała.

To drobne i z pozoru nic nieznaczące wydarzenie okazało się bardzo ważne. Jacuś bardzo się ucieszył ze znaczków z wizerunkiem nosorożca i pobiegł do mamy, żeby pomogła mu na parze je odkleić. Maria wstawiła czajnik na gaz i zanim zagotowała się woda, spisała z koperty adres nadawcy. Zrobiła to na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że pan Karol nie ma nigdzie zapisanego adresu syna. Wiedziała, że samotny psychiatra bywa bardzo często roztargniony. Dopiero w nocy, przed zaśnięciem zaczęła z rozczeniem wspominać spędzone z Adamem chwile i ich wszystkie dziecinne zabawy. Wówczas pomyślała sobie, że mogłaby zwrócić się do niego z prośbą o zaproszenie. Następnego dnia napisała do Adasia długi i serdeczny list, w którym przedstawiła swoją sytuację rodzinną, i wysłała go do RPA.

Odpowiedź nadeszła w ciągu dwóch tygodni. Adam wręcz entuzjastycznie podszedł do pomysłu i zaproponował następujące rozwiązanie. On wyśle na razie zaproszenie dla męża Marii, któremu w czasie potrzebnym na znalezienie pracy zapewni lokum oraz utrzymanie. Pisał też, że nie przewiduje, aby Broniek jako lekarz miał trudności z zatrudnieniem w kraju, gdzie mnóstwo szpitali z braku lekarzy prowadzonych jest przez pielęgniarki. Kiedy Maria pokazała list mężowi, ten nie posiadał się wprost z radości. Najchętniej spakowałby manatki tego samego dnia i już leciał do kraju, którego wcześniej w ogóle nie brał pod uwagę w swoich emigracyjnych marzeniach. Trzeba było jednak trochę poczekać na załatwienie wszelkich formalności.

Wyjazdem Bronka żyła nie tylko cała najbliższa rodzina, lecz także sąsiad. Karol Maj nie miał pretensji do Marii, że sama wysłała list do Adama. Przeciwnie, okazał się bardzo zadowolony, że to w pewnym stopniu za jego sprawą Broniek wyjeżdża. Służył mu dobrymi radami i starał się być pomocny. Zaofiarował się nawet zawieźć sąsiada do Warszawy na lotnisko. Tulił do siebie ryczącą Małgosię, gdy jej ojciec po odprawie, pomachawszy rodzinie, zginął jej z oczu za szklanymi

drzwiami. A potem jeszcze z rozpromienionym obliczem, stojąc na tarasie widokowym, trzymał małą na ręku i pokazywał jej startujący samolot.

Małgosia była zbyt zrozpaczona, by zwracać uwagę, że „wujek” ściska ją za mocno, a ręce wędrują mu pod jej sukieneczkę. Nikt na to nie zwracał uwagi, więc dzień wyjazdu Bronka był również dniem mocnych przeżyć dla doktora Maja. Jakież piękne sceny śniły mu się tej nocy. Musiał teraz tylko popracować nad tym, by Bronek został już na zawsze w RPA, a Maria z dziećmi nigdy nie wyjechała z Polski.

ROZDZIAŁ 7

Bronek już od ośmiu miesięcy siedział w Afryce i wciąż był bez pracy. Okazało się, że Adam jako obywatel RPA nie był świadom tego, iż rząd jego kraju, chcąc ograniczyć napływ czarnej ludności z innych rejonów Afryki, zawiesił na jakiś czas wydawanie pozwoleń na zatrudnianie obcokrajowców. Doktor Guział właśnie trafił na taki okres. Chociaż wiele szpitali, zwłaszcza tych położonych w tak zwanych bantustanach, bardzo potrzebowało lekarzy, to aplikujący o posady imigranci, na ogół z krajów bloku sowieckiego, odchodzili z kwitkiem. Niemożliwe było zatrudnienie bez pozwolenia na pracę, a niezatrudnionym nie wydawano z kolei zgody na pobyt stały w RPA, która to zgoda uprawniałaby do zatrudnienia.

Bronek kręcił się w tym zakłętym kole administracyjnych ograniczeń, żyjąc na garnuszku Adama, z którym bardzo szybko się zaprzyjaźnił. Adam na szczęście uzyskał dla niego dwukrotnie przedłużenie wizy turystycznej i uspokajał, że na pewno coś wkrótce musi się zmienić w polityce zatrudniania lekarzy, gdyż ANC, Afrykański Kongres Narodowy, domaga się lepszej obsady szpitali dla czarnych. Mimo że babcia Hania przed wyjazdem dała mężowi wnuczki trochę dolarów, jego fundusze całkiem się już wyczerpały. Bronek czuł się więc niekomfortowo, nie mogąc kupić sobie nawet najbardziej osobistych rzeczy. Bywał też mocno zażenowany, uczestnicząc w burzliwych scenach z życia Adama i jego dziewczyny, która po każdej większej awanturze opuszczała dom ukochanego, by za jakiś czas wrócić i godzić się z nim jeszcze głośniejsze.

Adaś mimo niezbyt pociągającej aparycji nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. Dzięki swoim zdolnościom i chęci do nauki wcześniej został konsultantem w dziedzinie chirurgii, a zatem bardzo dobrze już zarabiał. Był naprawdę znakomitą partią. Nie miał jednak zamiaru, przynajmniej na razie, ustabilizować się. Prowadził bardzo ożywione życie towarzyskie, hulając, ile się da, z ludźmi podobnie zapatrującymi się na świat. Jego przyjaciółka, Marzenka, przyjechała do RPA via Wiedeń i miała skomplikowaną przeszłość matrymonialną. W Austrii wstąpiła w fikcyjny związek małżeński, żeby dostać się do RPA, która w przyznawaniu wiz preferowała rodziny. W jakiś czas po przyjeździe do Afryki kobieta straciła kontakt ze swoim „mężem” i nie miała pojęcia, czy opuścił ziemski padół, czy tylko RPA.

Według Bronka złym duchem Adama był jego kumpel i rówieśnik, również emigrant z Polski, Sławomir Grynberg, geodeta z zawodu, którego nazwano Karuzem. On sam na tyle zaakceptował to przezwisko, że nawet tak się przedstawiał. Być może ze względu na podejrzane interesy, jakie robił, i barwne życie, które prowadził, pasowało mu nawet pozostawać incognito wobec wielu

ludzi. Brzmiący interesująco przydomek otrzymał wcale nie ze względu na zdolności wokalne, lecz pokraczną fizjonomię, czyli podobieństwo do karła. Mierzył bowiem nie więcej niż metr sześćdziesiąt. Miał dużą, jajowatą głowę, którą powiększała jeszcze ogromna strzecha czarnych, kręconych włosów, sięgających mu prawie do ramion. Bary miał szerokie i tors wręcz atletyczny, ale nogi jakby pożyczone od kogoś innego — krótkie, chude i krzywe.

Karuzo zajmująco potrafił opowiadać o swoich licznych przygodach związanych z pracą mierniczego wykonywaną czasami także w niebezpiecznych rejonach RPA. Być może właśnie dla zabicia stresu namiętnie palił marihuanę, w którą chętnie zaopatrywał każdą imprezkę zorganizowaną przez Adama. Marzenka z wzajemnością nienawidziła tego faceta. Karuzo uważał ją za wyrachowaną dziwkę, której zależy wyłącznie na kasie jego przyjaciela. Wykorzystywał więc każdą okazję, by ją zwalczać. Gdy tylko Marzena pokłóciła się z Adamem, Karuzo podstawiał kumplowi natychmiast inną dziewczynę.

Słowem, bogobojny Bronek, który wprawdzie przed ożenkiem miał to i owo na sumieniu, ale przy Marii nigdy nawet nie pomyślał o innej kobiecie, był mocno zgorszony i zniesmaczony balangami i następującymi po nich orgiami oraz awanturami w domu Adama. Miał też problem z czarną służącą swego gospodarza, która chodziła za nim krok w krok i przyglądała mu się z nachalną, krępującą go ciekawością. Przy Adamie i Marzence czarna Nancy bywała bardziej powściągliwa, chociaż i oni zauważyli, że dziewczyna cielęcym wzrokiem spogląda na blond przystojniaka z Polski, i nawet trochę z niego pokpiwali.

Bronek był więc bardzo szczęśliwy, gdy dowiedział się, że w *homelandzie* Lebowa jest szpital, w którym pochodzący z Polski dyrektor, zwany tu superintendentem, chętnie przyjmuje do pracy swoich rodaków. Ów superintendent miał tak duże chody u czarnych urzędników, że potrafił swoim pracownikom załatwić także pozwolenie na pracę. Bronek opuszczał więc gościnny dom Adasia z pewną ulgą. Z radością udał się do Transwalu Wschodniego, uznawanego za najpiękniejszy region RPA, a także jeden z piękniejszych na świecie. Teraz mógł już myśleć o sprowadzeniu rodziny, za którą bardzo tęsknił. Dzwonił i pisał do Marii, wysyłał jej zdjęcia domu, który przydzielił mu superintendent. Zafascynowany opowiadał przez telefon o specyficznych warunkach życia i pracy wśród czarnych.

Maria i dzieciaki także nie mogli się doczekać przesyłki z zaproszeniem i wizami, które miały przyjść wkrótce pocztą. Mijały długie tygodnie, które w końcu przechodziły w miesiące, a przesyłki wciąż nie było. Bronek nie chciał wierzyć, że zginęła gdzieś po drodze. Maria była zrozpaczona. Załatwianie duplikatu zaproszenia i wiz znów trwało długo, bo afrykańska administracja działa powoli i rozważnie. Awizowana telefonicznie druga przesyłka dokumentów także zginęła. Maria wszczęła śledztwo na poczcie i ku swemu przerażeniu dowiedziała

się, że list odebrał jej nieżyjący od wielu lat ojciec. Zapytała więc pana Karola, czy przypadkiem nie zdarzyło się tak, że pokwitował, a potem zapomniał.

— Za kogo ty mnie masz?! — krzyczał oburzony. — Dlaczego miałbym się posługiwać nie swoim nazwiskiem?

Zwolnienie z pracy nowego listonosza nie dało Marii żadnej satysfakcji. Była zrozpaczona, bo wciąż nie mogła dołączyć do męża. Broniek bardzo się denerwował i nie chciał uwierzyć, że w Polsce nadal giną listy z zagranicy.

— Jeszcze do niedawna mogłabyś mi wmawiać, że to bezpieka „czuwa”, ale teraz? Każdy może wyjechać z Polski, dokąd go oczy poniosą, więc coś mi tu nie gra — mówił podenerwowany podczas jednej z rozmów telefonicznych. — Jeśli odeszła ci ochota na emigrację albo obleciał cię strach, to powiedz mi szczerze, żebym nie robił z siebie idioty w Home Office, gdzie już patrzą na mnie podejrzenie.

— A gdybym się rozmyśliła, to byś wrócił czy został w Afryce? — spytała Maria tylko tak, dla kokieterii. Nie chciała przecież przez to powiedzieć, że choć trochę się waha. Chciała tylko usłyszeć, że on bez niej i dzieci nie wyobraża sobie życia. Jej niefortunne pytanie zasiało jednak w Bronku ziarno wątpliwości i mocno go rozsierdziło.

— Słuchaj, to ty chciałaś jechać do Afryki i ty mnie tu wysłałaś — odparł gniewnie. — Nie myśl sobie, że ja tu żyję jak w raj, a forsa mi rośnie na palmach. Zasuwam w murzyńskim szpitalu jak bury osioł, a nie jest to łatwa praca. Znalazłem się w całkiem nowym otoczeniu, posługuję się obcym językiem i muszę rozmawiać z pacjentami za pośrednictwem tłumacza, bo czarni z okolicznych wiosek nie znają angielskiego. Muszę umieć rozpoznać i leczyć choroby, z którymi nigdy w życiu nie miałem do czynienia. Obsada lekarska szpitala jest niewystarczająca, więc dyżurujemy do upadłego. Jeśli masz zatem inny pomysł na swoje życie lub po prostu kogoś na oku, to powiedz mi to otwarcie.

Maria nie zdążyła nawet wytłumaczyć się ze swego pytania, bo Broniek odłożył słuchawkę. Jakiś czas nie dzwonił, a listy od niego były bardziej oschłe i przychodziły rzadziej. Wreszcie któregoś dnia zadzwonił z wiadomością, że wysłała do niej posłańca z listem, w którym są zaproszenia. Jakiś polski lekarz, którego Adam przedstawił Bronkowi po mszy w polskim kościele w Norwood, obiecał zawieźć list bezpośrednio do Polski i oddać do rąk własnych adresatki. Maria zatem znów czekała z niecierpliwością, ale nikt taki w ciągu dwóch tygodni się nie pojawił. Telefonującemu do niej codziennie mężowi wciąż odpowiadała, że ani posłańca, ani dokumentów nie było.

Po tygodniu Broniek zaniechał telefonów, gdyż był przekonany, że żona robi go zwyczajnie w konia. Miał zaproszenie na balangę do Adama i postanowił z niego skorzystać. Szykowała się huczna impreza, bo Adaś wyprawiał urodziny Marzenki połączone ze świętowaniem jej kolejnego powrotu do niego po

trwającym zresztą niezbyt długo rozstaniu. Tak więc Broniek, rozgoryczony i pełen żalu do żony, wyruszył w piątkowy wieczór w kierunku Johannesburga. Miał przed sobą cały wolny weekend, co mu się dawno nie zdarzyło. I to go cieszyło. Jednak myśl, że być może wkrótce będzie całkiem wolny, czyli rozwiedziony, bo żona zachowuje się dość podejrzanie, spowodowała chandrę i przygnębienie.

Kiedy dotarł do Johannesburga, Adam i Marzena dolali jeszcze oliwy do ognia, zapewniając, że ich znajomy jest poważnym człowiekiem, więc na pewno wywiązał się ze swego zadania. Broniek zatem nie miał już żadnych złudzeń co do intencji Marii. Wkrótce wszyscy goście wiedzieli, że przystojny lekarz z Polski ma problem z żoną, roztkliwiali się nad nim i chętnie napełniali mu kieliszek. Ponieważ większość towarzystwa, choć młoda wiekiem, miała już za sobą szereg nieudanych związków, każdy chciał pomóc, poradzić, służąc jednocześnie własnymi doświadczeniami i przemyśleniami. Robili mu wodę z mózgu, pojąc swoimi mądrościami i ogłupiającymi drinkami, a w końcu dając skręta zrobionego z towaru przyniesionego przez Karuza.

Broniek bronił się przed tymi dowodami przyjaźni, ale tylko do czasu. Kiedy alkohol zrobił swoje, sięgnął i po marihuanę. Ścisłej mówiąc, skręta dostał od Marzenki prosto do ust. Marzenka także pałała chęcią pocieszenia strapionego i pchała mu się na kolana. Ale nawet tak mocno zamroczony doktor Guział wiedział, że musi się salwować ucieczką, żeby nie zostać posądzonym przez Adama o czarną niewdzięczność. Sierpniowa noc była zimna. Gdy Broniek wyszedł do ogrodu i stanął nad basenem, mocno kręciło mu się w głowie i strasznie ciążyły mu powieki. Tydzień w pracy miał koszmary, z pięciu dni roboczych aż cztery wraz z nocami spędził na dyżurze. Kawał piątkowej nocy zarwał na podróż do Johannesburga, a drugą część zabrały mu rozmyślenia nad tym, co robić, jeśli rodzina do niego jednak nie dołączy. Teraz chciałby zasnąć gdziekolwiek, ale bał się walnąć po prostu w pokoju gościnnym, żeby Marzenka, która już wyraźnie straciła kontrolę nad swoim libido, nie weszła mu do łóżka.

„Trzeba choć trochę wytrzeźwieć” — pomyślał i szybko ściągnął koszulę oraz spodnie. Wskoczył do wody i poczuł, jak przyjemny chłód ogarnia jego ciało. Przepłynął parę razy niewielki basenik, zanurkował i wtedy znów poczuł się gorzej. W ostatniej chwili wyskoczył z wody, by pochyliwszy się nad jakimś płożącym jałowcem, „przyozdobić” go klasycznym pawiem. Oplukał potem twarz wodą z basenu i za chwilę znów leżał pod następnym krzakiem męczony torsjami. Oddał już naprawdę wszystko, co spożył na wykwintnej uczcie przygotowanej przez Marzenkę, ale żołądek wciąż zachowywał się tak, jakby chciał się wynicować. Osłabły, mokry i prawie goły leżał jakiś czas, aż zasnął.

Kiedy Broniek zniknął z towarzystwa, było ono na tyle pijane i odurzone marihuaną, że nikt nawet nie zwrócił uwagi, że intensywnie pocieszanego faceta nie ma z nimi w salonie. Uczestnicy imprezy zajęli się własnymi problemami

i potrzebami. Marzenka szczęśliwym zrzędzeniem losu w kulminacyjnym momencie trapiącej ją poalkoholowej chuci trafiła w ręce Adasia, który jak trofeum zaniósł ją do własnej sypialni i godził się z nią do białego rana, a nawet trochę dłużej.

Było już widno, ale nadal niezbyt ciepło, gdy doktor Guział otworzył powoli opuchnięte powieki. Był całkiem nagi, zziębnięty, zakatarzony i znajdował się w dość dziwnym miejscu. Zupełnie nie pamiętał, w jaki sposób zakończył sobotnią balangę. Leżał teraz na wąskim, metalowym łóżku pod czystą, choć zmiętą pościelą. Znajdujące się nad łóżkiem okno przysłaniała brązowa zasłonka. W pokoiku oprócz łóżka stała nocna szafka z małym telewizorkiem, a nieco dalej niewielki stolik z dwoma krzesłami. Nieco dalej zauważył otwartą, wąską szafę wnękową. Na podłodze pokrytej brzydką, tanią terakotą leżał zwinięty duży ręcznik kąpielowy i jego bokserki. Pokoju o tak ascetycznym wyposażeniu w domu Adama nie było. „Gdzie ja, u diabła, jestem?” — myślał intensywnie.

Do jego nozdrzy dochodził cały czas dość specyficzny zapach. Znał go dobrze ze szpitala. Tu jednak mieszał się on z tandetnym zapachem jakiejś wody toaletowej. „Boże, jestem w domku Nancy!” — pomyślał przerażony. Poczul mocne uderzenie gorąca i łopot serca. Czy ktoś oprócz Nancy wie, gdzie spędził resztę sobotniej nocy? Co się wydarzyło? Czy to możliwe, żeby ona go tu przyniosła? A może jednak sam dowlókł się tutaj? Czy był w stanie zrobić coś więcej niż spać? To pytanie wprawiło go w taką panikę, że znów poczul mdłości.

Podniósł się z trudem z pościeli, wciągnął wilgotne jeszcze majtki i rozejrzał się za resztą ubrania, lecz nigdzie go nie znalazł. Ostrożnie wyjrzał zza zasłonki. Na brzegu basenu pod krzakiem ujrzał coś, co mogło być jego koszulą. Trochę dalej niebieszciały jego nowe jeansy. Otworzył drzwi domku *maid*, służącej, i szybko pobiegł po ubranie. Wciągnął je pośpiesznie, stojąc za załomem domu. Kompletnie ubrany chciał niepostrzeżenie przemknąć przez salon, by wziąć prysznic i doprowadzić się do ładu w przeznaczonym mu pokoju gościnnym, ale drogę przecięła mu Nancy, robiąca już od rana porządek w domu wyglądającym jak po przejściu tornada. Wyciągnęła do niego obie ręce, jakby chciała mu je zarzucić na szyję i przyłgnąć doń całym ciałem.

— Trzymaj się ode mnie z daleka! — syknął i odskoczył od niej jak oparzony. Dziewczyna spojrzała zdziwiona i odsunęła się, umożliwiając mu przejście do drugiego skrzydła domu. Jej czarne oczy pociemniały bardziej, a duże usta przybrały kształt podkówki, jak u małego dziecka, które chce się rozplakać. Nancy stała przez chwilę nieruchomo i patrzyła zaszklonym wzrokiem w głąb holu, gdzie zniknęła pochylona sylwetka skradającego się na palcach doktora Guziała.

W poniedziałek do Bronka, ledwie żywego ze zmęczenia po weekendowych szaleństwach i podróży z Johannesburga, badającego właśnie beznamytnie czarne ciała pacjentek w przyszpitalnej przychodni, dotarł telegram z Łodzi. Maria pisała:

„Hura! Dostałam dokumenty. Przyszły listem nadanym w Polsce z Warszawy. Szły długo, bo numer domu i mieszkania zostały zamienione. Kocham cię”.

— Boże! — zawołał głośno Bronek. — Dlaczego to wszystko musiało się stać?! Dlaczego nie dostałem tej informacji w piątek?! Po co ja w ogóle pojechałem do tego cholernego Adama? — Oparł głowę o ścianę i uderzał nią, aż poczuł piekący ból. Jego niestandardowe zachowanie wzbudziło zdziwienie pacjentki i zaniepokojenie obecnej w gabinecie pielęgniarki, które miały podstawy podejrzewać, że ten miły, przystojny Polak postradał zmysły.

ROZDZIAŁ 8

Maria była już bardzo zmęczona przygotowaniem do podróży. Położyła dzieci spać i pobiegła jeszcze do babci Hani, która miała jej coś ważnego do przekazania.

— Maryjko, dam ci teraz tę resztę dolarów, co mi jeszcze zostały z czasów, gdy mój mały, kosmetyczny biznesik kwitł i dawał spore dochody. Włóż też na palec mój pierścionek, żebyś miała coś po mnie na pamiątkę. Swoje mieszkanie niedawno wykupiłam i zrobiłam od razu zapis na ciebie. A teraz siadaj, bo obiecałam, że kiedyś opowiem ci więcej o naszej rodzinie. To już ostatnia okazja.

— Babciu, co ty mówisz? Jakie zapisy? Testament robisz czy co? Przecież ty do nas wkrótce przyjedziesz i ja też będę was odwiedzać. Dzisiaj świat się skurczył. Leci się nocą, a rano już się jest.

— Maryjko, posłuchaj. Wiesz, jak bardzo cię kocham i że pojechałabym do ciebie na koniec świata, ale nie po to, żeby ci tylko zrobić kłopot. Ja wiem, że niedługo umrę. Starzy ludzie czują takie rzeczy. Zresztą nie martwię się tym specjalnie. Nie mam już po co żyć. I tak żyłam za długo, bo przeżyłam swojego syna, a tego nie chce żadna matka. Ale muszę ci powiedzieć coś niecoś o twoich przodkach. Miałam to zrobić dużo wcześniej, ale twoja matka zawsze była przeciwna. Teraz jesteś już dorosła i masz własne dzieci, którym, jeśli zechcesz, też przekażesz tę wiedzę. Ja naprawdę mam na imię Hannah, moja matka to Mariah, a ojciec Baruch Cuker. Zapamiętaj, Hannah Cuker z Białej Podlaskiej.

— Babciu, masz może jakieś zdjęcia albo dokumenty? — zapytała Maria trochę naiwnie, wpadając babce w słowo.

— Nie. To było zbyt niebezpieczne. Wszystkie nasze rzeczy, w tym także pamiątki, zostały w getcie i razem z gettem zostały zniszczone. Moja rodzina, trzy siostry z mężami i dziećmi, rodzice, kuzyni, kuzynki i sąsiedzi, wszyscy zginęli. Jedni na miejscu w getcie, jak malutka Chaja, moja siostrzenica, którą hitlerowiec wyrzucił z drugiego piętra przez okno, bo go zdenerwowała swoim przeraźliwym krzykiem. Część krewnych została wywieziona do obozu koncentracyjnego i tam zagazowana, a niektórzy umarli z niedożywienia i z powodu chorób. Szukaliśmy się po wojnie, ale niestety. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że ich zostawiłam, że pozwoliłam się z tego getta wyprowadzić.

— Ale, babciu, dzięki temu żyjesz! — zawołała Maria, ściskając suchą i pomarszczoną dłoń babki. — To nie ty powinnaś mieć wyrzuty sumienia.

— Żyję dzięki temu, że zgodziłam się udawać kogoś innego, niż jestem. Zrzuciłam gwiazdę Dawida i wyszłam z piekła, nie oglądając się za siebie.

— Ale wzięłaś ze sobą tatę? Jego też udało ci się uratować? Kto wam pomagał? — Wnuczka zasypała babkę pytaniami.

— Twojego taty nie było z nami. Mosze zgłosił się na ochotnika do wojska jeszcze w trzydziestym dziewiątym. Walczył we wrześniu z Niemcami, a po siedemnastym trafił do sowieckiej niewoli. Ale poczekaj, bo tak do niczego nie dojdziemy. — Staruszka potrząsnęła energicznie głową. — Najpierw o moim pierwszym mężu, a ojcu twojego taty.

— Mosze to mój tata — domyśliła się Maryjka.

— Takie imię wybrał mu jego ojciec Mordechaj Liebermann, mój pierwszy mąż. Ojciec twojego ojca, czyli twój dziadek, był synem rabina i sam w przyszłości miał zostać rabinem. Byłam bardzo młoda, gdy wyszłam za niego. Moje małżeństwo zostało zaaranżowane przez swatkę. Mordechaj był dobrą partią i cieszyłam się, że będę miała młodego, wykształconego męża, chociaż go nie wybierałam. Żyłabym z nim pewnie do końca naszych dni, gdyby nie jego całkowita przemiana. Zakochał się w komunizmie i chciał go u nas, w Białej Podlaskiej, wprowadzać. Miałam wrażenie, że go wtedy zły duch opętał. Zadawał się z takimi różnymi towarzyszami spod ciemnej gwiazdy. O mnie i o maleńkim Mosze już wtedy nie myślał, bo miał swoje towarzyszki, takie jak on wyzwolone. Na moje szczęście po bitwie warszawskiej Mordechaj uciekł z Polski. Ani się obejrzał, tylko leciał do Sowietów za armią Budionnego. Ponoć nawet wysoko tam zaszedł. Nic dziwnego, zdolny był, przebiegły, bezwzględny i gadać umiał jak nikt.

— Ale pewnie zmarł dość młodo? A potem miałaś za męża tego Wierzbickiego, co jego zdjęcie stoi na komodzie? Zawsze myślałam, że to jest mój dziadek, taki przystojny — powiedziała Maria z nutką zawodu w głosie.

— Po tym jak Mordechaj wyjechał, rodzice sprzedali interes w Białej Podlaskiej i przeprowadziliśmy się do Warszawy. Ja wyuczyłam się na kosmetyczkę i miałam własny gabinet. Uchodziłam za wdowę. Zaprzyjaźniłam się z jedną z moich klientek, Hanią Wierzbicką. Bywałyśmy u siebie. Poznałam jej męża Władysława, zawodowego wojskowego, bardzo miłego człowieka. Długo nie mieli dzieci, a kiedy w końcu Hania zaszła w ciążę, przypląciła ją życiem. Dziecko także zmarło po kilku dniach. Ja i Władek przyjaźniliśmy się dalej. Nie byliśmy już zbyt młodzi, więc zaraz po żałobie Władek chciał się ze mną ożenić. Wtedy musiałam mu powiedzieć prawdę, że nie jestem wdową. Pojechaliliśmy na trochę za granicę, a potem zamieszkaliśmy razem w Łodzi, udając małżeństwo. Ale tuż przed wybuchem wojny Władka wysłali z jednostką na kresy, a twój tata rzucił studia i też poszedł do wojska. Wtedy ja wyjechałam z Łodzi i dołączyłam do rodziny w Warszawie. Chcieliśmy być blisko siebie, czując nadchodzące zagrożenie. Władek z wojny już nie wrócił, a potem dowiedziałam się, że leży w Katyniu. Takich jak on były tysiące. Rodziny pomordowanych wiedziały, że nie zrobili tego Niemcy, ale nie wolno było mówić inaczej. Teraz już przecież wszystko wolno, więc pamiętaj, że to Rosjanie ich zamordowali.

— A tacie jak udało się wrócić z niewoli od Ruskich?

— Tacie się udało, chociaż najpierw trafił do więzienia na Łubiance, bo zaczął rozpytywać o swojego ojca, Mordechaja Liebermanna. Ten początkowo nie chciał się z nim spotkać, bo widocznie bał się, że taki syn odnaleziony w polskim wojsku może mu zaszkodzić. Ale w końcu sumienie go ruszyło. Wyciągnął Mosze z więzienia i oddał go do armii, gdzie mu już na zawsze przemeblowali głowę. Z Armią Czerwoną Mosze doszedł aż do Berlina. Potem jednak wrócił do Polski i tu został. A co było dalej, to już wiesz.

— Tak. Skończył medycynę, pracował w szpitalu i wykładał na uczelni w Łodzi. No i się ożenił. A kiedy z Mosze Liebermanna stał się Mieczysławem Wierzbickim?

— A zaraz, jak tylko wrócił. Miał znajomego ze szkoły, który pracował w Biurze Ewidencji Ludności i zrobił z niego Mieczysława, syna Władysława i Hanny Wierzbickich. Ja już właściwie od wyjścia z getta byłam Hanią Wierzbicką. Byłam pewna, że jeśli Władek wróci, zrozumie, dlaczego zrobiłam go ojcem mojego dorosłego syna. Jeszcze wtedy się łudziłam, że może to wszystko nieprawda i on wróci. Wielu uznanych za poległych przecież wracało lub pisało listy z Zachodu. Rodzina Władka nie miała nic przeciwko temu, żebyśmy ja i mój syn dzięki ich dokumentom zatarli ślady swojego pochodzenia. Rozumieli, że nadal bałam się być Żydówką, zwłaszcza po tym, co stało się w Kielcach. A znów nieco później to się wstydziałam za naszych. Za to, że w ubecji było ich pełno i siali terror wśród ludzi.

— A ojciec naprawdę wierzył w komunizm? Wstąpił do PZPR z przekonania?

— Mnie się wydaje, że on się na Łubiance nauczył nie mówić nikomu tego, co naprawdę myśli, nawet matce. Najpierw był w PPR, a potem już do końca swoich dni w PZPR. On od Sowietów wrócił mocno wystraszony. Musiał się tam napatrzeć na takie rzeczy, o których nie chciał opowiadać. Raz mi tylko wyznał, że większe wrażenie niż tortury zrobił na nim strach, który zobaczył w oczach własnego ojca, wysokiego funkcjonariusza partyjnego w Moskwie. Mosze trzymał się więc zawsze blisko partii, ale jednocześnie starał się być na uboczu. Może ze strachu, a może dlatego, że tak łatwiej było żyć. Twój ojciec był po prostu realistą i stale powtarzał, że głupotą jest pluć pod wiatr. Nie było nam przecież źle za tej okropnej komuny.

— Wciąż nie wiem, jakim sposobem ty uniknęłaś śmierci w czasie okupacji?
— spytała wnuczka.

— Rodzina Władysława to byli bardzo porządni ludzie. Chociaż początkowo nie akceptowali naszego związku, to jednak, gdy dowiedzieli się, że jestem w getcie, zapłacili takiemu jednemu, żeby mnie stamtąd wyprowadził. Ten człowiek nie chciał jednak za żadne pieniądze wziąć już nikogo więcej. Wkrótce potem zresztą zginął powieszony przez Niemców. A mnie stryjeczna siostra

Władzia, zakonnica, jako Hanię Wierzbicką przechowała w klasztorze pod Warszawą.

— To ciekawa historia, babciu, ale co mam z tą wiedzą zrobić w Afryce? Czego ode mnie oczekujesz? Mam szukać tam jakichś naszych krewnych? — spytała Maria.

— Nie, kochanie. Ja wkrótce na tamtym świecie zobaczę swoich pejsatych krewnych. Mam nadzieję, że są w jednym niebie, bez żadnego getta, z takimi zacnymi ludźmi jak Wierzbiccy. Tobie chciałam tylko powiedzieć, że chociaż nie jesteś w stu procentach Żydówką, to możesz liczyć na innych Żydów, których jest jeszcze, dzięki Bogu, sporo na świecie. Zapamiętaj słowo „amchu”, które znaczy „swój”. Różnie to na obczyźnie bywa. Polacy ponoć częściej się wykorzystują nawzajem, niż wspierają, a Żydów może czegoś nauczyła ta straszna wojna. Gdybyś więc czuła, że Żyd coś ci może załatwić, to mu tak na osobności powiedz. Nie mogę zagwarantować, że to zadziała, ale spróbować zawsze warto.

Maria z pewną niecierpliwością słuchała ostatnich zdań babci. Śmieszyła ją ta naiwna wiara staruszki w istnienie jakiegoś magicznego słowa łączącego Żydów z całego świata. Za mało miała czasu, żeby wysłuchiwać takich rzeczy. Gorzej, była tak pochłonięta przygotowaniem do wyjazdu i pożegnaniami z różnymi osobami, że nie przyjrzała się uważniej staruszce. Nie zauważyła, jak zmizerniała, schudła i posmutniała w ostatnich tygodniach. Gdyby mniej była skoncentrowana na sobie, dostrzegłaby, że przeczucia babci mają poważne podstawy, że kobieta jest chora. Hannah Cuker-Liebermann-Wierzbicka nie chciała się leczyć, chciała spokojnie odejść z tego świata, który nie miał jej już nic do zaoferowania.

Babkę cieszyło, że wnuczka połączy się wreszcie z mężem, który jest miłym i zaradnym mężczyzną. Pragnęła z całej duszy, żeby Maryjka znalazła w tym wymarzonej, ciepłym kraju spokojną przystań. Żeby miała tam warunki do wychowywania gromady dzieci. „Niech się rozmnażają na chwałę Najwyższego” — myślała starsza pani, której w młodości wpojono, że dzieci są bogactwem rodziny i narodu, a płodność błogosławieństwem Jahwe. Wprawdzie ona nie ujrzy już na własne oczy zrodzonego w Afryce potomstwa wnuczki, ale ma całkowitą pewność, że będzie ono nie mniej piękne i mądre jak Jacek i Małgosia.

Jednak o los tej dwójki dzieci i ich ewentualnego rodzeństwa prababcia, jako doświadczona kobieta, drżała może jeszcze bardziej niż o Maryjkę. Bała się, że w RPA, której ustrój oparty jest na apartheidzie, w każdej chwili może dojść do jakiegoś przewrotu. Niewiele wprawdzie na temat tego kraju do niej docierało, lecz miała świadomość, że od lat czarna ludność walczy tam z dyskryminacją. „Da Bóg, że może uda się w bezkrwawy sposób zmienić rasistowskie prawa, a potem biali i czarni będą równymi sobie współobywatelami” — pocieszała się. Jednak historia i jej własne doświadczenia mówiły, że takie przemiany mają na ogół dramatyczny i krwawy przebieg. Przeżyła okupację hitlerowską i widziała trochę radzieckiej

rewolucji, miała więc wystarczająco dużo powodów, by drzeć o przyszłość kochanej Maryjki i jej rodziny.

Maria nie znała oczywiście myśli babki i niewiele pewnie by się nimi w tym momencie przejęła. Była entuzjastycznie nastawiona do wyjazdu i o polityce nie myślała wcale. Jej umysłu nie zaprzętały sprawy rasowe. Wmawiała sobie, że w tych czasach nie odgrywają już ważnej roli. Dla niej nie miały żadnego znaczenia. Tak przynajmniej myślała, ale jej postępowanie wcale o tym nie świadczyło. Nie tylko babcia i ojciec, którzy przeżyli koszmar hitleryzmu, nie przyznawali się do swoich korzeni. Ona także nie powiedziała o nich Bronkowi.

Miała zamiar zrobić to przed ślubem, ale wtedy wykoncypowała sobie, że nikt, kto ma na przykład jakąś domieszkę krwi francuskiej, niemieckiej czy rosyjskiej, nie czuje się w obowiązku informować o tym współmałżonka. Geny semickie to nie choroba. Choć się je dziedziczy, nie upośledzają potomstwa. „A niektórzy sądzą, że nawet dodają inteligencji i zdolności artystycznych” — myślała buńczucznie. Była zresztą prawie pewna, że Bronek się domyślał. Wystarczyło spojrzeć na jej ojca i babkę. Mógł go też uświadomić ktoś z kliniki, bo ludzie nie dali się zwieść nazwisku zakończonemu na „ski” i swoje wiedzieli. Tłumaczyła sobie, że skoro nie wahał się wejść do takiej rodziny, to najwyraźniej nie miał żadnych uprzedzeń.

Potem jednak, już w czasie trwania ich małżeństwa, uchwyciła kilka wypowiedzi Bronka, które mogły świadczyć o jego niechęci do Żydów. Bywało, że siedzieli sobie w miłej atmosferze, oglądając razem jakąś dysputę w telewizji, a tu Bronek po wypowiedzi nieulubianego polityka wypalał nagle:

— To Żyd. No zobacz, jak on wygląda. Spójrz na ten nos. Nic dziwnego, że obca mu nasza racja stanu i ma Polaków za głupich. Oni już wiedzą, skąd wiatr wieje, i zawsze umieją się ustawić. Nasi się żrą, a u nich jeden drugiego popiera.

Nieistotne, do kogo konkretnie odnosiły się te słowa, bo nie było w zasadzie między nią a mężem różnicy poglądów. Maria, odkąd została żoną Bronka, wyznawała te same wartości i nawet stała się gorliwą katoliczką. Nie kojarzyła już szczegółów, ale takie opinie ujawniały, że Bronek ma w głowie wdrukowany schemat: „Żyd jest śliskim koniunkturalistą” oraz „Żydzi na całym świecie się wspierają, tworząc swoistą siatkę”. Marię te słowa raniły, ale nigdy nie sprowokowały jej do szczerzej rozmowy. Dobrze, że Bronek nie słyszał tego, co mówiła babcia, bo miałby w zasadzie z pierwszej ręki potwierdzenie swoich judeofobicznych sądów. Postępowanie ojca, jego udawana miłość do PZPR, wszystko jedno z jakich wynikało pobudek, było kunktatorskie i świadczyło o koniunkturalizmie. A przekazanie jej przez babcię tego dziwnego hasła rozpoznawczego także potwierdzałoby część antysemickich przekonań.

Po długich rozmyślaniach, które nie pozwoliły Marii zasnąć i wypocząć przed podróżą, doszła znów do przekonania, że nie będzie rozmawiać z mężem

o swoich żydowskich przodkach, bo nie ma na razie takiej potrzeby. „Broniek nie jest żadnym antysemitą. Zaprzyjaźnił się od razu z Adamem. Nie miał najmniejszych oporów, żeby skorzystać z jego uprzejmości, a wiedział, kim jest mój przyjaciel z dzieciństwa” — przekonywała samą siebie. Już jej się prawie udało i sen brał ją w swoje miękkie ramiona, gdy nagle wstrętne myśli wszystko zepsuła: „A może to Broniek właśnie jest koniunkturalistą? Nienawidzi Żydów, ale jak się nadarzy okazja, żeby coś skorzystać, to nie brzydzą go kontakty z nimi. Czyżby i nasze małżeństwo było koniunkturalne?”.

ROZDZIAŁ 9

Dzieci spały jeszcze w odchylonych nieco do tyłu fotelach. Maria także zdrzemnęła się troszkę, ale dopiero wtedy, gdy w samolocie zapanował wzmożony ruch. Po chwili podeszła do niej stewardesa i dotknąwszy jej ramienia, pokazała, żeby sobie i dzieciom zapięła pasy. Maria w panice spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta, więc zaraz będą lądować, a dzieci powinny jeszcze przebrać się w letnie, przewiewne ubrania. Jacek i Małgosia na szczęście obudzili się bez problemu i sprawnie, mimo zapiętych pasów, poszła im zmiana garderoby.

Maria popatrzyła w lusterko. Była bardzo zmęczona, a chciałyby pięknie wyglądać. Poprawiła, na ile było to możliwe w huśtającym samolocie, makijaż i rozpuściła włosy. Rude loki spłynęły miękką falą na jej plecy i ramiona, ożywiły, wręcz rozświectliły twarz pobladłą z niewyspania i nadmiaru towarzyszących pożegnaniom emocji. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. „Ruszaj na podbój Afryki. Odwagi. To przecież ma być twoja ziemia obiecana” — powiedziała sobie w duchu i wypięła pierś do przodu.

Na schodach samolotu owionął ją bardzo zimny, nieprzyjemny wiatr. Stojąc na płycie lotniska Jana Smutsa, ponownie wyciągała dopiero co upchane w bagażu podręcznym ortalionowe kurtki. Dzieci drżały w cieniutkich koszulkach, a jej odsłonięte ramiona zsiniały i pokryły się gęsią skórką.

Afrykańskie niebo zasnute było ołowianymi, nisko zwisającymi chmurami, siąpił deszcz, a temperatura powietrza nie przekraczała szesnastu stopni. Ojczyzna poprzedniego dnia, choć był to dziewiętnasty października, żegnała ją prawie upałem i przepiękną, naprawdę złotą, polską jesienią. Wymarzony raj zgotował jej zdecydowanie chłodne powitanie. „Może to zły omen i powinnam zawrócić” — pomyślała z lękiem.

Nawet gdyby chciała, nie było to już możliwe. Poszła więc owczym pędem za grupą współpasażerów. Urzędnik mówiący po angielsku z dziwnym, twardym akcentem zadał jej kilka pytań, których treści bardziej się domyśliła, niż rozumiała. Wydukała więc z trudem odpowiedzi, robiąc przy tym tyle błędów, że teraz z kolei urzędnik miał kłopoty z jej zrozumieniem. Przejrzawszy jednak dokładnie dokumenty jej i dzieciaków, przybił pieczętkę i przepuścił dalej do wyjścia. Tam natychmiast padła w ramiona stęsknionego małżonka.

Bronek trzymał naręczne kwiatów, które wyglądały na sztuczne. Trochę się zdziwiła, więc uświadomił jej, że tak właśnie wygląda protea, jeden z elementów godła Południowej Afryki. Pomyślała, że róże są ładniejsze, ale wielkie, jakby plecione z plastiku kwiaty były naprawdę oryginalne.

Na parkingu czekał na nich duży, wygodny, biały samochód. Był to kupiony z drugiej ręki datsun z automatyczną skrzynią biegów. Wnętrze auta nie wyglądało

zbyt świeżo, ale na zewnątrz prezentował się znakomicie, zwłaszcza w porównaniu z wysłużonym wartburgiem, którego Maria sprzedała prawie za bezcen przed wyjazdem. W samochodzie znajdowały się prezenty dla dzieci. Jacuś tylko rzucił okiem na raketkę do tenisa i zaraz usadowił się za kierownicą bogato wyposażonego w elektronikę datsuna. Udawał kierowcę, otwierając i zamykając przyciskami szyby, blokując drzwi, aż wreszcie uruchomił alarm. Broniek przerwał upychanie bagażu i wygonił syna na tylne siedzenie. Małgosię mniej zajmowało auto, chciała za to wrócić do lotniskowego holu, by obejrzeć stojące tam sztuczne zwierzątka, zebkę, nosorożca i żyrafę.

Autostradą stanowiącą obwodnicę Johannesburga i pięknymi szerokimi ulicami dotarli do Sandtonu, eleganckiej i drogiej dzielnicy miasta, w której mieszkał Adam. Maria inaczej wyobrażała sobie domy w bogatej dzielnicy. Nie zachwycała jej prosta i jakby w ogóle nietroszcząca się o estetyczne doznania architektura. Brzydkie domki miały za to przepiękne otoczenie. Stały wśród kwitnących różnokolorowo krzewów, z których jedne tworzyły ściany żywopłotów, a inne były ciekawie wkomponowane w trawniki. Wysokie palmy jak parasole górowały nad posesjami, ale szczególnie piękne były rozłożyste drzewa obsypane liliowoniebieskimi kwiatami.

— To jacarandy. Pochodzą z Ameryki Południowej, ale jest ich tu mnóstwo i kwitną właśnie w październiku, gdy na południowej półkuli jest wiosna — poinformował Broniek. Dzieci dziwiły się tej wiosnie jesienią, bo w Polsce przed wyjazdem zbierały kasztany. Nie było czasu na nauki, gdyż właśnie zajechali przed zbudowany z ciemnoczerwonej, klinkierowej cegły bungalow, z którego natychmiast wyszli gospodarze, żeby ich powitać.

Gdyby nie przesyłane wcześniej przez Bronka zdjęcia, Maria nigdy nie rozpoznałaby w niskim, szczupłym i niezbyt efektownym mężczyźnie swojej pierwszej, dziecięcej miłości. Obok Adama zobaczyła bardzo zgrabną i krzykliwie wymalowaną blondynkę. Była to jego aktualna partnerka, Marzenka. Dziewczyna wyszła widocznie przed chwilą z basenu, gdyż miała na sobie mokry kostium kąpielowy. Narzucona nań lekko prześwitująca sukienka zamokła i oblepiła jej doskonałą sylwetkę, eksponując to i owo. Jacek zaczerwienił się po końcówki włosów, gdy ta mokra pani się z nim witała, a Maria spojrzała znacząco na Bronka. Ten jednak udawał, że nie zauważa problemu. Kostium Marzenki na szczęście dość szybko wysechł.

Adam był niezwykle serdeczny. Na osobności aż za bardzo, więc Maria musiała go kilkakrotnie upomnieć, że jest żoną Bronka oraz matką całkiem dużych już dzieci. Trochę ją wyśmiał, odrobinę się nadał, ale w końcu zrozumiał, że nie życzy sobie umizgów i ściskania po kątach. Zaczął więc odnosić się do niej z większym respektem. Jego dziewczyna okazała się nawet dość miła. Widać było, że stara się zrobić jak najlepsze wrażenie. Przygotowała posiłek, w którym

królowały warzywa i owoce morza oraz oryginalne owoce południowe, w Polsce jeszcze wówczas nieosiągalne. Maria chętnie wszystkiego próbowała, ale dzieci z nieufnością odnosiły się do nowych smaków. Bardziej były zainteresowane ogrodem, w którym znajdował się niewielki, owalny basen ze śliskimi ścianami z błękitnej żywicy poliestrowej. W końcu ogrodu znajdowała się obszerna zagroda, a właściwie klatka zrobiona z grubych metalowych prętów, w której zamknięto na czas wizyty gości dwa amerykańskie pitbulteriere, groźnie ujadające i popisujące się niemalże dwumetrowymi skokami.

Adam z dumą pokazywał nie tyle dom, co jego zabezpieczenia przed złodziejami. Były to więc: rolety antywłamaniowe, pospolite kraty oraz system fotokomórek i przycisków uruchamiających alarm w agencji ochrony. Na koniec oboje z Marzeną zaprezentowali swoją broń palną. On miał potężnego gnata, półautomatyczny pistolet na naboje typu dum-dum, a ona malutki, zgrabny rewolwer, bez trudu mieszczący się w torebce. Marię zdziwiło i zaniepokoiło to, że temat obrony przed jakimś wirtualnym atakiem zdominował wszelkie inne podczas pierwszego i z konieczności krótkiego spotkania z przyjacielem z dzieciństwa. Po posiłku i zwiedzeniu domu musieli się zbierać w dalszą drogę. Czekało ich jeszcze wiele kilometrów jazdy na północny wschód, w kierunku granicy z Mozambikiem.

Siedząc już w samochodzie, Maria zapytała męża:

— Zwróciłam uwagę na młodą Murzynkę, która stała w drzwiach tego małego domku w ogrodzie, a potem szybko się schowała, gdy podeszliśmy bliżej. Czy to jest ich służąca?

— Tak — odparł Bronek. — Nancy sprząta, pierze i prasuje.

— To dlaczego nie pomagała Marzenie w kuchni i przy podawaniu posiłku?

— Po pierwsze jest niedziela, więc zapewne ma wolne. To jest dziewczyna zatrudniona przez Adama, a Marzena nie lubi, żeby czarna dotykała ich jedzenia i w ogóle kręciła się po domu podczas obecności gości. Zwierzyła mi się kiedyś, że panicznie boi się AIDS. Wielu czarnych jest nosicielami HIV.

— Nie wierzę, żeby Adam miał w domu chorą służącą. A może Marzena boi się, że Nancy uwiedzie jej narzeczonego? Dziewczyna ma bardzo oryginalną urodę. Jest chyba warta grzechu, jak sądzisz? — zapytała z uśmiechem Maria.

— Czemu właśnie mnie o to pytasz?! — zdenerwował się Bronek. — Co mnie obchodzi jakaś czarna?

— Bo kogo mam zapytać, jak nie faceta — odparła spokojnie Maria. — Czarna nie czarna, po prostu ładna dziewczyna. Ale już ktoś jej urodę docenił, pewnie ma męża. Jak stanęła bokiem, to widać było, że chyba jest w ciąży — dodała po chwili.

W tym momencie Bronek nagle zakrztusił się słonym orzeszkiem, które wszyscy w samochodzie chrupali podczas jazdy. Dzieci zaczęły walić tatę po

plecach, ale jemu nie przechodziło. Gardło miał niezłe podrażnione okruchami orzecha i drobinkami soli, więc zjechał z autostrady do stacji benzynowej, którą właśnie mijali. Znajdowała się tam również restauracja, bardzo popularna w RPA sieciówka o nazwie Golden Egg.

— Zatrzymamy się tu na małe co nieco — wychrypiał Bronek, a dzieci zareagowały okrzykami radości, najwyraźniej były głodne po przyjęciu u Adama.

Bronek napił się soku, który przyniosła do stolika kelnerka o monstualnym biuście i jeszcze większych pośladkach. Na jej widok zaraz się ożywił i odzyskał rezon. Zaczął błaznować z dziećmi i jak one nabijać się z obfitych kształtów młodej Murzynki. Czarna kobieta wyglądała naprawdę niesamowicie, ponieważ przy niespotykanie wielkich atrybutach kobiecości miała niezwykle wąską talię, wdzięczną, długą szyję i niemalże dziecięcą buzię. Przypominała prymitywny posążek bogini płodności, który Maria widziała kiedyś w jakiejś podrózniczej audycji telewizyjnej.

— To Hotentotka — powiedział Bronek, krztusząc się już bardziej ze śmiechu niż z powodu podrażnienia gardła. Jacek dodał, że można by ją osiodłać, i tak go ten pomysł rozbawił, że omal nie wylał swojej ogromnej porcji coca-coli. Małgosię zafascynowało słowo „Hotentotka”, więc powtarzała je, zaśmiewając się perliście. Maria najpierw bała się, że kobieta zorientuje się, iż jest obiektem żartów, i poczuje się urażona. Jednak czarna kelnerka nie rozumiała polskiego, więc uśmiechała się swymi szerokimi ustami do rozbawionych klientów, połyskując przy tym śnieżnobiałymi zębami. Na pewno wśród swoich cieszyła się opinią wyjątkowo ponętnej piękności.

Znów znaleźli się na autostradzie. Byli już znudzeni i rozczarowani krajobrazem, tą monotonią ogromnych pól obsianych pszenicą i kukurydzą oraz widokiem kominów i kopalnianych hałd na horyzoncie. Nie tak wyobrażali sobie egzotykę Afryki. Po jakimś czasie jednak pejzaże zrobiły się ciekawsze, a prawdziwie piękne zaczęły się dopiero, gdy zjechali z autostrady. Panująca rankiem pochmurna i rześka pogoda dość szybko zmieniła się w słoneczną, bezwietrzną duchotę. Klimatyzacja w samochodzie pracowała na pełnych obrotach do momentu, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a niebo stało się przepięknie złote. Słońce zgasło już około osiemnastej i bardzo szybko zapadał zmrok. W świetle reflektorów ich oczy chwytaly fragmenty potężnych lasów porastających górskie stoki. W innych miejscach, zwłaszcza na łagodnych pagórach, dało się zauważyć równo posadzone winnice. Czasami jechali nad przepaścią, a gdy kręta droga wiodła pod osuwającymi się skałami, groźne, kamienne nawisy zabezpieczone były kolorowymi siatkami. Dzieciaki, które nigdy przedtem nie widziały czegoś takiego, krzyczały z zachwytem:

— Mamo, tato, tu nawet góry są ubrane w kolorowe sukienki!

Dzieci były niezmordowane w wypatrywaniu w mroku różnych dziwów

przyrody i ludzkiej przemyślności. Przytulały się do pleców i karku prowadzącego samochód ojca, głaskały go po policzkach i z tyłu głowy. Teraz dopiero było widać, jak bardzo się za nim stęskniły. Jacek zaoferował się nawet, że zrobi mu masaż na mięśnie karku boleśnie naprężone podczas długiej jazdy w trudnych warunkach. Maria czuła ogromne zmęczenie, ale i równie wielkie szczęście. Od momentu, kiedy ujrzała Bronka, miała wrażenie, że ktoś rozjaśnił jej myśli, a w duszy zaświeciło słońce. Jego uśmiech rozproszył wszelkie smutki.

Bronek dokazywał z dziećmi, a jednocześnie prowadził pewnie i szybko, mimo że droga nie była łatwa. Kiedy wyłączył klimatyzację, bo zrobiło się już chłodno, Maria otworzyła okno, żeby powąchać Afrykę. Spodziewała się żywicznego zapachu, gdyż otaczał ich las złożony głównie z pięknych, roślących sosen, a tymczasem do kabiny wpadł wstrętny odór.

— Zamykaj szybko! — krzyknął Bronek. — Tu gdzieś znajduje się wytwórnia celulozy.

Faktycznie po chwili ich oczom ukazała się zatopiona w leśnej dolinie fabryka, oświetlona tysiącem lamp i opleciona wokół płataniną ogromnych rurociągów. Wyglądała dość niesamowicie, jak zamek straszliwego czarnoksiężnika, który za górami, za lasami warzy swoje niebezpieczne mikstury, zabijające samym zapachem. Maria na poczekaniu wymyśliła baśń, którą opowiedziała Małgosi. Córka, opierając główkę o nakrapiane futerko pluszowego geparda, najnowszy prezent od ojca, uspokoiła się i stała się senna.

Wkrótce potem wjechali do Nelspruit, jednego z głównych miast Transwalu Wschodniego. Zrobiło wrażenie niezbyt wielkiego i sympatycznego miasta i podobało im się dużo bardziej niż Johannesburg. Stąd mieli już tylko sto kilometrów do domu, ale samochód musiał jeszcze bardzo wiele razy piąć się w górę i za chwilę z dużą prędkością zjeżdżać w dół. W pewnym momencie Bronek wyraźnie zwolnił i powiedział:

— Zwróćcie uwagę na znaki drogowe. Zaraz zobaczycie ciekawostkę. O, jest! — wykrzyknął na widok znaku ostrzegawczego z rysunkiem hipopotama.

— Tato, zatrzymaj! Chciałbym zrobić zdjęcie i wysłać do mojej szkoły — zawołał Jacuś.

— To nie jest dobry pomysł — odparł Bronek i jechał dalej. — Niebezpiecznie jest wychodzić z auta o tej porze. Zresztą mało byłoby widać na takim zdjęciu. Wrócimy tu za dnia. Obiecuję wam piękną wycieczkę, jak tylko dostanę w szpitalu trochę urlopu. Będziemy teraz spędzać bardzo dużo czasu razem i nadrobimy te stracone miesiące. Strasznie się za wami stęskniłem.

Po tych słowach Bronka w samochodzie na jakiś czas zapanowała cisza. Maria myślała intensywnie o czasie, który upłynął od ich rozstania, ile przeżyła ciężkich chwil, ile kłótni z matką. Co wieczór opowiadała dzieciom, jak bardzo tata stara się załatwić wszystko, żeby się z nimi jak najszybciej połączyć. Wymyślała

złych ludzi, którzy mu przeszkadzają. Pocieszała siebie i dzieci, że wreszcie się uda i znowu będą razem, a teraz właśnie to się ziściło. Obejrzała się za siebie i stwierdziła, że dzieci zasnęły, więc odezwała się do męża:

— Popatrz, mieliśmy się rozstać najwyżej na trzy miesiące, a to już więcej niż rok minęło. Zaczęłam podejrzewać, że mnie zwodzisz z tym zaproszeniem, bo kogoś już masz.

— Ja myślałem podobnie o tobie — powiedział Bronek.

— O mnie? — zdziwiła się, jakby taka rzecz była zupełnie niemożliwa.

— Bałem się, że Karol prowadzi jakąś grę, że chce cię zatrzymać. On zawsze miał duży wpływ na ciebie.

— A czemu Karol miałby chcieć mnie zatrzymać? — dziwiła się coraz bardziej.

— Nie wiem, ale mi podpadł. Przecież to nikt inny, tylko on przejął list i pokwitował jako twój ojciec. Może cię potajemnie kocha? Jesteś piękną kobietą, więc wcale bym się nie dziwił.

— Nie chcę nawet słuchać takich rzeczy. Karol mi bardzo dużo pomagał. Dbał o Małgosię, bo za tobą tęskniła. A ty posądzasz go o takie niecne rzeczy?

— Zakochany człowiek jest zdolny do wszystkiego. Najgorzej mi było, gdy zaczynałem podejrzewać, że już cię przekabacił i udajesz tylko, że chcesz do mnie przyjechać.

— No wiesz, jak mogłeś? Chyba się na ciebie pogniewam — powiedziała kokieteryjnie.

— Na obczyźnie, kiedy człowiek jest całkiem sam, wszystko przeżywa się jakoś mocniej, widzi inaczej. Z byle powodu traci się grunt pod nogami i pewność siebie. Spróbuj mnie zrozumieć i może wówczas przebaczysz... — Bronek urwał nagle, bo w ostatniej chwili zobaczył na drodze ślaniającą się w charakterystyczny sposób postać. — Cholera! Patrz, jaki głupi czarnuch! Jak taki zębów nie pokaże, to go w ogóle nie widać. Przejechałbym małpę, a odpowiadał za człowieka — powiedział, po czym zaśmiał się i spojrzał na żonę, ale Marii to wcale nie rozśmieszyło.

— Mówisz, jakbyś stał się rasistą. — Spojrzała na niego z ukosa.

— Ja rasistą?! Ależ skąd! — wykrzyknął oburzony. — Po prostu w weekend ciężko się tu jeździ, bo zawsze pełno tego pijanego bydła na drodze. Pobędziesz tu trochę, to zobaczysz, że można mieć wiele powodów, żeby stać się rasistą, ale ja nim nie jestem. Współczuję im i lecę ich naprawdę z oddaniem. Jednak taka pijana swołocz mnie wkur... — Obejrzał się na śpiące dzieci i nie dokończył wyrazu.

— Pijana swołocz jest jednakowa w każdej szerokości geograficznej, niezależnie od koloru skóry — powiedziała Maria.

— Jasne, jasne, masz rację. To właśnie chciałem powiedzieć — zgodził się

z nią szybko. — Nie będziemy się teraz kłócić o pijanego Murzyna, zaraz dojeżdżamy. Nie mogę się już doczekać, kiedy wejdiesz w progi naszego nowego domu.

— Ja także — powiedziała cicho Maria i spojrzała, mimo wszystko z miłością, na profil męża, oświetlony zielonkawym światłem kontrolki kierunkowskazu. Skręcili właśnie w lewo i po chwili samochód zatrzymał się przed szpitalną bramą.

ROZDZIAŁ 10

Przy bramie zatrzymali ich umundurowani i uzbrojeni w pistolety czarni strażnicy. Ujrawszy twarz znajomego lekarza, skłonili się uprzejmie, pokiwali przyjaźnie na powitanie dzieciom i puścili dalej bez żadnych formalności. Na dworze panowała ciemna noc, lecz dziedziniec szpitala był rzęsiście oświetlony. Chorzy, w większości boso, spacerowali po nim w piżamach i koszulach nocnych.

— Po co im to coś na głowach? — spytał Jacek wybudzony rozmową wartowników.

— To kropłówki — wyjaśnił Bronek. — Murzyni mają słabo widoczne żyły i często są odwodnieni, więc na ogół przy przyjęciu do szpitala na wszelki wypadek podłącza im się kropłówkę. Głowa służy za stojak.

Kobiety w koszulach z głębokimi rozcięciami pod szyją bez skrępowania pokazywały nie tylko piersi, ale nawet brzuchy. „Piersi nie są widać dla nich intymną częścią ciała” — pomyślała Maria i zaniepokojona spojrzała na swojego prawie już jedenastoletniego syna. Oczy Jacka były okrągłe ze zdumienia, a na usta wypełził niezbyt inteligentny uśmiezek. „Taki mały, a już widać, że facet. Nieodrodny syn swego ojca” — stwierdziła w myślach z pewnym rozbawieniem, ale i rozczuleniem. Chłopiec wcześniej nie miał okazji z tak bliska i w naturze oglądać damskiej golizny, ale widział, że w szkole starsi uczniowie podniecali się zdjęciami z czasopism pokazującymi o wiele mniej.

Tymczasem roznegliżowane pacjentki i pacjenci z odsłoniętymi torsami podchodzili do samochodu, wesoło pozdrawiając doktora i jego rodzinę. W ogóle nastrój panujący na szpitalnym dziedzińcu zupełnie nie kojarzył się z cierpieniem i chorobą. Pod murem największego pawilonu siedział stary, przeraźliwie chudy Murzyn i śpiewał zachrypniętym głosem dziwną pieśń. Wokół niego spontanicznie skupiło się kilka kobiet w różnym wieku i wsłuchiwało się w melodię oraz improwizowany tekst. Kołysząc się w rytm piosenki wybijany przez innego pacjenta na odwróconym do góry dnem plastikowym wiaderku, włączały się w śpiew i powtarzały pewne frazy pięknie zsynchronizowanymi głosami. Za kobietami stanęło jeszcze dwóch rośliwych mężczyzn i do żeńskich dołożyli swoje niskie, jakby pohukujące, miękkie, ciepłe basy.

— Posłuchajcie tego gościa — powiedział Bronek, zatrzymawszy na chwilę samochód. Wyłączył silnik, żeby mogli lepiej słyszeć.

— Czy to próba szpitalnego chóru? — spytała zachwycona Maria.

— To spontaniczne zgromadzenie przypadkowych osób — powiedział Bronek.

— Ale ten pan jest strasznie chudy. Chyba nie ma co jeść, a chce mu się jeszcze śpiewać — zdziwiła się Małgosia, która do jedzenia zawsze przywiązywała

dużą wagę.

— Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, o czym on śpiewa. Trochę chwytam już ich język, ale spytamy sanitariusza — powiedział ojciec, po czym przeszedł na angielski. — Halo, Zenek, chodź tu na chwilę. Powiedz nam, o czym śpiewa ten człowiek — wykrzyknął w kierunku młodego człowieka w białym płóciennym uniformie, który właśnie wyszedł przed izbę przyjęć, aby zapalić papierosa.

Marię zdziwiło bardzo swojsko brzmiące imię Murzyna, lecz nie zapytała o nie, sądząc, że się przesłyszała. Broniek z czarnym rozmawiali chwilę po angielsku. To, co mówił mąż, rozumiała, ale wymowa Zenka była tak dziwna, iż uchwyciła tylko kilka słów.

— Facet śpiewa, że jest wyjątkowo szczęśliwym człowiekiem, bo po wielu miesiącach cierpienia i poniewierki nareszcie jest najedzony. Lekarz dobrze zajął się jego chorym ciałem i pielęgniarka była delikatna. A największym szczęściem jest to, że śpi teraz jak bogacz w łóżku i może nawet na tym łóżku umrze. Jest wdzięczny Bogu za to, że on, stary nędzarz, doświadczył pod koniec życia tyle miłości od ludzi.

— To wariat? — spytał Jacek.

— Nie. To biedak i najprawdziwszy artysta — powiedziała cicho Maria, gdyż wzruszenie chwyciło ją za gardło.

Następna brama nie była już strzeżona. Samochód, minawszy ją, potoczył się wolniutko wąską, wyasfaltowaną i niestety ciemną już alejką. Zatrzymali się przed białym, niziutkim budynkiem, którego dach pokryty był strzechą. Garaż przypominał wiejską, kurną chatę, z tym że w szczytowej ścianie miał duże, drewniane wrota. Broniek otworzył je, by wprowadzić auto. Za garażem znajdowały się strome, kamienne schodki, które wiodły do tylnych drzwi położonego nieco niżej bungalowu.

— Oto nasz dom — powiedział z dumą Broniek, wskazując mało efektowny, zwłaszcza od strony kuchennego wejścia, budynek. — Uważam, że jest najlepszy ze wszystkich. Walczyłem o niego jak lew. Tylko superintendent ma porównywalny.

Każdy wziął jakiś bagaż i ostrożnie, gęsiego schodzili wąskimi schodkami z umocnionej betonową wylewką skarpy. Weszli do niewielkiej sieni. Po lewej stronie w kącie tego pomieszczenia znajdowało się coś w rodzaju wielkiego, kamiennego koryta, wewnątrz którego Maria zobaczyła urządzenie znane jej raczej z filmów niż z autopsji. Była to kamienna tara do prania.

— Tu jest pralnia — poinformował mąż.

— Mam prać na czymś takim? — zdziwiła się Maria.

— Ty nie. Takimi rzeczami zajmują się czarne *maid*, czyli służące — odparł i poprowadził rodzinę dalej, zapalając w kolejnych pomieszczeniach światła.

— Kuchnia jest przestronna i, jak widzisz, wyposażona w najpotrzebniejsze

sprzęty. Tu za drzwiami jest duża lodówka, tam masz elektryczną kuchenkę z piekarnikiem. O, a tu są drzwi do spiżarni. Bardzo się przydaje, zwłaszcza do przechowywania owoców. — Bronek otworzył wąskie pomieszczenie obudowane wokół półkami, skąd rozszedł się po całej kuchni miły zapach pomarańczy i ananasów. Maria zauważyła siatkowy, chyba dziesięciokilogramowy worek cytrusów leżący na posadzce i dwa ananasy na półce. — Garnków jeszcze prawie nie ma, bo stołowałem się w szpitalu, ale kupimy przy najbliższej bytności w mieście — kontynuował mąż.

Maria, obejrawszy kuchnię, szła powoli przez kolejne pokoje, rozglądając się z jakimś lękiem czy zażenowaniem. Miała wrażenie, jakby pod nieobecność gospodarzy weszła do obcego mieszkania. Z kuchni wychodziło się na mały przedpokój, prowadzący do trzech niewielkich sypialni, do jednej z łazienek oraz niewielkiej jadalni. Jadalnia zaś w dalszej swojej części stawała się czymś w rodzaju szerokiego holu, który z kolei, rozszerzając się, tworzył dość obszerny salon. Między jadalnią a salonem znajdowały się drzwi frontowe, z których wychodziło się na zadaszony i wyłożony marmurową posadzką ganek. Salon w zasadzie był już urządzony meblami służbowymi. Wokół dużej ławy stał zestaw wypoczynkowy złożony z kanapy oraz dwóch foteli. Pluszowe obicie wyściełanych mebli pyszniło się kolorem starego złota, a bogato rzeźbione nogi i poręcze zrobione były z ciemnego, politurowanego na wysoki połysk drewna. Na jednej ze ścian Maria spostrzegła marmurowy kominek.

— A to po co w Afryce? — zapytała zdziwiona.

— W lipcu i sierpniu nocą bywa dość chłodno — odparł Bronek. — Chociaż ja nigdy jeszcze w nim nie paliłem.

— Mamo, ale macie superłóżko! — krzyknął gdzieś z głębi mieszkania Jacek.

— Ja tu będę spać! Ja tu chcę spać jak królowna! — piszczała Małgosia.

Rozsuwane drzwi prowadziły z salonu do dużej małżeńskiej sypialni, za którą znajdowała się następna łazienka. Na wprost drzwi stało ogromne, owalne, małżeńskie łóże z błękitnym, jedwabnym, pikowanym materacem i takim samym zagłówkiem. Po lewej stronie, tuż za drzwiami do łazienki znajdowała się duża szafa wnękowa z jasnego drewna. Po łóżku właśnie skakali Jacek i Małgosia, wypróbując wytrzymałość sprężyn materaca. Ściana przeciwległa do szafy była prawie cała ze szkła, a za nią znajdowała się niewielka, oszklona również z zewnątrz weranda. Z werandy można było trzecim z kolei wyjściem wydostać się z domu.

Oględziny bungalowu wypadły pomyślnie. Dzieci były po prostu zachwycone. Małgosia z trudem dała się przekonać, że w małym pokoiku na pojedynczym, szpitalnym łóżku będzie jej zupełnie dobrze, a duże łóżko zajmą rodzice. Martwiła ją jednak spora odległość od mamy, do której łóżka od wyjazdu

taty często wędrowała w nocy. Jacek od razu wybrał sobie lokum położone najdalej od sypialni rodziców. Chciał chyba w ten sposób zaakcentować swoje starszeństwo.

Dom wydawał się wygodny i dobrze rozplanowany, a szczególnie podobała się Marii oszklona weranda.

— Tu można założyć ogród zimowy — zawołała oczarowana.

— Zimowy? W Afryce zimowy, ha, ha, ha! — zaśmiał się Jacek.

— To prawda, tu właściwie nie ma zimy, jest tylko pora sucha — poparł go ojciec. Wystrój salonu nie był w guście Marii. Zważywszy jednak, że meble zostały zakupione przez szpital i nie trzeba było wydawać na nie ani grosza, grzechem byłoby narzekać. Była naprawdę szczęśliwa, bo pierwszy raz mieli z Bronkiem dla siebie cały dom. Bronek zajął się przygotowaniem kolacji, a ona wypakowywała z walizek niezbędne do spania i toalety rzeczy. Potem pościelił łóżka i pomógł jej umyć kapryszą ze zmęczenia Małgosię. Córeczka zasnęła błyskawicznie na błękitnym łożu i wtedy ojciec przeniósł ją do małego pokoiku. Matkę podobnie jak córkę niepokoiła spora odległość dzieląca jej sypialnię od dziecinnych pokoików, ale mąż tłumaczył jej, że teren szpitala jest strzeżony i absolutnie bezpieczny.

Dzieci spały już twardo, gdy w sypialni rodziców rozległ się huk podobny do wystrzału. Na szczęście był to tylko wylatujący w górę korek szampana. Zmęczenie podróży nie zgasiło żaru tej powitalnej nocy i nie odebrało jej uroku. Później Maria błogosławiła projektanta bungalowu, który umieścił tak daleko pokoje dzieci od sypialni rodziców.

Zasypiając niemalże nad ranem, była przekonana, że od tej chwili jej życie będzie już prawdziwą bajką. Oto ukochany mąż spał tuż obok. Mogła dotknąć jego silnych ramion, położyć głowę na pięknie uformowanym torsie, mogła przyłgnąć doń całym ciałem i oddychać w tym samym rytmie co on. Najchętniej stopiłaby się z nim w jedno, żeby już nigdy nie tęsknić. Miała ochotę wybiec przez szklane drzwi werandy do ogrodu, by wykrzyknąć w tę ciemną noc swoje szczęście.

Rankiem Bronek cichutko wyszedł do pracy, a Maria spała nadal. W pewnym momencie drzwi sypialni otworzyły się z hukiem i do jej niebiańskiego łoża wpadły wystraszone dzieci.

— Mamo, ktoś się dobija do okna — wyszeptał Jacek ustami trzęsącymi się ze strachu.

— Ja też słyszałam — potwierdziła poważnie Małgosia i nakryła sobie głowę kołdrą.

— A gdzie tata? — zapytał syn.

— Tata jest w pracy — odparła Maria, starając się zachować spokój. — Chodźmy, zobaczymy, o co chodzi. Może ktoś pragnie powiedzieć nam dzień dobry. — Uśmiechnęła się do dzieci, chcąc sobie i im dodać otuchy.

Wsunęła stopy w ranne pantofle, zapominając oczywiście sprawdzić, czy nie

czai się tam skorpion lub jadowity pająk. Na szczęście niczego takiego nie było. Teraz i ona usłyszała bardzo natarczywe walenie w szybę dobiegające z odległego pokoju syna. Szybko podążyła w tamtym kierunku, bo obawiała się, że intruz stłucze szybę. Jacek schwycił po drodze duży pogrzebacz leżący obok kominka i skradał się za nią. Małgosia wyskoczyła spod kołdry i także dołączyła do pochodu. Trzymała się kurczowo nocnej koszuli matki, co nieco utrudniało Marii ruchy.

Okna w całym domu były zasłonięte grubymi, bawełnianymi storami w geometryczne brązowo-żółto-czarne wzory, więc mimo że świeciło jasne słońce, w pokojach panował półmrok, a dodatkowo nie było widać, co dzieje się na zewnątrz. Znalazszy się w pokoju syna, Maria szybko rozsunęła zasłony. Oczom jej i załknionych dzieci ukazał się niezwykle widok. Na zewnętrznym, kamiennym, szerokim parapecie siedziała szara, niewielka małpa i tłukła zawzięcie pięścią w szybę. Wcale nie przstraszyła się widoku ludzi. Maria w lot zrozumiała, o co zwierzęciu chodzi, spostrzegła bowiem leżący na parapecie od strony mieszkania niedojedzony poprzedniego wieczoru przez Jacka kawałek banana. Szybko usunęła poczerniały owoc i zaczęła klaskać i tupać, aby odstraszyć intruza. Zwinny amator bananów zgrabnie zeskoczył z parapetu i przebiegł przez niebieskoliliowy trawnik, aby ulokować się na niskim konarze rosnącego na wprost okna drzewa, gdzie miał swój azyl i zarazem znakomity punkt obserwacyjny. Dzieci zaczęły się śmiać i bić brawo.

— Jaka śliczna małpka! — zawołała Małgosia. — Dam jej swojego banana, to może się ze mną pobawi! — krzyknęła i doskoczyła do głównych drzwi, które na szczęście były zamknięte.

— Głupia, nie wolno! — krzyknął ostro Jacek i chwycił siostrę za ramię. — Nie pamiętasz, co mówił tata? Małpy są niebezpieczne. Nie wolno ich karmić. Potem będą się na nas rzucać i wydzierać nam jedzenie.

— To ty położyłeś banana na parapecie. Wczoraj rzuciłeś się na nie jak małpa — odgryzła się zaraz Małgosia.

— Bo je lubię, wiesz. Nie wiedziałem, gdzie położyć tego ostatniego, niedojedzonego, a już strasznie zachciało mi się spać — tłumaczył się Jacek. — Mamo, a gdzie my będziemy trzymać swoje rzeczy? W naszych pokojach są tylko łóżka.

— Zaraz coś wymyślę — odpowiedziała Maria synowi i podążyła do głównych drzwi domu, by wyjść do ogrodu, za oknem rozciągał się bowiem urzekający widok. Otworzyła drzwi na oścież i stanęła wraz z dziećmi na kamiennym ganku. Rozejrzała się wokoło i poczuła, że oto za życia trafiła do raju. Szczerze mówiąc, biblijny opis Edenu nie umywał się do tego, co teraz oglądały jej oczy. Cały rozległy trawnik przed domem miał kolor liliowy od pokrywających go drobniutkich kwiatków, które opadały z fiołkowo kwitnących drzew jacarandy.

Rosły one nie tylko wokół jej domu, lecz także w pobliżu wielu innych budynków. W morzu kwiatów i zieleni widać było właściwie tylko fragmenty dachów innych domostw. Ujrzała też niższe od lawendowych drzew kępy krzaków obsypanych wielokolorowym kwieciem: purpurowym, bordowym, fioletowym, różowym i kremowym. Początkowo sądziła, że ktoś tak zmyślnie pozostawiał krzewy tego samego gatunku, lecz kwitnące w różnych kolorach. Podbiegła do jednej z takich kęp i stwierdziła, że to jedna i ta sama roślina czaruje całą gamą barw. Zachwyciło ją też potężne drzewo o sinoszarej korze rosnące w szczycie ogrodu. Wyglądało jak monstualna miotła udekorowana wiązkami delikatnych, różowo-kremowych kwiatów.

Maria z dziecięcym zachwytem spoglądała na ten niezwykły świat, który wydał się jej czarodziejską bajką. Zrzuciła z nóg pantofle i boso stąpała po mokrej jeszcze od rosy trawie, zapomniawszy o niebezpiecznych stworzeniach, które mogą się w niej czaić. Wyciągała w górę ręce, do nieba, do słońca, a może przede wszystkim do Boga, żeby mu podziękować za piękno. Ożywczy zefirek wiejący od rysujących się na błękicie nieba granatowych gór zrzucał jej na twarz i w otwarte dłonie deszcz liliowych kwiatów, dekorował nimi długie, rude włosy i głaskał jej ciało obleczone jedynie w cienką koszulę nocną.

Maria miała oczy mokre ze wzruszenia. Dzieci również boso przybiegły do niej po trawie i stały, podobnie jak ona, w niemym zachwycie. Słońce świeciło już ostro, ale powietrze było jeszcze rześkie, ożywcze i pachniało przepięknie. Stali tak chwilę wszyscy troje, wsłuchując się w śpiew ptaków, odgłosy wydawane przez mały i chłonąc te wspaniałe widoki. Nagle usłyszeli ludzkie głosy i śmiechy.

— *Dumela! Dumela!*¹ — wołały czarne kobiety, które ukazały się na ścieżce przecinającej zieloną przestrzeń, pokrytą wysoką trawą i zmierzwioną roślinnością, rozciągającą się tuż za siatką ogradzającą ich posesję. Kobiety ubrane w niebieskie, robocze fartuchy miały na głowach ciepłe, różnokolorowe berety, jakie w strefie umiarkowanej zakłada się wyłącznie w zimie, jedne filcowe, inne zrobione z włóczki na drutach lub szydełku. W rękach i na ramionach niosły różne narzędzia ogrodnicze. Dwie, idące na przedzie, ostrymi maczetami torowały sobie drogę w roślinnym gąszczu, poszerzając zarastającą zapewne stale ścieżkę. Maria domyśliła się, że ją pozdrawiają, lecz nie wiedziała, jak odpowiedzieć w ich języku. Zamiast odezwać się po angielsku, zrobiła to po polsku.

— Dzień dobry! — zawołała i pomachała ręką.

— Dzin dobry — usłyszała zgodny chór głosów zza siatki. Wszystkie kobiety się zatrzymały. Jedne oparły się na niesionych narzędziach, inne wprost o siatkę i stały z uśmiechami przyklepionymi do dużych, mięsistych warg, wpatrując się jak urzeczony w nią i dzieciaki.

Poczuła się nieco skrępowana tym nieskrywanym zainteresowaniem, więc znów uśmiechnęła się uprzejmie, skinęła głową i ponownie pomachała do nich

ręką. Kobiety zrobiły to samo, jakby były jej lustrzanymi odbiciami, i stały nadal.

— Dzieci, biegiem do domu, ubieramy się — krzyknęła Maria, bojąc się, że może swoim negliżem naruszyła jakieś tabu. W pośpiechu naciągnęła lekką sukienkę, która, szczerze mówiąc, niewiele różniła się od jej nocnej koszulki, tyle że była nieco dłuższa. Dzieciakom dała świeżą bieliznę, krótkie spodenki i podkoszulki, ale przykazała założyć buty. Potem zajęła się przygotowaniem śniadania. Trochę to wszystko trwało, bo ubrania wciąż były w walizkach, a i w kuchni też nie bardzo wiedziała, gdzie czego szukać.

Gdy po jakichś trzydziestu minutach chciała nakryć na ganku do śniadania, ze zdumieniem spostrzegła, że czarne kobiety nadal stoją w tym samym miejscu i gadają, zamiast zabrać się za pracę, do której się chyba szykowały. Postanowiła je zignorować i zawołała dzieci na śniadanie. Jedli chwilę w ciszy i z poczuciem zażenowania, bo każdy ich ruch, każdy kęs śledziło kilka par czarnych oczu. Z ust obserwatorek dochodziły nie tylko słowa w niezrozumiałym języku, lecz także jakieś dziwne pomrukiwania, kląskania, okrzyki zdziwienia czy zachwytu oraz dużo, dużo śmiechu. Maria zastanawiała się nad tym, czy nie powinna tych pań czymś poczęstować, ale nie bardzo miała czym. Zaopatrzenie zrobione przez męża było raczej mizerne, a należało wyczarować z tego jeszcze kilka posiłków dla rodziny, zanim Bronek będzie mógł zawieźć ich do sklepu.

Nie wytrzymała nerwowo, poderwała się z krzesła, zabrała zdumionym dzieciom sprzed nosa talerze z niedokończonymi płatkami i pobiegła do jadalni. Siedząc w domu, obserwowała przez okno, co robią Murzynki. Postały jeszcze dłuższą chwilę i rozczarowane ruszyły wreszcie w swoją stronę. Gdy późnym popołudniem Bronek wrócił ze szpitala, opowiedziała mu poranne zdarzenie. Śmiał się, tłumacząc, że będzie musiała się przyzwyczaić, bo czarni nie kryją swojej ciekawości i nie uważają jej za wścibstwo.

— Jesteśmy dla nich jak aktorzy z telewizyjnego serialu. Oni niczego od nas nie oczekują, po prostu chcą sobie popatrzeć.

Ani tego dnia, ani następnego rodzina Guziałów nie wyszła poza obręb swojego ogrodu. Bronek nie mógł zbyt oddalać się od telefonu, gdyż miał dyżur na tak zwanym drugim „callu”. Nosił przy sobie pager, którym można było w każdej chwili go wezwać. Po takim alarmie musiał niezwłocznie skontaktować się ze szpitalem, żeby otrzymać pełną informację, jaki oddział i dlaczego go wzywa. Wsiadał wówczas do służbowego pikapa i gnał wyasfaltowaną alejką do pawilonu, w którym go potrzebowano. Tego popołudnia powtarzało się to kilkakrotnie, a tuż nad ranem wezwano go jeszcze na porodówkę do cesarki.

— Tyle mieliście wczoraj operacji, że tak często byłeś wzywany do znieczulania? — spytała Maria męża następnego dnia po dyżurze.

— Wiesz, ja tu nie tylko znieczulam. W zasadzie załatwiam wszystko, zarówno zabiegówkę, jak i inne problemy. To bardzo stresujące. — Bronek potarł

czoło, gdyż bolała go ze zmęczenia głowa. — Wśród nas, imigrantów, jest wielu specjalistów, ale w RPA nie uznają naszych specjalizacji. W Mapulanengu zresztą na ogół nie mamy możliwości wykorzystać całej naszej wiedzy. Na te warunki lepsi od nas są tutejsi lekarze rodzinni, *general practitioners*, czyli GP. Są bardziej uniwersalni. Mamy tu dwóch doskonałych czarnych GP, którzy potrafią wykonać wszystkie podstawowe zabiegi chirurgiczne, robią też cesarki, a poza tym świetnie radzą sobie ze znieczuleniami. W zasadzie umieją wszystko, co potrzeba na tym podstawowym poziomie. Jestem pełen uznania — kontynuował swój pean Bronek. — Do tego są bardzo serdeczni i chętnie nam pomagają. Ich rady są nieocenione, bo znają specyfikę organizmów czarnych, ich reakcję na różne leki i tutejsze choroby. Bez nich popełnialibyśmy sporo błędów.

— To między białym a czarnym człowiekiem są jeszcze jakieś inne różnice niż kolor skóry? No, nie wmawiaj mi, że Murzyn to taki człowiek na wcześniejszym etapie ewolucji — zachnęła się Maria, która od pewnego czasu stała się bardzo uwrażliwiona na wszelkie przejawy rasizmu.

— Ja przecież nic takiego nie powiedziałem. — Bronek był zdziwiony wnioskami, jakie żona wysnuła z jego wypowiedzi. — To chyba jasne, że organizmy przystosowują się do warunków życia. Tutaj to jest widoczne jak na dłoni. Wśród czarnej biedoty prawie nie ma problemów kardiologicznych, a zwłaszcza wieńcówki. Ale jak do szpitala trafił czarny ksiądz, choć był stosunkowo młodym człowiekiem, miał rozległy zawał.

— No tak. Przepraszam za ten atak. Wtedy tam, na drodze wydawało mi się... Nie moglibyśmy przecież tu mieszkać, gdybyśmy uważali ich za gorszych. A ja bym nie mogła ciebie kochać, gdybyś... — Maria rozpoczynała zdania i ich nie kończyła. Z jednej strony chciała wykorzystać okazję i porozmawiać z mężem o swoich przodkach, o tym, czego dowiedziała się od babci, a z drugiej zorientowała się, że chyba źle zaczęła, dążąc do zwady i jakiejś niepotrzebnej konfrontacji. Miała wątpliwości, czy to szczęśliwy pomysł, żeby w ogóle łączyć ten temat z rasizmem, dała więc spokój.

Bronek miło zareagował na przeprosiny i niedokończone wyznanie miłości, pocałował jej dłoń od wewnątrz, a potem szedł wyżej i wyżej.

— Opowiedz jeszcze coś o szpitalu, bo dzieci na razie nie śpią — zaproponowała, uśmiechając się porozumiewawczo do męża i delikatnie go od siebie odsuwając.

— To opowiem ci, jakim ignorantem ginekologicznym się okazałem, chociaż jakiś czas pracowałem przecież w klinice pod okiem twojego znakomitego ojca. Wkrótce po rozpoczęciu pracy tutaj przyjąłem na chirurgię nastolatkę z ostrym, według mnie, brzuchem. Byłem pewien, że ma zapalenie otrzewnej. Ściągnąłem więc chirurga, też Polaka, i on po badaniu potwierdził moją diagnozę. O mało co pokroilibyśmy biedną dziewczynę, gdyby nie przyszedł akurat doktor

Mabunda. Przeciął pacjentce błonę dziewiczą i błyskawicznie uwolnił ją od cierpienia. Czuliśmy się głupio, bo my obaj specjaliści drugiego stopnia, a on tylko GP. Wyjaśnił nam, że to dość często spotykana u czarnych przypadłość. Błona dziewicza jest tak zarośnięta, iż uniemożliwia odpływ krwi miesięczkowej. U białych pacjentek teoretycznie też to może zaistnieć, ale praktycznie prawie się nie zdarza.

Miło było tak wieczorem gwarzyć sobie we dwoje, siedząc na ganku, i popijać przez słomkę sok z lodem. W trawie gdzieś zawzięcie hałasowały ogromne świerszcze, w ciemnych chaszczach jakieś stworzenie wydawało dziwne, niepokojące odgłosy. Po czarnym niebie przelatywały z piskiem nietoperze. Maria czuła się dobrze i bezpiecznie. W dziecinnych pokojach zgasły światła, a Broniek przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. W sypialni czekało na nich błękitne, bardzo wygodne łóżko. Była naprawdę w siódmym niebie.

dzień dobry (sesotho, jęz. części czarnej ludności RPA) [[wróć](#)]

ROZDZIAŁ 11

W sobotę Broniek mógł wreszcie wyłączyć pager i jechać z rodziną na zakupy do Bushbuckridge. Maria i dzieci w blasku dnia przyglądali się okolicy. Teraz dokładnie było widać zbudowane z czego bądź i przyklepione do górskich zboczy jak jaskółcze gniazda przedziwne domostwa czarnej ludności. Ich mieszkańcy wąskimi, czerwonymi ścieżkami zdążali w dół do marketu lub pieli się w górę, wracając objuczeni zakupami niesionymi najczęściej na głowie. Kobiety dźwigały ogromne plastikowe baniaki z wodą tak, jakby te nic nie ważyły. Mając wolne ręce, dużo nimi gestykulowały podczas rozmowy. Śmiały się głośno, często przystawały. A na plecach wielu z nich, jak w miękkim siodle, zaparte o duże pośladki i przywiązane ręcznikiem, siedziały okrakiem czarniutkie, prześliczne niemowlęta. Starsze dzieci nierzadko były obdarte i umorusane. Taszczyły do domu ogromne plastikowe wory kukurydzianych chrupek lub popcornu albo biegały wokół matek, wzbijając na piaszczystych drogach i drózkach tumany rdzawego kurzu.

Widać było, że miejscowi czarni żyją w biedzie. „Może nie cierpią głodu, jak to się dzieje w innych częściach Afryki, ale brak im dostępu do podstawowych zdobyczy cywilizacji, a ich dochody na pewno są bardzo skromne. Na co im taki sklep?” — zastanawiała się Maria, kiedy Broniek zaparkował na przestronnym parkingu przed kompleksem eleganckich, przeszklonych, murowanych budynków. Sama powierzchnia tego obiektu, w stosunku do wielkości murzyńskiej chaty, była oszałamiająca. Pod jednym dachem znajdował się tu bowiem hipermarket o nazwie Score, kilka filii różnych banków, jakieś biura, salony usługowe i butiki, a także różnorakie, specjalistyczne sklepiki. Centrum dawało schronienie również rzemieślnikom, których warsztat ograniczał się na ogół do maszyny krawieckiej lub szewskiego zydelka. Mały stolik, taboret i kartka papieru z długopisem były na przykład miejscem pracy pisarza. Nie tworzył on utworów literackich, a jedynie odpłatnie świadczył usługi analfabetom.

W Score półki uginały się od towarów, a dotychczasowe życie Marii i jej dzieci upłynęło w kraju, gdzie wszystkiego wciąż brakowało, nic więc dziwnego, że to bogactwo zrobiło na nich jeszcze większe wrażenie niż ogromna powierzchnia sklepu. Broniek, uśmiechając się z wyrozumiałością, posłusznie fotografował rodzinę pozującą na tle regałów z sokami i przy stoisku z górami egzotycznych owoców. Z rozczuleniem i lekką wyższością patrzył na dziecinne reakcje żony i zachłanność dzieci, które chciały kupić prawie wszystko. Szybko zapomniał, iż zaraz po przyjeździe do RPA on sam przeżył jeszcze większy szok, gdy Adam zawiózł go w Johannesburgu do eleganckiej Cresty. Było tam dosłownie wszystko, czego tylko dusza zapragnie, a nawet więcej, bo doktorowi z Polski

nawet do głowy nie przyszło, że mógłby pragnąć takich rzeczy.

— Zostaw to. To tandeta dla czarnych. Tutaj kupujemy tylko jedzenie na parę dni. Żadnych zakupów do domu, żadnych ciuchów — tłumaczył spokojnie. — Jak pojedziemy do Nelspruit, oko wam zbieleje i będziecie żałować.

Miał rację. Wkrótce Maria także nauczyła się rozróżniać sklepy lepsze i gorsze. Z czasem zrozumiała, że nie stać ich na drogie rzeczy. Zaczęła więc kupować najtańsze artykuły w nieco lepszych sklepach. Do naprawdę eleganckich magazynów nie miała nawet po co wchodzić. Doceniła też ubrania, które przywiozła ze sobą. Wyprodukowane w państwowych, ale renomowanych firmach były naprawdę dobrej jakości. A potem przyszedł czas, gdy zakupy stały się już tylko przykrą, męczącą koniecznością, a nie fascynującą przygodą. Ale ten pierwszy, wiejski hipermarket zapamiętała na zawsze.

Wtedy też po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest w afrykańskiej mieszaninie zapachów jakaś niezbyt przyjemna dla jej powonienia nuta. Score nie był tak eleganckim sklepem, żeby specjalnie rozpylano tu wabiące klientów aromaty. Wyłożone na ladach mięso i ryby uwalniały niestety niemiłą woń, ale dalej za to pięknie pachniały owoce. Na stoisku garmazeryjnym skwierczał tłuszcz na piekących się na rożnach kurczakach i przypalały się różne ziołowe przyprawy. Bliżej kas zapachy jedzenia słabły, a wzrastał się właśnie ten drażniący. Kiedy Maria stanęła pomiędzy ludźmi w długiej kolejce do kasy, nareszcie zidentyfikowała jego pochodzenie. Był to zapach skóry czarnego człowieka.

Woń dolatująca od kobiet była przytłumiona i nie tak intensywna. Większość z nich, idąc do centrum handlowego, zapewne się umyła i zmieniła odzież, a może użyła też dezodorantu oraz różnych perfumowanych kosmetyków. Poza tym uwieszone na nich maluchy wysmarowane były pachnącą oliwką dla dzieci. Maria miała nieodpartą ochotę pogłaskać którąś z czarnych, wełnianych główek. Mimo trudnych warunków, w jakich mieszkali czarni, kobiety i niemowlaki wyglądały bardzo schludnie. Rozsiewcą niezwykle ostrego zapachu był w tej kolejce młody, muskularny i świecący się od potu mężczyzna, który stanął zbyt blisko niej. Ubrany był jedynie w granatowe, pobrudzone ziemią, robocze spodnie. Próbowała schować nos w jednorazową chusteczkę i oddychać ustami, ale na niewiele się to zdało. Najchętniej porzuciłaby wózek z zakupami i wybiegła szybko na świeże powietrze, ale nie wiedziała, jak wytłumaczyć swoje zachowanie dzieciom i Bronkowi. Nie mogła przecież powiedzieć, że odrzuca ją zapach czarnego, ciężko pracującego człowieka. Nie chciała wyjść na rasistkę. Przypomniała sobie, że także w Polsce smród spoconych ciał nieraz zniechęcał ją do jeżdżenia latem tramwajami i autobusami, ale nigdy jej reakcja nie była aż tak gwałtowna. „Ciekawe, czy czarni też odczuwają nasz zapach jako coś nieprzyjemnego?” — pomyślała i zaczęła się rozglądać, czy jeszcze któraś z kobiet nie chowa nosa w chusteczkę.

— Wiesz, chyba nie mogłabym być lekarzem, bo bardzo mocno reaguję na

zapachy, a w waszej praktyce często zdarzają się nieprzyjemne sytuacje... — powiedziała ni z tego, ni z owego.

— To fakt, ale można się przyzwyczaić — odparł Bronek. — Na szczęście ty nie musisz. Tu nic nie będziesz musiała robić, tylko pięknie wyglądać i pachnieć dla mnie — dodał i pocałował ją mocno w usta, a dzieci zaczęły bić brawo.

— Mamo, czy teraz zrobicie mi siostrzyczkę? — spytała Małgosia.

— O nie! Brata dla mnie. Ja jestem starszy, mnie się pierwszemu należy — upomniał się Jacek.

— Może to nie jest taki zły pomysł? — Maria spojrzała pytająco na męża. — Najlepiej od razu bliźnięta, chłopca i dziewczynkę, żeby było sprawiedliwie — zaśmiała się, ale Bronek nie miał ochoty na żarty. Minę miał taką, jakby się przestraszył.

— Nie, wykluczone! Żadnych więcej dzieci. Wy nam zupełnie wystarczacie — powiedział, nie patrząc na żonę.

Maria poczuła się jak smagnięta batem. Nie rozumiała, co mu się stało, dlaczego nagle stał się taki nieprzyjemny. Przecież jeszcze niedawno zapewniał ją w listach, że w RPA są świetne warunki do wychowywania dzieci. Wiedział, jak bardzo marzyła o licznej rodzinie. On też kiedyś nawet żartował, że chciałby mieć z nią całą drużynę piłkarską. Od przyjazdu kochali się już wielokrotnie, a mąż nawet nie wspominał o żadnym zabezpieczeniu. „Czy to znaczy, że gdybym zaszła w ciążę, kazałby mi się jej pozbyć?” — myślała z lękiem.

Od urodzenia Małgosi to właśnie Bronek zajmował się kalendarzykiem małżeńskim, który, jak wiadomo, bywa zawodny. Wyliczał dni płodne, bo nienawidził używać prezerwatyw, a nie chciał, żeby ona faszerowała się hormonami. Odkładali decyzję o następnym dziecku, bo Bronek najpierw robił specjalizację i potrzebował spokoju, a potem myśleli już o wyjeździe za granicę. Oboje jednak godzili się, że w razie wpadki będą mieli kolejnego potomka.

Ze względu na obecność dzieci Maria nie kontynuowała tej rozmowy. One na szczęście szybko zajęły się czym innym, a ona próbowała poradzić sobie z tym, co w tak kategorycznej formie padło z ust męża. Jej czarne oczy nagle posmutniały i przygasły. Z zazdrością przywołała obraz stojącej w drzwiach swojego domku czarnej Nancy, *maid* Adama. Zapamiętała, z jaką czułością ta młodzianka i śliczna Murzynka gładziła się po zaokrąglonym, ciężowym brzuszku. Nancy wydawała się taka spokojna i szczęśliwa. Maria też taka była, gdy chodziła w ciąży z Małgosią. Cięża uruchamiała w jej organizmie produkcję endorfin i po prostu była szczęśliwa.

Kiedy wrócili do domu, wzięła przywiezioną z Polski papeterię, wyniosła mały stoliczek w koniec ogrodu, gdzie wysoki bananowiec rzucał przyjemny cień. Nie chciała siedzieć na ganku, bo potrzebowała spokoju i skupienia. Zaczęła pisać:

„Kochana Babciu! Żyję teraz w prawdziwym raju, ale jednocześnie bardzo

tęsknię do Was i do wszystkiego, co miałam, zanim tu przyjechałam. Nie mogę też odnaleźć mojego dawnego Bronka. Może długa samotność i konieczność zmierzenia się z dużą ilością trudnych spraw spowodowała, że jest bardziej stanowczy, nerwowy i oschły”. Już miała skreślić ostatnią część zdania, ale pomyślała, że może babcia, taka mądra i doświadczona kobieta, coś poradzi na te smutki. Do jej duszy zakradła się melancholia, choć spełniło się wszystko, o czym marzyła, a właściwie rzeczywistość nawet przerosła jej oczekiwania. Opisała babci najbliższą okolicę Mapulanengu, osoby zamieszkujące teren szpitala, z którymi miała okazję już się poznać, no i ten niesamowity sklep. Sporo uwagi poświęciła pracy Bronka i samopoczuciu dzieci.

„Jestem w zasadzie szczęśliwa” — pisała. „Lecz czuję się tu małą, bezradną sierotką. Mam nadzieję, że dzieci tego jeszcze nie spostrzegły, bo im potrzebna jest silna, pewna siebie matka, zapewniająca poczucie bezpieczeństwa. Nie znaczy to, że mnie lub dzieciom cokolwiek zagraża. Nie martw się, mieszkamy w spokojnej okolicy. Wszyscy czarni wyglądają tu na bardzo przyjaznych. Problemu nie stanowią też jadowite węże, skorpiony czy pająki. Nie mam obsesji na tym punkcie, jak inne panie doktorowe, które po alejkach naszego terenu poruszają się wyłącznie samochodem. Ja chętnie spaceruję i podziwiam tutejszą roślinność. Kusi mnie też zwiedzenie zielonej doliny rozciągającej się za ogrodzeniem. Chętnie zbadałabym, dokąd wiodą wąziutkie ścieżki ginące w buszu i kto je wydeptuje, bo ludzi nigdy na nich nie widziałam. Fascynuje mnie też widok granatowych gór na horyzoncie, które aż się proszą, by przemierzyć je z mapą i plecakiem.

Bronek obiecuje wycieczki, jak tylko będzie miał wolne, ale o samodzielnych, pieszych wędrówkach, jakie odbywaliśmy z dziećmi po Górach Świętokrzyskich, nawet nie chce słyszeć. Może ma rację, że dzieci są jeszcze za małe na takie eskapady. Jak widzisz, Bronek myśli o nas, a poza tym nie mieszkamy w dżungli, jak Staś i Nel z *W pustyni i w puszczy*, lecz w cywilizowanym, wysoko rozwiniętym kraju. Mój niepokój to coś całkiem wewnętrznego. Wypływa ze mnie i sama muszę go pokonać.

Żebyś miała pojęcie, w jak pięknym miejscu mieszkamy, przesyłam Ci ususzone kwiatki, które nazbierałam w okolicy naszego domu. Myśl o mnie i módl się w naszej intencji. Twoja Maryjka”.

List do babci, zanim został wysłany do Polski, leżał jeszcze cały tydzień na półce. Wrzuciła go dopiero razem z kartkami do matki i doktora Karola, gdy pojechali na następne zakupy.

ROZDZIAŁ 12

Każdego dnia Maria poznawała nowe, ciekawe zakątki terenu należącego do Mapulaneng Hospital. Ten wybudowany niegdyś przez Szwajcarów szpital mieścił się w ogromnym parku, gdzie posadzono przepięknie kwitnące, ciepłolubne rośliny z różnych części świata. Przez wiele lat były one pielęgnowane ze szwajcarską dokładnością i pieczołowitością. Ale gdy obiekt przeszedł w ręce czarnych administratorów, zabrakło niestety tej dbałości. Obszar wokół szpitala coraz mniej przypominał więc park, bo zwykły afrykański busz wdzierał się tu szybciej, niż pracowały powolne brygady posyłane z maczetami, grabiami i różnymi innymi narzędziami do walki z dziką zielenią. Asfaltowe jezdnie stosunkowo najlepiej broniły się przed tą inwazją, chociaż bywało, że i tu jakiś uparty, twardy korzeń nagle rozsadał nawierzchnię, tworząc niebezpieczny dla resorów przełom. Gorzej było ze żwirowymi alejkami, które miały służyć wyłącznie pieszym. W porze mokrej, która właśnie się rozpoczynała, alejki zarastały w tempie dużo szybszym, niż pracowały brygady czarnych robotników, posypiających tu i ówdzie wśród wysokich traw lub z lubością obserwujących życie rodzin białych lekarzy. Jeśli więc chciało się pobiec ścieżką na skróty do sąsiada, trzeba było brodzić w trawie sięgającej niekiedy nawet powyżej pasa.

Maria obejrzała wszystkie domy, ale tylko w części zamieszkaną przez białych. Na „czarną” stronę nie wchodziła, nie ze strachu przed mieszkającymi tam ludźmi, bo byli to przecież pracownicy szpitala, ale z wrodzonej delikatności. W „białej” części jeszcze nie wszystkie bungalowy były zajęte, bo szpital czekał wciąż na nowych lekarzy lub na rodziny tych już tu zatrudnionych. W jednym z mniejszych domków tymczasowo mieszkało dwóch doktorów, ginekolog i laryngolog, których rodziny miały dojechać lada dzień. Przeznaczone dla nich bungalowy były właśnie odświeżane. Obok tych chwilowych samotników zamieszkiwało dwóch innych lekarzy. Starszy, chirurg, był rozwiedziony, a młodszy, który nie miał jeszcze żadnej specjalizacji, był kawalerem. Zdecydowali się zamieszkać pod jednym dachem, by zaoszczędzić na czynszu.

Domek położony w zacisznej dolince, nieco na uboczu, był chwilowo pusty. Dotąd zajmowała go młoda lekarka, internistka, z dużo starszym od siebie mężem, chirurgiem, i z ich siedmioletnim synkiem. Kilka tygodni wcześniej ów chirurg zmarł nagle i owdowiała kobieta wyjechała na jakiś czas do Polski, by pochować tam męża i pozalać sprawy spadkowe. Inny niewielki bungalow, stojący zaraz przy bramie wiodącej do szpitala, należał do starszego nieco małżeństwa, chirurga i internistki z Wrocławia. Ta bezdzietna para znakomitych fachowców od wielu lat wędrowała po świecie, zatrudniając się w różnych urokliwych miejscach globu. Ich pasją było zbieranie ciekawych doświadczeń, wrażeń i pamiątek.

Maria zorientowała się, że wszystkie domy w tej części mają podobny standard i są bardzo do siebie podobne. Musiała jednak przyznać rację Bronkowi, że ich bungalow jest nowszy i większy, a ponadto, tak jak sąsiadująca z nim posesja superintendenta, posiada jeszcze garaż i jest ogrodzony siatką. Siatka miała niestety w kilku miejscach dziury, ale Bronek był bardzo dumny, że udało mu się wywalczyć właśnie ten dom. Zanim poznał bliżej swojego sąsiada i jego żonę, liczył w cichości ducha na nawiązanie z nim bliższych kontaktów towarzyskich. Potem zaś raczej, na ile było to możliwe, unikał swego zwierzchnika ze względu na jego specyficzny charakter i trudne do zaakceptowania w cywilizowanym świecie maniery.

Na razie Maria o swoich najbliższych sąsiadach wiedziała tylko tyle, że ciężarna żona superintendenta niedawno przyjechała ze swoim synem z Kanady. Nie spotkały się dotąd, bo kobieta praktycznie nie opuszczała domu. Źle zniosła długą podróż i dobijały ją rozpoczynające się właśnie upały. Superintendentowa leżała w głębi swojego domu na łóżku, ale od rana do wieczora w całym obejściu, a także u sąsiadów, słychać było jej donośny, niesympatyczny głos. Co chwilę wzywała przed swoje oblicze jedenastoletniego syna Łukasza lub czarną *maid*. *Maid* zmieniały się co kilka dni, bo jakoś dziwnie kobieta nie miała szczęścia do służby. A może to służba nie miała szczęścia w tym domu.

Czarne dziewczyny zatrudnione jako *maid* na ogół wykonują wszelkie czynności powoli, bez pośpiechu, dbając o to, żeby na dłużej starczyło im zajęcia. Żona dyrektora obdarzona była cholerycznym charakterem, miała mało cierpliwości i jeszcze mniej taktu, więc co jakiś czas wywoływała karczemną awanturę i zwalniała służącą. Na szczęście ubliżała dziewczynie po polsku, więc nie było obawy, że jej zachowanie ściągnie na nią gniew całej czarnej ludności obrażanej w osobie *maid*.

Synek pani superintendentowej był szybki jak iskierka, urwisowaty, ale bardzo sympatyczny. Wołany przez matkę wpadał do domu, w biegu wykonywał jej polecenie i już za moment ponownie gnał jezdnią na rowerze, rolkach lub odbijał o mur piłkę. Od pierwszego dnia składał też błyskawiczne wizyty Guziałom, wybierając drogę na skróty, czyli przez dziurę w siatce. Szybko zaprzyjaźnił się z Jackiem, którego był rówieśnikiem, i niejako z konieczności bawił się również z Małgosią. Nawiązywanie kontaktów przychodziło mu bardzo łatwo, w każdym razie dużo łatwiej niż spokojne stanie lub siedzenie. Chłopiec ten bowiem zawsze musiał się kręcić, wiercić, podskakiwać lub przynajmniej drapać. Łukaszek był sympatycznym, ale zdecydowanie nadpobudliwym dzieckiem.

Pociechy Marii już pierwszego dnia zapoznały się ze wszystkimi białymi dzieciakami oraz z dwoma czarnymi chłopcami, którzy jako najbardziej odważni przekroczyli bramę dzielącą „białą” i „czarną” część Mapulanengu. Maria wciąż znała większość osób tylko z widzenia. Owszem kłaniała się, uśmiechała

i wymieniała grzecznościowe formułki, lecz gdy ktoś mówił zbyt wiele lub próbował zadawać za dużo pytań, szybko oddalała się pod byle pretekstem. Bała się, że życie tej zatopionej wśród ludzi innej rasy i kultury enklawy Polaków, zgromadzonych tutaj przecież przypadkowo, może szybko przyjąć formę swoistej komuny. Do takiej bliskości z obcymi ludźmi nie była przyzwyczajona i wcale jej nie pragnęła.

W Polsce nie lubiła bywać na balach ani chodzić na tak zwane prywatki. Miała partnera, którego zazdrościły jej inne kobiety, a jednak paradoksalnie wołała się z nim nie pokazywać. Była zakompleksiona, uważała się za osobę mało interesującą. Denerwowała się na siebie, że nie potrafi swobodnie dowcipkować, a błyskotliwe riposty przychodzą jej do głowy zawsze za późno. Wmawiała sobie, że nie umie się elegancko ubrać i w rezultacie nigdy nie wygląda efektownie. W towarzystwie z lękiem obserwowała inne kobiety. Cierpiała, gdy uśmiechały się zalotnie do jej męża i posyłały mu gorące spojrzenia. Była też pewna, że wymieniały na boku złośliwe uwagi na jej temat. Toczyła z nimi wymaginowany bój o Bronka. Gdyby więcej uwagi poświęciła temu, jak na nią reagują mężczyźni, jej kompleksy mogłyby przemienić się w pewność siebie, a nawet zarozumiałość. Ale jedynym mężczyzną, który interesował Marię, był jej mąż, inni raczej ją irytowali lub wprawiali w popłoch. Nie dowierzała komplementom, szukała w nich podstępów i nieszczeroci.

Tak więc Maria niby wiedziała już, kto gdzie mieszka, ale nie mogła powiedzieć, że poznała białych mieszkańców Mapulaneng Hospital. Z dziećmi poszło jej dużo łatwiej. W końcu miała doświadczenie jako przedszkolanka. Wkrótce wokół jej domu było jak na międzynarodowym placu zabaw. Oprócz Jacka i Małgosi kręciło się tu sześcioro innych polskich dzieci, troje malutkich Hindusów i dwóch czarnych jak smoła synów administratora szpitala. Śniadymi i ślicznymi Hindusikami pozornie opiekowała się czarna dziewczyna, która bez pytania przyprowadzała ich do Marii, a potem kładła się na trawie w cieniu bananowca i natychmiast zasypiała.

Białe dzieciaki były wyłącznie polskiego pochodzenia. Maria mogła zatem rozmawiać z nimi w ojczystym języku. Zaraz też dowiedziała się, w których domach mieszkają, od jak dawna przebywają w RPA i co robią ich rodzice. Dwaj czarni chłopcy zjawiali się dopiero po południu, bo uczęszczali do szkoły, często mieli jeszcze na sobie czarne, szkolne mundurki. Maria chętnie dowiedziałaaby się czegoś o nich, lecz krępowała się używać swego kalekiego angielskiego. A właściwie jeszcze bardziej bała się, że nie zrozumie nic z tego, co oni będą mówili. Jej dzieci takich oporów nie miały, dogadywały się z innymi na migi albo każdy mówił po swojemu i dziwnym trafem zabawa układała się bezkonfliktowo.

Z wizytą u Marii pierwsza zjawiała się Hinduska. Stojąc jeszcze na ścieżce za siatką, nakrzyczała na śpiącą czarną opiekunkę swoich pociech, a potem

przykuśtykała na ganek, gdzie Maria czytała książkę. Wygląd kobiety bardzo zaskoczył Marię. Poprzedniego dnia bowiem Bronek zaprowadził ją na szpitalny kort, gdzie sympatyczny i młodo wyglądający Hindus, ubrany w elegancki biały strój do tenisa, rozgrywał z polskim chirurgiem mecz. Polak nie reprezentował dużych umiejętności, a w swoim powyciąganym podkoszulku i niezgrabnych sięgających za kolana gatkach wyglądał fatalnie. Smagły i szybki jak iskra Hindus nie był wysoki, ale miał ładne rysy i zgrabną sylwetkę.

— Kto to? — spytała Maria.

— Hindus jest dentystą — odparł Bronek. — Niezły z niego kogut. Ma chyba z dziesięcioro dzieci i zdaje się, że następne w drodze, ale to jedenaste będzie z drugą żoną. Rashid niedawno owdowiał i bardzo szybko ożenił się powtórnie.

Nie wiadomo, dlaczego Maria spodziewała się, że żona Rashida będzie ładna, a przynajmniej w jakiś sposób atrakcyjna. Tymczasem ładne było tylko bogato zdobione, cieniutkie sari, w kolorze burgunda, które miała na sobie. Ta niska, ułomna kobieta wydawała się zdecydowanie za stara na żonę poznanego dzień wcześniej chłopięcego tenisisty. Luźne sari i zniekształcona kalectwem figura sprawiały, że trudno było orzec, czy, jak podejrzewał Bronek, jest ona w ciąży, czy też ma po prostu duży brzuch. Twarz za to miała bardzo szczupłą, pożółkłą i pomarszczoną. W gładko zaczesanych i bezpretensjonalnie związanych z tyłu głowy długich, bujnych, czarnych włosach srebrzyły się już siwe pasma. Postarzał ją jeszcze bardzo mocny i ciemny makijaż oczu, który sprawiał, że w chudej twarzy wyglądały one jak oczodoły.

Maria aż się cofnęła, gdy Hinduska wyciągnęła do niej ręce z palcami podobnymi do szponów i w uśmiechu wyszczerzyła śnieżnobiałe, ale za duże w stosunku do twarzy zęby. Kobieta miała przeraźliwie drapieżny wygląd, lecz najwyraźniej pokojowe zamiary.

— Mam na imię Binita — powiedziała niskim, matowym, niemalże męskim głosem i zza pleców wyciągnęła talerz z ciastem.

— Miło mi cię poznać — wyrecytowała płynnie po angielsku Maria, a dalej radziła sobie raczej półsłówkami i gestami.

Ciasto było pyszne, ale bardzo słodkie. Dzieciaki uporały się z nim w mig. Binita okazała się niezwykle sympatyczna. Jej rozmowa z Polką toczyła się jednak bardzo opornie. Maria miała duże trudności, żeby zrozumieć gościa. Była straszliwie spięta. Ze zdenerwowania nie mogła się skupić, przeszkadzały jej hałasujące wokół dzieci. Binita trajkotała jak najęta i dużo się śmiała. Maria z uprzejmości uśmiechała się w tych samych momentach. Kiedy jednak Hinduska przeszła do pytań, gospodyni zrobiło się gorąco z wrażenia. Coś tam dukwała o sobie, ale nie była pewna, czy dobrze rozumiała pytanie, bo teraz z kolei jej gość uśmiechał się tak jakoś wymijająco i niepewnie.

Gdy Binita wreszcie zabrała uroczą trójeczkę dzieci oraz rozbudzoną następną połajanką *maid* i poszła do domu, Maria odetchnęła z ulgą. Miała świadomość, że powinna jak najczęściej zapraszać i odwiedzać Hinduskę, żeby nauczyć się od niej angielskiego. Znając siebie, nie miała wątpliwości, że od tego momentu będzie unikać tej kobiety jak ognia. Czuła się potwornie zawstydzona i zdołowana. W uszach dźwięczały jej słowa matki, która od najwcześniejszych lat powtarzała, że Maryjka jest złym, gnuśnym i leniwym dzieckiem, marnuje czas i pieniądze, jakie się w nią inwestuje. Zaraz więc usiadła i napisała list do matki, w którym przyznała się do tęsknoty za krajem i po raz pierwszy kajała się za swoje leniwe dzieciństwo i młodość. Żałowała z całego serca, że lekceważyła starania matki. Wieczorem jeszcze, jakby z ciągłej potrzeby samobiczowania, opowiedziała Bronkowi o swojej towarzyskiej porażce. On jednak nie współczuł jej ani trochę.

— Bierz książkę i ucz się — powiedział bez cienia empatii. — Noś przy sobie słownik. Ja też na początku mało rozumiałem, zwłaszcza czarnych. Hindusi z Indii mówią idealnie, ale Binita urodziła się w RPA i długo mieszkała wśród czarnych, więc też, podobnie jak oni, gubi końcówki. Od jutra będzie do nas przychodziła sprzątać taka dziewczyna, a właściwie to dojrzała kobieta, bo ma dwadzieścia dziewięć lat. Rozmawiałem z nią dłuższy czas i wydaje mi się bardzo rozgarnięta, a poza tym dobrze mówi po angielsku. Rozmowa z nią pomoże ci osłuchać się z tą ich specyficzną wymową. Niedługo dzieciaki pójdą do szkoły i zobaczysz, że wkrótce zaczną także w domu mówić po angielsku.

Wszystko to, co miało Marię pocieszyć, raczej ją przeraziło, a zwłaszcza wizja jej własnych dzieci mówiących do niej po angielsku. I jeszcze ta jakaś czarna, z którą trzeba będzie rozmawiać. Naprawdę wolała robić wszystko sama. Nauczyła się już nawet prac ręcznie na kamiennej tarze. Męczyło ją jeszcze jedno: jeśli ta kobieta, która jest praktycznie jej rówieśnicą, będzie patrzyła na Bronka z takim uwielbieniem jak Nancy, służąca Adasia, to ona ją chyba udusi.

— Po co mi tu jakaś obca baba? Będzie się kręcić po domu, dotykać wszystkiego i roznosić zarazki. Sam mówiłeś, że mają gruźlicę, pasożyty, AIDS i wszystkie możliwe choroby weneryczne — powiedziała gniewnie, czując niechęć do Bogu ducha winnej osoby, a w myślach dodała jeszcze: „Będę musiała znosić ten koszmarny zapach”. — Że żona superintendenta ma kogoś takiego przez cały dzień, to zrozumiałe w jej stanie — kontynuowała. — Ale ja widzę nawet z daleka, że taka *maid* nie jest zbyt przydatna. Trochę pomacha miotłą, a potem całe godziny leży pod drzewem. Gdy dyrektorowa czegoś potrzebuje, musi wołać syna.

— Bo dyrektorowa, jak ją nazywasz, po dziesięciu latach pobytu w Kanadzie nadal nie zna angielskiego. Nasz superintendent zresztą też mocny nie jest, ani zawodowo, ani językowo, dlatego zatrudnia lekarzy z Polski. Wszyscy podejrzewamy, że on w Kanadzie nie pracował jako lekarz i dużo zapomniał. Czasami pyta nas o takie rzeczy, że aż dziwne — powiedział konspiracyjnym

szeptem Bronek.

— Dlaczego tak szepczesz? — zdziwiła się Maria.

— Tak na wszelki wypadek, bo doktor Nogal uwielbia podsłuchiwać.

— No, ale u siebie w domu chyba nie jesteśmy podsłuchiwani? Zakłada podsłuchy? Ma coś wspólnego ze służbami specjalnymi? — Maria uśmiechnęła się i z udawanym lękiem rozejrzała wokoło.

— Na to jest za mało bystry — odparł Bronek. — Ale przyłapałem go, jak podsłuchiwał Ryska i Mariana. Wiesz, tych, co mieszkają razem. Skradał się po ciemku pod ich oknami. Zrobił się czerwony jak burak, gdy zapytałem, co robi w krzakach. Próbował się głupio tłumaczyć, że widział w trawie węża, więc chciał go wytropić i zabić. Wyobrażasz sobie tropienie w ciemnościach węża, a potem rozprawianie się z nim gołymi rękami? Nogal, pogromca czarnej mamby! Marian jest dla superintendenta niebezpieczny. Jego brat mieszka w Ottawie i zna ponoć legalną małżonkę Nogala. Porzucona żona jest pielęgniarką. Zawzięła się, że nie da Nogalowi rozwodu bez orzekania o winie. Twierdzi, że pracowała na niego wiele lat, opiekując się starcami, żeby on się uczył i nostryfikował dyplom. Lata mijały, a nasz dyrektor wciąż nie był gotowy do egzaminu. Łaził po knajpach, gdy żona zasuwiała na nocnych dyżurach. Poznał w końcu kelnerkę z klubu toples. Była młoda, wolna, tylko z dzieckiem. Wymyślił zamiast egzaminu wyjazd do RPA, bo Murzynom łatwo wmówić różne rzeczy.

Maria z umiarkowanym zainteresowaniem wysłuchiwała plotek i wróciła do swojej sprawy.

— Ale ja nie chcę żadnej *maid* do pomocy. Będzie opowiadać wokoło, co się u nas w domu dzieje. Znakomicie poradzę sobie sama ze sprzątaniami, gotowaniem i praniem. Musimy tylko kupić odkurzacz i pralkę automatyczną.

— A w życiu! Tu nikt nie ma takich urządzeń, praca czarnej wychodzi taniej — zaśmiał się Bronek. — A co do plotek, to jakie znaczenie ma to, co mówią o tobie czarni? Zresztą u nas nie dzieje się nic takiego, o czym warto byłoby mówić. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Narzekasz, że po deszczu ciągle do domu wnosi się błoto, a teraz będzie padać coraz częściej, więc ciesz się, że będziesz miała służącą. Nie wypada, żebyś ty prała i sprzątała.

— No wiesz, co ty wygadujesz?! Dlaczego nie wypada mi sprzątać we własnym domu? — oburzyła się Maria.

— Bo jesteś biała — odparł Bronek z takim przekonaniem, jakby ogłaszał coś absolutnie oczywistego. — Nie rozumiem, dlaczego tak zależy ci na sprzątanii.

Maria wcale nie lubiła sprzątać, a zwłaszcza co chwilę szorować z czerwonego błota białej terakoty, którą były pokryte wszystkie podłogi w domu. Pranie bielizny pościelowej i dużych ręczników w tak prymitywnych warunkach było naprawdę ciężką pracą, a sterty brudów w tak gorącym klimacie rosły w zastraszającym tempie. Na razie przeprała tylko kilka dziecięcych podkoszulek

i już zauważyła, że skóra na dłoniach stała się szorstka. Broniła się jednak przed wpuszczeniem do domu czarnej kobiety.

Ale Broniek się uparł i następnego ranka w ich bungalowie z promiennym uśmiechem na niezbyt urodziwej twarzy zjawiała się Beauty. Wyglądała dość poważnie, żeby nie powiedzieć staro. Była drobna, szczuplutka, schludnie ubrana i pachniała oliwką dla dzieci, której używała chyba do całej skóry i włosów. Mówiła wolno i wyraźnie akcentowała „r”.

Najpierw spytała o pranie. Fachowo posegregowała ubrania i namoczyła je w kilku naczyniach. Potem już bez pytania zabrała się do sprzątania. Uwijała się jak w ukropie, co kompletnie zaskoczyło Marię. W pewnym momencie spytała, czy jak upora się ze wszystkim, będzie mogła pójść wcześniej do domu, bo doktor jej to obiecywał. Maria również nie widziała potrzeby, by Beauty siedziała u niej po skończonej pracy, więc ją zwolniła. W niektórych czynnościach, żeby było szybciej, nawet jej pomagała, co Murzynka przyjęła ze zdziwieniem i wdzięcznością.

Maria zauważyła ze zdumieniem, że już po pierwszym dniu perspektywa przebywania z tą miłą, czarną kobietą nie wydawała się jej przykra. Około dziesiątej, gdy miała zamiar pić kawę, pytała piorącą wówczas na ogół Beauty, czy nie zechciałaby jej towarzyszyć. *Maid* wycierała z piany ręce i siadła do stołu, gdzie oprócz kawy stała także jej ulubiona coca-cola oraz czekoladowe ciasteczka i owoce. Na widok słodczy Murzynce śmiały się oczy. Maria i Beauty gawędziły około kwadransa, pijąc kawę na ganku. Rozmowa szła im całkiem dobrze.

Często zaśmiewały się z jakiegoś nieporozumienia wynikającego ze złej wymowy jednej lub drugiej. Bywało, że nawet nie zauważyły, kiedy Broniek, korzystający z przerwy śniadaniowej, wchodził do domu kuchennym wejściem. Sam robił sobie kawę i przysiadł się do nich. Beauty za pierwszym razem poderwała się, jakby przyłapano ją na czymś złym, ale uspokojona jego gestem i zachęcona do dalszej rozmowy, pozostała przy stole i potem już zachowywała się całkiem swobodnie.

Po kawowej przerwie kobieta zabierała się do pracy z jeszcze większą werwą. Maria szykowała obiad i właściwie nie miała za wiele do roboty. Chętnie by coś poczytała, ale nie miała czego, bo wszelką polską prasę, która trafiła tu za sprawą nowo przybywających, przeczytała już kilkakrotnie, podobnie jak dwie książki przywiezione we własnym bagażu. Siadła zatem z papierem listowym i długopisem w cieniu bananowca i czekała chwilę z przymkniętymi oczyma, aż poczuła, że do głowy cisną jej się jakieś słowa, a następnie łączą się we frazy. Słyszała ich melodię, docierał do niej ich sens. Miała wrażenie, że ktoś jej te słowa dyktuje. Ponieważ wyrażały one dokładnie to, co czuła, ujmowała je w wersy i tak powstawały wiersze, których jednak nie pokazywała nikomu.

ROZDZIAŁ 13

W domu Marii wszystko stało się weselsze i łatwiejsze od pojawienia się w nim Beauty, z jej pięknym uśmiechem na brzydkiej i bardzo czarnej twarzy. Dzieciaki ją uwielbiały, chociaż porozumiewały się z nią głównie za pomocą gestów. Któregoś dnia Beauty, idąc do pracy, znalazła w trawie małą kotkę i przyniosła ją Małgosi. Kociczka miauczała przeraźliwie, była strasznie chuda, miała duży brzuch i czarne, nastroszone futerko. Wcale nie była ładna, ale dziewczynka na jej widok krzyknęła: „piękna”, i przymiotnik ten stał się imieniem kociaka. Maria wytłumaczyła *maid*, że ona i kot mają właściwie tak samo na imię. Kobieta była z tego powodu bardzo zadowolona i żeby zabawić dzieci, czasami podczas sprzątanía śmiesznie naśladowała kocie ruchy.

W listopadzie w Mapulanengu zaczęły się już letnie, dokuczliwe upały, a nocami na ogół szalały burze. Małgosia i Maria bardzo bały się rozdzierających niebo błyskawic i grzmotów, które przetaczały się gdzieś hen po górach i wracały jakby zwielokrotnione i wzmocnione. Wyładowania były niezwykle silne i należało pamiętać o wyłączaniu urządzeń elektrycznych, gdyż istniało ryzyko ich spalenia. Błękitne, małżeńskie łóże Marii i Bronka podczas burz robiło się za małe. Z pierwszym głośniejszym piorunem lądowała w nim Małgosia. Przytulała się do mamy, naciągając na głowę prześcieradło, które w gorące noce służyło jako kołdra. Jacek starał się być jak najdłużej dzielny, ale gdy od błyskawic robiło się białe jak w dzień, a grzmoty nie mruczały, a huczały niczym wybuchy bomb lotniczych, on także nie wytrzymał i wskakiwał do łóżka rodziców. Na końcu zjawiała się Piękna, która lubiła być zawsze tam, gdzie wszyscy. Przy bardzo mocnym wietrze lub po wyjątkowo głośnych wyładowaniach słycać było na dworze jakieś niepokojące piski i tupot niezidentyfikowanych nóg czy raczej łap na dachu bungalowu. To pewnie przerażone małpy lub jakieś inne zwierzęta poszukiwały schronienia równie bezpiecznego jak małżeńskie łóże Bronka i Marii.

W takie burzowe noce doktor Guział również miewał dyżury. Pracy było wtedy zawsze dużo więcej niż zwykle, bo przywożono wielu czarnych porażonych piorunami. Maria i dzieciaki umierały ze strachu o tatę, który po usłyszeniu ostrego sygnału pagera musiał wyjść z bezpiecznego domu, usiąść za kierownicą służbowego pikapa i w strugach deszczu, którego nie były w stanie zebrać z szyb żadne wycieraczki, śpieszyć do szpitala. Na jezdnię, a także na samochód sypał się grad odłamywanych przez wichurę mniejszych i większych gałęzi. Czasami padały nawet potężne konary. Lekarze podczas dyżurów, jeśli nie operowali i nie prowadzili jakiejś akcji ratunkowej, przebywali w domach. Teoretycznie mogli nawet spać, ale praktycznie stale ktoś ich w tym pięciusetłóżkowym szpitalu potrzebował. Najczęściej wzywała izba przyjęć, chirurgia i położnictwo, czyli

maternity ward.

Ciekawe, że taka awanturnicza pogoda powodowała również zwiększoną liczbą pacjentów, poturbowanych w różnych bójkach i wzajemnych porachunkach. Widocznie psychiczna więź człowieka z przyrodą w afrykańskim buszu jest ściślejsza i ludzie podczas burzowej pogody są bardziej wybuchowi. Dotyczyło to nie tylko czarnych. W domu superintendenta co chwilę wybuchały jakieś głośne awantury. Maria także u siebie i Bronka zauważała zwiększoną tuż przed burzą nerwowość i brak tolerancji, na przykład na kłójące się dzieci.

Ranki po takich niespokojnych nocach były za to wyjątkowo piękne. Zapach kwiatów, traw, ziół i ozonu dawał upojną mieszankę. Świeżo wypucowane rośliny świeciły w słońcu, biły po oczach jaskrawą zielenią. Również barwa nasiąkniętej wodą czerwonej, afrykańskiej ziemi stawała się intensywnie krwista. Żółte jak kwiat słonecznika słońce wesoło wędrowało po nieprawdopodobnie błękitnym niebie. Wiecznie spragnione oblizywało się na widok migocących w trawie i na liściach diamentowych, wonnych kropelek rosy, które ulewa pozostawiła mu do wypicia. Ptaki świergoliły zapamiętałe, opowiadając sobie dramatyczne, nocne przeżycia.

Małpy zachowywały się różnie, w zależności od wieku. Starsze były rozleniwione, a może raczej zmęczone nocną bieżącą po dachach. Pozwalały więc małuchom odrobinę bardziej niż zwykle oddalić się od siebie, a nawet swobodnie poharcować. Same zaś, przymykając z lubością powieki, wystawiały do słońca śmieszne, jakby podstarzałe oblicza. Wystarczył jednak byle szmer, by otworzyły oczy szeroko i, jeśli było trzeba, dosłownie w locie chwyciły swoje pociechy i zniknęły z nimi gdzieś w zaroślach. Wobec Pięknej, która rosła i ładniała z dnia na dzień, wykazywały dużą tolerancję. Nie bały się jej, gdy wyskakiwała w tanecznych podskokach z trawy, robiła w powietrzu prześmieszne salta i piruety. Zakwalifikowały ją widocznie jako nieszkodliwą, bo czasami pozwalały nawet swoim małpiątkom na zabawę z nią.

Któregoś z tych tak cudnych poranków, gdy Broniek miał akurat wolne po dyżurze, Maria wymyśliła zabawę. Każdy członek rodziny wcielał się w jedną z siedzących przed nimi na drzewie małp. Starali się dobierać je stosownie do własnej płci i wieku. A potem, śledząc ich zachowanie, wymyślali możliwie najzabawniejsze dialogi. Śmiechu było przy tym co niemiara. Gdy Broniek zostawał sam na sam z Marią, a dzieci nie podsłuchiwały, „małpie” dialogi stawały się czasami dość frywolne. W sypialni małżonków zrobiło się ostatnio jednak nieco chłodniej i to nie tylko za sprawą dezorganizujących małżeńskie pożycie burz. Spontaniczność zbliżeń rujnowała przesadną ostrożność Bronka, by nie dopuścić do prokreacji. Nie chciał on następnego potomka, tymczasem Maria pragnęła go z całego serca.

— Kiedy, jeśli nie teraz? Mamy tu wszystko, o czym marzyliśmy —

namawiała. — Małgosia pójdzie zaraz do szkoły, a ja zajmę się maluchem. Potem różnica wieku między dziećmi będzie za duża — tłumaczyła, a właściwie błagała. Broniek bywał zły, a czasami nawet nieprzyjemny, gdy chciała go choćby w żartobliwym tonie zniechęcić do zakładania prezerwatywy, których, jak do niedawna ją przekonywał, organicznie wręcz nie znosił. Po niemiłej wymianie zdań odwracali się do siebie plecami i była to stuprocentowa antykoncepcja.

Tymczasem u sąsiadów narodził się nowy członek rodziny. Zrobił on małego psikuska swoim rodzicom, którzy zakleпали mu na miejsce urodzenia prywatną klinikę dla białych w Nelspruit. Maluch jednak najwidoczniej wyczuł ducha nowych czasów, bo postanowił zerwać z segregacją rasową i przyszedł na świat wśród czarnych w ich szpitalu.

Tego dnia akurat personel Mapulaneng Hospital pracował w znacznie okrojonym składzie. Lekarze, poza dyżurantami, pojechali na poświęcone zagadnieniom służby zdrowia posiedzenie rządu homelandu Lebowa. Na czele delegacji stanął, rzecz jasna, superintendent. Jego konkubina, którą oficjalnie nazywał żoną, a podczas rodzinnych awantur suką, miała jeszcze trzy tygodnie do porodu. Ponieważ ostatnio czuła się znacznie lepiej, zostawił ją samą w domu bez żadnych obaw.

Superintendentowa była nawet zadowolona ze swobody, jaką dawała jej nieobecność w domu wścibskiego i apodyktycznego męża. Zupełnie wyjątkowo już od samego rana była na nogach. Ubrała się w ładną, przewiewną suknię, zrobiła charakterystyczny, wyzywający makijaż i postanowiła nawiązać przyjacielskie kontakty ze swoją najbliższą sąsiadką. Podeszła do dziurawej siatki, dzielącej jej posesję od ogrodu Guziałów, przy której Maria po swojej stronie próbowała za pomocą niewielkiej łopatki zrobić z kawałka zaniedbanego trawnika grządkę.

— A cóż się pani tak męczysz? — zagadnęła dyrektorowa.

— Chcę zasiać koperek, szczypiorek siedmiolatkę i pietruszkę, których nasiona dostałam w liście od mamy — odparła pochylona wciąż nad swoją robotą Maria.

— Ale takie dłubanie w ziemi to raczej robota dla czarnej.

— Beauty pierze, prasuje i sprząta, a ja tylko gotuję, mam więc aż nazbyt dużo czasu. Poza tym czuję się dobrze. Pani to co innego. Słyszałam, że źle znosi pani upały. Ale widzę, że dziś jest lepiej.

— Tak. Właśnie od rana poczułam ulgę. Lepiej mi się oddycha, bo brzuch jakby się zmniejszył i obsunął niżej. Pomyślałam, że poznam wreszcie sąsiadkę i może trochę pospaceruję, zanim upał zrobi się nie do wytrzymania. — Nogalowa rozciągnęła w uśmiechu swe mocno karminowe usta.

— No właśnie, przecież my się jeszcze właściwie nie znamy — podchwyciła Maria i wyciągnawszy przez dziurę w siatce rękę, powiedziała: — Jestem Maria Guział, ale to pani wie.

Ciężarna pochyliła się nieco, aby dosięgnąć wystającej spomiędzy zardzewiałych drutów dłoni, i wyrecytowała oficjalnym tonem:

— Edyta Skóra-Nogalowa, bardzo mi przyjemnie.

— Zawsze o tej porze pijemy z mężem kawę na ganku, ale dziś panowie mają ważniejsze zadania, może więc napijemy się czegoś razem? — zaproponowała Maria. — Dla pani to chyba herbatka? A może jakieś ziółka? Mam miętę. Dobra z sokiem jabłkowym na ochłodzenie.

— Chętnie się napiję mocnej kawy, bo spadło mi ciśnienie. Zaraz u pani będę, tylko wezmę ze sobą papierosy. Staram się nie palić, ale wie pani, nałóg to nałóg. Jak byłam w ciąży z Łukaszem, to taki jeden ginekolog powiedział, że dla dziecka jest lepiej zapalić, niż cały dzień żyć w nerwach. To palę — wyjaśniła zdumionej nieco zaleceniami anonimowego ginekologa Marii i w niezdarnych podskokach, podtrzymując obiema rękami ogromny brzuch, pobiegła do swojego domu.

Maria przygotowała więc na ganku trzy kawy, jak zwykle umyła dużo owoców i postawiła też na stole trochę ciasteczek. Kazała Beauty wytrzeć ręce z mydlanej piany i usiąść wraz z nią przy stole. Kiedy jednak Murzynka dowiedziała się, dla kogo przeznaczona jest trzecia filiżanka, przeprosiła pracodawczynię, mówiąc, że dziś wyjątkowo swoją kawę wypije sama w kuchni. Maria nie nalegała, bo tak naprawdę obawiała się, że Nogalowa nie będzie zachwycona towarzystwem *maid* i może zrobić jakąś przykrość miłej i wrażliwej Beauty. Przy Beauty zresztą wypadałoby mówić po angielsku, a tego Maria wolała unikać. Wszystko było gotowe, kawa stygła, a sąsiadka nie przychodziła. Tymczasem Beauty skończyła pracę i poszła w róg ogrodu wieszać bieliznę. W pewnym momencie usłyszała dochodzący z domu superintendenta rozdzierający wrzask. Porzuciła więc swoje zajęcie i wpadła na ganek, krzycząc:

— *This woman is calling for help!*¹ — Obie z Marią biegiem udały się do sąsiadki. Zastały Edytę leżącą w sypialni na podłodze. Wokół niej znajdowało się mnóstwo porzrzucanych ubrań. Widać było, że dyrektorowa próbowała sięgnąć coś z najwyższej półki wysokiej szafy wnękowej. Drzwiczki nadstawki były bowiem otwarte, półka z jednej strony opadła niżej, a pod oknem leżał wywrócony do góry nogami taboret.

— Spadłam z tego pierdolonego stołka! — wrzasnęła poszkodowana. — O kurwa, rodzę!

— Ja nie wiem, jak tu się wzywa jakieś pogotowie — powiedziała Maria, czerwieniąc się z powodu swojej indolencji. — Ona rodzi! Beauty, zadzwoń po pomoc! — zwróciła się już po angielsku do *maid*, która natychmiast podniosła słuchawkę telefonu i w swoim języku nawiązała kontakt z dyżurką. Maria, głaszcząc twarz spoconej z bólu i emocji Edyty, uspokajała ją: — Jesteśmy na terenie szpitala. Zaraz się panią zajmą. Nic sobie pani nie złamała? A jak brzuch?

Czy uderzyła pani brzuchem?

— Jezus Maria! Maria, skończ z tym paniowaniem! — krzyczała ciężarna. — Walnęłam na szczęście na dupę, ale w krzyżu mnie boli. Rany boskie, u czarnuchów mam rodzić?! Pomóście mi odszukać w tym bajzlu papierosy, bo zwariuję! — Edyta Skóra wiała się z bólu, ale czołgała się po podłodze, by między porzrzuconymi ubraniami odnaleźć upragnioną używkę. — Chowałam je, kurwa, przed starym głęboko za ubraniami. Jezus! Ale mnie napierdala! Nie wytrzymam! O kurwa, wody! — darła się rozzdzierająco.

— Podaj jej wody! — zwróciła się Maria do Beauty, która właśnie skończyła rozmowę ze szpitalem.

— Nie! Odeszły! — wyjęczała Edyta. Faktycznie, spod jej ładnej, kolorowej sukienki po białej podłodze płynęła różowawa strużka wód płodowych. — Jezu! Kurwa! Ajajaaa! — wykrzykiwała rodząca.

Przed dom superintendenta z piskiem opon podjechał biały pikap, z którego pędem wybiegło dwóch wysokich, barczystych sanitariuszy. Załadowali przeklinającą żonę szefa na nosze i umieścili na pace, aby zawieźć ją do szpitala.

— Maryśka, kurwa, nie zostawiaj mnie samej z tymi durnymi czarnuchami, jedź ze mną! — błagała Edyta ze łzami w oczach, rozmazując jednocześnie po całej twarzy swój bajecznie kolorowy makijaż.

— To fachowcy, nie panikuj. Zaraz tam przyjdę, tylko sprawdzę, co z dziećmi. Twoim Łukaszem też się zajmiemy. O nic się nie martw — uspokajała Maria rodzącą.

— Dobrze, że pomyślałaś, bo ta moja czarna suka dzisiaj znów nie przyszła — jęczała pani superintendentowa. Na szczęście nikt z czarnych nie rozumiał jej słów, więc ułożyli ją z największą troską i ruszyli ostrożnie po nierównym asfalcie.

Maria osobiście upewniła się, że Małgosia z Jackiem oraz syn Edyty nadal bawią się u Hinduski. Uzgodniła, że gdyby Maria wcześniej nie wróciła ze szpitala, Beauty zabierze ich stamtąd dopiero w porze obiadowej i podgrzeje im wczorajszą zupę. Następnie powędrowała alejką do okazałego, kilkupiętrowego, żółtego budynku szpitala. Ledwie weszła głównym wejściem, uśmiechnięta, czarna pielęgniarka, nie pytając o nic, wskazała jej drogę na *maternity*.

Duża, pięciostanowiskowa sala porodowa była otwarta. Maria zajrzała nieśmiało do środka. Łóżka porodowe pooddzielane były od siebie białymi płóciennymi zasłonami. Wszystkie, oprócz jednego, były zajęte przez czarne pacjentki w różnej fazie porodu. Zostawione chwilowo same sobie leżały cicho, co najwyżej postępując. Widać było po mimice twarzy i strużkach potu spływających im po czole, szyi oraz dekolcie, że cierpią. Tylko ze środkowego stanowiska, wokół którego zgromadził się cały dyżurujący tego dnia personel, rozchodziły się głośne wrzaski. Były to wiązanki przekleństw, których nie powstydziliby się przysłowiowy dorożkarz.

Maria usiadła na jednym z krzeseł stojących w niewielkim holu krzyżującym się z krótkim korytarzem wiodącym do sali porodowej. Miała stąd doskonałą panoramę, a jednocześnie znajdowała się w odległości, która nie była dla rodzących i dla niej samej krępująca. Jako doświadczona matka знаła kolejne fazy porodu i orientowała się, iż nowy potomek superintendenta zjawi się na świecie lada moment. Przy długich, szczupłych i bardzo białych udach Edyty uwijał się niewysoki, korpulentny, czarnoskóry mężczyzna. Był to jeden z miejscowych lekarzy, doktor Mabunda, o którym Broniek zawsze wyrażał się z sympatią i uznaniem. Lekarz robił miłe wrażenie. Doskonale panował nad nerwową sytuacją, pod jego kierownictwem wszyscy pracowali spokojnie. Cicho wymieniali niezbędne komendy oraz kojące komunikaty, które i tak raczej nie docierały do pomstującej wciąż superintendentowej.

Aż nadszedł wreszcie moment, że zamknęły się bluzgające usta rodzącej. Po pełnej napięcia ciszy dał się słyszeć niezbyt donośny płacz noworodka. Tęga, wysoka położna głośno i wyraźnie wypowiedziała słowo „syn”, unosząc jednocześnie dziecko wysoko w górę. Ten gest dziwnie wzruszył Marię. Wydawało się jej, że kobieta wykonując go, pokazuje dziecko Stwórcy, prosząc Go o łaskę. Łzy zakręciły się w oczach Marii. Wstała z krzesła i podeszła do drzwi sali. Widziała, jak zwalista postać położnej nachyla się z troską nad dzieckiem, unosi nad nim ręce, jakby odczyniała tajemnicze uroki. Prawdopodobnie wykonywała ona przewidziane w procedurach zabiegi medyczne, lecz dla obserwującej ją Marii wszystko nagle nabrało jakiegoś magicznego posmaku.

Doktor Mabunda dokładnie obejrzał łożysko. Oględziny wypadły pomyślnie, a krocze pacjentki nie zostało nacięte ani też nie pękło. Edyta leżała więc spokojnie. Poród zakończył się szybko i szczęśliwie. Maria wróciła na swoje krzesło, by zastanowić się, czy jej dalsza obecność w szpitalu ma sens. „Lepiej chyba będzie się zmyć” — pomyślała. Nie weźmie przecież odpowiedzialności za niezbyt rozsądną Edytę i jej dziecko, jeśli ta będzie się upierać, żeby odwieziono ją do domu. „Niech sobie lepiej do powrotu męża poleży w szpitalu, gdzie ma znakomitą opiekę” — zdecydowała i postanowiła szybko wrócić do siebie.

Zdążyła już w kierunku wyjścia, gdy nagle doszły ją odgłosy jakiegoś zamieszania. Rzuciła się z łękiem w stronę porodówki. W kilka sekund znalazła się znów przy drzwiach. Nikt nie zwracał na nią uwagi, a wokół superintendentowej zrobił się niesamowity ruch. Była pewna, że Edyta niespodziewanie dostała krwotoku albo pojawiły się jakieś inne niebezpieczne komplikacje. Ze zdziwieniem spostrzegła jednak, że na twarzach personelu medycznego malują się uśmiechy. W ich ruchach także nie było żadnego zdenerwowania ani nawet napięcia. Doktor Mabunda, położne, a także cierpiące na innych łóżkach pacjentki zaczęły klaskać w dłonie. Za tęgą położną trzymającą na rękach owiniętego w pieluszkę noworodka spontanicznie formował się korowód, który ruszył wokół sali. Doszło jeszcze parę

osób z jakichś innych pomieszczeń. Wszyscy rytmicznie podrygiwali, nawet kobiety przygotowane już do porodu i leżące na kozetkach. Kto mógł, to tańczył i śpiewał radosny hymn. Ostre, mocne głosy kobiet wzbijały się wysoko, a męskie basy dudniły miękko i wesoło. Maria nie rozumiała tego śpiewu, ale nie miała wątpliwości, że to rodzaj dziękczynienia Najwyższemu czy matce naturze za nowe życie. Jedna z położnych odwróciła się w stronę drzwi i spostrzegłszy zapłakaną ze wzruszenia Marię, przywołała ją skinieniem ręki. Doktor Mabunda również ją zachęcał. Maria odważyła się przyłączyć do tańczących i po chwili poczuła, że ogarnia ją wielka euforia, a nogi same niosą w spontanicznym tańcu sławiącym cud narodzin.

Edytę z dzieckiem położono z wszelkimi honorami w jednym z gabinetów lekarskich, który tego dnia był pusty, zgodziła się więc łaskawie pozostać tam do powrotu męża. Maria wróciła do domu dokładnie w porze obiadowej. Beauty sprawiła się świetnie. Dzieci siedziały przy stole i kończyły zupę pomidorową, a uśmiechnięta *maid* smażyła im jakieś placki.

— Siadaj, mamó, Beauty robi nam pankejk — zawołała Małgosia bardzo podniecona tym, że posmakuje za chwilę nowej, afrykańskiej potrawy.

— Pachnie, jak nasze naleśniki — zauważył Jacek. — Ja zamówiłem z bananem, a Gosia z dżemem pomarańczowym — dodał.

Rozczarowania nie było, choć tajemnicza potrawa okazała się zwykłymi naleśnikami. Beauty przyrządziła je znakomicie i pięknie ozdobiła świeżymi owocami z jogurtem. Sama także jadła je z dużo większym apetytem niż solidne kawały mięsa, które zazwyczaj serwowała jej Maria, chcąc trochę podtuczyć swoją niezwykle szczupłą *maid*. Beauty bowiem ze względu na tę chudość wyglądała przy innych czarnych kobietach w jej wieku na dużo starszą, a na jej twarzy można było zobaczyć zmarszczki. Prawdopodobnie jednak kobieta nie była niedożywiona, bo choć czarni zarabiali niewiele, to głodu raczej nie cierpieli, gdyż żywność w RPA była bardzo tania. Po prostu Beauty była zbyt energiczna i pracowita, żeby mogła przytyć.

Wieczorem Maria w wewnętrznym napięciu i rozedrganiu czekała na powrót męża z posiedzenia rządu. Cały czas przeżywała wszystko, co tego dnia zobaczyła i czego doświadczyła. Wciąż czuła się rozradowana, miała ochotę nadal tańczyć wraz z czarnym personelem w dziękczynnym korowodzie i unosić maleństwo w triumfalnym geście do nieba. Marzyła o takich właśnie narodzinach dla swojego następnego potomka. „Wszystko jedno, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, byle tylko urodziło się tu, gdzie jest jak w rajku i gdzie na pewno będzie szczęśliwe” — myślała. Na jej ustach samoistnie pojawiał się uśmiech, a po chwili z czarnych, rozradowanych jeszcze oczu samowolnie kapały łzy. Nie wiedziała w końcu, czy jest szczęśliwa, czy też zrozpaczona. Najbardziej potrzebowała teraz mocnych ramion Bronka, jego miłości i całkowitego oddania. Chciała, żeby już wrócił

i wziął ją w ramiona, żeby mogła go poczuć w sobie jak dawniej i jak dawniej oddać mu się bez żadnych ograniczeń. Chciała tego tak bardzo, jak bardzo pragnęła znów być w ciąży. Tymczasem niebo rozświetliły potężne błyskawice nadchodzącej nocnej burzy, więc trzeba było zamykać okna i wyłączyć gniazdka. „Może to ta burzowa pogoda tak na mnie działa?” — myślała.

Kiedy lekarze wrócili z delegacji i dowiedzieli się o szczęśliwych narodzinach małego Nogala, postanowili, mimo późnej nocy, uczcić to. Lał deszcz, waliły pioruny, a oni wyciągali z łóżek rozespiane żony, hałasowali, biegali i krzyczeli podekscytowani jak dzieci. Każdy przyniósł ze sobą coś do picia i ucztowali do rana w domu szczęśliwego ojca. Atmosfera była jak w akademiku podczas oblewania egzaminu. Hindus śpiewał po polsku „Sto lat”. Gratulowano dumnemu ojcu i nawet go wyhuściano. O głównej bohaterce tego wydarzenia, Edycie, nieszczęśliwej, bo leżącej w szpitalu dla czarnych, wszyscy zapomnieli. Nogal dopiero w południe odwiedził żonę. Dobrze, że przysługiwało mu wolne, bo swoich służbowych obowiązków nie byłby w stanie wypełniać po nocnej konsumpcji młodego, taniego wina z kartonu, które oszczędny superintendent postawił jako pępkówkę.

Ta kobieta wzywa pomocy! (ang.) [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 14

Maria zaraz po porodzie superintendentowej próbowała podzielić się z Bronkiem swoimi odczuciami, opowiedzieć mu o tym, co przeżywała, obserwując niezwykle obyczaje czarnego personelu. Mąż jednak skupił się na komicznych momentach tego wydarzenia. Uważał, że to wyjątkowo zabawne, iż właśnie Nogalowa, która tak często demonstruje pogardę dla czarnych, urodziła swoje dziecko w Mapulanengu. Śmiał się też z przekleństw miotanych przez tę pseudodamę. Kiedy żona skierowała rozmowę na wzniosłe i rozczulające momenty, powiedział oschle:

— Nie przesadzaj. Ty wszystko interpretujesz po swojemu, a czarni dalecy są od patosu. Gwałcą i biją żony, a ze sobą walczą jak dzikie zwierzęta. Najbardziej lubię wśród nich starych ludzi, takich, których nie skaziła jeszcze cywilizacja białych. Oni, mimo skrajnej czasami biedy, mają w sobie godność i niespotykany już chyba w naszym świecie spokój wynikający z pogodzenia się z losem. Zupełnie inni są młodzi robotnicy pracujący w kopalniach czy zatrudnieni w innych gałęziach przemysłu. Na co dzień mieszkają w hostelach na osiedlach przy wielkich miastach, oderwani od rodzin i swoich korzeni. Rzadko przyjeżdżają do domów, do takich wiosek jak te tutaj rozsiane dookoła naszego szpitala. Świąteczne urlopy otrzymują najczęściej w grudniu i wtedy zaczyna się tu prawdziwy Armagedon. Śmiejemy się, że nasz szpital zamienia się wówczas w szwalnię. Co chwilę trafia do nas ktoś z rozbitą głową, raną postrzałową lub zadaną nożem. Nie masz pojęcia, ile wtedy jest brutalnych gwałtów. Po owych grudniowych urlopowych wrzesień z kolei jest miesiącem wykotów. Na porodówce nie można się obrobić.

— Czego? Wykotów? — Maria miała nadzieję, że się przestyszała.

— No tak, czarni kocą się na potęgę.

— Kocą się? Śmiejesz się z Edyty, a sam mówisz o tych ludziach z pogardą. Przecież...

— Z pogardą? — zdziwił się Broniek. — Ja nimi nie gardzę. A już na pewno nie dlatego, że są czarni. Leczę ich najlepiej, jak umiem. Gardzę pijaństwem, okrucieństwem, zezwierzęceniem i wszelką patologią, już ci mówiłem. Taki zawód, że z przemocą, z upadającym bólem i strachem stykam się częściej niż z okazywanym pięknie szacunkiem dla życia — powiedział sarkastycznie. — Jak zobaczysz kiedyś ofiarę zemsty politycznej uwięzioną w płonącej oponie, to z przerażenia nie będziesz potrafiła nawet płakać nad tak potworną śmiercią. — Broniek popatrzył na zasmuconą twarz żony i pożałował, że dał się wciągnąć w takie poważne tematy. Miał ochotę na małżeńskie bara-bara, a tymczasem wygłaszał jakieś niepotrzebne tyrady. — A ty nie bądź taka strasznie zasadnicza

i nastroszona jak kot. Oboje lubimy koty, więc „kocenie się” to bardzo przyjemny termin, nie uważasz? No, schowaj pazurki, wiesz, że lubię grzeczne i wesołe kotki.

Starł się przygarnąć żonę do siebie. Miał nadzieję, że zacznie udawać rozzłoszczonego kota, jak to nieraz robiła, a on będzie ją głaskał i drapał za uszkiem, że potem jej bojowy nastrój zmieni się w erotyczną sielankę. Ale Maria odsunęła się od niego. Nastawiona była bardzo poważnie i refleksyjnie. Myślała o swojej babci i jej krewnych. Ich także przed wojną w wielu krajach Europy, a przede wszystkim w Niemczech, zaliczono do ludzi, a właściwie do podludzi, którzy zanadto się „kocili”.

— Mówisz jak faszysta — odezwała się po chwili chmurnego zamyślenia.
— Z takimi poglądami nie powinienes tu przyjeżdżać.

— Marysiu, czepiasz się słów. Co ci się nagle z faszystami pokojarzyło? My, lekarze, często bywamy chamscy. Może powoduje to stres. A najgorsi są chyba, za przeproszeniem twojego świętej pamięci ojca, ginekolodzy. Żebyś wiedziała, jakie teksty można było usłyszeć czasem w naszej klinice. Pamiętasz doktora Skórskiego i jego słynne: „Skąd pani ma tyle wenery w dupie?” Opowiadałem ci, jaka była wtedy afera.

— Tak, opowiadałeś, ale to inna sytuacja. W naszych szpitalach nie było różnic rasowych, właściwie żadnych różnic.

— Jak to żadnych różnic? Różnice były i będą, w każdym ustroju i w każdym społeczeństwie. Chyba nie wierzysz w jakieś utopijne społeczeństwo równości? Zawsze i wszędzie są lepsi i gorsi, partyjni i bezpartyjni, bogaci i biedni, mądrzy i głupi. Między nami też jest duża różnica. Ty jesteś delikatna, profesorska córka, a ja cham wychowany na wsi. Dlatego wszystko trochę inaczej odbierasz.

— Tak, masz rację. Różnimy się wrażliwością na pewne kwestie, bo ty... A właściwie ja... Ale nie chodzi o to, gdzie się wychowałeś, tylko o to, że ja...

— Maria nie wiedziała, jak zacząć, żeby wyjawić w końcu mężowi, skąd porównanie do faszysty i dlaczego jest wyczulona na dyskryminowanie ludzi. Bronek jednak, nie czekając, aż żona dobrnie do końca swojej kwestii, kontynuował:

— Nie myśl sobie, że tutaj największym problemem jest podział społeczeństwa na białych i czarnych. Najgorsze jest to, że większość biednych to czarni. Są i bogaci czarni, którym zależy na utrzymaniu obecnego status quo. Wcale nie brzydzą się razem z białymi wykorzystywać swoich czarnych pobratymców i bogacić się z tego tytułu. Było to doskonale widoczne właśnie na posiedzeniu marionetkowego rządu Lebowa. Czarni ministrowie opływają w luksusy. Złote klamki u mercedesów, białe limuzyny z firaneczkami, potworny kicz. Człowiek na co dzień naogląda się okropnej nędzy, a potem widzi wypasionych bonzów kapiących złotem, otoczonych luksusem, którzy od czterech lat zalegają z wypłatą nadgodzin pracownikom w szpitalach całego homelandu. Oni

nie czują żadnej solidarności ze swoimi. Gardzą biednymi i wcale ich nie obchodzi kolor ich skóry. Żeby chociaż naprawdę rządzili, odpowiadali za gospodarkę, ale przecież wszelkie decyzje podejmowane są przez rząd w Pretorii. A żebyś widziała dworską etykietę i obrządek panujące na takich obradach. Z jaką uniżonością urzędnicy niższego stopnia zwracali się do tych będących wyżej w hierarchii. Zupełnie jak na dworze cesarskim. Zaraz mi się skojarzyło z tym, co opisywał Kapuściński w *Cesarzu*. Każdy czarny po wygłoszeniu mowy wracał na swoje miejsce tyłem i w półskłonie, okazując w ten sposób szacunek szefowi rządu. Ładna mi republika, śmiechu warte.

— To, że się kłaniają, nie musi świadczyć o uniżoności. Ot, taka forma grzecznościowa i tyle. Może i wy powinniście się do tego zastosować? Wyszliście pewnie na nieokrzesanych. Wstyd! — Maria wreszcie się uśmiechnęła.

— Może i tak. My mieliśmy inny powód do wstydu. Nogal przez słabą znajomość rzadziej używanych w angielskim słów wyszedł na idiotę. Zrobił z siebie pośmiewisko. Miał wskazać swoje mocne strony, to znaczy atuty jako szefa podległej mu placówki. „Co jest pana najmocniejszą stroną?” — zapytał premier. A ten głupol z jowialnym uśmiechem odparł: „Oczywiście, jestem żonaty. Mam dziesięcioletniego syna, a moja żona spodziewa się właśnie drugiego dziecka”. Ty wiesz, jaki rehot poszedł po sali?

— Współczuję mu — powiedziała Maria, wyobraziwszy sobie siebie w podobnej sytuacji. — Bardzo się tym przejął? — spytała z troską.

— Spłynęło po nim jak woda po gęsi. A może do tej pory nie wie, jaką gafę palnął.

Maria wciągnęła się w tę interesującą rozmowę i nie nawiązała już do swojego pochodzenia ani nawet tematu upragnionego, trzeciego dziecka. Jednak codzienny widok sąsiadki karmiącej i przewijającej uroczego Mikołajka sprawiał jej ból i przyjemność jednocześnie. Odwiedzając sąsiadkę, z lubością dotykała delikatnej skóry dziecka, całowała mięciutkie stopki i przytulała pachnącą, pokrytą złocistymi loczkami główkę małego. Broniek nie zauważał problemu lub udawał, że go nie dostrzega.

Tymczasem nad Mapulanengiem zebrały się ciemne chmury, dosłownie i w przenośni. Burzowa pogoda przyniosła awanturnicze nastroje i radykalizację stanowisk. Czarni pracownicy służby zdrowia stracili cierpliwość i zażądali wypłaty zaległych uposażeń. Rząd to zignorował, więc dosłownie z dnia na dzień rozpoczął się strajk we wszystkich szpitalach w Lebowa. Polacy ze strajkami byli oswojeni. Większość z nich napatrzyła się na te solidarnościowe na początku i u schyłku lat osiemdziesiątych. Część lekarzy nawet brała wtedy udział w różnych formach protestu, ale czegoś takiego jak tu, w Afryce, nigdy jeszcze nie doświadczyli.

Czarny personel powodów do strajkowania miał mnóstwo. Naprawdę przez

lata wykazywał się ogromną cierpliwością. Kiedy więc w Mapulanengu pielęgniarki, sanitariusze, salowi i cała obsługa techniczna odeszła od łóżek chorych, nikt z białych doktorów i ich rodzin nie negował zasadności tego protestu. Bulwersujący był jednak brak jakichkolwiek działań zabezpieczających interes pacjentów. Rozentuzjasmowani czarni jak jeden mąż poszli wiecować na dużym placu nad zaniedbanym, porośniętym zielonymi glonami basenem, nie zatroszczywszy się o wcześniejsze wypisanie lżej chorych i zorganizowanie dyżurów przy nienadających się do transportu. Tańczyli, śpiewali i wygłaszali jakieś mowy. Na murze pojawił się też złowieszczy, choć elegancki w formie, angielski napis: „Panie Nogal, zabijemy pana!”.

Polacy woleli zatem trzymać się z dala od wiecujących i ohydnych basenu. Nie do końca ufali czarnym, którzy teraz nie byli już indywidualnymi, sympatycznymi współpracownikami, a tworzyli tłum rządzący się, jak wiadomo, własnymi prawami. Obawiali się także, że znana z brutalności tutejsza policja może wkroczyć w każdej chwili, żeby rozproszyć zanadto rozzuchwalonych protestujących. A wtedy gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, można oberwać w nie swojej sprawie. Matki na wszelki wypadek trzymały dzieci blisko domu, same też nie spacerowały po terenie. Lekarze za to mieli ręce pełne roboty w pięciusetłóżkowym szpitalu, który przez cztery upalne i duszne dni był zdany na łaskę ośmiu imigrantów z Polski. Na szczęście w buszu wieści rozchodziły się szybko. Do szpitala więc tłumnie przybywały rodziny pacjentów, by zabrać swoich bliskich do domu lub opiekować się nimi na miejscu, nie dając im umrzeć z głodu i pragnienia oraz we własnych odchodach.

Zmienna, burzowa pogoda we wszystkich wzmagała wówczas złe emocje. W wesołej na ogół rodzinie Guziałów też wyczuwało się większe napięcie. Ciężkie, skłębione, granatowe chmury, które nadciągnęły któregoś popołudnia i wisiały dosłownie tuż nad dachami niskich domków, nie rozeszły się, jak zazwyczaj, nad ranem. Nie było burzy, tylko padał deszcz. Początkowo lał bardzo obficie, potem przeszedł w drobny kapuśniaczek, by po kilku godzinach znów się gwałtownie nasilić. Trwało to przez dwanaście długich dni i nocy. Z rozgrzanej ziemi unosiła się para, która w postaci mgły zasnuła nie tylko piękne widoki na horyzoncie, ale nawet żółty budynek szpitala i pobliskie bungalowy sąsiadów. Wilgoć włąziła do domu, osiadała na wszystkim. Pranie nie schło, choć rozwieszane było w salonie, w małżeńskiej sypialni i na oszklonej werandzie. Beauty musiała w końcu dosuszać je żelazkiem.

Zielsko rosło dosłownie w oczach, a ekipy czarnych, choć strajk się skończył, niechętnie wychodziły do walki z nim. Teraz naprawdę łatwo było w trawie sięgającej miejscami po pas nadepnąć na jakiegoś węża. W tej sytuacji Maria starała się ograniczyć ciągle przemieszczanie się dzieci od jednego bungalowu do drugiego. Postanowiła zorganizować im zajęcia teatralne w swoim

domu. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i w marketach już od kilku tygodni stały ubrane choinki, a z głośników leciały amerykańskie bożonarodzeniowe piosenki. Tymczasem temperatura powietrza i flora wokoło zupełnie nie nastrajały do świąt. Żeby więc jakoś sobie i dzieciom stworzyć aurę bliższą polskiej tradycji, usiadła któregoś wieczoru i napisała scenariusz jasełek. Udało jej się zrobić to nawet wierszem, co znacznie ułatwiło dzieciom naukę tekstu.

Nudzące się już trochę bez szkoły dzieciaki z radością podchwyciły inicjatywę. Było ich w Mapulanengu coraz więcej. Niedawno zatrudniono internistę z trójką dzieci, a do laryngologa przyjechała żona z szesnastoletnim jedynakiem. Przybył też laryngolog z szesnastoletnim jedynakiem, chłopakiem nieco zbuntowanym i zmanierowanym, który jednak z braku innego zajęcia także pojawiał się na próbach u Marii. Sebastian był już właściwie bardziej młodzieńcem niż dzieckiem, miał więc pewne obiekcje, czy wypada mu uczestniczyć w imprezie dla smarkaczy. W końcu jednak zgodził się pod warunkiem, że otrzyma rolę Heroda. Początkowo chciał szokować Marię i pozostałe dzieciaki strojem oraz lekturami świadczącymi o fascynacji złem czy nawet satanizmem. Trafił jednak na grupę prostoduszną i bogobojną, więc wkrótce zmienił czarną koszulkę z nadrukowanymi czaszkami na bardziej odpowiednią w tym klimacie, a do czytania pożyczył od Jacka *Biblię dla dzieci*.

Trochę kłopotu było też z Małgosią, gdyż sądziła, że jako córka reżyserki i twórczyni sztuki powinna mieć swobodny wybór roli. Chciała być Maryją, ale Nogalowa krótko ucięła sprawę, mówiąc, że jest jeszcze za mała i nie da jej trzymać na rękach swojego Mikołajka, który został obsadzony w roli małego Jezuska. Maryją została więc trzynastoletnia Wiktoria z Łodzi, a jej starszy brat Michał świetnie odgrywał Józefa. Oboje byli dziećmi nowego internisty.

Nowo narodzony synek superintendenta został wypożyczony dopiero na przedstawienie. W czasie prób miał dublera, małą kotkę Guziałów. Czarna, jedwabista, długowłosa kicia, teraz już piękna nie tylko z imienia, nie była prawdopodobnie zachwycona swoim angażem. Próbowwała się wykręcać, gdy mimo upału zawijano ją w becik zrobiony z poszewki na poduszkę. W końcu jednak godziła się na wszystko, bo w gruncie rzeczy uwielbiała, gdy ją przytulano i głaskano, a nawet tarmoszono, byle tylko znajdowała się w centrum zainteresowania. Na próby przychodzili także dwaj czarnoskórzy synowie administratora szpitala, którzy od początku grudnia mieli dużo czasu w związku z tym, że w tutejszych szkołach rozpoczęły się letnie wakacje.

Początkowo chłopcy stali nieśmiało w kącie, a najbardziej zaprzyjaźniony z nimi Łukasz Skóra służył im za tłumacza. Kiedy okazało się, że nie ma kogo obsadzić w roli jednego z trzech mędrców ze Wschodu, Łukasz wskazał na Roberta Shaballundę i wytłumaczył mu, o co chodzi. Chłopak był zachwycony propozycją zagrania Kacpra. Dla młodszego z braci, Chrisa, żeby mu nie było przykro, Jacek

wymyślił maleńką rolę diabła zabierającego Heroda do piekła, której nie było w scenariuszu. Dzięki wyjątkowo ciemnej skórze kostium Chrisa można było ograniczyć do minimum. Wystarczyły czarne spodenki z przyszytym do nich włóczkowym ogonem i opaska z czerwonymi rogami na kręconych włosach.

Chłopcom nie trzeba było tłumaczyć, o czym jest przedstawienie, gdyż byli chrześcijanami, wyznawcami któregoś z licznie działających na terenie RPA wyznań protestanckich. W miarę wiernie za to przetłumaczono im wypowiediane przez nich kwestie na angielski, żeby wiedzieli, co mówią, a następnie musieli opanować tekst w polskiej wersji. Początkowo było z tym dużo śmiechu. Maria obawiała się nawet, czy w ten sposób nie powstanie parodia jasełek. Chris i Robert zaskoczyli jednak wszystkich wyjątkowymi zdolnościami lingwistycznymi. Chłopcy znali już wiele polskich słów, bo od pół roku bawili się z Łukaszem, a od dwóch miesięcy mieli kontakt z powiększającą się wciąż gromadką polskich dzieci. Robert, który musiał wypowiedzieć osiem wersów, błyskawicznie pokonał większość fonetycznych pułapek. Chrisowi też nie przeszkadzały syczące i szeleszczące głoski. Po krótkim szkoleniu obaj mówili nie gorzej niż rodzina laryngologa z Górnego Śląska czy Grześ, syn okulisty z Nowego Targu.

Młodsze dzieci, wśród których znalazło się też troje Hindusów, nie były zadowolone z ról pastuszków, bo nie podobały im się ubogie kostiumy. Zazdrościli mędrcom bogatych płaszczy, upiętych z ozdobnych sari ich mamy, i turbanów zawiązanych z kolorowych apaszek, w których połyskiwała biżuteria wypożyczona od pań doktorowych. Największą zawiść budziła złota korona Roberta, świetnie odcinająca się od jego ciemnej buzi i dodająca mu ładnych kilka centymetrów. Szesnastoletni Sebastian — Herod najpierw chciał wystąpić w koszulce z czaszkami i z odwróconym krzyżem na szyi, ale w końcu przystał na symboliczny, czarny trykot i czerwony płaszcz zrobiony z zasłonki. Na głowie miał skromną, srebrną opaskę oraz srebrny medalion na piersi.

Deszcz lał w Mapulaneng praktycznie przez cały okres prób, a więc około dwóch tygodni. Biała podłoga w domu Marii przybrała rdzawy kolor od błota wnoszonego przez kręcące się tam i z powrotem dzieciaki. Beauty ścierała ją wielokrotnie w ciągu dnia. Potem jeszcze wieczorem, po wyjściu aktorów, także Maria oblatywała z mopem całe mieszkanie, ale błoto jakby wgryzło się w terakotę, siedziało w jej wszystkich fugach i wklęsłych wzorkach. Bronek, wracając po południu do domu, nie miał w ogóle warunków do odpoczynku. Początkowo narzekał na tę sytuację, lecz rozentuzjasmowana Maria z rozbawioną gromadą przebierańców nie zwracała uwagi na jego wymowne westchnienia. Nawet obiady gotowała wówczas Beauty i niestety nie zawsze dobrze wychodziły jej polskie dania, choć bardzo się starała.

Właśnie tym stanem rzeczy tłumaczyła sobie wówczas Maria wzmożone rozdrażnienie męża. Bronek przychodził z pracy, chował się w małżeńskiej

sypialni, zamykając drzwi i bardzo często oraz długo rozmawiał przez telefon z Adamem. Tak przynajmniej twierdził. Żonę najbardziej dziwiło to, że nie umiał potem powiedzieć jej, co właściwie słycać u kolegi. Kiedy chciała czasami przejąć słuchawkę, by osobiście pogadać z przyjacielem z dzieciństwa, mąż nagle kończył połączenie, twierdząc, że Adam nie ma już czasu.

— Jak się spotkamy w święta, to wygarnę Adamowi, jaki on jest. Nie ma dla mnie paru chwil, a z tobą to gada i gada — żaliła się. — Przy okazji przypomnij mi, że razem z Marzenką są do nas zaproszeni. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli te święta spędzić osobno. Ja bym wprawdzie wołała jechać do nich i pozwiedzać Johannesburg, bo w drodze z lotniska widzieliśmy bardzo mało miasta, ale przecież nie wypada się wpraszać — mówiła.

Bronek sprawdził coś w kalendarzu, zrobił bardzo zasępioną minę i wreszcie oznajmił:

— Nie wiem jeszcze dokładnie którego dnia, ale będę musiał w najbliższym czasie jechać do Johannesburga.

— Sam? — spytała zdziwiona.

— Tak. Nie będę was przecież wszystkich ciągnął na spotkanie z ordynatorem.

— Jakie spotkanie?

— Adam obiecał załatwić mi spotkanie w sprawie pracy. Wiesz, jak chciałbym dostać etat *registrara*¹ w J.G. Strydom Hospital. To inna płaca i inne życie. Tylko pamiętaj, nie możesz nikomu o tym powiedzieć — instruował żonę. — Nogal nie powinien za wcześnie się dowiedzieć. Najpierw muszę mieć pewność, że mam ten etat. Dla niego wymyślę jakąś historyjkę.

— Nie wiedziałam, że nadal chcesz stąd odejść — powiedziała zmartwionym głosem Maria. — Mnie tu jest bardzo dobrze. Zawsze mieszkałam w dużym mieście pośród tysięcy ludzi i czułam się bardzo samotna. A teraz mamy blisko tylu miłych znajomych i dzieci mają towarzystwo rówieśników. Dlaczego mielibyśmy mieszkać w Johannesburgu? Tu jest prawdziwa Afryka.

— Nie rozumiesz? Ja się tu cofam zawodowo — wyskoczył na nią z pretensją.

Nie znalazła żadnych argumentów na takie dictum. Rozumiała, że trzeba postępować tak, jak chce Bronek, od niego wszak zależały losy i pomyślność rodziny. Choć Maria sama nie miała nigdy zawodowych ambicji, czuła, że nie może przeszkadzać mężowi w karierze. Bronek był mądrym, zdolnym człowiekiem i dobrym lekarzem. Za to go przecież także kochała.

lekarz w trakcie specjalizacji (ang.) [wróć]

ROZDZIAŁ 15

Po południu w Wigilię pojechali całą rodziną do katolickiego kościoła w Hazyview na mszę. Rozpoczęła się o szesnastej, a odprawiał ją sympatyczny Szkot, ksiądz Michael. Kiedy wracali, rozpętała się straszliwa burza. Czarne chmury wisiały tuż nad asfaltem. Raz po raz przez niebo przebiegały zygzakowate błyskawice i rozlegały się grzmoty. Broniek uważał, że niebezpiecznie jest się zatrzymywać pod drzewami, więc mimo fatalnej widoczności jechał nadal wolniutko i ostrożnie. W tym miejscu były spore wzniesienia, zatem wolno poruszający się samochód z rykiem silnika na niskim biegu piał się pod górę, a potem zjeżdżał, hamując.

W pewnym momencie uderzyła ich taka fala wiatru i wody, jakby znaleźli się podczas sztormu na otwartym morzu. Nie było wiadomo, co jest drogą, a co niebem. Mieli przed sobą zbity, burogranatowy tuman, którego nie były w stanie przeniknąć reflektory auta. Czerwonawo zabarwione błyskawice co kilkanaście sekund otwierały niebo, a potem znów samochód i jego światła tonęły w kłębach chmur, których brzuchy szorowały chyba po asfalcie. Dzieci zaczęły płakać. Broniek zatrzymał auto na skraju szosy. Maria spostrzegła w blasku pioruna, że mąż wykonał znak krzyża i, wsparłszy czoło na kierownicy, modlił się. Ona też się bała, ale starała się tego nie okazywać dzieciom. Tymczasem Broniek, zawsze taki wyluzowany i odważny, tego dnia nie umiał opanować lęku.

W końcu burza nieco osłabła. Zanim nadeszła następna, dojechali szczęśliwie do domu. Po stresujących chwilach nadszedł czas ogromnej radości. W salonie obok kominka leżał worek z prezentami podrzucony podczas ich nieobecności przez Świętego Mikołaja. Dzieci bardzo przeżywały ten fakt i nie mogły się nadziwić, jak to się stało, bo wychodząc z domu, spoglądały ze smutkiem na pustkę pod choinką. Jacek nawet żartował sobie z Małgosi, że Mikołaj do Afryki za nimi nie trafi. Sam nie wierzył w takie rzeczy, ale chciał trochę podenerwować siostrę. Teraz na widok wielkiego wora posmolonego nieco sadzą i leżącego w środku kominka minę miał cokolwiek niepewną.

Prezenty musiały jednak poczekać, bo najpierw trzeba było połamać się opłatkiem i zjeść obowiązkowe ciepłe dania, żeby nie wołać dzieci wciąż do stołu. Maria krzątała się, wystawiając jeszcze to i owo z lodówki i przybierając pięknie przygotowane wcześniej potrawy. Pierwszy raz szykowała całkowicie samodzielnie wieczerzę wigilijną. Wspominała, jak to zawsze jej matka już na miesiąc przed świętami rozpoczynała planowe przygotowania. Marii też przydzielała jakieś zadania, ale potem i tak na ogół wszystko robiła sama, bo trudno jej było dogodzić. Najpierw było mycie okien i wszelkie porządki na wysokości, czyli wycieranie kurzu na szafach, czyszczenie żyrandoli i lamp,

polerowanie ram obrazów i pogoń za pajęczynami, które jakiś sprytny pajak rozwieszał w mało dostępnym na co dzień miejscu. Te rzeczy, podobnie jak trzepanie dywanów, robiła wynajęta do tego celu kobieta. Następnie mama wyciągała z kredensu wszelkie szkła, porcelanę oraz srebra. Myła, wycierała i szorowała wszystko, co było możliwe do wypucowania. Tym zajmowała się już osobiście. Potem następowało szaleństwo zakupów połączone z kolejkowym męczeństwem, bo przecież tak normalnie w sklepach niewiele można było dostać i większość towarów była na kartki. Ale Lucyna umiała się wystarać o udziec cielęcy i ćwiartkę świni ze wsi czy świeżutki twaróg na sernik. Karpie i śledzie także co roku ktoś sprzedawał jej spod lady. Ostatnie dni profesorka Wierzbicka poświęcała całodobowemu pieczeniu i gotowaniu.

Maria zawsze się dziwiła, skąd matka bierze tyle energii i siły. Trudno z nią było w owym czasie wytrzymać, gdyż robiła się kłótniwa i wciąż miała pretensje do córki, że się zbyt mało angażuje. Marię ten sam przedświąteczny amok ogarnął dopiero w Afryce. Sprzątanie ją ominęło, dlatego dołożyła wszelkich starań, by kolacja, na ile to było możliwe, jak najbardziej przypominała tradycyjną polską wieczerzę wigilijną. Doktorowa Guziałowa nie musiała wprowadzić stać w kolejkach, ale brakowało jej różnych produktów. Karpia bez problemu zastąpiły inne znakomite ryby. Zrobiła piezzonego tuńczyka, łososa duszonego w warzywach i pstrągi z rodzynkami w galarecie. Pieczarki nie były w stanie zastąpić suszonych borowików, lecz zupa z nich wyszła całkiem dobra. Ale kompot z mieszanki tropikalnych owoców przyćmił całkowicie ten z polskiego suszu, pachnący dymem i niezbyt lubiany przez dzieci. W ostatnią noc Maria, tak samo jak przedtem jej matka, prawie nie spała. Piekła zawijane makowce i dekorowała czekoladową polewą oraz orzechami piernik przekładany masą kawowo-orzechową.

Dekorację stołu już od kilku dni planowała razem z dziećmi. Znaleźli w Mapulanengu drzewo, które trochę przypominało tradycyjną choinkę, więc przybrała jego gałązkami pokój. Pod białym wykrochmalonym i wyprasowanym przez Beauty obrusem leżało sianko. Jego produkcją już kilka tygodni wcześniej zajęli się Jacek i Łukasz. Chłopcy w piekarniku suszyli wiązki ściętej przez ogrodnicze ekipy trawy i rozprowadzali wśród polskich rodzin. Wszystko było gotowe, a Maria, choć niewyspana, była dumna z siebie, bo potrawy na stole i sam stół prezentowały się imponująco.

Czekali tylko na Ryśka i Mariana, dwóch samotnych lekarzy którzy wprowadzić mieli tego dnia dyżur w szpitalu, ale obiecali, że wpadną, żeby przełamać się z Guziałami opłatkiem, jeśli będzie trochę spokoju. To właśnie oni na prośbę Bronka podrzucili pod choinkę wór z prezentami dla dzieci. Zupa stygła, podgrzewana za długo ryba rozpadła się i wysuszyła w piekarniku. Maria niecierpliwiła się, gdyż obawiała się, że w upale rozpuści się galareta z ryby,

a zaproszonych lekarzy wciąż nie było. Wreszcie zadzwonili, że po straszliwej burzy, którą Guziałowie przeżywali w drodze powrotnej z kościoła, przywieziono na izbę przyjęć aż sześć osób ciężko porażonych piorunami i obaj dyżuranci mają ręce pełne roboty.

Marian i Rysiek przyszli późno w nocy, kiedy dzieci już spały. Powiedzieli, że mimo wysiłków tylko dwie osoby z tej szóstki zdołano uratować. Ta pierwsza, smutna, afrykańska Wigilia na zawsze pozostała w pamięci Marii, tak samo, jak niezwykła opowieść Ryśka. Ów samotny czterdziestolatek pod wpływem rodzinnej atmosfery przy stole u Guziałów i wstrząsających chwil przeżytych wcześniej w szpitalu rozkleił się zupełnie.

— Zazdroszczę wam, że jesteście tu razem, że macie przy sobie dzieci i widać, jak się kochacie — zaczął. — Ja także pragnąłem być w RPA z żoną i synem. Szykowałem się na ten wyjazd od dawna. Najpierw rok spędziłem w Libii. Odłożyłem trochę forsy i chciałem namówić żonę, żeby dojechała do mnie z synem do Wiednia. Razem byśmy spróbowali dostać się tutaj. Czekałem na nich, już nawet bilety kupiłem. Żona w ostatniej chwili zrezygnowała, bo bała się jechać w ciemno, chociaż też jest lekarzem i pracę na pewno by znalazła.

— Trochę jej się nie dziwię — powiedziała Maria.

— Wróciłem do domu i przez różnych znajomych korespondencyjnie załatwiłem dla nas pracę w KwaZulu. Ale żona znów się wykręciła. Wołała, żebym wyjechał sam i sprawdził, jak jest na miejscu. Wykupiłem bilet z przesiadką w Rzymie i spakowałem walizki. Na lotnisko do Warszawy miał mnie odwiedzić brat. Już przed Częstochową mieliśmy na gierkówce kraksę. Nic nam się nie stało, ale samochód nie nadawał się do jazdy. Byłem bardzo zdeterminowany. Wystawiłem na pobocze swoje walizy i zacząłem zatrzymywać auta. Wydawało mi się, że stoję tam wieki, zanim ktoś, kto właśnie jechał do Warszawy, zatrzymał się i mnie zabrał.

— I udało się? — zapytała Maria, znużona późną porą i przedłużającą się opowieścią.

— Była szansa, bo gość gnał jak szalony. Ale tuż przed Rawą Mazowiecką był objazd, jak zwykle u nas, źle oznakowany. Pobłądziliśmy, nadłożyliśmy drogi. Praktycznie nie miałem już żadnych szans, gdyż dokładnie w godzinie odlotu kierowca wyrzucił mnie przed halą. Wszedłem i usłyszałem, że lot będzie opóźniony o dwie godziny. Poczułem potworne zmęczenie. Postanowiłem chwileczkę, ale to dosłownie chwileczkę, odsapnąć i zaraz udać się do odprawy.

— Rysiek, daj spokój z tym podkręcaniem napięcia — powiedział, ziewając, Bronek. — Fajnie, że zdążyłeś i jesteś z nami.

— Ja wtedy nie wyleciałem — odparł Rysiek.

— Jak to?! — zawołali równocześnie Bronek i Maria.

— Nie wiem, co mi się stało. Zapadłem w jakiś dziwny letarg czy coś. Na

pewno wzywali mnie kilkakrotnie przez megafony do odprawy, a ja nic nie słyszałem. Tkwiłem na krześle i nic nie słyszałem. Nie wiem, czy to możliwe, żebym zasnął? Ktoś wyciął mi ze świadomości dwie i pół godziny. Ocknąłem się pół godziny po tym, jak samolot odleciał.

— No to miałeś odlot, kochany. — Broniek z kpiącym uśmiechem klepnął kumpla w ramię i nalał mu soku, a sobie i Marii wina.

— Dzisiaj myślę, że to był chyba znak. Nie powinienem wyjeżdżać. Ale wtedy nie było dla mnie ważniejszej rzeczy, niż ukryć przed żoną swoją porażkę. Nie wróciłem do domu. Kupiłem w Lufthansie nowy bilet i najbliższym połączeniem przez Frankfurt przyleciałem do RPA.

— A kiedy się rozwiodłeś? — spytała Maria.

— To było trzy lata temu. Pracowałem w KwaZulu i czekałem na żonę, a ona wciąż odwlekała przyjazd. Wreszcie zawiadomiła mnie, że występuje o rozwód. Pojechałem do Polski, ale nic nie wskórałem. Ma już innego, a syn prawie nie chciał ze mną rozmawiać. Zastanawiałem się kilka miesięcy, czy wracać tu, czy zostać w Polsce. Wybrałem RPA, podoba mi się tu. Może syn kiedyś przyjedzie, jak mu matka pozwoli — zakończył smutno.

ROZDZIAŁ 16

W pierwszy dzień świąt Broniek z kilkoma innymi, młodszymi lekarzami wystawili z sypialni prawie wszystkie meble, łącznie z wielkim, błękitnym łóżem. Pomogli też Marii zainstalować przygotowane wcześniej dekoracje. Ze wszystkich domów poprzynoszono krzesła, które utworzyły widownię zwróconą w stronę oszklonej werandy. Sceny plenerowe oraz te w pałacu Heroda rozgrywały się w sypialni, tuż przed publicznością, na tle powieszonych na karniszu stosownej dekoracji. Na werandzie zaś stanęła duża, drewniana drabina, która obłożona słomianą matą świetnie imitowała szopę. Na jej szczycie Broniek zainstalował podświetloną gwiazdę betlejemską. Święta Rodzina zjawiała się tam już po szczęśliwym rozwiązaniu. Żeby głos ze stajenki bez przeszkód dochodził do widzów, wyjęto z zawiasów okna dzielące sypialnię i werandę.

Publiczność dopisała, przedstawienie wyszło znakomicie. Dzieci świetnie odegrały swoje role, nikt nie zapomniał tekstu ani nie pogubił rekwizytów. Wzruszająco brzmiały też w przerwach między poszczególnymi scenami kolędy, śpiewane czystymi, dziecięcymi głosikami. Maria akompaniowała dzieciom na małych, zabawkowych organach Małgosi. Mikołaj Nogal idealnie i bez najmniejszej tremy odegrał rolę Jezuska, śpiąc cały czas jak suseł na rękach Wiktorii. Największą furorę zrobili jednak dwaj czarnoskórzy aktorzy, wypowiadający prawie idealną polszczyznę swoje kwestie.

Rodzice Chrisa i Roberta również otrzymali zaproszenie na występ synów i z radością je przyjęli. Matka przyszła ubrana w długą, brązową suknię, która u dołu miała bardzo piękny żółto-czarny szlak. Włosy zakryła fantazyjnie zawiązaną chustą powtarzającą geometryczne motywy i kolory tworzące ozdobę sukni. Miała lekki makijaż i wyglądała wprost olśniewająco. Ojciec chłopców też był elegancko ubrany w kremowy, płócienny garnitur i miodową koszulę, znakomicie zharmonizowaną z kreacją żony. Administrator niestety, mimo świetnego stroju, nie prezentował się zbyt dobrze ze względu na patologiczną wręcz otyłość.

Maria posadziła czarne małżeństwo w pierwszym rzędzie, na honorowych miejscach, tuż obok superintendenta i jego żony. Nogalowa zrobiła bardzo kwaśną minę i miała chyba zamiar od razu demonstracyjnie wyjść, ale mąż przytrzymał ją za rękę. Potem jednak tak się kręciła i stale wychodziła, niby to sprawdzić, czy Mikołajek czegoś nie potrzebuje, że w rezultacie większą część jasełek stała na dworze za werandą i paliła nerwowo papierosy.

Po skończonym przedstawieniu rozległy się głośnie oklaski i wiwaty. Wyhuściano dumnych artystów i nagrodzono ich słodyczami, a gratulacje dla autorki przedstawienia nie miały końca. Maria była bardzo szczęśliwa. Widziała

uznanie w oczach wszystkich. Pierwszy raz tak duże grono osób doceniło jej różnorakie talenty i zmysł organizacyjny, o który sama siebie nie posądzała. Trochę żałowała, że przedstawienia nie widziała jej matka, bo może byłaby z niej nareszcie zadowolona. W pewnym momencie Marię zaniepokoił fakt, że wszyscy już zdążyli jej pogratulować i powiedzieć coś miłego, tylko nie mąż. W ostatnim czasie sporo jej przecież pomagał w przygotowaniu dekoracji i sceny, a teraz, jakby nagle jej powodzenie przestało go interesować. Rozejrzała się wokoło, lecz nie znalazła go w zasięgu wzroku.

„Może wyszedł się przewietrzyć albo zaprasza tych, co wyszli z domu przez werandę, do zaimprovizowanego w salonie szwedzkiego stołu?” — pocieszała się. „A może jednak coś mu się w przedstawieniu nie podobało?” — pomyślała z obawą. Czyżby tekst, którego z nikim nie konsultowała, nie był dość dobry? A może wkradły się tam jakieś błędy, wynikające z jej słabej znajomości religii? — zastanawiała się i poczuła, jak szybko topnieje jej zadowolenie, a budzą się trapiące ją wciąż kompleksy i wątpliwości. Nie ufała już szczerości pochwał. Szukała Bronka na werandzie i przed domem, a potem w salonie wśród osób tłoczących się wokół stołu, na którym stały różne potrawy i drinki przyniesione przez polskie gospodynie. Wróciła w końcu znowu do sypialni.

Bronek siedział na niskim, skórzanym pufie, wciśnięty w kąt między szafą a drzwiami do łazienki i tępo spoglądał na świecąca wciąż nad drabiną gwiazdę betlejemską. Był zgarbiony i wyraźnie czymś przybity. Teraz przypomniała sobie, że mąż już od rana wydawał się nieobecny duchem. Usiłowała zgadnąć, co w jej zachowaniu mogło się stać powodem tej zgryzoty, ale niczego takiego nie znalazła. W tym jakże szczęśliwym dla niej dniu dopadł ją lęk, bo poczuła, że Bronek nie jest z nią szczery.

Mniej więcej po godzinie od zakończenia spektaklu wszyscy rozeszli się do swoich domów. Wieczór był wyjątkowo pogodny i piękny. Wiał gorący wiatr, cykady hałasowały w pobliskich zaroślach i pachniała świeżo ścięta trawa. Na niebie świecił duży, jasny księżyc i niezliczone ilości gwiazd. Brakowało tylko komety z warkoczem. Może zresztą przelatowała gdzieś w tej chwili, ale ani Maria, ani Bronek nie patrzyli w niebo. Siedzieli na ganku. Maria ciągnęła przez słomkę orzeźwiającego drinka zrobionego z campari, ginu, toniku i dużej ilości lodu. Bronek pił whisky z lodem. Dzieci spały już po dniu pełnym emocji. W większości bungalówów także pogasły światła. Mąż pochwalił wreszcie przedstawienie, ale zrobił to zdawkowo i znowu zamilkł.

Niezręczną ciszę przerwał wreszcie dzwonek telefonu. Bronek poderwał się natychmiast i pobiegł do sypialni, żeby odebrać. Najwidoczniej czekał na ten telefon. Rozmawiał z kimś bardzo cicho, bo mimo pootwieranych okien do Marii nie doleciało ani jedno słowo. Kiedy wrócił ponownie na ganek, był wyraźnie zdenerwowany. Szybko dokończył swoją whisky, a potem natychmiast nalał sobie

następną, już bez lodu, i wychylił ją dosłownie jednym haustem.

— Jutro jadę do Johannesburga — zakomunikował oschle.

— Przecież obiecałeś dzieciom wycieczkę w góry. Teraz masz urlop, a potem one idą do szkoły. Nie da się przełożyć tego wyjazdu?

— Właśnie dobrze, że mam urlop, bo nie będę musiał tłumaczyć Nogalowi, gdzie jadę i po co.

— Może jednak pojedziemy z tobą? Adam nie będzie miał chyba nic przeciwko. Zwiedzimy trochę miasto, a ty w tym czasie pozalutwiasz swoje sprawy.

— Tam nie ma co zwiedzać — powiedział obcesowo. — Zresztą bez samochodu nigdzie się nie ruszycie.

— Zadzwoń do Adama. Może Marzenka z nami pojeździ.

— Nie zawracaj głowy człowiekowi! — wybuchnął. — Adam nie jest już z Marzeną i w ogóle ma ciężki czas. Niepotrzebne mu nasze towarzystwo i wrzeszczące dzieci do kompletu.

Marii zrobiło się przykro. Po pierwsze ich dzieci nie wrzeszczały. Były już na to za duże, a ponadto rozsądne i dobrze ułożone. Kto jak kto, ale ich własny ojciec powinien o tym wiedzieć. Poza tym to przecież ona była przyjaciółką Adama, a tymczasem mąż go sobie już całkiem zawłaszczył. Adamowi dobrze by zrobiła rozmowa o uczuciach i Marzence z nią, z kobietą, a nie pijaństwo w męskim gronie. Podejrzewała, że właśnie w taki sposób Broniek ma zamiar „leczyć” kumpla z niedobrej miłości. Jeśli jeszcze do tego grona dołączy przyjaciel Adama, Karuzo, o którym Marzena wyrażała się bardzo niepocholebnie, a i Broniek nie miał o nim najlepszego zdania, to wszyscy trzej będą mieli tylko kaca i ból głowy na następny dzień, a pożytku z tego nie będzie żadnego. Maria była przekonana, że Broniek nie powinien sam jechać do Johannesburga.

Niespecjalnie życzyła mu też powodzenia w rozmowach na temat nowej pracy. Nareszcie była w miejscu, gdzie czuła się doceniona i szczęśliwa, a Broniek znów chciał gdzieś gonić i napinać się na robienie od nowa specjalizacji. Pamiętała ten cały obłęd w Polsce, jak się uczył i ich zaniedbywał. Teraz mogło być tylko gorzej, bo stawka była wyższa. Nie, zdecydowanie nie chciała stąd wyjeżdżać, lecz nie powiedziała mu tego głośno. Bała się go rozdrażnić. Zawsze wolała ustępować i się podporządkować.

ROZDZIAŁ 17

Bronek, wyjeżdżając z domu, miał potwornego kaca moralnego i poczucie winy. Pierwsze święta Marii i sylwester na obczyźnie, a on ją zostawia i jedzie niby to załatwiać nową pracę, która przecież nie jest mu jeszcze w tym momencie wcale potrzebna. Czuł do siebie obrzydzenie, że tak perfidnie oszukuje żonę. Nie widział jednak innego wyjścia. Nie mógł przecież powiedzieć: „Kochanie, jadę do Johannesburga, bo tam właśnie urodził się mój czarniutki synek”. Wciąż nie dowierzał, że coś takiego mogło mu się naprawdę przydarzyć. Miał wrażenie, że to koszmarny sen, z którego lada chwila się obudzi.

Może powinien szczerze porozmawiać z żoną, próbować przekonywać o swojej niewinności lub choć ograniczonej odpowiedzialności, ale niestety brakło mu odwagi. Postanowił, że zażąda od Nancy badań, a jeśli okaże się, że jakimś dziwnym trafem naprawdę tamtej fatalnej nocy spłodził potomka, postara się załatwić tę sprawę szybko jednorazową sumką pieniędzy. Ciekawe, ile randów¹ będzie go ta historia kosztować? Może Adam mu coś podpowie. Wiadomo, że nie stać go na zbyt wiele. W pierwszej kolejności musi myśleć o swojej rodzinie. Są dopiero na dorobku, właściwie nic nie mają, żadnych mebli, tylko stary samochód. Dzieci pójdą do szkoły, to też się wydatki zwiększą. Nie, naprawdę nie powinien być zanadto hojny, bo go na to nie stać. Dziewczyna musi podpisać oświadczenie, że jest usatysfakcjonowana i nie rości już żadnych pretensji. Tylko czy ona w ogóle umie pisać? Najwyżej postawi w obecności świadka trzy krzyżyki — planował.

Po głowie Bronka przetaczały się różne myśli, w których dominowały pytania. Raz chciał być twardy i bezwzględny, bo czuł się ofiarą podstępnej, cwanej Murzynki. W chwilę później, gdy pomyślał o swoim, być może, dziecku wychowywanym w nędzy, bez ojca, to zmieniał wszystkie butne postanowienia i najchętniej błagałby Marię, żeby wzięła je na wychowanie. W ogóle w tych swoich rozważaniach nie brał pod uwagę uczuć Nancy. Chyba nawet nie przyszło mu do głowy, że ta dziewczyna również ma uczucia. W sumie myślał tylko o sobie. Chciał zachować się w miarę przyzwoicie, bo nie lubił, gdy gryzło go sumienie. Kiedy dojeżdżał do Johannesburga, po burzliwej dyskusji z samym sobą postanowił wreszcie, że najważniejsza dla niego jest rodzina i musi dołożyć wszelkich starań, by trzymać Nancy i dziecko z dala od siebie.

Był niezwykle wdzięczny Adamowi za to, że zachował dyskrecję nie tylko przed Marią, ale nawet przed Marzenką. Bronek uważał, że postąpił tak zapewne ze względu na męską solidarność, ale musiał też przyznać, że Adam jako pracodawca zrobił dla Nancy znacznie więcej, niż można by oczekiwać. Nie tylko nie wyrzucił ciężarnej *maid* z pracy i mieszkania, jak pewnie wielu zrobiłoby na jego miejscu, ale opiekował się nią aż do rozwiązania. Dziewczyna miała do niego zaufanie

i powiedziała, kto jest ojcem jej dziecka. Z tego akurat Broniek się nie cieszył, ale cóż. Adam zawiadomił go, gdy rozpoczął się poród, i zawiózł Nancy do szpitala dla czarnych.

Broniek powinien wykazać wdzięczność, więc kupił po drodze na stacji benzynowej dużą butelkę ulubionej whisky Adama i ze skruszoną miną zjawił się z nią na progu domu swego jedyne go w tym kraju, sprawdzonego właśnie przyjaciela, dziękując mu za wszystko stokrotnie.

— Nie o ciebie mi chodziło, tylko o tę biedną Nancy i Marię — powiedział ostro Adam. — Postawiłem się na miejscu Maryjki. Dziewczyna przyjeżdża z dziećmi do ukochanego i, jak sądzi, wiernego męża, a ten mówi: „*Surprise*, mam dla was Murzynka! Chcecie się pobawić?”. Daj spokój, ona by tego nie przeżyła. Jest delikatna i wrażliwa. Znam ją od urodzenia. Poza tym nie jestem ślepy, widzę niestety, że bardzo cię kocha.

— Stary, zrozum, byłem kompletnie zamroczony, nie wiedziałem, co robię. — Broniek próbował się tłumaczyć po raz kolejny. Robił to już kilkakrotnie przez telefon. — Nancy sama jest sobie winna. Łaziła za mną jak cień i przewracała oczami, jeszcze jak u was mieszkalem. Ale mnie nawet do głowy nie przyszło zdradzać Marię. A potem nie wiem, co, kiedy, jak. Pamiętasz, że strasznie się schlałem. Nancy musiała mnie takiego nieprzytomnego zaciągnąć do siebie. Ja bym do niej nie doszedł o własnych siłach. Swoją drogą, jak ona tego dokonała, że ja, no wiesz, stanąłem na wysokości zadania? To stara rutyniara. Może to dziecko wcale nie jest moje? Trzeba wykonać badania. Drogie jest u was takie badanie wykluczające ojcostwo?

— O widzę, że chcesz kupić korzystny dla siebie wynik. To nie przejdzie, uprzedzam z góry — zażartował Adaś, ale za chwilę spoważniał i dodał: — Jak sobie chcesz. Ale im więcej zrobisz szumu, tym większe ryzyko, że Maria się dowie. Mogę ci zaręczyć, że Nancy z nikim się nie spotykała i nigdzie nie chodziła, a u mnie w domu nikt jej palcem nie tknął, z wyjątkiem ciebie oczywiście. Ona bała się ludzi, zwłaszcza czarnych. Od moich gości trzymała się z daleka, bo Marzenka tak sobie życzyła. Zresztą tu wszyscy traktowali ją jak *maid*, czyli jakby była przezroczyista. Zwróciłeś nawet na to uwagę. Tylko ty do niej zagadywałeś, a nawet starałeś się być szarmancki. Widziałem, jak pomagałeś jej nosić ciężkie skrzynki z mineralną, podniosłeś, gdy coś jej upadło.

— Byłem po prostu uprzejmy. Tak zachowuję się wobec każdej kobiety.

— No właśnie. Ona zauważyła, że widzisz w niej kobietę, a nie tylko czarną służącą. Dla niej to było niezwykle. Dziewczyna ma nieciekawą przeszłość.

— Ojej, była w jakimś burdelu, czy co? Mogłem się zarazić?

— Nie o taką przeszłość mi chodzi. A swoją drogą, to trzeba być kamikadze, żeby w dzisiejszych czasach tak beztrąsko przelecieć czarną bez kondoma.

— Przecież tłumaczę ci, że nie wiedziałem, co robię — zirytował się Broniek.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że w tym stanie... To co z tą jej przeszłością?

— Nancy pochodzi z Angoli. Jak miała dziesięć lat, ją i jej matkę zgwałcili żołnierze, a potem zabili oboje rodziców, ją natomiast zabrali ze sobą.

— O Boże! To ona na bank ma HIV!

— Wyobraź sobie, że jakimś cudem nie. Była badana, gdy od żołnierzy wykupił ją amerykański misjonarz i przywiózł do Botswany, gdzie wtedy mieszkała moja matka. Matka wzięła ją do siebie bardziej na wychowanie niż na służbę, ale tylko na dwa lata. Potem zdecydowała się wyjechać na stałe do Australii, więc poprosiła, żebym ja wziął Nancy do RPA. U nas jest już chyba tyle samo co w Botswanie. W domu i ogrodzie czuje się bezpiecznie i nie ma z nią problemów. Ale jak kiedyś zabrałem ją do sklepu, to na widok czarnych kulila się ze strachu i nie chciała wyjść z samochodu.

— Jezu! To ile ona ma teraz lat?! — krzyknął nagle Bronek, który na podstawie opowiadania Adama intensywnie wyliczał wiek Nancy.

— Liczyć nie umiesz, czy co? — ofuknął go Adam. — Piętnaście, ale nie jestem pewny, czy już skończyła.

— Niemożliwe! Nigdy bym nie przypuszczał. Dałbym jej spokojnie dziewiętnaście. Co teraz będzie?

— Nie bój się, to u was w Polsce dopiero od piętnastu wolno. U nas to większość czarnych...

— Wolno, nie wolno, to nie o to chodzi — przerwał mu Bronek. — Ona jest po prostu dzieckiem, a ja w takim razie... pedofilem — skonstatował załamany. — Jestem bydlakiem, który wykorzystał skrzywdzone dziecko.

— No, nie przesadzaj. Nie takie znów dziecko. One szybciej dojrzewają. Widziałem, że hormony już od dawna w niej buzowały — pocieszał go Adam.

— Ale mogła znaleźć sobie normalnego chłopca, umawiać się z nim na randki i dojrzewać pomału do miłości i macierzyństwa.

— Nie wiem, czy po tym, co przeżyła w Angoli, to ona w ogóle jest normalna. Ale cieszy się z dziecka. Tak mi mówiła.

— Co mam robić w tej sytuacji? — Bronek spojrzał bezradnie na Adama. W jego szarych, dużych oczach widać było lęk.

— Jutro pojedziemy do niej do szpitala, to się zobaczy — powiedział wymijająco Adam i napełnił dwie szklaneczki bursztynowym trunkiem oraz lodem.

Obaj panowie mieli już dobrze w czubie, gdy pod dom zajechała potwornie zabłocona duża, czarna terenówka i wysiadł z niej pokraczny Karuzo. Bronek na jego widok miał ochotę zwinąć się i pójść spać do sypialni dla gości, ale Adam go zatrzymał.

— Masz szczęście, bracie, że Karuzo przyjechał. Jest jedyną osobą, która może ci pomóc. Tylko on ma znajomości w Soweto². Znajdzie jej jakieś mieszkanie i zajęcie.

— Ale mówiłeś, że Nancy boi się czarnych. Może u białych...?

— Chcesz ją mieć do końca życia na głowie? Będziesz latał po znajomych i załatwiał jej pracę i mieszkanie, a oni będą pytać, czyje to dziecko?

— Ja mam znajomych tylko w Mapulanengu.

— No widzisz, a ja nie zamierzam narażać się na tego typu podejrzenia i komentarze — powiedział zdecydowanie Adam.

Bronek musiał więc wtajemniczyć kolejną osobę. Nie było mu łatwo, jękał się i krążył wokół tematu, zanim powiedział Karuzo, o co chodzi.

— Nie ma sprawy, stary — zawołał ochoczo geodeta. — Przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi. Postaram się to załatwić jak dla siebie. Ile dajesz? — zapytał bardzo konkretnie. Bronek znów zaczął stękać, więc Adam przyszedł mu na ratunek.

— Ja ci dam od siebie pięćset randów i Bronek tyle samo, tylko żebyś pamiętał, że to ma być porządne miejsce, gdzie dziewczyna i jej dziecko będą bezpieczni. — Pogroził palcem koledze i dodał: — Nie muszę ci chyba mówić, że to tajemnica.

Panowie przypieczętowali swoje przymierze wieloma jeszcze szklaneczkami różnorodnych trunków. Bronek był bardzo wzruszony postawą Adama. Zwierzał się z gorącego uczucia do żony i straszliwych wyrzutów sumienia. Adam z kolei szczerze mówił o trudnym i samotnym dzieciństwie w Polsce. O matce, która go rozpieszczała i zaniedbywała jednocześnie, oraz o pełnym rezerwy ojcu czy raczej ojczymie. Adam bowiem, kiedy dorósł, skojarzył pewne fakty oraz wypowiedzi matki i zrozumiał, że nie jest synem doktora Karola Maja. Miał jednak sporo sympatii dla tego skrytego, tajemniczego człowieka, który był chyba bardzo nieszczęśliwy w małżeństwie z jego matką.

Karuzo nie miał żadnych życiowych problemów, tak przynajmniej utrzymywał. Był zadowolony z siebie, z tego, co osiągnął, i ze stylu życia, jaki prowadził.

— Na co ja mógłbym narzekać? Spójrzcie na mnie, jak wyglądam. — Wstał, by zaprezentować się w całej okazałości, ale trudno to było nazwać okazałością. — Taka pokraka, a mam na pstryknięcie palców, jakie chcę, najśliczniejsze dupenki. Byście się poślinili na ich widok. Mogę załatwić, wystarczy jedno słowo... — zachęcał.

— Spadaj ze swoimi płatnymi dziwkami. — Adam nie owijał w bawełnę.

— Płacę moim dziewczynom, bo chcę, ale one mówią, że ze mną robiłyby to dla samej przyjemności, bo ja mam...

— Daj spokój, Karuzo, bez autoreklamy. My i tak nie skorzystamy — zgasił go zniecierpliwiony Adam. — Poderwałbyś wreszcie normalną dziewczynę i się ożenił. Może wtedy i ja bym się ustatkował.

— Wódkę piję na twój koszt i wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko, ale nie

ożenie się i nie będę miał dzieci. Czy sobie wyobrażacie małą dziewczynkę podobną do mnie? Nie mógłbym tego zrobić własnemu dziecku — zaśmiał się.

Następnego dnia wszyscy trzej, zbratani kacem i zwierzeniami, pojechali do Baragwanath Hospital, szpitala w Soweto. Okazało się, że Nancy czuje się świetnie, dziecko jest zdrowe, mogą więc wracać już do domu. Dziewczyna czule żegnała się z leżącymi na tej samej sali czarnymi kobietami. Były one wyraźnie pod wrażeniem zażyłości Nancy z białymi panami, których w dodatku nazywała „doctors”. Szeptaly coś między sobą i śmiały się głośno, gdy Broniek wziął na ręce zawiniątko z dzieckiem i rozchylił pieluszki, by obejrzeć jego prawie białą buzię.

Nie miał wątpliwości, że wiedzą, kim jest dla małego. Ciekawe, jaką historię przedstawiła im Nancy? Czy przyznała się, że zapitego zawlekła do własnego łóżka, czy też opowiedziała jakąś nieprawdźwiwą, ale romantyczną historię? — zastanawiał się. Murzyni, których znał z Mapulaneng, byli wyjątkowo prawdomówni. Nic nie upiększali, nie starali się wielosłowiem rozmywać znaczenia swojej wypowiedzi, co często szokowało białych. Czarny, który bez powodu nie przyszedł do pracy, potrafił szczerze wyznać superintendentowi, że mu się nie chciało. Nie była to bezczelność, tylko niewyobrażalna dla białego prawdomówność.

Po drodze ze szpitala wstąpili do sklepu, żeby kupić najpotrzebniejsze rzeczy dla dziecka. Nancy próbowała kilkakrotnie dotknąć ręki Bronka, ale ten odskoczył jak oparzony. W domu obaj z Adamem podjęli próbę wytłumaczenia dziewczynie, że teraz jej życie zmieni się diametralnie, bo nie będzie już mogła mieszkać tu, gdzie do tej pory. Broniek wystawił czek na tysiąc randów, który Karuzo miał jej pomóc zrealizować. Geodeta obiecał czuwać nad nią przez parę miesięcy i kontrolować, jak daje sobie radę w nowym miejscu oraz na co wydaje pieniądze.

Nancy słuchała tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczyma, ale nie mieli pewności, co naprawdę dotarło do niej z tej przemowy. Kiedy jednak Broniek trzy razy dosadnie powtórzył jej, że nie będzie się z nią widywać i jej też nie wolno szukać z nim kontaktu, rozplakała się. On zaś, choć wiedział, że zrobił ogromny błąd, przytulił ją do siebie i nawet słowem nie wspomniął o badaniach, na których przeprowadzeniu tak mu zależało. Chłopca także niepotrzebnie oglądał i chwalił, że pięknie zbudowany i włoski ma takie przezabawne, a potem zapytał, jakie imię Nancy zamierza mu nadać.

— Bonek — odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się przez łzy.

— Nie, to nie jest dobry pomysł — zaprotestował.

— To niech będzie Doctor — zgodziła się szybko, bo i takie imiona funkcjonowały wśród czarnych.

— Chcę, żeby miał na imię John — powiedział Broniek i zaraz poczuł, że znowu niepotrzebnie się angażuje.

Nancy otarła łzy i przytuliła dziecko, szepcząc do niego:

— Mój kochany, mały Johnie, jesteś piękny jak twój ojciec i będziesz szczęśliwy, bo tata cię kocha.

— Chyba Bóg Ojciec — skomentował z sarkastycznym uśmiechem Karuzo, który obiecał w ciągu kilku dni załatwić dziewczynie jakieś lokum, a potem jeszcze także zajęcie. — Nie wezmę, Adaś, od ciebie tych pieniędzy i może nawet od siebie jeszcze coś jej na zagospodarowanie dorzucę. Nie wiem dlaczego, ale ona mnie wzrusza — powiedział na koniec.

Już następnego dnia Karuzo miał dla Bronka dobre wiadomości. Żona czarnego policjanta zgodziła się wynająć Nancy pokój w zamian za pomoc przy dzieciach, których miała całą gromadę. Nancy wprowadzie nic by nie zarabiała, ale miałyby dach nad głową, opiekę poważnej kobiety i ochronę jej męża. Broniek zobowiązał się więc do uiszczania co miesiąc stu randów na małego. Planował w miarę dorastania dziecka zwiększać tę kwotę.

Nancy znów robiła wrażenie, że słucha uważnie, co do niej mówił, i uśmiechała się wniebowzięta. Gdy jednak wraz z Adamem zebrali jej rzeczy i chcieli ją wyprowadzić do samochodu, chwytła ich za nogi i błagała, że boi się iść do obcych ludzi i chce zostać u Adama. Zdecydowali więc, że zostawią ją jeszcze na kilka dni, żeby się wzmocniła po porodzie. Potem, kiedy Bronka już nie będzie, Karuzo przyjedzie razem z ową żoną policjanta i zabierze ją do nowego domu.

Broniek wracał do Mapulanengu z jeszcze cięższym sercem, niż wyjeżdżał. Modlił się po drodze szczerze i żarliwie, żeby Bóg otoczył opieką to małe dziecko i jego matkę. Modlił się, nie mając nadziei, że zostanie wysłuchany.

rand — waluta RPA [\[wróć\]](#)

Soweto — część aglomeracji Johannesburga; pierwotnie przeznaczona przez rząd dla czarnych [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 18

Maria czuła złość i było jej bardzo przykro, że Broniek wyjechał wczesnym rankiem w drugi dzień świąt i nawet się z nią nie pożegnał. A przecież nie kłóciła się z nim i nie miał powodu tak jej traktować. Dzieci także były zaskoczone nieobecnością ojca i trochę zawiedzione.

— Są czasami takie sprawy, których nie można odłożyć na później — tłumaczyła im. — Tatuś musi dbać o nas nieustannie i dlatego, chociaż bardzo mu było przykro, nie świętuje już z nami dzisiaj — mówiła, połykając łzy. — Te pierwsze wspólne święta jakoś nam się nie udały, ale następne na pewno będą lepsze — pocieszała dzieciaki, które z rezygnacją rozpakowywały swoje plecaczki i układały sobie inny plan dnia. Nuda im w Mapulanengu nie groziła. Miały przecież kolegów i wiele atrakcji w każdym zakamarku zdziczałego parku.

— Mamo, a Robert powiedział, że pokaże nam, gdzie wczoraj widział mangustę — mówił podminowany Jacek. — Wiesz, jak wygląda mangusta? To takie małe, zwinne zwierzątko, co zjada węże i wcale się nie boi nawet mamby. Jakby taką mangustę sobie oswoić, co?

— A Grzesiek dostał na gwiazdkę ślicznego szczeniaka. Ma takie grube łapy i jest cudny — mówiła Małgosia, tuląc się do ramienia Marii. — Mamo, a kupicie nam też takiego?

Broniek nie wrócił następnego dnia i co gorsza, nawet nie zadzwonił. Maria, żeby się z nim skontaktować, musiałyby zamawiać rozmowę na centrali, więc wolała czekać na telefon od męża. Trzeciego dnia, gdy była już mocno zaniepokojona, odezwał się nareszcie. Poinformował ją krótko, że pewne sprawy nadal są w toku i w związku z tym nie wie, jak długo zostanie w Johannesburgu. Żadnych wyjaśnień, żadnych pytań, jak ona sobie radzi. Chciała rozmawiać z Adamem, ale podobno nie było go w domu. Jednak w tle Maria słyszała sporo głosów, a wśród nich także charakterystyczny, nieco zachrypnięty, niski baryton Adasia. Nie zdążyła zadać żadnych pytań, gdyż Broniek się rozłączył.

Właściwie nie musiał się o nią martwić, bo niczego jej nie brakowało. Miała na szczęście jeszcze zapasy jedzenia ze świąt, nie musiała więc robić zakupów. Nie miała zresztą pieniędzy, czeków ani kart płatniczych. Wszystko zabrał ze sobą Broniek. Samochodu także nie miała, a do pobliskiego centrum handlowego było jednak parę kilometrów. Gdyby nie to, że mieszkała wśród rodaków, którzy w razie jakiejś nagłej potrzeby pewnie nie zostawiliby jej bez pomocy, czułaby się chyba w tej sytuacji niepewnie.

Mapulaneng był swoistą wioską, której społeczność coraz bardziej się integrowała. Po świątach panowała tu nadal radosna atmosfera. Od przedstawienia coraz więcej osób odwiedzało Marię, tak po prostu, żeby pogadać. Przyszedł nawet

Edward, ten najstarszy chirurg z Wrocławia. Wypytywał, czy pisze coś jeszcze. Maria przyznała się do układania wierszy, lecz nie chciała żadnego z nich przeczytać.

— A może by tak zorganizować coś dla dorosłych? Na przykład kabarecik z erotycznym podtekstem — namawiał, uśmiechając się przy tym dwuznacznie. — W nas, jak w dzieciach, też mogłabyś rozbudzić talenty. Patrząc na ciebie, czuję, że byłbym zdolny do wszystkiego.

Maria spiekła raka i tak się zmieszala, że nie znalazła na czas w głowie żadnej ciętej riposty, żeby usadzić starego lowelasa. Ale na szczęście właśnie zjawiała się żona Edwarda, która wszędzie chodziła w trop za mężem, i wybawiła ją z opresji. Jednakże swoim pytaniem o nagły wyjazd Bronka sprawiła jej znów kłopot.

Najczęściej na plotki wpadały do Marii Edyta i Ewa. Maria z ciekawością ich słuchała, ale sama niewiele miała do powiedzenia o innych, a o sobie nie umiałyby rozmawiać z obcymi. Mogłaby pogawędzić o książkach, lecz obie panie nie były raczej zaprzyjaźnione z czytaniem. Rozmawiała więc o dzieciach i o gotowaniu. Przyjemność sprawiało jej to, że nie jest już postrzegana wyłącznie jako żona Bronka. Okazało się, że także jego koledzy ciekawi są jej zdania w różnych sprawach. Na komplementy dotyczące urody starała się nie zwracać uwagi. Ale i one także miło łaskotały jej ego. Gnębiące ją od dzieciństwa kompleksy malały, a wraz z tym rosła w niej odwaga do bycia sobą, do zabierania głosu, do dowcipnej, dwuznacznej rozmowy. Zaczynała błyszczeć w towarzystwie, a jednocześnie zdobywała sympatię, bo nie próbowała uwodzić cudzych mężów, nie wymądrzała się, ale miło z każdym rozmawiała. Była chętna do wszelkiej pomocy i świetnie zajmowała się dziećmi.

Z okazji sylwestra superintendent zorganizował dla wszystkich grilla, zwanego tutaj „braaiem”. Oprócz Polaków i Hindusa dentysty na poczęstunek przyszły dwie białe pracownice laboratorium, których mężowie byli właścicielami rolniczych farm znajdujących się w pobliżu Bushbuckridge. Obecność gości spowodowała konieczność posługiwania się językiem angielskim, co wprawiło żony lekarzy w popłoch. Mimo że na co dzień jakoś radziły sobie w sklepach i w kontaktach ze służbą, to w towarzystwie innych Polaków wolały milczeć jak zakłète, żeby nie narazić się na złośliwe komentarze. Maria zachowywała się identycznie jak reszta pań. Tego dnia szczególnie starannie unikała obcojęzycznych gości, gdyż w razie trudności nie mogła liczyć na translatorską pomoc męża, który nadal przebywał w Johannesburgu.

Pokręciła się trochę między paleniskiem a stołami, pogadała z kilkoma rodakami, a z laborantkami i ich mężami wymieniła jedynie kurtuazyjne uśmiechy i wyklepała grzecznościowe formułki. Siedziała sztywno, wyczekując stosownego momentu, żeby dyskretnie urwać się z tej drętwej imprezy. Przy dużych

murowanych paleniskach uwijali się głównie mężczyźni. Każdy piekł mięswo dla swojej rodziny. Maria nie miała żadnego doświadczenia w grillowaniu potraw ani ochoty na stanie przy ogniu. Nie chciała jednak, by jej dzieci czuły się pokrzywdzone. Wybrała więc z przenośnej lodówki po jednej kiełbasce oraz kolorowym szaszłyku dla każdego i położyła je na ruszcie. Duży płomień liznął mięso i pewnie zmieniłby je w czarne węgielki, gdyby nie szybka interwencja małżonka jednej z laborantek.

Potężny Bur, czerwony na twarzy, już od początku imprezy sporo pił. Teraz nachylał się do niej zbyt blisko, mówił coś dużo i szybko. Maria niewiele z tego rozumiała, ale zauważyła, że facet jest już pijany. Kiedy obracała szaszłyki, poczuła jego dłoń błędzącą w okolicy swoich pośladków. Zgarnęła niedopieczone jeszcze mięso i odeszła poszukać dzieci. Nie były zachwycone posiłkiem. Kiełbasa miała według nich dziwny smak, a szaszłyki były za twarde. Schowali więc dyskretnie między dwie tacki niedojedzone mięso i wymknęli się z tym łupem z imprezy. Poszli w kierunku części parku zamieszkaanej przez czarnych, gdyż tam często można było spotkać chude, zaniedbane kundelki. Przybiegły z podkulonymi ogonami, niepewne swojej roli stróżów. Już po pierwszych rzuconych im kawałkach stały się miłe i przyjazne.

Po nakarmieniu psiaków mieli od razu wracać, jednak Marię zainteresowały odgłosy afrykańskiej muzyki i charakterystyczny murzyński śpiew, które dobiegały z zasłoniętych nieco zaroślami zabudowań. Trzymając dzieci za ręce, ostrożnie podeszła bliżej. W dużym, parterowym budynku, wyglądającym jak niewykończony barak lub przeznaczona do rozbiórki niewielka hala fabryczna, wesoło bawili się czarnoskórzy pracownicy szpitala. Brak okien i drzwi zapewniał lokalowi znakomitą wentylację, bardzo potrzebną w tę upalną noc. Mimo to twarze i odsłonięte dekoltu żywiolowo bawiących się w budynku ludzi połyskiwały od potu w blasku oświetlających salę pochodni.

Na widok Marii i dzieci wiele osób zaczęło bić brawo i przywoływać ją gestami oraz zachęcać do zabawy. Nieśmiało i z pewną obawą przekroczyła próg tej swoistej świetlicy. Wtedy czarni, pokrzykując radośnie, utworzyli krąg i zaczęli wokół nich tańczyć. Dzieci starały się możliwie dokładnie naśladować ich ruchy, co wywołało jeszcze większą wesołość. Maria wmieszała się w tłum i tańczyła początkowo w kółku. Potem niektórzy mężczyźni ośmielili się i podchodzili do niej, proponując wspólny taniec. Starsze kobiety skupiły się wokół Małgosi, dotykały jej jasnych, jedwabistych włosów, brały za ręce i cmokały z zachwytu nad śliczną dziewczynką. Znalazła się też grupka nastolatków, którzy szybko wciągnęli do zabawy Jacka. Maria nie czuła się w najmniejszym stopniu zagrożona ani skrzępowana. Tańczący z nią mężczyźni zachowywali spory dystans i odnosili się z szacunkiem. Jacek wyciągnął nowy aparat fotograficzny, prezent od Świętego Mikołaja, włączył flesz i strzelił kilka fotek.

Tu nie pieczono mięsa, nie było wymyślnych sałatek. Na niewielkiej ławce pod ścianą stały miski z kukurydzianymi chrupkami, jakieś ciasteczka, chipsy, owoce i różnego rodzaju napoje. O północy podano Marii kieliszek musującego wina, a dzieciom sok. Wszyscy krzyčili do nich *Happy New Year*, a oni odpowiadali tym samym. Padali sobie w objęcia i całowali się z dubeltówki, zupełnie jak w Polsce. Na początku Marię trochę odstręczał zapach spoconych ciał, lecz po pewnym czasie przestała o tym myśleć i czuć, po prostu się przyzwyczaiła. Ściskając dłonie tym serdecznym ludziom, zauważyła, że ich skóra jest jakby nawoskowana, zupełnie inna w dotyku niż jej lub dzieci. Wkrótce jednak przestała i na to zwracać uwagę i czuła się świetnie. Bawiła się znakomicie, ale około pierwszej w nocy podziękowała za przyjęcie i wróciła na swoją, „białą” stronę, aby towarzystwu siedzącemu przy braaiu także złożyć życzenia.

Laborantek i ich mężów już nie było. Superintendent znów wypił za dużo i bardzo arogancko odnosił się do żony. Edward i jego połowica zadowalali się własnym towarzystwem, obserwując wszystkich z dystansu i wymieniając między sobą kąśliwe uwagi na temat reszty. Obarczone dziećmi doktorowe nie bez trudności zabierały do domów swoje rozbawione pociechy i ociążałych mężów. Impreza wyraźnie miała się ku końcowi.

— Pani Marysiu, a gdzie pani była tyle czasu? — zagadnął nagle Marię Nogal i łypnął porozumiewawczo przekrwionym okiem do stojącego obok Mariana. — Powinniśmy pani pilnować pod nieobecność męża, żeby potem Broniek nie miał beżowego potomstwa. No nie, chłopaki? — zwrócił się do siedzących najbliżej współpracowników. Żaden z nich nie zareagował śmiechem na głupkowate aluzje i żarty szefa.

— Byłam na zabawie u czarnych — odparła Maria szczerze.

— No to rozwód gotowy, jak się mąż dowie. Nie wierzę, żeby czarnuchy przepuściły takiej cudnej, białej d... — Czknął na szczęście i nie dokończył wulgaryzmu.

— Białej damie chciał dyrektor zapewne powiedzieć? — Rysiek, który od Wigilii prawie co dzień bywał u Guziałów, poczuł się w obowiązku pod nieobecność Bronka bronić honoru jego żony. — Czarni umieją uszanować prawdziwe damy, w przeciwieństwie do niektórych białych. — Rysiek zbliżył się do Nogala, dając jednocześnie znać Marii, żeby odeszła stamtąd jak najszybciej i zabrała dzieci, co też, nie zwlekając, zrobiła.

Prawie do białego rana słyszała potem dochodzące z bungalowu sąsiadów podniesione głosy i ordynarne wyzwiska padające z ust Edyty i jej męża. A już następnego dnia po południu oboje siedzieli dostojnie, jak wzorowi małżonkowie, w szpitalnej kaplicy, gdzie włoski misjonarz odprawiał noworoczną mszę świętą. Nogalowie zajęli pierwsze krzesła przy samym ołtarzu, a za nimi usiadła spora część białej społeczności Mapulanengu. Dalej zaś tłoczyli się czarni, którzy

przybyli tłumnie, bo to głównie z myślą o nich ta msza była odprawiana. Chwalili oni Boga z podobnym zaangażowaniem, jak poprzedniego dnia się bawili. Tańczyli wokół ołtarza, klaskali w dłonie i cudownie śpiewali na głosy. Wrażliwa na muzykę Maria wstała z krzesła i dołączyła do nich. Rozpoznała kilka osób z wczorajszej zabawy, więc uśmiechała się do nich przyjaźnie. Nie potrafiła wprawdzie śpiewać w ich języku, ale tam, gdzie było to możliwe, włączała się wokalizą lub powtarzała łatwiejsze partie w refrenach. Ta roztańczona msza dodała jej radości i optymizmu.

Broniek wrócił dopiero późną nocą i wymówił się zmęczeniem, żeby nie rozmawiać o tym, co i jak załatwił w Johannesburgu. W ciągu następnych dni na pytania żony dawał jakieś niewyraźne i niekonkretne odpowiedzi, a w końcu zaczął stroić fochy, że Maria go wypytuje, jakby nie miała zaufania. Maria dała więc mężowi taktownie spokój, tłumacząc sobie, że zapewne rozmowy w uniwersyteckim szpitalu dla białych nie poszły po myśli Bronka. „A może jako imigrant został tam źle potraktowany i woli o tym nie mówić?” — głowiła się, usiłując rozwikłać zagadkę dziwnego zachowania męża. Wkrótce sprawa tajemniczego pobytu Bronka w Johannesburgu zeszła na drugi plan, bo trzeba było szykować dzieci do szkoły. Tymczasem tata przypomniał sobie o zaległej wycieczce w góry.

ROZDZIAŁ 19

Pierwotny plan wycieczki został gruntownie zmieniony, głównie ze względu na brak czasu oraz oszczędności, które Bronek zapowiedział rodzinie zaraz po powrocie z Johannesburga. Początkowo planowali kilkudniowy wypad z noclegami w luksusowych pensjonatach. Według nowych założeń mieli wyruszyć wczesnym rankiem w sobotę, na noc wrócić do domu i ponownie wyjechać w niedzielę. Zabierali ze sobą prowiant na drugie śniadanie i obiad w plenerze. Nikt nie marudził na taką zmianę koncepcji. W Polsce z braku taniej i porządnej bazy noclegowej podobnie organizowali swoje wypady. Dzieci cieszyły się więc, że eskapada do słynących z urody miejsc w Górach Smoczych dojdzie do skutku, że całe dwa dni będą razem z tatą. Maria przed wyjazdem pół nocy spędziła w kuchni. Upiekła drożdżowy placek z bakaliami i całą masę kurzych podudzi. Rankiem wyglądała na mocno zmęczoną, ale chłodny prysznic, sok, mocna kawa i jogurt postawiły ją na nogi.

Jechali świetnymi, szerokimi drogami, o cudownie równej nawierzchni. Jasny, beżoworóżowawy asfalt nie topił się, mimo bardzo wysokich temperatur, jak ten czarny, zrobiony prawie z samej smoły, w Polsce. Ruch był raczej umiarkowany. Bronek co jakiś czas spoglądał na mapę, na której zaznaczył sobie ciekawe obiekty. Już na początku drogi zachwycił ich długi tunel, którym wjeżdżało się do środka olbrzymiej skały. Jeszcze większe wrażenie zrobił na nich tunel utworzony przez samą naturę. Woda w skale wydrążyła korytarz, a górą po naturalnym moście biegła szosa, przy której zatrzymali się na niewielkim parkingu, wyznaczonym tu właśnie po to, by turyści mogli obejrzeć ciekawe zjawisko krasowe. Po śliskich kamieniach wystających z krystalicznie czystej wody kilka osób, podobnie jak oni, próbowało przejść pod „mostem” na drugą stronę rzeki. Co chwilę ktoś wpadał do lodowatego, wartkiego strumienia i krzyczał zabawnie z emocji. Kiedy temperatura powietrza ma powyżej trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, taka niespodziewana kąpiel, nawet w ubraniu i butach, jest całkiem miła. Bronek i Jacek na zmianę cykali zdjęcia, spychając się nawzajem do wody. Opryskali też Marię i Małgosię, które gniewały się tylko na niby.

Słońce złociło drobne kropelki rozbryzgiwanej cieczy, pięknie igrało na powierzchni wody, prześwietlało ją, ukazując wielobarwne, obłe kamienie na dnie koryta. Interesująco wyglądały warstwowo zabarwione skały, tworzące jakby filary naturalnego mostu. Aż trudno było uwierzyć, że o takim właśnie ułożeniu różnokolorowych pasów skalnych i wzorach nacieków nie zdecydował uznany artysta plastyk, że to wszystko powstawało przez tysiące lat i nie miało na celu budzić w człowieku doznań estetycznych.

Z tego zachwyty Maria zapomniała zanotować w notesie nazwę rzeki

i miejscowości. Zajął się pomoczonymi ubraniami dzieci. Broniek zaś poganiał ich, żeby prędzej wsiadali do auta, bo nie uda im się obejrzeć przewidzianych na ten dzień atrakcji. Kiedy chciała wrócić do tablicy informacyjnej, stanowczo zaprotestował, mówiąc:

— Ojej, daj spokój, nieraz jeszcze tu będziemy. Ten krótki wypad potraktuj jako rekonesans, gdzie warto jeździć na weekendy i co pokazać rodzinie i znajomym, kiedy do nas przyjadą. Teraz odsapnijcie w czasie jazdy i przegryźcie małe co nieco, bo na następnym przystanku czeka nas długi spacer przez czarodziejski las.

Wędrówka w cieniu wysokich drzew, wśród których wyróżniały się też olbrzymie paprocie drzewiaste, była wcale niemęcząca i bardzo przyjemna. Stąpali po miękkim mchu, w którym rosły okazałe grzyby. Maria chciała je zbierać, ale Broniek stanowczo się sprzeciwił.

— Może one są tylko podobne do naszych maślaków, a okażą się trujące. To zbyt niebezpieczne. Nie schodźcie ze ścieżki i nie nachylajcie się nad zaroślami, przecież tu na pewno są węże — ostrzegał bardzo rozsądnie.

Po wyjściu z lasu szli jeszcze spory kawał piaszczystą drogą w palącym słońcu. Krajobraz nie wydawał się w tym miejscu zbyt interesujący, a upał dawał się we znaki. Opuścili głowy ze zmęczenia, a runda kapeluszy ograniczały im pole widzenia. Nawet nie zauważyli, kiedy ogromna, skalna ściana zagroziła im drogę. Z góry spływał piękny, szeroki wodospad, barwiąc ciemnoszare głązy w ciekawe kolorystycznie pasy. Spieniona woda w dole rozlewała się na dużej przestrzeni i już jako spokojna, płytka rzeka płynęła dalej. Znaleźli miejsce, gdzie po kamieniach można było przejść na drugą stronę, tak aby stanąć między skałą a spadającą z góry wodą.

Na początku stycznia, w samym środku pory deszczowej, bardzo w tym roku obfitej, wody było naprawdę w bród. Huczała i szumiała tak, że nie sposób było się porozumieć, nawet krzycząc. Rozbite w pył kropelki tworzyły cudownie orzeźwiająca, chłodną, mokrą mgłę. Mikroskopijne pryzmaty załamywały promienie słoneczne, malując mgiełkę mnóstwem tęczyowych pasów i kręgów. Maria zachowywała się jak dziecko. Próbowwała chwycić w dłonie wielokolorowe widmo rozszczepionego światła, śmiała się ze szczęścia i wzruszenia pięknem. Dzieci także były oczarowane. Podstawiały twarze i ręce pod łaskoczące je cieniutkie strużki wody. Wkrótce ich włosy i ubrania były kompletnie mokre, ale upał, wiatr i słońce w mig osuszały wszystko.

Broniek starał się utrwalić na kliszy radość rodziny. Natrzaskał mnóstwo zdjęć, zwłaszcza Marii, która wyglądała wprost zjawiskowo. Cerę miała teraz lekko opaloną i zaróżowioną. Zwilżone rude loki lśniły w słońcu i wiły się zmysłowo wokół szyi, spływając na plecy i ramiona. Oblepione mokrą, lekko przejrzystą sukienką fantastyczne piersi i biodra żony budziły w nim pożądanie. Zresztą każdy,

kto w tej chwili ujrzałby ją, wynurzającą się z oparów białej mgiełki, ze stopami obmywanymi przez spienioną wodę, musiałby przyznać, że jest piękniejsza niż Wenus z Milo.

Bronek nie był wielkim estetą. O sztuce wiedział tyle, ile przekazali mu na lekcjach polskiego i historii nauczyciele z radomszczańskie liceum ogólnokształcącego. Posąg Wenus jednak pamiętał, a teraz miał wrażenie, że bogini ożyła. Ale im bardziej podobała mu się własna żona, im mocniej uświadamiał sobie, jakie to szczęście mieć ją blisko, na wyciągnięcie ręki, dotykać, pieścić i móc sprawiać jej rozkosz, tym bardziej stawał się przygnębiony. Podobnie widok jego ukochanych dzieci, szczęśliwych, rozbawionych i ufnych, sprawiał mu zarazem radość i ból. Tak więc rodzina bawiła się świetnie, a on stawał się coraz smutniejszy.

Tamtego dnia widzieli jeszcze kilka wodospadów. Nosiły europejskie nazwy: Berlin i Lizbona, choć niewiele miały wspólnego z tymi dalekimi miastami. Na widok kanionu błękitnej rzeki Blyde i niesamowitych wręcz form skalnych utworzonych przez wodę zaniemówili z wrażenia. Maria pokazała córce z dala trzy skały podobne do okrągłych, zuluskich chat i powiedziała, że tam pewnie mieszkają gigantyczne smerfy. Nie było to zbyt rozsądne, bo Małgosia zapragnęła za wszelką cenę dotrzeć do bajkowych budowli. Błagała rodziców, żeby podjęli z nią pieszą wędrówkę na drugą stronę kanionu do smerfów. Dziewczynka nie chciała uwierzyć, że mama wymyśliła tę historyjkę na poczekaniu i że nie istnieją na świecie żadne smerfy. Nadąsaną Małgosię udało się w końcu udobruchać i rodzina pojechała już w harmonii dalej, aby obejrzeć Rock Needle, skalną igłę, i spojrzeć na świat z God's Window, czyli okna Boga.

Mieli wiele do obejrzenia, a widoki naprawdę zapierały dech w piersiach. Niezwykle czyste w tym regionie powietrze sprawiało, że z God's Window widać było nawet skały znajdujące się już na terenie Mozambiku. Maria, wychylając się z balkoniku zawieszzonego w tym punkcie widokowym, czuła się źle i niepewnie. Kręciło się jej w głowie od rozległej panoramy. Przerażała ją świadomość, że pod nią znajduje się bardzo głęboka przepaść. Chociaż dzieci i mąż wskazywali jej palcem ciekawe obiekty, bała się spojrzeć. Pobladła na twarzy i wycofała się stamtąd szybko, ustępując miejsca innym. Stawała potem już w pewnym oddaleniu od krawędzi skał i patrzyła raczej wysoko na niebo oraz same wierzchołki gór.

A góry w przeważającej części były zielone. Porastająca je bujna roślinność z daleka wyglądała jak mech. Maria próbowała sobie wyobrazić, że ogląda tylko ogromną dioramę lub dekorację teatralną, a zięjące przepaście są jedynie zagłębieniami sztucznej makiety. W morzu zieleni gdzieniegdzie sterczały kopulaste skały, rude, czerwone, bordowe i cieniowane w sino-fioletowe pasy. „Nie można było umieścić ich na lepszym tle niż ten najbardziej błękitny błękit tutejszego nieba” — pomyślała Maria. Chciałaby tu kiedyś wrócić ze sztalugami

i farbami. Najpierw jednak powinna wyleczyć lęk wysokości, żeby móc jak mąż i dzieci śmiało patrzeć w kotliny i podziwiać niezwykle pod względem kształtu i kolorystyki zjawiska.

Bronek, widząc niewyraźną minę żony oraz jej uniki, postanowił domowym sposobem szybko wyleczyć ją z fobii. Na siłę przyciągnął ją do barierki na God's Window i zaczął całować. Jacek z aparatem wychylił się troszkę nad urwisko, aby upamiętnić ten gorący pocałunek rodziców, a Małgosia śmiała się z zabawnej, jej zdaniem, przepychanki. Maria blada i roztrzęsiona wyrwała się z objęć męża, odepchnęła syna tak mocno, że aparat upadł mu na ziemię, i schwyciła Małgosię kurczowo za rękę. Kilka znajdujących się w pobliżu osób spojrzało na nią z niepokojem, a ona krzyknęła histerycznie:

— Cofnijcie się! Mam dość! To jest ponad moje siły!

Na parkingu przy swoim samochodzie znaleźli się, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi. Dzień się kończył, a niebo wciąż było czyste, bez jednej chmurki. Mieli więc wyjątkowe szczęście do pogody, wyglądało na to, że ten wieczór nie będzie burzowy. Wiał lekki, ożywczy zefirek i nareszcie temperatura powietrza stała się znośna.

— Jeść! — zawołały dzieci, które dawno już spałaszowały

wszystko, co Maria naszykowała na drogę. Bronek spojrzał w swoją mapkę. Polecany przez znajomych niewielki hotelik, który sobie zaznaczył wcześniej, znajdował się stosunkowo niedaleko. — Już wiem, gdzie zjemy kolację — powiedział. — A jak nam się spodoba, to zostaniemy tam na noc. Na pewno będzie można popływać w basenie — dodał. Ta informacja wywołała u dzieci prawdziwą euforię. Omal nie przebiły dachu samochodu, tak skakały z radości.

— Ale nie mamy kostiumów ani piżam — zauważyła przytomnie Małgosia.

— To popływamy na golasa — zażartował Bronek.

— Tato, tak nie można — oburzył się Jacek. — Wezmą nas za dzikich.

— Nie martw się, na pewno jakieś kąpielówki będzie można kupić w hotelu — uspokoił go ojciec, któremu widać nie tak łatwo było przestawić się na oszczędnościowy tryb życia.

Hotel okazał się wcale nie taki znów mały. Był wyjątkowo malowniczo położony. Z tarasu, na którym jedli kolację, rozciągał się przepiękny widok na góry. Jak przypuszczał Bronek, wprost od stolika można było wskoczyć do błękitnego basenu i popływać. Bardzo niezdrowo, bo już chwilę po jedzeniu, ojciec bawił się z dziećmi w krokodyla, który chwyta ofiary i wciąga pod wodę. Robili nieprzyzwoicie dużo hałasu, więc Maria nieco zażenowana głośnym zachowaniem rodziny postanowiła popłynąć aż do końca długiego basenu. Zapadał zmierzch i góry przykryła sinofioletowa mgiełka. Niebo nad górami stało się już granatowe, choć nad głowami było jeszcze złote jak tło ikony. Nad górami ukazał się wielki, pomarańczowy lampion księżyca. Na jego tarczy rysowały się ciemne plamy skał

i kraterów. „Ciekawe, jaki kolor z bliska mają te księżycowe skały?” — zastanawiała się Maria. — Na pewno nie są ciekawe, bo nie porastają je zielone lasy i nie mogą mieć tak fantastycznych kształtów jak krasowe skały Gór Smoczych — odpowiedziała sama sobie już na głos.

Płynąc wolniutko żabką, dotarła do krawędzi basenu. Podciągnęła się nieco na rękach i spojrzała w dół. Basen wisiał na półce skalnej, a pod nią znajdowała się ogromna przepaść. Oczy Marii na szczęście nie sięgnęły dna czeluści, bo od dołu, jak para z garnka, unosiła się wieczorna mgła. Jednak spojrzenie z urwiska wystarczyło, aby zakręciło jej się w głowie, a żołądek podskoczył do gardła. Miała wrażenie, że lustro wody w basenie się podnosi, a ona wraz z nim. Bała się, że zaraz jak wodospad zleci w dół po skałach. Spanikowała. Zawróciła natychmiast i zabroniła dzieciom zbliżać się do tamtego końca basenu. Broniek osobiście popłynął sprawdzić, czy istnieje tam jakiegokolwiek zagrożenie. Obejrzał przepaść i pochwalił architekta za oryginalne rozwiązanie, ale dla spokoju żony również zakazał dzieciom pływać dalej niż do połowy basenu.

Po takiej ilości wrażeń i ruchu Jacek i Małgosia nadzy i owinięci tylko w prześcieradła zasnęli błyskawicznie w hotelowym pokoju. Ich rodzice jakiś czas siedzieli jeszcze na małym tarasiku przyległym do apartamentu i sączyli z wysokich oszroniałych szklanek mocne drinki, a potem także udali się do łóżka. Po obfitującym w niezwykle przeżycia i wyczerpującym fizycznie dniu Maria nie spodziewała się po Bronku tak wielkiego napływu energii. Mąż kochał się z nią zachłannie, mając wciąż przed oczyma jej obraz jako bogini igrającej z tęczą w wodą. Ona jednak, gdy tylko przymykała powieki, miała wrażenie, że znów znajduje się nad przepaścią. Chwyciła się więc mocnych ramion męża, przytuliła głowę do jego silnej szyi i choć poczuła nagle pęd spadania, nie bała się z nim niczego. „Jeśli umrzeć, to tylko w jego ramionach” — pomyślała jak heroina z kiczowatego romansidła. Krzyk przerażenia przerodził się w krzyk rozkoszy, a wspólne spadanie zmieniło się w cudowne szybowanie w powietrzu. Widziała ostre promienie słońca, a potem wirujące pod wodospadem pasma tęczy. Leciła między błękitem nieba a puszystym, zielonym dywanem pokrywającym stoki gór. Zbliżała się do czerwonych skał, by w ostatniej chwili pikować w dół lub skręcać nagle w bok. Aż w końcu znalazła się nad połyskującą, meandrującą w ogromnym kanionie wstęgą rzeką Blyde, w której wodach się zanurzyła.

Teraz dopiero przeżyła bez lęku i doceniła to wszystko, co oglądała w ciągu dnia. Oczy miała jeszcze zamknięte, lecz powoli wracała świadomością do hotelowej sypialni. Nagle usłyszała namiętny szept męża:

— Marysiu, tylko ciebie kocham. Wierzysz mi?

— Tak — odpowiedziała bez namysłu. — Oczywiście, że ci wierzę, dlatego jestem najszczęśliwszą kobietą na ziemi. — Przeciągnęła się rozkosznie i czekała na pocałunek, ale Broniek mówił nadal:

— Zawsze o tym pamiętaj i... — przerwał na chwilę, szukając chyba najodpowiedniejszych słów. — Proszę cię, żebyś nigdy nie zwątpiła w to, że ty i dzieci jesteście dla mnie wszystkim. Musimy trzymać się zawsze razem i pamiętaj, że tylko ty i nasze dzieci...

Marię zdziwił trochę ten nagły napad sentymentalnego gadulstwa u męża. Podniosła głowę znad poduszki i przyjrzała mu się uważniej. „Chyba za dużo wypił” — pomyślała. Jej ten „fikołek” w wysokiej szklance wypity na tarasie też niezłe zakręcił w głowie, a Broniek przecież poprawił go jeszcze brandy.

— Jasne, że musimy się trzymać razem. To oczywiste, jesteśmy rodziną. Nie martw się, nie masz żadnej konkurencji, jeśli o to ci chodzi. Głupi Nogał nagadał ci, że byłam u czarnych na sylwestra? Poszłam tam tylko na chwilę z dziećmi, ty zazdrośniku. — Uśmiechnęła się i potargała mu jasną czuprynę. Lecz Broniek był nadal poważny i mówił dziwne rzeczy.

— Ja przez chwilę zwątpiłem w ciebie. Myślałem, że mnie zwodzisz i nie chcesz wcale przyjechać.

— Kotku, mówiłam ci już, że to było głupie. Daj spokój. Nie wracajmy już do tego. Pora spać.

— Wiesz, to był bardzo zły czas. Pojechałem do Adama na weekend, piliśmy na umór i nawet...

— Zawsze podejrzewałam, że z Adasia to niezłe ziółko wyrośnie. Ale pracy nie zaniedbuje. Jak on zdołał tak dużo osiągnąć przy swoim trybie życia? Jutro mi opowiesz, co tam wyprawialiście, bo jestem już strasznie śpiąca. Od jutra będę kontrolować, ile i co pijesz, a teraz śpię. — Maria odwróciła się na bok i naprawdę natychmiast zasnęła, a Broniek, mimo to, mówił dalej:

— Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę miał tyle odwagi co dzisiaj, żeby ci to wyznać. Ale może tak jest lepiej, że nie wiesz, jakim sukinsynem jest twój mąż? Tak bardzo nie chciałbym cię zranić — szeptał do śpiącej żony. Długo jeszcze wpatrywał się w jej profil, we włosy rozsypane na poduszce, w zarys sylwetki pod prześcieradłem i wycierał płynące po polikach łzy.

ROZDZIAŁ 20

Następny ranek znów był przepiękny. Maria wyszła cichutko z pokoju i poszła z dziećmi popływać. Coś ciągnęło ją, żeby jeszcze raz spojrzeć w gardziel przepaści i zobaczyć jej dno, którego wieczorem nie mogła dojrzeć przez opary mgły. Miała ochotę sprawdzić, czy mogłaby teraz, jak to widziała w swoim na wpół sennym marzeniu, stawić czoło lękowi. Nie popłynęła jednak do końca basenu, żeby nie prowokować dzieci do zbliżania się tam. Bawili się jakiś czas w wodzie, potem zjedli śniadanie, a Broniek nadal spał.

Maria doskonale wiedziała, co jest przyczyną tak wielkiego „zmęczenia” męża. Na tarasie, jako *corpus delicti*, stała opróżniona butelka brandy. Musiał wstać z łóżka i wypić ją, kiedy Maria już spała. Była wściekła, że mąż zachował się tak nierozsądnie i nie wziął pod uwagę tego, że nie będzie w stanie rankiem prowadzić samochodu. Odeszła jej ochota na dalsze zwiedzanie, chciała już wracać do domu. Ten śmierdzący alkoholem, nieodpowiedzialny Broniek dziś nie wydawał jej się już tak idealnym partnerem, za jakiego miała go jeszcze wczoraj. Pomyślała, że nie powinna mu tak bezgranicznie ufać i może dobrze byłoby, choć od czasu do czasu, zdobyć się na trochę samodzielności. Dobrym sposobem na usamodzielnienie byłoby zacząć znów, jak w Polsce, prowadzić samochód. Chociaż nie leżało to w jej naturze, postanowiła działać energiczniej. Miała zamiar wziąć kluczyki i poćwiczyć trochę na hotelowym parkingu jazdę i parkowanie automatem. Po drodze do pokoju zapytała w recepcji o rachunek i rzuciła okiem, ile kosztowała ta nieszczęsna brandy. Po prostu ją zatkało. A kiedy dowiedziała się, że wkrótce zaczną im liczyć za następną dobę, szlag ją trafił. Zostawiła dzieci przed hotelem i jak bomba wpadła do apartamentu.

— Natychmiast wstawaj! — krzyknęła wprost do ucha chrapiącego męża. — Za pół godziny masz być gotowy do drogi. Ja poprowadzę samochód, a z tobą policzę się w domu.

— Marysiu, jesteś przy mnie! Kochana... — zaczął Broniek w typowy dla pijaków sposób. — Mów ciszej, strasznie boli mnie głowa. Daj mi wody z cytryną i przytul mnie, kochana.

— Już ja cię przytulę. Wejdz pod prysznic i się ogarnij. Nie chcę, żeby dzieci widziały cię w takim stanie. Zjedz śniadanie, skoro jest już zapłacone, i jedziemy. Wytrzeźwiejesz do reszty, gdy zobaczysz rachunek. Jak chcesz oszczędzać, to zacznij od siebie! — Trzasnęła drzwiami i wyszła na parking.

Podobała się sobie taka ostra i zdecydowana. Nie pozwolił mężowi się upijać. Przecież od niego zależy ich egzystencja. Nie po to przejechała pół świata, żeby skazywać dzieci i siebie na poniewierkę i życie z pijakiem. Znów uświadomiła sobie, że w tym kraju ona zupełnie nic nie znaczy. Gdyby Bronkowi coś się stało,

nie jest nawet upoważniona do jego konta. Nie ma też pojęcia, jaki jest stan ich finansów, bo mąż dziwnie unika rozmów na takie tematy. Po raz pierwszy pomyślała o ekonomicznym bezpieczeństwie rodziny.

W Polsce zarabiała niewiele, Broniek nieco więcej, matka miała małą rentę po ojcu, ale jakoś się to wszystko razem kręciło. Miała świadomość, że w razie czego matka ma jakieś oszczędności na koncie i chyba sporo biżuterii. Poza tym była jeszcze zamożna babcia, na której pomoc zawsze można było liczyć. Nędza na pewno im nie groziła. Tutaj, wobec nieodpowiedzialności męża i jego coraz większego pociągu do alkoholu, przyszłość wydała się jej mglista i niebezpieczna, jak przepaść za basenem.

Maria na hotelowym parkingu przeciwiczyła jazdę w przód, w tył i parkowanie tyłem. W sumie to nie była doświadczonym kierowcą, choć prawo jazdy miała od kilku lat. W Polsce prowadziła samochód raczej sporadycznie. Jeśli jechali gdzieś razem, to zawsze Broniek zasiadał za kierownicą, bo denerwował go jej mało zdecydowany styl jazdy. Chociaż prowadzenie auta sprawiało jej przyjemność, nigdy nie upomniała się o kierownicę. Uznała, że w jego rękach samochód jest bardziej bezpieczny. W Polsce w ogóle niewiele jeździło się samochodem na co dzień, bo stale oszczędzało się paliwo. Zniesiono już wprawdzie jakiś czas temu kartki na benzynę, ale nawyk jeszcze pozostał. Teraz Maria doszła do wniosku, że samochód pomoże jej się wyemancypować.

Broniek doprowadził się do ładu stosunkowo szybko. Kajał się przed żoną i chyba miał rzeczywiste wyrzuty sumienia. Ciężko westchnął, gdy w recepcji podano mu rachunek, potem zmiął go mocno, jakby mścił się na kwitku za swoją wczorajszą chwilę słabości, i wsiadł do auta. Maria podała mu mapę, żeby ją pilotował. Udzielił jej jeszcze kilku światłych rad dotyczących prowadzenia automatu i kiedy wyjechali na główną drogę, zasnął. Jechali dość wolno, co dzieciom bardzo odpowiadało. Ciekawiło je bowiem wszystko za oknami. Jacek czytał tablice z nazwami miejscowości, zabrał z kolan śpiącego ojca mapę. Bardzo szybko połapał się, gdzie są, i dalej doskonale radził sobie z pilotowaniem. Trasa była zresztą świetnie oznakowana. Broniek obudził się dopiero pod koniec podróży. Był w dużo lepszym nastroju. Starał się rozweselić rodzinę. Chwalił opanowany i płynny styl jazdy żony i w ogóle robił wszystko, żeby się jej przypodobać. Do domu dojechali już pogodzeni i weseli. Na Marię czekała tu jednak bardzo smutna wiadomość. Zmarła jej ukochana babcia Hania.

Już od soboty na prośbę Lucyny doktor Maj próbował się dodzwonić do Mapulaneng Hospital z tą informacją. Nie zastawszy Guziałów w domu, zostawił wiadomość na centrali. Broniek zamówił zaraz rozmowę z Łodzią, żeby dowiedzieć się szczegółów. Maria nie mogła opanować płaczu i dlatego to głównie Broniek rozmawiał z Lucyną. Wy tłumaczył jej rzeczowo, że nie ma możliwości, by Maria, której na dniach kończyła się wiza, mogła jechać do Polski na pogrzeb. Lucyna nie

nalegała, ale Maria wzięła słuchawkę i próbowała się usprawiedliwić.

— Nie mogę się ruszyć, dopóki nie otrzymam pozwolenia na pobyt stały. To jeszcze potrwa co najmniej kilka miesięcy. Czy babcia to zrozumie?

— Nie bądź dzieckiem, co ona ma teraz do rozumienia. Nie żyje i już. To ja zostałam sama z tym wszystkim na głowie — mówiła Lucyna, dla której śmierć teściowej nie była zaskoczeniem ani specjalną traumą. Nigdy za sobą nie przepadały.

— Jaką miała śmierć? Cierpiała? Byłaś przy niej? Miała jakieś specjalne życzenia? — dopytywała Maria.

— Od twojego wyjazdu bardzo podupadła na zdrowiu. Miałam z nią same kłopoty. Uparła się, żeby wzywać do siebie różnych ludzi, z którymi miała jakieś niepozałatwiane sprawy. Męczyła mnie o szukanie adresów, wysyłanie listów, wykonywanie telefonów. Przychodziły różne indywidua, a ona rozdawała pieniądze i biżuterię, jakby nie miała rodziny. Tobie zapisała mieszkanie, ale podobno już o tym wiesz. Dobrze, że je wykupiła, zanim rozdała swój majątek. O mnie nawet nie pomyślała, jakbym nie była jej synową.

— Mamo! — jęknęła przez łzy Maria. — To przecież matka twojego męża.

— No właśnie. Całkiem o tym zapomniała. Trochę sfiksowała na koniec. Dała sporo forsy na klasztor klarysek. Wiesz coś o tym?

— Wiem. To jej okupacyjny dług wdzięczności.

— A potem już cały czas modliła się po żydowsku i powtarzała, że chce do swoich. — Po tych słowach matki Maria trwożliwie spojrzała w kierunku męża, czy aby nie słyszy on głosu dobiegającego ze słuchawki. Ale Bronek był zajęty przeglądaniem jakichś dokumentów, a potem wyszedł do drugiego pokoju. — To co ja miałam ją do Izraela wieźć czy jakichś Żydów do domu ściągać? — kontynuowała Lucyna. — Od wojny nie ujawniała swojego pochodzenia, a teraz nagle pobożna Żydówka się z niej zrobiła. Nie wiem, pochowam ją koło taty. To chyba będzie koło swojego? Syn przecież. Dla ciebie kazała spakować świecznik i jakieś takie graty, co to nawet nie wiem, jak się nazywają i do czego służą. A jedno to takie coś, co koło drzwi u niej wisiało. Nie wiem, czy kojarzysz? Skrzyneczka, a w niej stary, pożółkły kawałek papieru i jakieś gryzmoły, pewnie po hebrajsku. Chyba zaraz wyrzucę. Nie będę ci tych szpargałów wysyłać, bo wysyłka droga. Nie rozpaczaj, stara była i we śnie odeszła — pocieszała córkę Lucyna, słysząc ciche łkanie w słuchawce. — Każdy by sobie takiej śmierci życzył. Teraz na mnie kolej. Ciekawe, czy po matce też będziesz tak płakała? Pewnie nie, bo ja to od ciebie wymagałam, a ona i ojciec tylko ci w głowie przewracali. — Lucyna podsumowała w charakterystyczny dla siebie sposób, wywołując jeszcze większy żal córki za ukochaną babcia.

Maria skończyła wreszcie rozmowę i weszła do kuchni. Bronek z dziećmi szykował kolację. W pierwszym odruchu chciała mu powtórzyć dokładnie słowa

matki, zwłaszcza te na temat pochówku. Była pewna, że Hannah Cuker-Liebermann-Wierzbicka powinna leżeć na żydowskim cmentarzu, skoro tego pragnęła. Nie miała jednak dość siły, żeby przekonać matkę, a teraz nie miała odwagi poruszyć z rodziną tematu swojego pochodzenia. Znalazła sobie wymówkę, że jest już późno i należy położyć dzieciaki spać, i znów zrezygnowała.

Broniek zresztą poganiał Małgosię i Jacka, żeby szybko jedli, i sam już także myślał o następnym dniu pracy. Maria, kładąc obok łóżka Małgosi niebieską sukieneczkę, a w pokoju Jacka szarą koszulę i szare, krótkie, wełniane spodnie, które to stroje stanowiły obowiązkowe mundurki w szkole w Iniacie, słyszała, jak mąż wraz z synem i córką odmawiają za duszę prababci „Wieczny odpoczynek”. Wzruszył ją ten gest Bronka, który chciał przecież jak najlepiej, i drżące głosiki dzieci. Odłożyła wszystko i przyłączyła się do nich, nie znała żadnej żydowskiej modlitwy, ale wierzyła, że Bóg jest jeden i na pewno słyszy.

Maria nie była gorliwą katoliczką. Wpłynęło na to wychowanie między ojcem ateistą a wyznającą powierzchowny katolicyzm matką. Kiedy z wiekiem Lucyna stawała się coraz bardziej zagorzałą dewotką, Maria nabierała coraz większego dystansu do wiary, w której była ochrzczona. Religijność Bronka w zasadzie jej się podobała. Kiedy opowiadał o ciotce, która w nim tę wiarę zaszczerpiła, Maria zazdrościła mu takiej przewodniczki. Ciotka żyła biednie i uczciwie. Potrafiła się dzielić z innymi, choć sama miała tak niewiele, poważnie traktowała nakaz miłości bliźniego.

Maria uważała, że ciotce udało się wychować Bronka na dobrego człowieka. Miała jednak świadomość, że swoim postępowaniem często narusza on dekalog, nie potrafi być pryncypialny. Broniek miał skłonność do kombinowania, a małe przekręty nie naruszały spokoju jego sumienia. Maria ufała jednak, że jej mąż nigdy nie zrobiłby czegoś naprawdę złego, a już na pewno nie skrzywdziłby żadnego dziecka.

Dzięki jego pomocy szybciej uporała się tego smutnego wieczoru z obowiązkami. Wybaczyła mu już pijaństwo z poprzedniej nocy i myślała o nim z rozczuleniem. Znów nabrała ochoty, aby nawiązując do modlitwy, porozmawiać z mężem o wyznaniu i pochodzeniu babci. Przestała płakać i czekała na niego w łóżku. Układała sobie w głowie poszczególne zdania, a nawet przewidywała niektóre jego odpowiedzi. Broniek jednak bardzo długo krzątał się po domu i mimo bardzo późnej pory jeszcze gdzieś telefonował, przełączając aparat do zapasowego gniazdka w holu. Kiedy przyszedł wreszcie do sypialni i bez zapalania światła cichutko wsunął się do łóżka, powiedziała mu tylko:

— Nie martw się o jutrzejszy dzień. Zawiozę dzieci do szkoły, żebyś ty się już nie musiał zwalniać.

— Kochana jesteś. — Mąż ucałował ją w czoło. — Jesteś bardzo dzielna i na pewno dasz sobie radę. Zresztą superintendent też pojedzie z żoną i Łukaszem do

szkoły. On nie musi się zwalniać.

Bronek zasnął bardzo szybko, a Maria znów zapłakała. Nie szlochała już, ale łzy wciąż spływały jej po policzkach. O tyle rzeczy powinna zapytać babcię, a nie zrobiła tego. Zbyt była pochłonięta swoimi sprawami i nawet nie słuchała dokładnie, co staruszka mówiła jej o rodzinie. Wciąż nie było dobrego momentu ani czasu na rozmowę o zwyczajach, o ważnych w jej religii zasadach czy jakichś tabu. Wiedziała, że gdy za parę lat przyjedzie w odwiedziny do Polski, to nie znajdzie w mieszkaniu babci niczego, co świadczyłoby o jej tożsamości, bo matka na pewno skrupulatnie usunie wszystkie ślady żydowskiego pochodzenia teściowej, a co za tym idzie — także swojego męża, a ojca Marii.

Lucyna nie była sentymentalna, nie trzymała w szufladach listów przewiązanych wstążeczką, nie lubiła też starych zdjęć i albumów. Maria ze zdumieniem odkryła kiedyś, że wiele z nich po śmierci ojca nagle zniknęło, a były to fotografie dziadków Marii i jej wujostwa z Łasku. Matka uważała, że ma swoje powody, żeby tak postępować. Została panią profesorową i nie chciała, żeby wytykano jej do śmierci proste pochodzenie. Ostatnio zaś usunęła partyjne odznaczenia męża i ślady jego zażyłości z prominentnymi członkami PZPR, bo po Okrągłym Stole takie układy nie były już w cenie.

Maria, która zawsze miała z matką na pieńku, płakała teraz tym mocniej z powodu odejścia na wieki ciepłej, wesołej, dobrej babci. Wraz z nią odchodziła gdzieś w zaświaty połowa jej własnej tożsamości, której nawet nie zdążyła dobrze poznać. Zastanawiała się, czy towarzyszące jej wieczne poczucie wyobcowania miało jakiś związek z pochodzeniem. Czy to możliwe, żeby matka, która troszczyła się o nią aż za bardzo i na pewno ją kochała, jednocześnie nie zносиła w córce właśnie tego semickiego pierwiastka? Czy wstydziała się, że choć była katoliczką, dla lepszego życia związała się z Żydem i komunistą? Czy wstydlivy był dla niej sam związek, czy też raczej jej intencje?

Maria, nie mogąc zasnąć, do rana próbowała swoją sytuację rodzinną transponować na tutejsze realia. Tu potomek czarnej i białego, czy odwrotnie, nie mógłby zatrzeć tego zmieszania ras. Jeszcze niedawno takie związki były ustawowo zakazane i karane. Dzieci mieszane zaliczane były do tak zwanych kolorowych, którzy podobnie jak czarni nie mieli pełni praw i musieli przestrzegać wielu ograniczeń i zakazów, jakie dotyczyły czarnych.

ROZDZIAŁ 21

Bronek cieszył się, że Maria sama zaproponowała odwiezienie dzieci na rozpoczęcie roku szkolnego. W Polsce rzadko bywała przedsiębiorcza i zdecydowana, gdzie tylko mogła, wyręczała się nim lub matką. Poprzedniego dnia prowadziła samochód bez zarzutu, chociaż jeszcze niedawno uważała, że nie da sobie rady z powodu lewostronnego ruchu i automatycznej skrzyni biegów. Bronek chciał, żeby żona wykazywała jak najwięcej samodzielności i używała możliwie często angielskiego. Wizyta w szkole była do tego doskonałą okazją.

Marii trzęsły się ze zdenerwowania ręce już podczas przygotowywania śniadania. Starła się jednak tego nie pokazywać, by nie odejmować odwagi dzieciom, które na pewno miały więcej powodów do obaw. Kiedy wyprowadzała auto z garażu, zobaczyła, że superintendent i jego żona z dzieckiem na ręku odjeżdżają już spod domu swoim dużym, białym mercedesem. Na tylnym siedzeniu zauważyła oprócz Łukasza Skóry także Grzesia i Maćka, dzieci dwóch innych lekarzy. Świadomość, że przodem jedzie superintendent, dodała Marii nieco otuchy. Pomknęła więc szybko za znikającym za zakrętem mercem, żeby go nie zgubić i wejść do budynku szkolnego razem z przełożonym męża. Z powodu pośpiechu wyjątkowo tego dnia nie zwracała uwagi na piękne pejzaże i cudowną rześkość poranka. Na pustej prawie drodze od czasu do czasu wykonywała szybkie manewry kierownicą, aby ominąć długie ciała węży, które nocą wypełzły na oddający powoli ciepło asfalt. Niektóre z nich były już rozjechane, ale inne jeszcze żyły.

— Mamo, wiesz, jak nazywają się te jasnoczekoladowe? — spytał siedzący obok niej Jacek.

— Chodzi ci o węże? — domyśliła się Maria.

— No właśnie. Wiesz?

— Nie mam pojęcia. Na pewno nie są to kobry.

— One są gorsze od kobry. To mamby czarne.

— Wcale nie są czarne — wtrąciła się Małgosia.

— Bo mamby czarne nie są czarne — wyjaśniał Jacek.

— No to są czarne czy nie? — denerwowała się Małgosia.

— Mają czarno w paszczy — wytłumaczył brat. — Są bardziej jadowite niż kobry. Jakbyśmy się przy jakiejś zatrzymali, to można by sprawdzić.

— No jeszcze tego brakowało! — zdenerwowała się Maria. — Nie waż się dotykać węży żywych ani martwych! Słyszysz?

— Żywych nie mam zamiaru, ale takiego niezbyt mocno rozjechanego, tobym sobie obejrzał z bliska.

— Blee... Mamo, on jest obrzydliwy — zawołała Małgosia.

— Jacek, nie próbuj takich doświadczeń, bo trafisz na gada, który jeszcze żyje — przestrzegła Maria.

Zaabsorbowana rozmową w ostatniej chwili spostrzegła, że samochód Nogala skręcił już z głównej drogi. Jeszcze tylko kawałek żwirówki i byli przed szkołą w Iniace. Dyrektor placówki, zauważywszy, że przybyli nowi uczniowie, wybiegł po nich aż na parking. Mówił bardzo dużo i szybko, więc Maria niewiele z tego rozumiała. Szła, trzymając dzieci mocno, może nawet zbyt mocno, za rękę. Dyrektor poprowadził ich w kierunku dużego i pięknie wystrzyżonego boiska, na którym bawiła się niewielka gromadka rozkrzyczanych dzieciaków. Za tym boiskiem widać było jeszcze kolejne. W sumie było ich aż cztery, każde do innej dyscypliny sportu. Budynek szkolny nie był ładny, ale jak na potrzeby takiej garstki dzieci wydawał się dużo za duży.

Maria na szczęście nie musiała załatwiać już żadnych formalności, bo wcześniej wszystkiego dopatrzył Broniek. Jakaś sympatyczna, choć niezbyt urodziwa pani podeszła do Małgosi i wzięła ją za rękę, aby poprowadzić do najmłodszych dzieci, których najwidoczniej była wychowawczynią. Małgosia bez ociągania dołączyła do grupki maluchów. Superintendent zajmował się Maćkiem i Grzesiem, synami swoich pracowników, a rezolutny Łukasz, dowiedziawszy się, gdzie jest jego klasa, pociągnął za sobą Jacka. Ojciec Maćka pojechał ze starszymi dziećmi do szkoły średniej w Nelspruit, a ojciec Grzesia, podobnie jak Broniek, miał dyżur.

Poproszono uczniów o zajęcie miejsc w dużej auli. Polskie dzieci weszły do środka jako jedne z pierwszych. Superintendentowa z małym Mikołajem na ręku i Maria, ciekawe wszystkiego, stanęły w drzwiach, tarasując przejście miejscowym uczniom. Kilkoro dzieci przystanęło za ich plecami, nie wiedząc, jak przeprosić te panie, mówiące ze sobą w dziwnym języku. Nogal, widząc zaistniałą sytuację, krzyknął do żony i sąsiadki:

— Wpuście dzieci!

— Wście dziesi, wściecie ciesi — powtórzył za nim ubawiony brzmieniem spółgłoskowych zbitek dyrektor. — Proszę powtórzyć — poprosił Nogala, a potem już coraz dokładniej wymawiał dwa słowa, kręcąc z niedowierzaniem głową i wciągając się zaśmiewając, jakby usłyszał najlepszy w świecie dowcip.

W szkole wszystko poszło świetnie. Z dyrektorem i nauczycielami rozmawiał głównie superintendent, a panie tylko się uśmiechały i ewentualnie potakiwały, gdy Nogal wyrażał swoją aprobatę. Okazało się, że jedna z afrykanerskich matek, właścicielka farmy leżącej zaraz za Mapulaneng Hospital, zaoferowała się za drobną opłatą podwozić swoim busem polskie dzieci do szkoły i z powrotem. Ponieważ już pierwszego dnia w szkole odbywały się zajęcia w normalnym wymiarze godzin, farmerka obiecała o czternastej wyrzucić całą polską piątkę pod szpitalną bramą. W tym układzie Maria nie musiała tego dnia

ponownie jechać do Iniaiki, zaoszczędziła więc sporo czasu. Korzystając z okazji, postanowiła obejrzeć cały teren szkolny i wszystkie sale, do czego zachęcał wszystkich rodziców dumny ze swojej placówki dyrektor.

Dzieci poszły do klas, a Maria buszowała po znajdującej się w auli scenie, jej zapleczu oraz kulisach i garderobie. Oglądała urządzenia podnoszące i opuszczające kurtynę i sterujące światłami. Bardzo chciałaby mieć do dyspozycji taką scenę, żeby wystawiać na niej sztuki, które zamierzała teraz zacząć pisać. Na scenariusze miała już kilka pomysłów, a czasu w Mapulanengu mnóstwo. Kiedy jednak przypomniała sobie o ruderze, w której uczyły się czarne dzieci, zrobiło jej się wstyd, że jej syn i córka korzystają z takich dobrodziejstw, dlatego że mają białą skórę.

Z jednej strony była w nastroju wręcz euforycznym, dlatego że dała sobie ze wszystkim radę. Szkoła w Iniace wydawała się miejscem przyjaznym dzieciom i wyglądało na to, że będą tam miały idealne warunki do wszechstronnego rozwoju. „Nie można tego luksusu porównać z przepełnionymi podstawówkami w Polsce” — myślała zadowolona. Zarówno personel szkoły, jak i rodzice uczniów zrobili na niej bardzo miłe wrażenie. A roześmiany, wysoki i tęgi dyrektor był wprost ujmujący. Jak kamień w bucie uwierała ją jednak świadomość, że w pobliżu jest inna szkoła, bez ławek, okien i drzwi. „No cóż, nie ja jestem temu winna, że tutaj tak jest. Na szczęście zmiany idą w dobrym kierunku” — pocieszała się. Nie chciała się dzisiaj dołować sytuacją, na którą i tak nie miała wpływu. Wystarczy, że wczoraj przepłakała całą noc.

Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na Małgosię bawiącą się na boisku z czwórką afrykanerskich dzieci w coś w rodzaju berka i posłała jej całusa. Tych czworo dzieci plus Małgosia to była cała pierwsza klasa. A liczba uczniów szkoły ogółem w sześciu standardach, czyli oddziałach, nie przekraczała trzydziestu. Z perspektywy parkingu Maria popatrzyła na nieładny architektonicznie, ale porządnym i murowany budynek szkolny oraz jego otoczenie. Czarni, jak w Mapulanengu, krzatali się przy pracach porządkowych, tylko że tu byli bardziej skuteczni. Żywopłoty były przez nich pięknie przystrzyżone, rabaty wypielone i wypielęgowane, a na boisku ani wokół szkoły nie było widać ani jednego papierka. Szkoła tonęła w zieleni i kwiatkach, wydawała się miejscem radosnym, wprost wymarzoną do edukacji jej wrażliwych dzieci.

W ogóle dzień był piękny, powietrze pachniało, błękitne niebo usiane było urokliwymi, białymi barankami, które szybko gnał bardzo przyjemny zefirek ciągnący od zdobiących horyzont gór. Rozwiewał on ognistorude włosy Marii i usuwał z jej czoła smutek. Był bardzo figlarny, jak niewidzialny kochanek muskał jej dekolt, uda i łydki, żartował, podnosząc jedwabną, zieloną sukienkę. Chociaż serce wciąż miała ściśnięte żalobą po babci, uśmiechała się do nieba, chmur i wiatru. Odpaliła silnik, otworzyła szyberdach i z poczuciem rozsadzającej ją

radości ruszyła z piskiem opon naprzód.

W tym samym czasie z parkingu wystartował również swoim mercedesem Nogal, ale Maria minęła go z fasonem, wzniecając przy tym tuman kurzu na żwirówce. Na głównej drodze zobaczyła, że Nogal także wcisnął mocniej gaz i próbuje ją dogonić. Nie wiadomo, co wstąpiło w spokojną na ogół, a czasami wręcz flegmatyczną Marię. Jak niemądra cisnęła do dechy pedał gazu swojego wysłużonego datsuna, myśląc: „Zaraz ci pokażę, jak się jeździ. Ten twój merc to wielka krowa w najgorszym guście”. Nie miała zamiaru dać się wyprzedzić. Widząc, że samochód Nogala od dłuższego czasu jedzie sąsiednim pasem równo z nią i nie daje rady, a jego żona robi jakieś głupie gesty, pomachała im ręką przez szyberdach i przyspieszyła jeszcze bardziej.

Tymczasem superintendent wcisnął pedał gazu w swoim aucie, ile się dało, trąbił, a Edyta dawała Marii rozpaczliwe znaki, bo ta od wyjazdu ze żwirówki jak szalona gnała prawą stroną drogi. Kiedy Nogal zorientował się, że Maria się z nim ściga, zredukował prędkość. Zrobił to także ze względu na okrzyki przerażonej wariacką jazdą żony, siedzącej na przednim siedzeniu i trzymającej w objęciach małego synka. Dosłownie w ostatniej chwili zjechał na swój pas, pozostawiając upartą Marię jej losowi. Nagle zza wzgórza z rykiem klaksonu wyłoniła się ogromna ciężarówka. Maria raptownie szarpnęła kierownicą w bok, a ciężarówka zdołała zająć miejsce opuszczone przed ułamkiem sekundy przez samochód superintendenta. Maria poczuła, jak pęd powietrza raptownie szarpnął jej autem, i usłyszała brzęk sztucznego na asfalcie lusterka. Ciężarówka potoczyła się dalej. Maria oszołomiona stała na poboczu. Teraz dopiero dotarło do niej, co się stało, a raczej, co mogło się stać.

— Ale miała pani szczęście, a ten facet refleks! — zawołał Nogal, który zatrzymał się tuż za nią. — Powiem małżonkowi, żeby nie dawał pani więcej auta.

— Błagam, nie wydajcie mnie — prosiła Maria, oddychając głęboko i próbując powstrzymać drżenie kolan. — Będę już ostrożna. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Poczułam się taka wolna i szczęśliwa, bo tu jest tak pięknie i ludzie są cudowni. Państwu też dziękuję, że próbowaliście mnie ostrzec, a ja głupia myślałam... — mówiła szybko, nerwowo i z pewnym trudem, bo broda wciąż trzęsła jej się ze zdenerwowania.

— Dobra, niech już pani jedzie powoli za nami. Szkoda byłoby takiej pięknej kobiety — powiedział Nogal i mrugnął porozumiewawczo do Marii. Chciała odwzajemnić mu się ciepłym słowem i takim samym uśmiechem, lecz zmroziło ją wściekłe spojrzenie Edyty.

Zaraz po przybyciu do domu opowiedziała Beauty o swoim rajdzie prawą stroną jezdni, mnóstwo przy tym gestykulując i śmiejąc się z siebie. *Maid* wysłuchała jej ze śmiertelną powagą, po czym rzekła:

— Dziękować Bogu, że cię ocalił. Mój ojciec nie miał tyle szczęścia. Zginął

w wypadku samochodowym, kiedy zaczęłam szkołę średnią. Nie mogłam dalej się uczyć, bo musiałam pracować. Jestem najstarsza z siedmiorga rodzeństwa. — Kobieta stała z wzniesionymi rękami i, wpatrując się w niebo, modliła się żarliwie przez chwilę.

Maria nie wiedziała, jak się w tej sytuacji zachować. Przyjęła więc podobną pozę i miała zamiar udawać, że także odmawia modlitwę. Lecz wszelkie udawanie wobec rozmodlonej Beauty wydało się jej czymś ohydny. To przecież ona miała za co dziękować. Tak niewiele brakowało, a jej dzieci zostałyby sierotami. Wypowiedziała więc po polsku kilka cichych słów podzięki do Najwyższego, którego coraz częściej wołała nie nazywać żadnym imieniem, i prosiła Go o dalszą opiekę nad swoją rodziną.

Dzieci wróciły ze szkoły ożywione i uśmiechnięte. Jacek usiadł na ganku i z ulgą zrzucił ciężkie, skórzane półbuty oraz wełniane, szare podkolanówki, które były nieodzowną częścią szkolnego mundurka.

— Będę poza szkołą chodził bosy jak moi koledzy! — wykrzyknął. — Ty wiesz, że afrykanerskie dzieci, nawet malutkie, chodzą bosy?

— Chyba afrykańskie? Bo nie mają butów — powiedziała Maria.

— Nie, afrykanerskie — upierał się syn. — U nich teraz taka moda. Zaraz po lekcjach wszyscy w Iniace pozdejmowali buty i wsiadali do samochodów rodziców już na bosaka. Niektórzy rodzice też byli bosy.

Małgosia, która miała zwyczaj we wszystkim naśladować brata, także zdjęła czarne buty oraz białe skarpety i jak kózka wyskoczyła na trawę przed gankiem.

— Może was coś ugryźć albo jeszcze się skaleczycie — ostrzegła dość spokojnie matka, która raczej tuż przed gankiem, w krótkiej trawie nie spodziewała się jakichś specjalnych niebezpieczeństw dla dziecięcych nóg, ale nie była zachwycona pomysłem biegania bosy w afrykańskim buszu lub w centrum handlowym i po ulicach miasta, jak to faktycznie praktykowali Afrykanerzy.

— Trochę się boję — przyznała ostrożniejsza Małgosia, której delikatne stopki nieprzyjemnie pokłuła sztywna trawa. Z zielonej szczoty trawnika wskoczyła więc na znajdujący się nieopodal drzewa wygrzany głaz. Sporych rozmiarów okruch skalny, leżący na nierównym podłożu, zachwiał się i w tym momencie wypełził spod niego czekoladowy wąż. Dziewczynka zsunęła się z kamienia, otworzyła usta, lecz nie wydała żadnego okrzyku. Stała jak zahipnotyzowany królik przed czarną mambą, która wpatrywała się w nią i chyba przymierzała do ataku.

Maria bez namysłu podniosła z trawy inną ciężką, płaską, kamienną płytę, których cały rząd leżał przed gankiem, i rzuciła nią błyskawicznie w gada. Płyta upadła w taki sposób, że tylko jej róg przygwoździł węża. Mamba, której środkowa część ciała została uwieczniona, podnosiła głowę i ogon, próbując wykonywać jakieś skręty ciała mogące doprowadzić do oswobodzenia. Maria dorzuciła jeszcze na

wierzch płyty dużych rozmiarów okrągły kamień, ale to wciąż nie dawało gwarancji, że wąż się w końcu nie uwolni.

Matka podeszła do bladej ze strachu córki i wzięła ją na ręce, mówiąc cichym i trzęsącym się z emocji głosem:

— Już się nie bój. Wejdziecie z Jackiem do domu i przebierzecie się w domowe ubrania. A ja postaram się, coś z tym wężem zrobić.

Na stopach Jacka błyskawicznie znalazły się czarne buciory.

— Mamo, a co zrobisz z tą mambą? Ona może cię ugryźć.

— Nie będę tak blisko podchodzić — wyjaśniła Maria. — Załatwię ją z dystansu.

— A masz jakąś broń? — indagował dalej syn.

— Coś wymyślę. Idźcie wreszcie się przebrać — popędzała dzieci, obserwując ruchy mamby.

— Mamo, czy będzie ją bolało? — zapytała Małgosia i zbiła matkę zupełnie z tropu.

— Postaram się ją otruć — odpowiedziała matka, spoglądając na stojący na parapecie okiennym spray na mrówki i inne owady biegające, którego używała przed powrotem dzieci ze szkoły. Na ganku leżał długi szereg trupów mrówek i jeszcze parę innych owadów, łącznie z parzącymi wijami, wszystkie padły błyskawicznie. „Może ta trucizna zadziała także na mambę?” — pomyślała i uwolniła obłok śmierdzącej zawiesiny, spryskując nią walczące o życie zwierzę. Wąż nie wykazywał jednak żadnych objawów zatrucia, mimo że jego ciało i wszystko wokół lśniło od mikroskopijnych kropelek trującej substancji. Samej trucicielce natomiast niezle zakręciło się w głowie od oparów i z emocji.

— A co ty tępisz z taką zaciekłością? — usłyszała nagle za sobą skrzekliwy głos superintendentowej, która jak zwykle za ich garażem kryła się przed mężem z paleniem papierosów. — Ale tu śmierdzi!

— Walczę z mambą i nie wiem, co zrobić. Nie mam czym jej dobić.

— U nas w garażu jest szpadel. Zaraz po niego polecę — krzyknęła Edyta i ochoczo odwróciła się na pięcie, aby biec po narzędzie. Zatrzymała się jednak na chwilę, wyciągnęła z ust wypalonego już prawie papierosa i rzuciła go beztriosko za siebie. Pet trafił na płaską kamienną płytę spryskaną dokładnie trującym preparatem. Jak się okazało, była to bardzo łatwopalna substancja. Płomień buchnął i momentalnie objął kamienie oraz przyciśnięte nimi ciało węża. Jęzory płomieni opaliły nawet końcówki włosów pochylonej nad skwierczącym wężem Marii.

— O kurwa! — wyrwało się pani dyrektorowej. Jak oparzona odskoczyła od pożogi, którą sama wzniciła. Płomień liznął jej gołe nogi. Dobrze, że miała na sobie bawełniane szorty, a nie jakąś łatwopalną, dłuższą suknię, które zazwyczaj nosiła, bo wówczas i ona mogłaby stać się żywą pochodnią. Spojrzała na swoje osmolone nieco łydki i zaśmiała się szczerze i głośno. — O kurde, wydepilowało

mnie. No, ale już jest po kłopotcie.

Maria spojrzała na zwęglone ciało gada tkwiące wciąż między osmolonymi kamieniami i poczuła zażenowanie. Mamba, wyglądająca jak kawałek czarnego kabla, już nie budziła grozy, a jedynie współczucie. Biedny wąż zginął w potwornych, lecz na szczęście krótkotrwałych męczarniach, bo ją przestraszył. „Strach potrafi zrobić z człowieka oprawcę” — przyszło jej do głowy i spojrzała trwożliwie w stronę drzwi, gdzie stały jej dzieci wywabione z domu błyskiem ognia i krzykiem sąsiadki.

— Nie chciałam, żeby to tak... Trzeba było go raczej wypłoszyć. Wpadłam w panikę, ale... — jąkała się przeproszająco.

— Coś ty, jadowitego gada żałujesz? — Edyta patrzyła z niedowierzaniem na bladą sąsiadkę. — Całe szczęście, że go załatwiłyśmy. Dzieci przynajmniej będą bezpieczne. Upiekłyśmy go. Jakby nie był w tej truciznie, można by go jakiemu psu rzucić — powiedziała praktyczna superintendentowa. — A co ty taka nieswoja? Pewnie nawąchałaś się tej chemii, co? Ja też nie znoszę tego zapachu. Może papierosa? Albo najlepiej kielicha. Masz coś czy przynieść?

— Nie, dziękuję. Jedna trucizna już wystarczy — odpowiedziała Maria, chcąc się jak najszybciej pozbyć Nogalowej. — Muszę sprzątnąć to smutne pogorzeliisko, a potem podać dzieciom obiad.

Na wspomnienie okrutnej śmierci, jaką zgotowała tej cienkiej, a więc młodej mambie, jeszcze długo piekły ją ze wstydu policzki.

ROZDZIAŁ 22

Urodziny Bronka, które wypadają w lutym, były obchodzone tego roku wyjątkowo hucznie, nie dlatego że tak życzył sobie jubilat lub jego żona, ale dlatego że przyjechali do nich goście z Johannesburga. Nie było czasu na większe przygotowania, gdyż decyzję o wypadzie do Mapulanengu Adam podjął spontanicznie. Zadzwoił wczesnym rankiem w sobotę, żeby sprawdzić, czy jubilat nie ma przypadkiem dyżuru, a wieczorem już był z nową dziewczyną, starym kumplem Karuzo i jeszcze jakimś zaprzyjaźnionym małżeństwem.

Tylko dziewczyna Adama, Melania, była Afrykanerką. Młode małżeństwo pochodziło z Węgier. Oboje byli lekarzami pracującymi w J.G. Strydom Hospital — szpitalu, który był przeznaczony dla białych — i podobnie jak Adam przyjechali do tego kraju już w dzieciństwie. Broniek z gośćmi mówił po angielsku, dużo i szybko. Śmiali się co chwilę, a Maria jak żona muzułmanina prawie nie siadała do stołu, a tylko do niego podawała. W sumie nawet była szczęśliwa, że ma powód, by jak najmniej kompromitować się swoim kulawym angielskim. Adam uprzejmie zapytał ją o samopoczucie i adaptację dzieci w szkole. Zaczęła się męczyć ze sformułowaniem odpowiedzi po angielsku, więc powiedział dobrotliwie:

— Przejdź na polski, ich to i tak niewiele obchodzi.

— Bo to naprawdę nic ciekawego. Jak widzisz, dajemy sobie radę — odparła i szybko poderwała się, by dołożyć sałaty. Potem złapała jeszcze Adama na osobności, gdy wychodził z toalety. Zagadnęła go o rezultat długiego pobytu męża w Johannesburgu. Adam wykręcił się jednak, mówiąc:

— Jak będzie się coś interesującego dziać wokół etatu dla Bronka, to go na pewno szpital powiadomi.

— Ja też chętnie bym do ciebie przyjechała i zwiedziła centrum miasta, którego w ogóle nie widziałam, ale Broniek nie chciał mnie zabrać ze sobą — poskarżyła się.

— To świetny pomysł, żebyś przyjechała — powiedział z udawanym entuzjazmem. — Tylko, wiesz, lepiej zostaw z kimś dzieci, bo u mnie mogłyby się zdemoralizować. Teraz, jak nie ma Marzenki, wprowadził się do mnie na trochę Karuzo. On jest uroczy, ale ma dość specyficzny sposób bycia. Melania jeszcze ze mną nie mieszka, lecz często wpada i wtedy, wiesz, różnie to bywa, chodzimy na przykład nieubrani. Nowy związek, gorące uczucia, odruchy nie do opanowania. Znasz to na pewno z autopsji. Chyba że już zapomniałaś. Ile to lat jesteście z Bronkiem?

— A co z tą twoją *maid*? Ona na to patrzy? Ciekawe, co o was myśli? — zapytała Maria naiwnie.

— A kogo to obchodzi, co myśli czarna? Żartuję. Mam kłopot, muszę

znaleźć sobie nową *maid*.

— Dlaczego? Nie chce już u ciebie pracować?

— Ona by chciała, ale ja nie chcę niemowlaków w domu. Gdybym miał rodzinę i własne dzieci, to co innego. Niechby się nawet razem bawiły. Ale jak u mnie w weekend są goście, muzyka, gwar, a tu maluch płacze i pieluchy wiszą w ogrodzie na sznurku, to nie jest fajne.

— Ale jej może być teraz trudno...

— Nie martw się. Tatuś dziecka zapłacił jej tyle, że może nawet wynająć domek w Soweto czy Aleksandrii¹ i jakoś się urządzać.

— To kim on jest? Dlaczego się z nią nie ożeni?

— Maryjko, nie pytaj, bo nie wiem. Nie obchodzą mnie jej osobiste sprawy. W końcu to tylko pracownica — zakończył Adam i wrócił do towarzystwa.

Goście przywieźli ze sobą pół bagażnika różnych alkoholi, Broniek też postawił niemało. Gdy po Mapulanengu rozeszła się wieść, że u Guziałów są goście, którzy pracują w Johannesburgu, w *teachingu*² dla białych, zaraz zaczęli się do nich schodzić ze wszystkich domków lekarze zainteresowani ewentualną zmianą pracy i ucieczką z Mapulanengu. Każdy nowo przybyły z Polski doktor był szczęśliwy, gdy podpisywał umowę z Nogalem. Ale jak już trochę okrzepł, marzył o karierze w mieście i o szpitalu na wyższym poziomie. Wypytywali więc johannesburczyków o możliwość zatrudnienia w Strydom i innych szpitalach, warunki płacowe i szanse na dalsze kształcenie. Te tematy skończyły się, jak nożem uciął, gdy przyleciał superintendent. On wprawdzie nie marzył o zmianie pracy, lecz przywiodła go tu ciekawość. Wkrótce za nim przyszła, niby to po męża, Edyta z dziećmi, ale natychmiast rozsiadła się i została na imprezie. W sumie wszyscy Polacy z Mapulanengu, z wyjątkiem dyżurantów, odmeldowali się u Guziałów.

Kiedy zrobiło się już naprawdę późno, domyślna Ewa, matka Grzesia, zaproponowała, by Małgosię i Jacka położyć u niej spać. Była w ciąży, więc nie miała ochoty na dłuższe siedzenie za stołem. Dzieciom bardzo się ten pomysł spodobał. Dołączył do nich także Łukasz, który ziewał jak inne dzieci, ale jego mama nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Edyta bawiła się dobrze i nie myślała wcale o dzieciach. Wózek z Mikołajem postawiła pod drzewami w końcu ogrodu i nawet do niego nie zaglądała. Maria, obawiając się, żeby w nocy coś nie zakradło się do postawionego tuż przy gęstych zaroślach wózka, umieściła małego na oszklonej werandzie.

W szczytowym momencie zabawy okazało się, że goście z Johannesburga oprócz alkoholu przywieźli coś jeszcze. Było już po północy, gdy Karuzo wyciągnął metalowe pudełeczko i zaczął bez najmniejszego skrępowania robić skręta.

— Sam będziesz palił? A przyjaciele to co? — upomniał go Adam. Kiedy

skręt był gotowy, Karuzo podpalił i wyciągnął rękę z nim w kierunku swojego towarzystwa. Siedząca na kolanach Adama Melania łapczywie schwyciła jointa i zaciągnęła się z lubością, a następnie przekazała papierosa Węgrom. Przyglądająca się tej scenie Maria zauważyła, że Adam nie palił. Brał skręta od Melanii i tylko udawał, że się nim zaciąga, a potem podawał go szybko dalej.

W powietrzu rozszedł się charakterystyczny zapach marihuany, a na ustach palaczy pojawił się niezbyt inteligentny uśmiech. Wśród polskich lekarzy i ich żon zapanowała chwilowa konsternacja.

— Mam tego więcej, mogę odsprzedać — powiedział Karuzo wesoło, ale nikt nie skorzystał z propozycji. Mieszkańcy Mapulanengu patrzyli teraz na przybyszy podejrzanie, zaczęli się od nich odsuwać i skupiać w swoim gronie. Wszyscy, tylko nie żona superintendenta.

— Kochanie, masz przy sobie randy? — Pochyliła się nad uchem męża, ale nie szeptała, tylko wrzeszczała, żeby przekrzyczeć głośną muzykę. — Ja bym się chętnie trochę odstresowała. Wiesz, jak mnie te dzieci wkurzają.

— Na głowę upadłaś, głupia suko! — zasyczał Nogal. — Bierz dzieciaka i spieprzaj do domu. I nie waż mi się więcej pić! — Pogroził jej pięścią.

Skarcona Edyta odeszła od męża i jakby nigdy nic usiadła bliżej Karuza, który z namaszczeniem skręcał już następnego jointa.

— Dasz mi się tylko raz zaciągnąć? — spytała go szeptem.

— Nawet nie raz. Ale ty dasz mi się zaciągnąć w krzaki — odparł z diabolicznym uśmiechem i uszczypnął ją w pośladek.

— Za duże ryzyko, mój stary by nas zabił — skalkulowała Edyta i zmieniła miejsce.

Tej szalonej nocy stale ktoś wchodził do domu i wychodził z niego. Wśród gwaru rozmów i dźwięków muzyki słyhać było trzask sprężynującej siatki umieszczonej w drzwiach dla ochrony przed wtargnięciem do domu owadów i wszelkiego paskudztwa, które nocą najchętniej pcha się do ciepłych i oświetlonych pomieszczeń. Mikołajek na werandzie, mimo hałasów, próbował spać, jednak głośniejsze kłapnięcia siatki budziły go co chwilę. Zaczynał wtedy płakać, a Edyta ponaglana spojrzeniem męża musiała do niego zaglądać. Zapewne więc to ona podparła wreszcie kamieniem tę hałasującą siatkę. Zaabsorbowana gośćmi Maria spostrzegła to dopiero, gdy wszyscy się już rozchodzili. Martwiła się, że jakiś nieproszony, jadowity „gość” mógł się dostać do domu. Broniek zlekceważył jej obawy, mówiąc, że węże z powodu głośnej muzyki raczej uciekły z ogrodu.

Nie było też wiadomo, kto i dlaczego zepsuł zasuwkę w drzwiach od werandy, która była zamykana jedynie od środka. Broniek zaraz następnego dnia zgłosił w administracji prośbę o naprawę drzwi, ale u czarnych nie ma nic natychmiast. Przez cały tydzień nie mogli zamknąć domu. Na szczęście Maria

pozostawała cały czas na miejscu, to znaczy wychodziła najwyżej do sąsiadów lub na spacer alejkami po szpitalnym terenie. Kiedy jednak wybierali się w sobotę na wieczorną mszę do Hazyview, Broniek wziął młotek oraz gwoździe i zwyczajnie zabił te drzwi.

Po powrocie z kościoła Maria z Małgosią poszły do kuchni. Matka szykowała kolację, a córka obierała jabłka na placek, który Maria zamierzała upiec na niedzielę. Jacek pobiegł jeszcze na chwilę do Łukasza. Broniek zaś udał się do znajdującej się za sypialnią łazienki. Chciał jak najszybciej zrzucić z siebie duszne ubranie: koszulę z kołnierzykiem, długie spodnie i krawat, w których był w kościele. Planował wziąć prysznic, a następnie odpocząć przy muzyce. Od rana, to znaczy, od kiedy wrócił z ciężkiego dyżuru, nie miał chwili wytchnienia.

W domu było cicho i spokojnie. Ojciec pluskał się w łazience, córka ścierała na tarce jabłka na szarlotkę, a matka odmierzała składniki na ciasto. Maria już miała włożyć ręce w miskę pełną mąki, ale wpierv postanowiła spytać męża, czy woli szarlotkę tradycyjną, z kratką ciasta na wierzchu, czy raczej z zapieczoną pianą z białek. Wyszła więc z kuchni, przeszła przedpokój oraz aneks jadalny i nagle jak wryta stanęła pośrodku salonu.

— Broniek! — krzyknęła. — Nie wychodź z sypialni! Małgosiu, zostań w kuchni i zamknij drzwi. W salonie jest wąż.

Córka, usłyszawszy zdenerwowanie w głosie matki, natychmiast znalazła się przy niej. Gwałtowne wbiegnięcie dziewczynki spowodowało zaniepokojenie groźnego intruza. Wyciągnięta pod drzwiami małżeńskiej sypialni duża kobra podniosła się do połowy i postawiła płaszcz. Maria zasłoniła sobą dziecko, bojąc się ataku śliny gada. Chciała się wycofać do kuchni, ale obawiała się, że stojący pod natryskiem mąż mógł nie słyszeć jej ostrzeżenia. „Po kąpieli Broniek wyjdzie z sypialni i nadeptnie na kobrę” — myślała z lękiem. Postanowiła więc czekać w bezruchu, aż ucichnie woda oraz śpiew męża pod prysznicem.

— Broniek, na progu między sypialnią a salonem leży kobra — powtórzyła spokojnie i głośno, gdy umilkł śpiew w łazience. Gad na dźwięk jej głosu znów się podniósł i zasyczał. — Nie masz szans z tamtej strony wydostać się z domu, bo chyba pamiętasz, że zabiłeś gwoździami drzwi od werandy. Co ja mam robić?

— Zawołaj kogoś z ochrony, oni sobie świetnie radzą z węzami — odparł mąż.

Maria wolniutko, krok po kroku tyłem cofnęła się do głównych drzwi domu, trzymając za sobą bladą ze strachu Małgosię. Kiedy znalazły się na ganku, przykazała dziewczynce:

— Siedź tu i nie wpuszczaj nikogo do domu, a ja biegnę po ochronę.

Murzyn dyżurujący przy bramie nie od razu zrozumiał, o co jej chodzi. W końcu załapał i wyjął z kieszeni procę. Dumnie ją zaprezentował, mówiąc:

— To nasza broń na węże. Jestem bardzo zwinny, bardziej niż wąż —

pochwalił się. Kiedy jednak wstał z krzesła, okazało się, że ma problem z zachowaniem równowagi. Był niezwykle uprzejmy i chętny do pomocy, lecz kompletnie pijany. Maria machnęła ręką i zawróciła biegiem w kierunku domu. Za nią chwiejnym krokiem podążał wartownik, niezniechęcony jej lekceważącym gestem. Czarny posiadał wprawdzie procę, ale brakowało mu amunicji do niej, postanowił więc nazbierać jej po drodze. Za każdym razem, gdy się pochylił, aby podnieść kamyk, lądował nosem w trawie. Niezrażony jednak niczym gramolił się i podnosił, po czym znów parł naprzód. Maria wpuściła go do domu, lecz nie miała nadziei, że stanie się poskromicielem plującej kobry. Przewidywania były słuszne. Czarny wcelował Panu Bogu w okno, a ściślej mówiąc, w piękny wazon, który zaledwie przed tygodniem Broniek dostał od personelu szpitala na urodziny. Następny strzał poszedł w róg kominka i utracił kawałek gzymsu.

Broniek za drzwiami szalał ze złości i miotał przekleństwa na pijacznę oraz na siebie samego, że wpadł na pomysł sprowadzenia czarnego do domu. Ostrzelana kobra okazała się bardzo roztropna i zaczęła się wycofywać z powrotem do kominka, w którym prawdopodobnie przebywała od urodzinowej balangi. W tym momencie na szczęście do salonu wkroczył superintendent. Nogal usłyszał lamentującą przed domem Małgosię i pośpieszył sąsiadom na ratunek. Wszedł uzbrojony w szpadel, a na oczach miał dla ochrony przed śliną gada duże, ciemne okulary przeciwsłoneczne. Chyba z powodu tych szkieł w słabym już świetle gasnącego dnia nie dostrzegł, gdzie wróg ma łeb, a gdzie ogon, i z wielką zaciętością zaczął go szatkować od końca. Zanim zadał decydujący cios, biedna kobra już częściowo w kawałkach podskakiwała jeszcze, usiłując go ukąsić lub chociaż opluć.

Gad po nierównej i krwawej walce padł wreszcie. Ofiar w ludziach nie było. Tylko pijany strażnik miał pocierane dłonie i kolana oraz pewne wymówienie z pracy. Najgorzej przedstawiał się salon Marii. Płytki pod kominkiem były wyszczerbione od szpadla. Leżały na nich krwawe strzępy węży, odłamany róg gzymsu oraz pełno kawałków glinianego dzbanka.

Nogal był teraz nie tylko superintendentem, lecz także supermanem i głośno domagał się od Bronka czegoś mocniejszego na ukojenie skołatanych nerwów. Po takiej akcji trudno mu było odmówić. Broniek naszykował więc drinki, a Maria coś na ząb. Po chwili zjawiła się Edyta z wózkiem, a potem spragnieni sensacji prawie wszyscy mieszkańcy „białej” części osiedla, bo Jacek z Łukaszem biegali od domu do domu w charakterze heroldów i rozgłaszali wieść o bohaterskiej walce Nogala z kobrą. Tej nocy w Mapulanengu znów rozbrzmiewały „Sokoły”, „A wszystko te czarne oczy” i tym podobne „narodowe” pieśni, ale nikt nie zaciągał się narkotycznym dymem. Stypa po kobrze skończyła się już po północy i Broniek znów nie mógł odespać dyżuru.

Aleksandria — dzielnica Johannesburga, blisko śródmieścia, w czasach

apartheidu przeznaczona dla czarnych [\[wróć\]](#)

teaching — tu: klinika (ang.) [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 23

W marcu w Mapulanengu nadal było bardzo ciepło, ale deszcz padał coraz rzadziej, a zieleń nie była już tak świeża i soczysta. Taka pogoda bardziej wszystkim odpowiadała. Burze zdarzały się już sporadycznie. Piękne były teraz nie tylko poranki, ale i wieczory. W małżeństwie Guziałów wszystko układało się w zasadzie świetnie. Broniek nadal jeździł przynajmniej raz w miesiącu do Johannesburga i niby coś załatwiał, tylko że żadnych efektów tych jego działań Maria nie zauważała. Takie wypadki kosztowały go sporo nerwów i pieniędzy. Wracał zawsze zły na cały świat i zapowiadał kolejne cięcia w domowym budżecie.

Dzieci nie przejmowały się tym zbyt i zawsze, gdy tylko ładnie poprosiły, udawało im się naciągnąć tatę na różne wydatki. Trzeba im oddać sprawiedliwość, że nie miały zbyt wygórowanych wymagań. W ogóle nie sprawiały zbyt wiele kłopotów. Były mądre, wesołe i dzielne jak ich tata — tak przynajmniej widziała to Maria. Z przyjemnością codziennie jechały do szkoły. Z sukcesami uczestniczyły w dużych, międzyszkolnych zawodach sportowych, organizowanych na stadionie w Nelspruit, oczywiście tylko dla białych dzieci.

Nauczyciele chwalili Jacka i Małgosię za to, że są zdyscyplinowani i coraz lepiej porozumiewają się z kolegami, którzy między sobą mówili w afrikaans. Zwłaszcza Jacek z Łukaszem chętnie uczyli się śmiesznych burskich wyrazów i zwrotów zawierających przymiotnik „dobry”, czyli „goeie”, wymawiany „chuje”. Broniek nie był jednak zadowolony z postępów dzieci w angielskim.

— Pewnie nie mają zdolności językowych po mnie — tłumaczyła Maria. — Może trzeba zapisać je na korepetycje i kupić telewizor — powiedziała, myśląc też trochę o sobie.

Broniek zmarszczył brwi i się zachmurzył. Wieczorem powyciągał różne rachunki, liczył coś, mrucał pod nosem i wreszcie zapytał:

— Jesteśmy w stanie jeszcze trochę ograniczyć wydatki na jedzenie?

— Możemy kupować głównie to, co jest w promocji, i zrezygnować z Beauty, chociaż bardzo ją polubiłam — powiedziała Maria.

— To kupmy ten telewizor — zgodził się mąż. — Postaram się też w najbliższych dniach załatwić dzieciom nauczyciela angielskiego. Hindus, który uczy w szkole dla czarnych, mieszka niedaleko szpitala i dość tanio udziela lekcji. Uczy większość nowych lekarzy. Ja też, zaraz jak tu przyjechałem, korzystałem z konwersacji u niego.

Trudno powiedzieć, czy pojawienie się telewizora pomogło dzieciom w nauce angielskiego, ale na pewno stało się zarzewiem kłótni w rodzinie. Jacek i Małgosia od razu przejęli władzę nad pilotem. Małgosia bezbłędnie trafiała na

bajki z postaciami, które wrzeszczały jak obdzierane ze skóry. Maria nie mogła tego po prostu słuchać. Jacek oglądał beznadziejne, według ojca, filmy, a do książek coraz trudniej było ich zagonić. Broniek chciał, żeby wieczorami cała rodzina oglądała razem z nim wiadomości i audycje publicystyczne, bo wiele interesujących i niezwykle ważnych rzeczy działo się teraz w polityce RPA. Praktycznie każdy dzień przynosił jakieś zmiany w sytuacji czarnych. Maria miała świadomość, że znaleźli się w tym kraju w przełomowym dla niego momencie. Jednakże trudne nazwy ogromnej ilości partii i przeróżnych organizacji biorących udział w walce z apartheidem oraz nazwiska ich przedstawicieli, których nie sposób było powtórzyć, stosując znane indoeuropejskim językom głoski, zniechęcały ją do słuchania i oglądania audycji, a dla dzieci były zupełnie niestrawne. Broniek jednak upierał się przy swoim.

— Jakiego języka wy się chcecie nauczyć z tych filmów? Co drugie słowo to *fuck*. Tak mówią czarni z amerykańskich slumsów — grzmiał. — W audycjach publicystycznych tutejsi dziennikarze i ich goście mówią lepiej niż w samej Wielkiej Brytanii — przekonywał.

Ale dzieciaki nadal oglądały głównie filmy, w których królował młodzieżowy, amerykański slang. Broniek go nie rozumiał i nawet nie chciał zrozumieć, gdyż poruszane w tych wątpliwej wartości „dziełach” tematy były miałki i według niego nieodpowiednie dla dzieci. Denerwował się, że nie po to się zadłużył, kupując na raty telewizor, żeby jego dzieci traciły czas na takie badziewie i jeszcze były demoralizowane. Maria czuła, że Broniek ma rację, lecz czasami stawiała w obronie dzieci. Jego pełne pretensji, umoralniające i mobilizujące do pracy nad sobą mowy przypominały jej dzieciństwo i metody wychowawcze matki. Bała się, że odniosą one równie wątpliwy, jak w jej przypadku, skutek.

— I co z tego, że mama chciała jak najlepiej? Był taki czas, że znienawidziłam ją i wszystkie jej pomysły na moją życiową karierę. Nie dokonałam niczego, przegapiłam wszystko. Boję się, żeby coś takiego nie stało się z naszymi dziećmi — tłumaczyła.

— Postrzegasz siebie jako osobę przegraną? Czujesz się nieszczęśliwa? — spytał zaniepokojony mąż. — Myślałem, że udało nam się małżeństwo i dzieci. Jesteś wspaniałą żoną i matką, tylko nie możesz się nad nimi i sobą roztkliwić. W tutejszych szkołach stosują dawne brytyjskie metody wychowawcze, łącznie z karą chłosty, i to dzieciom wychodzi na dobre. Anglicy u siebie z nich zrezygnowali, wychowują bezstresowo i mają teraz bandy chuliganów na stadionach i ulicach. A tu nie ma czegoś takiego, wśród białych oczywiście.

Maria nie była pewna, czy mąż ma rację, ale swoim zwyczajem poddała się. Wbrew sobie pomagała Bronkowi w utrzymaniu dzieci w ryzach. Prowadzała je do Hindusa na lekcje, a po dwóch godzinach odbierała. Ustaliła, które programy w telewizji mogą oglądać, i robiła to razem z nimi. Broniek wciąż był

niezadowolony, gdyż oczekiwał szybszych postępów w angielskim. Kiedyś podczas spaceru postanowił zawstydzić swoje dzieci.

— O, zaraz posłuchacie, jak ten czarny bezbłędnie artykułuje trudne, polskie wyrazy — powiedział na widok sanitariusza, nazywanego przez Polaków Zenkiem, stojącego w drzwiach jednego z pawilonów. Dzieci poznały Zenka w roli tłumacza murzyńskiej pieśni już pierwszego wieczoru w Mapulanengu. — On uczy się polskiego od niedawna, od kiedy zaprzyjaźnił się z panem Markiem, tym najmłodszym chirurgiem. Ale ten człowiek chce naprawdę mówić w naszym języku. Wciąż domaga się, żeby dyktować mu nowe słówka. Sam inicjuje rozmowę po polsku z lekarzami. A ostatnio widziałem nawet, że brał od Marka jakieś czasopisma, więc być może uczy się także czytać i pisać po polsku.

— Dzień dobry, doktor Bronek! — zawołał wesoło Zenek, gdy podeszli już całkiem blisko.

— Co słychać? Jak się czujesz? — ciągnął rozmowę Bronek, żeby dać możliwość sanitariuszowi popisania się talentem lingwistycznym.

— Mam się świetnie. Rządzę dzisiaj w przychodni. Pogoda jest dobra i pacjentów mamy od chuja — wyrecytował, patrząc z zadowoleniem w twarz Bronka i spodziewając się pochwał. Był bardzo zdziwiony nerwową reakcją miłego zwykle doktora, który warknął tylko:

— Przy okazji powiedz Markowi, że jest głupi! — Bronek próbował dzieciom przedstawić wpadkę Zenka pomieszaniem polskiego z afrikaans, ale ta koncepcja nie trzymała się kupy i inteligentny Jacek nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Małgosia na szczęście w ogóle się w tym wszystkim nie połapała. Ale z edukacją dzieci polskich lekarzy z Mapulanengu wkrótce zaczęły się poważniejsze kłopoty.

Któregoś dnia do owego szpitala dla czarnych pofatygował się całkiem biały przedstawiciel Ministerstwa Oświaty RPA. Szukał rodziców dzieci imigrantów uczęszczających do szkoły w Iniace, którą właśnie zwizytował. Zrobił to na żądanie czarnych mieszkańców okolicznych terenów, domagających się przekazania im w użytkowanie budynków szkolnych w Iniace. Akcję miejscowych działaczy wsparł Afrykański Kongres Narodowy. Szkoła w Iniace generowała spore koszty, a uczęszczała do niej tylko garstka białych dzieci, więc rząd RPA był skłonny oddać ją czarnym.

Wizytator odwiedził szpital, gdyż chciał się dowiedzieć, czy polscy rodzice są w ogóle świadomi, że w Iniace naukę prowadzi się w języku afrikaans. Urzędnik podejrzewał, że wprowadzono ich w błąd i wykorzystano ich dzieci do zwiększenia liczby uczniów zagrożonej likwidacją placówki. Zaniepokoiło go to, że dzieci imigrantów posiadały podręczniki tylko w języku angielskim, podczas gdy reszta uczniów miała książki w swoim rodzinnym afrikaans. Nauka na co dzień wyglądała więc w ten sposób, że polskie dzieci rozkładały na ławkach swoje

podręczniki i patrzyły w nie jak przysłowiowe cielę w malowane wrota, a pozostałe normalnie przerabiały program. Na nich to, w głównej mierze, nauczyciele koncentrowali swoje wysiłki, a polskie dzieci cały semestr rysowały, oglądały obrazki lub wykonywały jakieś proste rachunki.

Decyzja uczciwego, białego urzędnika była kategoryczna. Szkoła w Iniace od nowego roku przechodzi w ręce czarnych, a polskie dzieci muszą natychmiast znaleźć się w innej, przystosowanej do nauki dla imigrantów placówce. Zalecał Middelburg Primary School, najlepszą w Transwalu i jedną z najlepszych w kraju państwową szkołę z internatem. Rekomendacja była cenna, tylko że Mapulaneng od owego Middelburga dzieliło ponad trzysta kilometrów.

ROZDZIAŁ 24

Sprawa szkoły niczym grom z jasnego nieba spadła na nieźle już zintegrowaną polską społeczność w Mapulanengu i rozproszyła ją. Przez wiele wieczorów w większości domów toczyły się zażarte dyskusje, co w tej sytuacji robić. Nawet ci, którzy nie mieli dzieci, wyrażali swoje oburzenie postępowaniem przebiegłych Burów i starali się służyć radą. Nie było jednej recepty dla wszystkich. Superintendent postanowił, że odda Łukasza do najbliższej szkoły z internatem w White River, nie bacząc na to, że głównym językiem jest tam afrikaans.

— My i tak zostaniemy tu na zawsze — planował, mając na uwadze przede wszystkim swoją nierozwiązaną sytuację matrymonialną. — Chłopak może być Burem. A co mi to przeszkadza, byle się nauczył czegoś przydatnego w życiu. On i tak w angielskim jest dobry, a i w afrikaans radzi sobie nieźle — motywował swoją decyzję, a żona mu wtórowała.

— Syn ma zamiłowanie do samochodów, a nad książką i tak nie umie usiedzieć. Za parę lat kupimy mu warsztat samochodowy. Lepiej na tym wyjdzie niż niejeden doktor.

— Ja nie chcę dłużej mieszkać w tym okropnym buszu i urodzić tu mojego dziecka — szlochała Ewa, matka Grzesia, która obsesyjnie bała się węży. — Wracam do rodziców, a ty jak chcesz — zwróciła się do męża. Mówiła buńczucznie, lecz spoglądała na niego prosząco i widać było, że wcale nie miała ochoty go opuszczać. Jej mąż, przystojny Antek Jaguścik, twardy i zdecydowany góral, tarł brodę, szarpał sumiaste wąsy i nie wiedział, jak powiedzieć żonie, że ma już obiecaną świetną posadę w Durbanie, gdzie klimat jest jeszcze cieplejszy i dużo bardziej wilgotny niż w Mapulanengu, więc węży będzie chyba więcej.

— O żadnym powrocie do Polski nie ma mowy — odezwał się wreszcie. — Mieszkanie sprzedane, nie ma do czego wracać. U rodziców w dwóch pokojach z kuchnią chcesz mieszkać? Tam nawet porządnej łazienki nie ma. Nie po to, aby kupić bilety, sprzedaliśmy wszystko, czego się dorobiliśmy, żeby po paru miesiącach wracać jak niepyszni. — Antek wstał od stołu, podniósł w górę szklanekę napełnioną do połowy czystą wódką i zaintonował: — Góralu, czy ci nie żal? — A potem wyznał wszystkim, że owszem jest mu żal i z bólem serca opuszcza Mapulaneng. W Durbanie będzie miał lepsze warunki płacowe i szkoły dla dzieci do wyboru, do koloru. — Zapraszam was na przyszłe wakacje do nas nad ocean — zakończył. Ewa, która przed momentem groziła rozwodem, usiadła zrezygnowana i zaczęła płakać.

Bronek nie pytał Marii o zdanie, tylko autorytarnie zdecydował, że jego dzieci pojedą się edukować do rekomendowanej przez wizytatora szkoły

w Middelburgu.

— Jestem przekonany, że im to wyjdzie na dobre. Ja miałem bardzo trudne dzieciństwo, nikt się ze mną nie cackał i wyszedłem na ludzi. Skoro szkoła jest tak znakomita, jak zapewniał wizytator, to należy się tylko cieszyć, że nam ją zaproponował.

Kuźmińscy, rodzice trójki dzieci, z których tylko najmłodszy Maciek chodził do szkoły w Iniace, a dwoje starszych było w szkole średniej w Nelspruit, najdłużej nie mogli podjąć decyzji. Czternastoletni Michał, chłopiec nad wiek poważny i dobrze ułożony, nie czuł się bezpiecznie w internacie afrykanerskiej szkoły, gdzie nauczyciele stosowali kontrowersyjne metody wychowawcze. Tolerowali przemoc, jaką stosowali wobec młodszych tak zwani prefekci, czyli uczniowie z najstarszej klasy wyznaczani do pomocy nauczycielom. Któregoś dnia Michał postawił się jednemu z prefektów i został dotkliwie pobity. Stracił na chwilę przytomność i trafił do miejscowego lekarza, gdyż trzeba mu było zaszyć rozerwany od środka policzek.

Wychowawcy całkowicie zignorowali to zajście, nie powiadomili nawet rodziców. Michał także nic w domu nie powiedział. Jego ojciec o incydencie dowiedział się dopiero wtedy, gdy lekarz udzielający pomocy poszkodowanemu chłopakowi wysłał rachunek za usługę na adres ojca do Mapulaneng Hospital. Młodszej siostrze Michała, Wiktorii, powodziło się w Nelspruit nieco lepiej. Była bardziej energiczna i łatwiej nawiązywała kontakty. Wśród dziewcząt akty agresji zdarzały się zdecydowanie rzadziej. Ponadto dziewczęta za szkolne przewinienia nie były karane chłostą. Michał za spóźnienie na lekcję otrzymał kiedyś regulaminową karę kilku uderzeń bambusem.

Piątek był w szkole dniem, w którym uczniowie odbierali nagromadzone w ciągu całego tygodnia kary. Chłopcy ustawiali się wtedy w długiej kolejce do gabinetu wicedyrektora, przed którego obliczem należało ściągnąć spodnie i położyć się na przygotowanym do tego celu krzeselku, by pedagog mógł spokojnie i bez większego wysiłku odmierzyć, co tam komu się należało i zostało zapisane w dużej, czarnej księdze.

Większość afrykanerskich chłopców przyjmowała ten rytuał jako rzecz zupełnie normalną. Stojąc w kolejce do gabinetu wicedyrektora, śmiali się i dowcipkowali, a czasem tak rozrabiali, że zarabiali jeszcze dodatkowe razy. Dla wrażliwego Michała była to jednak trauma. Po wyjściu z gabinetu nie pamiętał on jednak o bólu, choć utrzymujące się na ciele ponad tydzień sine ślady po bambusie świadczyły, że nie była to chłosta symboliczna. Chłopiec zapamiętał na długo, a może nawet na zawsze, uczucie palącego wstydu i upokorzenia.

Kuźmińscy podjęli najbardziej radykalną decyzję. Postanowili nie składać już wniosku o pozwolenie na pobyt stały, a jedynie przedłużyć jeszcze trochę wizy oraz przebukować bilety i w ciągu pół roku wrócić do Polski. Wysłali więc list do

krewnych, by nie likwidowali ich kwaterunkowego mieszkania. Chcieli zostać jeszcze parę miesięcy w Mapulanengu, żeby starsze dzieci lepiej opanowały język, a oni, żyjąc oszczędnie, odłożyli trochę pieniędzy. Barbara Kuźmińska, która z zawodu była nauczycielką, postanowiła najmłodszego Maćka uczyć w domu sama z polskich podręczników, żeby potem bez trudu odnalazł się w polskiej szkole.

Maria podporządkowała się decyzji męża i przygotowywała dzieci na wyjazd do Middelburga. Gdy jednak pomyślała o rozstaniu z nimi oraz o życiu dzieci wśród obcych, z dała od domu, to łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach.

— Jeszcze Jacek to pół biedy, chłopak i ma już jedenaście lat, ale ta kruszynka — mówiła, patrząc z bólem na Małgosię. — Czuję się, jakbym miała oddać własne dzieci do sierocińca.

— Nie przesadzaj. Co ty wiesz o sierocińcu? Ja byłem w prawdziwym sierocińcu prawie rok, zanim odnalazła mnie tam ciotka, i jakoś nic mi się strasznego nie stało — mówił ostro Bronek. — Kiedyś przecież oddawano dziewczynki na pensję, a chłopców do szkół wojskowych i wyrastali na normalnych, wartościowych ludzi — pocieszał.

— Lepiej postarałbyś się o pracę w Middelburgu lub jego okolicach, zamiast liczyć na miejsce w tym wymarzonej szpitalu w Johannesburgu — napierała Maria.

— Nie będę zmieniał jednej byle jakiej pracy na drugą taką samą — denerwował się Bronek. — Tłumaczyłem ci, że interesuje mnie robienie specjalizacji. A specjalizację można robić tylko w *teachingu*. Adam zapewnia mnie, że w Strydom robi się niebawem luz, bo wielu Żydów planuje stąd emigrować. Gdybyś słuchała ze mną wiadomości, to orientowałabyś się w tym, co dzieje się w RPA. Czarni ostro negocjują z rządem, a de Klerk im ustępuje. Apartheid się rozpada na naszych oczach. Partia Narodowa chce się dogadać z czarnymi, żeby świat zniósł międzynarodowe sankcje. Negocjacje z ANC są konieczne, ale biali się boją, żeby tu nie było tak, jak w koloniach. Afrykanerzy są w gorszej sytuacji, niż byli kolonizatorzy, bo nie mają dokąd wyjechać, to ich ojczyzna. Niektórzy uważają, że możliwa jest nawet wojna domowa o Natal. Zulusi zawsze chcieli mieć swoje państwo. Opowiadałem ci historię Chaki, no nie? Radykalni Burowie z kolei zamierzają wykroić dla siebie całkowicie wolną od czarnych Oranię.

— Boże — wyszeptała przerażona Maria. — To może my też lepiej wróćmy do Polski.

— Bez przesady. Ja myślę, że wcale tak źle nie będzie. To jest już całkiem inny czas niż ten, kiedy wyzwały się kolonie. Wśród czarnych dużo jest wykształconych, kulturalnych i zamożnych ludzi, którzy nie dopuszczą do odwetu na białych. Im też zależy, żeby nie doprowadzić do rewolucji. Wyobrażasz sobie,

żeby któregoś dnia pracownicy szpitala i nasi pacjenci rzucili się nas mordować?

— Nie, jasne, że nie — odpowiedziała trochę niepewnie Maria. — Zresztą ja też uważam, że im należą się równe z naszymi prawa. Jakby co, to stanęłabym po ich stronie — dodała z zapalem.

— Tylko nie zapisz się czasami do ANC. A wiesz, że jest tam trochę białych? Ale zdaje się, że to sami Żydzi. Ci to zawsze muszą bruździć. W Rosji zrobili rewolucję. U nas też popierali komunę.

Marię po prostu zatkało. Poczzerwieniała ze wzburzenia.

— Ja bym powiedziała raczej, że mają zakodowaną w genach potrzebę sprawiedliwości. Żydzi to wyjątkowo pokojowo nastawiony naród. Gdyby nie to, to w czasie wojny... — zaczęła głośno i stanowczo swoją mowę obrończą, lecz Broniek zaraz jej przerwał.

— Spytaj Palestyńczyków, co myślą na temat pokojowości Żydów. Zresztą ja tam za Arabami też nie jestem. Żydzi zaimponowali mi akcją w sześćdziesiątym siódmym, ale w drugiej wojnie światowej to się nie popisali. Jedni mieli nadzieję, że uratują się kosztem innych, więc pomagali Hitlerowi zaprowadzić ład w gettach. Teraz nie chcą o tym mówić i nawet pamiętać. Ale to ich sprawa. Ja nie zapomnę im, jak zaraz po wyzwoleniu panoszyli się u nas z Ruskimi, jak ubecja wykańczała niewinnych ludzi. Ładna mi sprawiedliwość.

— Ty tego nie przeżyłeś i znasz tylko z opowiadań. Działali dla idei. Bo sama idea komunistyczna nie jest może taka zła, tylko nie dało jej się dobrze wprowadzić w życie.

— No, jakbym słyszał Gomułkę, społeczeństwo nie dorosło. Życie zweryfikowało komunę. Nigdy bym nie przypuszczał, że ty możesz myśleć w ten sposób — powiedział oburzony. — A wracając do RPA, nie ma wątpliwości, że ten kraj wszystko zawdzięcza białym. Ale ja mam jednak nadzieję, że nie zostanie to zaprzepaszczone, gdy czarni przejmą władzę. A Żydzi jako najbardziej bojaźliwi już uciekają. Dla mnie lepiej. To nie moje słowa, tylko Adama — pośpieszył z wyjaśnieniem.

Maria chętnie słuchała opinii męża na temat aktualnej sytuacji w RPA, bo teraz właściwie była zmuszona odbierać świat za jego pośrednictwem, ale zdaniem wypowiedzianymi o Żydach poczuła się mocno urażona. Chciała ostro zareagować, lecz za długo się namyślała, więc mąż kontynuował, jakby nigdy nic:

— Adam rozważa wyjazd do matki do Australii. Niech sobie jedzie, krzyż na drogę. Oj, co ja mówię krzyż! — zarechotał Broniek, a Maria znów poczuła bolesne ukłucie. Była wzburzona, opanowała się jednak i odezwała z kpina w głosie:

— Dotąd wydawało mi się, że wprost przepadasz za Adamem. Często jeździsz do niego, świetnie się razem bawicie. Ile to wspólnych, szalonych imprez macie za sobą? I co, teraz to on jest Żyd, co jak szczur ucieka z tonącego okrętu? A ty? Kim szczególnym się czujesz, że mówisz o nim z lekceważeniem? — Kusilo

ją, żeby wypomnieć Bronkowi jego pochodzenie. Był dzieckiem nieznanego ojca i jakiejś pierwszej naiwnej, która skończyła jako dziwka. Nie powiedziała jednak nic, czym mogłaby zranić męża. Bez względu na wszystko, kochała go przecież.

Bronek był zdziwiony gwałtownym atakiem żony. Zamilkł, próbując sobie przypomnieć, czy naprawdę sformułował wypowiedź tak, że można było pomyśleć, iż ma jakieś uprzedzenia do Żydów. W swoim mniemaniu nie był antysemitą, a stwierdzał tylko niepodważalne fakty historyczne.

Powoli wyciszały się emocje. Maria wróciła do przyszywania tasemek z wydrukowanymi imionami i nazwiskiem dzieci, niezbędnych, aby ubrania nie pogubiły się w szkolnej pralni. Spoglądała spod oka na Bronka, który wkładał do teczeki potrzebne w szkole dokumenty. Robił to wszystko spokojnie i systematycznie.

Do położonego wśród kopalnianych hałd i dymiących kominów Middelburga wyruszyli w poniedziałek bardzo wczesnym rankiem. Kiedy przybyli do szkoły, w klasach jeszcze trwały lekcje, ale zajęto się nimi natychmiast bardzo serdecznie. Matrony¹ zaproponowały nawet, żeby Maria i Bronek zatrzymali się przez jakiś czas w Middelburgu w pokojach gościnnych. Skorzystali z tej możliwości i towarzyszyli dzieciom w ciągu dwóch pierwszych dni ich adaptacji w nowym miejscu, a potem Bronek musiał już wracać do pracy.

Szkoła na pierwszy rzut oka robiła naprawdę doskonałe wrażenie. Wszystko było tam profesjonalnie przygotowane i zaplanowane. Od razu otrzymali wydrukowany na komputerze pakiet informacji o rozkładzie dnia uczniów, o zaplanowanych na cały rok wycieczkach i imprezach sportowych, w tym również dla rodziców. Był też spis rzeczy niezbędnych w wyprawce każdego ucznia. Nie zapomniano o niczym, nawet o wykrztuśnym syropie, gdyż dzieciaki oddychające gęstym od zanieczyszczeń powietrzem tego najbardziej uprzedmiotowionego w całej Afryce regionu ciągle kaszlały. Dyrektor zapoznał Guziałów z programem indywidualnej nauki angielskiego dla imigrantów. Jacek był podekscytowany perspektywą używania komputera, a Małgosia raczej onieśmielona urządzeniem, z którym jeszcze dotąd się nie zetknęła. Wszystkim podobał się piękny, wielki basen o rozmiarach olimpijskich oraz liczne boiska i plac zabaw.

Po dwóch dniach wspólnego pobytu w Middelburgu dzieci już bez wielkiego płaczu rozstały się z rodzicami. Nie zdawały sobie jednak sprawy, że powinny się w zasadzie pożegnać także ze sobą. Od tej bowiem chwili kontakt siostry z bratem był naprawdę sporadyczny. Chociaż chodzili do jednej szkoły, w której klasy były koedukacyjne, podczas przerw chłopcy i dziewczynki przebywali osobno. Ich internaty zajmowały oddalone o kilkaset metrów budynki. Jacek i Małgosia mogli się zatem spotykać jedynie w określonych godzinach, na neutralnym terenie i to pod okiem opiekunów. Maria, wczytując się w rozkład dnia, ubolewała, że dzieci będą wiecznie niewyspane, głodne i do tego na pewno się pochorują. Przerazał ją

wojskowy niemalże dryl panujący w hostelu. Pobudka o piątej, trzykilometrowy bieg i dopiero potem śniadanie na stołówce, która bardziej przypominała zadaszoną wiatę niż miejsce do podawania ciepłych posiłków.

— Nie wiem, czy dobrze zrobiliśmy. W Middelburgu o tej porze roku podobno często zdarzają się nad ranem przymrozki. Dzieciaki na takiej stołówce nie mają szansy zjeść rano ciepłego posiłku. Zanim nałożą sobie porcje i doniosą do stolika, owsianka i jajecznica będą już zimne — biadała. — Te starsze i silniejsze, które ustawią się pierwsze w kolejce, to jako tako, ale te najmłodsze... Widziałeś, że na dzwonek dzieci muszą odchodzić od stołu, zostawiając na talerzu niedojedzone danie. Bardziej mi to przypomina kolonię karną niż szkołę. Nasza Małgosia jest chyba jeszcze na to za mała.

— Nie przesadzaj. Dzieci w wieku Małgosi jest tam więcej. A nasza córka jest sprytna i samodzielna — pocieszał żonę Bronek, ale sam minę miał nietęgą.

— A nie śmieszyły cię te ich modlitwy mamrotane przed i po posiłku? — spytała Maria. — Małgosia mówiła, że modlą się też przed i po nauce, a nawet przed zawodami. Ciekawe, czy wszyscy bez względu na wyznanie mówią tę samą formułę, czy każdy swoją? — zastanawiała się. — Pełno tam było imigrantów. Żydzi obok Arabów i jacyś skośnoocy. Jak sądzisz, modlą się po swojemu, każdy do swojego Boga, czy myślą wtedy o czymś zupełnie innym?

— Nie mam pojęcia. Ale to dobrze, że dzieci są wychowywane religijnie, a przy tej różnorodności wyznań uczą się tolerancji. W szkole wykłada się wiedzę o Biblii, bez narzucania konkretnego wyznania. Podoba mi się to — mówił Bronek.

— A mnie nie. To jest nauka hipokryzji. Klepią coś na dzwonek, a oczami pożerają talerz, na którym stygnie jajecznica. Biblii wcale nie szanują. Małgosia mówiła, że na każdym zaścielonym łóżku obowiązkowo ma leżeć otwarta Biblia. Nikt jej nie czyta. Po lekcjach robią wielki bałagan w pokojach i widziałam, jak ta święta księga leży razem z brudnymi ubraniami i skórkami z pomarańczy — mówiła z oburzeniem.

Bronek starał się bronić nawet tak kuriozalnych zarządzeń. Uważał, że kultywowanie podyktowanych tradycją zwyczajów ma sens i dużą wartość. Rozwodził się nad walorami szkoły i przekonywał żonę, jak ważna jest marka szkoły i uczelni, którą się kończy

— W komunie takich rzeczy się nie doceniało. Zresztą nie było tak wielkich różnic między szkołami. Moje radomszczańskie liceum przygotowało mnie znakomicie do zdawania na medycynę. W kapitalizmie za dobrą szkołę z tradycjami trzeba słono płacić. Mamy szczęście, bo ta jest państwowa i bezpłatna, a ma taki wysoki poziom. Widziałeś te kroniki? A dyplomy, medale, puchary? Od wielu lat jest wciąż na szczycie rankingu — piał z zachwytem.

— Tylko strasznie daleko — narzekała Maria. — Niby bezpłatna, a wydaliśmy mnóstwo pieniędzy. Po co do każdego sportu inny strój? Dlaczego nie

można kupić ubrań na hali w markecie? Wymyślają paseczki, wypustki, wyjątkowe krawaty, a wszystko drogie jak cholera — utyskiwała, żeby zagłuszyć sumienie, które mówiło jej, że to nieludzkie zostawiać tak małe dzieci wśród obcych ludzi, którzy będą je tresować, żeby jadły na dzwonek i modliły się na pokaz.

Kiedy tylko wspomniała swoją małą córeczkę, serce jej się ścisnęło z żalu. Ta złotowłosa kruszynka w Polsce poszłaby dopiero we wrześniu do pierwszej klasy. Babcia odprowadzałaby ją tylko na kilka godzin do szkoły, a potem, gdyby chciała, mogłaby się uczyć muzyki lub tańca. W rajskiej krainie, którą Maria obiecała dzieciom, mała Małgosia rozpoczynała samodzielne życie w hostelu, w którym nie będzie mogła nawet swobodnie porozmawiać ze starszym bratem. „Dlaczego ja się na to zgadzam?” — pytała samą siebie, ale nie śmiała zaprotestować.

matrony — tu: panie opiekujące się uczniami w internacie [[wróć](#)]

ROZDZIAŁ 25

W Mapulanengu bez dzieci zrobiło się okropnie cicho. Maria snuła się całymi dniami z kąta w kąt, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ponieważ zrobiło się zimno, nakupowała na wyprzedazy różnokolorowych włóczek i zaczęła robić swetry. Były to prawdziwe dzieła sztuki. Wymyślała bardzo ciekawe wzory i połączenia kolorów. Wkrótce mieli w szafie tyle swetrów, jakby mieszkali na Alasce, a nie w Afryce. Broniek co dzień napominał ją, żeby uczyła się angielskiego, ale ona zamiast wkuwać angielskie słówka, wolała robienie na drutach. Dzierganie swetrów tylko w fazie planowania wymagało zaangażowania umysłu. Potem można było już mechanicznie odtwarzać rozrysowane wzory, a jednocześnie myśleć sobie o Polsce i pozostawionych tam bliskich lub układać w głowie wiersze.

Chociaż nie mogła narzekać na życie w pięknym i spokojnym Mapulanengu, to jednak dokuczała jej nostalgia, zwyczajnie tęskniła za ojczyzną. Nieraz ocierała łzy z policzków, gdy zaczynała wspominać zmarłą babcię. Tęskniła już nawet za narzekającą wciąż matką, a także za oschłym na ogół doktorem Majem, który jednak po wyjeździe Bronka okazał się bardzo ciepłym i pomocnym człowiekiem. Ale najbardziej brakowało jej codziennego kontaktu z dziećmi. Od rana do wieczora myślała o tym, co w danej chwili robią, jak się czują, czy nie dzieje im się krzywda. Wieczorami, kiedy zwykła całować je na dobranoc i otulać kołdrą, wchodziła do pustych pokoików i tylko wzdychała ciężko.

Ze zdwojoną siłą dawało jej się teraz we znaki pragnienie ponownego macierzyństwa. O ileż łatwiej byłoby jej znieść tę pustkę i tęsknotę, gdyby mogła dotknąć brzucha, a tam już rozwijałaby się mała istotka. Chciałaby urodzić swoje dziecko właśnie tu, w Mapulanengu, żeby położna uniosła je w górę i pokazała Stwórcy i żeby wszyscy tańczyli z radości i klaskali w ręce. Wyobrażała sobie, że będzie to chłopiec, któremu da na imię Dawid. W jej marzeniach Dawid miał, jak ona, rude, kręcone włosy. Ale oczy mógłby mieć szare i chmurne po tacie i uśmiechałby się tak samo uroczo jak Broniek. Wyobrażała sobie, jak go przewija, a on energicznie kopie grubiułkami, różowymi nóżkami. Pochylała się nad nim i całowała je. A potem otwierała mały czarny notesik, by zapisać w nim wiersz o niemowlęcej stopce — arcydziele natury z koroną różowych paluszków.

Maleńki Dawid był jednak wyłącznie jej marzeniem i dlatego nie mógł się zmaterializować. Jego obecność w snach i czarnym zeszytiku była tajemnicą Marii. Nie chciała przecież drażnić Bronka, który wywiązywał się znakomicie z roli ojca dwójki dzieci, ale o trzecim nawet nie chciał słyszeć. Jej częste nawiązywanie w rozmowach do tematu następnego dziecka skutkowało poirytowaniem męża, większą ostrożnością i rzadszymi zbliżeniami. To z kolei

powodowało coraz większą drażliwość, a nawet płaczliwość Marii. „Nie tak chyba wygląda szczęście?” — dopytywała samą siebie. W związku z nadejściem pory suchej także otaczająca ją przyroda nie dawała już tyle radości. Zielen przyżółkła i poszarzała, a kwiatów było o wiele mniej. Samej nie chciało jej się nawet spacerować. Całymi godzinami siedziała skulona nad robótkami, opatulona w pled, bo temperatura spadła i w domu było chłodno, zwłaszcza po zmroku.

Minęły wreszcie pierwsze dwa tygodnie bez dzieci. Wydawały się Marii długie jak dwa miesiące. Przed weekendem, w który mieli jechać do Middelburga, nie mogła wręcz opanować radości. Za zupełnie naturalne uważała, że pojedzie razem z mężem w piątek, żeby zobaczyć się z nimi jak najszybciej i побыć jak najdłużej. W niedzielę po wczesnym obiedzie należało bowiem wyruszać już w drogę powrotną. Tymczasem w środę wieczorem Broniek powiadomił ją, że zamierza sam jechać po dzieci, gdyż ma jeszcze do załatwienia swoje sprawy w Johannesburgu. Od razu uprzedził, że nie chce jej zabrać, boby mu tylko przeszkadzała. Długo płakała po jego wyjeździe. Musiała jednak wziąć się w garść, żeby nie dać dzieciom poznać, że między rodzicami dzieje się coś złego. Dość miały własnych problemów z adaptacją w internacie, żeby ona jeszcze wzmagała ich niepokoje.

Nie mogła się napatrzeć na Jacka i Małgosię. Wydawało się jej, że oboje wyrosli i zmizernieli. Chociaż widać było, że pobyt w internacie dobrze wpływa na Małgosię. Stała się bardziej samodzielna, pewna siebie i rozgadana. Jacek, o którego mniej się bała, był raczej zgaszony i milczący. Na pytania, jak daje sobie radę, odpowiadał niezmiennie:

— Robię szybkie postępy w angielskim. Komputer jest ze mnie zadowolony. A w internacie też jakoś da się wytrzymać.

Maria starała się dogadzać dzieciom. Stół ugiął się od ich ulubionych potraw, a bajecznie kolorowe sweterki bardzo przypadły im do gustu. Dzieciaki po kolacji wpakowały się jej na kolana i tuliły się jak małe kociaki, a ona wciąż wypytywała o wszystkie rzeczy związane z nową szkołą i internatem. Tata przerwał tę sielankę, wyganiając towarzystwo spać, bo na sobotę zaplanował niespodziankę.

— Jedziemy jutro na farmę, której właścicielką jest starsza pani, Polka z pochodzenia. Dostałem jej telefon już dość dawno, jeszcze od dyrektora szkoły w Iniace, ale jakoś tak nie było okazji. Teraz zadzwoniłem i ta kobieta naprawdę się ucieszyła, że słyszy polski. Sama mówi bardzo dobrze, z lekkim tylko obcym akcentem, ale aż dziwne, że po tylu latach nie brakuje jej słów. Przedstawiłem się, że jestem lekarzem i mieszkam tu z rodziną. Powiedziałem, że wychowałem się na wsi i chętnie zobaczę, co i jak się w tym klimacie uprawia. Bardzo ją to rozśmieszyło. Była naprawdę rozradowana i zaprosiła nas wszystkich na obiad.

Dzieci nie były zachwycone tą niespodzianką. Wolałyby spędzić sobotę

w Mapulanengu z kolegami, z którymi los je rozdzielił. Ale tata zaproszenie przyjął, więc trzeba było jechać. Koło południa stanęli pod potężną bramą z napisem „Tshukudu Game Lodge”. Z małej budki wyszedł stary Murzyn, wyglądający jak filmowy wuj Tom. Broniek poinformował, że jest rodakiem pani Alicji Sussens. Wuj Tom wyciągnął zeszyt, w którym figurował długi spis różnych nazwisk, i zapisał pod kolejnym numerem przeliterowane przez gościa nazwisko, stawiając przy nim jakiś znaczek. Zdziwiło to Guziałów, którzy nie mogli pojąć, czemu służy ewidencjonowanie gości i dlaczego oni zostali szczególnie oznaczeni.

Czarny otworzył bramę i kazał jechać piaszczystą drogą wzdłuż siatki, a na rozwidleniu skręcić w lewo i dalej, aż dotrą do dużego budynku z werandą. Jechali tak wiele kilometrów, wzbijając w niebo tumany kurzu. Wymyty na gościnne występy datsun pokrył się rdzawym kurzem. Dzieciaki z nosami przy szybach wypatrywały owego budynku lub czegośkolwiek, co mogłoby je zainteresować. Ale dookoła rosły tylko liche drzewka i krzaczki, a ciekawe były co najwyżej kształty gigantycznych kopców termitów. Wszystkich zastanawiało natomiast, dlaczego wewnątrz posiadłości biegnie trzymetrowej wysokości metalowa siatka.

— Oni chyba dopiero zakładają tę farmę i zaczęli od odgradzania poszczególnych upraw — odezwał się Broniek tonem znawcy.

— Może coś tam jednak cennego rośnie, a te siatki chronią uprawy przed zwierzętami, które by to zjadły albo stratowały — powiedziała Maria.

— Eee, nic tu nie ma, przecież widzę, że to najzwyczajniejszy busz. — Jacek był zniechęcony. On najbardziej nie chciał tu przyjechać i oglądać jakichś zasiewów, hodowli kur czy bydła. Wolał zdecydowanie jechać do pana Van der Merve.

Wyjazd do „pana Van der Merve” oznaczał dzień spędzony w ekskluzywnym ośrodku rekreacyjno-sportowym w Hazyview, gdzie znajduje się piękne pole golfowe, korty i kompleks basenów oraz eleganckie pawilony hotelowe stylizowane na murzyńską wioskę. Któryś z polskich lekarzy wpadł na genialny pomysł, jak dostać się do tego wypoczynkowego rajku dla bogaczy bez konieczności kupowania bardzo drogiej karty wstępu do klubu. Otóż podjeżdżało się samochodem pod portiernię i pewnie mówiło, że jest się zaproszonym przez pana Van der Merve. Ponieważ wśród Burów przynajmniej co trzeci nosi to nazwisko, zawsze więc jakiś Van der Merve znajdował się w ośrodku, zatem bez zbędnych pytań przed niezamożnymi imigrantami otwierały się bramy elitarnego klubu, cudowne baseny oraz inne atrakcje. Maria nie lubiła tych wyjazdów. Wstydziała się, że uczy własne dzieci cwaniactwa. Na portierni przeżywała koszmarne stres, że jednak kłamstwo wyjdzie na jaw i w obecności dzieci spotka ich jakieś okropne upokorzenie. Nigdy jednak nic takiego się nie stało, bo czarnemu portierowi nawet do głowy nie przyszło, żeby sprawdzać prawdziwość białego.

Jadąc teraz w czerwonym pyle piaszczystą drogą wśród wyschniętej, marnej roślinności, zaczynała żałować, że jednak nie poparła Jacka. Syn błagał o wyjazd

do Hazyview, bo na trawiastym korcie grywał tam w tenisa z dziećmi zamożnych Burów i coraz częściej zdarzało mu się wygrywać. Chwalił się właśnie rodzicom, że w szkole jest jednym z lepszych tenisistów w swoim przedziale wiekowym, gdy Małgosia wypatrzyła za drzewami jakiś interesujący obiekt.

— Są zabudowania! — krzyknęła uradowana.

Wśród wysokich drzew i różnego rodzaju kwitnących krzewów stał duży, drewniany, parterowy dom z rozległą, zadaszoną werandą. Z boku na półkolistym placu stało kilka samochodów. Broniek zaparkował wśród nich datsuna, który wcale nie był już biały. Najpierw wysiadły dzieci, potem Broniek, a Maria przejrzała się jeszcze w lusterku i podmalowała usta. Kiedy wreszcie wyszła, Broniek, stojący już blisko werandy, wcisnął guzik pilota, żeby zamknąć samochód.

— Mamo! — krzyknęły nagle dzieci i schowały się za ojca. Maria dość flegmatycznie spojrzała na drogę, ale nie było tam żadnego pojazdu, więc odważnie ruszyła do przodu i omal nie zderzyła się z samicą nosorożca, która wyszła z zarośli okalających placu. Za potężnym zwierzęciem śmiesznym truchcikiem podążał słodki, grubutki malec. Kobieta cofnęła się między samochody, a nosorożce tymczasem obrały kurs na stojące przed domem dzieci i Bronka. Ci chcieli salwować się ucieczką na werandę, lecz drogę zagrodziło im ogromne, czarne psisko. Był to mieszaniec dobermana z rottweilerem, bardzo popularna w RPA kynologiczna krzyżówka. Psy te cieszyły się sławą doskonałego stróża i nieustraszonego obrońcy oraz bezwzględnego bandyty. Ten właśnie przerwał drzemkę, wstał, prezentując słuszny wzrost i imponującą muskulaturę, a z jego gardła wydobył się nieprzyjemny, ostrzegawczy warkot. Broniek był zdecydowany bronić dzieci własnym ciałem, ale w tych okolicznościach było to właściwie niewykonalne. Z przodu miał nosorożce, a za plecami potworne psisko, które w każdej chwili mogło się na nich rzucić. Maria, widząc męża i dzieci w dramatycznej sytuacji, postanowiła skupić na sobie uwagę nosorożca. Wybiegła pomiędzy samochodów i stanęła na wprost nosorożców. Samica przyjrzała jej się uważnie małymi, krótkowzrocznymi oczyma i z opuszczonym łbem i ruszyła do przodu.

Chwila grozy na szczęście trwała krótko. Nosorożec, będąc tuż przed Marią, zmienił nieco kurs, wyminął ją i dotarł do balustrady. Ustawił się bokiem i zaczął czochrać cielsko o misternie rzeźbione tralki. Maria miała wrażenie, że małe oczka łypią na nią teraz jakoś wesoło, jakby zapraszały do bliższego kontaktu. Kobieta niepewnie wyciągnęła dłoń i poskrobała wymalowanymi na czerwono paznokciami grubą i szorstką skórę zwierzęcia, które zmrużyło oczy i przysunęło się bliżej, wyraźnie zadowolone z pieszczoty. Pies także nie rzucił się na przybyszy, bo w głębi werandy rozległo się gwizdnięcie i żeński głos zawołał:

— Rocky, do mnie! — Psisko ruszyło, ciągnąc za sobą lewą tylną łapę, w stronę młodej, najwyżej dwudziestoletniej dziewczyny, która wyszła z domu na

werandę. — Rocky jest ranny i smutny. Nocą lew podszedł pod dom i zabił jego małego przyjaciela foksteriera. Rocky miał szczęście, że dostał tylko łapą w biodro — powiedziała i pogłaskała czarny łeb. Pies położył się przed nią do góry brzuchem i rozwarł paszczę, ukazując wielkie zębiska. Miał wyraźnie uśmiechnięty pysk i domagał się drapania po brzuchu. Nie wyglądał już jak straszna maszyna do zabijania.

Pani Alicja Sussens za pośrednictwem pracownicy przeprosiła, że nie wita gości osobiście, ale musiała udać się w ważnej sprawie do pobliskiego miasta. Jej mąż natomiast zajęty jest turystami, bo jak się okazało, owa farma była prywatnym rezerwatem dzikich zwierząt.

— Obiad będzie podany za godzinę. I wtedy wszyscy, goście, pracownicy i domownicy, zjawią się właśnie tu, na werandzie. Tymczasem proszę usiąść, a personel kuchni poda kawę oraz zimne napoje — powiedziała kobieta i znów zniknęła w głębi domu.

Guziałowie chętnie skorzystali z napojów, gdyż po mrozących krew w żyłach przeżyciach zaschło im w gardle. Strach opadł z nich jednak bardzo szybko. Dzieci świergotały szczęśliwie, że w tak niespodziewany sposób znalazły się w rezerwacie. Duszkciem wypity lodowatą lemoniadę i wisiały na barierce werandy nad szarym cielskiem pani nosorożec, która była zachwycona dotykiem ich małych łapek. Popijający kawę dorośli uprzejmię znosili towarzystwo oswojonego i dość bezczelnego ptaka. Ptaszysko wybierało kostki cukru z cukiernicy i porywało kawałki herbatników z talerzyka. Rocky także wkrótce uznał ich za swoich i obślinił Marii sukienkę, kładąc jej swój ciężki łeb na kolanach.

Wkrótce na parking zamasyście wjechało białe, terenowe auto marki Isuzu i wysiadła zeń oczekiwana właścicielka rezerwatu. Postawna, wysoka blondynka w średnim wieku energicznie trzasnęła drzwiami. Natychmiast podbiegła do niej samica nosorożca, a za nią przytruchtało małeństwo. Oboje zostali nagrodzeni drapaniem po czole. Na ramieniu pani Ali usiadł cukrożerny ptak, a do nóg dokuśtykał wierny Rocky, przywitanie z gośćmi nieco się więc odwlekło. Pani Ala miała ładne regularne rysy twarzy i piękne, fiołkowe oczy oraz uśmiech wzbudzający zaufanie, a poza tym okazała się uroczą rozmówczynią.

W czasie obiadu opowiedziała o drodze, którą podczas drugiej wojny światowej jako mała dziewczynka przebyła z okupowanej przez Sowieców części Polski do Kazachstanu. Udało jej się wraz z matką opuścić Związek Sowiecki dzięki pomocy armii generała Andersa, który oprócz wojska wyprowadził z tego zbrodniczego kraju także tysiące cywili. Najpierw zamieszkiwała w Rodezji, gdzie poznała swego przyszłego męża i założyła rodzinę. Loli Sussens był myśliwym, organizował safari dla bogatych ludzi przyjeżdżających do Afryki. Ma on na sumieniu, o czym świadczą liczne trofea, setki słoni, lwów, lampartów

i nosorożców, nie licząc oczywiście łagodnych przeżuwaczy. Rodezja po uzyskaniu statusu niepodległego państwa nie była bezpiecznym miejscem, więc rodzina Sussensów przeniosła się do RPA. Tu ogromnym nakładem pieniędzy, a także własnej pracy założyli z dorosłymi już dziećmi rezerwat przyrody. Teraz Loli nie strzela do zwierząt, ale się nimi opiekuje.

Mąż Ali Sussens był krępy, silnym mężczyzną o pomarszczonej od słońca, mocno opalanej twarzy i wesołym spojrzeniu niebywale jasnych oczu. Ubierał się po afrykanersku, czyli w bluzę, krótkie spodnie oraz kapelusz z rondem — wszystko w kolorze pustynnego piasku. Na nogach miał jasne, skórzane buty z wysoką cholewką. Wprowadził on na werandę grupę turystów, którą wraz ze współpracownikami obwoził po rezerwacie. Przez moment na werandzie zapanował niemożliwy wprost gwar i harmider. Loli jednak sprawnie usadził wycieczkę przy stolikach i zaraz pośpieszył przywitać się z gośćmi żony. Jakież było ich zdziwienie, gdy gospodarz z uśmiechem od ucha do ucha zawołał:

— Świnie! Świnie! Świnie!

Skonsternowani doktorostwo Guziałowie nie wiedzieli, czy należy poderwać się od rozpoczętego dopiero co obiadu i jak najszybciej wyprowadzić dzieci z miejsca, w którym są obrażani, czy też zostać ze względu na przemiłą panią Alę. Ta na szczęście, widząc ich niepewne spojrzenia, wyjaśniła, że mąż jest świeżo po wizycie w Polsce, gdzie dowcipna rodzina nauczyła go tego słowa, którym popisuje się przed jej rodakami.

Gdy obiad miał się ku końcowi i służba zaczęła sprzątać ze stołu, nagle w buszu pojawił się tuman pyłu, który szybko zmierzał w kierunku domu. Po chwili przed werandą z trudem wyhamowało stado guźców, czerwonych od pyłu wznieconego podczas biegu. Jak wytresowane przyklęknęły na ostatnim schodku werandy, gdzie podano im na tacy resztki zebrane z talerzy. Błyskawicznie zmiotły wszystko, ale nadal tkwiły w śmiesznym przyklęku. Okazało się, że jest to ich stały numer, a teraz oczekują jeszcze na porcję pieszczot od każdego z uczestników obiadu. Pani Ala dała przykład, drapiąc wyciągnięte, uzbrojone w wielkie kły ryje i łby. Dzieci nie trzeba było prosić, ochoczo drapały szorstką skórę przyjaznych guźców. Małgosia nie mogła się potem opędzić od samicy o imieniu Meggie, która ją sobie szczególnie upodobała.

Po obiedzie Loli zaprowadził Jacka i Małgosię do zagrody, gdzie stały dwa siedmiomiesięczne słońtka, ważące już po dziewięćset kilogramów każde. „Małeństwa”, znacznie przewyższające wzrostem gospodarza, ucieszyły się na jego widok jak małe pieski, zwłaszcza że przyszedł obładowany smakołykami. Dzieciaki karmiły słońtka i były w siódmym niebie, kiedy giętkie trąby dotykały ich włosów, uszu i ubrań.

Później właściciel zaproponował Guziałom popołudniowy objazd lwich rewirów. Marię i Bronka zaprosił do kabiny starej ciężarówki, a Jacka i Małgosię

posadził na platformie, obok uzbrojonego w sztucer młodego stażysty z londyńskiego zoo, który przyjechał odbyć praktykę w Tshukudu. W ostatniej chwili na pakę wskoczyło jeszcze dwóch małych, niemiłosiernie umorusanych, jasnowłosych i bosonogich chłopców. Byli to wnukowie Alicji i Loliego.

Ciężarówką z demobilu, pamiętającą jeszcze drugą wojnę światową, podjechali najpierw do starej, stuletniej dieslowskiej pompy i nabrali wody do cysterny, a następnie ruszyli w busz. Drogę przebiegały im skoczne springboki i impale. Ogromne gnu spoglądały obojętnie na samochód, z którego widokiem dobrze się już zapewne oswoiły. Dzieci zauważyły kilka zebra i wystające ponad zarośla szyje trzech żyraf.

Nagle Sussens zatrzymał samochód i wskazał na kępę krzewów. Wyszedł z niej majestatycznie wielki, grzywiasty lew, a zaraz za nim ukazały się trzy lwice. Loli wziął ryżową szczotkę na długim kiju i spokojnie zaczął szorować nią dno kamiennego koryta, w którym prawie nie było już wody. Lwy stały w odległości dziesięciu, może piętnastu metrów od niego i z uwagą śledziły każdy ruch szczoty. W pewnym momencie samiec pomrukując groźnie, spróbował zmniejszyć dzielący go od człowieka dystans. Loli przerwał robotę, popatrzył mu głęboko w oczy i pogroził palcem. Lew zatrzymał się i wydawszy ryk niezadowolenia, jak niepyszny wrócił do swoich żon.

Wtedy Loli stanął przy ogrodzeniu i zawołał:

— Simba! Simba! Chodź tutaj! — Po chwili z zarośli po drugiej stronie siatki wybiegł ogromny, piękny lew. Stał na tylnych łapach, a Sussens głaskał go po grzywie i drapał pod brodą. Zwierzę chwyciło ogromnymi kłami jego ręce, ale robiło to tak delikatnie, że nie pozostawiło nawet rysy na dłoniach człowieka.

— To nasz wychowanek. Razem z żoną wykarmiliśmy go butelką — wyjaśnił Loli. — Do niedawna mieszkał z nami w domu. On i Rocky pilnowali werandy. Zaczął być jednak uciążliwy, bo ważył już dobrze ponad sto kilogramów, a wciąż gramolił się nam na kolana i chciał się bawić. Szczególnie uwielbiał pływać w basenie i zniecka ścierać nam majtki. — Śmiał się, czochrając lwią grzywę.

Bliskość singlowego, młodego rywala i jego zażyłość z człowiekiem wywołały zazdrość i agresję dorosłego właściciela haremu. Dwóm starszym lwicom też udzielił się niepokój męża, biegały wzdłuż ogrodzenia, groźnie pomrukując. Trzecia, najmłodsza, skradała się w tym czasie w krzakach. Gdy więc Loli bawił się z pupilem, porwała mu szczotkę do czyszczenia koryt. Sussens śmiał się do rozpuku i groził psotnicy, lecz nie odważył się odebrać jej zdobyczy. Trzeba było wrócić do domu po nową szczotkę. Usiadł ponownie za kierownicą auta i wolno ruszył z miejsca. Wiedzione łowieckim instynktem lwice natychmiast wystartowały za uciekającym im samochodem. W tym momencie na pace ciężarówki rozległ się tak przerażający pisk Jacka i Małgosi, że zwierzęta

wyhamowały prawie w miejscu, wystraszone zawróciły i zniknęły w zaroślach.

Maria omal nie zemdląca z obawy o dzieci, Broniek minę miał co najmniej niewyraźną, a Loli, jego wnuki i praktykant Filip pokładali się ze śmiechu. Kiedy jednak Sussens z nową szczotą i racją wody wszedł na teren lwicy, która niedawno urodziła młode, zachował całkowitą powagę i daleko posuniętą ostrożność. On nalewał wodę do poidła, a Filip nie spuszczał wzroku z samicy, trzymając w ręku gotowy do strzału, odbezpieczony sztucer. Trudno powiedzieć, czy była to dobra asekuracja, bo Filip robił wrażenie człowieka niezwykle powolnego, żeby nie powiedzieć, ospałego. Wyznał w dodatku, że nigdy w życiu nie mógłby strzelić do lwiej matki w obecności jej dziecka. Sądził jednak, że wystarczyłby sam huk wystrzału, żeby przestraszyć zwierzę.

Jacek i Małgosia wrócili do Mapulanengu pełni wrażeń. Mimo dość późnej godziny chcieli podzielić się nimi z Łukaszem, ale w domu superintendenta nie było nikogo. W ogóle domy polskich lekarzy były opustoszałe, a z części parku zamieszkanego przez czarny personel dobiegał śpiew.

— Ojej! Z tego wszystkiego zapomniałem na śmierć, że dzisiaj wszyscy żegnają rodzinę zmarłego Shabalundy i witają nowego administratora — powiedział Broniek.

— Kto umarł? Jak to żegnają? — dopytywał się zdenerwowany Jacek, słusznie przeczuwając, że chodzi o nieszczęście w rodzinie Roberta i Chrisa. Jacek i Małgosia nie wiedzieli, że otyły administrator, ojciec ich kolegów, dostał rozległego zawału serca i niestety, mimo usilnych starań lekarzy, nie zdołano go uratować.

Guziałowie pośpieszyli na „czarną” stronę Mapulanengu. Wspaniały chóralny śpiew zaprowadził ich przed dom administratora, gdzie stały dwie ciężarówka. Jedna była załadowana do granic możliwości, zapewne dobytkiem wdowy i jej szóстки dzieci, bo Robert i Chris mieli jeszcze czworo rodzeństwa. Z drugiej strony ganku parkowało opróżnione już auto, które przywiozło niewiele rzeczy nowego administratora, człowieka samotnego. Jacek i Małgosia zdążyli jeszcze uściskać się na pożegnanie z Robertem i Chrisem, którzy na widok Marii na chwilę się rozpogodzili i ze smutnymi buziami wyrecytowali swoje role z jasełek. Potem wsiedli z matką i rodzeństwem do minivana i odjechali. Za nimi wolniutko ruszyła ciężarówka, niebezpiecznie przechylając się na nierównej nawierzchni szpitalnej drogi.

Wtedy zgromadzony wokół dużego domu personel szpitala zaintonował znacznie weselszą pieśń i ruszył w tan, klaszcząc w ręce. Był to już hymn przeznaczony dla ich nowego szefa. Czarni śpiewacy posługiwali się językiem sotho, więc nikt z białych nie rozumiał, co śpiewają. Ciekawe jednak, że wszyscy, z wyjątkiem Małgosi, chowali usta w kułak, by nie parsknąć śmiechem. Słowa refrenu, które wyspiewywali swoimi niskimi głosami mężczyźni, brzmiały bowiem

dziwnie swojsko i doskonale pasowały do sytuacji, w której samotny facet miał zamieszkać w dziesięciopokojowym, służbowym domu, jaki należał mu się na tym stanowisku. Otóż do uszu Polaków docierały wielokrotnie powtarzane dźwięki: „Na chuj mu chata, na chuj mu chata”. Maria także z trudem opanowała wesołość. Spojrzała na syna i przybrała surowy wyraz twarzy. Jej grzeczny, dobrze wychowany Jacuś stał obok Łukasza i obaj zwijali się ze śmiechu. „Dziecko dojrzewa” — pomyślała sobie.

ROZDZIAŁ 26

Pierwszy semestr nauki Jacka i Małgosi w Middelburgu nareszcie zleciał. Dzieci przyjeżdżały na dłużej do domu i Maria nie posiadała się z radości. Uparła się, że tym razem zabiera się razem z Bronkiem i nie ma żadnej dyskusji. Mąż jak zwykle chciał jechać najpierw do Johannesburga, więc zniechęcał ją opowieściami o problemach Adama. Nie chciała tego słuchać. Podniosła słuchawkę i ku swojej wielkiej radości pomyślnie przebrnęła przez trudy zamawiania zewnętrznej rozmowy na centralce. Adam był zachwycony perspektywą jej przyjazdu. Z Melanią już się nie spotykał i znów nawiązał kontakt z Marzenką.

— Jasne, przyjeżdż. Zrobimy imprezę, to Marzena na pewno też wpadnie, bo cię polubiła. — mówił rozentuzjasmowany. Marii niespecjalnie zależało na imprezowaniu z Marzenką, więc zasugerowała:

— A może by tak spokojnie spędzić razem wieczór, a rano, jak Broniek pójdzie do szpitala, to Marzenka pokazałaby mi miasto?

— Broniek do szpitala? A po co? — zdziwił się Adam. — A no tak, tak. Niech lepiej idzie do tego szpitala i się przebada — dodał po chwili, wprawiając Marię w coraz większe zdumienie i zaniepokojenie.

— To jemu coś dolega?! Mówił mi tylko, że stara się o pracę w Strydom. — Maria poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić ze zdenerwowania.

— A nie. To znaczy tak. Ale w ramach tych starań powinien się chyba przebadać. — Adam zorientował się, że ciągnąc tę rozmowę, może niechcący wsypać łgającego żonie kumpla, więc zastosował unik. — Wiesz, jestem strasznie zajęty i głowę też mam teraz zajęta pacjentami, to może gadam bez sensu. Jak się spotkamy, to pogadamy. A teraz muszę już kończyć.

Maria dzwoniła na numer domowy Adama, więc raczej nie oderwała go od pacjentów. Rozmowa wydała się jej dziwna. Nie wiedziała tylko, czy kręci jej mąż, czy raczej Adam. Postanowiła więc, że pojedzie do Johannesburga, choćby miała ucześcić się zderzaka samochodu. Kiedy oznajmiła to mężowi, nagle okazało się, że Broniek nie może wcześniej wyrwać się z Mapulanengu, musi więc zrezygnować z odwiedzin u Adama.

— Marysiu, jeśli chcesz się tak męczyć, możesz ze mną jechać. Ale pomyśl, czy to ma sens. Będziemy musieli zrobić prawie sześćset kilometrów i wrócimy w środku nocy. Lepiej będzie, jak zostaniesz w domu i naszykujesz nam dobrą kolację.

— Pojadę z tobą, żeby chociaż na autostradzie zmienić cię za kółkiem. Nie możesz sam prowadzić tyle godzin, to niebezpieczne. Nie dyskutujmy już więcej na ten temat — odrzekła Maria i sama zdziwiła się swoją stanowczością.

Jechali już od jakichś dwóch godzin, ale rozmowa między nimi się nie kleiła.

Bronek był wyraźnie poirytowany, a Maria ze smutkiem i niepokojem analizowała każde słowo z jego niezbyt przyjemnych wypowiedzi poprzedzających wyjazd. W jej głowie powstawały najróżniejsze koncepcje. Między innymi taka, że mąż wciągnął się w okraszone paleniem skrętów balangi Adama. Dla niepoznaki krytykuje takie wątpliwe metody relaksowania się i niwelowania stresu, ale sam się powoli uzależnia. „A Adam to już w ogóle robi wrażenie, delikatnie mówiąc, wyalienowanego” — myślała. Ostatnia rozmowa najlepiej o tym świadczyła. Szkoda go i jego zdolności. „Bronek nie może żyć tak jak Adam, bo odpowiada nie tylko za siebie, ma rodzinę. Powinam trzymać go z dala od Johannesburga, a już na pewno nie puszczać go tam samego” — utwierdzała się w słuszności podjętej decyzji.

Słońce zaszło jakiś czas temu, ale księżyc jeszcze nie wschodził. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

— Późno już. O której my tam zajedziemy? — martwiła się Maria.

— To wszystko dlatego, że uparłaś się ze mną jechać — warknęła Bronek.

— A w jaki sposób ja opóźniłam twój wyjazd? Przyszedłeś ze szpitala i wszystko było gotowe — obruszyła się. — Powinieneś przycisnąć Nogala, żeby jednak dał ci wolny ten piątek.

— Będzie mi potrzebne wolne jeszcze w tym miesiącu na Johannesburg.

— Po co znów tam jedziesz? Adam w ogóle nie wie... — zaczęła, ale mąż nie dał jej skończyć.

— Nie mówmy już o tym! Muszę jeździć i kropka! — Bronek podniósł głos, mocniej chwycił za kierownicę i wcisnął gaz, choć droga w tym miejscu nie nadawała się do bardzo szybkiej jazdy.

Był zmęczony i wściekły na siebie, Adama i żonę. A teraz w dodatku odczuwał ogromne parcie na mocz. Niepotrzebnie wyłopał prawie cały termos kawy, który Maria uparła się wziąć na drogę. Mówił jej, żeby nic nie brała, ale ona ma jeszcze te nawyki z komuny, że prowiant zawsze trzeba ciągnąć ze sobą. Gdyby tej kawy nie wzięła, to by jej nie pił. A tak żłopał, bo oczy mu się zamykały.

Nie sypiał ostatnio dobrze. Kto zresztą na jego miejscu spałby jak suseł? Chyba tylko jakaś kompletna kanalia, której wisi los rodziny. Z forszą się nie wyrabiał, a wydatki wciąż rosły. Ale kasa to jeszcze pestka, tu wszyscy na kredytach lecą. Zmieni pracę, zrobi specjalizację, za parę lat wszystko się jakoś ustabilizuje. Tylko co począć z tą koszmarną historią, w którą wplątał się przez swoją głupotę. Nancy już trzeci raz zmieniała mieszkanie. U tego policjanta wcale nie było jej tak słodko. Czowała się tam dość bezpiecznie, ale nie miała w ogóle czasu dla własnego dziecka. Mały ładnie się rozwija, a ona, mimo tak młodego wieku, jest chyba dobrą matką. Bronek chciał jej w miarę możliwości pomagać, więc jeździł, rozmawiał, uspokajał i płacił, ile było trzeba. Czasami jednak miał wrażenie, że dziewczyna wymyśla różne problemy po to, żeby się z nim widzieć.

— Nie wytrzymam, muszę zatrzymać samochód — powiedział nagle.
— Tak mnie napoiłaś tą kawą, że zaraz mi pęknie pęcherz.

— To się zatrzymaj. W czym problem? — Maria też była poirytowana obwinianiem jej o wszystko. Nawet o to, że chce mu się łać. — Szkoda, że nie ma tu żadnej stacji benzynowej, bo i ja bym skorzystała.

— Ale nie ma gdzie się zatrzymać. Same zakręty i brak pobocza. Stanę na jezdni, to jeszcze ktoś w nas wjedzie — odparł zniecierpliwiony.

Faktycznie droga od dłuższego czasu pięła się w górę albo opadała gwałtownie w dół i wiła się jak wąż. Zaraz za asfaltową jezdnią wyrastały wysokie skały lub czarną pustką ziała przepaść. Jechali bardzo powoli, wypatrując choć kawałka w miarę bezpiecznego miejsca na krótkotrwały postój, a zmrok dosłownie z minuty na minutę pożerał coraz więcej krajobrazu.

— A pieprzę to! — wykrzyknął zdesperowany Broniek. Z piskiem hamulców zatrzymał się tuż przy skalnej ścianie i wyskoczył z samochodu, nie zamknąwszy nawet dokładnie drzwi. Maria flegmatycznie wysunęła z auta najpierw jedną, potem drugą nogę, a w końcu zdecydowała się stanąć między skałą a samochodem. Nie miała jednak tyle tupetu, by opuścić w dół legginsy oraz majtki i załatwić się, kucając prawie na jezdni. Przecież w każdej chwili mógł ktoś nadjechać i oświetlić ją reflektorami. Słyszała za sobą charakterystyczny szum strużki moczu lecącej po suchej trawie i zazdrościła mężowi oraz mężczyznom w ogóle.

— Tobie to dobrze. Wypiłeś chyba cysternę, a nie tylko te pół litra kawy z termosu — powiedziała, starając się rozładować coraz cięższą atmosferę, jaka panowała między nimi od początku podróży, mąż jednak nic nie odpowiedział. W tym momencie zza zakrętu wyłoniły się trzy samochody. Jechały w przeciwną stronę, to jest do Nelspruit. Potem droga znów opustoszała. Lżejszy już nieco i mniej nerwowo Broniek usiadł ponownie za kierownicą. Wyłączył światła awaryjne i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik jednak nie zareagował.

— Jezus Maria! Tylko tego jeszcze brakowało! — zawołał, próbując wciąż odpalić auto. — Nie dziś i nie teraz. Boże, zlituj się! — lamentował.

— Co będzie, jak nie dojedziemy? Co z dziećmi? — dopytywała Maria.

— Nie mam pojęcia. Nic nie możemy zrobić. Chyba tylko się modlić i czekać na pomoc.

— Ja usiądę za kierownicę, a ty mnie popchniesz — zaproponowała naiwnie.

— Kobieto! To jest automat, skomplikowana maszyna pełna elektroniki, a nie poczciwy „maluch” — kpił. — Nie można go nawet holować, tylko trzeba wieźć na lawecie. On już mi się coś nie podobał rano, jak zapalał — wyznał.

— To co teraz? Najgorzej z dziećmi. Żeby można było jakoś zawiadomić internat — kombinowała.

— Nikt ich stamtąd nie wyrzuci. Wychowawcy muszą zająć się dziećmi. Ale co z nami? — Odważny na ogół Broniek czuł się bardzo niepewnie i Maria to

zauważyła.

— Będziemy zatrzymywać samochody jadące w obydwie strony, może ktoś się ulituje i sprowadzi pomoc drogową.

— Widzisz, jaki tu słaby ruch? Z każdą chwilą jest coraz mniejszy. Nie wiadomo, kogo zatrzymasz. Trafisz na czarnych i mogą nas... No wiesz?

— Módl się, żeby jak najszybciej ktoś nadjechał, czarny czy biały. Nie sądzę, żeby ktoś połasczył się na nasze życie i stare, niesprawne auto.

— Uwierz mi, że na samochód, nawet zepsuty, i te parę rzeczy, które mamy przy sobie, byłoby sporo chętnych. Dla wielu czarnych jesteśmy bogaczami.

Siedzieli więc w ciszy i w wielkim napięciu. Broniek patrzył do przodu, a Maria przyklękła na tylnym siedzeniu i obserwowała drogę za samochodem. Mijały minuty, które wlekły się jak godziny. W końcu minęła godzina jedna i druga. Owszem, przejechało w obie strony kilkanaście, a może nawet więcej aut, ale żadne nie zatrzymało się na widok wyskakującego gwałtownie na drogę Bronka. Niektóre jeszcze przyspieszały, włączając klakson.

— Teraz ja spróbuję — powiedziała Maria. — Nie będę wyskakiwać z auta, tylko przy nim stać, żeby kierowca miał szansę oswoić się z widokiem potrzebującej pomocy kobiety. Przyszykuj sobie lewarek, żebyś mógł w razie czego przyjść mi z pomocą. — Uśmiechnęła się do męża i wyszła na zewnątrz w zimny, nieprzyjemny mrok.

Broniek naprawdę otworzył bagażnik i wyciągnął lewarek. Nie bardzo wiedział, po co to robi, bo w razie prawdziwego zagrożenia nie na wiele przydałby mu się ten oręż. Gdyby zaatakowało ich kilku Murzynów, a właściwie nawet jeden z bronią palną, nie mieliby szans. Chciał opuścić szybę, żeby mieć ze stojącą przed maską samochodu żoną lepszy kontakt, ale elektryczne silniczki też nie działały. Popatrzył na Marię, która tego dnia ubrana była w czarne legginsy i amarantową obcisłą bluzę, eksponującą wszystkie walory jej sylwetki. Na tle czarnej, skalnej ściany była teraz prawie niewidoczna, ale każdy nadjeżdżający samochód oświetliłby ją znakomicie, a kierowca mógłby odnieść mylne wrażenie, że jest przez tę kobietę, która opierając się o skałę, przybrała prawie że erotyczną pozę, kuszony. Uchylił więc drzwi auta i zawołał:

— Wracaj zaraz do środka, bo napytasz nam jeszcze biedy. Żaden czarnuch nie przejedzie obok takiego ciała obojętnie. A jak cię dotknie, będę musiał go zadusić własnymi rękami.

— W takim razie niczego już się nie boję. Przy tobie w ogóle niczego ani nikogo się nie boję — odparła kokieteryjnie i natychmiast poweselała.

Te słowa uspokoiły ją i pozwoliły myśleć, że cały ten konflikt z mężem pewnie sama sobie wymyśliła. „Przecież Broniek wciąż mnie kocha, dba o mnie. Ma ciężką i odpowiedzialną pracę. Miota się, żeby nasza przyszłość była lepsza, a ja nudzę się, histeryzuję i...” Nie dokończyła myśli, bo zza zakrętu wyłonił się

snop światła. Nie musiała nawet wyskakiwać na jezdnię i machać rękami. Zdezelowany bus ominął datsuna i zatrzymał się tuż za nią.

— Co się stało? — zapytał blond dryblas, wychodząc z auta. Facet wyglądał bardzo oryginalnie. Miał około dwóch metrów wzrostu, chudą, pochyloną nieco do przodu sylwetkę, jego czerwoną twarz porastał rudy, kilkudniowy zarost, a na ramiona spływały długie, proste, jasne włosy. Choć na dworze panował przejmujący chłód i samochodowy termometr wskazywał tylko trzy stopnie powyżej zera, człowiek ten był na bosaka. Jego ubranie stanowiły jedynie krótkie spodenki i powyciągany, brudnawy podkoszulek na ramiączkach. Nie dygotał z zimna, a raczej niedawno było mu chyba bardzo ciepło, gdyż Maria poczuła ciągnący się za nim zapaszek potu.

Nawet nie próbowała odpowiadać na zadane przez olbrzyma pytanie, bo Broniek zaraz wyskoczył z auta i przejął inicjatywę. Z prowadzonej po angielsku rozmowy wywnioskowała, że właściciel busa mieszka tu niedaleko. Chętnie zająłby się zorganizowaniem pomocy, lecz w tej chwili bardzo się śpieszy do domu. Dostał bowiem wiadomość, że podczas jego nieobecności żona powiła mu ósme dziecko. Proponuje więc nocleg u siebie w domu, a raniem postara się pomóc we wszystkim.

Człowiek ten niewątpliwie był Burem. Jego angielszczyzna brzmiała twardo i warczała wyrazistym „r”. Wypowiedział w sumie niewiele zdań, ale w każdym zawarł jakieś odniesienie do Boga. Broniek wahał się, czy przyjąć ofiarowaną tak spontanicznie gościnę, bo nocni goście to przecież kłopot dla gospodyni, będącej w dodatku w połogu.

— *No problem* — zapewniał go ze szczerym uśmiechem olbrzymi blondas. — Ja i moja rodzina będziemy bardzo szczęśliwi i wdzięczni, że mamy możliwość spełnienia dobrego uczynku, który zapewne nie pozostanie bez nagrody w niebie.

Bur wyglądał dość ekscentrycznie i mówił jak nawiedzony, lecz na pewno nie był złodziejem ani bandytą. Po krótkiej naradzie Maria i Broniek zabrali z bagażnika datsuna swoje manatki i usiedli na niesamowicie wprost brudnych siedzeniach busa. Domostwo bosonogiego dobroczyńcy nawet w nocy nie wyglądało schludnie. Wokół niedużego domu i na małym ganeczku wałało się mnóstwo różnych rzeczy. Jakieś stare krzesła, skrzynki, szafki i plastikowe wiaderka. Przez ciasną sień weszli do dużego pomieszczenia, które było kuchnią i salonem jednocześnie. Panował w nim trudny do opisanego bałagan. Gospodarz zaproponował gościom coś do jedzenia, ale grzecznie podziękowali, kłamiąc, że zjedli w samochodzie naszykowane na drogę kanapki. Bur poprowadził ich więc do wąskiego i pełnego drzwi korytarza. Jedne z nich były otwarte. W pokoju paliło się mdłe światelko. Leżąca tam kobieta ściszone głosem przywołała męża. Dał znać gościom, by zaczekali chwilę, i wszedł do pokoiku. Słyszeli dobiegające stamtąd okrzyki radości i głośne cmoknięcia. Z modulacji głosu można się było domyślić,

że powitanie jest pełne radości i czułości. Nie rozumieli jednak ani słowa, bo dialog odbywał się w afrikaans. Po chwili Bur znów pojawił się przed Marią i Bronkiem.

— Jesteście małżeństwem? — zapytał znienacka.

— Oczywiście — zapewnili równocześnie. Burowi nie były potrzebne żadne dokumenty. Wystarczyło ich zapewnienie, żeby nie musiał brać na swoje sumienie ich ewentualnego grzechu.

Broniek, korzystając z łaskawości gospodarza, próbował dodzwonić się do szkoły, ale nikt nie podnosił słuchawki. Guziałowie spędzili noc w małym pokoiku pełnym jakichś kartonowych pudeł. Nie rozbierając się, położyli się na wąskich i twardych łóżkach i przykryli szarymi, niemiłymi kocami. Mimo wielkiego zmęczenia sen nie przychodził, za dużo się wydarzyło. Maria myślała o tym, jakim koszmarem dla dzieci musi być ta noc. Na pewno boją się, że rodzice mieli wypadek. „A gdybyśmy naprawdę oboje zginęli?” — pomyślała i dreszcze przebiegły jej po całym ciele. Co by się wtedy stało z ich dziećmi? Wyobrażenie takiej sytuacji spowodowało nagłe przyspieszenie tętna i kompletnie wybiło ją ze snu.

Broniek natomiast łamał sobie głowę, co nawaliło w samochodzie. Jeśli usterka okaże się poważna, znów trzeba będzie zwiększyć debet na koncie. Z pieniędzmi naprawdę zrobiło się krucho. Ale może dobry Bóg, który przysłał im z pomocą tego dziwnego człowieka, sprawi także, że awaria będzie błaha. Po tej krzepiącej myśli Broniek obrócił się jeszcze tylko raz na niewygodnym łóżku i zasnął.

W gościnnym domostwie bogobojnego Bura już o świcie zapanował wielki ruch. Głośno płakało jakieś kilkuletnie dziecko, kwilił osesek, słychać było tubalny głos gospodarza i przyciszony, bardzo przyjemny jego żony. Broniek pierwszy wyszedł z pokoju, a Maria nieśmiało za nim. Pani domu z małżeństwem na rękę wskazała im toaletę i zaprosiła potem do ogromnego stołu, przy którym siedziała już gromadka dzieci. Maria podziwiała zręczność, z jaką ogromny Bur pomagał ubierać młodsze pociechy oraz szykował im jedzenie. Gdy wszystko było gotowe, wstał i dał znak do modlitwy.

Z prawdziwą przyjemnością Guziałowie napili się aromatycznej kawy i zjedli po kanapce z masłem orzechowym. Bur obiecał Bronkowi, że zaraz po śniadaniu pojedzie z nim na stację benzynową, gdzie jego krewniak prowadzi warsztat samochodowy. Broniek chciał zapłacić za śniadanie i nocleg, ale gospodarz zaprotestował.

— Jeśli wziąłbym pieniądze za gościnę i przysługę, byłbym pozbawiony zasługi w niebie — odparł Bur. — Ale możesz kupić benzynę do samochodu, którym rozwiózę paczki do wielu biednych rodzin.

Następny bosonogi blond olbrzym powitał ich szerokim uśmiechem na stacji benzynowej. Był bardzo podobny do dobroczyńcy Guziałów, choć nieco grubszy

i nieobdarzony tak anielskimi włosami. Wypytał Bronka o problemy z samochodem, wziął ze sobą skrzynkę z narzędziami oraz kable ze szczękami do podłączenia swojego akumulatora. Zamknął kantorek i poprosił, żeby Maria i Bronek wsiedli do jego pikapa. Po kilkunastu minutach byli już przy datsunie, który na szczęście nie stał się ofiarą nocnego rabunku. Miał koła, radio i wszystkie inne części na swoim miejscu. Bronek otworzył maskę, a Bur połączył przewodami oba samochody. Silnik datsuna zaskoczył bez problemu. Okazało się, że awarii uległ tylko alternator.

Nie gasząc już silnika, dojechali do Middelburga. Załadowali dzieciaki, które czekały na nich na placu zabaw. Nie wyglądały wcale na tak bardzo wystraszone, jak przypuszczała Maria. Ich manatki, łącznie z pościelą, leżały na trawie w pobliżu skrzydła internatu, w którym znajdowało się służbowe mieszkanie jednego z wychowawców. Bronek próbował dostać się do budynku szkoły i do internatu, by wyjaśnić i usprawiedliwić swoje spóźnienie, lecz wszystkie drzwi były zamknięte na głucho.

— Tato, jedźmy już, bo jesteśmy strasznie głodni — powiedziała Małgosia.
— Ten pan, na którego ganku spaliśmy, wyjechał jakąś godzinę temu i nie dał nam żadnego śniadania.

Maria i Bronek oniemieli. Dzieci przepytane dokładnie, w jaki sposób spędziły noc, opowiedziały, że spały na leżakach pod gołym niebem, owinięte w swoje kołdry, gdyż w piątek po kolacji zamknięto internat i wszyscy się rozjechali. Maria i Bronek byli wstrząśnięci.

— Trzeba zaskarżyć dyrekcję! — krzyczała Maria.

— W Polsce na pewno bym tak zrobił, ale tu nie mam pewności, czy wygram, a nie stać mnie na przegranie sprawy — powiedział z rezygnacją Bronek.

— Nie było tak źle — pocieszał ich syn. — Nie baliśmy się, spał z nami na ganku Ruffy, pies nauczyciela. Pokazywałem Małgosi najważniejsze konstelacje, bo niebo było bardzo rozgwieżdżone, a powietrze wyjątkowo czyste — dodał z dumą mały astronom amator.

— A nie zmarzliście? Tutaj noce są teraz bardzo zimne — dopytywała Maria, a lzy już same kapały jej po policzkach.

— Przytuliliśmy się do siebie i Ruffy grzał. A w przyszłym semestrze mamy z klasą jechać na wycieczkę i tam też będziemy spać pod gołym niebem — poinformował Jacek.

— Nie puszczę was już więcej do tej szkoły — zdecydowała Maria.

— Ale mamo, tu naprawdę dobrze uczą. Ja nareszcie zacząłem rozmawiać z kolegami — przekonywał Jacek.

— Marysiu, proszę cię — powiedział Bronek, ściskając porozumiewawczo dłoń żony. — Nad wszystkim trzeba się spokojnie zastanowić. To mówicie, dzieciaki, że przeżyliście ciekawą przygodę. A my też mieliśmy przygodę

i spotkaliśmy wyjątkowo dobrych ludzi. Ten nauczyciel też pewnie nie jest zły, tylko tu się inaczej wychowuje dzieci. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło — stwierdził, uśmiechając się sztucznie do dzieci. Maria nie mogła uwierzyć, że mówi to jej własny mąż.

ROZDZIAŁ 27

— Małgosia już tam więcej nie pojedzie — zdecydowała Maria. Broniek próbował coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu. — Posłaliśmy ją wcześniej do szkoły, choć nie skończyła jeszcze siedmiu lat, bo szkółka w Iniace wydawała się rajem. Nikt mnie jednak nie zmusi, żebym znów oddała moją małą dziewczynkę do tak nieczułych ludzi. Dobrze, że skończyło się na katarze. Już ja im nagadam, jak tam pojedę.

Ale nie pojechała. Broniek po dwóch tygodniach wakacji sam odwiózł syna do Middelburga. Jacek, jako dzielny i bardzo roztropny chłopiec, nie chciał siedzieć w domu i się nad sobą rozczulać. Bał się, że straci rok. Teraz, gdy nareszcie zaczynał radzić sobie z angielskim, mógł pokazać, że jest zdolny, odcytany, a z matematyki, dzięki dobremu poziomowi, jaki był w polskiej szkole, dużo bardziej zaawansowany niż afrykanerscy koledzy. Nauczyciele już go ostrożnie zaczęli chwalić i zauważali, że zrobił duże postępy. To wszystko mile łechtało ego chłopaka, prosił więc ojca, żeby ten w rozmowie z dyrektorem w ogóle nie poruszał tematu nocy spędzonej na werandzie u wychowawcy. Ale Broniek się uparł i zapytał dyrektora, czy właśnie tak najlepsza ze szkół w Transwalu opiekuje się dziećmi imigrantów.

Zdumiony dyrektor wezwał do siebie wychowawcę męskiego internatu, który miał się zająć Jackiem i Małgosią do czasu przyjazdu rodziców, i zapytał, jak może wytłumaczyć te dziwne zeznania dzieci. Facet, patrząc pryncypałowi w oczy, powiedział, że zaprosił dzieciaki do siebie, lecz one odmówiły.

— Dziewczynka powiedziała, że matka nie pozwala im nocować u obcych. A Jacek wyjaśnił, że ich mama obawia się pedofilów, których podobno wyjątkowo dużo jest w naszym kraju. Na własne życzenie zostali na werandzie. — Rozzłoszczony dyrektor spojrzał pytająco na zbitego z tropu doktora Guziała.

— To niemożliwe! Moja żona nie mogła mówić takich rzeczy — próbował zaprzeczać Broniek, ale nie wypadło to przekonująco. Nie podlegało jednak dyskusji, że wychowawca nie miał prawa obrażać się na dzieci i pozostawić je na dworze i w tej kwestii dyrektor zgodził się z rodzicem.

Zbulwersowany Broniek wprost z Middelburga podążył do J.G. Strydom Hospital. Był bardzo zdeterminowany, żeby załatwić tam jakikolwiek etat. Chciał jak najszybciej zamieszkać w Johannesburgu, by żadne z jego dzieci nie musiało przebywać w internacie. Miał szczęście, gdyż superintendent akurat się dowiedział, że jeden z lekarzy pracujących w izbie przyjęć za miesiąc opuszcza RPA i będzie wakat w bardzo newralgicznym dla szpitala miejscu. Broniek złożył więc natychmiast aplikację i odbył wstępną rozmowę, która wypadła bardzo pomyślnie. Chociaż nie był to jeszcze jego wymarzony etat *registrara*, wrócił do Mapulanengu

jak na skrzydłach.

Po dwóch tygodniach uniwersytecki szpital potwierdził już oficjalnie chęć zatrudnienia doktora Guziała, zatem Broniek położył na biurku Nogała wymówienie i zaczęły się przygotowania do przeprowadzki. Guziałowie nie mieli jeszcze zbyt wiele własnego dobytku, więc i pakowania było niewiele. Część rzeczy wysłali pocztą na adres Adama, a resztę zmieścili w pakownym datsunie. Wyprawili pożegnalnego braaia, na którego Nogał, obrażony na Bronka za niespodziewane odejście, wcale nie przyszedł. Jego połowica już dzień wcześniej, stojąc przy granicznej, dziurawej siatce, wykrzykiwała do Marii:

— Jeszcze będziecie żałować i Bronkowi należy się w dupę wody w tym uniwersyteckim szpitalu — mówiła, zaciągając się nerwowo papierosem. — Mój mąż jakby chciał, to już dawno mógłby pracować nie tylko w takim Strydom, ale w dużo, dużo lepszym szpitalu. Tylko że on chce rodakom pomagać, ale niektórzy nie są tego warci.

— Ale przecież Broniek nie porzuca pracy, odchodzi po dwutygodniowym okresie wymówienia, zgodnie z umową — broniła swojego męża Maria.

— Tu nie chodzi o jakieś tam papiery, tylko o ludzką przyzwoitość — ciągnęła superintendentowa. — Jak się złapało etat, to trzeba było poszukać na swoje miejsce kogoś innego. No, ale co ja tam będę sobie język strzępiła, takie rzeczy rozumieją ludzie kulturalni, a nie tacy, co z czarną małpą przy jednym stole siedzą i kawkę popijają. Dobrze, że to się już skończy, bo przecież takie widoki demoralizują inne służące. W głowach im się poprzewraca.

Maria nic już nie odpowiedziała, gdyż uznała, że takie pyskówki przy płocie są żenujące. Jednak gdy przyszło do pożegnania z Beauty, robiła to szczególnie wylewnie i celowo na widoku, żeby te „demoralizujące” sceny ściskania się, całowania i autentycznego płaczu całej jej rodziny i przemilej *maid* na długo pozostały w pamięci społeczności Mapulanengu.

Znalezienie i wynajęcie odpowiedniego mieszkania w Johannesburgu okazało się dziecinnie proste. W położonej tuż przy szpitalu agencji nieruchomości wybrali jednopiętrowy szeregowiec z niewielkim tarasem i trzema sypialniami oraz dwiema łazienkami. Na dole był przestronny salon, umeblowana kuchnia, toaleta oraz niewielki gabinet. Marii bardzo podobała się nazwa dzielnicy — Florida Hills. Do salonu Guziałowie wstawili plastikowe, ogrodowe meble, do sypialni zakupili na razie same materace, a kartonowe pudła znów posłużyły za podręczne szafki. Wnętkowe szafy na ubrania znajdowały się w każdej sypialni i w holu. W ciągu jednego dnia załatwili wszystko, łącznie z podłączeniem telefonu.

Maria nie mogła wyjść z podziwu, jak piękna jest ich dzielnica. Zadbane domy stały w malowniczym otoczeniu rudych skał. Był wrzesień, więc zaczynała się wiosna. Powietrze w Johannesburgu było rześkie, dużo chłodniejsze niż w Mapulanengu, ale drzewa i krzewy kwitły tu równie pięknie. Znów zaczynało się

fioletowe szaleństwo jacarandy. Maria i Małgosia z wielką przyjemnością spacerowały po pustych zazwyczaj ulicach. Była to dzielnica białych, którzy rankiem wyjeżdżali swoimi samochodami do pracy, a wracali wieczorem. Jeśli nawet ktoś pozostawał w domu, to też nie włóczył się pieszo po ulicach. Pieszochodzili tu tylko nieliczni czarni — służba domowa, sprzątacze ulic i tym podobni. Wijącymi się wśród wzgórz ulicami matka i córka dochodziły do oddalonej o jakieś dwa kilometry od ich domu autostrady. Odpoczywały w jej pobliżu na wygrzanych w słońcu gładkach. Często w tym miejscu przybiegał do nich bardzo przyjacielski niewielki, pręgowany pies rasy amstaff.

— Mamo, weźmy go sobie — prosiła córka. — Tak bym chciała mieć psa.

— Ja też bym chciała, ale w naszym wynajętym mieszkaniu nie wolno trzymać zwierząt. Zresztą ten piesek na pewno ma właściciela, jest bardzo zadbany. I ma obrozę. Tu nie ma bezdomnych psów — tłumaczyła matka.

— Tak bym chciała, żeby Jacek wrócił już do domu. Przykrzy mi się bez niego. W Mapulanengu było lepiej, miałam dużo przyjaciół, a tu zupełnie nie mam z kim się bawić — narzekała dziewczynka, której przeprowadzka do miasta była nie w smak.

Małgosia, której rodzice chcieli zaoszczędzić dalszego przebywania w internacie, nudziła się bez szkoły i bez brata. Jacek mimo wszystko chciał do końca roku szkolnego pozostać w Middelburgu, bo zależało mu na dobrym świadectwie i na ukończeniu kursu językowego dla imigrantów. Przyjeżdżał teraz we wszystkie weekendy, ale w ciągu całego tygodnia Małgosia zdana była tylko na towarzystwo matki. Maria po pierwszych intensywnych dniach urządzania nowej siedziby oraz zachwytów nad dzielnicą też poczuła tęsknotę za Mapulanengiem. Bronek zostawał długo w pracy. Tłumaczył, że musi się szybko wciągnąć w nowe obowiązki i zapunktować u przełożonych. Maria nie miała pretensji do męża, miała pretensje do siebie, że nie jest dla niego pełnowartościowym partnerem, że zbija bąki w domu, bo nie nadaje się do żadnej pracy.

Adam, rozmawiając z nią któregoś dnia przez telefon, wyczuł jej nie najlepszy stan psychiczny i zaproponował spędzenie wesołego, sobotniego wieczoru w gronie jego przyjaciół. Mimo wielu zastrzeżeń Maria miała ochotę tam pójść, choćby po to, by poobserwować zachowanie swojego męża. Należało tylko rozwiązać dwa problemy. Pierwszy, jak dostać się do Sandtonu i wrócić do domu, gdyż datsun na weekend musiał znów być oddany do mechanika. W Johannesburgu nie istniał żaden bezpieczny transport miejski, z którego można by skorzystać nocą. Drugim problemem były dzieci. Nie mieli ich z kim zostawić, a obecność młodocianych na imprezie u Adama była wykluczona.

— Ja zaopiekuję się Małgosią, mam już skończone jedenaście lat — powiedział poważnie Jacek. — Przecież tu nam nic nie grozi, za ścianą z obu stron są ludzie. Jakby coś, to będę do was dzwonił.

— Pojedziemy na krótko. Może poznam tam jakąś sensowną Polkę, z którą od czasu do czasu będę mogła porozmawiać, chociaż przez telefon — tłumaczyła się dzieciom Maria.

Ubrała się efektownie i gustownie, ale raczej skromnie. Miedziane loki wijące się wokół twarzy i na ramionach, lśniące w świetle zachodzącego słońca, zdobiły ją bardziej niż najdroższa kreacja i biżuteria. Założyła czarną, lekko przezrzystą, obcisłą bluzeczkę, eksponującą jej szczupłą talię i piękny biust oraz kloszową, powiewną spódniczkę. Spódnica, którą Maria dostała kiedyś od babci, uszyta była z kuponu jedwabiu wyprodukowanego w Milanówku. Na czarnym tle miała ręcznie malowane kiście białego i liliowego bzu. Mąż popatrzył na Marię z zachwytem, wypiął dumnie pierś i powiedział:

— Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo do mnie należy najpiękniejsza kobieta na świecie. — Z zadowolenia poróżnowiały jej policzki.

Adam przyjechał po nich swoim ostatnim nabytkiem, eleganckim, szarym, pachnącym nowością bmw. Auto bardzo podobało się Marii, ale największe wrażenie zrobiło na Bronku i Jacku. Dzieci, napatrzywszy się na wypasioną brykę zamożnego wujka, poszły do domu, a rodzice wsiedli w nią, zapadając się w skórzane fotele, i popłynęli krętymi uliczkami do obwodnicy. Na autostradzie z łatwością wyprzedzali wszystkie rozpędzone już auta. Szczęśliwa Maria nie myślała o tym, że jadą jak szaleni. Patrzyła na zachodzące słońce, na złote niebo i na zapalające się w mieście lampy. Z doskonałego sprzętu audio dobywał się idealnie pasujący do jej nastroju utwór reggae śpiewany przez rudowłosego, jak ona lidera zespołu Simply Red. Wszystko było takie niesamowite. Dopiero co mieszkali w buszu, a teraz mieli wkroczyć w naprawdę elegancki świat. Jej mąż pracował już w prestiżowym szpitalu, a być może kiedyś i oni kupią sobie taki samochód — pomyślała. Zaraz jednak przypomniało jej się, że nie jest jeszcze zamożną osobą i nie stać jej nawet na *maid*, która przypilnowałaby dzieci.

— Ale ty na pewno nas za godzinkę, najdalej za dwie, odwieziesz? — spytała po raz kolejny Adama. — A twoi goście ci to wybaczą? I nie będziesz pił do tego czasu?

— Tak, nie ma sprawy — zapewnił Adam. — Przyrzekłem Marzence, że generalnie ograniczę alkohol. A dzisiaj w ogóle nie mam zamiaru pić. Powinniśmy przestać się kłócić i założyć nareszcie normalną rodzinę. Rozmawialiśmy o tym ostatnio i Marzena też się ze mną zgodziła.

— Och, to świetnie — ucieszyła się Maria. — To kiedy robicie dzidziusia?

— Mojej żonie ostatnio tylko jedno w głowie, dzieci i dzieci — odezwał się Broniek. — Powinnaś się cieszyć, że mamy już na tyle duże i odchowane dzieci, że mogliśmy je zostawić same. Małe dziecko to kilkuletnia niewola.

— No właśnie, dlatego my chyba jeszcze nie tak zaraz. Ja zresztą na razie nie mogę. Czeka mnie mały zabieg, dosłownie drobiazg, rewazektomia. Na razie

będziemy się uczyć żyć statecznie. Ale najważniejsza jest wspólna decyzja. Od czegoś trzeba zacząć — powiedział poważnie Adam.

— A mnie się zdaje, że Marzena nie dojrzała psychicznie do dziecka. Co z niej byłaby za matka, jak ona po paru kieliszkach... Wiesz, co chcę powiedzieć? — Broniek nie chciał dosadnie określić zachowania Marzenki.

— Ona jest nieznośna, wiem. Wszyscy mi mówią, że nie pasujemy do siebie. Ale jak z nią nie jestem, tęsknię za nią. Miałem przecież inne dziewczyny, próbowałem. Ma naturę dziwki, lecz to mnie właśnie w niej kręci. — Adam był porażająco szczery. — Chyba każdy facet w skrytości ducha marzy, żeby mieć w domu na własny użytek taką stuprocentową dziwkę.

— Mów za siebie — mruknął Broniek. Miał fatalny humor i dość na całe życie imprez u Adama. Teraz jeszcze wkurzało go to całe szpanowanie drogim autem i ordynarne filozofowanie kumpla.

— A ty nie udawaj świętego. Znam twoje słabości i nie pochwalam. — Adam odwrócił się nagle do Bronka i pogroził mu palcem. Broniek zbladł, lecz kumpel, jakby nigdy nic, mówił dalej: — A pamiętacie tę Węgierkę, co była ze mną u was w Mapulaneng Hospital? Zakłuła się podczas operacji i okazało się, że pacjent był HIV pozytywny. Zostawiła męża, zwolniła się z pracy i gdzieś wyjechała. Nikt nie wie, co się z nią teraz dzieje, nawet mąż. Tu trzeba być bardzo ostrożnym, w pracy i w życiu, bo HIV-a jest od cholery. — Słowa Adama zabrzmiały jak groźne memento. Broniek odwrócił się do okna i wpatrywał się w niebo, a Maria zastanawiała się, dlaczego Adam straszy ich AIDS i mówi o takich smutnych rzeczach właśnie teraz, przed imprezą, na której miała się trochę rozerwać. Do końca podróży nie padło już ani jedno słowo.

W domu Adasia wrzało jak w ulu. Skąpo i wyzywająco ubrana Marzenka miała już nieźle w czubie i kleiła się do wszystkich facetów po kolei.

— Widzisz? Ona tak specjalnie, żeby mnie wkurwić. Lubi, jak się wpieniam i czasem jej przyłożę — powiedział Adam przez zaciśnięte zęby, wskazując swoją dziewczynę, siedzącą na kolanach jakiegoś wysokiego mężczyzny. Maria była porażona tym, co usłyszała. Adam z dzikim wyrazem twarzy z całej siły szarpnął ramię Marzeny. Dziewczyna jednak zaśmiała się głośno i pocałowała go w usta.

Wysoki mężczyzna, uwolniony od ciężaru Marzenki, podszedł do Marii i z miną pewnego siebie casanovy zaczął rozmowę:

— Darek Kostrzewa. Jestem menedżerem w SASOL-u. — Zaakcentował nazwę dużej firmy petrochemicznej, po czym pochylił się nad wyciągniętą doń dłonią Marii, składając na niej zbyt długi i zbyt mokry pocałunek.

— Maria Guział. Jestem menedżerem w swoim domu — odrzekła z kpiącym uśmiechem i dyskretnie wytarła dłoń o spódnicę.

— Nie widziałem cię tu nigdy przedtem. Takiego widoku bym nie przegapił. — Odsunął się o krok, obcinając ją od góry do dołu. — Możesz wystartować

w wyborach na miss naszej Polonii. Poznałem wszystkie kandydatki, niektóre nawet blisko, bijesz je na głowę.

— Dziękuję za komplement, ale od dawna nie jestem miss — odparła mile połączona Maria, lecz bardziej niż pochwała ucieszyło ją to, że gość mówił po polsku.

— No tak, mogłem się spodziewać, że taka piękna kobieta ma już właściciela. Czy to ten blondas, który stoi przy barku? — Wskazał na Bronka nalewającego właśnie solidną porcję whisky. — Chyba go już widziałem.

— Tak, to mój mąż. On się ze mną ożenił, a ty nabywasz kobiety?

— Kobiety same się na ogół sprzedają, choć nie zawsze zdają sobie z tego sprawę. I nie zawsze za pieniądze — dodał, patrząc kpiąco na Marię.

— A ty jesteś właścicielem jakiejś?

— Wolę formę użyczenia — zaśmiał się głośno.

— Ja i mój mąż wypożyczamy tylko książki z biblioteki. A między sobą zawarliśmy kontrakt na wyłączność — powiedziała z przekąsem i już chciała odejść, ale mężczyzna przytrzymał jej ramię.

— Zrób sobie lepiej badanie na HIV, bo może twój mąż czyta niewłaściwe książki. Jesteś już dużą dziewczynką, więc nie wierz tak bezgranicznie w dotrzymanie umów — szepnął jej do ucha.

Zaskoczona dziwnymi słowami faceta Maria znieruchomiła wręcz na chwilę. Uwzięli się dzisiaj na nią z tym HIV, czy co? — pomyślała ze złością. Mężczyzna tymczasem pochylił się nad nią i odgarnąwszy z karku jej włosy, wpił się mocno ustami w szyję. Odskokzyła jak oparzona. Miała ochotę wymierzyć mu policzek, lecz to ściągnęłoby na nich zainteresowanie obecnych i wywołało niepotrzebną sensację. Odeszła, rozglądając się nerwowo za Bronkiem. Nie było go już przy barku ani w ciemnym salonie. Wyszła więc, otwierając szerokie, szklane drzwi do ogrodu, gdzie przy oświetlonych lampionami stolikach siedziało jeszcze sporo osób. Nikogo z nich nie znała, nikomu nie została przedstawiona, gdyż gospodarz natychmiast zajął się swoją dziewczyną, a mąż wódką i teraz w dodatku gdzieś zniknął.

Przeszła się wzdłuż basenu, słuchając rozmów przy stolikach. Przy dwóch pierwszych rozmowa toczyła się po angielsku. Przystanęła niepewnie w pobliżu trzeciego, bo usłyszała tam polski. Jakaś kobieta zaklinała się:

— Słowo, że tak było. Nie przesłyszałam się. Powiedział: „Daję ci dyspensę na kondomy, żebyś mogła przystąpić w święta do komunii”.

— Nie wierzę, to nie mógł być ksiądz Jarocki — mówiła druga.

— Bo to był jakiś biskup ze Stanów. Przyjechał do Norwood tylko na Wielkanoc — kontynuowała pierwsza. — A ty nie słyszałaś, jak go ksiądz witał? — zwróciła się do trzeciej, najstarszej z nich, mocno wymalowanej, pulchnej brunetki.

— Ja nie byłam na mszy. Zostałam przed kościołem, bo musiałam załatwić taką jedną sprawę. Ale widzisz, oni tam w Ameryce są bardziej postępowi. A u nas, jak w Polsce, wciąż ciemnogród. Co to za grzech, że się prezerwatywę założy? Ja nie wiem, dlaczego ty się w ogóle spowiadasz z tego, co robi twój mąż? — dziwiła się.

— No, bo zawsze tak trzeba było w Polsce. Teraz to już zgłupiałam, ale nie wypadało mi zapytać, czy się ksiądz nie myli. — Kobieta miała poważne wątpliwości.

— My już od roku nie bywamy w starym kościele. Jeździmy z dziećmi do Bryanston ze względu na szkołę. W tym roku nasz Jarek będzie przystępować do Pierwszej Komunii — powiedziała słuchająca dotąd uważnie obu pań, nobliwie wyglądająca szatynka.

— No właśnie, trzeba by się przenieść do Bryanston. Teraz tam już przyjeżdża chyba większość Polaków. To są, co prawda, najnowsi przybysze, więc z forszą u nich jeszcze krucho, ale pogadać zawsze warto. Informacja to rzecz najważniejsza w biznesie. Ja powtarzam za moim tatą, co człowiek, to dolar. — Brunetka zaśmiała się głośno, pokazując niemalże do ósemek nienaturalnie w jej wieku białe i równusieńkie zęby.

Maria już miała ochotę podejść do nich i porozmawiać o przykościelnej szkole, ale spostrzegła swojego męża stojącego w progu domku *maid*. Ostatnio widziała tam ciężarną Nancy. „Ciekawe, co robi teraz ta dziewczyna? Jak jej się wiedzie? Miło byłoby zobaczyć ją i dziecko” — pomyślała. Uwielbiała patrzeć na te słodziutkie, czekoladowe bobaski. Podeszła do męża i zagadnęła go:

— Szkoda, że Nancy z małym nie została u Adama. Chociaż z drugiej strony, w takie noce jak ta nie mieliby spokoju. Ciekawe, czy to prawda, że ojciec dziecka bardzo o nich dba, jak mówił Adam? Nie wiesz, kim on jest?

— Ja?! Skąd mogę wiedzieć?! Co ci przyszło do głowy?! — Mąż naskoczył na nią gwałtownie.

— Dużo częściej widzisz się z Adamem i rozmawiacie, więc myślałam, że może wiesz coś więcej — tłumaczyła się zaskoczona taką reakcją.

— Co mnie obchodzi jakaś czarna?! Ciebie też nie powinna obchodzić. Wyprowadziła się i tyle. — Bronek mówił podniesionym głosem i niektóre głoski wychodziły mu nieco zniekształcone. Maria spostrzegła, że ma już nieźle w czubie.

— Nie złość się. Ja tylko wyobraziłam sobie, jaki kłopot miałyby na przykład nasza Beauty, gdyby zaszła w ciążę. To trudne dla dziewczyny bez męża, która zarabia grosze. Dobrze, że Nancy...

— Skończ z tą Nancy! Tylu tu różnych ciekawych ludzi, a ty się snujesz i zawracasz mi głowę Murzynką!

— Tyle ciekawych osób, a ty też się nie bawisz i stoisz na progu jej niedawnego mieszkania, więc myślałam...

— Nie myśl za wiele, bo ci to szkodzi — wyzłośliwił się, a Marii łzy napłynęły do oczu. Bronkowi zrobiło się wstyd. Na kim, jak na kim, ale na niej na pewno nie powinien wyżywać się za swoje życiowe błędy. — Sorry, głowa mi pęka. Sam nie wiem, co gadam — powiedział pojednawczo.

— Ja też chciałabym być już w domu — podchwyciła Maria. — Poprośmy Adama, żeby nas odwiózł.

— To ty go poszukaj, a ja jeszcze sobie naleję szklaneczkę. No, nie patrz na mnie jak na mordercę. Muszę się rozluźnić po tygodniu harówki. Teraz mam nieporównywalnie większy stres w pracy. Leczę w końcu białych.

— To ich zdrowie i życie jest dla ciebie cenniejsze? — spytała zadziornie Maria.

— Dla mnie nie, ale dla nich samych tak. Lubią się procesować o byle co. Musiałem się ubezpieczyć i znów poszło sporo kasy. Chcesz, poznam cię z moim agentem ubezpieczeniowym i jego żoną, to fajni ludzie. Gdzieś tutaj są.

— Może lepiej nie — powiedziała Maria, której najbardziej zależało, żeby znaleźć się już w domu z dziećmi. — Szukamy Adama czy spróbujemy dostać się do domu taksówką?

— To nie ten kraj. Jeśli Adam nas nie odwiezie, nie mamy jak wrócić, ani teraz, ani rano — powiedział Broniek, kierując się wprost do barku. Maria odwróciła się od niego ze złością i w słabiutkim świetle coraz mniej licznie płonących w salonie świec dostrzegła Adama.

— Adasiu, pamiętasz, że przyrzekłeś? Ja już dłużej tu nie wytrzymam, umieram z niepokoju. — Złożyła przed nim dłonie jak do modlitwy.

— Jasne, zaraz jedziemy. Wezmę tylko ze sobą Marzenę, bo skoro jest ze mną, nie może mnie kompromitować. — Podeszedł do tańczącej, która wisiała tym razem na krępych, spoconym gościu, i szarpnął ją brutalnie za rękę. — Wrócisz tu jeszcze, a teraz jedziesz ze mną odwieźć Bronka. Przy okazji porozmawiamy o ważnych decyzjach, które za ciebie też podjąłem.

— Jutro porozmawiamy. Teraz spadaj, jedź sam. — Marzenka mocniej chwyciła w pól partnera, z którym tańczyła. Ale Adam oderwał jej ręce i wykręcił jedną z nich. — Spieprzaj, chamie! — bluznęła i uderzyła go w twarz. — Sławek, broń mnie — poprosiła o pomoc krępego partnera. Nie krzyczała, tylko szeptała, dziwnie miękko i erotycznie. Sławek jednak zdjął jej dłoń ze swojego biodra i powiedział pojednawczo do Adama:

— Weź ją, Adaś, bo znów się załała. — Obaj panowie zgodnie odprowadzili wierzgającą i bluzgającą Marzenę do szarego bmw, załadowali na przednie siedzenie obok kierowcy i przypięli pasami.

— Sławek, jesteś pierdolonym zdrajcą. Ja ci tego nie zapomnę — bełkotała kobieta, ale zaraz się uspokoiła.

Maria, nie przyglądając się zbytnio Adamowi, wskoczyła na tylne siedzenie

i wciągnęła Bronka, któremu plątały się nogi i język. Auto, jak wyścigowy bolid, wystartowało przed domu. Błyskawicznie znaleźli się na autostradzie i wtedy dopiero zaczęła się naprawdę szalona jazda.

— Za trzy miesiące wyjeżdżam na stałe do Australii — powiedział Adam, cisnąc coraz mocniej pedał gazu.

— To sobie jedź. Wiedziałam, że na ciebie nie powinnam liczyć — odparła Marzena.

— Chcę cię zabrać. Ale musiałabyś się zmienić. Po co mam ciągnąć na inny kontynent zwykłą zdzirę? — Adam mówił coraz wolniej, a samochód wciąż przyśpieszał.

— Odpierdol się. Sam się zmień, zbrojeńcu jeden — warknęła Marzenka. — Za często pijesz i za dużo ćpasz. Nie potrzebuję takiego miękkiego wacka. Poznałam prawdziwego faceta z wielką kasą. A ty się w końcu doigrasz przez tego gnoja Karuzo. Wypieprzą cię z pracy, jak się zorientują. Teraz też wciągnąłeś i chcesz nas rozpieprzyć? Zwolnij! — krzyknęła, łapiąc za kierownicę, gdy szybkościomierz wskazywał dwieście na godzinę. Adam brutalnie rąbnął ją w ramię, więc odsunęła się obrażona.

— Adam, na miłość boską! — krzyknęła Maria. — Moje dzieci zostaną sierotami.

— Zaadoptuję je, jakby co. — Zaśmiał się głupkowato i gnał, wyprzedzając to z lewej, to z prawej strony. — Ja chciałem mieć dzieci, ale ta dziwka nie. Dla niej zrobiłem wazektomię.

— Adaś, błagam, zwolnij! Zabijemy się przecież wszyscy, ty też. Co one poczną same w tym obcym kraju? — Maria, myśląc o dzieciach, zaczęła szeptem mówić „Ojcze nasz”. Tymczasem Broniek rozpostarty na siedzeniu pochrapywał spokojnie.

— Co za zaklęcia mamroczesz? Ty się modlisz? — spytał ubawiony Adam. — Nie wiedziałem, że umiesz się modlić. Mnie na szczęście wychowano bez zabobonów. — Śmiał się, ale prędkość samochodu już nie rosła, a potem powoli zaczęła spadać. — Znasz jakąś naszą, żydowską modlitwę?

— Nie. Przecież ja nie jestem Żydówką — powiedziała Maria cicho i spojrzała kontrolnie na Bronka.

— Jak to nie? Przecież twój ojciec... No w ogóle nasze rodziny... Mieliśmy wspólne dzieciństwo, właśnie dlatego... Przezywali cię na podwórku Ruda Ryfka. Pamiętasz, jak ich biłem? Twoja babcia i ojciec to na pewno. No, matka może nie. Nie pamiętam jej dobrze. Dlatego nie wyjechaliście?

— Moja matka nie, więc ja też nie. Drugi mąż babci też był katolikiem. Jak widzisz, w mojej rodzinie wszystko jest pomieszane. Nie dzieliło się ludzi na Żydów i nie-Żydów. Ja przecież jestem ochrzczona i z Bronkiem mam ślub kościelny.

— A widzisz, ja też bym chciała ślub kościelny — włączyła się nieoczekiwanie Marzena.

— Ty to się najpierw dowiedz, gdzie jest twój mąż, żebyś mogła się rozwieść — warknął do niej Adam niezadowolony, że mu przeszkadza w poważnej rozmowie, a potem znów zwrócił się do Marii: — Ale teraz, kiedy jesteś dorosła, jak czujesz? Możesz się z nimi całkowicie utożsamić, wiedząc, ile złego nas spotkało przez nich?

— Jak to przez nich? — Maria aż wychyliła się do przodu i spojrzała Adamowi w twarz. — Kogo ty masz na myśli?

— Faszyci, faszystami, ale wszyscy patrzyli obojętnie na to, co oni wyprawiali z Żydami. Przecież to wszystko prawda, że byli szmalcownicy i było Jedwabne i Kielce. Ja się interesuję historią i czytam teraz odpowiednie książki. Sam, jako dziecko, doświadczyłem prześladowania...

— Ty? Kiedy? — zdziwiła się Maria. — Chyba nie masz na myśli tych wygłupów dzieciaków na podwórku. Gdybyśmy nie zadzierali nosa, tylko normalnie się z nimi bawili, biegając wokoło śmietnika, to nikt by nas nie przezywał.

— Ale ja i matka musieliśmy wyjechać.

— Wyjechaliście, bo tak chciała twoja matka i miała do tego kilka poważnych powodów.

— To, to akurat wiem. Z ojcem coś było nie tak. O niej też czytałem te parszywe publikacje. Teraz całą winę za powojenny terror najlepiej przypisać Żydom, a zwłaszcza tym, których się wyrzuciło. Każdy, kto dorwie się do władzy, po swojemu pisze historię — powiedział Adam i po raz trzeci skręcił w tę samą ulicę. Maria zorientowała się, że jeżdżą dookoła Florida Hills. Broniek spał nadal z otwartymi ustami, a Marzena też głowa leciała do przodu za każdym razem, gdy dojeżdżali do skrzyżowania. Po chwili ciszy Adam odezwał się niemalże szeptem: — Ja nie wierzę, że ona była zdolna do takich rzeczy. Znam ją od urodzenia i nie wierzę — powtórzył dobitnie.

— Ja też, patrząc, jak odnosisz się do Marzeny, nie mogę uwierzyć, że jesteś do tego zdolny. Może masz to po matce? Powinieneś chyba się leczyć.

— Coś ty, Marzena to lubi, inaczej nie byłaby ze mną. Zresztą ona lubi jak...

— Adam popatrzył na śpiącą i zrezygnował z dalszych wynurzeń. — Nieważne. Kobiety w moim życiu nigdy nie były ważne. Oprócz matki i ciebie.

— Byliśmy dziećmi.

— Szkoda, że nas życie rozdzieliło. Ale możemy jeszcze to zmienić. Wyjedź ze mną do Australii — powiedział nagle. — Zabierz dzieci i jedź ze mną. Z tobą mógłbym być naprawdę szczęśliwy. Pamiętasz, jak to było w dzieciństwie? Mieliśmy swój świat. Byliśmy jak brat z siostrą.

— I tak powinno zostać, jak brat z siostrą. Ja kocham Bronka.

— Byłaś moją pierwszą i chyba jedyną miłością. Potem to już takie tam różne związki, ale miłości w nich nie było. A przypominasz sobie tę chryję, jak nas ojciec nakrył w swoim gabinecie? Znienawidziłem go, bo uderzył mnie wtedy w twarz i zamknął się z tobą. Jaki byłem zazdrosny! Planowałem go zabić. Chciałem go otruć siarką zeszkrobaną z łebków zapalek. Wsypałem mu nawet do kawy, ale jej nie wypił. A potem wyjechaliśmy i tylko dlatego nie zostałem ojcobójcą. — Adam zaśmiał się jakoś tak naturalnie, po dawnemu i powoli skręcił w uliczkę wiodącą do szeregowców, w których mieszkali Guziałowie. — Wiesz, zaprosiłem Bronka, żeby mu ciebie odbić, bo my pasowaliśmy do siebie jak dwie połówki jabłka. Polubiłem go jednak, ale gdybyś tylko chciała, to ja nieba bym ci przychylił. A on sam da sobie radę, nie zabije się. Nie będzie ci z nim tutaj łatwo.

— Co ty wygadujesz?! Kocham Bronka i dzieci go kochają. Wolałabym umrzeć, niż rozbić naszą szczęśliwą rodzinę — powiedziała Maria z zapalem.

ROZDZIAŁ 28

Guziałowie nie pomieszkali zbyt długo w wynajętym szeregowcu. Maria chciała mieć swój własny dom z basenem i ogrodem, jak prawie wszyscy ich znajomi z Johannesburga. Przeglądała oferty biur nieruchomości i suszyła mężowi głowę, że nie warto wyrzucać na wynajem pieniędzy, które można by przeznaczyć na ratę kredytu. Mieli już duży i właściwie stale rosnący debet na koncie, więc Broniek obawiał się, że bank nie udzieli mu pożyczki. Ale ledwie dostał podwyżkę i dowiedział się, że będzie miał możliwość wcześniejszego podejścia do egzaminu specjalizacyjnego, od razu pobiegli do agencji nieruchomości.

Zaczęło się weekendowe oglądanie domów z agentem, bardzo nużące dla Bronka, a dla Marii ekscytujące. Z niecierpliwością czekała na darmową gazetkę zawierającą ogłoszenia o wystawionych na sprzedaż nieruchomościach. Przeglądała ją z bijącym sercem, zaznaczając najciekawsze, według niej, oferty. Ze słownikiem w ręku rozszyfrowywała wszelkie niezrozumiałe terminy. Kiedy Broniek wracał z pracy, referowała mu wyniki swoich poszukiwań, a on wykonywał telefony do agentów. Na ogół to, co na maleńkim zdjęciu w gazetce wyglądało znakomicie, w bezpośredniej konfrontacji okazywało się dużo gorsze. Większość propozycji ją rozczarowywała, bo standardem bardzo odbiegała od pięknej rezydencji Adama. Możliwości kredytowe Bronka nie były zbyt duże. Mogli kupić mały, ale za to nowocześnie wyposażony domek, lub większy, lecz niestety starszy i w gorszym stanie. Broniek przekonywał żonę, że rozsądniej jest wybrać pierwszą opcję, bo taki dom będzie tańszy w eksploatacji. Maria jednak upierała się przy dużej działce i wielu pokojach, bo nadal myślała o powiększeniu rodziny.

— Zrozum, tu nie kupuje się domu na całe życie. Za kilka lat będzie nas stać na coś lepszego, to się przeprowadzimy — tłumaczył mąż. — Nie szukaj też we Florida Hills, tylko trochę dalej od autostrady, a bliżej tamtych hałd kopalnianych, wtedy będzie taniej.

— Szkoła musi być w pobliżu, ładna kuchnia i co najmniej dwie łazienki — wyliczała, a Broniek tłumaczył to na angielski w rozmowie z sympatyczną agentką Carroll, która skrupulatnie wszystko notowała.

Ta niewysoka brunetka w średnim wieku, Szkotka z pochodzenia, okazała się nie tylko bardzo profesjonalna, ale również niezwykle empatyczna. Rozumiała problemy imigrantów na dorobku, cierpliwie wsłuchiwała się w nieskładnie formułowane przez Marię życzenia. Już po dwóch tygodniach znalazła niezbyt drogi, trzydziestoletni dom, który od razu przypadł do gustu całej rodzinie. Carroll tak wczuła się w sytuację swoich klientów, że zrezygnowała nawet ze swojej prowizji, dając tym samym dowód, że nie wszyscy Szkoci są skąpi.

Wybrany dom położony był w Roodepoortcie, na końcu maleńkiej, ślepej

uliczki o nazwie The Cut. W jego bezpośrednim sąsiedztwie znajdował się duży, zielony teren, rodzaj parku należącego do szpitala dla przewlekle chorych. Parterowy budynek przykryty był spadzistym dachem z czerwonej, ceramicznej dachówki. Z trzech stron otaczał go wysoki na dwa metry szary, betonowy parkan, zakończony kolczastym drutem. Ten smutny parkan na szczęście w wielu miejscach porastały kolorowo kwitnące pnącza. Od frontu ogrodzenie zrobione było z palisady zaostrzonych u góry, metalowych, czarnych prętów.

Od szerokiej bramy wjazdowej i furtki do położonego na wzniesieniu domu szło się ścieżką przecinającą duży i ładnie zaprojektowany trawnik, na którym posadzone były kępami rośliny płożące i różne kwitnące krzewy. Pośrodku trawnika znajdował się sporych rozmiarów klomb. Na nim i na rabatach wokół domu kwitły najcudniejsze chyba rośliny, jakie Maria widziała w tym kraju. Wyjątkowo urokliwie prezentowały się kępki ozdobnych poziomek porastających brzeg klombu i rabatki.

Z boku posesji stał garaż na dwa samochody. Szczyt garażu został zaadaptowany na lokum dla *maid*. Znajdował się tam pokój z toaletą i prysznicem. Teren za domem również pokryty był trawą, z wyjątkiem wybrukowanego czerwoną kostką placu do grillowania. W prawym rogu posesji niebiescił się duży, podświetlany basen, a pośrodku placu chybotąca się na wietrze zawieszona na bardzo wysokich słupach niewielka huśtawka. Na wprost furtki oddzielającej frontowy ogród od strefy rekreacyjnej stały dwie prześliczne budy dla psów, otynkowane i pokryte dachówką, tak samo jak dom.

Wysoka, rosnąca pośrodku zadomowego trawnika palma w południe rzucała cień na huśtawkę. W prawym rogu, w rejonie śmietnika, niepokojąco szeleścił na wietrze, twardymi, jakby sztucznymi liśćmi o eterycznym zapachu, wysoki eukaliptus. W jego sąsiedztwie nie chciały się rozwijać żadne inne rośliny, a nawet trawa rosła bardzo mizernie. Miał jednak dużą zaletę, odpędzał zapachem owady. Dookoła basenu posadzonych było mnóstwo krzewów o kolorowych kwiatach i różnych odcieniach liści. W bajecznej plataninie gałązek tych krzaków uwijały się zwinne, żółte wikłacze o wdzięcznych, wyglądających jak tren balowej sukni, ogonach. Ich ażurowe gniazda były dodatkową ozdobą zarośli. Osłonę dla kąpiących się w basenie stanowiła ogromnych rozmiarów poinsecja, której krwiście czerwone liście podczas lata czarowały nie mniej niż najcudowniejsze kwiaty.

Maria biegała po ogrodzie jak mała dziewczynka. Z niedowierzaniem dotykała przepięknych protei, strelcji i poziomek, żeby sprawdzić, czy nie są sztuczne. Jacek posadził Małgosię na huśtawce i rozbijał ją tak wysoko, że mała aż krzyczała z zachwytu i strachu jednocześnie. Broniek z zadowoleniem stwierdził, że basen jest dobrze utrzymany. Dom już na zewnątrz robił doskonałe wrażenie. W środku okazał się przestronny i dobrze zaprojektowany. Marię szczególnie

zachwyciła ogromna kuchnia, której ściany i podłogi były wyłożone bielutkimi płytkami. Świetnie odcinały się od nich nieco antyczne w swojej formie szafki z ciemnego drewna.

Z kuchni otwarty łuk prowadził do stołowego. Ten pokój był w zasadzie częścią dużego salonu podzielonego tylko ażurową, zieloną ścianą, stworzoną z gęstych pnączy, wyrastających z dwóch kamiennych, podłużnych donic, wypełnionych ziemią. Wyglądało to naprawdę efektownie. Za stołowym znajdował się jeszcze jeden pokój przeznaczony do przyjmowania gości, w którym stał koszmarny kominek i barek zbudowany z wielkich, ciężkich kamieni oraz ozdobiony lusterkami. Te „cuda” były zapewne dumą właścicieli, a i agentka pokazywała je z największym zadowoleniem.

— Mam nadzieję, że oba te grzmoty można będzie stąd usunąć — powiedziała Maria do męża.

— Masz rację. To wygląda jak smocza jama — zgodził się natychmiast Bronek. — Wywałę to osobiście, ale poza tym jest super — cieszył się.

Dom miał naprawdę dużo zalet. Doktorostwo Guziałowie byli całkowicie usatysfakcjonowani stosunkiem ceny do jego stanu i wyglądu, więc transakcja została błyskawicznie sfinalizowana. Carroll wprost nie posiadała się ze szczęścia, jakby to ona nabyła dom po wyjątkowo okazyjnej cenie.

Maria znów rozpoczęła pakowanie swojego niewielkiego dobytku w kartony. Tym razem szło jej już dużo sprawniej. Pomagał jej w tym Jacek, którego po wołających o pomstę do nieba wydarzeniach rodzice postanowili zabrać ze szkoły w Middelburgu jeszcze przed zakończeniem semestru.

Otóż chłopak przyjechał na weekend dziwnie zgaszony i niechętny do jakiegokolwiek gry lub zabawy. Rodzina była podminowana nową sytuacją, którą stwarzało kupno domu. Małgosia nie mogła się zdecydować, którą z sypialni chce zająć. Miała nadzieję, że Jacek, zaklepując zdecydowanie jeden z pokoi, zmniejszy nieco jej dylemat osiołka, co to mu w żłoby dano, ale brat niespodziewanie nie wykazywał zainteresowania tematem i z góry godził się na każdy układ. Maria planowała zakup psa i wybór jego rasy dodatkowo wzniecał gorące dyskusje, a nawet kłótnie. Syn także wobec tej kwestii pozostał obojętny.

— Może byśmy pojechali do Cresty na lodowisko? — zaproponował Bronek, gdyż miał już chwilowo dość tematu psa. Maria i Małgosia podskoczyły natychmiast do góry z radości. Kusiło je nie tylko jeżdżenie na łyżwach, ale także zakupy w tym najelegantszym centrum handlowym w Johannesburgu. Jacek jednak się skrzywił.

— Jedźcie sami, ja sobie poczytam — powiedział smutno. Ojciec zaniepokojony dotknął czoła chłopca i nie stwierdziwszy podwyższonej temperatury, chciał go jakoś rozruszać i zachęcić do wspólnej zabawy. Ustawił się przed nim w pozycji bokserkiej i lekko, na żarty, zaczął go boksować, mówiąc:

— Broń się, leniwcu. Co z ciebie wyrośnie, jak całe dni będziesz leżał z książką? W tym kraju, żeby osiągnąć sukces, trzeba być wysportowanym.

Jednak Jacek, który zawsze uwielbiał wszelkie mocowania i przepychanki z ojcem, tym razem po niewinnym kuksańcu skulił się cały i odskoczył w róg pokoju, nieumiejętnie maskując wyraz bólu na twarzy. Broniek doskoczył do niego i błyskawicznie podniósł do góry sportową bluzę, w którą syn był ubrany. Plecy i ramiona chłopaka pokryte były siniakami. Niektóre z nich były jeszcze mocno fioletowe, a inne nabierały już zielonkawej i żółtawej barwy.

— Co ci się stało?! — krzyknęła matka.

— Biłeś się z chłopakami? O co? — spytał ojciec.

— Zostałem ukarany — powiedział cicho Jacuś. — Ale ja nie zrobiłem nic złego, naprawdę — zarzekał się, patrząc rodzicom prosto w oczy.

— Mów, kochanie, spokojnie po kolei. Wyjaśnimy tę sprawę — zachęcała Maria.

Okazało się, że ciasto, które Maria upiekła dla syna i zapakowała mu, gdy odjeżdżał do szkoły, stało się przyczyną jego karni. Wygląd i zapach owocowego placka z bezą na wierzchu wzbudziły pożądanie w jednym z prefektów. Rozzuchwalony swoją funkcją chłopak zażądał od Jacka oddania mu całej przywiezionej z domu porcji. Jacek jednak się postawił i zamknął ciasto w swojej szafce. Zaryzykował walkę ze starszym kolegą, gdyż chciał na słodczyce poderwać piękną koleżankę ze starszego standardu, która była podobno strasznym łakomczuchem. Prefekt jednak ani myślał walczyć z wysokim i sprawnym Jackiem. Zachował się wyjątkowo perfidnie. Naskarżył wychowawcy, że Polak ukradł mu słodczyce.

Był to ten sam nauczyciel, który niedawno z powodu Jacka i jego siostry musiał się gęsto tłumaczyć przed dyrektorem. Teraz dowiedział się, że smarkacz kradnie. Doniósł mu o tym syn sędziego, zaangażowanego w komitecie rodzicielskim szkoły. Czuł, że powinien załatwić tę sprawę z całą surowością. Postanowił niezwłocznie ukarać oskarżonego, nie próbując nawet wyjaśnić sprawy nieszczęsnego ciasta. Ustawił więc w dwuszeregu wszystkich osiemdziesięciu, uzbrojonych w gumowe klapki mieszkających w hostelu uczniów i tym szpalerem, pod gradem uderzeń, przepędził domniemanego złodzieja. Razy miały różną siłę, w zależności od wieku i charakteru chłopców. Najstarsi, którzy najdłużej byli kształtowani przez południowoafrykańską szkołę dla twardzieli, bili z największą zawziętością i bawili się przy tym znakomicie.

— Milicja w PRL zatrzymanym na demonstracjach robiła takie „ścieżki zdrowia”. Oni walili wprawdzie gumowymi pałami, ale nie takie dzieci — powiedział porażony opowieścią syna Broniek.

Doktor Guział nie dowiedział się, jaki efekt przyniosła oficjalna skarga, którą złożył u dyrektora na postępowanie wychowawcy, bo Jacek już do

Middelburga nie wrócił. Rodzice obawiali się, że prefekt lub, co gorsza, nauczyciel mogą się na nim mścić. Chłopak więc jeszcze przed ukończeniem czwartego standardu został zapisany do Discovery Primary School, położonej w sąsiedztwie nowego domu. Małgosia dołączyła do niego w styczniu po wakacjach.

Guziałowie nie mogli pozwolić sobie, jak Adam, na zainstalowanie systemu alarmowego i opłacanie agencji ochrony, więc zaraz po przeprowadzce postanowili zaopatrzyć się w obronnego psa, który strzegłby domostwa przed nieproszonymi gośćmi, czyli drobnymi złodziejaskami. Na złodziei grasujących w uzbrojonych i doskonale wyszkolonych gangach takie zabezpieczenia, rzecz jasna, nie działały. Maria chciała mieć sznaucera olbrzyma, głównie z sentymentu do swojego ukochanego Zulusa, który niegdyś tak pozytywnie wpłynął na jej nastoletnie życie. Nie był to rozsądny wybór, gdyż brodaczy monachijskich w RPA było jak na lekarstwo. Trzeba było więc za taką fanaberię zapłacić dużo więcej niż za rottweilera, dobermana czy pitbula. Znalazła w końcu w gazecie kilka interesujących ją ogłoszeń. W jednym z nich zapewniano, że psy są rodowodowe. Cena szczeniaka była naprawdę wysoka, ale Maria argumentowała nierozsądny zakup w ten sposób:

— To może być świetne źródło dodatkowego dochodu. Poszukamy jeszcze rodowodowej suczki, albo najlepiej dwóch, i będziemy mieli dwa razy do roku do sprzedania miot.

Bronek nie był do końca przekonany, ale brzmiało to całkiem sensownie i w dodatku dzieci piszczały z zachwytu na myśl o zabawach ze szczeniakami. W sobotę cała rodzina przyjemnie podminowana wysypała się z samochodu przed bramą niewielkiej wiejskiej posiadłości, położonej w pobliżu Pretorii. Powitało ich donośne szczekanie dwójki czarnych, porośniętych długą sierścią, dużych psów. Mało przypominały polskiego sznaucera, którego niegdyś posiadała Maria. Po pierwsze nie miały ciętych uszu i nie były trymowane. W zarośniętych kłapouchach trudno było dopatrzeć się pięknie umięśnionej, sprężystej sylwetki tej rasy. Mordy miały jednak zdecydowanie brodate. Zadziwiające było to, że para dorosłych olbrzymów okazała się niezwykle łagodna. Bez problemów wpuściły gości na swój teren, po którym biegało siedem uroczych szczeniaków. Dzieci na ich widok krzyczały wprost z zachwytu.

— Mamo, weźmy wszystkie! — piszczała Małgosia.

— Tato, chociaż dwa — prosił bardziej umiarkowany z natury Jacek.

Do przybyłych powoli zbliżyły się dwie kobiety. Jedna z nich, siwa, tęga staruszka, uśmiechała się pogodnie. Druga, zdecydowanie młodsza, zapewne jej córka, spytała sucho:

— Polaki? — Na te słowa uradowana Maria z otwartymi ramionami rzuciła się witać rodaczki. Starsza pani serdecznie odwzajemniła uściski i całusy. Córka jednak chłodno odsunęła się od Marii.

— O, nie. Ja mogę rozmawiać na polski, ale z Polaki nie jestem serdeczna. Nie całować mnie. Ja Żydówka.

Słowa i gest zmroziły atmosferę. Maria już miała krzyknąć: „Ja też jestem Żydówką”, ale nie zrobiła tego. Była przecież także w połowie Polką i teraz właśnie ta jej polska część poczuła się szczerze urażona. Właścicielka farmy na pewno nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat, nie mogła więc mieć za sobą jakichś traumatycznych, okupacyjnych przeżyć, które tłumaczyłyby tak niemile zachowanie. Jej matka z babciną niemalże czułością ścisnęła Jacka i Małgosię. Zachwycała się urodą dziewczynki i wypytywała, skąd pochodzą. Dowiedziawszy się, że z Łodzi, otarła kilka łez, które poleciały jej po policzkach, i powiedziała:

— W Łodzi, na Bałutach, mieszkał mój mąż, a ja jestem ze Zgierza. Wyjechaliśmy w trzydziestym dziewiątym do Paryża w podróż poślubną. Wybuchła wojna. Nie wróciliśmy już do Polski. Uciekaliśmy przed Niemcami aż do Portugalii, a potem udało nam się przedostać do Anglii. Moje starsze dzieci urodziły się w Londynie, a ta najmłodsza już tutaj. — Wskazała na stojącą obok niej córkę, której mina wyrażała zniecierpliwienie zwierzeniami matki.

— Świetnie, mimo wszystko, mówi pani po polsku — zwróciła się do niej Maria.

— Musiałam się uczyć. Mame i tate tylko polski mówili. Książki też tylko polskie czytali i wciąż wracać chcieli do Polin. Im się Greate Brytan nie podoba. Nawet w Afryka o Polin mówili, ale ja tutaj za męża wyszłam i mame ściągałam — wyjaśniła.

— Hannah, ty się nie złość na to, co ja teraz powiem — zwróciła się trochę lękliwie staruszka do córki. — Ja to bym chciała do Polski jechać i tam umrzeć. Teraz już można, prawda? — Spojrzała pytająco na Bronka, a potem na Marię i znów otarła oczy.

— Mame, nie płacz. Diabeł nadała Polaków — odparła ze złością Hannah. — Tam naszych już nie ma. Wszystko nasze rozkradli, zabrali sobie. Nie ma do czego wracać. Ty znów chciałabyś tam mieszkać po tym, co oni nam zrobili?

Maria poczuła, że bardzo nie lubi tej kobiety. Już miała się odezwać, ale Bronka ją uprzedził:

— Nie wiem, kto panią uczył historii, ale myli pani Niemców z Polakami. To Niemcy zabijali Żydów, planowo i systematycznie. Zresztą Polaków też. To Niemcy odpowiadają za Holokaust.

— Mnie niejeden Żyd opowiadał, co w tej Polsce wycierpiał. Obozy były u was. Polaki są podły naród, nie bronili Żydów.

— Nie mów tak, Hannah. — Staruszka podniosła na córkę zaczerwienione oczy. — My żyliśmy razem przed wojną i dobrze nam było. Czasem się zdarzało, że jakiś młodziak, co go poszczuli na nas, zrobił komuś przykrość. Ale przed wojną faszyci w całej Europie byli. Z Francji z wielkim strachem uciekaliśmy...

— Mame, przestań — przerwała bezczelnie Hannah matce. — One nie przyjechali mówić o polityka i historia. Niech wybiorą psa i jadą sobie.

Maria milczała, bo walczyła z sobą, czy nie ujawnić jednak w tym momencie swojej tożsamości. Była świetna okazja, żeby powiedzieć, że jej babcia też miała na imię Hannah. Broniek nerwowo przestępował z nogi na nogę. Był wściekły. Najchętniej zrezygnowałby z zakupu i od razu stamtąd odjechał. Dzieci jednak do tego nie dopuścili. Jacek właśnie dźwigał przed sobą grubiotkę, czarną kluseczkę, która nie wydawała się tym wcale zachwycona.

— Mamo, ten pies nas sobie wybrał — krzyczała Małgosia. — On stale kładzie się nam na drodze, a inne uciekają.

— Jest najcięższy i straszny z niego łobuziak. Będzie dobrym stróżem — stwierdził Jacek, kładąc szczeniaka u stóp taty.

— Mamo, jak twój pies miał na imię? Możemy dać mu tak samo? — spytała Małgosia, tuląc pieska.

— Nie, raczej nie. To nie byłoby odpowiednie imię w tym kraju. A w ogóle też nie — powiedziała, czerwieniąc się Maria.

— Ale dlaczego? Polskie imię będzie tutaj oryginalne. To jak...? — dopytywał syn.

— Wabił się Zulus. Teraz wiem, że to niestosowne, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. — Dzieci zrobiły zdziwione miny. — No, co byście czuli, gdyby ktoś nazwał psa Polak? — spytała prawie szeptem zażenowana Maria.

Sprawę imienia postanowili rozstrzygnąć później, a tymczasem hodowczyni wyniosła z domu rodowody pary dorosłych psów. Teraz już nie było wątpliwości, że są to sznauclery olbrzymy brodacze monachijskie. Hannah twierdziła, że z powodu jakiegoś przeoczenia nie może od ręki wydać szczeniakowi metryki, ale ją w najbliższym czasie dośle na adres podany przez Bronka. Bez mrugnięcia okiem zainkasowała pięćset randów i nigdy tej metryki nie przysłała. Broniek wielokrotnie upominał się o nią telefonicznie. W końcu Hannah zażądała, żeby dać jej święty spokój, bo nie spisali żadnej umowy, więc ona nie musi wywiązać się z obietnicy.

Broniek wyklinał nieuczciwą babę i przy okazji wszystkich Żydów świata, przypisując przedstawicielom tego narodu bezczelność, cwaniactwo i skłonność do oszustwa oraz oczywiście wyssaną z mlekiem matki nienawiść do narodu polskiego. Maria nieśmiało próbowała ująć się za swoimi.

— Nie wsadzaj całego narodu do jednego wora. Czy nigdy nie zdarzyło ci się być oszukanym przez Polaka? — spytała.

— A ciebie to nie wkurza, że nas zrobiła w konia? — dziwił się Broniek.

— Wkurza, że daliśmy się nabrać nieuczciwej kobiecie. Była to akurat Żydówka, ale równie dobrze mogła być Rosjanka, Amerykanka, Polka czy Afrykanerka.

— Jasne, Rosjanka, Polka albo Amerykanka, ale żydowskiego pochodzenia. Wszędzie ich pełno. Lepiej by było, żeby jak kiedyś chodzili w chałatach i z pejsami, to przynajmniej człowiek wiedziałby, z kim ma do czynienia. Ja nie mam powodu ich lubić, a teraz mam poważny powód, żeby ich nie lubić.

— A Adam? Czy jego bezinteresowna pomoc cię nie przekonuje? A ja, ja też mam... — Maria wreszcie zdecydowała się na szczere wyznanie, lecz właśnie w tej chwili zadzwieczał telefon i Broniek pobiegł go odebrać. Jakby wywołany ostatnim zdaniem Marii, dzwonił Adam.

— Zapraszam was w niedzielę na obiad — zawołał wesoło.

— Dzięki, ale może lepiej ty przyjedź do nas. Dzieci u siebie zajmą się czymś, a my spokojnie pogadamy. Możesz u nas przenocować — zaproponował Broniek.

— Wpadnij! Ugotuję coś, co uwielbiasz, kopytka z kiszoną kapustą! Sama kisiłam! Palce lizać! — krzyknęła do słuchawki Maria.

— Dziękuję, ale to ma być pożegnalny obiad. Przyjedźcie z dziećmiakami w południe. Obiecuję, żadnych szaleństw. Karuza nie będzie. Normalny rodzinny, pożegnalny obiad — odparł poważnie.

— Jaki? Pożegnalny? — zapytali razem Guziałowie.

— Postanowiłem już na mur, wynoszę się stąd do Australii. Marzenka zdecydowała się jechać ze mną. Podobno trafiła tam na ślad tego swojego męża. Chyba się wreszcie pobierzemy.

— Stary, to podjęliście bardzo poważne decyzje! — wykrzyknął Broniek mocno zaskoczony. — Z jednej strony się cieszę, ale z drugiej... — nie skończył zdania, bo nagle głos mu się załamał.

— To czekamy na was. Marzena obiecała, że przygotowuje coś specjalnego, ale jakby Maria mogła przywieźć trochę tych kopytek z kapustą, to byłbym bardzo zobowiązany — zakończył Adam.

Kiedy Broniek wieczorem leżał w łóżku, nie pamiętał już o straconym psim rodowodzie i swojej niechęci do wszystkich Żydów, lecz rozpamiętywał krótką, ale intensywną przyjaźń z Adamem.

— Wiesz, przywiązałem się do tego cholernego Żyda — powiedział wzruszony. — Będę za nim tęsknił. Nigdy przedtem nie miałem takiego oddanego i bezinteresownego przyjaciela.

— Pojedziemy do nich o pierwszej, zaraz po kościele. Z Bryanston do Adama jest niedaleko. Gdzieś tak o siódmej chciałabym być w domu, bo dzieci muszą się przygotować na poniedziałek do szkoły — powiedziała rzeczowo Maria.

— Drugi raz rozstajesz się z Adamem i jakoś tak chłodno do tego podchodzisz — zauważył mąż.

— Bo jestem już dorosła. Dzieciństwo minęło bezpowrotnie — odparła poważnie. — Nie znalazłam w tym pokręconym psychicznie człowieku dawnego

Adasia i chyba dobrze, bo miałabym problem, co zrobić z tobą. Nie umiałabym kochać dwóch mężczyzn jednocześnie. A z jego uczuciami w ogóle coś jest nie tak. Jego marzenia o kochającej się rodzinie nie mają szansy się spełnić. Nikt nie nauczył go miłości i szuka jej tam, gdzie nie znajdzie.

ROZDZIAŁ 29

Msza, na którą wybierali się Guziałowie, zaczynała się o dwunastej, ale oni jechali do Bryanston już na dziewiątą, gdyż Jacek i Małgosia byli uczniami funkcjonującej tam Szkoły Polskiej im. Jana Pawła II, a Maria od dwóch tygodni w niej uczyła. Była to niestety praca całkowicie społeczna.

Mieszkali jeszcze we Florida Hills, gdy Bronek dowiedział się, że oprócz starego kościoła w Norwood jest jeszcze inny, w którym można modlić się po polsku. Dla niego nie miało to wprawdzie wielkiego znaczenia, czy msza jest po polsku, czy po angielsku, ale wiedział, że dla Marii ma. Poza tym zdawał sobie sprawę, że polski kościół to także polskie tradycje i obrzędy. Doktor Guział chciał, żeby jego dzieci, mieszkając w RPA, nadal pozostały Polakami. Zawiózł więc tam rodzinę i bardzo się ucieszył, że spodobał się jej nowoczesny, przestronny kościół i sposób, w jaki ksiądz odprawiał mszę, oraz to, co mówił w kazaniu. Najcenniejsza jednak okazała się szkoła, dzięki której dzieci nie traciły kontaktu z literackim językiem, gramatyką i pisownią. Bronek miał także swoje powody, żeby nie jeździć już więcej do Norwood.

W jego życiu religia i wiara odgrywały dużą rolę, bo tak wychowała go bogobojna ciotka. Ani wykształcenie medyczne, ani zetknięcie się na wojskowej uczelni z oficerami politycznymi, indoktrynującymi ateistycznie studentów, nie zachwiało w nim wiary w jedyne Boga. Bronek nie był człowiekiem zbyt skomplikowanym. Można by więc powiedzieć, że stosował się do słów Chrystusa: „byście byli jak dzieci”, nie rozważał, nie dzielił włosa na czworo, tylko po prostu ufał. Modlił się żarliwie, prosił gorąco, ale najczęściej, niestety, przepraszał. Z całej duszy chciał przestrzegać dekalogu. Stale obiecywał to solennie Bogu i sobie, ale na pokusy bywał mało odporny, a dopuszczanie się niewielkich nieuczciwości zawsze potrafił wytłumaczyć nakazem chwili lub jakimś wyższym dobrem. Do uczestnictwa w mszy świętej przywiązywał jednakże szczególną wagę. Nie zdarzyło mu się w niedzielę nie pójść z lenistwa do kościoła. Uciekał z koszar, jeśli nie dostał przepustki, a podczas wakacji potrafił iść kilometrami w poszukiwaniu świątyni.

Z Polski do Johannesburga przyleciał właśnie w niedzielę. Ledwie więc postawił w przeznaczonym mu przez Adama pokoju swoje bagaże, natychmiast zapytał gospodarza o najbliższy kościół katolicki i godziny mszy. Zreflektował się po chwili, że pyta niewłaściwą osobę, i chciał sam wyruszyć na poszukiwanie świątyni w nieznanym mieście. Ale Adaś uśmiechnął się tylko i kazał mu szybko zjeść śniadanie, a następnie wyprowadził dopiero co wstawiony do garażu samochód. Jechali dłuższy czas szerokimi, zaprojektowanymi z rozmachem ulicami, aż wreszcie znaleźli się w starszej dzielnicy gdzieś w centrum miasta.

W pewnym momencie Adam wskazał palcem niewielki, stary i dość zaniedbany piętrowy budynek, mówiąc:

— Spójrz, tam po prawej! Dziś to już niemalże ruina, ale dwadzieścia lat temu wyglądał całkiem dobrze. Mieszkałem tu z mamą zaraz po przyjeździe do Afryki Południowej. W tej dzielnicy w ogóle mieszka wielu Żydów. Wiesz, że jestem Żydem?

— No, tak — potwierdził Broniek. — Ale jakoś tak odruchowo zapytałem. Sorry, zrobiłem ci kłopot.

— Nie ma sprawy. Nie zostałem wychowany w naszej wierze. W żadnej wierze — zaznaczył Adam. — Był wprawdzie taki czas, że zazdrościłem chłopakom z pobożnych żydowskich domów, że mieli bar miewę, a katolikom uroczystości komunijnych. Do polskiego kościoła, jak się przekonasz, miałem niedaleko. Chodziłem więc oglądać Pierwszą Komunię. Dziewczynki w białych sukienkach, chłopców w garniturkach, wszystko jak w Polsce. A ja tęskniłem za Polską, za swoją szkołą, a najbardziej za Maryjką. Garnąłem się więc do każdego, kto mówił po polsku, i do tego kościoła też zaglądałem. Matka początkowo się złościła, a potem sama chodziła, przynajmniej pod kościół, bo tu zawierało się pożyteczne znajomości. Teraz też tak jest. Do tego kościoła przychodzą przede wszystkim Polacy z wojennej emigracji oraz tej solidarnościowej. Są dobrze urządzeni i zakorzenieni w tym kraju. Mogą być bardzo użyteczni. Powinieneś więc tu przychodzić. A nawiasem mówiąc, tutaj właśnie poznałem swoją Marzenkę. Niezła sztuka, musisz przyznać — powiedział z dumą Adam o dziewczynie, którą Broniek widział tylko przez moment w kuchni i która nie wydała mu się zbytnio atrakcyjna, poza tym robiła wrażenie niewyspanej lub skacowanej.

— Ja czegoś innego szukam w kościele — powiedział Broniek z przyganą w głosie. Poniewczasie zorientował się, że jego moralizatorskie zapędy mogą zostać źle odebrane przez Adama, więc zamilkł. Ponieważ właśnie zatrzymali się na placyku przed kościołem, wyskoczył szybko z samochodu, sądząc, że Adam będzie chciał zaraz odjechać. — To dzięki. Z powrotem wrócę jakimś miejskim transportem, tylko mi wytłumacz, jak i czym.

— Spokojnie, idę z tobą. Ja się święconej wody nie boję — zażartował Adam. — Chętnie posłucham mądrego człowieka, jakim jest ksiądz Jarocki. Ma tytuł doktora, sporo publikuje, jest inteligentny i otwarty na wszystkich ludzi.

Broniek spostrzegł, że wierni po mszy nie odjeżdżali szybko sprzed kościoła, jak to ma miejsce w Polsce, ale skupiali się w kilkusobowych grupkach na placyku i rozmawiali jeszcze jakiś czas z księdzem lub ze sobą nawzajem. Adam biegał od jednej grupy do drugiej, ciągnąc za sobą nieco speszzonego nowego imigranta, i przedstawiał go swoim znajomym. Broniek dowiedział się istotnych rzeczy na temat zatrudniania lekarzy na terenie RPA i bantustanów. Już po tej

pierwszej niedzieli wrócił do Sandton o wiele bogatszy w wiedzę i niestety mocno zasmucony. Z rozmów z rodakami wynikało bowiem, że trafił na zły czas, jeśli chodzi o wydawanie pozwoleń na pracę.

Jak długo Broniek mieszkał u Adama, tak długo ten organizował mu dowóz na mszę do Norwood. Jeśli nie mógł osobiście, to zabierali go jacyś znajomi. Czasami z własnej inicjatywy jechała z nim Marzenka, która jednak z jakichś powodów nie chciała pokazywać się w kościele. Czas, który Broniek spędzał na mszy, ona wykorzystywała na odwiedzinach u jakiejś tajemniczej „przyjaciółki”. Stawiała przy tym Bronka w niezręcznej sytuacji, prosząc, by w razie czego zaświadczył przed Adamem, że była razem z nim w kościele. Tak więc Broniek, chcąc się pomodlić, grzeszył jednocześnie i miał wyrzuty sumienia, które znacznie wzrosły, gdy Adam bez żadnego poręczenia pożyczył mu pieniądze na kupno samochodu. Sprawę kupna auta od a do z załatwili pod kościołem w Norwood, kiedy Broniek dowiedział się, że w odległym Mapulaneng Hospital jest praca dla lekarzy imigrantów.

Potem nie miał już raczej okazji bywać w polskim kościele. Kiedy jednak zdarzył mu się incydent z Nancy, pobiegł zaraz do Norwood i wyspowiadał się u księdza Jarockiego. Ksiądz, jak należało się spodziewać, czyn potępił, ale rozgrzeszenie dał. Broniek przez chwilę poczuł ulgę, ale kiedy Nancy urodziła dziecko, znów udał się do konfesjonału, w którym zastał księdza Jarockiego, i powtórzył całą swoją historię, kając się jeszcze mocniej niż za pierwszym razem. Spowiednik doskonale pamiętał jego przypadek, więc powiedział:

— Nie wiem, czego oczekujesz ode mnie. Nie mogę dwa razy odpuścić ci tej samej winy. Bóg ci wybaczył, a teraz ty wybacź sobie. Wyznaj winę żonie, żebyś nie musiał całe życie kłamać, i postaraj się przynajmniej finansowo wynagrodzić krzywdę dziewczynie i dziecku.

Bronka nie było stać na szczerą rozmowę z żoną. Co gorsza, nie chciał też widywać już księdza, który znał jego mroczną tajemnicę. Czuł się bardzo źle, gdy ksiądz Jarocki z uśmiechem przyglądał mu się, gdy przyprował po raz pierwszy do Norwood Marię i dzieci. Tak więc zmiana kościoła była dla Bronka wybawieniem. W Bryanston już bez zażenowania paradował pod rękę z Marią i dziećmi, jako przykładowy mąż i ojciec. Tu nikt nie znał jego tajemnicy. Lepiej też czuł się na tle ludzi mniej zamożnych, jak on, przybyłych do RPA wyłącznie z powodów ekonomicznych. Poza tym we mszy celebrowanej przez młodego chrystusowca, księdza Zenona Wygnańca, większy udział mieli świeccy, a zwłaszcza dzieci. Kazania były prostsze, przemawiające mocniej do uczuć i odwołujące się do bliskich mu doświadczeń.

Oprawą muzyczną mszy zajmował się trzydziestokilkuletni mężczyzna, ojciec dwóch uroczych dziewczynek i mąż kierowniczkę szkoły. Żona Ryśka niedawno przejęła pieczę nad tą pożyteczną placówką, która dzięki jej energii

nabierała coraz większego rozmachu. Teraz też ledwie zauważyła w kościele nową parę z dziećmi w wieku szkolnym, zaraz do nich podeszła.

— Cześć, jestem Anka — przedstawiła się i w ciągu kilku minut nie dość, że zapisała Małgosię i Jacka do szkoły, to jeszcze udało się jej namówić Marię na prowadzenie lekcji polskiego i religii z najmłodszą grupą. Rysiek i Ania wyjątkowo przypadli Marii do gustu, a ich córeczki, nieco młodsze od Jacka i niewiele starsze od Małgosi, błyskawicznie znalazły wspólny język z jej dziećmi. Kontakty ułatwiało im także to, że, jak się okazało, mieszkali całkiem blisko siebie.

Tej niedzieli Guziałowie wyjątkowo krótko zostali po mszy i porozmawiali tylko z Ryśkiem i kilkoma innymi osobami, gdyż byli umówieni z Adamem. Jeszcze przyjemnie podnieceni atmosferą kościelnych kularów, nieco spóźnieni i przepaszający, pojawili się wraz z dziećmi przed domem Adama w Sandton. Z prawdziwą przykrością stwierdzili, że budząca zazdrość nieruchomości nie jest już własnością ich przyjaciela. Na trawniku przed wejściem stała tabliczka z nazwą agencji nieruchomości oraz z dużym napisem „sold”. Świadczyło to dobitnie, że wyjazd Adama, którego obecność dawała im pewne poczucie bezpieczeństwa, naprawdę jest przesądzony.

„Adaś ma swoje słabości i wady, ale to przecież bliski, swój człowiek. O wiele bliższy niż ci wszyscy nowo poznani, może z wyjątkiem Ani i Ryśka, których najbardziej interesuje, czy masz już własny dom, w jakiej dzielnicy i za ile” — myślała Maria, patrząc z zadowoleniem na przyjaciela pochłaniającego z apetytem przyniesione przez nią kopytka. Wobec niej i Bronka Adam zachowywał się fair. Jego obecność dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Znał tutejsze prawo i zwyczaje, miał mocną pozycję zawodową i niemałe dochody, mógł więc w razie jakiejś niespodziewanej sytuacji służyć im radą i pomocą. To za sprawą jego listów marzyła od dzieciństwa, by tutaj pojechać, a potem zaraziła tym pragnieniem także Bronka. A teraz, kiedy zaczynali zapuszczać w Afryce korzenie, on wychowany tu i wykształcony, można powiedzieć, miejscowy, udawał się na inny kontynent.

— Ludzie, to się nie mieści w głowie! — gorączkował się, wylizując bez żenady talerz. — Ta Rina Venter oszalała! — mówił o aktualnie urzędującej minister zdrowia. — Słyszałeś o tym, — zwrócił się do Bronka — że już za miesiąc w Strydom będziecie leczyć także czarnych? Powiedz, kto z białych zechce się tam położyć? Podobno już w przyszłym tygodniu mają wymieszać nasz personel z czarnymi i kolorowymi. Do Strydom przyjdą ci, którzy teraz pracują w The Coronation Hospital, a część naszych ma iść do nich. Mnie to już na szczęście nie obchodzi.

— Jeszcze tego brakuje, żebyś pod czarnym pracował — zaśmiała się głośno Marzenka, ale nikt z towarzystwa nie podchwycił aluzji, a bojowo nastawiony Adam zgromił ją spojrzeniem.

— Mnie to nie przeszkadza — odezwał się Bronek. — Wiesz, że ja mam dobre doświadczenia z pracy z czarnymi. Trudniej mi znieść to, w jaki sposób traktuje nas, imigrantów z Europy Wschodniej, nasza szefowa.

— Nie wiedziałam, że masz na oddziale jakieś problemy — zmartwiła się Maria. — Ilu imigrantów, oprócz ciebie, jest u was?

— Mamy trzech asystentów: Bułgara, Słowaka i jeszcze jednego Polaka, którymi pani doktor Magda van Royen po prostu pomiata. Ja jej właściwie jeszcze osobiście nie podpadłem. Ale ostatnio wszystkich nas wyzywała od morderców, bo Bułgar podał pacjentowi z silną dusznością eufilinę prosto ze strzykawki. Ująłem się za nim, mówiąc, że w Polsce to normalna procedura. Zresztą pacjentowi się poprawiło i wszystko było okej. Bułgar się wkurzył, chciał jej udowodnić, że nie popełnił błędu. Przyniósł swoją książkę i Słowak swoją. Próbowałem jej przetłumaczyć, ale baba była w amoku. Nie przebierała w słowach, jakby miała przed sobą gówniarzy. Ciekaw jestem, jak będzie odnosić się do czarnych.

— Mogę cię pocieszyć, słyszałem, że Magda van Royen też się zwalnia. Wyjeżdża do Stanów. Widocznie też nie wyobraża sobie pracy w nowych warunkach — powiedział Adam.

— Ale ona w Stanach, a ty w Australii będziecie musieli leczyć czarnych i z nimi normalnie współpracować. A co zrobisz, jak faktycznie twoim przełożonym będzie czarny? Wrócisz do Polski? — spytała, ironizując nieco, Maria.

— A co, ja jestem jakimś rasistą, czy co? — zaperzył się Adam. — Nie mam nic przeciwko czarnym, którzy dobrze funkcjonują w kraju białych. To są zdolni ludzie, jak im się chce. Rzecz w tym, że im się generalnie nie chce pracować, jeśli mają zapewnione najskromniejsze minimum. Nie znam kraju, gdzie czarni pozostawieni sami sobie dobrze się rządzą. Jak Afryka długa i szeroka wszędzie tyrania, korupcja, wyzysk i okrucieństwo. Naród głoduje, a kacyki budują pałace, kupują czołgi, samoloty i jeszcze rozkradają paczki z pomocą humanitarną.

— Adam, weź pod uwagę, że to jest także wina białych. Kolonii niby nie ma, ale wciąż biali robią znakomite interesy w Afryce. Koncerny zbrojeniowe... — Bronek zaczął wywód, lecz Adam mu przerwał.

— Nie wnikam w przyczyny. Stwierdzam tylko fakty. Wolę nie patrzeć, jak ten cudowny kraj obraca się w ruinę. A to się niebawem stanie. Zobaczycie, że wszystko, co zbudowali tutaj biali, zaleje czarny potop. Tama już przecieka. Komuniści opanowali ANC, a oni jak szarańcza zniszczą każdą cywilizację. De Klerk jest za miękki. Mandela pozbawi go władzy, a potem komuniści pozbawią władzy Mandelę.

Maria jadła w milczeniu i myślała o pokoleniowej zmianie w traktowaniu komunizmu. Jej dziadek dla rewolucji komunistycznej porzucił żonę i syna. Ów syn po wojnie wrócił ze Wschodu z mieszanymi uczuciami, wśród których

przeważał strach. Nieraz powtarzał, że opór wobec komunistów jest jak stawanie na drodze lawie wylewającej się z wulkanu. Nie wzdragał się jednak być sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej w szpitalu i korzystać z przynależnych mu z tego tytułu przywilejów. Maria, jego kochana córka, sekundowała powstaniu w Polsce Solidarności i przywracaniu kapitalistycznych zasad. Matka Adama utrzymywała z nadmierną, nawet jak na ubecki gust, gorliwością przywleczone na czołgach i armatach z ZSRR porządki. Tymczasem jej jedynak porównywał wyznawców Marksa i Engelsa do szarańczy i umykał do Australii przed biedakami łaknącymi dziejowej sprawiedliwości. Można by powiedzieć, że to śmiechu warte, gdyby w ogóle cała ta dyskusja nie była przerażająca. Bo co będzie, jeśli Adam ma rację? Jaka przyszłość czeka jej dzieci? A jeśli będzie wojna domowa i cały kraj pogrzeży się w chaosie?

Twarz Marii, podczas tej dyskusji prowadzonej głównie przez mężczyzn, przybierała coraz smutniejszy wyraz. Marzenka natomiast była wesola jak ptaszek, tak radowała ją perspektywa wyjazdu na inny kontynent z mężczyzną, którego jeszcze dwa tygodnie wcześniej chciała porzucić dla innego. Sporo, jak zwykle, wypijała, lecz nadal bardzo zręcznie śmigała wokół stołu, podając gościom kolejne porcje zdejmowane z grilla. Co jakiś czas czule zaglądała Adamowi w oczy i tuliła się do jego ramienia. Maria miała kilkakrotnie wrażenie, że dziewczyna ma zamiar pocałować go w rękę, która prawdopodobnie równie często ją pieściła, co i karała.

— Bronek, musisz przyznać — kontynuował Adam — że jak tu przyjechałeś, to Johannesburg był bardzo bezpiecznym miastem. A ile to raptem minęło? Trochę ponad dwa lata, jeśli dobrze liczę. Czarnych na ulicach w Sandton nie było prawie widać. A powiedz, czy teraz, wracając w nocy z dyżuru, zatrzymujesz się na światłach?

— Jasne, że nie — odparł Bronek. Pruł nocą przez miasto z zawrotną prędkością, ryzykując kolizję na każdym skrzyżowaniu. Większość ludzi teraz tak jeździła, bo media nagłośniły kilka przypadków zabicia stojącego na światłach kierowcy i kradzieży auta.

— No widzisz — powiedział Adam z satysfakcją. — A wiecie, co ja ostatnio przeżyłem? Nawet nie zauważyliście, że nie ma w pokoju telewizora i sprzętu grającego. Zginęło też kilka innych cennych rzeczy, między innymi mój złoty patek, wart więcej niż ta cała reszta. To też, nawiasem mówiąc, pomogło mi podjąć decyzję.

— A ja myślałam, że ty już się uwinąłeś ze sprzedażą sprzętu! — Marzence zrzędała mina.

— A skąd. Miałem włamanie — odparł Adam.

— Mimo tych wszystkich zabezpieczeń? — zdziwili się jednocześnie Bronek i Maria.

— Zapomniałeś włączyć alarm i polazłeś gdzieś na noc z tym upalonym

karłem? — Marzenka z pokornej nagle stała się zadziorna. Gdy chodziło o kontakty Adama z Karuzo, gotowa była gryźć i drapać.

— Posłuchaj, jak było. — Adam uciszył ją, podnosząc rękę. — Jak ty i Nancy się wyprowadziłyście, oddałem psy do SPCA¹, bo czasem zapomniałem je karmić. Złodzieje widać od razu się zwiedzieli. Przyszli nad ranem, a ja byłem w domu całą noc.

— I nie strzelałeś? Nie wzywałeś pomocy? — zdziwił się Broniek, a Adam zamiast odpowiedzieć, puknął się znacząco w czoło.

— Daj mu skończyć. — Maria uciszyła męża.

— Cierpiałem ostatnio na bezsenność, ale nie chciałem brać prochów ani zapijać, bo muszę trochę wrzucić na luz. Mniejsza zresztą o to. Wstawałem po parę razy w ciągu nocy, więc nie włączałem alarmu przed snem. A wtedy to już świtało. Nie musiałem zapalać światła, żeby trafić do łazienki. Usłyszałem ich pierwszy i to mnie uratowało. Zdażyłem cofnąć się do sypialni po pistolet i wlażłem do szafy w łazience. Jedną ręką mocno trzymałem drzwi od wewnątrz, a w drugiej miałem odbezpieczoną giwerę. Parę dni wcześniej u drzwi tej szafy ułamał się uchwyt i zauważcie, że ona wygląda teraz jak lustro wmurowane w ścianę.

— Ale dlaczego nie strzelałeś z zaskoczenia? — Broniek powtarzał swoje pytanie.

— *A panic alarm?* — spytała Marzena i od razu sobie odpowiedziała: — Pewno rzucony byle gdzie.

— Wydawało mi się, że to ich buszowanie po mieszkaniu trwa całą wieczność, ale już po wszystkim uświadomiłem sobie, że siedziałem w szafie nie więcej niż pół godziny — kontynuował Adam. — Było ich chyba dwóch, ale możliwe, że jeszcze ktoś stał na czatach. Słyszałem, jak plądrowali pokoje. Wywalili z półek wszystkie płyty i książki. Powyrzucali ubrania i, co najgorsze, zrobili mi burdel w dokumentach. Mówię wam, wszystko było porozwalane na podłodze. Któryś wysnuł inteligentny wniosek, że tu mieszka samotny facet, więc nie ma co szukać biżuterii. Możliwe, że z tego powodu nie grzebali za długo.

— Musimy kupić broń — zdecydował Broniek. — Ja tam, jakby co, nie będę się pieprzył, tylko wygarnę — gorączkował się.

— Zwariowałeś! Dla tych paru marnych i ubezpieczonych dobrze przedmiotów miałbym się narażać? Przekalkulowałem. Lepiej w takiej sytuacji się nie ujawniać — tłumaczył Adam.

— Ale miałeś szansę od razu ich przepłoszyć — obstawał przy swoim Broniek.

— Dam ci dobrą radę. Jak strzelasz, to zawsze tak, żeby zabić, a zabić dwóch czy nawet trzech naraz jest raczej trudno — powiedział spokojnie Adam. — Oni na ogół mają kałachy. Nie zawahaliby się ich użyć. Ruscy wiele lat zbroili i szkolili bojówki ANC i komunistów z SACP².

— A jak myślisz, ile dostaniemy z ubezpieczenia? — wtrąciła się nagle Marzena, której oczka zawsze błyszczały na myśl o pieniądzach i seksie. — Nawet sprytnie to wykombinowałeś. Nie musimy sprzedawać — dodała zadowolona i wpakowała się Adamowi na kolana.

— Mówię wam, to nie jest już kraj dla białych ludzi. Przyślę wam zaproszenie z Australii. Tam też jest ładnie — kusił Adam, ledwie widoczny spod Marzeny.

— Ja jestem w innej sytuacji niż ty — powiedział Broniek. — Mojego dyplomu nie uznają w Australii ani w Ameryce. Mam zresztą same długi i jeszcze to zobowiązanie... — urwał nagle, zorientowawszy się, że w emocjach mógł się zanadto zagalopować w swoich wynurzeniach.

Maria tak była poruszona historią włamania, że nie zwróciła uwagi na to, co powiedział jej mąż. Irytował ją trochę kasandryczny nastrój przyjaciela. Ona też miała pewne obawy, ale generalnie była nastawiona pozytywnie do zmian. Świat musi iść z duchem czasu. Apartheidu nie dało się dłużej utrzymać, a tego kraju nie można porównywać z byłymi koloniami. Nad zmianami pracuje cała masa mądrych ludzi. Będą je wprowadzać sukcesywnie i obserwować efekty. Nie dopuszczą do wojny domowej — pocieszała się.

SPCA — Society for the Prevention of Cruelty to Animals — policja dla zwierząt [\[wróć\]](#)

SACP — South African Communist Party — Południowoafrykańska Partia Komunistyczna [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 30

Doktor Adam Maj opuścił więc Republikę Południowej Afryki. Zrobił to dokładnie w dwadzieścia trzy lata po tym, gdy jako jedenastoletni chłopiec w 1968 roku przybył tu wraz z matką ze Sztokholmu. Króciutko byli w gościnnej Szwecji, która przytuliła wielu „źle widzianych” w swojej ojczyźnie obywateli PRL żydowskiego pochodzenia. Po szarej Polsce i niezbyt wesołym Sztokholmie Afryka Południowa wzbudziła niekłamany zachwyty Adasia. Nowa ojczyzna dawała mu nadzieję na zdobycie dobrego wykształcenia i, co się z tym wiązało, także wysokiej pozycji społecznej, ponieważ urodził się białym.

Był zdolny, ambitny i pracowity, więc sukces zawodowy przyszedł szybko. Nie skończył jeszcze trzydziestu pięciu lat, a znakomicie już zarabiał, dobrze się ubierał i jeździł drogim samochodem. Jego pochodzenie nie miało tu żadnego znaczenia. Problemem natomiast mogła się okazać przeszłość matki, a mianowicie jej związek ze Służbą Bezpieczeństwa PRL. Kiedy Guziałowie w 1991 roku starali się o pozwolenie na pobyt stały, w formularzu, który składali, było pytanie o współpracę z SB aplikującego bądź kogoś z członków jego rodziny. Czy dwadzieścia trzy lata wcześniej takich pytań przybywającym do RPA nie stawiano, czy też Regina Rottger-Maj związki te po prostu zataiła, tego jej syn nie wiedział.

Adam miał szansę zrobić w RPA jeszcze większą karierę, żeniąc się z dobrze ustawioną i posażną miejscową panną. Mówił bowiem po angielsku bez obcego akcentu, w afrikaans także niezle sobie radził. Choć nie należał do przystojniaków, jako dobra partia był mile widziany wśród Afrykanerek różnych zawodów. Szczególnie zachęcająco jednak uśmiechały się doń młode, tutejsze lekarki o semickich rysach, których było tu naprawdę wiele. On jednak wiedziony dziwnym sentymentem szukał znajomych spośród przybyszów z tak zwanych demoludów: Węgier, Bułgarii, Czech, Słowacji, a nawet Rosji. Nade wszystko jednak miłe mu były kontakty z imigrantami z Polski. Dzięki bibliotece funkcjonującej przy kościele w Norwood czytał w oryginale polską literaturę, łącznie z tą zakazaną w PRL, która wychodziła w Ameryce i Wielkiej Brytanii, a w kraju nie doczekała się jeszcze wówczas swojego oficjalnego wydania. Bardzo chętnie oglądał też na wideo przywożone przez znajomych ze starej ojczyzny kabarety i filmy, w których odnajdywał znane mu z dzieciństwa klimaty. Tak więc mimo upływu lat wciąż żył dawną Polską, rozumiał polityczne aluzje i dowcipy oraz doskonalił swój ojczysty język.

Największą przyjaźnią darzył pochodzącego również z Łodzi Grzecha Sonnenberga, czyli Karuza. Z Grześkiem poznali się jeszcze w szkole średniej. Obaj mieszkali w internacie, obaj byli samotnymi nastolatkami, nieprzystającymi do środowiska usportowionych, agresywnych i wychowywanych nacjonalistycznie

młodych Afrykanerów. Razem łatwiej im było wytrwać. To, że mówili tym samym językiem, którego nikt w szkole nie rozumiał, dawało im w pewnych okolicznościach przewagę i zachęciło do używania polskiego.

Karuzo teraz jeszcze był w Afryce, ale siedział już na walizkach. On także lada dzień wybierał się do Australii i miał zamieszkać w Sydney, gdzie zatrzymał się również Adam. Sprawa ta była na razie skrzętnie ukrywana przed Marzeną, która podobno w nowym miejscu zachowywała się bez zarzutu. Teraz jednak, gdy zły duch Adama pakował już manatki, bo kumpel załatwił mu posadę geodety w magistracie, można się było wkrótce spodziewać w związku Adama i narzeczonej znów jakichś poważnych wstrząsów.

Tymczasem Bronek pracował już w odmienionym J.G. Strydom Hospital na swoim wymarzonym etacie *registrara*. Segregację rasową zlikwidowano dosłownie z dnia na dzień i od tego momentu zarówno wśród personelu, jak i wśród pacjentów zobaczyć można było wszelkie odcienie skóry. Ale nie z tego powodu owym *teachingiem* zainteresowała się telewizja. W J.G. Strydom któregoś dnia zjawili się redaktorzy z kamerami, by nakręcić program o systemie kształcenia w RPA lekarzy specjalistów. Stało się to po śmiertelnym wypadku, do którego doprowadził na autostradzie zmęczony do nieprzytomności *registrar*. Okazało się, że nie opuszczał on szpitala przez cztery doby, bo stan jego pacjentów wciąż wymagał jakichś działań z jego strony.

Rozpętała się ogólnokrajowa dyskusja nad wadliwym systemem wiążącym zbyt ściśle pacjenta z przyjmującym go na oddział lekarzem, ale wiele z niej nie wynikało, bo *registrarzy*, w tym również Bronek, wciąż tyrali ponad siły. Prawdopodobnie z powodu takiego kształcenia w RPA było niewielu lekarzy specjalistów. Do osiągnięcia specjalizacji nie wystarczyły bowiem zdolności, sumienność i zdany egzamin. Żeby dobrnąć do tego egzaminu, trzeba było mieć końskie zdrowie i być bardzo odpornym fizycznie i psychicznie. Ten, któremu jednak udało się przejść przez to sito z bardzo małymi oczkami, zapewniony miał prestiż w środowisku i wysokie zarobki.

Bronek zdrowie miał bez zarzutu i kondycję psychiczną też całkiem niezłą. Pracował więc po czterdzieści osiem i więcej godzin, nie opuszczając szpitala. Taki nieunormowany czas pracy dezorganizował zupełnie życie rodzinne. Trudno było umówić się na zakupy czy na jakiś wspólny rekreacyjny wypad. Rodzina nauczyła się już w swoich planach nie brać go pod uwagę. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby Maria miała auto dla siebie. Teraz, gdy musiała zrobić zakupy, zawoziła rano męża do szpitala, a potem przyjeżdżała po niego, kiedy zadzwonił, że jest wolny. Na szczęście mieli już nowszy i mniej zawodny samochód. Starego datsuna, który na szczęście był dobrze ubezpieczony, skradziono Bronkowi ze szpitalnego, strzeżonego parkingu. Kupił więc trzylitrowego forda granadę, również używanego, ale w bardzo dobrym stanie. Jazda tym autem, ze względu na dużą

moc silnika i możliwość efektywnego wyprzedzania innych samochodów, sprawiała Marii ogromną frajdę.

Tak zwanej frajdy w jej życiu jednak nie było za wiele. Powszedni dzień na ogół miała wypełniony zwykłymi zajęciami: praniem, prasowaniem, sprzątaniami i gotowaniem. Po wizycie ekipy z garden service stała godzinę z siatką nad basenem i łowiła żdźbła ściętej trawy, a potem ryżową szczotą szorowała niedostępne dla barakudy zakamarki, gdzie, mimo sypanego do wody chloru i kwasu, rozwijały się glony. Co rano robiła obchód trawników z wiaderkiem i łopatką w poszukiwaniu psich odchodów. Ogólnie wciąż coś było do roboty, ale jej efekty były mało widoczne i raczej niedoceniane przez resztę domowników. Snuła się smętnie po tym swoim ładnym, ale nudzącym ją już trochę obejściu. Jej wewnętrzne ograniczenia i wysokie ogrodzenie zakończone kolczastym drutem, poza które właściwie nie miała po co wychodzić, przygnębiały ją. Czowała się bardziej dobrowolnym więźniem niż lokatorką raję. Coraz częściej łapała się na tym, że nie reaguje już tak mocno jak dawniej na piękno i egzotykę przyrody, że Afryka chyba jej trochę spowszedniała.

Pragnęła poznawać ten kraj i jeździć na wycieczki, ale mąż nie miał czasu ani pieniędzy. Powinna odbywać długie spacerę z psem. Strong rósł jak na drożdżach, nie umiał nawet porządnie chodzić na smyczy. Nie uczyła go jednak, bo bała się wychodzić na ulicę. Od czasu, gdy zaraz po przyjeździe do Johannesburga okrążyła pieszo z córką całą Florida Hills, przeczytała wiele gazet i obejrzała w telewizji mnóstwo audycji pokazujących głównie kryminalne sensacje. Miała więc wrażenie, że w ciągu kilku miesięcy przestępczość wzrosła tu o kilkaset procent. Faktycznie wskaźniki przestępczości stale rosły, ale nie w takim tempie jak w głowie Marii.

Mieszkając na The Cut, częściej widywała śpieszących dokądś czarnych niż wtedy, kiedy wynajmowali mieszkanie na Florida Hills. Przechodzili obok jej posesji i szli ścieżką wydeptaną wzdłuż szpitalnego ogrodzenia. Marię widok czarnego, który jakby okrążył jej dom, zawsze niepokoił. Reagowała zupełnie jak Strong, który dostawał istnego amoku. Biegł, obszczekując każdego, i skakał tak wysoko, że wydawało się, iż lada moment zawiśnie na zwojach kolczastego drutu. Każdy czarny na widok tak groźnego psa trzymał się z dala od ogrodzenia i z bojaźnią spoglądał na miotającą się za płotem bestię. Najgorsze było to, że straszyl on również listonosza.

Listonosz, przynosząc Guziałom korespondencję, powinien wsunąć rękę w specjalną szparę w metalowym parkanie i umieścić listę w skrzynce o kształcie dużego buciora, stojącego na słupku tuż przy szparze. Odstęp skrzynki od szpary był nie większy niż trzy centymetry. Nie było więc możliwości, by podskakujący przy ogrodzeniu pies mógł dosięgnąć ręki listonosza. Jednak wściekłość, z jaką Strong reagował na każdy ruch wokół swojego terenu, sprawiała, że czarny

roznoszący pocztę bał się nawet zbliżyć do ogrodzenia i od pewnego czasu po prostu wrzucał korespondencję wprost do ogrodu. Pies oczywiście „otwierał” ją pierwszy. Do obowiązków Marii należało teraz więc także czatować na listonosza, żeby uprzedzić Stronga.

Gdyby miała swój samochód, to codziennie mogłaby podjechać do któregoś z centrów handlowych i osobiście pytać o pracę, co stwarzałoby jej większe szanse. A tak mogła tylko wyszukiwać w gazetach ogłoszenia i dzwonić. Ale rozmowy telefoniczne bardzo ją deprymowały, bo na ogół po przedstawieniu się słyszała płynący z drugiej strony wartki potok słów, w którym gubiła się po kilku minutach, i odkładała słuchawkę.

Bronek w powszedni dzień rzadko kiedy wracał z pracy przed zamknięciem sklepów. W sobotę jednak, jeśli miał wolne, jeździł razem z nią i pytał o jakiegokolwiek zajęcie dla żony. Pewnie zwiększyłaby swoje szanse, gdyby zostawiając męża w samochodzie, sama rozmawiała z menedżerami. Ale Maria wolała trzymać Bronka kurczowo za rękę. Stawała pół kroku za nim i on w jej imieniu prowadził rozmowę. Robiła zatem wrażenie zagubionej sierotki. Z jego pomocą w obecności menedżera wypełniała też formularz aplikacyjny. Nic więc dziwnego, że taki formularz natychmiast po ich wyjściu lądował w koszu na śmieci. Maria była na tyle inteligentna, że zdawała sobie sprawę z popełnianych błędów, lecz nie umiała ich wyeliminować. To wpędzało ją w jeszcze większy smutek i kompleksy.

Z przyjemnością i satysfakcją za to zajmowała się dziećmi w polonijnej szkółce. Do lekcji przygotowywała się zawsze solidnie. Dysponowała przysłanym z Wielkiej Brytanii podręcznikiem dla dzieci polonijnych, z którego kserowała teksty dla dzieci do nauki w domu. Najchętniej jednak sama wymyślała dla nich wesołe wierszyki i układała zabawne historyjki wzbogacające słownictwo i ćwiczące wymowę trudniejszych zbitek spółgłoskowych. Ta twórczość była doceniana przez uczniów i ich rodziców. Podnosiła ją na duchu, ratując przed depresją. Nie przynosiła jednak profitów, więc Maria miała z nią problem, że nie zajmuje się czymś poważnym, a jedynie folguje swoim przyjemnościom. Z tyłu głowy wciąż słyszała głos matki udzielającej jej nagany: „Bawisz się, zamiast pracować nad sobą i szlifować angielski. Stracisz swoją ostatnią już życiową szansę i nigdy nic nie osiągniesz. Powinnaś wstydzić się swoich własnych dzieci”.

A dzieci od pewnego momentu zaczęły wciągać się w Afrykę dosłownie z dnia na dzień. Coraz więcej czasu spędzały z rówieśnikami, którzy chodzili do tej samej szkoły i mieszkali nieopodal. Jacek i Małgosia mieli rozbudowane życie towarzyskie. Byli zapraszani na urodziny, jeździli na imprezy sportowe. Małgosia na przykład miewała bardzo religijne weekendy. Oprócz obowiązkowej niedzielnej szkółki i mszy w Bryanston często jeździła w sobotnie popołudnia ze swoją przyjaciółką Sharon, której ojciec był misjonarzem, do ewangelickiego kościoła na

katechezy prowadzone w formie zabawy.

Tak się jakoś złożyło, że spośród kolegów z klasy najbliższym przyjacielem Jacka stał się Żyd, Craig Goldmann. Zazwyczaj zaraz po lekcjach przyprowadzał go ze sobą do domu. Rodzice Craiga byli ludźmi bardzo zapracowanymi, więc pasowało im, że chłopiec od trzynastej trzydziści, o której kończyły się lekcje, do późnego popołudnia, gdy oni wracali z pracy, miał zapewnioną opiekę oraz smaczny, choć niekoniecznie kosztowny posiłek. Odwdzięczali się za to, zabierając w weekendy Jacka na swoją farmę, położoną w pobliżu Johannesburga, gdzie trzymali kilka koni pod siodło. Ponieważ Broniek życzył sobie, by Jacek w każdą niedzielę był w polskiej szkole, a potem na mszy, ojciec Craiga, sam bardzo religijny i pełen uznania dla postawy Guziała, przywoził Jacka z farmy na kilka godzin do Bryanston. Pan Goldmann i doktor Guział szli wówczas do pobliskiej kawiarni i spędzali miło czas na dyskusjach, popijając kawę po wiedeńsku lub zimne napoje.

Maria cieszyła się z przyjaźni Jacka z Craigiem, gdyż był to bardzo ambitny chłopiec i dobry uczeń. Broniek lubił i cenił kulturalnego pana Goldmanna, ale zawsze ze wzmoczoną ciekawością, a może nawet podejrzliwością, wypytywał syna, w jaki sposób ta rodzina spędza wolny czas, co jedzą i o czym rozmawiają. Marię takie dochodzenia denerwowały, bo węszyła w nich nieufność. Z relacji syna wyłaniał się jednak miły i ciepły wizerunek kochającej się, normalnej, inteligentnej rodziny. Nie było się więc do czego przyczepić.

Miłą odmianę w monotonnym tygodniu w domu przy The Cut stanowiły niezapowiedziane wizyty Ani i Ryśka z dziewczynkami. Kierowniczka szkoły i kościelny gitarzysta często wpadali do niej na chwilę pogawędki. Mieszkali w tej samej dzielnicy, więc wracając na przykład z zakupów, nadkładali parę kilometrów, by pochwalić się jakąś okazijną zdobyczą lub podzielić zasłyszczanymi wśród Polaków newsami. Ich córeczki świetnie dogadywały się z Małgosią i jej koleżankami. A w ogóle cała ta rodzinka była bardzo wesoła i energetyczna. Żyli w niewielkim, wynajętym mieszkanku. Ania, podobnie jak Maria, nie zatrudniała żadnej *maid* i wszystko robiła sama. Pracował jedynie jej mąż i chyba nie zarabiał zbyt dużo. Żyli zresztą skromnie, bo chcieli jak najwięcej odłożyć.

Ryśkowie nie przyjechali do RPA z zamiarem zostania na stałe. Przybyli tu tylko na jakiś czas na zaproszenie ciotki Ani, która opłaciła im podróż i wynajęcie mieszkania. Chcieli poznać ciekawy kraj, cieszyli się, że dzieci będą mogły poduczyć się angielskiego. Perspektywa rychłego powrotu do Polski sprawiała, że nie porównywali się z pozostałymi przedstawicielami Polonii i nie frustrował ich niższy poziom życia. Mieli inny punkt odniesienia. W Kaliszu był ich świat — mieszkanie, które czekało, i znajomi, którzy na pewno będą im zazdrościli takiej przygody. Nie było więc w tych ludziach kompleksów ani zawiści. Można było na przykład poprosić ich o popilnowanie domu na czas wyjazdu na weekend bądź na

wczasy. Korzystali z tego zamożniejsi znajomi z kościoła. Ania i Rysiek zjawiali się w umówionym terminie, uśmiechnięci, bezproblemowi i wdzięczni, że będą mogli skorzystać z basenu i przestronnego lokum. Nakarmili psy i koty, podlali ogródek i jeszcze podziękowali.

Nic dziwnego, że widok czerwonego, zdezelowanego forda, którym jeździli Ryśkowie, zatrzymującego się na końcu króciutkiej The Cut zawsze cieszył Marię. Któregoś dnia podczas takiej właśnie niespodziewanej, a wynikającej jedynie z potrzeby serca wizyty Ania wpadła do kuchni Marii, niosąc jakiś zawinięty w pergamin pakunek. Rozsiała przy tym w całym mieszkaniu niezwykle apetyczny aromat.

— Co tak pięknie pachnie? — zapytała Maria uśmiechniętą koleżankę.

— Rób kawę, bo przywiozłam ciepłą jeszcze drożdżówkę — odparła Ania, rozpakowując z pergaminu pięknie wyrośnięte ciasto ze smakowicie wyglądającą kruszonką.

— I po co wydawałaś pieniądze i kupowałaś ciasto! — krzyknęła z udawaną przyganą Maria. — U mnie jakieś lody zawsze się znajdują. Ale ten placek naprawdę pięknie wygląda, a jak pachnie! Przypomniała mi się Polska i ciasto mojej mamy — mówiła Maria z zachwytem i szykowała talerzyki.

— Wcale nie kupiłam. Ja co dzień piekę drożdżówki dla Hindusa, który ma niedaleko od nas kawiarnię — poinformowała Ania. — Tego mi nie wziął, bo, zobacz, wgniotło się tu z boku.

Faktycznie z jednej strony ciasto miało podłużne wgniecenie, ale i tak było cudowne, a rozmowa z Anią i Rysiem, jak zawsze, ożywcza i pożyteczna.

— A jak myślisz, czy ja bym też mogła znaleźć odbiorcę na jakieś inne ciasta? — zapytała Maria. — Drożdżowego nie umiem, ale inne owszem. I oczywiście, żeby nie robić ci konkurencji, będę szukać tu gdzieś bliżej mnie, w Discovery — dodała natychmiast.

— Jasne, próbuj. Pomyśl, co ci najlepiej wychodzi, znajdź kawiarnię, upiecz ciasto i zanieś do degustacji. Powiem ci, jak pakować, gdzie kupić takie tacki i serwetki w cenach hurtowych. — Ania gotowa była do wszelkiej pomocy.

— Bo ja wiem? Może pączki? — zastanawiała się Maria.

— Pączki odradzam. Ja próbowałam, ale bez automatu zrobienie identycznych wymiarowo jest praktycznie niemożliwe — skwitowała Anka.

— Najedliśmy się wtedy pączków za wszystkie czasy, bo zjadaliśmy te niewymiarowe — włączył się Rysiek. — Lepiej wymyśl coś na wagę.

— Moja mama robiła genialne torty. Zadzwoń, żeby przysłała mi przepisy — planowała Maria.

Kiedy Broniek wrócił z pracy, żona uraczyła go leciutką jak piórko, pachnącą drożdżówką produkcji Ani i swoim pomysłem. Miała już przepisy, które matka podyktowała jej przez telefon, i mnóstwo zapachu. Po tym telefonie obie, Maria

i Lucyna, nie mogły spokojnie spać w nocy. Maria z powodu podniecenia i natłoku myśli, jaki towarzyszył planowaniu cukierniczego chałupnictwa. Lucynę ucieszyło wprawdzie, że córka doceniła jej kunszt w robieniu ciasta, ale jednocześnie zaniepokoił komunikat, że Maria zamierza piec torty na sprzedaż. Nie tak Lucyna wyobrażała sobie życie żony lekarza w RPA, tym rajem dla białych. Dziwiła ją już wcześniej rezygnacja Maryjki ze służby. Profesorowa Wierzbicka sądziła, że w tym kraju nie wypada, by żona białego doktora sama zajmowała się sprzątaniami i gotowaniem. A teraz jeszcze dowiadywała się, że córka dramatycznie poszukuje zajęcia, które choć trochę wesprze domowy budżet. Co w takim razie robi jej zięć? Czy on naprawdę pracuje w swoim zawodzie? — zastanawiała się. Maj zawsze chwalił się, że Adamowi świetnie się powodzi i dosłownie opływa w luksusy, a tymczasem Bronek nie może zarobić na skromne życie czteroosobowej rodziny. Czyżby zięć się rozpił albo popadł w hazard? — martwiła się, sięgając po kolejną tę nocy tabletkę na uspokojenie.

ROZDZIAŁ 31

Maria z entuzjazmem podeszła do szukania odbiorcy swoich wypieków. Nie mówiąc nic Bronkowi, upiekła dwa niewielkie torciki, czekoladowy i owocowy, zapakowała je w pudełko i postanowiła wyruszyć w kierunku Struben Ave. Stała odwrócona plecami do ulicy i męczyła się z zamknięciem jedną ręką furtki, drugą bowiem miała zajęta pudełkiem. W tym momencie cicho podszedł do niej jakiś czarny, którego wcześniej nie zauważyła, bo widocznie stał za załomem jej ogrodzenia. Kiedy się odezwał, podskoczyła z przestachu i zrobiło jej się trochę głupio. Zagadał do niej coś po afrikaans. Odpowiedziała po angielsku, że nie rozumie. A wtedy on zaczął przywoływać innego czarnego, który siedział nieco dalej na trawniku pod ogrodzeniem szpitala.

Maria poczuła, że ze strachu zaczynają drżeć jej kolana. Na ulicy, prócz niej i tych dwóch czarnych, nie było nikogo. Ona stała przed otwartą właśnie furtką i trzymała w ręku pęk kluczy od domu. Wystarczyło wyrwać jej te klucze i... Już widziała siebie, w najlepszym wypadku, ogłuszoną i ogołoczone doszczętnie mieszkanie. Na szczęście ten drugi czarny był bardzo powolny, więc zanim zebrał się z trawnika, Maria szybko weszła z powrotem na swoją posesję i postawiwszy pakunek na skrzynce pocztowej, przekręciła klucz w zamku. Przy furtce zjawił się Strong, który wyjątkowo chyba zasnął, i zaczął głośno ujadać na mężczyzn. Bojaźliwie odsunęli się od ogrodzenia i nadal próbowali z nią rozmawiać.

Nie odwracając się, pobiegła szybko do domu, zamknęła drzwi na klucz i usiadła na kanapie, ciężko oddychając. Ta chwila paniki nie trwała długo. Przez okno zobaczyła, że ci dwaj dzwonią po kolei do furtek sąsiednich domów, jakby czegoś lub kogoś szukali. Zrobiło jej się wstyd tej historycznej reakcji. Posądziła Bogu ducha winnych ludzi o niecne zamiary. A może oni potrzebowali pomocy? Ten drugi tak niemrawo się ruszał, jakby mu coś dolegało — pomyślała poniewczasie. Wszystkiemu winne są prasa i telewizja. Z tego, co piszą i nadają, odnosi się wrażenie, iż każdy czarny to bandyta — usprawiedliwiała się. Wzięła wyjętą rano ze skrzynki gazetę i od razu na pierwszej stronie znalazła trzy informacje o napadach dokonanych w samym tylko Roodepoortcie. Jeśli wziąć pod uwagę, że to jedna z najspokojniejszych dzielnic Johannesburga, to nieźle — podsumowała.

Odłożyła gazetę, wzięła stojące nadal na skrzynce pocztowej pudełko z torcikami i zawołała Stronga. Przypięła mu smycz do obroży, a potem ponownie wyszła na ulicę. Czarnych już nie było. Nieszkolony pies początkowo szarpał się w różne strony. Sznaucery jednak szybko się uczą, gdy więc użyła kilkakroć siły i przymusiła go do posłuszeństwa, a następnie nagrodziła pochwałą za dobre zachowanie, dało się już jako tako iść z nim dalej. Strong miał zupełnie inny

charakter niż jej cudowny, przyjacielski, niezapomniany Zulus, który dosłownie czytał w myślach. Krnąbrnemu Strongowi trzeba było co jakiś czas przypominać, kto w tej parze rządzi.

Kiedy znaleźli się wreszcie pomiędzy białymi na dość ruchliwej Struben Ave, pies zachowywał się już zupełnie dobrze. Tylko na widok czarnych szczekał i rwał się do nich, ale czarni omijali go szerokim łukiem. Ciekawe, skąd u psa taka rasistowska postawa? — zastanawiała się Maria. Nikt go nie szczuł przecież na czarnych. A w ogóle dziwiło ją, że w tak młodym, właściwie jeszcze szczenięcym wieku ten sznaucer jest tak agresywny. Trzymała go więc bardzo krótko, tuż przy nodze i szła, szukając kawiarni lub restauracji, gdzie mogłaby zaprezentować swoje wypieki. Pudełko z ciastem niestety wciąż było potrząsane i zmieniało pozycję.

Znalazła się przed sklepem spożywczym, w którym, jak to często jest tutaj w zwyczaju, serwowano także kawę, herbatę i inne napoje oraz szybkie dania i desery. Przywiązała psa przy słupie lampy i weszła do środka. Sporo trudu i czasu kosztowało ją wytłumaczenie właścicielowi, o co jej tak naprawdę chodzi. Kiedy miała nadzieję, że wreszcie pojął, otworzyła swoje pudełko. To, co z niego wyciągnęła, nie przypominało misternie przybranych ciast, które rankiem wkładała do kartonu.

— Przepraszam, to zrobił mój pies — bąknęła zażenowana i spojrzała w oczy właścicielowi. Jego twarz wyrażała niedowierzanie i obrzydzenie. — Nie, on tego nie dotykał, tylko ruszał pudełkiem — wyjaśniła szybko. — Możesz spróbować, że to jest bardzo dobre. Sama piekłam — zachęcała.

Bur na papierową tackę nałożył trochę kremowo-biszkoptowej paćki, z której wystawały owoce, podał ją czarnemu ustawiającemu na półkach towar i powiedział:

— Spróbuj. Nie bój się. Jedz śmiało i powiedz, czy ci smakuje.

Człowiek z niepewną miną skosztował ciasta, po czym wywrócił oczy tak, że widać mu było same białka, i wydał z siebie dziwne westchnienie. Przez moment Maria i właściciel sklepu mieli nietęgę minę, bo facet wyglądał, jakby mu się coś stało. Wkrótce jednak okazało się, że Murzyn w ten teatralny sposób wyrażał swój zachwyty dla sponiewieranego ciasta. Dostał więc jeszcze dużą porcję czekoladowej brei, której smak doprowadził go do kataleptycznego stuporu, trwającego dobre pół minuty. Bur śmiał się tak głośno, że z zaplecza wyszła jego żona, a później także córka. Rodzina rozdzieliła między siebie ciasto i spałaszowała wszystko z ochotą. Maria spytała wtedy, czy mogłaby dostarczać do sklepu takie wypieki, tylko w dobrym już oczywiście stanie. Bur podrapał się po głowie i powiedział, że się zastanowi i da jej znać telefonicznie. Mówiąc to, wyciągnął z kasy dziesięć randów i podał Marii.

Miała ochotę wyjść, nie biorąc pieniędzy, bo poczuła, że jest to z jego strony jałmużna. Ale pomyślała natychmiast, że nie stać jej na pieczenie ciast

i rozdawanie, więc wsunęła banknot do kieszeni. W tym momencie przed sklepem rozległo się ujadanie psa i czyjś rozdzierający krzyk. Na chodniku siedział nastoletni, czarny chłopak i trzymał się za łydkę. Strong natomiast stał na tylnych łapach, śmigając w powietrzu przednimi, i rwał się do następnego skoku na poszkodowanego. Ten, na szczęście, dzięki mocnej smyczy trzymającej psa na uwięzi był już poza jego zasięgiem.

Maria obejrzała wystającą z podartych portek łydkę czarnego, na której widoczny był podbiegnięty krwią odcisk szczęki sznaucera, i powiedziała:

— Bardzo przepraszam, jest mi bardzo przykro. To młody pies i jeszcze nieulożony, ale był szczepiony na wściekliznę. — Włożyła chłopakowi w dłoń dziesięciorandowy banknot, który otrzymała przed chwilą od właściciela sklepu, i szybko się oddaliła.

Do domu wróciła bardzo zmęczona i zgnębiona. Nie chciała opowiadać o swojej wyprawie mężowi, bo bała się, że będzie miał pretensje o nieodpowiedzialne zostawienie psa na ulicy. Broniek zdecydowanie nie lubił Stronga, gdyż pies od początku stwarzał im same problemy.

— Ten żydowski pomiot chce wszystkich zdominować i w dodatku jest zboczony. Powinniśmy się go pozbyć, bo może być niebezpieczny dla dzieci! — grzmiał nieraz i odpędzał psa od Jacka i Małgosi, które Strong traktował jak swoich partnerów do zabawy i próbował obskakiwać w celach kopulacyjnych.

— To nie jest żydowski pomiot, tylko psi — prostowała wolno i dobitnie Maria, a jej uraza do męża rosła. Choć sama nie przepadała za nadmiernie pobudzonym psiskiem, to mówiła jednak: — Ma bardzo dominujący charakter i w ten sposób właśnie to podkreśla. Musimy go krótko trzymać i próbować utemperować, ale w tym niebezpiecznym kraju taki bojowy pies to skarb — przekonywała.

Po niezbyt udanej wyprawie na Struben Ave Maria czekała parę dni na telefon od właściciela sklepu, lecz ten nie zadzwonił. Upiekła więc tym razem nieco większy czekoladowy tort, zapakowała go dużo lepiej niż poprzednio i znów się wybrała — tym razem bez psa — reklamować swoje wyroby. Z duszą na ramieniu pokonała tę część Discovery, gdzie nie było banków i sklepów, a zatem także ludzi na ulicach. Przeszła obok znajomego marketu i nie zatrzymując się tam, poszła aż pięć przecznic dalej. Na jednym rogu zobaczyła sklep jubilerski, a nieco dalej trafiła wreszcie na małą restauracyjkę. Na zewnątrz, pod arkadami znajdowało się kilka wiklinowych stolików z półokrągłymi fotelami. Przez okno zobaczyła dużą lodówkę z wiaderkami lodów, a obok niej witrynę z ciastkami.

Dogadała się z właścicielem dużo lepiej niż poprzednio, bo wcześniej napisała sobie potrzebne słówka i konstrukcje składniowe. Tort prezentował się dobrze i smakował wybornie. Zapytano ją, czy mogłaby przystrajać ciasta zgodnie z indywidualnymi zamówieniami. Była oczywiście skłonna dostosować dekorację,

a także smak do wymagań zamawiającego. Właściciel uprzedził, że jeśli zdecyduje się na współpracę z nią, Maria będzie musiała udostępnić swoją kuchnię do kontroli. Umówili się na telefon.

Wracła do domu pewna, że tym razem odniosła sukces. Bała się tylko, czy jej zwyczajna i niezbyt nowoczesnie urządzona kuchnia zostanie zaakceptowana przez inspekcję, która była pewnie odpowiednikiem polskiego sanepidu. Po powrocie do domu natychmiast wzięła się za szorowanie piekarnika, zlewu i wszystkich szafek. Watką nawiniętą na wykałaczkę i zwilżoną spirytusem dłubała we wszystkich szparach, wygrzebując paprochy drzemiące tam zapewne od wielu lat. Przypomniało jej się, że były takie dni, kiedy babcia Hania, robiąc w kuchni porządki, popadała w podobną przesadę. Rozkręcała kuchenkę, odsuwała meble i mówiła przy tym, że musi usunąć chamec¹.

— Ja na bieżąco sprzątam w domu. Muszę mieć zawsze czysto, a twoja babka robi to raz do roku — śmiała się złośliwie Lucyna.

Maria zrozumiała dopiero teraz, że babcia robiła te porządki z jakiegoś religijnego nakazu. Podkreślała, że usuwa z domu okruchy chleba, a z zakamarków duszy pychę. Wnuczka usiłowała sobie przypomnieć, w jakim miesiącu przypadały te babcine porządki lub przynajmniej, jaka to była pora roku. Wydawało się jej, że zarówno wymiatanie chamecu przez babcię Hanię, jak i wiosenne sprzątanie całego mieszkania zarządzane przez Lucynę odbywało się blisko świąt Wielkiej Nocy.

W RPA wprowadzie zaczynała się jesień, jeśli tak można nazwać przejście z mokrej, burzowej i gorącej pory w suchą i trochę chłodniejszą, ale niewątpliwie zarówno na północnej, jak i na południowej półkuli właśnie zbliżała się uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego. Należało więc i tak nieco solidniej posprzątać dom, nawet nie oczekując kontroli afrykanerskiego sanepidu. Zatem Maria zgodnie z chrześcijańską tradycją sprzątnęła we wszystkich kątach swojego domu, wymiatając z innymi brudami chyba także tajemniczy chamec. Nie wiedziała, niestety, jakie wydarzenie z życia narodu wybranego ma to sprzątanie upamiętniać. Jeśli zaś chodzi o pokorę, to każdy dzień w RPA czynił ją coraz bardziej pokorną.

chamec — zakwas (hebr.); przed świętem Paschy Żydzi usuwali z domu wszystko, co miało kontakt z zakwasem [wróc]

ROZDZIAŁ 32

Maria na razie nie chwaliła się w domu swoimi wędrownkami z ciastem po mieście. Chciała zrobić mężowi niespodziankę. Sądziła, że restaurator zadzwoni do niej za dzień, najdalej za dwa, a tymczasem telefon, jak poprzednio, milczał. Kuchnia była wysprzątana, wszystko lśniło, a ona gotowa do pracy. W piątek wieczorem przed Niedzielą Palmową zadzwoniła do niej Ania i wesolutko zaćwierkała w słuchawce:

— Słuchaj, robimy kiermasz wypieków świątecznych i będziemy je sprzedawać przed kościołem. Co ty na to? Nie ukrywam, że bardzo na ciebie liczę.

— Ale ja... — Maria chciała powiedzieć, że może mieć w każdej chwili zamówienia na torty i wtedy nie zdąży z wypiekami dla siebie.

— Och, ty to zawsze masz w zanadrzu jakieś „ale” — fuknęła na nią Ania. — Mówiłaś, że potrzebujesz pieniędzy. Masz jakiś dobre przepisy na ucieraną babkę i na mazurki? Ja, jak zwykle, piekę drożdżówkę i zawijane makowce — zastrzegła.

— Dobrze, zrobię kilka mazurków i babek — powiedziała z rezygnacją Maria.

„Anię trudno było przegadać, a z tego zamówienia na torty może jeszcze nie wyjść” — pomyślała. Oni zawsze mówią, że się skontaktują. Ten właściciel restauracji był gorszy od pierwszego, bo wziął od niej tort, ukroił sobie kawał, zjadł ze smakiem, a resztę wstawił do szklanej, chłodniczej gabloty i nie zapłacił ani grosza. Nie wyglądał na Bura ani na Angola. Miał bardzo ciemne włosy i oczy oraz śniadą cerę. Pewnie jakiś Arab albo Cygan — stwierdziła i w tym momencie już odeszła jej ochota na współpracę z nim.

Wieczorem, gdy dzieci poszły spać, wzięła się za pieczenie ciast do kościoła. Nie miała żadnych robotów, mikserów i tym podobnych udogodnień. Wszystko musiała ubić, ukręcić i wymieszać własnymi rękami. Dekoracje robiła w nocy z soboty na niedzielę. Na czekoladowej polewie mazurków malowała lukrem bazie wierzbowe, pisanki, zajaczki i kurczaczki. Wszystko wyszło znakomicie. Z wyrośniętych pięknie bab także spływały różnokolorowe lukry. Wschodziło już słońce, gdy zapakowała w celofan ostatnią babkę i położyła się cichutko spać. Miała nadzieję, że gdy dzieci się obudzą, Broniek zrobi im śniadanie, a ona pości jeszcze trochę. Ale mąż obudził ją znacznie wcześniej.

— Dzwoni do ciebie jakiś facet i mówi coś o cieście, że chce zamówić. Ale to nikt z kościoła, bo mówi po angielsku, a w dodatku z dziwnym akcentem. Co to za historia, o której nic nie wiem? — Broniek spoglądał na żonę podejrzliwie. Maria nie całkiem jeszcze przytomna podeszła do telefonu. Właściciel restauracji Diego Padromirrez zamawiał urodzinowy tort dla kochającego piłkę nożną siostrzeńca.

Życzył sobie ciasto co najmniej trzykilogramowe, z nawiązującą do pasji dwunastolatka dekoracją i napisem, który przeliterował Bronkowi, bo Maria nie dała sobie rady z angielskim alfabetem.

Bronek był bardzo niezadowolony, że z powodu pieczenia Maria nie jedzie do kościoła i daje dzieciom zły przykład, ale załadował do samochodu gotowe babki oraz mazurki i pojechał z Małgosią i Jackiem do Bryanston. Tego dnia z powodu kiermaszu miało nie być w szkole lekcji. Maria wzięła bardzo zimną kąpiel w basenie i zaczęła ubijać jaja na biszkopt. Całe szczęście, że Ania zaciągnęła ją dzień wcześniej do Makro na gigantyczne zakupy, więc miała jeszcze w domu zapas produktów potrzebnych do wypieków. Małgosia i Jacek z pomocą Ani zajęli się sprzedawaniem słodyczy, a ich tata raczej bawił eleganckie babki, które same piec nie miały ochoty, więc przebierały w rozłożonych na stołach ciastach i z lukrowym uśmiechem na wiśniowych ustach słuchały słodkich komplementów przystojnego rodaka. Chełpił się potem, że to on był głównym sprawcą sukcesu ciast upieczonych przez żonę.

Maria w tym czasie uwijała się jak w ukropie, żeby zrobić obiad i nie spóźnić się z wykonaniem zamówienia. Pośpiesznie studziła kolejne biszkopty, ucierała białą i ciemną masę oraz gotowała polewę. Wszystko się udało, ale dopiero co wysprzątana kuchnia wyglądała jak pobojuwisko, gdy wszedł do niej roześmiany Diego z siostrzeńcem. Bez targowania zapłacili za tort w kształcie biało-czarnej piłki spoczywającej na liściach świeżej mięty. Dzieci również sprzedały wszystkie wypieki i robiły już plany, na co wydadzą zarobione dwieście randów. Maria padała z nóg, a należało zacząć przygotowania do świąt we własnym domu. Zanim położyła się spać, odebrała jeszcze telefon od Diego. Cała jego rodzina chwaliła tort. Chciałby więc od razu zamówić do restauracji następne takie samo ciasto.

„Wreszcie jakiś sukces” — ucieszyła się, ale radość trwała tylko chwilę, bo gdy pomyślała, że zaraz znowu ma zaczynać tę całą papraninę, zrobiło jej się słabo. „Nie mogę się teraz poddać. Muszę zrobić tę kolejną słodką piłkę, a potem już jakoś wszystko się unormuje” — pocieszała się. Najbardziej zależało jej na tym, żeby udowodnić sobie i matce, że już teraz potrafi wytrwać. Nie chcąc budzić w nocy męża, przespała się trochę w salonie na wiklinowej kanapce i wstała o trzeciej nad ranem, gdy zadzwonił nastawiony przez nią budzik. Po cichutku zaczęła ubijać jaja na kolejny biszkopt. Była zła na siebie, że nie zaproponowała prostszej formy. Robienie następnej kuli z wielu warstw ciasta i kremu było bardzo kłopotliwe. Zostawało jej w dodatku dużo niewykorzystanych okrawków i nie była pewna, czy cena, którą podała trochę „z sufitu”, daje jej naprawdę jakiś zarobek. Walcząc z opadającymi ze zmęczenia powiekami i rozcierając obolały kark, tłumaczyła sobie, że na razie trzeba zacisnąć zęby i nawet dołożyć do interesu, byle tylko zdobyć klientów.

Rankiem, gdy rodzina wstała z łóżek i chciała zjeść śniadanie, zastali matkę w klejącej się od czekolady i kremu kuchni zalewającą się łzami. Zmęczona kobieta odebrała telefon od Diego, który życzył sobie, by dostarczyła mu tort do restauracji nie później niż na dziesiątą. Zapowiedział jednocześnie, że około południa może się spodziewać inspekcji sanitarnej. Maria nie wyobrażała sobie w tym stanie pokonania pieszo z tortem wielu kilometrów i jeszcze posprzątania zabałaganionej kuchni. Nie wspomniała jednak Diego, że nie dysponuje samochodem.

Bronek był wzruszony poświęceniem żony i jej dziecinną wręcz nieporadnością. Odczuwał też wyrzuty sumienia. Pieniądze, które wypracowała Maria, były w sumie niewielkie, ale pozwalały mu znów coś wpłacić na konto Nancy, która jeszcze nie pracowała, a musiała przecież żyć i opłacać pokój. Nie tak to sobie wszystko wyobrażał i nie do takiego rajy przyjechała Maria. Otarł jej łzy, a właściwie scałował je z delikatnych, ślicznie zarumienionych policzków. Gorącymi pocałunkami pokrył zdrętwiały z bólu kark, odsłonięty teraz poprzez fantazyjnie związane włosy i powiedział:

— Daj ten cholerny tort, to go zawiozę teraz przed pracą. Tylko wytłumacz mi, gdzie jest ta restauracja. Zadzwońię do Diego, żeby ktoś z jego pracowników czekał już na mnie na ulicy, bo mam mało czasu.

— Ale tobie to nie po drodze — zmartwiła się Maria.

— Trudno. Najwyżej trochę się spóźnię. Powiem, że był korek. I błagam cię, nie bierz zamówień ponad twoje siły.

Wdzięczność Marii wobec męża była ogromna. Kiedy usta Bronka dotykały jej szyi, gotowa była, mimo zmęczenia, paść mu w ramiona i zaciągnąć go natychmiast do sypialni. Przemknęło jej nawet przez myśl, żeby wykorzystać blat kuchennej wyspy. Broniek też chętnie posunąłby się w swych pieszczotach znacznie dalej, tym bardziej że dzieci wyszły już do szkoły, a on stęsknił się za małżonką spędzającą nocę poza sypialnią, ale niestety obowiązki wzywały. Przygarnął ją więc po raz kolejny do siebie, przyciskając mocno jej biodra do swoich. Dłońmi dotykał jej jędrnych, napiętych pośladków i poczuł gorąco, jakie buchało z cudownych, na wpół obnażonych piersi. Ostatkiem woli oderwał się od Marii, by wskoczyć do samochodu i gnać jak wariat niewielkimi uliczkami Roodepoortu do restauracji Diego Padromirreza.

„Co za ironia losu” — myślał. „Mam za żonę wspaniałą kobietę. Kocham ją i pragnę wciąż tak samo mocno jak w dniu, w którym zobaczyłem ją po raz pierwszy, a jednocześnie wciąż ją okłamuję i oszukuję”. Najgorsze było to, że nie widział możliwości wywikłania się z tej sytuacji. Nie wierzył w wyzwalającą moc prawdy. A przynajmniej nie w tym wypadku. Tu prawda mogła zadziałać jak eksplozja bomby atomowej. Nie dość, że z małżeństwa pozostałyby tylko zgliszcząca, to jeszcze serca dzieci, które najmocniej odczułyby rozpad rodziny,

byłyby na zawsze skażone brakiem zaufania. Myślał tylko o Jacku i Małgosi. To były jego dzieci, które chciał chronić. Tamto ciemnoskóre, wprawdzie teraz jeszcze nieporadne i niewinne, odbierał jako wrogie zagrożenie tego, co miał, kochał i szanował. Nie chciał swego czarnego syna nawet oglądać.

Po pierwszych paru przecznicach zwolnił nieco. Nie było potrzeby aż tak gnać. W szpitalu zrobiło się teraz mniej nerwowo i jakoś tak sympatycznie. Szefem Bronka był obecnie niezwykle kompetentny i opanowany Hindus, doktor Pathel. Cenił wiedzę i umiejętności Polaka i chciał mu maksymalnie iść na rękę w sprawie specjalizacji. Zebrał specjalną komisję, która rozpatrzyła dostarczone przez Guziała dokumenty i zdecydowała o zaliczeniu mu trzech lat stażu do specjalizacji. Była więc nadzieja na nieco szybszą poprawę sytuacji finansowej Guziaków. „Trzeba jakoś wytrzymać jeszcze dwa lata, a potem będzie z górki” — pomyślał.

Planował, że zaraz po uzyskaniu specjalizacji sprzeda dom i wyjedzie jak najdalej stąd. Najlepiej do Cape Town, żeby Nancy ani jej dziecko nigdy do niego nie dotarli. Nie miał zamiaru zaprzestać płacenia na syna. Chodziło mu tylko o to, żeby ograniczyć do minimum prawdopodobieństwo spotkania Nancy z Marią. W przyszłości może uda się jej zniknąć z oczu, a na razie chciałby chociaż na jakiś czas móc przestać o niej myśleć. Niepokoiły go zmiany, jakie zaszły w nierozgarniętej dotąd i wycofanej czarnej dziewczynie. Duży wpływ miała na nią poznana w szpitalu, starsza od niej i zdaje się, że bardzo przedsiębiorcza Virginia. Obie urodziły dzieci w tym samym czasie, ale Virginia już podobno gdzieś pracowała i namawiała Nancy, żeby zamieszkała razem z nią w Aleksandrii. Nancy jeszcze się na to nie zdecydowała, lecz już pod wpływem Virginii zaczęła się wyzywająco ubierać i malować.

Zamyślony Broniek przejechał obok restauracji Diego i musiał wracać. W końcu przekazał ciasto samemu właścicielowi. Brazylijczyk cały w uśmiechach powtarzał jeszcze, że tort na urodzinach siostrzeńca zrobił furorę wśród nastolatków, więc Maria może się spodziewać więcej tego typu zamówień. Oznajmił, że jako pośrednik będzie zabierał dwadzieścia procent dla siebie. Chciałby także co weekend, kiedy ruch klientów jest wzmożony, mieć w swojej restauracji po dwa torty — czekoladowy i owocowy.

Maria bardzo się ucieszyła, gdy Bronek po powrocie z pracy jej to powtórzył. Nie usiadła jednak z ołówkiem w ręku i nie skalkulowała sumiennie kosztów, a już wkładu własnej pracy zupełnie nie potrafiła wycenić. Pod koniec każdego tygodnia miała więc nawał pracy. Po kilku tygodniach pieczenie i zdobienie tortów szło jej dużo sprawniej. Starła się rozplanować pracę tak, żeby nie zarywać nocy i żeby rodzina z powodu tego jej słodkiego biznesu nie była zaniedbywana. Nie zawsze niestety jej się to udawało, bo trudno było przewidzieć liczbę zamówień i ich rodzaj. Gubiła ją ambicja. Maria bowiem chciała, żeby każdy jej tort był niepowtarzalny. Tworzyła istne dzieła sztuki, a płacono jej jak za

zwykle ciasto, które można nabyć w hipermarkecie. Zmęczenie narastało, a dług w banku jakoś nie malał.

ROZDZIAŁ 33

Od pewnego czasu Marii stale towarzyszyło nieprzyjemne napięcie nerwowe. Starła się tego nie okazywać rodzinie, bo cóż oni byli winni, że z nią działo się coś nie tak. Przecież obiektywnie nie miała powodów do narzekania, a jednak nie bywała już szczęśliwa jak w pierwszym okresie, zaraz po przyjeździe do RPA, gdy mieszkali jeszcze w Mapulanengu. Tak naprawdę to teraz tylko chwilami nie bywała nieszczęśliwa. Nie potrafiłaby wskazać przyczyn trapiącego ją smutku, więc za wszystko obwiniała siebie i swoją złą naturę.

Kiedy dzieci wracały ze szkoły, a ona jeszcze nie zdążyła ugotować obiadu, bo całe przedpołudnie piekła ciasta, od razu wpadała w popłoch. Wszystko leciało jej z rąk i każda czynność zajmowała jeszcze więcej czasu. Jeśli w takim stanie musiała skończyć tort, to bywało, że ręka jej zdrząła i spaprała dekorację. Czasem trzeba było zdrapywać napis, w który wkradł się błąd, gotować nową polewę albo nawet zaczynać całą pracę od początku. Krzątając się nerwowo, robiła w kuchni dużo bałaganu i miała później więcej sprzątanina.

Bronek widział, że żona się męczy. Obserwując jej chaotyczne działanie, starał się jakoś pomóc. Ale Maria odbierała jego interwencję jako kolejne upokorzenie i dowód na to, że nawet do pieczenia ciasta się nie nadaje. Wskazówki, które mogłyby jej coś ułatwić, traktowała niemalże jak obelgi i stawała się nieprzyjemnie agresywna. Rezygnował więc i zajmował się swoimi sprawami, których miał aż nadto. Martwił go jednak stan wiecznego poirytowania żony. Jego zdaniem Maria za mało spała. Zarywała noce, tłumacząc się, że praca idzie jej najlepiej, gdy nikt jej nie przeszkadza.

Życie erotyczne, które do niedawna było bardzo mocnym spoiwem ich związku, więdło i zamierało, choć każde z nich nadal pożądało swego partnera i tęskniło za dawnymi, tak satysfakcjonującymi igraszkami w łóżku. Oboje lubili kiedyś poranny seks. Teraz Broniek leżał spokojniutko aż do dźwięku budzika, bo nie chciał budzić żony, która pół nocy spędzała w kuchni. Maria zaś, idąc do łóżka grubo po północy, robiła to możliwie jak najciszej, by nie przeszkadzać mężowi, który ciężko pracuje i do tego wiele nocy spędza na dyżurach. Delikatnie kładła się obok Bronka, ale nie zasypiała, bo przerażała ją perspektywa następnego dnia.

Obiektywnie nie mogła o sobie powiedzieć, że jest strasznie obciążona pracą. Problem tkwił w nieregularności zamówień i krótkich terminach ich wykonania. Bywały dni kompletnej posuchy, a potem nagle trzeba było upiec kilka ciast naraz i to na ogół w weekend, kiedy również uczyła w niedzielnej szkółce. Czasami na przykład Diego dzwonił w południe, że chce mieć na piętnastą piętrowy tort. Maria się denerwowała, ale starała się sprostać każdemu zadaniu, bo uważała, że nie stać jej na odrzucanie zamówień. Walka z czasem wykańczała ją

jednak nerwowo.

Nie zaprzestała też poszukiwania jakiejś etatowej posady — przeglądała anonse prasowe i zachodziła do kolejnych sklepów z zapytaniem, czy nie szukają kogoś do pracy. Z planem Roodepoortu przemierzała kolejne ulice, na których odkryła jakieś sklepy, żłobki, przedszkola, i niestrudzenie składała swoją ofertę. Siadała w kolejkach na interview, trzymając w drżącej dłoni swoje CV. W sumie to w Woolworthie, Truworthie, w Giancie i innych wielkich sklepach pytania były podobne. Powinna więc odpowiadać na nie za którymś tam razem pewniej i płynniej, nabierać wprawy. U niej jednak wszystko działało inaczej. Każda następna porażka, każda niespełniona obietnica, zawiedziona nadzieja, że się odezwą, to coraz większy stres, coraz większe obciążenie i niewiara w siebie widoczna już na pierwszy rzut oka.

Nie mówiąc nic mężowi, poszła do sąsiadującego z ich posesją zakładu dla przewlekle chorych, bo znalazła ogłoszenie, że poszukuje się tam kilku salowych. Stała na końcu gigantycznej kolejki, złożonej wyłącznie z czarnoskórych kobiet. Patrzyły na nią ze zdziwieniem, a potem z nieukrywaną złością, gdyż osoba przeprowadzająca nabór wyłowiła ją z kolejki i poprosiła od razu do siebie. Kobieta w średnim wieku, pewnie przełożona pielęgniarek, po pierwszych słowach poznała, że ma do czynienia ze świeżą imigrantką. Dobrotliwie wytłumaczyła Marii, że przemiany polityczne nie spowodowały jeszcze takich zmian mentalnych, by w ich zakładzie biała kobieta mogła być zatrudniona do wynoszenia basenów.

— Nasi pacjenci to na ogół starzy ludzie. Widząc cię w takiej roli, czuliby się niekomfortowo — powiedziała. — To mogłoby zaburzyć ich poczucie bezpieczeństwa. Rozumiesz, co mam na myśli? Dla nich byłby to znak, że świat się wali, a ich status zamożnego białego nie jest już wcale pewny.

Tak, Maria doskonale wszystko rozumiała. Coraz lepiej też rozumiała audycje nadawane przez telewizję. Śledziła transmisję z obrad CODESA, afrykańskiego odpowiednika polskiego Okrągłego Stołu. Umierała ze strachu, gdy Mangosuthu Buthelezi reprezentujący zuluską Inkathę, Partię Wolności Zulusów, odstępował od rozmów. Zdawała sobie bowiem sprawę, że w każdej chwili może dojść do wojny domowej, gdy Natal będzie chciał się odłączyć od reszty kraju. Cieszyła się, że przynajmniej król KwaZulu jest bardziej ugodowy. Rozmowy, które prowadziła na te tematy z mężem, nie uspokajały jej. Bardzo źle usposobiony do komuny Broniek wciąż straszył rosnącą w ANC rolę Chrisa Haniego, sprytnego i bezwzględnego przywódcy SACP, Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej.

Afrykańską telewizję oglądała z mężem głównie po kolacji, gdy dzieci pakowały się do szkoły i myły do snu. Mogła sobie wtedy pozwolić na krótki odpoczynek. Tylko że ten relaks nie dawał jej psychicznego odprężenia. Wciąż była bombardowana wiadomościami o zabójstwach politycznych, masakrach

i przemocy. Nie lepiej też działo się w innych miejscach globu, na Bliskim Wschodzie, w Azji i w Europie. Stany wojowały z Saddamem Husajnem, wojska ONZ interweniowały w Somalii i nawet w starej i wydawałoby się rozsądnej już Europie toczyła się wyjątkowo okrutna wojna domowa między częściami rozsypującej się Jugosławii. W afrykańskich dziennikach skupionych na własnych sprawach pokazywano przede wszystkim relacje z CODESA oraz różnych zamieszek wybuchających w kraju, ale większość, jakieś trzy czwarte, wiadomości to były newsy kryminalne.

W sumie niewiele można było się dowiedzieć o reszcie świata, a o Polsce właściwie nic. Kiedy więc Maria wracała zmęczona do domu po dostarczeniu tortu lub z wyprawy w poszukiwaniu pracy, robiła sobie kawę i włączała CNN. Prawdę powiedziawszy, forma podawania przez nich wiadomości bardzo ją drażniła. Ona miała tak mało czasu, a stacja każdą porcyjkę wiedzy o świecie opakowywała w całe mnóstwo przerywników, sygnałów dźwiękowych i wizualnych. Jeśli w końcu doczekała się wzmianki o swojej ojczyźnie, spiker błyskawicznie wypowiadał kilka zdań i przechodził do innych spraw. Maria zazwyczaj nie była pewna, czy dobrze wszystko zrozumiała, czekała więc na powtórkę, która następowała po kolejnych wirowaniach logo stacji i głośnych fanfarach, które dłużyły się jej w nieskończoność i wyprowadzały ją z równowagi.

Jeszcze jesienią 1991 roku dowiedziała się właśnie za pośrednictwem CNN, że Polska ma nowy rząd, na którego czele stanął premier Jan Olszewski. Maria dobrze pamiętała starszego, tęgiego pana o nastroszonych brwiach i wiedziała, że był człowiekiem prawicy. Prezydentem był wówczas Lech Wałęsa. Jako Polka była z niego bardzo dumna, bo nawet niektórzy Murzyni w Mapulanengu wiedzieli, kto to taki, i wymieniali jego nazwisko jednym tchem z Janem Pawłem II.

— Wałęsa wyrzuca wojska radzieckie i oczyści Polskę z resztek komunizmu — mówił entuzjastycznie jej mąż, więc cieszyła się, że przynajmniej w kraju wszystko szło w dobrym kierunku. „O takie zmiany przecież nam chodziło” — myślała. Tylko jej matka, którą posądzano o tęsknotę za komuną, wciąż była niezadowolona. Pisała w listach i mówiła przez telefon, że ludziom żyje się bardzo ciężko, a wśród rządzących toczy się bezpardonowa wojna o władzę.

— Ja nie wiem, jak to będzie w tej Polsce. Gdzie ludzie będą teraz pracować? Wszystko sprzedają obcym za bezcen, a ci doprowadzają gospodarkę do ruiny. Co rusz upada jakieś przedsiębiorstwo — martwiła się Lucyna. — To czasy dla złodziei i bandytów. Namnożyło się tego aż strach. Wciąż jakieś afery i oszustwa. Teraz w sklepach jest już, co dusza zapagnie, ale ludzie nie mają za co kupować. A najgorsza ta inflacja. Znalazłam jeszcze taką książeczkę oszczędnościową, dawno temu tata założył ją dla ciebie, myślałam sobie, że dla Małgosi będzie, poszłam do PKO, ale to już nic niewarte. Jak przyjedziecie, to na dobre lody chyba za to pójdziemy i nie wiem, czy starczy.

Lucyna skarżyła się, że coraz trudniej jej wyżyć z wdowiej renty. Wyznała, że od czasu do czasu sprzedaje w Desie coś ze starej porcelany po teściowej. Maria pamiętała, że babcia swego czasu chętnie kupowała właśnie w Desie piękne filiżanki i talerzyki oraz inne cacka, żeby sobie powetować to, co straciła za okupacji.

— Myślałam, że będę ci mogła pomagać i wysyłać stąd pieniądze, a tymczasem sami ledwo wiążemy koniec z końcem — powiedziała cicho po wysłuchaniu żalów matki.

— To ty się chyba nie umiesz rządzić! — wykrzyknęła zdumiona Lucyna. — Tam przecież wszyscy biali żyją jak królowie. Może weź się do jakiejś roboty — poradziła. — Korona ci z głowy nie spadnie, jak znów będziesz przedszkolanką.

Maria poczuła się zdołowana. Matka miała takie wyobrażenie o RPA, z jakim ona tu przyjechała. Sama zresztą ten fałszywy obraz utrzymywała, wysyłając jej entuzjastyczne i pełne peanów listy. Teraz jednak nie była w stanie i nie chciała już dłużej ukrywać swoich kłopotów. Jej pierwsza, szczerza rozmowa telefoniczna z matką trwała bardzo długo i dodatkowo nadszarpnęła i tak katastrofalny budżet Guziałów, ale Lucyna dowiedziała się wreszcie, jak naprawdę wygląda rajskie życie Marii.

— I co zamierzacie? — spytała po chwili ciszy, która zapanowała po wyznaniach córki. — Wracajcie, bo mi zmarnujecie wnuki — zarządziła w swoim stylu.

— Nie. Jeszcze się nie poddajemy — odparła Maria, połykając łyżę. — Mamy perspektywę zmiany na lepsze. Dzieciom nie dzieje się żadna krzywda, a Bronek jest uparty i zdolny, więc na pewno dopnie swego. Po specjalizacji będzie zarabiał dużo więcej.

— A ty? Przecież ty też jesteś bardzo zdolna. Malowałaś pięknie i coś chyba pisałaś. Ja miałam nadzieję, że tam, wśród wspaniałej przyrody, twój talent rozkwitnie. Córeczko, może i dasz radę, ale pomyśl, czy to warto tak się zaharowywać? — spytała Lucyna łamiącym się ze wzruszenia głosem. Córka nie mogła uwierzyć, że słyszała właśnie takie słowa z ust swojej wymagającej matki.

Maria powiedziała jej wiele, ale nie wyznała jeszcze wszystkiego, bo nawet przed samą sobą nie chciała się przyznawać, że żyje w ciągłym lęku i ma już dość życia. Odkąd zamieszkali w Johannesburgu i kupili dom na kredyt, bała się nieustannie, że któregoś dnia straci wszystko i nie będzie miała nawet za co wrócić z dziećmi do Polski. Bała się rabunku i włamania. Trzęsła się i pocila na widok każdej grupki czarnych, którą musiała minąć w czasie swoich pieszych peregrynacji po ulicach Roodepoortu. Paranoicznie lękała się o zdrowie i życie męża. Była dosłownie nieprzytomna ze strachu, gdy wiedziała, że Bronek właśnie podąża nocą pustymi ulicami Johannesburga ze szpitala do domu.

Lista lęków Marii wzrosła jeszcze dodatkowo, gdy pewnej marcowej nocy

zatrzęsła się pod nimi ziemia. Trzęsienie było krótkie i niezbyt mocne, a jego epicentrum oddalone o jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Johannesburga. Żadnych ofiar w ludziach nie było, tylko trochę uszkodzonych domów, ale wrażenie ogromne. Kiedy zachybotła się podłoga i ściany domu, nagle z hałasem pootwierały się wszystkie szafy i szuflady. W całej okolicy zaczęły wyć psy. Najgorsze wrażenie pozostawił dźwięk wydawany przez rozedrganą ziemię. Było to coś przypominającego stukot pociągu jadącego w tunelu.

Maria zerwała się z łóżka i chciała budzić dzieci, by uciekać na zewnątrz. Nie było to jednak takie proste. Wszystkie okna i drzwi nie dość, że były zamknięte, to jeszcze zabezpieczone kratą. Zanim znalazła klucze i drżącymi rękoma dopasowała je do zamków, trzęsienie się skończyło. Dzieci nie obudziły się wcale. Zmęczony po dyżurze mąż zawinął się w kołdrę i zaraz po ustaniu drgań zasnął, ale Maria nie zmrużyła już do rana oczu.

Od tego czasu noce stały się dla niej jeszcze trudniejsze. Broniek, jeśli nie dyżurował, osobiście zamykał zawsze przed snem wszystkie kraty i drzwi, a ona czekała, aż mąż po tym obchodzie zaśnie. Dopiero wtedy szła na paluszkach, nie zapalając światła, aby otworzyć tylne drzwi i kratę. Obawiała się bowiem, że w razie silniejszych wstrząsów sejsmicznych zamknięty dom stanie się dla nich wszystkich pułapką. Z kolei świadomość tego, że w tak niebezpiecznym kraju i mieście ona ułatwia sprawę włamywaczom, sprawiała, że jej kłopoty ze snem jeszcze się nasiliły.

Lucyna po długiej rozmowie z córką była o nią bardzo niespokojna. Znała swoje dziecko i domyślała się, że to tylko część z tego, co naprawdę przeżywa skryta i zamknięta w sobie Maria. Doszła do wniosku, że powinna pomóc swojej dorosłej Maryjce, wobec której wcześniej bywała chyba trochę za oschła i zbyt surowa. Postanowiła więc, że wynajmie na rok mieszkanie teściowej, a zainkasowane z góry pieniądze, w dolarach oczywiście, wyśle Marii do Afryki. Dość szybko udało jej się znaleźć firmę ubezpieczeniową, która była zainteresowana pozyskaniem tego lokalu na swoją siedzibę. Był pewien szkopuł, Lucyna nie była właścicielką mieszkania. Ale córka, sądząc, że matka chce pieniędzmi z wynajmu podreperować swój budżet, przesłała jej natychmiast pełnomocnictwo i sprawę sfinalizowano.

Lucyna nie orientowała się, czy można i w jaki sposób wysyłać z Polski za granicę dewizy. Nauczona doświadczeniami z czasów PRL wcale nie miała zamiaru nikogo o to pytać ani się tym chwalić. Natchniona chyba sceną z jakiegoś kryminału, wzięła pozostały po babce stary egzemplarz Talmudu z pięknymi okładkami i wycięła w środku jego kart dziurę, w którą wpasowała plik dolarów. Duże gabaryty księgi bardzo jej pasowały, a reszta nie miała znaczenia. Do paczki włożyła jeszcze mezuzę, mizrach, świecznik siedmioramienny i talerz sederowy. Oczywiście nie miała pojęcia, co to takiego, do czego służą ani jaka jest nazwa

tych przedmiotów. Wysłała córce kilka pamiątek, lecz jedną z nich, tę najważniejszą, zniszczyła bezpowrotnie.

Bronek odebrał przesyłkę na pocztę i bardzo zaintrygowany razem z żoną i dziećmi ją otwierał. Choć nie wiedział, na co mogą przydać im się te rzeczy, to dzięki Talmudowi i świecznikowi nie miał jednak wątpliwości, że są to judaika. Najpierw parsknął śmiechem, ale zaraz potem się opanował i spojrzał pytająco na żonę.

— No to teraz wiesz, że jestem w połowie Żydówką. To pamiątki po mojej babci Hani, czy jak kto woli, Hannah, z domu Cuker — powiedziała Maria, biorąc do ręki błyszczący jak nigdy przedtem świecznik, który pedantyczna Lucyna przed wysyłką porządnie wypolerowała.

Bronek milczał zaskoczony, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie robiło mu żadnej różnicy, jaką składanką rasową jest jego piękna żona. Była chrześcijanką i tylko to dla niego miało znaczenie. Dziwił się, a właściwie było mu przykro, że z jakiegoś powodu zataiła to przed nim. Do głowy mu nie przyszło, że powodem były jego poglądy i częste powtarzanie niepochlebnych, obiegowych sądów na temat Żydów. On nigdy nie czuł się antysemitą. Wiadomość o pochodzeniu Marii wcale nim nie wstrząsnęła. Bo niby dlaczego miałyby nim wstrząsnąć? Cóż w tym było złego, żeby to ukrywać? — zastanawiał się. A tymczasem jego dzieci ostrożnie i z bojaźnią, a może bardziej z nabożeństwem, oglądały pamiątki po nieżyjącej prababci.

— Mamo, ja to i to widziałam u starej babci Hani — powiedziała Małgosia, wskazując mizrach i świecznik.

— A co to za księga? Będę mógł ją kiedyś przeczytać? W jakim języku ona jest napisana? — Jacek, jako wielbiciel książek, zainteresował się Talmudem. Wziął go do ręki i otworzył. Po kilku pierwszych stronach odkrył skrytkę zrobioną przez Lucynę. Oczom wszystkich ukazały się zielone banknoty.

Pieniądze dosłownie jakby spadły im z nieba. Nadeszły w samą porę, bowiem niedługo skończyłaby się wypłacalność Bronka. Został on znów naciągnięty przez Nancy na spory wydatek. Przyszła do niego aż do Strydom Hospital, ale nie sama, lecz z młodym, czarnym mężczyzną, któremu, zdaniem Bronka, nie patrzyło zbyt dobrze z oczu. Oboje poinformowali, że zamierzają się pobrać. Bronek ucieszył się z tej wiadomości i pogratulował. Młodzieniec uświadomił mu jednak, że spodziewa się od Bronka posagu dla Nancy i zwiększenia nieco kwoty alimentów na dziecko.

— Będę dobrym opiekunem dla Nancy i twojego syna, jeśli będziesz dobrze płacił — powiedział bezczelnie.

Bronek zdał sobie sprawę, że jeśli formalnie nie załatwi sprawy uznania dziecka i alimentów, może być już tak bez końca szantażowany. Powiedział więc Nancy, że zamierza złożyć w sądzie wniosek o uznanie ojcostwa i wyznaczenie

kwoty alimentów. A jeśli żona, dowiedziawszy się o sprawie, zechce wrócić do Polski, to on pojedzie razem z nią i nie będzie już stamtąd nic przysyłał. Wypisawszy drżącą ręką czek na tysiąc randów, zastanawiał się, co zrobi, gdy bank odmówi mu zwiększenia debetu. Poważnie zaczął rozważać, czy nie powinien poprosić Adama o zaproszenie do Australii. Może rozsądniej będzie stąd uciec i zacząć znów wszystko od początku na innym kontynencie? Tylko jak wytłumaczyć rodzinie taką nagłą zmianę planów?

Tymczasem ratunek przyszedł właśnie od rodziny, czyli od teściowej, a ściślej mówiąc, to jakby z zaświatów od żydowskiej babki jego żony.

— Dzieci, jedziemy na tydzień wakacji do Durbanu! — zawołał tak szczęśliwy, że nawet nie wiedział dokładnie, co obiecuje i dlaczego. Wszystko składało się znakomicie, bo w szkołach uczniowie znów mieli przerwę w nauce.

— Hurrra! — zawołali zgodnie brat i siostra, podskakując z radości.

Maria jeszcze jakiś czas w napięciu oczekiwała reakcji męża na niespodziewane ujawnienie tajemnicy, ale się nie doczekała. Poczła się właściwie trochę rozczarowana, zlekceważona i zawiedziona, bo miała ochotę porozmawiać z Bronkiem o jego prawdziwym stosunku do Żydów. Ale skoro on omijał ten temat, to i ona dała spokój. Odczuła jednak ulgę, że w końcu nie będzie już niczego przed nim ukrywać.

ROZDZIAŁ 34

Mogli wyjechać na tydzień, bo Broniek dostał pięć dni wolnego. Bali się zostawić dom bez opieki, ale Ania i Rysiek zaofiarowali się zamieszkać w tym czasie u nich. Największym problemem okazał się pies. Kasia i Agnieszka, córeczki Ani, chciały zaopiekować się Strongiem i już się cieszyły na zabawy z tym poczciwie wyglądającym kudłaczem. Jednak furia, z jaką sznaucer rzucił się w ich kierunku, ostudziła zapal do kontaktów z nim. Uradzili w końcu wspólnie z Guziami, że pies zostanie na ten czas zamknięty w tylnej części posesji, a oni będą podawać mu wodę i jedzenie przez kratę.

Maria cieszyła się na spotkanie z Jaguścikami, którzy sympatycznie zareagowali na wiadomość, że ich znajomi z Mapulanengu wybierają się do Durbanu na krótkie wakacje. Dali im namiary na niedrogi apartamentowiec stojący tuż przy plaży i zaprosili do siebie na kolację. Droga z Johannesburga do Durbanu była długa, ale dużą część trasy stanowiła płatna autostrada. W Transwalu od dawna nie było już upałów, więc jechało się świetnie, a potężny ford dawał poczucie komfortu.

— Tato, zobacz, co to za gmaszysko! — krzyknął Jacek, wskazując wielką, czarną skałę w kształcie gigantycznej stodoły, stojącą z boku drogi. Oczywiście wszyscy chcieli mieć zdjęcia przy takiej „stodole” i wysłać je babci. Trzeba więc było zatrzymać samochód.

Tego typu przerwy zdarzały im się jeszcze wiele razy. Zajechali też do Golden Egg na obiad, a potem jeszcze na lody i kawę dla rodziców. Broniek był wesoły, rozluźniony i zgadzał się na wszystkie pomysły dzieci. Dawno już nie czuł się tak dobrze. Forsą od teściowej załatał najszybciej rosnące długi i mógł jaśniej patrzeć w przyszłość. Optymizmem napawało go także zamążpójście Nancy. Miał nadzieję, że jeśli dziewczyna będzie szczęśliwa, to da mu wreszcie święty spokój. On oczywiście będzie płacił na dziecko, ale jej nie zamierza już dawać więcej żadnych pieniędzy. „Zresztą powiedziałem to chyba wystarczająco wyraźnie” — myślał.

Optymizm Bronka nie trwał jednak zbyt długo. W miarę jak zbliżali się do Durbanu i postępowało zmęczenie, pozytywne myśli zaczęły gdzieś zniknąć, a pojawiły się wątpliwości i skrupuły. A jeżeli ten człowiek nie będzie dobrym ojcem dla małego Jana? Czy to czasami nie jest cwaniak, który chce tylko wykorzystać Nancy i dziecko, żeby go szantażować? Kim są w ogóle ci ludzie, z którymi Nancy teraz się zadaje? Ta do niedawna nierozgarnięta dziewczyna teraz się maluje i seksownie ubiera, aż za bardzo seksownie. „Ciekawe, właściwie, czym ona teraz się zajmuje?” — zastanawiał się. „A może jest dziwką?” — przemknęło mu przez myśl, ale zaraz się zreflektował. „Nie, to chyba niemożliwe, żeby

dziewczyna po tak traumatycznych przejściach, o jakich opowiadał Adam, dobrowolnie weszła na taką drogę. A niech robi, co chce. To nie moja sprawa. Nie mogę być jej niańką, musi sobie radzić sama” — postanowił.

Otrząsnął się z tych myśli i przestawił na słuchanie miłego szczebiotu siedzących na tylnym siedzeniu dzieci. Przyjrzał się z boku pięknemu profilowi wpatrzonej w dal żony i teraz jego myśli poszły już w jej kierunku. Nigdy by nie przypuszczał, że żeniąc się z Marią, wchodzi do żydowskiej rodziny. Dopiero gdy się dowiedział o jej pochodzeniu, uświadomił sobie, że teść i jego matka mieli faktycznie typowo semickie rysy, a on taki wyczulony przez ciotkę na te sprawy zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Zmyliła go słowiańska uroda teściowej i te jej święte obrazy i krzyże na ścianie. Wielokrotnie bywał też w mieszkaniu u babci Hani, czyli Hannah, ale nigdy nie przyszło mu do głowy wypatrywać, co ona stawia na półkach lub co przedstawia wisząca na ścianie poszarzała makatka.

— Tato, czy pójdziemy zaraz po przyjeździe nad ocean? — głos Jacka wyrwał go z zadumy. Do celu podróży zostało im jeszcze tylko kilka kilometrów, więc dzieci planowały już pozostałą część dnia.

— Teraz to musimy przede wszystkim znaleźć ten apartamentowiec, w którym mamy rezerwację — powiedział do syna.

— Ale tato, będziemy mogli? — wsparła brata Małgosia.

— Dzisiaj jest za późno. Musimy się odświeżyć i ładnie ubrać przed wizytą u rodziców Grzesia. — Maria trzymała stronę męża.

— Ale na chwilę chociaż. Tylko zobaczyć, jak wysokie są fale w oceanie — marudził Jacek.

— I zamoczyć nogi. Mamuś, tatuśku, please, please — błagała Małgosia, przytulając się na zmianę do pleców każdego z rodziców. Mała przechera знаła swoje atuty. Słodkie spojrzenia, minki oraz całuski i tata roztopił się jak masło.

— No dobrze, przed Jaguścikami zaliczymy także ocean — zdecydował.

Postawili swoje bagaże w porządnie wyglądającym, przestronnym apartamencie. Maria zrobiła szybki, leciutki makijaż, bo w Durbanie było bardzo gorąco i parno. Włożyła śliczną, kolorową spódnicę, którą wyszukała niedawno w koszu wśród przecenionych rzeczy w Pick n Pay, i czarny, sznurowany gorsecik na ramiączkach, bardzo modny w Polsce przed jej wyjazdem. Klapki na płaskim obcasie zmieniła na klapki na wysokiej szpilce i pobiegła za dziećmi na plażę. Słońce już zachodziło, ale powietrze wcale nie zrobiło się bardziej rześkie. Srebrzystoszara woda robiła wrażenie gęstej i tłustej cieczy, a fale leniwie docierały do brzegu. Ocean był podobny do rozhuśtanej, gigantycznej kadzi z roztopionym metalem.

Bronek miał dołączyć do rodziny za chwilę, gdyż najpierw chciał zgłosić na portierni, że zamek w drzwiach ich apartamentu się zacina. Marii trudno było chodzić po plaży na szpilkach, więc szła w dość dużej odległości za dziećmi. Po

zdjęciu butów wcale nie było lepiej, gdyż ostre kamienie wbijały się w stopy. Ale dzieci nie miały takich problemów, bo biegły w adidasach. Zatrzymały się dopiero, gdy spostrzegły, że matka jest daleko za nimi. Dotarły właśnie do drewnianego pomostu zrobionego z potężnych bali. Z jednej strony tego molo stworzono coś w rodzaju basenu, ogradzając część akwenu okrągłymi, nieogładzonymi balami.

— To jest specjalna zagroda do kąpieli, żeby nie wpływały tu rekiny — powiedział Jacek, udając przed siostrą eksperta. Sporo przed wyjazdem nasłuchiwał się od kolegów o częstych w Durbanie i okolicach wypadkach z udziałem rekinów.

— Coś ty, między te bale może wskoczyć spory rekin — zauważyła Gosia.

— Rekiny nie skaczą. — Jacek wciąż chciał odgrywać rolę eksperta.

— A może to takie coś, żeby woda nie porwała dziecka, jak jest duża fala? — zgadywała Małgosia. — Zobaczę, jak tam jest.

Dziewczynka, nie zastanawiając się wiele, zdjęła buty, szorty i bluzeczkę i wskoczyła z podestu do wody. Jak ryбка przepłynęła zagrodę wzdłuż i w poprzek. Maria zbliżając się do dzieci, już z daleka zauważyła skok córki do wody i bardzo się rozzłościła. Małgosia dobrze pływała w basenie, ale taka samowola mogła się dla niej źle skończyć. Nie знаła dna, na plaży nie było już ratownika, a w ogóle, kto to słyszał, żeby dziecko robiło, co samo chce. „Broniek rozpieszcza tę małą i smarkuła zrobiła się zbyt pewna siebie, a teraz jeszcze jest niegrzeczna” — pomyślała Maria ze złością.

— Kto ci pozwolił?! Natychmiast wyjdź z wody! — krzyczała z daleka, ale dziewczynka na nic nie zważała, a może po prostu jej nie słyszała, bo fale, rozbijając się o drewniane bale, robiły sporo hałasu. — Jacek, wyciągnij ją! — wrzasnęła Maria do syna, który wszedł na mokre molo, żeby podać siostrze rękę. Małgosia chlapnęła go tylko i odbiła się od mola, aby znów popłynąć wzdłuż zagrody. Jacek podniósł głowę i spojrzał w kierunku horyzontu. Niezbyt daleko od brzegu zauważył dziwne zjawisko. Pośród całkiem niewielkich i niegroźnych fal wyrósł nagle ogromny, wysoki i długi bałwan, który szybko zbliżał się do brzegu.

— Gośka! — krzyknął przeraźliwie chłopiec, ale siostra właśnie położyła się na plecach i z zamkniętymi oczami kołysała się na fali. — Mamo! — zawołał Jacek, lecz Maria była jeszcze zbyt daleko, żeby ratować córkę, i chyba w ogóle nie zauważyła tej wyjątkowej fali. Jacek tak jak stał, w butach i ubraniu, wskoczył do wody. Schwycił siostrę za ramię i przyciągnął do drewnianych bali. Zdołał jeszcze tylko wycharczeć: — Łap powietrze i nie puszczaj bala!

Kiedy Maria zobaczyła, co się dzieje, miała już dwoje dzieci pogrążonych w kipieli. Wskoczyła na molo, ale wyższa od niej fala odbiła ją jak piłkę i rzuciła z powrotem na plażę. Krztusząc się i walcząc ze spienioną wodą, z trudem podniosła się z nadbrzeżnych kamieni. Woda powracała powoli do oceanu. Ale czas, kiedy zakrywała wydzielony balami akwen, wydał się Marii wiecznością. Z niemym przerażeniem obserwowała przestrzeń, gdzie powinny się znajdować jej

dzieci. Była to chwila najbardziej żarliwej, choć niemej modlitwy, którą matka skierowała do Boga, a może do tej straszliwej, ślepej siły, jaką był ocean. Została wysłuchana i woda opadła, odsłaniając dwie najdroższe dla niej istotki, kurczowo uczone przy jednym z bali.

Jacek wyciągnął Małgosię na pomost i dłuższy czas nic się nie odzywał, tak był oszołomiony. Małgosia jednak od razu zaczęła prychać i kaszleć, a w dodatku skarżyła się na brata, który uratował jej życie.

— Mamo, a on owinął mi włosy dookoła bala i tak mnie trzymał! — mówiła z płaczem. — O, jakiego mam guza na czole i tu na nodze, i tu — wyliczała. Jacek też był poobijany, lecz zdawał się tego wcale nie zauważać. Maria w mokrym ubraniu i z czarnymi od tuszu łzami na policzkach wyglądała żałośnie. Jej szpilki oraz buty i ubranie Małgosi zniknęło. Porwała je fala.

Dzieci były już na brzegu, gdy nadszedł Bronek. Nakrzyczał na Marię, że pozwoliła im wejść do wody, a ona nawet nie miała siły mu tłumaczyć, co się przed momentem wydarzyło. Potem dopiero, gdy już przebrani i nieco spokojniejsi siedzieli u Jaguścików, wszyscy troje starali się zrekonstruować tę groźną sytuację. Ojciec był pełen uznania dla refleksu i bohaterstwa syna. Małgosia z wdzięczności obiecała przez cały miesiąc sprzątać bratu pokój.

— Obejdzie się. Nic bym wtedy nie znalazł na swoim miejscu — skwitował Jacek.

Wieczór u Jaguścików był bardzo miły i przeciągnął się do późnej nocy. Gospodyni naszykowała moc smakołyków i widać było, że bardzo jest spragniona kontaktów z rodakami. Ewa nie pracowała i póki co nie zamierzała podejmować żadnej pracy. Jej córeczka była jeszcze mała, a zaokrąglony brzusek wskazywał, że w drodze jest już następny Jaguścik. Bronek i Antek rozmawiali głównie o pracy. Antek chwalił sobie stosunki w szpitalu. Jedynym mankamentem było to, że musiał do niego spory kawał dojeżdżać. Jaguścik nie był tak obciążony pracą jak Bronek, nie robił specjalizacji, nie musiał przygotowywać prezentacji i naukowych referatów. Więcej czasu mógł więc spędzać z żoną i dziećmi. Ewa była jednak w kiepskiej formie psychicznej.

— Nienawidzę Afryki — zwierzyła się Marii, gdy poszły do kuchni robić herbatę. — Wiesz, jak się boję tych różnych węży. A tutaj, mimo że to prawie środek miasta, jest tego zatrzęsienie. Dlatego nie chciałam domu z ogrodem na przedmieściu. Kupiliśmy ten mały szeregowiec, bo tu, jak widziałas, wszystko dookoła jest wybetonowane. Do garażu wchodzę z domu. Ale i tak często tuż za garażem rozjeżdżamy jakiegoś gada — mówiła z odrazą. — Robali też się bardzo boję. Karaluchy są wyjątkowo obrzydliwe. A tu chyba nie ma domu bez tego świństwa. To podobno wynika z hinduskich tradycji. Ktoś mi mówił, że młoda para dostaje w prezencie ślubnym parkę tych wstrętnych owadów, jako symbol płodności.

Maria nie odczuwała przesadnego lęku przed węzami. To raczej one powinny się jej strzec, bo dwa z nich źle skończyły w jej domu. Ale teraz, gdy Ewa mówiła o karaluchach, poczuła łaskotanie na łydce, które zaraz potem przeniosło się wyżej na udo. Spojrzała dyskretnie na swoją nogę, ale nic po niej nie chodziło. Gospodyni zauważyła ten ruch i uspokoiła ją.

— Mam to samo. To nerwowe. Jak tylko pomyślę o insektach, zaraz mnie wszystko gryzie. A syk węza słyszę z każdego kąta — powiedziała i uśmiechnęła się, ale jakoś tak smutno. — Z karaluchami walczę nieustannie i na razie ja wygrywam.

— Ja chyba też nie lubię już tej Afryki — powiedziała Maria. — Czuję się stłamszona, załęczniona i nic mnie tu nie cieszy. Tak rzadko zwracam teraz uwagę na przyrodę. Już mi to spowszedniało, znudziło się to ciągłe ciepło i słońce. Tęsknię za naszą jesienią, nawet słotną, i za białą, śnieżną, mroźną zimą.

— Wiesz, ja mam wrażenie, że odsiaduję tu za coś wyrok. Może to kara za to, że opuściłam ojczyznę, za której wolność bił się mój dziadek i mój ojciec? — Ewa odwróciła twarz od rozmówczyni i wytarła łzę, która spłynęła jej po policzku. — A najgorsze, jak pomyślę, że to może być dożywocie.

Maria dobrze rozumiała, co koleżanka ma na myśli. Sama często, patrząc na kraty w oknach i drut kolczasty na parkanie, miała skojarzenia z więzieniem albo obozem koncentracyjnym. Paradoksem było jednak to, że jej krewnych zamykano w obozach w imię chorej rasistowskiej ideologii, tymczasem ona przyjechała tu dobrowolnie, żeby skorzystać z wyjątkowych warunków stworzonych białym przez politykę apartheidu. Na własne życzenie siedziała więc za kratami i nie trzeba było żadnych strażników, by nie chciała wychodzić na zewnątrz. Wystarczył jej własny strach.

Obie niepracujące kobiety narzekały i były sfrustrowane, a ich dzieci bawiły się znakomicie. Wymieniały doświadczenia ze swoich nowych szkół, w których małymi kroczkami, lecz systematycznie niwelowano różnice rasowe. O wielu rzeczach rodzice dowiadawali się dopiero teraz, podsłuchując głośno rozprawiające pociechy, które siedziały na podłodze wokół małego, dziecięcego stolika i podobnie jak dorośli oddawały się konsumpcji i dysputom.

— Ilu czarnych chodzi do waszej klasy? — zapytał Jacek Grzesia.

— Dwoje, ale mamy pełno Hindusów i takich nie białych i nie czarnych — odpowiedział.

— No to my mamy aż pięcioro. U Gosi jest chyba troje — wyliczał Jacek.

— A u nas to było dużo śmiechu z Ened — zaczęła Małgosia. — Bo pani nas przygotowywała, że przyjdą czarni, że mamy być uprzejmi i takie tam. A Ened zapytała, czy trzeba będzie ich perfumować, żeby nie zasmrodzili klasy — powiedziała i zachichotała.

— I co, i co jej pani odpowiedziała? — dopytywał się Grześ.

— Pani była zła na Ened, ale wytłumaczyła jej, że to będą czyste dzieci i musimy się z nimi bawić, bo pani będzie nas obserwować. A Ened niegrzecznie odpowiedziała, że ona nigdy w życiu nie dotknie czarnego.

— Tak mówiła? — zdziwił się Jacek. — A ja widzę, że na przerwach biega za takim jednym czarnym chłopakiem z naszej klasy. Ten chłopak ucieka przed nią, bo ona jest taka duża i gruba i wciąż się głupio śmieje. Mnie się wydaje, że ona siedziała parę lat w pierwszej klasie — dodał, zwracając się do siostry.

— Nie wiem, czy siedziała. Ona jest głupia i chwaliła się, że już się całowała z chłopakami — powiedziała zgorszona Małgosia, odruchowo wycierając usta.

Tę noc Guziałowie, choć tego nie planowali, spędzili u Jaguścików. Nie było łatwo zmieścić się w niewielkim szeregowcu, ale gospodarze nie chcieli nawet słyszeć o nocnej jeździe przyjaciół przez miasto. W ten sposób dopiero następnego wieczoru Maria zobaczyła stada karaluchów biegające po aneksie kuchennym w ich tak porządnie wyglądającym apartamencie. Chciała od razu wracać do domu, lecz Broniek i dzieci nie mieli zamiaru. Kupili spray na owady i walczyli z nimi co wieczór.

Marii też spodobał się Durban. Spacerowali z Bronkiem po przepięknej nadmorskiej promenadzie, a dzieci niemalże do upadłego korzystały ze wszystkich atrakcji wesołego miasteczka. Kręciły się na różnych karuzelach, pomykały w rozkołysanych filiżankach i na rollercoasterze. Krzyczały z emocji na gigantycznej huśtawce w kształcie wielkiego młota. Na promenadzie znajdował się także miniaturowy Durban, którego „wielkie” budynki sięgały Jackowi do pasa. Do kąpieli w oceanie dzieci podchodziły już z dużą rezerwą, a po tym, jak fale wyrzuciły na brzeg kilka sporych rekinów, wcale nie chciały wchodzić do okropnie słonej wody i mówiły, że wolą pływać w basenie. Maria jednak nocami nadal przeżywała ową pierwszą, wieczorną oceaniczną kąpiel. Budziła się z krzykiem, zlana potem, z obolałymi od napięcia mięśniami.

ROZDZIAŁ 35

W domu znów wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Broniek całe dnie, a nierzadko i noce siedział w szpitalu. Często jeszcze potem zamykał się w kominkowym (już bez kominka) pokoju, żeby powtarzać wiedzę i przygotowywać referaty. Dzieci również sporo się uczyły, szczególnie Jacek. Małgosia nauczyła się płynnie czytać po angielsku i zapalała miłością do książek. Niedawno jeszcze razem z matką dukała *101 dalmatyńczyków* Dodie Smith, która to książeczka była w spisie obowiązkowych lektur w pierwszym standardzie, a teraz córka sama znosiła do domu coraz poważniejsze pozycje z biblioteki i połykała je dosłownie jedna za drugą, a Maria tylko patrzyła z zazdrością.

Rzuciła zawsze okiem na to, czym interesuje się córka, ale sama nie była w stanie zmusić się do czytania po angielsku. Zresztą wolnego czasu na czytanie w żadnym języku nie miała w nadmiarze. Nieustannie sprzątała po wszystkich, bo trudno było od zawałonego pracą męża czy od zajętych nauką dzieci wymagać, żeby pomagały siedzącej w domu matce. Pieczenie ciast dawało mało pieniędzy i coraz mniej satysfakcji. Zdała sobie sprawę, że to chałupnicze zajęcie bez sporych inwestycji nie ma szans przerodzić się w prawdziwy biznes.

— Żeby czerpać jakieś przyzwoite zyski, trzeba by mieć pieniądze na wynajęcie własnego lokalu i zatrudnienie pracowników, tylko że nam nikt nie da już kredytu — mówił Broniek, zniechęcając ją jeszcze bardziej do pracy.

Wkrótce ani domownicy, ani nawet sama Maria nie ekscytowali się już zwiększeniem liczby zamówień na torty, bo oznaczało to tylko jej większe zmęczenie, zamieszanie w domu, a pieniędzy tyle, co kot napłakał. Nie ustawała nadal w poszukiwaniu pracy, ale nawet w najmniejszym stopniu nie łudziła się, że ktoś ją zatrudni. Dzwoniła, chodziła na interview, żeby odhaczyć następną pozycję z listy i nie mieć wyrzutów sumienia. Któregoś dnia, przechodząc obok znajomej agencji nieruchomości, wpadła dosłownie na Carroll, sympatyczną Szkotkę, która pośredniczyła w kupnie ich domu.

— Jak się masz? — Carroll otworzyła szeroko ramiona i witała się z Marią jak stara przyjaciółka. Wciągnęła ją do agencji, poczęstowała kawą i ze szczerym zainteresowaniem wypytywała, jak sobie radzi. Sama też sporo opowiadała o córce, którą mąż porzucił zaraz po porodzie, przy którym asystował. Stwierdził, że po tym, co widział, stracił do niej pociąg seksualny i musi się na jakiś czas od niej odsunąć. Maria chciała wyrazić swoje zdanie na temat tej nowej, jak się okazuje, nie zawsze dobrze wpływającej na związek mody, ale brakowało jej odpowiednich słów, więc ograniczyła się do wyrażenia współczucia. Carroll, choć sama dotknięta rodzinnym nieszczęściem, szybko wyczuła, że jej rozmówczyni jest przygaszona i smutna. Maria swój nie najlepszy nastrój tłumaczyła tęsknotą za krajem.

— Rozumiem cię — powiedziała Carroll. — Też długo tęskniłam za Szkocją, swoją rodziną i przyjaciółmi. Mnie było łatwiej, bo znałam język i czasem także odwiedzała mnie tu mama. Póki dzieci były małe i siedziałam w domu, nie czułam się dobrze. Dopiero jak dostałam tę pracę, zyskałam większą pewność siebie. Mam kontakt z ludźmi i bardzo to lubię. Na ogół okazują zadowolenie z transakcji. Rzadko jednak tak bardzo i otwarcie jak wy.

Carroll miała pomysł na zajęcie dla Marii. Jej zdaniem wykwalifikowana przedszkolanka powinna zostać *day mother*, czyli stworzyć u siebie miniżłobek, korzystając z tego, że coraz więcej białych, idąc do pracy, obawia się zostawiać dzieci pod opieką czarnych *maid*. Sporo było nagłośnionych przez media przypadków zarażenia dziecka wirusem HIV, którego nosicielką okazała się niania. Zdarzyło się też, że niania była w zмовie z gangiem złodziei, którzy obrabowali mieszkanie, a dzieci, które umiały już mówić, zabili. Uczynność Carroll była rozbijająca. Kiedy tylko zobaczyła w oczach Marii błysk zainteresowania pomysłem, zaraz zatelefonowała do Day Mother Association, towarzystwa skupiającego białe, niepracujące kobiety zajmujące się dziećmi we własnych domach, i umówiła Marię z jego szefową.

W dwa dni później do domu przy 13 The Cut przyszły dwie poważne, tęgie matrony z DMA. Przewodnicząca była z pochodzenia Hiszpanką. Mimo sporej tuszy prezentowała się szykownie i elegancko. Druga z pań, choć sympatyczna, wyglądała dużo gorzej. Ta dość młoda jeszcze i energiczna kobieta przy średnim wzroście ważyła na pewno ponad sto kilogramów. Mówiła bardzo dużo, szybko i niewyraźnie. Maria nie mogła się skupić na sensie jej słów, bo jak zahipnotyzowana patrzyła na trzęsące się przy każdym ruchu kobiety sadło. Mocno artykułowane słowa wprawiały w ruch podgardle, przy energiczniejszych ruchach głowy do podgardla dołączał biust i odsłonięte, tłuste, pokryte cellulitem ramiona. Jeśli zaczynała gestykulować, w podrygi wpadał złożony z wielu fałdów brzuch oraz tworzące z nim jedną, wielką bryłę plecy i pośladki. Reszty Maria nie widziała, bo zasłaniał stół.

Bronek wrócił tego dnia nieco wcześniej z pracy i rozmówił się z paniami co do koniecznego wyposażenia oraz regulaminu działania instytucji Day Mother. W ogóle od momentu, jak wkroczył w progi swego domu i przywitał się, całując w pulchne dłonie obie panie, wszystkie wcześniej zgłaszane przez nie problemy przestały istnieć. Okazało się, że wymagana pomoc domowa nie jest na razie konieczna, a dom można przystosować już w trakcie prowadzenia działalności. Zostało tylko wpłacić wpisowe, dać anons do gazety i zaczynać.

Bronek był wesoły i pełen entuzjazmu. Liczył już, ile żona może w przyszłości zarobić, i nie żałował pieniędzy na ładne materacyki, kołderki, a nawet pluszowe misie. Znów pozbywał się z konta sporej sumy pieniędzy, ale liczył, że teraz upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Żona będzie zarabiać,

robiąc to, co lubi, a przy okazji uspokoi swój rozbudzony mocno instynkt macierzyński. Nie zauważył nawet, że Maria podczas tych zakupów stoi z boku obojętna i osowiała. Tak, ona jeszcze do niedawna marzyła o tego typu sprawunkach, ale dla ich własnego dziecka. Teraz nie pragnęła już nawet tego. Bez entuzjazmu myślała, że będzie się zajmowała kilkoma cudzymi i to na pewno jej wystarczy. „Boże, spraw, żebym temu podołała i żeby dzieciom pod moją opieką nie stało się nic złego” — błagała, a lęk paraliżował ją, zanim jeszcze rozpoczęła pracę. Zwłaszcza po koszmarnej przeżyciu z Durbanu bała się tego zajęcia. Nie umiała upilnować nawet własnych dzieci. Co noc śnił jej się koszmar z dziecięcymi główkami znikającymi pod falami oceanu.

W ciągu tygodnia od ukazania się ogłoszenia zadzwoniło pięcioro rodziców. Trzy rodziny zdecydowały się na skorzystanie z oferty Guziałów. Trójkę podopiecznych stanowiły maleńkie niemowlęta, których matki po trzymiesięcznym urlopie macierzyńskim wracały do pracy. Rodzice dwójki starszych dzieci zrezygnowali ze względu na trudności porozumienia się Marii z ich pociechami. Po tych pięciu telefonach zainteresowanie nowym punktem Day Mother ustało.

Rozkład dnia Marii zmienił się teraz całkowicie. Już przed siódmą rano, zanim jeszcze jej dzieci wyszły do szkoły, przywożono maluchy: śliczną, delikatną dziewczynkę o imieniu Shannon i dwóch chłopców — Juliusa i Briana. Jedna z matek wstawiała od razu do lodówki butelkę z mlekiem ściągniętym z piersi, pozostała dwójka dzieci jadła już sztuczną mieszankę. Maria pierwszy raz w życiu miała do czynienia z pieluchami jednorazowymi i całą masą różnych kosmetyków, które wcześniej nie były w Polsce dostępne.

Trzymiesięczne niemowlęta potrzebują dużo snu i w zasadzie, jeśli leżą w łóżeczkach, niewiele złego może im się stać. Maria przewijała dzieci, karmiła, trochę im pośpiewała, zmieniała dekorację wokoło łóżeczek, żeby miały na co patrzeć, i to było wszystko. Małą Shannon, która miewała kolki, musiała częściej nosić na rękach, ale bardzo lubiła tulić w ramionach tę delikatną śliczną dziewczynkę. Czasami miała wrażenie, że czas się cofnął, a ona bawi się lalkami. Zdążyła zawsze na czas ugotować obiad i posprzątać w domu. Mniej miała już czasu na lekturę i przygotowanie pomocy do lekcji polskiego. Przyjmowała nawet nadal zamówienia na torty, które robiła późnym wieczorem i nocą, a Broniek rano odstawiał je do restauracji. Wszystko szło jej całkiem dobrze i to chwilowo bardziej optymistycznie nastroiło ją do życia. Cieszyła się, że bez niczyjej pomocy radzi sobie z trójką małych dzieci i nie myślała o zatrudnieniu *maid*, z którą musiałyby się podzielić dochodami.

W miarę jednak jak niemowlęta rosły, sytuacja zmieniała się z miesiąca na miesiąc na gorsze. Cała trójka chciała być noszona, cała trójka domagała się jej uwagi i jedno dziecko było o drugie zazdrosne. Teraz już Maria modliła się, żeby tylko nikt więcej nie odpowiedział na jej ogłoszenie, a wtedy właśnie, jak na złość,

rozdzwonił się telefon i następne matki chciały oddać jej pod opiekę swoje trzymiesięczne dzieci. Broniek zapraszał wszystkich chętnych, ale żona z płaczem zaprotestowała. Nie była w stanie odpowiedzialnie sama zaopiekować się większą liczbą maluchów, a za żadne skarby świata nie chciała *maid* do pomocy. Jej lęk przed czarnymi nasilił się, gdy na króciutkiej, spokojnej uliczce The Cut doszło do okropnej zbrodni, której sprawcą był czarny nastolatek.

Dwa domy dalej mieszkała starsza, samotna kobieta. Służyła u niej od niepamiętnych czasów równie stara Murzynka, która w domu tej pani urodziła i wychowała swoich jedenaścioro dzieci. Właśnie syn któregoś z tych dzieci przyszedł z kolegami i w biały dzień zabił chlebodawczynię babki oraz własną babcię, która prawdopodobnie broniła swojej pani. Policja złapała morderców i znalazła w ich domach trochę rzeczy z miejsca zbrodni. Były to naprawdę same rupiecie bez większej wartości, gdyż biała kobieta po śmierci męża żyła z zapomogi i wyprzedala już z domu cenniejsze przedmioty.

Maria przeczytała o tym w miejscowej gazecie i gdy zorientowała się, że tragedia rozegrała się blisko niej, była jeszcze bardziej wstrząśnięta. Nie kojarzyła wprawdzie starej Angielki ani jej *maid*, ale ze zdjęcia poznała dom. Wyróżniał się spośród innych, gdyż otoczony był tylko niziutkim, drewnianym płotkiem. Ogrodzenie to pochodziło z dawnych czasów, kiedy w Roodepoortie, który był wówczas miasteczkiem w pobliżu wielkiej metropolii, żyło się jeszcze naprawdę bezpiecznie. Wtedy płotek wyznaczał jedynie granicę posesji i pełnił być może także funkcję dekoracyjną. Teraz pochylił się i wyszczerbił, a farba łuszczyła się na jego sztachetkach. „Ale najwyższy nawet parkan ani ogrodzenie pod prądem, jakie coraz częściej zakłada się w bogatych dzielnicach, nie obroniłyby przecież tych kobiet od znajomego zabójcy, którego zapewne wpuściła do domu jego babka” — myślała Maria, niszcząc gazetę, by nie oglądały jej dzieci.

Po tej historii Maria nie potrafiłaby już zaufać jakiejś nowo poznanej czarnej. Mogłaby przyjąć do żłobka więcej dzieci, gdyby przyjechała do niej z Mapulanengu Beauty i zechciała u niej pracować. Tutejsi czarni wydawali się Marii zupełnie inni niż ci z Lebowa. Strach sprawił, że u mijanych na ulicy Johannesburga czarnych widziała tylko złe spojrzenia spode łba i posądzała ich o złe zamiary. Broniek nie odczuwał specjalnego lęku przed czarnymi, bo wciąż się z nimi stykał. Ale przestrzegał ją i dzieci przed lekkomyślnym niedocenianiem niebezpieczeństwa. A czasami, nie zastanowiwszy się nawet, dolewał oliwy do ognia, przynosząc różne wieści zasłyszane w szpitalu.

— Wyobraź sobie, że tej dentystce, żonie naszego agenta, jakiś czarny zerwał z szyi złoty łańcuszek z medalikiem, gdy szła korytarzem w Baragwanath. Ona tam ma gabinet — powiedział któregoś razu.

— To nawet w szpitalu jesteście zagrożeni? A gdzie było security? Złapali go chociaż? — pytała wystraszona Maria.

— A gdzie tam. Tyle ludzi, tyle korytarzy, a dwóch strażników na bramie. — Broniek machnął lekceważąco ręką i zaraz poczęstował żonę następnym newsem. — Niedawno w Coronation była jeszcze ciekawsza historia. Czarny wszedł do gabinetu doktora Pathela, przystawił mu nóż do gardła i zażądał kluczyków od jego auta. Pathel miał nowiutkie lamborghini. Ubezpieczone, ale trochę żal. A co facet przeżył, tego mu nikt nie wróci.

Maria nie chciała więc zatrudniać *maid* ani przyjmując więcej dzieci. Lecz tymi swoimi, przypadkowo skompletowanymi trojaczkami lubiła się zajmować, a delikatną, wrażliwą Shannon chyba nawet pokochała. Brian był gruby i śmieszny. Najedzony nie sprawiał większych kłopotów. Julius był za to typem ciekawskiego zdobywcy, dla którego nie istniały żadne przeszkody. Sypiał najkrócej, krzyczał najgłośniej i budził pozostałe dzieci. Kiedy miał nieco więcej niż pół roku, zaraz po przebudzeniu musiał być wyjmowany z łóżeczka, gdyż tak nim trząsał z niecierpliwości, że rozpadło się na kilka części.

Płochliwa Shannon bała się jak ognia tego małego brutala, bo już przy pierwszym, bliższym spotkaniu chciał wydlubać jej oko. Z Brianem Julius też miał na pieńku. Kiedy Maria pozwalała im pobaraszkować na podłodze, czołgał się natychmiast w jego kierunku, chwycił go za kark lub za krótką szyję i mocował się z nim tak, jakby chciał go udusić. Tyle że dostać się do szyi tłusciocha nie było łatwo. Brian za to w akcji obrony bez trudu łapał gęstą, nastroszoną czuprynę napastnika i ciągnął za nią niemiłosiernie. Chłopcy wrzeszczeli jednocześnie, czym doprowadzali do płaczu Shannon, którą później trudno było uspokoić. Chłopaków zaś wystarczyło rozdzielić i dać im po zabawce, żeby zaraz zapomnieli o urazach.

W sumie z niemowlakami płci męskiej Maria miała mniej kłopotu. Jedli bez problemów, zasypiali dość łatwo, nie przeszkadzały im zbytnio nawet pełne pieluchy i jakiegokolwiek odgłosy z zewnątrz. Shannon przy tych nieczułych na nic osiłkach zachowywała się jak księżniczka na ziarnku grochu. Jadła małutkimi porcjami, więc wymagała częstszego karmienia. Skórę miała zbyt wrażliwą, jak twierdziła matka, żeby zakładać jej pampersy. Leżała więc w tetrowych pieluszkach i wciąż należało sprawdzać, czy ma sucho, gdyż nawet krótki kontakt z ekskrementami powodował odparzenia delikatnej pupci. Dziewczynka budziła się z byle powodu. Wystarczyło, że pies w ogrodzie zaszczekał lub łyżka w kuchni spadła na terakotę. Ale Shannon nie wrzeszczała jak jej koleżdy, tylko zawodziła i wzdychała, a z jej cudnych, wielkich oczu lały się żałosne łzy. Serce Marii topniało na widok tych gorących łez i zrobiłaby wszystko, żeby tylko małutka ślicznotka nie była nieszczęśliwa. Z powodu niezwykłej urody dziewczynki uwielbiali ją także Jacek i Małgosia. Kiedy wracali ze szkoły, chętnie zajmowali się słodkim wrażliwcem. Shannon rosła więc na niezłą terrorystkę.

Z prawdziwymi, politycznymi terrorystami spod znaku AWB, Afrykańskiego Ruchu Oporu, którzy uaktywnili się w związku z przyjęciem do

szkół czarnych dzieci, nie było tak słodko. Podkładali w szkołach bomby, ostrzeliwali autobusy dowożące dzieci do szkół i wychodzili w protestacyjnych marszach na ulicę. Na szczęście akty terroru były tak zaplanowane, że nikt w nich nie stracił życia, zwiększały jednak poczucie zagrożenia. Marię napawał strachem sam widok członków tej nacjonalistycznej organizacji, ubranych w mundury, na których widniały emblematy przypominające swastykę, i uzbrojonych, kiedy konno lub pieszo demonstrowali w obronie praw białych. Najgorsze dla niej było to, że obok dorosłych Burów szły też w szyku i umundurowane oddziały złożone z nastolatków, a nawet dzieci, na wzór Hitlerjugend.

ROZDZIAŁ 36

W jedną z następnych sobót Maria była zmuszona przed południem pieszo dostarczyć upieczony w nocy tort do restauracji Diego, gdyż Broniek miał dyżur. Małgosia zaofiarowała się pójść razem z nią. Matka była wdzięczna, bo choć było to iluzoryczne odczucie, to jednak z dzieckiem czuła się pewniej. Córka miała swój tajny plan. Od jakiegoś czasu męczyła rodziców, żeby pozwolili jej na przebicie uszu i noszenie kolczyków. Ojciec sprzeciwiał się temu pomysłowi głównie ze względów medycznych. Uważał, że podczas tego krwawego zabiegu, wykonanego, jak życzyła sobie dziewczynka, w centrum handlowym, łatwo można zarazić się HIV. Małgosia niby wszystko rozumiała, ale nie potrafiła zrezygnować, więc postanowiła zmiękczyć po drodze matkę, żeby ta przekonała ojca. Kiedy szły już Struben Ave, z dala dostrzegła szyld sklepu jubilera, a zaraz potem usłyszała przetaczający się po niebie grzmot pierwszej po zimie burzy. Zaraz więc uruchomiła swój spryt.

— Mamo, burza jest już blisko, a ja się boję — powiedziała, gdy krople deszczu spadły im na głowy.

— Biegnijmy do Diego, bo to już następna przecznica — powiedziała Maria i chciała przyspieszyć kroku.

— Wejdźmy tutaj i przeczekajmy — zawołała córka, wskakując na schodki prowadzące do jubilera i naciskając klamkę. Maria została niezdecydowana na ulicy, a deszcz zaczął lać. Tymczasem Małgosia zamieniła kilka zdań ze starszym, brodatym mężczyzną siedzącym wewnątrz sklepu i wyskoczyła przed lokal, żeby ponaglić matkę do wejścia. — Ten pan zaprasza cię do środka i chce mi coś dać.

Maria weszła, bo z jednej strony zaniepokoiła ją obietnica obdarowania dziecka przez obcego mężczyznę, a z drugiej nie miała ochoty na wojnę z upartą Małgosią. Mężczyzna musi być pewno właścicielem, skoro kusi małą klientkę gratisem, ale srodze się na nich zawiedzie — pomyślała. Kiedy starszy pan uklonił się na powitanie, zobaczyła na jego głowie maleńką, czarną jarmułkę.

— Czy jesteś Żydem? — spytała z miejsca, trochę za obcesowo i trochę bez sensu, bo przecież wiedziała, że tak.

— Tak, jestem Żydem — odparł z łagodnym uśmiechem. — Skąd jesteście? — zapytał, zgadując już po jej pierwszym tak prostym zdaniu, że ma do czynienia z kimś nieanglojęzycznym.

— Z Polski — odpowiedziała szybko Małgosia.

— To świetnie! Ja też jestem z Polski — ucieszył się jubiler.

— Amchu — zaryzykowała Maria i uśmiechnęła się kokieteryjnie, żeby zachować pewien dystans do tego, co przed chwilą powiedziała i żeby słowo nie zabrzmiało jak hasło spiskowca.

— Amchu — odpowiedział jak echo Żyd i z otwartymi ramionami wybiegł zza kontuaru. Obejmował ją i całował także po jasnych loczkach Małgosię, dając wyraz swemu wzruszeniu.

Maria zażenowana nieco tą wylewnością postanowiła, być może niepotrzebnie, uściślić, że ona nie całkiem jest „amchu”, czyli swoja. Żyd jednak nadal się cieszył i miał ochotę opowiedzieć jej całe swoje zawikłane wojenne losy i powojenną ucieczkę z Polski. Maria nie miała jednak aż tyle czasu, bo Diego czekał na tort, a wiosenna burza na szczęście przechodziła bokiem i już prawie nie padało. Umówili się więc na dłuższą pogawędkę, gdy obie strony będą dysponowały wolną chwilą. Żyd też w sobotnie popołudnie znajdował się w sklepie nie po to, by handlować. W sobotę jego sklep był nieczynny. Wszedł tutaj, przerywając odpoczynek, bo spostrzegł, że nie działa alarm. Sprawdziwszy połączenia i zamki, otworzył lokal tylko na chwilę, żeby go ponownie zamknąć i spróbować uruchomić system na nowo. Wtedy właśnie wpadła zdyszana Małgosia.

Szymon Chaber wyjrzał na ulicę i zobaczywszy rudowłosą, piękną kobietę, wspomniał swoją zmarłą niedawno żonę, kiedy była jeszcze młoda. Jego Dwojra nigdy nie miała tak smukłej sylwetki jak ta kobieta, ale to mu akurat nie przeszkadzało. Miała natomiast podobne włosy, taką właśnie miedzianozłotą gęstwinę, w którą on z lubością zanurzał twarz, szukając ustami wdzięcznie wygiętej szyi. Dwojra uwielbiała pocałunki w szyję. Była bardzo tkliwą kochanką. Myślał, że doczekają się liczego potomstwa, lecz okazała się bezpłodna, prawdopodobnie po wielokrotnym zapaleniu przydatków, jakie trapiły ją na Syberii w strasznych sowieckich łagrach. A potem jeszcze tak szybko przyszedł rak i operacja, która całkiem zrujnowała ich pożycie. Nie mógł tak normalnie kochać się z Dwojrą, ale przecież kochał ją nadal. Ujrawszy Marię, znów pomyślał o żonie, z którą żył zgodnie wiele lat. Teraz zdawał sobie sprawę, że dla niej nie zawsze były to szczęśliwe lata. Gdyby mógł cofnąć czas, pewnie postępowałby inaczej, dziś nie byłby już takim egoistą. Dwojra na pewno cierpiała przez niego, chociaż się nie skarżyła.

Małgosia wyszła bardzo zadowolona z tego sklepu. Dostała w prezencie złote kolczyki w kształcie maleńkich kuleczek. Liczyła teraz na to, że tata lub jakiś jego kolega przebije jej uszy, ze znieczuleniem i w sterylnych warunkach, a ona założy upragnione ozdoby. Maria natomiast dzierżyła w ręku wizytówkę, na której widniało nazwisko właściciela oraz adres i telefon złotnika. Już się widziała w marzeniach za ladą tego niewielkiego saloniku. Odczekała kilka dni i zadzwoniła do pana Chabra, żeby umówić się z nim na dłuższą rozmowę. Tym razem poszła tam bez tortu i trajkoczącego dziecka. Spotkanie to nie spełniło jednak jej oczekiwań, ale wpłynęło bardzo mocno na życie całej rodziny. Gdyby wtedy mogła przewidzieć, jak potoczą się jej losy, wyrzuciłaby tę cholerną wizytówkę i nadal

bez skargi bawiła dzieci oraz piekła torty w kształcie piłki.

Pan Chaber zatrudniłby Marię, przymykając oczy na jej beznadziejny angielski, choćby po to, żeby móc na nią popatrzeć i powspominać dawne czasy. Nie zrobił tego, gdyż właśnie planował zwijać, a nie rozwijać interes. Czuł się stary, zmęczony i marzył tylko o luksusowym pensjonacie dla starców. Przez chwilę dał się ponieść sentymentom i myślał nawet, żeby wrócić do Polski. Powątpiewał jednak, czy w Polsce tego typu placówki będą już na odpowiednio wysokim poziomie. Maria przyrzekła mu, że za pośrednictwem matki, a może bardziej doktora Karola Maja, w końcu lekarza, zrobi rozeznanie w tej sprawie.

— Dość już przeżyłem różnych rewolucji — mówił Szymon. — Widzę, że tu nie szykuje się nic dobrego. Ja mam pieniądze w Szwajcarii. Pojadę do Europy i to będzie moja ostatnia wycieczka i ucieczka w życiu. Żal mi tylko mojej Dwojry, że sama tu zostanie na kirkucie. Myślałem niedawno przekazać ten interes jej kuzynowi. Na jego nieszczęście ściągnąłem go tu z Izraela. Będzie teraz już drugi miesiąc, jak wyjechał ode mnie z domu do Pretorii, żeby przedłużyć wizę, i zaginął bez śladu.

— To okropne. Miał wypadek? — dopytywała się poruszona do głębi Maria.

— Nic takiego nie odnotowano. Nie dojechał chyba do Pretorii, bo wizy nie odebrał. Przepadł on i samochód. — Starzec mankietem otarł łzę i kontynuował ciszej: — Policja nadal go szuka, ale ja nie mam nadziei, bo podejrzewam... — Szymon przerwał w tym momencie, bo do sklepu z zaplecza wszedł wysoki, przystojny, najwyżej dwudziestokilkuletni, ciemnoskóry, porządnie ubrany mężczyzna. Obrzucił niespokojnym spojrzeniem Marię, a potem łamaną polszczyzną zwrócił się dość obcesowo do Chabra:

— To jechać, jak była umowa, czy nie? Bo potem będzie zły, że za późno.

Maria ucieszyła się, że znów słyszy polski. Nie była to bezbłędna polszczyzna, ale i tak pewnie lepsza niż jej angielski. Polskie zdania wypowiadał w dodatku ktoś, kto miał bardzo ciemną skórę. Przyjrzała się dokładniej młodzieńcowi. Rysy miał ładne, delikatne, nos zupełnie nie taki, jak mają tutejsi czarni, trochę jakby orli, wargi nie zanadto wydatne, a włosy tylko lekko kręcone. „Bardzo ładny chłopak” — pomyślała i od razu intuicyjnie przybrała wdzięczniejszą pozę.

— Aaron wychował się w moim domu. Nie mieliśmy z żoną dzieci, więc Dwojra chętnie zajmowała się dzieckiem naszej *maid* — pośpieszył z wyjaśnieniem jubiler. Młodzieniec z uwagą wysłuchał słów starego, ale Maria odniosła wrażenie, że na ostatnie zdanie zareagował dziwnym grymasem. — Poczekaj, coś mi teraz zaświtało — ucieszył się Szymon. Maria przestała gapić się na Aarona i przeniosła wzrok na starego w nadziei, że może jednak będzie to jakaś propozycja dla niej. I nie pomyliła się. — Czy ty chodzisz czasem do polskiego kościoła? Tam dużo ludzi przychodzi — powiedział Chaber. — Możesz

brać ode mnie tani towar i sprzedawać. Najlepiej zarobisz na medalikach, kiedy będzie Komunia. Dam ci też kolczyki i wisiorki.

Maria milczała przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie miała pieniędzy na kupowanie złota, a poza tym nie wiedziała, czy będzie na nie zbyt. Czy ona zdoła to sprzedać drożej niż w sklepie? Po co ktoś miałby kupować od niej, skoro w każdym większym centrum handlowym jest jubiler i jeszcze w różnych punktach miasta poza galeriami także cała masa?

— Nie wiem, nie jestem przygotowana na taki zakup. Muszę porozmawiać z mężem — wykręcała się.

— Nic się nie martw. Ja tobie teraz dam złoto, a ty tylko pokwitujesz. Nie masz pieniędzy? *No problem*. Problem to zdobyć czyjeś zaufanie. Ale ja widziałem twoją córkę i ona mi od razu powiedziała, gdzie mieszka i jak się nazywa. The Cut jest niedaleko. Widziałem wczoraj twój dom. Wiem już nawet, że twój mąż jest lekarzem. Wam się nie opłaca być oszustami na taką małą skalę. — Szymon śmiał się ze swojego dowcipu, a Aaron był coraz bardziej nadąsany. Chodził po sklepie jak tygrys w klatce. Uspokoił się nieco dopiero, gdy starzec zwrócił się do niego z poleceniem: — Odwieziesz panią, bo nie może sama o tej porze ze złotem iść do domu. — Maria zrozumiała, że Chaber już za nią zdecydował. — Aaron też ma złoty interes. — Starzec zachichotał, mrugając porozumiewawczo do Marii. — Nie, ja nie o tym, co pomyślałaś. — Pogroził jej palcem i w tym momencie wydał jej się dość obleśny. — Na pewno zresztą też, po ojcu. Ale chodzi mi o to, że handluje moim złotem wśród czarnych i dobrze mu idzie. Na moje oko to aż za dobrze.

— Dasz jej z tych moich? — Chłopak lamparcim susem doskoczył do starego, ale ten podniósł uspokajająco dłoń i odparł:

— Nie. To musi być inny towar. Nie martw się. Niech ja stracę, a zysk będzie twój. Co ona zarobi więcej, pójdzie dla ciebie. — Szymon z dobrotliwym uśmiechem poklepał nastroszonego chłopaka po ramieniu.

Wszedł potem na zaplecze i nie wracał dłuższy czas. Maria zastanawiała się, co powinna zrobić. Nie wyraziła jeszcze gotowości wejścia w ten złoty biznes, a tymczasem Chaber traktował ją już jak współnika czy jakiegoś podwykonawcę. Z tego, co rozumiała, to jej obroty miały przynosić zyski Aaronowi. Martwiła się też, co powie Broniek, gdy ona nagle przyniesie tyle złota do domu. Czy nie będzie miał jakichś zastrzeżeń i podejrzeń, jak w przypadku tych kolczyków dla Małgosi. Postanowiła w końcu, że wróci tu z Bronkiem i wtedy mogą skończyć tę rozmowę. Ale Szymon właśnie wyniósł i położył na kontuarze kasetę pełną złotych łańcuszków, krzyżyków i medalików, a także całkiem niereligijnych wisiorków oraz pierścionków i powiedział:

— To na razie tyle. Tu mamy w dwóch egzemplarzach spis. Pokwitujesz mi odbiór i już. — Maria próbowała mu przerwać. Powiedzieć, że boi się trzymać

u siebie tyle złota. Bała się także reakcji męża. Ale stary machał rękoma i wcale nie słuchał. Jak urzeczony patrzył na biżuterię i uśmiechał do niej. — No chodź bliżej, popatrz — zachęcał. — Nie bój się. Przelicz spokojnie, obejrzyj i podpisz.

Maria z przerażeniem spojrzała na fakturę. Niby wiedziała, jak jest po angielsku łańcuch, krzyż i pierścionek, a reszty mogła się domyślić na zasadzie eliminacji. Nie była tylko pewna, czy wypada liczyć precjoza, które starszy człowiek daje jej za darmo w komis. Chyba ona też powinna okazać mu zaufanie — pomyślała i już chciała złożyć podpis, ale Szymon zatrzymał jej rękę.

— Oj, ty za mało wzięłaś po tacie i babci. Licz spokojnie. Aaron musi poczekać, on ma czas. Ja płacę za jego czas. Obejrzyj każdą rzecz — powiedział, wskazując na maleńkie metki przy każdej sztuce biżuterii, i dodał: — To cena dla klienta, a ja dam ci dziesięć procent rabatu. No, niech stracę, piętnaście.

— To ja tracę — warknął Aaron.

— Ty bądź cicho, bo figa z makiem będzie twoja — zaśmiał się stary, ukazując pożółkłe, nierówne zęby. — On teraz myśli pewnie, że zwariowałem, bo go figą z makiem częstuję, a to nasze polskie przysłowie, prawda? Ha, ha, ha! — radował się całym sobą. Nagle twarz Chabra spoważniała. Podniósł w górę groźnie chudy, wskazujący palec i odwrócił się do Aarona. — Tylko pamiętaj, ty za panią i złoto odpowiadasz. Ona nie może zniknąć jak Chaim — rzekł już całkiem bez uśmiechu.

Maria uznała, że stary posłużył się czarnym humorem, ale i tak była bardzo zdenerwowana, gdy z pomocą Szymona liczyła precjoza, a potem drżącą ręką złożyła podpis. Nie mogła się nadziwić, że naprawdę to robi. Czuła się naciskana i przymuszona do tego biznesu, ale z drugiej strony myślała: „Gdybym potrafiła się dobrze wśród Polaków zakreślić, miałabym czysty i niewymagający praktycznie żadnego wysiłku zysk”. Nie wypadało wybrzydzać, bo właśnie od obcego zupełnie człowieka otrzymywała solidne wsparcie finansowe i ogromny kredyt zaufania. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę to wszystko zdarzyło się dzięki magicznemu słowu „amchu”.

Lęk opanował ją dopiero, gdy wsiadła z Aaronem do samochodu. Starła się rozmawiać z nim w miarę swobodnie. Jednak śmiała się trochę sztucznie i trochę za głośno. W ogóle od momentu pojawienia się Aarona czuła się dziwnie skrepowana jego obecnością. Nie umiała rozpoznać, czy zachowuje się tak, bo chłopak jej się bardzo podoba, czy też dlatego, że się go po prostu obawia. Odetchnęła głęboko i mocno wciągnęła powietrze. Z przyjemnością zauważyła, że nie poczuła nic poza dobrą wodą toaletową. Aaron nie rozsiewał wokół siebie tego charakterystycznego dla czarnych zapachu, który tak ją drażnił, mimo to odetchnęła z ulgą, gdy krótka podróż dobiegła wreszcie końca.

Chłopak wysiadł z samochodu i jak prawdziwy bodyguard rozejrzał się szybko w jedną i w drugą stronę. Potem stanął przodem do ulicy, a tyłem do furtki.

Było już ciemno, więc czarny pies, który wyszedł spod płożących krzewów w ogrodzie i skradał się cichutko, pozostał przez niego niezauważony. Kiedy Maria podała Aaronowi zimną jak lód ze zdenerwowania dłoń, Strong dostał furii i skoczył na furtkę. Chłopak odskoczył błyskawicznie, przyjmując postawę obronną, a w jego ręku błysnął nóż. Maria nie była zaskoczona atakiem psa, ale przestraszona reakcją Aarona. Dotarło do niej, że ten duży sprężynowy nóż chłopak musiał cały czas mieć gdzieś w rękawie, bo do kieszeni nie zdążył sięgnąć.

— Dobry pies! — zawołał z uznaniem chłopak. — To dobrze masz ten pies. — Aaron był rozluźniony i pięknie uśmiechał się do przepraszającej go Marii, a w jego ręku nie było już noża.

ROZDZIAŁ 37

W życiu Guziałów zapanował czas wytężonej pracy i pozornego spokoju. Oboje, Maria i Broniek, pracowali ciężko, ale już się tak bardzo nie szarpali, bo ich sytuacja finansowa została opanowana. Po pierwsze pomogły pieniądze z Polski. Złoty biznes też szedł nie najgorzej. Maria dzięki nauczaniu w polonijnej szkole miała znakomity dostęp do rodziców dzieci, które podobnie jak Małgosia przystępowały w tym roku do Pierwszej Komunii Świętej. Okazało się, że będzie to wyjątkowo liczna grupa. Polacy mieszkający w promieniu nawet bardzo wielu kilometrów od Johannesburga dowiedzieli się o tej szkole i przywozili swoje dzieci do Bryanston na lekcje religii i polskiego.

Broniek był zatem spokojniejszy o byt rodziny. W pracy dobrze mu szło, szefowie go cenili. Referaty nie stanowiły już dla niego żadnego problemu. Po wystąpieniach naukowych zawsze zbierał gratulacje. Czuł, że podoła i zrobi specjalizację w tym indywidualnym, skróconym trybie. Ze względów finansowych bardzo mu zależało na wcześniejszym podejściu do egzaminu, ale z drugiej strony była to bardzo ryzykowna decyzja, gdyż w razie porażki nie istniała możliwość poprawki.

Więcej czasu poświęcał obecnie na naukę, ponieważ praca już tak go nie męczyła i nie stresowała. Poznał doskonale panujące tu procedury, rozumiał system rotacji, czyli ciągłej wymiany personelu medycznego między oddziałami. Po jakimś czasie nawet docenił tę denerwującą i utrudniającą życie metodę zarządzania ludźmi. Choć pierwszego dnia po zmianie na oddziałach panował pewien chaos, to jednak nie było możliwości, by w takim systemie popaść w rutynę. Ludzie musieli błyskawicznie odnajdować się w nowych warunkach i nawiązywać między sobą nowe relacje.

Największą ulgę odczuwał jednak z powodu odsunięcia się na dalszy plan Nancy. Od pamiętnej wizyty z narzeczonym dziewczyna nie szukała już z Bronkiem kontaktu. Wpłacał więc regularnie na konto alimenty i nie interesował się jej losem ani swoim synem. „Lepiej trzymać się z daleka od tej nowej rodziny i dać szansę dziecku, by uznało owego czarnego za swojego ojca” — myślał. Skoro Nancy już go nie potrzebuje, to widocznie wszystko z nią i małym jest w porządku — uspokajał swoje sumienie, które czasami jednak mu dokuczało. Przynurzał sobie niegdyś, że jego dzieci, póki będzie żył, nie zazną braku ojca. Okazało się jednak, że nie miał wystarczająco dużej wyobraźni i nie przewidział aż takich życiowych zakrętów. Wmawiał sobie, że wysyłane regularnie pieniądze to też rodzaj kontaktu.

Jego ślubne dzieci uczyły się dobrze. Solidny Jacek dostawał wyjątkowo wysokie noty na semestralnych świadectwach. Był zakochany w filigranowej Pen Lin, Chince z Tajwanu, która była najlepszą uczennicą w klasie. Jacek miał zatem

bardzo silną motywację do nauki. Była to jego pierwsza miłość, traktował ją ze śmiertelną powagą. Rodzina Pen Lin także mieszkała w Discovery. Zakochani mogli się więc umawiać po szkole w niezbyt odległej bibliotece publicznej, która, nawiasem mówiąc, była świetnie wyposażona i bardzo licznie odwiedzana przez mieszkańców dzielnicy. Jacuś marzył o tym, żeby choć czasami spędzić kilka chwil tylko z Pen Lin, ale to było raczej niewykonalne, bo czterej bracia Chinki nie odstępowali jej ani na krok.

Małgosia miała mniejsze ambicje naukowe niż Jacek, ale za to większe sukcesy towarzyskie. Wciąż była zapraszana na jakieś urodzinowe przyjęcia i weekendowe nocowania u koleżanek. Tak się jakoś składało, że zadawała się wyłącznie z białymi dziewczynkami, gdyż te ciemnoskóre były przywożone z innych, dalekich dzielnic i nikt ich nie zapraszał do swojego domu. Córka nie mogła zrozumieć, dlaczego matka nie chce jej puszczać do koleżanek na nocleg, ale nie ma nic przeciwko temu, by Małgosia zapraszała koleżanki do siebie.

— Nie znamy tych ludzi. To jest jednak inny kraj. Możesz źle zrozumieć jakiś ich zwyczaj i mieć kłopoty — tłumaczyła Maria dość pokrętnie.

— A Jacek to się umawia z Chinką i całe weekendy spędza na farmie u żydowskiej rodziny, a mnie nie pozwalasz iść na jedną, jedyną noc do normalnej Afrykanerki — złościła się.

— Ależ oni wszyscy są normalni: Żyd i Pen Lin, i te twoje kolorowe koleżanki, których nie zapraszacie na urodziny. Nie mam także nic przeciwko twojej Ened. Jesteś jeszcze za mała, żebym mogła ci to dobrze wytłumaczyć. Nie puszczę cię, bo cię kocham i już — mówiła matka, całując najeżoną córkę.

Maria bombardowana wciąż newsami o molestowaniu i gwałceniu dzieci w białych rodzinach straciła poczucie proporcji i zaczęła być nadmiernie ostrożna oraz podejrzliwa. Media dostarczały tego typu artykułów prawie tak samo dużo jak doniesień o zamieszkach wśród czarnych. Miała więc podstawy, żeby odnieść wrażenie, iż RPA to kraj białych zbrojców i czarnych bandytów. W Polsce wcześniej gazety raczej nie poruszały tego delikatnego tematu, więc była przekonana, że problem nie istniał bądź był całkowicie marginalny, a cechą narodową obleśnych Burów jest zbroczony popęd do dzieci.

W centrach handlowych patrzyła ze zgrozą na potężnych i nieapetycznych mężczyzn, paradujących w miejscach publicznych na ogół w szortach, z których przy każdym skłonie wychodziło im pół tyłka. Zastanawiała się, który z tych brzuchatych, rudawych brzydali o czerwonej od słońca i piwa gębie, usianej piegami dobiera się w domu do swojej małej przerażonej córeczki, i wszyscy wydawali się jej podejrzani.

Lęki ekonomiczne już nieco zelżały, ale coraz mocniej za to rozwijał się w jej głowie strach przed bandytami, zbrojcami, a także związany z politycznym terroryzmem. Wciąż słyszała tylko o ofiarach zamieszek, morderstwach,

wybuchających taksówkach i ładunkach bombowych podkładanych tu i ówdzie. Na drobne strzelaniny, które odbywały się praktycznie każdego dnia, powinna właściwie przestać zwracać uwagę, bo były czymś tak naturalnym jak stłuczki na parkingach. Ale była zbyt wrażliwa, by się uodpornić na cierpienie i śmierć. W dziennikach podawano, że w RPA w ciągu roku ginie tak wiele osób, jakby toczyła się tu regularna wojna, a przecież trwały pokojowe rozmowy. Każdego dnia można więc było stać się przypadkową ofiarą tej „pokojowej wojny”.

Bronek uspokajał żonę w tak nieumiejętny sposób, jakby pożar gasił benzyną. Myślał, że lepsze rozeznanie w zachodzących w kraju procesach i śledzenie na bieżąco sytuacji politycznej ukoji jej lęki, więc nadal po kolacji częstował ją porcją publicystyki z własnym komentarzem. Maria wolałaby obejrzeć lub poczytać romans, ale nie chciała, żeby mąż uważał ją za głupią. Siadała więc z nim przed ekranem, a tam właśnie pokazywano na przykład relację z masakry na przedmieściach Bisho, stolicy bantustanu Ciskei. Potem budziła się kilkakrotnie w nocy, miała najczarniejsze myśli i chciała wracać do Polski.

— Nie histeryzuj — mówił mąż. — Nas to przecież nie dotyczy. Tam giną sami czarni.

— Zginęło dwadzieścia osiem osób, a ponad dwieście zostało rannych. To też są ludzie! Ludzie! Słyszysz? — krzyczała, nie zwracając uwagi na to, że dzieci są w salonie i przyglądają się jej mocno zaniepokojone. — Dzisiaj oglądamy trupy czarnych, a jutro, jak włączą się w to biali, będzie masakra w paski — ironizowała. — Słyszałeś to, jak groził jeden z faszystów od Terr’Blanche’a?

— No, oni też mają swoje racje. To ich kraj, a nie jakaś tam kolonia. Dobrze, że jest ktoś, kto upomina się o prawa białych. De Klerk potrzebuje w negocjacjach ich wsparcia. Nie przejmuj się, polityka to teatr — mówił spokojnie mąż.

— Ale słyszałeś, że jakiś Ruch Wyzwolenia Białych wzywa do wyrzucenia z RPA Żydów i odesłania Hindusów do Indii?!

— Nie słyszałem i wcale nie jestem pewien, czy ty dobrze wszystko zrozumiałaś. Żydzi to uciekają sami, a zresztą są po obydwu stronach. Ja ci mówię, że będzie dobrze. Wszystko idzie we właściwym kierunku — perswadował. — W marcu tak się bałaś, że biali zbojkotują referendum albo nie zagłosują za reformami, a była osiemdziesięcioprocentowa frekwencja i większość opowiedziała się za proponowanymi zmianami.

— Afrykanerzy zagłosowali za zniesieniem apartheidu, bo bali się, że ich drużyna krykieta nie będzie mogła brać udziału w międzynarodowych zawodach w Australii — odparła sarkastycznie Maria.

— Ty chyba oglądasz niewłaściwe programy — zaniepokoił się Bronek. — Jesteś niesprawiedliwa, uprzedziłaś się do Burów? To bardzo mili i uczynni ludzie. Pamiętasz tego, co nam pomógł wtedy na drodze i przenocował?

— Niby tak. Ale jakoś nie wierzę, że wyniki tego referendum nie zostały

zmanipulowane.

— No co ty?! Nie jesteśmy w komunie! Tu jest demokracja.

— Powiedz to czarnym. Zresztą u nas, w Roodepoortie, ktoś zakwestionował wiarygodność komisji. Wyniki podali dopiero na drugi dzień.

— Jeden lokal na taki duży kraj.

Maria chciała z całego serca uwierzyć, że mąż ma rację i nie ma się czego bać. Ale się bała i nic nie mogła na to poradzić. Nie chodziło jej o siebie, ale właśnie o męża i dzieci. O sobie myślała niewiele. Nie miała na to czasu. Przez pięć dni w tygodniu od siódmej do siedemnastej niańczyła afrykanerskie trojaczki, które już potrafiły nieźle dać w kość. Potem trzeba było poświęcić trochę uwagi własnym dzieciom i mężowi, jeśli był w domu. Codziennie też sprzątała mieszkanie, bo w domu *day mother* musiał być zawsze nienaganny porządek. A przed weekendem często jeszcze otrzymywała zlecenia na pieczenie tortów. W sobotę należało także zrobić duże zakupy i przygotować pomoce do zajęć w polonijnej szkółce. Pół niedzieli spędzała w kościele, więc na coraz rzadsze kontakty towarzyskie zostawały jej właściwie tylko niedzielne popołudnia.

Zapomniała, że jest młoda, ładna i może się podobać. Co niedzielę przed wyjazdem do Bryanston wpadała w popłoch, że nie ma w co się ubrać i znowu nie miała czasu pomalować paznokci. Dobrze, że chociaż jej włosy nie wymagały interwencji fryzjera. Rosły swobodnie i obecnie po rozpuszczeniu sięgały jej już do pasa. Dlatego na ogół nosiła je upięte w kok. Ale czy puszczone luźno, czy związane zawsze budziły zachwyt i zazdrość. Idealna cera, z braku pieniędzy na kremy i maseczki pielęgnowana awokado i oliwką dla dzieci, wyglądała na jeszcze bardziej delikatną. Przygasły tylko i posmutniały jej czarne, ogniste, wielkie oczy, a z niewyspania i zmęczenia pojawiła się pod nimi sina podkówka.

Na sylwestra organizowanego przez księdza Zenona Maria wcale nie miała ochoty iść. Ale Broniek, Ania, Rysiek i wielu innych znajomych z kościoła bardzo ją namawiali, więc w końcu uległa. Mąż zadzwonił wcześniej do Diego, żeby nie liczył na żadne torty. Potem zaciągnął Marię do Westgate Shopping Center na zakupy i zrujnował się na ładną kreację. W Woolworthie udało jej się wypatrzyć piękną, brązowo-złotą, prostą i obcisłą, elegancką suknię. Cena była dość wygórowana i Maria chciała już zrezygnować, ale Broniek poszedł do samego menedżera, żeby uzyskać rabat. Trudno powiedzieć, czy upust był wynikiem elokwencji doktora Guziana, czy też raczej prezencji Marii. Menedżer stał przez chwilę bez słowa i kręcił z podziwu głową, a potem szarmancko stwierdził, że gdyby to od niego zależało, dopłacałby takiej kobiecie, żeby nosiła suknie z jego firmy.

W sumie nie żałowała, że poszła na bal. Bawiła się cudownie i wytańczyła za wszystkie czasy. Nasłuchiwała się też komplementów od mężczyzn i od kobiet. Najważniejsze jednak dla niej było to, co widziała w oczach swojego męża. Broniek

patrzył na nią znów z podziwem i pożądaniem, którego ostatnio w ich związku było jakby nieco mniej. Była naprawdę szczęśliwa, o wiele szczęśliwsza niż wiele kobiet na tej sali, i chciała to uczucie w sobie utrwalić i zatrzymać na dłużej, żeby nie wątpić w to, gdy znów wróci do swojego domowego kieratu.

Wokół niej siedzieli i tańczyli rodacy, życzyła im i sobie o północy powodzenia, ale czuła, że w wielu wypadkach te życzenia raczej się nie spełnią. Z plotek wiedziała, które rodziny były już tak zadłużone, iż planowały po Nowym Roku szybką ucieczkę z tego kraju. Przy stoliku obok niej siedziała smutna i samotna żona pewnego lekarza, a jej mąż bawił się w najlepsze ze swoją koleżanką z pracy, o której sporo osób mówiło, że to jego kochanka. Dla żony też prawdopodobnie nie było to tajemnicą. Ale cóż miała począć w tym obcym kraju niepracująca, obciążona trójką dzieci kobieta? Postanowiła przeczekać, bo to już nie pierwsza, ale, da Bóg, że może ostatnia, która bez skrupułów odpowiedziała na awanse jej męża.

Ten bal na jakiś czas zadziałał na psychikę Marii w sposób zbawienny. Postanowiła wziąć się w garść i nie narzekać. „Jestem młoda i silna, mogę pracować nawet jeszcze bardziej intensywnie. Nie jest to przecież obóz hitlerowski czy sowiecki łagier, ale mój własny dom i moja rodzina” — gromiła się w chwilach słabości. „Mam cudownego męża, wspaniałe dzieci i grono przyjaciół. Mieszkam w wymarzonym przez siebie kraju, który po burzliwych przemianach będzie lepszy, bo sprawiedliwszy. Jeszcze tylko trochę wytrzymać i wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze” — powtarzała w myślach kilkadziesiąt razy w ciągu dnia i to też jakiś czas działało. Kiedy jej psychika była w lepszym stanie, wszystko inne okazywało się łatwiejsze do ogarnięcia.

ROZDZIAŁ 38

Na początku 1993 roku Maria miała nieco lepszy nastrój. Chyba już przyzwyczała się do życia, jakie teraz wiodła, a w każdym razie bardzo starała się je polubić. Tłumaczyła sobie, że być może właśnie nastąpił przełom i teraz będzie lepiej. Nie wydarzyło się właściwie nic takiego, co upoważniałoby ją do zwiększonego optymizmu. A tymczasem takie drobiazgi, jak kilka sprzedanych łańcuszków czy mniejsze zmęczenie pod koniec dnia spowodowane lepszą organizacją pracy, stawały się powodem radości. Więcej się teraz uśmiechała, więcej miała serdeczności i cierpliwości dla swoich dzieci i tych oddanych jej pod opiekę. Częściej też spoglądała do lustra i znów nuciła piosenki, pracując w kuchni lub prasując ubrania.

Zauważyła, że źle wpływa na nią polityka, więc przestała oglądać CNN i tak uwielbianą przez Bronka południowoafrykańską audycję pod tytułem „Agenda”. Ale niełatwo było całkowicie odciąć się od politycznej rzeczywistości. Politycy z Polski przyjechali aż do RPA i przywieźli ze sobą atmosferę kłótni i swarów z ojczyzny. Po spotkaniu z nimi w kościele w Bryanston oboje z Bronkiem byli zdezorientowani. Kiedy wyjeżdżali z Polski, Lech Wałęsa był bohaterem narodowym i ich idolem. Teraz niektórzy mówili, że to zdrajca, wtyczka bezpieki i zadufany w sobie półgłówek.

Ani Bronek, ani Maria nie potrafili ze strzępków docierających do nich informacji wyrobić sobie własnego zdania i rozeznac się w całej tej aferze. Nie wiedzieli, czy to źle, czy dobrze, że rząd Olszewskiego ustąpił, a nowym premierem został jakiś młody, nieznany im wcześniej ludowiec. Bronek próbował dociekać prawdy, dzwonił do znajomych w Polsce, wypytywał, lecz nie stawał się od tego mądrzejszy. Ludzie, którzy kiedyś stali zgodnie w jednym szeregu i walczyli z komuną, nagle się podzielili. Część broniła Wałęsy, a inni byli oburzeni nocną zmianą rządu i nazywali ją zamachem stanu, kwestionując nawet porozumienia Okrągłego Stołu. Bronka bardzo to dołowało.

— Jak w Polsce już po trzech latach neguje się zgodę, która miała być przykładem dla innych, i wszystko wywraca na nice, to ciekawe, jaką wartość będą miały zawierane dziś alianse i porozumienia w ramach CODESA? A może te ich rokowania to tylko fikcja? Każdy pewnie chce wyrolować drugiego i w odpowiednim momencie skoczyć mu do gardła. Kto wie, czy jacyś agenci nie próbują skompromitować Mandeli? A może już ktoś knuje spisek, żeby go zabić?

Bronek czytał gazety i obowiązkowo oglądał dzienniki oraz „Agendę”, lecz i tak naprawdę nie był w stanie rozpoznać, kto z zasiadających do afrykańskiego okrągłego stołu ma dobre intencje, a kto prowadzi jakieś zakulisowe gierki, udając łagodnego baranka lub gołąbka pokoju. Co jakiś czas do prasy przedostawały się

kompromitujące materiały o czołowych negocjatorach. Czarnym charakterem numer jeden jawił się Chris Hani.

— Podobno Hani szykuje się już na miejsce Mandeli. To nie jest dobra wiadomość — martwił się Broniek. — Dopiero co zajął w SACP miejsce po Żydzie Joe Slovo, a już chce więcej. On ma wiele na sumieniu, w tym nawet likwidację swoich ludzi w Angoli. Komuniści to potrafią, chyba lepiej niż inni. Hanięgo też szkolili w ZSRS. Jak on się dorwie do władzy, to pewnie będzie chciał Afrykanerów wyrzucić z RPA i rozprawi się z czarną opozycją, a potem zaprowadzi tu komunę. Wtedy naprawdę trzeba będzie wiać.

— A co się stało z tym Slovo? — spytała nagle Maria. — Sprzątnął go?

— Nie, Slovo sam zrezygnował, podobno ze względu na stan zdrowia.

— No to Hani nie jest temu winien.

— Chyba nie. Ale kto go tam wie. Wiesz, czasem można człowieka przymusić do rezygnacji. Nie wiadomo, co ten Hani zamierza. Na razie zbratał się z Winnie Madikizela-Mandelą, była żoną Nelsona, która jest zamieszana w różne afery i akcje terrorystyczne. To ona powiedziała kiedyś na wiecu, że rewolucję wygra się oponą i zapalniczką.

Maria natychmiast przypomniła sobie pokazywane nie raz w telewizji drastyczne zdjęcia ofiar spalonych żywcem w tak zwanym naszyjniku z płonącej opony.

— Mieliśmy nie mówić już o takich strasznych rzeczach jak polityka — upomniała męża. — Zobacz lepiej, co teraz pisze nasz syn. Mówił mi, że ma bardzo ważną i pilną pracę na konkurs. Skoro to takie ważne, to może powinienes sprawdzić, czy nie narobił błędów.

— Niedługo to chyba ja będę go prosił o sprawdzanie referatów — powiedział z dumą Broniek i złożywszy „The Weekly Mail”, poszedł do pokoju syna.

Jacek od nowego roku szkolnego po ukończeniu sześciu klas podstawówki był uczniem szkoły średniej, Florida High School. Miał już nowych kolegów i czuł się tam całkiem nieźle. Brakowało mu tylko Craiga Goldmanna, przyjaciela z Discovery. Rodzice Craiga oddali syna do nowo powstałej prywatnej szkoły z internatem w niedalekim Krugersdorp. Właśnie od Craiga Jacek dowiedział się o konkursie na najlepszy esej o pokoju na świecie, jaki ogłosiła ta elitarna szkoła. Nagrodą miała być bezpłatna pięcioletnia nauka aż do matury. Było więc o co walczyć. Jacek miał oryginalny pomysł na opracowanie tego tematu i pisał. Nie był skłonny godzić się na jakiegokolwiek ingerencje, bardzo poważnie bowiem potraktował to, co zostało zapisane w regulaminie, że praca ma być samodzielna. Takie odpowiedzialne podejście zawdzięczał już południowoafrykańskiej szkole, gdzie wszelkie ściąganie i posługiwanie się czyjąś pracą było rzeczą nie tylko naganną, ale i wstydliwą. W tamtejszych szkołach uczniowie nie podawali sobie

ścią i nie pozwalali odpisywać zadań.

Jacek następnie odczytał swój esej rodzicom, a potem wysłał. Broniek i Maria byli pod wrażeniem dojrzałości wypracowania, ale żadne z nich nie wierzyło, aby ich syn, tak świeżej daty imigrant, wygrał ten konkurs. A Jacek wygrał i dostał się do szkoły. Znow był razem z Craigiem.

Rodziców rozsadzała duma, ale też martwili się, czy będą w stanie odpowiednio syna wyposażyć, żeby nie odstawał zanadto od reszty zamożnych uczniów. W szkole dużo było dodatkowych zajęć, za które należało płacić osobno. Tych opłat ufundowane przez darczyńców czesne nie pokrywało. Rodzice czuli, że powinni się szarpnąć choć na jazdę konną, której chłopak popróbował już na farmie Craiga. A do jazdy konnej potrzebny był odpowiedni i dość kosztowny strój. Tam zresztą wszystko powinno być w dobrym gatunku, a zatem mieć też i odpowiednią cenę. Noszenie mundurków szkolnych na co dzień nieco ułatwiało sprawę. Należało jednak kupić mu trochę markowych ciuchów, żeby miał się w co ubrać na wycieczkę lub z ewentualną wizytą do kolegów. Wszystkie jego rzeczy pochodziły bowiem z bardzo tanich sklepów i to w dodatku z przeceny. Chłopiec wcale nie domagał się tego, wprost przeciwnie, uważał, że da sobie radę w nowej szkole bez względu na to, jak będzie ubrany. Zresztą rodzice Craiga też nie byli bardzo zamożni, a on nie miał kompleksów, bo znał swoją wartość. Razem było im na pewno różniej.

Małgosia zazdrościła bratu nowej szkoły i tego, że o jego nagrodzie napisano w gazecie. Odgrzała się, że i ona pójdzie w jego ślady, lecz nie potrafiła wytrwać zbyt długo nad podręcznikiem i bardziej niż dobre oceny cieszyły ją komplementy na temat urody. Naprawdę dobra była z plastyki, muzyki i angielskiego, gdyż po mamie odziedziczyła sporo zdolności, a ponadto lubiła czytać książki. Ostatnio zaczęła nawet pisać po angielsku pamiętnik, ale nikt nie wiedział, jaka jest wartość tego dzieła, gdyż trzymała go w ukryciu.

Maria znow nawiązała bliższy kontakt z doktorem Karolem Majem. Dzwoniła do niego do Polski, by, jak obiecała Szymonowi Chabrowi, zasięgnąć opinii znajomego doktora w kwestii ewentualnego powrotu starego jubilera do Polski. Karol się wykręcał i nie bardzo miał ochotę angażować się w szukanie życiowej przystani dla jakiegoś nieznanego pobratymca. Zrobił jednak pobieżne rozeznanie, a przynajmniej tak mówił, i był bardzo sceptycznie nastawiony do tego pomysłu.

— Nie, u nas nie ma jeszcze takich standardów, do jakich on jest na pewno przyzwyczajony. Jeśli nie chce wracać do Izraela, niech jedzie do Ameryki — mówił.

— Ale ten człowiek tęskni za Polską. W Izraelu był tylko raz w życiu na wycieczce. Ty wiesz, że tyle lat tu siedzi, a wciąż mówi po polsku i już drugie pokolenie swojej służby też nauczył. On, jak wielu Polaków, zawdzięcza życie

armii Andersa i Irakijczykom. To nie milioner, tylko zamożny rzemieślnik, więc chyba cudów nie oczekuje — argumentowała Maria.

— W naszym kraju w ogóle opieka nad starymi ludźmi jest fatalna. Powstają prywatne pensjonaty, ale co chwilę słyszę, że są tam jakieś afery: bicie, głodzenie, poniżanie pensjonariuszy. Daj spokój, ja nie wezmę na siebie odpowiedzialności za jakiegoś obcego faceta.

— Ale jakby on pojechał do Polski, to mu pomożesz?

— Nie mam czasu na taką działalność. Jeszcze może chciałby się u mnie zatrzymać? To niemożliwe, bo teraz codziennie mam dużo pacjentów. Coraz więcej dzieci potrzebuje mojej pomocy. Podeślij go swojej mamie. Ona się nudzi i nie jestem pewien, czy z nudów nie popija. Ostatnio szła jak pijana. Minęliśmy się w bramie, a ona mnie nie zauważyła, chociaż jej się kłaniałem. — Karol chciał z Marią rozmawiać, ale nie o jakimś starym człowieku. Bardziej go obchodziło życie rodzinne Guziałów, a szczególnie, jak daje sobie radę ciesząca się jego wyjątkową sympatią mała Małgosia.

Marię ostudziło nieco to, co usłyszała od Karola o pensjonatach dla seniorów. Może faktycznie błędem byłoby sprowadzanie do nędznej wciąż po czterdziestopięcioletnich rządach komunistów Polski, w której, jak twierdził Maj, rozwijał się krwiożerczy kapitalizm, a ludzie stali się bezwzględni i pazerni, kogoś, kto ma ją w sercu wyidealizowaną jako kraj lat dziecińczych. Gdyby Szymon miał tam jakąś rodzinę, która choć z pewnego dystansu czuwałaby nad nim, to byłoby to jakieś zabezpieczenie, a tak może naprawdę lepiej mu ten pomysł wyperswadować.

Maria nie chciała zawracać głowy swojej matce. Jej również w ostatnich rozmowach mama wydała się mniej kontaktowa, a nawet dziwaczna. Sugerowała, że odbywa jakąś pokutę za grzechy swoje i męża. W ogóle popadła chyba w dewocję, bo wciąż opowiadała o różnych kościelnych akcjach i modlitwach odmawianych razem z radiem. Maria nie była pewna, jak Lucyna zareagowałaby teraz na prośbę o zajęcie się nieznajomym mężczyzną. Zaniepokoiło ją też zachowanie rodzicielki wobec sąsiada. Dlaczego udaje, że nie widzi kogoś, kogo jeszcze niedawno traktowała jak przyjaciela rodziny? Czy to możliwe, że również z powodu jego pochodzenia? — zastanawiała się. O pijaństwo raczej matki nie podejrzewała. Lucyna miała zbyt silny charakter, a tacy ludzie się nie uzależniają. Powodem dziwnego zachowania mogła być więc raczej choroba.

— Mamo, kiedy ostatnio byłaś u lekarza? — zapytała podczas najbliższej rozmowy telefonicznej.

— A po co miałabym chodzić po doktorach, skoro dobrze się czuję? Ja nie jestem jeszcze taka stara, jak ci się wydaje — ofuknęła ją Lucyna. — Ty lepiej dbaj o siebie i dzieci, bo tam pewnie niejedną groźną chorobę można złapać. Czy Jackowi wyleczyliście już te zatoki? Mówił mi, że od klimatyzacji w samochodzie ciągle go bolą — zmieniła temat.

— Tak. Byliśmy z nim u laryngologa, dostał antybiotyk i już jest zdrowy. Chorego bym na wycieczkę nie puściła.

— Ja bym na twoim miejscu w ogóle dzieci w takim kraju na wycieczki nie puszczala. Czy to można wierzyć dzikim? Niech jeżdżą tylko tam, gdzie ich rodzice.

— Nie mogę ich trzymać pod kloszem. Tu nie ma dzikich. Jacek jest w znakomitej, międzynarodowej szkole i na wycieczce ma dobrą opiekę — powiedziała Maria z pewną irytacją, bo nie lubiła, gdy matka na odległość nią dyrygowała. Już chciała nawet przytoczyć argument, że Jacek i Małgosia w Durbanie właśnie pod opieką rodziców o mało się nie utopili, ale w porę ugryzła się w język, bo to by był dopiero krzyk.

Lucyny nie dało się kontrolować ani nią kierować. Twierdziła, że jest w wyjątkowo dobrej formie i czuje się bardzo silna.

— Wiesz, ostatnio nawet nikogo nie wołam do mycia okien i trzepania dywanów na święta. Wszystko sobie pięknie posprzątałam. Aż się dozorca dziwił, że ten nasz wielki dywan z salonu bez niczyjej pomocy zawiesiłam na trzepaku — chwaliła się. Nie było powodu jej nie wierzyć. Czy jednak takie wyczyny pani grubo po pięćdziesiątce, która zawsze wynajmowała ludzi do cięższych prac domowych, nie mogą stać się przyczyną jakichś urazów, a nawet kalectwa? — zastanawiała się Maria. Nic nie mogła jednak zdziałać na taką odległość.

Przy kolejnych rozliczeniach finansowych przekazała Szymonowi opinię pana Karola na temat polskich domów spokojnej starości. Staruszek zasępił się i powiedział:

— Szkoda, bo bardzo liczyłem, że tam wrócę.

— Mnie się wydaje, że jesteś jeszcze w zbyt dobrej formie, żeby szukać już przytułku na starość. Nie widać, przynajmniej na oko, żeby trapiły cię jakieś choroby, więc poczekaj jeszcze trochę. Polska rozwija się dynamicznie, każdego dnia zmienia się na lepsze. Za rok, dwa może będziesz wybierał i przebierał w takich pensjonatach — pocieszała Maria, zwracając się do Szymona tak, jak sobie życzył, czyli po imieniu.

— Ja mam duży nos i nim czuję, że tutaj nie będzie szczęśliwego rozwiązania. — Jubiler z uśmiechem wskazał na potężny, garbaty nos tkwiący niczym dziób w jego szczupłej twarzy. — Trzeba się śpieszyć, żeby wyjechać, zanim zrobi się naprawdę gorąco.

— Przesadzasz trochę — mówiła uspokajająco Maria, ale sama się lękała. — Pewnie, że ze względu na ten sklep jesteś bardziej narażony, więc może kup dom lub wynajmij mieszkanie w innym miejscu. Lepiej stracić zawartość sejfu niż życie. Zatrudnij kogoś do sklepu. Nie musisz już chyba sam pracować?

— Niby nie, ale ten sklep to całe moje życie. Po co mi jakiś inny dom? Z kim ja miałbym rozmawiać w tym domu?

— Masz przecież stale przy swoim boku oddanego ci młodego człowieka. Czy on mieszka z tobą? Jest ci chyba wdzięczny za opiekę? A co z nim będzie, jak ty wyjedziesz? Zamierzasz go jakoś zabezpieczyć?

— On nie zna słowa wdzięczność i nie umie tego poczuć. Ja mu bardzo dużo dałem. Skończył *high school*. Ale on pracować nie lubi, wszystko by chciał szybko, za szybko. Ja go teraz jeszcze trzymam na smyczy, ale nie wiem, jak długo zdołam. Zdradzę ci sekret. — Szymon ściszył głos i kontynuował: — To jest mój syn. — Łzy stanęły w dużych wyblakłych oczach starego, ale zaraz odwrócił się od Marii i opanował emocje.

Maria przez chwilę milczała zaszokowana. Krztusząc się, wychyliła szybko stojący przed nią kieliszek smacznej i mocnej andersówki, którą Szymon przyrządził własnoręcznie na bazie spirytusu i karmelu według przepisu pochodzącego jeszcze z lat wojennych, podobno od samego generała Andersa.

— Jak to twój syn? Taki czarny? — zdziwiła się.

— Matka była bardzo ciemna. On nie jest przeze mnie uznany. Nie ma praw. Dużo mu dałem i jeszcze dużo mógłbym mu dać, ale on by wolał sam wziąć.

— Nie kochasz go?

— On nie da się kochać.

— Może ma pretensje, że go nie uznałeś? Powinieneś...

— Ja wiem, co powinienem — zakończył twardo stary. — Teraz go zawołam, żeby odwiózł cię do domu. Ja lecę jutro rano do Namibii po surowce. Nie będzie mnie jakiś czas. Z nim będziesz załatwiać interesy. Tylko nie zgadzaj się na wyższe ceny. A jak ci się uda jeszcze coś z jego zarobku urwać, to twoje. Patrzy na ciebie jak kot na spyrkę albo pies na kość, ale nie dla psa kiełbasa. Widzisz, tyle lat pamiętam te polskie przysłowia. — Szymon roześmiał się z zadowoleniem i uściskał Marię.

Jechała z Aaronem w kompletnym milczeniu. Po tym, co jej powiedział na pożegnanie Szymon, czuła się przy młodym mulacie jeszcze bardziej skrępowana.

— To już wiesz — odezwał się nagle mężczyzna. — A mnie nigdy się tak prosto w oczy nie przyznał. Mówił, że ja czarnuch, nie *coloured*¹.

— Podśluchiwałeś? — zdziwiła się Maria.

— Ja go pilnuję w dzień i w nocy. On dla mnie cenniejszy niż diamonds. Mój tate, kochany tate chciał ode mnie wyjechać na zawsze. Muszę się nim bardziej zająć — zachichotał tak, że Marii ciarki przeszły po plecach.

— Teraz niedługo będą święta i jedziemy z mężem na wakacje, to z rozliczeniem zgłoszę się dopiero za jakiś miesiąc — powiedziała, wysiadając z mercedesa. Mówiąc o wyjeździe, skłamała w nadziei, że Szymon wróci i nie będzie zmuszona kontaktować się z Aaronem.

— Zadzwoń, to przyjdę do ciebie, jeśli chcesz oczywiście — powiedział Aaron w taki sposób, że kolana się pod nią ugięły.

kolorowy; potomek mężczyzny rasy białej i kobiety rasy czarnej lub kobiety rasy białej i mężczyzny rasy czarnej (ang.) [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 39

Przed Świątami Wielkanocnymi znów było więcej pracy i w domu zrobiło się bardziej nerwowo. W Wielki Czwartek Maria zauważyła na suficie nad stołem zaciek. W pierwszym momencie pomyślała, że dach im przecieka, ale potem uświadomiła sobie, że jest kwiecień i bardzo dawno nie było deszczu. Broniek wrócił z pracy już po zmroku, zaciek przy sztucznym świetle był mniej widoczny, więc go zlekceważył. Wytłumaczył sobie, że to może woda z jakiegoś starego deszczu dziwnym trafem spłynęła w dół z opóźnieniem.

— Widzisz, tu trzeba otworzyć tę klapę i wejść tam pod dach. Teraz jest ciemno — tłumaczył Marii. — Nie mam latarki, a po ciemku nic nie zobaczę. Jutro mamy święto, to znaczy wolne. My w Polsce nie świętujemy w Wielki Piątek, to chyba mogę bez grzechu połączyć po tym dachu. Dzisiaj już mi się nie chce.

W Wielki Piątek, gdy już wszystko było wysprzątane, nagotowane i popieczone dla domu, a Maria robiła jeszcze dwa zamówienia dla Diego, Broniek stwierdził, że zaciek wciąż się powiększa i to go niepokoi.

— Muszę jednak wejść tam pod dach i wytrzeć to mokre albo podstawić jakieś naczynie — zdecydował nagle i zaczął się mocować z klapą skrywającą włącz na strych. Kiedy wreszcie udało mu się ją opuścić, na wyczyszczonej pięknie szarą wykładzinę posypało się z góry mnóstwo śmieci. Maria przybiegła z odkurzaczem, a tymczasem Broniek już wdrapał się po drabince na górę i komentował, co odkrył pod dachem, a czego nie sprawdził, kupując dom.

— Ale to jest dziadostwo! — krzyczał. — Nie ma nawet desek, żeby można było tu normalnie chodzić. Trzeba robić wielkie kroki z belki na belkę. O, wiesz, tutaj mamy bojler elektryczny! To z niego leci! — obwieścił i w tym samym momencie noga ześliznęła mu się z obłej i śliskiej belki i przebiła namoknięty gipsowo-kartonowy sufit nad samym stołem, tuż obok lampy. Na stół, na którym stały upieczone przed chwilą biszkopty, połała się woda i posypały różne zanieczyszczenia.

Maria była załamana. Miała nadzieję, że za jakieś dwie godziny skończy zdobienie tortów i pojedzie z rodziną do Bryanston na drogę krzyżową. W zeszłym roku byli pod wielkim wrażeniem rozmyślań, jakie przygotował ksiądz Zenon. W tym roku trzeba było z uczestnictwa w nabożeństwie zrezygnować. Maria piekła od nowa biszkopty. Broniek naprawiał bojler, robiąc własnoręcznie prymitywną uszczelkę, a dzieci pomagały sprzątać cały ten okropny bałagan.

— Ale jutro na pewno pojedziemy na liturgię światła? — zapytała Małgosia przed położeniem się spać. W poprzednim roku bardzo jej się podobało palenie wielkiego ogniska za kościołem, a potem wchodzenie ze światłem do zupełnie ciemnej świątyni.

— Pojedziemy na sto procent — zapewniła Maria. — A w niedzielę przyjedzie do nas pani Ania z mężem i dziewczynkami.

— Mogliby zostać na noc? Byśmy sobie rano urządzili śmigus-dyngus — podrzucił Jacek dobry pomysł.

— Niezła myśl — podchwycił Broniek. — Rysiek mógłby się przynajmniej raz napić u nas alkoholu i w ogóle rano może być zabawnie. Jak to dobrze, że nie mam żadnego dyżuru.

W sobotę wstali niezbyt wcześnie. Maria zrobiła na śniadanie kakao z pianką, które dzieci uwielbiały, i nakryła na świeżym powietrzu za domem. Jedli do tego placek drożdżowy od Ani. Dużo się śmiali i żartowali. Małgosia powiedziała, że nie chce już kolegować się z Ened, bo dziewczynki mówią, że od niej można się zarazić.

— A na co jest chora? — zaniepokoiła się matka.

— Ona nie jest chora, tylko wszędzie ma kurze jajka.

— Jak to wszędzie? — pytała Maria.

— Na dłoniach i na stopach, takie wystające, brązowe i wstrętne — powiedziała córka, krzywiąc się przy tym okropnie.

— To chyba kurczaki — zorientował się ojciec i wszyscy, oprócz Małgosi, zaczęli się śmiać. W tym momencie zadzwonił telefon.

— Oglądacie telewizję? — Broniek usłyszał w słuchawce podniesiony głos Ryśka.

— Nie. Jemy sobie pyszną... — Broniek chciał pochwalić ciasto od Ani, lecz Rysiek mu przerwał:

— Włączaj! Zabili Haniego! Z tego może wyjść krwawa jatka!

Broniek bez słowa odłożył słuchawkę i włączył telewizor. Zastanawiał się, co powiedzieć dzieciom, że nie pojedą dziś do kościoła. Od razu zdecydował bowiem, że lepiej siedzieć w swoim domu na przedmieściu i nie narażać się na spotkanie z demonstrującym tłumem. Nie wiedział jeszcze wówczas najgorszego, że sprawcą, którego pochwycono niemalże na gorącym uczynku, jest Janusz Waluś, imigrant z Polski. Żałował teraz, że tak niedawno uświadamiał Marii, jak duże znaczenie dla czarnych ma osoba Chrisa Haniego. W tej sytuacji trudno mu będzie przed nią udawać, że to akt terroryzmu bez większego znaczenia. Bał się o nią, żeby nie wróciły jej opanowane dopiero co stany lękowe. Postanowił, że święta przesiedzą w domu, żeby jednak nikogo nie straszyć, wymyślił awarię samochodu.

Dzieci były bardzo zdenerwowane na to głupie auto. Jacek miał czytać modlitwę powszechną na mszy, a Małgosia awanturowała się, że przez rodziców będzie miała jeszcze jeden grzech śmiertelny. Tuż przed pierwszą spowiedzią i komunią bardzo się bała, by nie powiększać długiej już i tak listy swoich win, która starannie wykaligrafowana od miesiąca leżała na jej biurku i stale była aktualizowana. Odetchnęła z ulgą dopiero, gdy ojciec wytłumaczył, że to nie jest

jej grzech. Bronek, jak długo się dało, celowo zabawiał na dworze dzieci i żonę, żeby nie włączali telewizji. Potem przyjechali Ryśkowie i dzieciaki bawiły się razem w ogrodzie oraz planowały wodną bitwę na śmigus-dyngus. I tak jakoś przeszedł im dzień bez telewizora.

Dorośli oglądali telewizję dopiero wtedy, gdy dzieci poszły spać. Bystry Jacek jednak już wcześniej zaczął wypytywać, co się dzieje, bo w ciągu całego dnia wciąż dzwonił telefon i tata jakoś dziwnie chował się ze słuchawką, a to w sypialni, a to w łazience. Cała Polonia była poruszona. Rodacy telefonowali do siebie wzajemnie, by wymienić się wiadomościami i swoimi przemyśleniami. Nie chcieli wierzyć, że to właśnie Janusz Waluś, którego wielu, zwłaszcza ze starszej grupy emigracyjnej, znało, mógł dokonać tej zbrodni. Większość uważała, że został wrobiony. Wątków i domysłów było wiele. Na kościele w Bryanston pojawił się napis: „Polacy, zabijemy was!“. W święta w całym RPA było jeszcze w miarę spokojnie, ale z każdym dniem napięcie rosło. Czternastego kwietnia już dosłownie wrzało. Podawano, że ogółem we wszystkich dużych miastach wyległo na ulice grubo ponad milion osób. Policja w samochodach pancernych ochraniała demonstrantów, bo biali z Afrykańskiego Ruchu Oporu prowokowali do walk. Byli zabici i ranni. Na szczęście głos zabrał Nelson Mandela i jego autorytet zadziałał. Wygłosił orędzie, w którym apelował o spokój umożliwiający dokończenie prac nad nową konstytucją.

Dziewiętnastego kwietnia, w osiem dni po zamachu, na stadionie „Soccer City” w Johannesburgu odbyły się uroczystości żałobne. Trumna ze zwłokami Chrisa Haniego wystawiona była na widok publiczny i każdy mógł go pożegnać. Pochowano go na cmentarzu w Boksburgu, bo tam mieszkał i tam, przed własnym domem, został zabity. Maria oglądała transmisję z pogrzebu i płakała rzewnymi łzami, gdyż kamery wciąż pokazywały niezwykle wzruszający obraz trzech córeczek Haniego, trzymających w rękach białe gołębki pokoju. Wzruszała się losem osieroconych dzieci, a zwłaszcza najmłodszej dziewczynki, która podobno widziała zabójcę i moment śmierci ojca. Znow miała dość tego kraju, gdzie z przyczyn politycznych zabija się dzieciom ojca. Najgorsze dla niej było to, że sprawcą tego bestialstwa był jej rodak. Nie chciała się przyznawać do tego, że jest Polką, nie ze strachu przed odwetem, ale ze wstydu, że jej rodak okazał się rasistą.

Jakiś czas później Bronek dowiedział się, ile w ukazaniu Haniego jako przykładowego ojca i męża było medialnej manipulacji. Nieprawdą okazało się to, że najmłodsza córeczka była świadkiem zabójstwa. Bronek próbował tłumaczyć żonie, że prawda o tym zabójstwie może być bardziej skomplikowana, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Różne mogły być motywy mordercy tak kontrowersyjnej postaci, a najmniej prawdopodobne jest tło rasistowskie. Cytował nawet samą Winnie Madikizela-Mandelę, która podejrzewała kogoś z ANC. Mówił o ciemnych sprawach Haniego, mających swoje korzenie w Angoli, ale Maria

miała już swój osąd. Uznała, że jedynym wytłumaczeniem jest rasizm, o który oskarżała wszystkich Polaków, a nawet własnego męża.

Ona całym sercem była po stronie czarnych, ale jednocześnie się ich bała. Upierała się, by po świętach dzieci jakiś czas jeszcze nie chodziły do szkoły. Najchętniej zatrzymałaby w domu również Bronka. Ponieważ było to jednak niemożliwe, więc dosłownie całe dni modliła się żarliwie o jego szczęśliwy powrót do domu. Zadzwoiła do Polski, żeby wysondować, czy jakieś echa tych wydarzeń dotarły do matki. Jak się okazało, Lucyna dowiedziała się wszystkiego z wieczornej Panoramy i była bardzo poruszona. Karol także był spragniony wiadomości z pierwszej ręki, więc sam zadzwonił. Maria zwróciła uwagę, że bardziej interesuje go osoba zabójcy niż to, co dzieje się na ulicach południowoafrykańskich miast. Maria zaś relacjonując mu sytuację, kładła nacisk głównie na swoje odczucia, a w którymś momencie powiedziała nieopacznie:

— Tak bardzo chciałabym mieć jakiś ważny powód, żeby przyjechać z dziećmi do Polski. Nie na zawsze, oczywiście — uściśliła natychmiast, bo zdała sobie sprawę, że Karol mógłby sądzić, iż zamierza porzucić męża. — Chciałabym na parę miesięcy lub tylko tygodni, żeby pooddychać innym powietrzem i pooglądać inny świat. Pochodziłabym wieczorami po Piotrkowskiej, poszła do kina na polski film i do teatru. Albo nawet pooglądała tylko w telewizji kabaret polityczny, a nie masakry na ulicach.

— Dlaczego więc tego nie zrobisz? Jesteś wolnym człowiekiem — podpuszczał.

— Nie mogę tak wszystkiego nagle zostawić i zafundować sobie relaksu. Jak się trochę sytuacja uspokoi, dzieci muszą wrócić do szkoły. Ja mam zobowiązania wobec własnego męża, no i wobec matek, których dziećmi się opiekuję. — Wyznała wtedy Karolowi, że nie wie o luksusowego, próżniaczego życia, a jest nianią trójki dzieci i do tego jeszcze nocami piecze ciasta na zamówienie.

— Ja na twoim miejscu wróciłbym z dziećmi do Polski. Bronkowi będzie łatwiej samemu wykaraskać się z długów i przygotować do egzaminów. Jak nie znajdziesz pracy w zawodzie, to ja cię zatrudnię w swoim gabinecie. Wszedłem w spółkę z kimś z zagranicy i dobrze nam idzie — pochwalił się.

Może i Karol mówił rozsądnie, może to byłoby dobre wyjście, ale Maria nie chciała znów fundować dzieciom rozłąki z ojcem. Zresztą nie mogłaby teraz przerwać Jackowi edukacji, z której był bardzo dumny. Odrzuciła tę pokusę natychmiast i nie mówiła nawet z Bronkiem na ten temat, bo po co miałyby rozważać jakieś nierealne koncepcje i tylko go denerwować. Kontakt z Adamem, który stale dzwonił do nich z Australii i opowiadał, że nie jest tam szczęśliwy, choć nie ma właściwie żadnych istotnych problemów, utwierdził ją w przekonaniu, że powinna zacisnąć zęby i trwać, aż w końcu się przyzwyczai i pokocha nową ojczyznę.

Adam uważał Australię za nudny kraj, w którym najlepiej mają się tłuste, czarne muchy. Tęsknił teraz nie tylko za Polską, ale także za RPA. Wydawać by się mogło, że nie ma wielkiej różnicy w warunkach klimatycznych obu leżących mniej więcej w tej samej szerokości geograficznej krajów, a zatem łatwo będzie zamienić Johannesburg na Sydney. Na miejscu wszystko okazało się inne od tego, co wreszcie po latach pokochał. Nie tryskał więc radością, choć z pracy był zadowolony, na miejscu miał matkę i narzeczoną, której nareszcie udało się uwolnić z więzów fikcyjnego małżeństwa.

A tymczasem sytuacja w RPA stopniowo się normalizowała i gniew ludzi powoli opadał. Trzeba przyznać, że w sprawie zamachu władze postępowały w sposób szybki i zdecydowany. Toczyło się intensywne śledztwo. Choć różnie spekulowano, oficjalne doniesienia były takie, że sprawa jest bardzo prosta. Sfrustrowany i borykający się z finansowymi problemami imigrant z Polski zaplanował do spółki z Afrykanerem, który był prominentnym członkiem Partii Konserwatywnej, morderstwo jednej z najważniejszych na scenie politycznej postaci, żeby zdestabilizować sytuację. Jak by tego nie sformułować, brzmiało to dla większości Polaków mało wiarygodnie. Tworzyli więc z zapalem własne wersje. Pierwsza rozprawa miała się odbyć już wkrótce.

Maria bała się, że doniesienia z sali sądowej mogą wywołać nową falę rozruchów i nienawiści, tym razem skierowaną już bardziej konkretnie, czyli na Polaków. Tego samego chyba bali się też przedstawiciele rządu i działacze polonijni, którym zasugerowano, żeby Polonia w najbliższym czasie starała się być jak najmniej widoczna. Odwołano więc nie tylko Pierwszą Komunię Świętą dla polskich dzieci w Bryanston, ale także szumnie zapowiadające się obchody pięćdziesięciolecia obecności Polaków w Południowej Afryce. Coraz mniej osób zjawiało się także w obydwu kościołach na polskich mszach. Broniek również wyszukał dla rodziny inny kościół katolicki i znowu, tak jak w Mapulanengu, modlili się po angielsku. Najsmutniejsze było to, że Ania i Rysiek szykowali się do powrotu do kraju. Maria traciła więc jedyną koleżankę, jaką tu miała i z którą naprawdę dobrze się rozumiały.

Broniek dostrzegał zły stan nerwów żony. Doceniał to, że z wielkim trudem, ale próbuje ona sprostać swoim codziennym zadaniom. Starał się poświęcać jej jak najwięcej czasu i czułości. Dlatego było mu przykro, gdy Maria zbliżenia z nim traktowała jako jeszcze jeden z obowiązków. Nie odtrącała go i nadal się kochali, kiedy tylko on takie zbliżenie zainicjował. Nie było już jednak z jej strony ani śladu dawnego ognia i namiętności. Ta niegdyś tak erotycznie wrażliwa kobieta, która potrafiła zatracić się w miłości, teraz poddawała się pieszczotom męża tak, jakby to było upieczenie następnego biskoptu lub przewinięcie i nakarmienie dziecka. Nie wytrzymał któregoś dnia i zapytał:

— Czy ja coś robię nie tak?

— Nie, skądże — zaprzeczyła. — Nie przejmuj się mną.

— Jak mogę się tobą nie przejmować? Co ty w ogóle mówisz? Jeśli przyczyną nie jest zmiana uczuć i w grę nie wchodzi ktoś inny, to może coś ci dolega?

— Masz rację, ze mną jest coś źle. Czuję to, ale... Może to te tabletki antykoncepcyjne?

— To jest możliwe — przytaknął Bronek. Miał już dawno zawieźć żonę do ginekologa i poprosić o zmianę specyfiku, na który już wcześniej się skarżyła. Ale jakoś tak ciągle coś wypadło i zapomniał, a Maria nie przypominała. W ogóle nigdy nie chciała swoją osobą absorbować innych. Zrobiło mu się jej żal i wstyd, że tak mało myśli o potrzebach i problemach żony. — Wiesz co, nie bierz już tego świństwa. Musimy odzyskać dawną Marię.

— A jak zajdę w ciążę? — spytała spłoszona.

— To będziemy mieli następne dziecko. Przecież chciałaś tego — odpowiedział wesoło.

— Jak to? Ale teraz? Na te niepewne czasy?

— Nie ma żadnych niepewnych czasów. Niedługo będą wybory i zobaczysz, że wygra rozsądek. Właściwie, jeśli mamy mieć następne dziecko, to najlepiej właśnie teraz. Odchowasz je razem z małymi Burkami, tylko zatrudnimy *maid* — mówił radośnie, okrywając żonę pocałunkami.

— Ale nie damy rady — przekonywała go coraz słabiej Maria.

— Da Pan Bóg dzieci, da i na dzieci. Tak mówiła moja ciotka i wychowała swoich pięcioro i mnie szóstego.

Maria przestała brać tabletki i zanim jeszcze uwolnione żeńskie hormony miały szansę zadziałać, jej mózg już naprawiał osłabione libido. Postawa męża była kojącym sygnałem, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. „Przecież Bronek nie ryzykowałby powołania do życia następnego dziecka, gdyby sytuacja była naprawdę zła” — myślała, oddając mu się z takim samym zapamiętaniem jak niegdyś.

ROZDZIAŁ 40

Był koniec maja. Każdego dnia niebo było bezchmurne i słońce świeciło mocno, lecz w domu panowało już nieprzyjemne zimno, a w gwieździste noce temperatura powietrza zbliżała się do zera. Deszcz nie padał już od bardzo dawna, więc liście żółkły, a trawniki wysychały. Lekka, czerwonawa gleba zamieniła się w mialki proszek, który przy byle podmuchu wiatru tworzył w powietrzu rdzawe tumany. Żółte kopalniane hałdy malujące się na horyzoncie zaatakowane przez silniejsze wiatry sprawiały, że czasami powietrze w Roodepoortcie traciło przejrzystość, jak podczas burzy piaskowej na Saharze. Maria błogosławiła fakt, że nie mieszka w Middelburgu, do czego namawiała niegdyś swojego męża. Wyobrażała sobie, jak wygląda okolica, gdy wokoło unosi się wyschnięty pył węglowy. W Roodepoortcie na szczęście nie było węgla, tylko złoto.

Złoto właśnie, jak wyrzut sumienia, zalegało w sypialni Marii. Nie robiła już żadnych interesów, nie spotykała się w ogóle z Polakami. Uważała więc, że w tej sytuacji powinna zwrócić dane jej w komis precjoza, ale wolałaby poczekać na powrót Szymona. Nie chciała kończyć współpracy z nim za pośrednictwem Aarona. Od wyjazdu Ani nie udzielała się w szkółce i miała do czynienia wyłącznie z własną rodziną oraz z dwójką afrykanerskich chłopców i ich matkami. Rodzina Shannon ze względu na awans ojca dziewczynki przeniosła się do Port Elizabeth i niestety Maria straciła swoją najukochańszą podopieczną. Zarobki jej znów stopniały i cała ta jej krzątanka ze żłobkiem traciła sens.

Z tego powodu znów czuła się jakby zawieszona w próżni. Nie bardzo wierzyła już w trwałą poprawę rodzinnych finansów. Inflacja rosła, wszystko drożało, a najbardziej chyba chesne w szkołach. Teraz sama zastanawiała się, czy urodzenie dziecka w tak niepewnej pod wieloma względami sytuacji ma sens. Zaczęła więc namawiać męża, żeby znów zaczęli stosować antykoncepcję. Ale Broniek nie chciał o tym nawet słyszeć.

— Z naszym kontem nie jest wcale tak źle — kłamał. — Jeszcze rok i będzie dużo lepiej, zobaczysz. To dobrze, że masz mniej pracy. Ta Shannon stale wisiła ci na szyi i była za bardzo rozpieszczona. Jak zajdziesz w ciążę, to pozbędziemy się też tych dwóch budrysów. Nie możesz przecież dźwigać takich ciężarów. Zwłaszcza Brian jest już bardzo ciężki — mówił Broniek, a Maria słuchała go z przyjemnością, bo słowa te świadczyły o miłości męża i to był jej największy powód do optymizmu.

Zasypiała szczęśliwa i bezpieczna w jego ramionach i chciała wierzyć, że tak będzie zawsze. Że Broniek potrafi uchronić ją i dzieci od wszelkich burz. Rankiem niestety na ogół powracał niepokój i myśl, żeby nie ulegać infantylnemu optymizmowi. Wiedziała bowiem z doświadczenia, iż zawsze, gdy tylko uwierzyła,

że jest w niebie, lądowała po uszy w smutkach. Tym razem też nie było inaczej.

Doktor Karol Maj zadzwonił wieczorem, by przekazać jej złą wiadomość. Matka dostała wylewu i przebywała w szpitalu. Okazało się, że prawdopodobnie od dość dawna miała wysokie ciśnienie, którego nie leczyła, a w dodatku urządziła ostatnimi czasy jakieś dziwne sprawdziany swoich sił witalnych. Właśnie w czasie jednego z nich, gdy postanowiła samodzielnie przesunąć szafę, nie wytrzymało naczynko w jej głowie. Być może zmarłaby bez niczyjej pomocy, gdyby nie agent ubezpieczeniowy, który wynajął od niej mieszkanie po teściowej. Przyszedł sprawdzić, co się dzieje, gdyż woda z sufitu zaczęła mu kapać na głowę.

Został zamknięte drzwi i nikt nie odpowiadał na dzwonki oraz nawoływania. Dozorca zarzekł się, że niedawno widział profesorową myjącą okna. Poczekano jeszcze chwilę i rada w radę wyważono drzwi. Lucyna leżała na mokrej podłodze w łazience, obok przepelnionej umywalki, a kran z ciepłą wodą wciąż był odkręcony. W sypialni, w której skończyła mycie okien, ogromna trzydrzwiowa szafa stała odsunięta daleko od ściany, a za nią stał odkurzacz. Za szafą było idealnie czysto.

Karol obiecał, że będzie odwiedzał Lucynę w szpitalu i zapewni, by miała właściwe warunki oraz rehabilitację.

— Ale nie mogę załatwić wszystkiego za ciebie. Musisz przyjechać i zdecydować, co z nią dalej. W tej chwili jej stan jest bardzo ciężki — mówił do Marii, nie owijając w bawełnę. — Jeśli nawet przeżyje, to raczej nie będzie na tyle sprawna, żeby móc mieszkać samodzielnie. Zresztą to się jeszcze okaże, bo może zmiany zaczną się cofać. Ale to będzie raczej długi proces.

Córka była w szoku. Tego się zupełnie nie spodziewała. Matka nie miała jeszcze sześćdziesięciu lat i nigdy na nic się nie skarżyła, a ostatnio nawet chwaliła się doskonałym samopoczuciem. Marię dopadły wyrzuty sumienia. Nie tak dawno prosiła Boga, żeby dał jej jakiś dobry powód, by mogła choć na trochę udać się do Polski. Miała pretensje do samego Stwórcy, że w taki sposób spełnił jej prośbę. Czyżby karał ją za to, że w momencie słabości pomyślała o chwilowej przecież ucieczce od męża, od nawału pracy oraz problemów. „Bóg dobry i miłosierny nie powinien mi zrobić czegoś takiego” — myślała bluźnierczo.

Odłożyła słuchawkę i chciała udać się do drugiego pokoju, żeby usiąść z Bronkiem przy ławie i porozmawiać o tej nowej sytuacji. Nagle sypialnia zniknęła jej z oczu. Wszystko wokoło ogarnęła nieprzenikniona ciemność. Z tego czarnego tła, jakby oświetlona jupiterem, wyłoniła się skrzywiona, opuchnięta twarz matki. Maria słyszała jej głos, choć usta Lucyny były nieruchome:

— Chciałaś mieć okazję, to masz. Nic cię nie obchodzi moje cierpienie. Wiem, że nie przyjedziesz, tak jak na pogrzeb babki. — Kiedy Lucyna zniknęła, w koszmarze Marii pojawił się doktor Karol. Był dużo młodszy niż obecnie, ale jakiś przerażający. Śmiał się nieprzyjemnie i kpił z niej:

— Nigdzie nie znajdziesz tego raj, który tylko ja potrafię stworzyć. Nie jesteś tam szczęśliwa, prawda? Bo tylko ja potrafię wyczarować szczęśliwą Afrykę. To, co istnieje naprawdę, nie daje szczęścia. W mojej Afryce byłaś szczęśliwą Zuluską. To nieprawda, że czułaś ból. Pamiętasz jeszcze, że twój ból i nasza gorąca Afryka są tajemnicą? Pamiętaj, przysięgałaś na ducha Wielkiego Szamana, który jest mściwy i znajdzie cię wszędzie.

— Ja nie zdradziłam! Nigdy nie zdradziłam! — krzyknęła Maria i otworzyła oczy. Leżała w swoim domu na podłodze, a Broniek podtrzymywał jej uniesione w górę nogi. Nigdzie na szczęście nie było Karola.

— No, już dobrze, wróciłaś do mnie. Cieszę się z tego, co przed chwilą powiedziałaś, ale ja nigdy w to nie wątpiłem — stwierdził z ulgą mąż, widząc, że twarz żony nabiera normalnych kolorów.

— Nie wiem, o czym mówisz — zdziwiła się Maria, której gałki oczne kręciły jeszcze jakieś kołowrotki. — Co się stało? Ja byłam nie tutaj i...

— Zemdlałaś. Mocno rąbnęłaś na ziemię — wyjaśnił mąż. — Nie przejmuj się tak. Jeszcze nic nie jest przesądzone. Mama miała szybką pomoc, więc objawy mogą się cofnąć. Jest silna — pocieszał.

— Bo to moja wina. Ja chciałam. Nie, nie chciałam tego, ale chciałam... — plątała się, dochodząc stopniowo do przytomności.

— Dobrze, już dobrze. Jaka twoja wina? Nie można było tego przewidzieć. Żeby coś powiedziała albo napisała, że źle się czuje. Mogła też poprosić Karola, chociaż to psychiatra, to przecież ciśnienie umie zmierzyć. Ale ona sama była pielęgniarką, nie rozumiem... Nie rozumiem, jak mogła doprowadzić się do takiego stanu — denerwował się Broniek.

— Jest. Ona wciąż jest — poprawiła go Maria, która już całkiem przysła do siebie. — Muszę tam jechać — zdecydowała błyskawicznie.

— Tak. — Broniek zgadzał się z żoną. — Tylko trzeba się zastanowić, w jaki sposób zorganizować życie tu u nas, w domu, przecież to może potrwać jakiś czas.

Marii kręciło się jeszcze w głowie, ale już myślała sensownie. Wiedziała, że niemożliwy jest jej wyjazd z dnia na dzień. Musiała dać czas matkom swoich maluchów na załatwienie innej opiekunki. Powinna też rozliczyć się wreszcie z tego Szymonowego złota. Trudno, Broniek jakiś czas będzie musiał poradzić sobie bez niej. Najwyżej zatrudni czarną do sprzątnia. Można zapytać życzliwą im Carroll, czy nie poleciłaby kogoś. Dzieci pojedą z nią do Polski i tam będą chodziły jakiś czas do szkoły — postanowiła. Nie spodziewała się jednak, że napotka na opór właśnie ze strony dzieci.

— Ja tu zostanę — powiedział zdecydowanie Jacek. — Jest mi bardzo przykro, że babcia jest chora, ale ja jej tam nie pomogę, zwłaszcza że ona nikogo nie poznaje — argumentował spokojnie. — Nie mogę stracić szansy, którą podarował mi los. Za parę miesięcy nie dogonię już kolegów, a stypendium nie

przewiduje powtarzania klasy.

Bronek poparł syna. Zresztą Jacek nie był dla niego żadnym obciążeniem. Mógł na ten czas zamieszkać w internacie i wracać do domu tylko na weekendy. Maria ustąpiła w sprawie syna, ale krzyki i płacze Małgosi nie zostały uwzględnione. Chociaż dziewczynka histeryzowała, że nie chce opuszczać tatusia i brata, żeby jechać do jakiejś głupiej Polski, musiała się podporządkować. Bronek przy swoim systemie pracy nie mógł się zajmować dziewięcioletnią dziewczynką. Musiała się pożegnać z afrykańskimi koleżankami, z którymi czuła się bardzo związana, i pakować swoje rzeczy, by jechać z matką.

Przyjemnie zaskoczyła Marię reakcja na jej problemy obu Afrykanerek, których dziećmi się zajmowała. Nie robiły jej żadnych wyrzutów, a przecież sprawiła im duży kłopot tym nagłym wyjazdem. Ze współczuciem słuchały o chorobie jej samotnej matki. Pięknie zachowała się też przewodnicząca Day Mother Association. Rozumiejąc, jak bardzo Marii zależy na czasie, zaproponowała, że od następnego dnia ona weźmie do siebie chłopców, żeby Maria mogła zająć się swoimi sprawami.

Zachęcona dobrym obrotem sprawy Maria zadzwoniła do sklepu jubilerskiego przy Struben Ave. Słuchawkę podniósł Aaron.

— Czy Szymon już wrócił? Jadę na jakiś czas do Polski i chciałabym oddać wam biżuterię — powiedziała.

— Wszystkie ucieknijcie jak szczury — zawołał gniewnie Aaron. Maria domyśliła się, że jego ojciec chyba nie ma już zamiaru wracać do RPA. — On mnie oszukał. Jedną walizkę wziął i nie zegnał się. Tak ojciec nie robi — mówił z wyrzutem. — Zostawił trochę towar w sejf i sztuczne biżuteria na wystawę. Taki ojciec, to nie ojciec. Z Namibii kłamał przywieźć diamonds. On ciebie nie information?

— Nie. Mnie też mówił, że do Namibii, ale ja nie pytałam, po co i na jak długo. Żałuję, że go nie ma, bo właśnie, rozumiesz? Muszę szybko wyjechać i jutro bym się może rozliczyła. Przyjadę z mężem — zaproponowała.

— Przyjedź dzisiaj, najlepiej zaraz. Jutro już mnie tu nie będzie. Ja teraz bezdomny jak pies — usłyszała jego warknięcie w słuchawce.

— Dzisiaj nie mogę, bo jeszcze pilnuję dzieci... — Chciała mu wyjaśnić, że ostatni dzień pracuje jako *day mother*, ale od jutra ma wolne i mąż też po nocnym dyżurze będzie w domu, więc mógłby ją podrzucić na Struben Ave. Nie zdążyła tego wszystkiego powiedzieć, bo Aaron jej przerwał:

— Otwórz brama, ja zaraz jadę do twojego domu! — krzyknął i się wyłączył.

Właściwie taki obrót sprawy powinien być jej na rękę. Oszczędzała sporo cennego czasu. Nie była jednak zadowolona z tego, że Aaron miał się zjawić za chwilę. W domu, jak to podczas pakowania, panował okropny nieład. Chłopcy właśnie zasnęli, a Małgosia miała za dwie godziny wrócić ze szkoły. Trzeba jej

było szybko podać obiad, bo wieczorem miały przyjść jej koleżanki, żeby ją pożegnać. Maria upiekła już tort, ale chciała przygotować jeszcze paczuszki ze specjalnymi ciasteczkami owiniętymi w papierki zawierające imię i życzenie dla każdej dziewczynki. Nie na rękę było jej załatwianie teraz sprawy z Aaronem. Nie chciała zresztą być z nim sam na sam w domu. Od samego początku jakoś dziwnie czuła się w jego obecności i obawiała się, że on to zauważa. No, ale teraz to już nie było innego wyjścia.

Uprzątnęła odrobinę bałagan na kuchennym blacie i poszła odświeżyć twarz do łazienki. Spojrzała na siebie w lustrze i nie była zadowolona. Miała na sobie jakieś powyciągane szmaty, bo wszystkie lepsze ubrania leżały już w walizce. Przeczesała włosy, pociągnęła tuszem rzęsy, przypudrowała nos. Spięła do góry włosy i ponownie przyjrzała się zwykłej, białej koszulce z nadrukiem. — Nie będę się przecież dla niego stroić — mruknęła do siebie pod nosem i w tym momencie jej wzrok padł na nadruk koszulki. Na przedstawiającym picassowski zarys kobiecej twarzy malunku w miejscu oka widniała duża, różowa plama, która musiała powstać podczas dekorowania tortu owocami lub galaretką. „Mogę być źle ubrana, ale nie brudna” — pomyślała, ściągając energicznym ruchem zaplamioną bluzkę. Wtedy klamra z włosów upadła jej na podłogę, a włosy rozsypały się w nieładzie. Zaklęła ze złości i rzuciła cholerną koszulkę w kąt łazienki.

Wtedy usłyszała głośne dzwonienie. Pobiegła do sypialni i wychyliwszy się trochę przez okno, pomachała uspokajająco ręką, bo bała się, że alarmujący dzwonek obudzi dzieci. Otworzyła szafę i spostrzegła na wieszaku smętnie dyndającą jedną, jedyną szyfonową bluzeczkę z wielkim dekoltem, reszta była już spakowana. Rozpaczliwie chwyciła ten seksowny łaszek i błyskawicznie go wciągnęła. „Fatalnie” — pomyślała. „Nie wiem, gdzie jest podbicie”. Zawsze nosiła tę bluzkę na jedwabną haleczkę. Nie miała czasu szukać czegoś bardziej stosownego do ubrania, bo niecierpliwe dzwonienie ją ponaglało. Ponownie wychyliła się z okna i wykonała kilka uspokajających gestów. Teraz znów nie mogła znaleźć kluczy od furtki. Ktoś, jak na złość, nie położył ich na swoim miejscu. Włosów już nie upinała, nie było na to czasu.

Wybiegła z domu boso, w króciutkich szortach, z burzą rozwianych, rudych loków opadających na ramiona i plecy. Twarz miała lekko zaróżowioną, jakby z podniecenia. Kiedy pochylała się, by podnieść upuszczone na ścieżce klucze, w dekolcie bluzki ukazały się prawie w całości jej piękne, pełne, białe piersi. „Ona na mnie czekała nie tylko z powodu złota” — pomyślał Aaron, łypiąc okiem na rozhuśtany biust Marii i patrząc, jak drżą jej palce i nie może trafić kluczem do zamka.

— Barry, czekaj na mnie aż do skutku! — krzyknął przez ramię za siebie i wkroczył pewnym krokiem, z miną zdobywcy do ogrodu. Wtedy dopiero Maria zauważyła, że nie przyjechał sam. Za bramą w mercedesie Szymona na miejscu

obok kierowcy siedział czarny, młody mężczyzna. Skórę miał niewiele ciemniejszą od Aarona, ale był chyba starszy, a w każdym razie tak wyglądał. Włosy miał króciutko przystrzyżone, twarz puciołowatą i w ogóle był chyba dużo tęższy od Aarona. Z jego ust Maria usłyszała tylko: *Okay, man* i głupkowaty chichot.

ROZDZIAŁ 41

Aaron podążał za Marią wąską ścieżką ogrodową. Szła pięknie, lekko kołysząc biodrami jak modelka. Słońce podświetlało cieniutki szyfon bluzki, więc widział dokładnie zarys talii, plecy i zapięcie stanika. Wszystkie włosy kobieta zgarnęła bowiem do przodu, żeby zakrywały jej za duży dekolt. Króciutkie szorty nie zasłaniały jej zmysłowych ud. Kibić miała wąską, a biodra i uda dość pełne. Właśnie takie, jakie Aaronowi podobały się najbardziej. Kiedy wyobraził sobie tę rudą tygrysicę w swoich ramionach, miał trudności z nadążeniem za nią.

Weszli do salonu. Zapropionowała mu coś zimnego do picia. Na dworze nie było zbyt gorąco, ale zaschło mu w gardle, więc poprosił o pepsi. Przyniosła dwulitrową butelkę, postawiła na szklanym, owalnym stoliku i zaraz wróciła znowu do kuchni po szklanki. Cały czas coś mówiła, ale on nie mógł się skupić, więc nie bardzo wiedział co. Nie było to zresztą istotne. Najważniejsza była przecież mowa jej ciała. Każdy powolny, nieco leniwy i jakby senny ruch wydawał mu się niezwykle erotyczny. Nie siadała jeszcze. Stojąc, lepiej prezentowała swoje walory. Znow kołysząc tymi swoimi obłądnymi biodrami, wróciła do kuchni po jakieś ciasteczka, a potem stanęła oparta o framugę drzwi i wtedy zmysłowo odrzuciła włosy do tyłu. Niepotrzebnie wziął z Barrym akurat dzisiaj działkę. Teraz trudno mu było zapanować nad sobą, stukał palcem w szkło stolika i trzęsła mu się nieustannie jedna noga, ale starał się zachowywać spokój.

Maria poszła do jakiegoś pokoju w głębi domu i przyniosła kasetkę. Otworzyła ją, wyjęła biżuterię i znow sporo mówiła. Nie wszystko zrozumiał, gdyż mówiła chaotycznie, też była zdenerwowana. Wzięła do ręki kilka łańcuszków i bawiła się nimi. Zanurzała w złocie długie palce, zakończone pięknie wymodelowanymi i wymalowanymi na czerwono paznokciami. Potem sięgnęła po plastikową słomkę, włożyła ją do ust i powoli sączyła płyn. Przesuwała palcami po słomce i obracała ją delikatnie w bielutkich, równiutkich zębach. Kręciło mu się w głowie z wrażenia. Był pewien, że ona robi wszystko właśnie w taki sposób specjalnie dla niego, że zachowuje się prowokacyjnie.

Maria, uśmiechając się zalotnie, próbowała jeszcze trochę potargować się z Aaronem o ceny łańcuszków. Przecież namawiał ją do tego sam Szymon. Nie była pewna, czy Aaron jej słucha i czy dobrze ją rozumie. Zauważyła, że jest rozkojarzony. „Może coś mu dolega?” — pomyślała, bo spostrzegła, że bardzo się spocił. Teraz poczuła od niego ten drażniący zapach czarnej skóry. Aaron był czysto i elegancko ubrany. Miał markowe, sportowe buty i na pewno używał porządnych antyperspirantów i dobrej wody toaletowej, ale to wszystko, jak widać, działało do czasu. Odsunęła się na nieco większą odległość i zaczęła zastanawiać, czy ona ze zdenerwowania nie wydziela przypadkiem jakiegoś zapachu, który dla

niego jest niemiły.

— Może przyniosę trochę lodu? — zaproponowała. — Jednak w południe jest nadal gorąco — dodała i chciała poderwać się z fotela.

Przechylił się do niej i przytrzymał jej rękę. Odskoczyła i wbiegła do kuchni. Nie podeszła jednak do lodówki, tylko stanęła przy drzwiach prowadzących na tylną część ogrodu, gdzie zamknęła Stronga. Aaron z przekrwionymi oczyma i dzikim spojrzeniem podążył za nią.

— Uspokój się, bo wpuszczę psa — zagroziła. Roześmiał się w taki sposób, że nie potrzebowała słów, by zrozumieć, o co mu chodzi. Szedł prosto na nią z głupkowatą, otepiałą miną i rozpinął spodnie. Maria otworzyła tylne drzwi domu. Pies słyszał jej kroki, a potem jeszcze te obce i już czekał pod drzwiami w pogotowiu. Bez wydania jakiegokolwiek odgłosu ostrzegawczego odbił się od podłoga i skoczył na czarnego. Zaskoczony Aaron upadł na ziemię. Zdażył jeszcze tylko lewym ramieniem osłonić sobie gardło. Pies uchwycił zębami biceps mężczyzny i ścisnął go w swojej brodatej, czarnej mordzie. Niedługo cieszył się swoją przewagą. W prawej dłoni czarnego błysnął długi nóż sprężynowy i rozplątał sznaucerowi gardło.

Na białe kafelki bluznęła krew. Maria upadła. Kiedy się ocknęła, leżała w kałuży psiej posoki, a na niej leżał pokrwawiony, wstrętny, cuchnący Aaron. Próbowwała jakoś się wysliznąć, ale on już ją spenetrował i mimo pokaleczonego ramienia trzymał mocno. Nie tylko wydzieliał obrzydliwą woń, ale i sapał wstrętnie, a potem jeszcze bił ją po twarzy i znowu penetrował aż do momentu, gdy usłyszał płacz dziecka. To Julius obudził się pierwszy i usiłując jak zwykle wydostać się samodzielnie z łóżeczka, spadł na wykładzinę. Chłopiec przekoziołkował i za chwilę boso stanął w kuchni.

Maria zamarła. Bała się, że Aaron zrobi dziecku krzywdę. Gotowa była tarzać się jeszcze z gwałcicielem po zakrwawionej podłodze tak długo, jak tylko on zechce i wytrzyma stały wpływ krwi z rannej ręki, żeby tylko ochronić Juliusa. Widok zapłakanego malucha otrzeźwił nieco Aarona. Puścił Marię wreszcie, podciągnął portki i rozejrzał się dziko po kuchni. Złapał czystą ściereczkę do naczyń i owinał nią broczącą krwią rękę. Podniósł z podłogi nóż, podszedł do Marii leżącej wciąż na ziemi i przystawił jej ostrze od gardła.

— Jak powiesz komu, to jak tego psa, twoja cała rodzina. Pamiętaj. Ja do więzienia, mój kumpel się zamści. On jak brat. I weźmij sobie to złoto. Mnie stać na takie coś.

Wybiegł z kuchni, a w przedpokoju ściągnął jeszcze z wieszaka starą kurtkę Bronka i zarzucił na siebie, żeby zasłonić nią ranną rękę i plamy krwi na ubraniu. Wsiadając do auta, rozejrzał się wokoło, czy ktoś go nie obserwuje. Ale na ślepej i krótkiej uliczce The Cut nie było żadnego ruchu. Sąsiedzi z przeciwka i ci z prawej pracowali całe dnie, więc wracali dopiero wieczorem, a z lewej był tylko

szpitalny ogród, w którym bardzo rzadko ktoś przebywał. Puciołowaty kumpel, widząc, że Aaron jest ranny, przesiadł się na miejsce kierowcy i odpalił silnik. Samochód już ruszał, a Aaron jeszcze w ostatniej chwili otworzył drzwi mercedesa i zdjawszy pożyczoną kurtkę, zamachnął się nią w taki sposób, że przeleciała przez płot do ogrodu.

Maria powoli wstała z podłogi i podeszła do płaczącego Juliusa, żeby go pocieszyć. Po chwili usłyszała również głos Briana. Spojrzała na zegar i wpadła w panikę. Niedługo Małgosia miała wrócić ze szkoły, a potem przyjdą dziewczynki na pożegnalny podwieczorek. „Trzeba zatrzeć wszelkie ślady, bo nikt przecież nie może się dowiedzieć” — pomyślała przerażona. „Na szczęście maluchy nic nie powiedzą. Jak tu zamaskować opuchnięte oko i rozciętą wargę? Co powiedzieć na temat psa?” — zastanawiała się intensywnie. Przewinęła chłopaków, dała im buteleczki z ulubionymi sokami i sprzątała.

Nie za bardzo lubiła Stronga, ale teraz, gdy oddał życie w jej obronie i leżał taki nieruchomy, cały we krwi, czuła, jakby straciła kogoś najbliższego. Z rozdartym sercem wsadziła ciepłe jeszcze ciało psa do czarnego worka na śmieci i zaciągnęła do zagrody, gdzie leżały też inne worki wypełnione odpadkami. Na razie nikt tu nie będzie zaglądał, a w nocy, gdy dzieci pójną spać, zakopie go w końcu ogrodu pod krzakami i będzie utrzymywać, że uciekł jej, gdy otworzyła furtkę — planowała. Szybko wzięła się za mycie terakoty i kuchennych szafek, które również obryzgała posoka. Musiała to zrobić kilkakrotnie, bo wciąż zdawało się jej, że czuje zapach krwi. Rozpyliła po kuchni olejek zapachowy i stwierdziła, że czas wziąć się za siebie.

Do tej pory robiła wszystko z niebywałą precyzją i opanowaniem. Kiedy jednak poczuła na sobie kojące strumienie ciepłego natrysku, które jak dobre dłonie głaskały jej sponiewierane, potłuczone ciało, rozplakała się w głos. Miała otwarte drzwi do łazienki i do kabiny natrysku, żeby na wszelki wypadek mieć kontakt z chłopcami. Maluchy, usłyszawszy głośny szloch swojej opiekunki, przydreptały do łazienki. Przyglądały się jej badawczo, aż poczuła się nieswojo. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że boli ją oko i piecze warga, ale najgorszy ból czuła w dole brzucha. Przystawiła sobie do pochwy główkę prysznicza i maksymalnie gorącą wodą płukała tak długo, aż woda lecąca z bojlera zrobiła się już chłodna. Być może płukałaby dalej, gdyby nie naglił jej czas. Trzeba było się ubrać i umalować. Pęknięcie skóry na ustach załatwiła czerwona szminka, siniak pod okiem, oprócz makijażu, okulary przeciwsłoneczne.

Obiadu już nie zrobiła. Małgosia bardzo się ucieszyła z bułki z serem zapiekanej w piekarniku. Dziewczynka sama zapakowała resztę ciasteczek dla koleżanek w przyszykowane przez matkę papierki, a Maria zajęła się swoimi malutkimi podopiecznymi. Im też nie ugotowała zupki jarzynowej, więc dostali kolejną porcję kaszki na mleku. Koleżanki Małgosi oraz matki Juliusa i Briana

zjawiły się w tym samym czasie. Kobiety przyniosły nawet drobne, pożegnalne prezenciki dla opiekunki swoich synów. Wręczając je i żegnając się z Marią, podejrzanie przyglądały się jej mocnemu makijażowi i dużym, słonecznym okularom, zupełnie niepotrzebnym w domu. Ścisnęły ją bardzo współczująco, myśląc równocześnie: „Jak to pozory mylą. Ten lekarz, niby taki miły i kochający, a okazał się zwykłym damskim bokserem. Nic dziwnego, że kobieta ucieka z dzieckiem z powrotem do kraju. Dobrze, że naszym dzieciom nic nie zrobił. Z cudzoziemcami to nigdy nic nie wiadomo. Lepiej już nie eksperymentować i oddać dziecko do swoich”.

Maria nie zastanawiała się nad tym, co kto myśli o jej małżeństwie, i niewiele ją to obchodziło. Czekwała na zakończenie imprezy Małgosi, żeby móc uprzętać ciało Stronga. Wreszcie dziewczęta się rozeszły i pełna wrażeń córka, pochlipując sobie ze smutku, że dłuższy czas będzie musiała spędzić w jakiejś beznadziejnej Polsce, zasnęła. Maria wzięła szpadel i wyszła do ogrodu. Po kilku mało efektywnych ruchach narzędziem doszła do wniosku, że nie będzie miała siły wykopać tak dużego dołu i jeszcze jakoś go zamaskować. Ziemia po kilku miesiącach suszy była niesłychanie twarda.

Wróciła więc do domu po klucze od furtki. Bardzo się bała wyjść na zewnątrz. Stała w ogrodzie i nasłuchiwała. Wokół panowała zupełna cisza, tylko daleko, pewnie gdzieś na Struben Ave, jeździły jakieś nieliczne już samochody. „Właściwie niewiele gorszych rzeczy może mnie jeszcze spotkać” — pomyślała z rezygnacją i wyszła na ulicę, wlokąc po trawniku wzdłuż szpitalnego ogrodzenia wór ze Strongiem. Dociągnęła go aż do Bok Ave, przy której znajdowała się szkoła, i wywaliła sztywne ciało psa na jezdnię. Wór starannie złożyła i zabrała ze sobą, żeby potem wyrzucić go do śmieci. Zamknęła drzwi swojego domu i przez okratowaną szybę spojrzęła na widoczną z pagórka prawie całą uliczkę The Cut. Zobaczyła jakąś postać idącą wzdłuż szpitalnego ogrodu. Musiał to być czarny, bo nikt z białych nie ośmieliłby się chodzić po ulicach o tej porze. „On nie będzie alarmował SPCA w sprawie psich zwłok, a do rana może wjedzie w nie jakiś samochód i trudno będzie rozpoznać, w jakich okolicznościach zwierzę zginęło” — pomyślała.

Poszła do łazienki umyć ręce. Były brudne od krwi. Popatrzyła na siebie w lustrze i aż się przestraszyła. Tak musiała wyglądać Lady Makbet po zabójstwie Dunkana. Twarz miała bladą jak upiór, oczy podkrążone i opuchnięte od łez. Jej włosy były w kompletnym nieładzie, z powczepianymi kawałkami gałązek i szarawych liści eukaliptusa, pod którym usiłowała zakopać psa. W swojej twarzy zauważyła coś, czego nie było wcześniej — wyraz bólu i zaciętości. Miała też wrażenie, że nagle przybyło jej co najmniej dziesięć lat. Naszykowała sobie kąpiel w wannie i siedziała w niej tak długo, aż poczuła się słabo i pewnie by się utopiła, gdyby nie to, że przypadkiem zahaczyła stopą o łańcuszek umocowany do korka od

wanny i wypuściła wodę. Bardzo zmarznięta ocknęła się w pustej wannie. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Była drętwa. Wykonywała różne czynności, jakby jakiś wszczepiony automat kierował jej ruchami.

Położyła się do łóżka i leżała aż do świtu, nie zmrużywszy oka. Nie czuła jednak żadnego zmęczenia. Mąż natomiast wrócił rankiem z dyżuru nieprzytomny ze zmęczenia. Nie zwrócił nawet uwagi na pokancerowaną twarz żony, ale zapytał o psa, bo było to dość niezwykle, że Strong nie powitał pana.

— Wymknął mi się, jak otworzyłam furtkę. Skoczył na mnie zniecka i poszedł wzdłuż szpitalnego ogrodzenia w stronę szkoły. Pobiegłam za nim, ale się potknęłam o krawężnik i upadłam. Mam teraz poharataną twarz, a pies uciekł — kłamała jak z nut. — Może jeszcze wróci — dodała.

— Wiesz, ja bym wolał, żeby nie wrócił — wyznał Bronek. — Żeby tylko ta bestia nikogo nie pogryzła, bo jeszcze słono za tę jego wycieczkę zapłacimy.

— Nie ma obawy. On był tylko taki bojowy, kiedy uważał, że broni kogoś z nas. To był mądry i dobry pies — powiedziała cicho i odwróciła się od męża, bo łzy zakreśliły się jej w oczach.

— Myślałem, że go nie cierpiałś — zdziwił się mąż. — Jakby się nie znalazł, to kupimy następnego, szczeniaka, gdy tylko wrócisz — dodał, chcąc przytulić żonę, ale ona jakby złęczniona odsunęła się od niego. Nie była w stanie znieść bliższego kontaktu z mężczyzną, nawet tak bliskim i kochanym jak jej Bronek. Jego dotyk był teraz przykry i bolesny.

— Czy nie myślałeś o tym, żeby sprzedać ten dom i znów wynająć niewielki townhouse, taki, jak mieliśmy we Florida Hills? — zapytała nagle.

— Nie, skąd ten pomysł? — Bronek był bardzo zaskoczony. — Już ci się nie podoba nasz dom? A byłaś z niego taka zadowolona. Czy ty nie zamierzasz do nas wrócić?

— Myślę, że można na tym zarobić. Domy wciąż tanieją. Dzisiaj sprzedasz drożej, niż kupisz za parę miesięcy — tłumaczyła, mając nadzieję, że uda jej się namówić męża na wyprowadzkę w miejsce, którego Aaron nie będzie znał.

— Oj, moja żono, już ty do handlu nie masz głowy. Na pewno ten twój tata był Żydem? — zaśmiał się Bronek. — Jak doliczysz koszty związane z dwukrotną przeprowadzką, prowizje agentów i opłaty za wynajem, to ja tu nie widzę, pani Guziasz, żaden geszeft — zażartował. Marii jednak wcale nie było do śmiechu. Bała się o Bronka i o Jacka pozostających pod znanym bandycie adresem. Wciąż widziała zbrozonego krwią psa, który konał w ostatnich drgawkach, i czuła na sobie zapach tego potwornego człowieka. Rano znów szorowała się bardzo długo pod prysznicem i mocno perfumowała, bo wydawało się jej, że wszyscy dokoła będą czuli od niej tę ohydłą woń, że przeszła nią cała i nigdy już jej się nie pozbędzie.

ROZDZIAŁ 42

Z Johannesburga matka i córka wyleciały o czasie. Smutna Małgosia popłakała sobie jeszcze trochę, a potem wciągnęła się w wyświetlaną w samolocie komedię i śmiała się do rozpuku. Zasnęła tuż przed północą. Z matką niewiele rozmawiała, chcąc pokazać, że jest na nią zła, iż nie pozostawiła córce swobody wyboru i potraktowała niemalże jak bagaż, który trzeba wziąć ze sobą w podróż. Rankiem doktor Karol czekał już na nie w Warszawie. Powiedział kilka zdawkowych komplementów Marii, a od Małgosi nie mógł oderwać oczu. W Łodzi podwiózł je pod szpital Barlickiego, a sam pojechał na jakieś konsultacje do innego szpitala.

Maria była przygotowana na to, że stan matki jest ciężki, ale nie przypuszczała, że Lucyna może wyglądać aż tak źle. Małgosia została na korytarzu, a ona stała dłuższy czas przy drzwiach małej, dwuosobowej salki i bała się zbliżyć. Lucyna mimo upływu lat wciąż miała delikatne rysy, ładne, jasne, gęste włosy, świeżą cerę i duże, szare oczy. Figurę miała zgrabną, nie nosiła okularów, nigdy się zbytnio nie malowała i nie stroiła. Zwraçała uwagę głównie na to, żeby była schludna i elegancka. Nie starała się zanadto podążać za modą, a mimo to wciąż wyglądała młodo i atrakcyjnie. Tak przynajmniej było do tego fatalnego momentu.

Jeszcze niedawno przysłała córce zdjęcia z pielgrzymki do Łagiewnik, gdzie stała na tle Sanktuarium Miłosierdzia Bożego razem z kilkoma innymi paniami, mniej więcej jej rówieśnicami, i wyglądała na ich tle świetnie. Trzeba się było dobrze przyjrzeć, żeby zobaczyć, że ta ubrana sportowo, wiotka kobieta ma już trochę zmarszczek na skroniach i szyi. Teraz szczupła twarz Lucyny była obrzęknięta i wykrzywiona. Z półotwartych ust opuszczonym kącikiem spływała strużka śliny. Jedno oko, z dużą, czarną źrenicą, miała szeroko otwarte, a drugie półprzymknięte. Możliwe, że spała, bo w ogóle nie zareagowała na wejście Marii.

Córka powoli zbliżyła się do chorej, dotknęła jej ciepłej i suchej dłoni, ale to również nie wywołało nawet drgnienia powieki. Maria wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i wytarła ściekającą ślinę. Zauważyła, że długie, jasne i przetykane siwizną włosy matki są mocno poplątane i w wielkim nieładzie spływają z poduszki aż gdzieś między łóżko a szafkę. W szpitalu pewnie nikt nie miał czasu zajmować się tak długimi i gęstymi włosami pacjentki. Lucyna lubiła zaczesywać je z przodu gładko do góry, a z tyłu skręcała sobie coś jakby grubego węzła, który przypinała klamrą nisko nad karkiem. Dla leżącej taka fryzura byłaby na pewno bardzo niewygodna. Maria usiadła więc na łóżku, wyjęła swój grzebień i zaczęła rozczesywać włosy śpiącej lub nieprzytomnej matki, kosmyk po kosmyku, systematycznie i cierpliwie.

Zabrała się za tę skołtunioną fryzurę nie dlatego, że uważała wygląd matki za najważniejszy. Równie dobrze dla wygody można by jej te włosy ściąć na krótko. Siedziała jednak i czesała swoją wojowniczą i władcą matkę jak małą dziewczynkę, bo nie bardzo wiedziała, co ma robić. Miała nadzieję, że Lucyna otworzy wreszcie drugie oko i chociaż niewyraźnie, trochę na migi lub nawet samymi spojrzeniami pokieruje nią, wyrazi jakąś swoją wolę. A tymczasem ona leżała podobna do starej, zniszczonej, szmacianej lalki, po której twarzy przebiegła nieuważna, lekka, dziecinna nóżka.

Kiedy włosy były już gładkie, bez żadnych supłów i posklejań, Maria zaplotła je w dwa warkocze. Na jeden z nich nałożyła gumkę zdjętą z własnych włosów, które rozpuściła, a po drugą udała się na korytarz do córki. Małgosia na prośbę matki natychmiast rozpuściła swoje loczki, które kolorem przypominały babcine pszeniczne kłosa. Nie została już jednak na korytarzu, tylko poderwała się i wpadła do sali, gdzie leżała Lucyna. Maria nie zdążyła nawet zaprotestować, a mała już wdrapała się na wysokie łóżko i obściskiwała babkę.

Wtedy opadnięta powieka uniosła się troszkę, a usta zaczęły drzeć.

— Mamo, słyszysz nas?! — zawołała uradowana Maria. Powieka uniosła się nieco wyżej. — Poznałaś wnuczkę? — Z oka popłynęła łza.

— Oj, babciu, zdrowiej szybciej, bo ja tu umrę z nudów. Pojedziesz z nami do Afryki, zobaczysz, jakie mam fajne koleżanki, i wykąpiesz się w basenie. A ja ci przyniosę jutro zdjęcia całej naszej klasy i wszystko ci opowiem, jak nie będziesz taka śpiąca — trąkotała Małgosia, zaplatając babce rozluźniony warkocz i zabezpieczając splot frotką. Potem bezceremonialnie zabrała się do naprawiania babcinej twarzy. Unosiła paluszkami opadającą wciąż powiekę i próbowała wyprostować usta, opukując policzek i podbródek opuszkami palców. Po kilku powtórzeniach takiego masażu znów ucałowała babcię i pochwaliła. — Jest lepiej. Tata powiedział, że jak będziesz miała szczęście i wolę do ćwiczeń, to wszystko może się cofnąć. Będziemy ćwiczyć, tylko dowiem się, jak to robić — paplała.

Jej całuski, paluszki i miły głosik już chyba działały terapeutycznie, bo rysy chorej jakby się wygładziły, a powieka dłuższy czas odsłaniała oko. Do sali weszła lekarka i uśmiechnęła się do Małgosi.

— Mając taką terapeutkę, babcia będzie zdrowiała w ekspresowym tempie. Niech dziewczynka porozmawia jeszcze z babcią, a ja chciałabym z panią — zwróciła się do Marii. To, co powiedziała jej na osobności, nie było zbyt pocieszające. Jeśli w ciągu najbliższych dwóch tygodni stan pacjentki się nie poprawi, trzeba będzie wypisać ją do domu lub przenieść do zakładu opiekuńczego.

Maria wyszła z gabinetu lekarskiego i udała się po wskazówki do pielęgniarek. Potem umyła dokładnie matkę i czysto ją przebrała. Oklepała jej plecy, wymasowała nogi i ręce. Skronie natarła lawendową wodą toaletową. Trochę jeszcze do niej z Małgosią pogadały i poszły piechotą w stronę Buczka,

która teraz nazywała się ulicą Aleksandra Kamińskiego.

Maria wiedziała, że będzie musiała rozejrzeć się za jakimś zajęciem, bo raczej trudno byłoby im wszystkim wyżyć z babcinej renty. Zdawała sobie sprawę, że w Polsce panuje duże bezrobocie, zwłaszcza wśród kobiet. W Łodzi zamknięto większość zakładów włókienniczych, w których pracowały głównie kobiety. Niepracujące matki same opiekowały się swoimi dziećmi, spadło zatem zapotrzebowanie na przedszkolanki. Przedszkole, w którym pracowała przed wyjazdem, już nie istniało.

Wieczorem zostawiła Małgosię z książką w łóżku i poszła do doktora Maja. Niby przywitał ją bardzo ciepło, ale nawet nie zaproponował, żeby weszła dalej i usiadła. Miała wrażenie, że jest u niego intruzem. Wreszcie powiedział, że chętnie odwiedzi ją jutro. Następnego dnia zjawił się obładowany prezentami jak Święty Mikołaj. Dla Marii miał tylko zabawną, ale nieskomplikowaną książkę Grocholi, którą czytała już w RPA. Małgosia dostała lalkę Barbie z różnymi zestawami akcesoriów, rolki i hulajnogę, a poza tym mnóstwo łakoci. Nic dziwnego, że była zachwycona i szybko zapomniała, że kiedyś nie lubiła tego wujka. Zaraz też postanowiła wypróbować rolki w parku, a Karol był skłonny jej towarzyszyć.

Poszli razem do Helenówka. Maria cały czas histeryzowała, że córka przewróci się i zrobi sobie krzywdę. Starszy pan zapomniał kupić do kompletu kask i ochraniacze na kolana oraz łokcie. Hojny wujek Karol obiecał, że dokupi to wszystko i przyniesie następnego dnia po pracy, choć Maria zapewniała go, że może to zrobić sama, gdy będą wracały z Małgosią ze szpitala. Gdy dziewczynka nabierała sprawności, Maria i sąsiad rozmawiali na różne tematy, ale doktor nie ponowił już obietnicy zatrudnienia Marii w swoim gabinecie. Wreszcie zapytała go o to wprost, a on odparł:

— Wiesz, ja myślę, że to nie jest jednak zajęcie dla ciebie. Rozmawiałem nawet dziś z naszym głównym udziałowcem i wytłumaczył mi, że szuka osoby uniwersalnej, która poprowadziłaby nam recepcję, ale nie tylko.

— Co znaczy „osoba uniwersalna”? — zdziwiła się Maria. — Czy ma asystować przy wykonywaniu jakichś zabiegów? To ja niestety odpadam — zgodziła się z nim.

— Nie, u nas nie ma gabinetów zabiegowych.

— Więc co? — dopytywała niecierpliwie.

— Trzeba sprzątać — wypalił wreszcie Karol.

— I to jest według ciebie problem? Sądzisz, że ja nie umiem sprzątać? — zaśmiała się, ale niezbyt wesoło.

— Boję się, że Broniek by mnie zabił, gdyby dowiedział się, co proponuję jego żonie. W Afryce byłaś białą lady i to ty miałaś służbę.

— Oj, zdziwiłbyś się — westchnęła Maria.

— Ale między wami wszystko jest w porządku? Mąż dobrze cię traktował?

— dopytywał sąsiad.

— Tak, między nami wszystko dobrze — potwierdziła. — Ale ja bardzo potrzebuję tej pracy, bo muszę się jakoś z dzieckiem utrzymać.

Karol Maj dał w końcu Marii adres swojej przychodni, a potem znów jego uwagę zajmowała jedynie mała, złotowłosa szcziotka. Bardzo wyrosła w tej Afryce, ale wciąż była jeszcze dzieckiem bez śladu takich kobiecych atrybutów jak piersi. „Jeszcze najwyżej dwa piękne lata ma przed sobą, a potem urosną jej koszmarnie włosy łonowe i zaczniesz miesiącować” — myślał. „Wtedy obudzą się w niej demony i będzie chciała dominować nad mężczyznami i ich upokarzać. Bo takie właśnie są dojrzałe kobiety” — stwierdził, patrząc z lubością na patykowate nóżki i szczuplutkie pośladki Małgosi śmigającej zrecznie po alejkach. „Dam jej wszystko, co najlepsze, uszczęśliwię tę małą” — obiecywał sobie.

Rankiem następnego dnia Maria udała się w sprawie pracy pod wskazany przez sąsiada adres. Na wszelki wypadek od razu powołała się na niego, pamiętając, że w Polsce trudno jest załatwić cokolwiek bez protekcji. Nie przyznawała się, że jest żoną lekarza, a już zupełnie nie wspominała o pobycie w RPA. Powiedziała tylko, że jest sąsiadką pana Karola i znalazła się z dzieckiem w trudnej sytuacji życiowej. Szef przychodni, jak zauważyła na plakietce, także psychiatrą, zachowywał się niezwykle uprzejmie. Widać było, że uroda Marii zrobiła na nim duże wrażenie. Sumitował się, że w pakiecie z prowadzeniem recepcji jest sprzątanie, ale tak ustalili z pozostałymi współnikami i jemu niezrecznie byłoby to zmieniać. Płaca także była słaba, po prostu najniższa krajowa, i umowa na zlecenie. Maria nie orientowała się jeszcze za dobrze w polskich realiach, czyli w cenach i zarobkach, więc wszystkim była po prostu zachwycona.

Już wychodziła, lecz gdy doktor przepuszczał ją w drzwiach, nagle zakreśliło jej się w głowie i omal nie upadła. Wyglądało to na wyreżyserowaną scenkę. Doktor, wykazując się refleksem, schwycił ją w objęcia i wtedy poczuł jej rozgrzane ciało, obleczone tylko w cieniutką, wydekoltowaną, letnią sukienkę. Podtrzymał ją ramieniem i pociągnął w stronę stojącej pod ścianą leżanki. Piersi jej falowały, a ona niezbyt przytomnie przewracała oczyma i mrugała misternie wymalowanymi rzęsami. Doktor nawet nie próbował zmierzyć jej pulsu, był przekonany, że ta piękna kobieta chce go uwieść już podczas pierwszej rozmowy. Nie analizował nawet, że okazywanie słabości fizycznej przed pracodawcą nie jest chyba najlepszą metodą autopromocji. Był pewien własnego uroku osobistego oraz pozycji. Pochylił się więc tuż nad dekoltem Marii i jakby mówiąc do ukazujących się w nim apetycznych, wydatnych piersi, szepnął z uśmiechem:

— Myślę, że będą też premie, które zwiększą atrakcyjność pracy u nas. Czy pani czuje się już dobrze?

Maria znów zatrzepotała rzęsami i przybrała twarz w mało inteligentny

uśmiech, więc wyglądało na to, że jest zadowolona. Naprawdę przeżyła kilkusekundową utratę świadomości, a teraz wracając do rzeczywistości, miała wrażenie źle synchronizowanej fonii z wizją. Z jej percepcją było coś nie tak. Sens słów doktora docierał do niej z opóźnieniem, ale jego bliskość była nie do zniesienia. Patrzył na nią z troską, pachniał jakąś przyjemną wodą, lecz był zdecydowanie za blisko. Ta bliskość powodowała lęk, a lęk przenosił się do żołądka i unosił go wraz z zawartością w górę. Maria zerwawszy się gwałtownie z kozetki, odsunęła rozanielonego doktora z siłą, której się zupełnie po niej nie spodziewał. Zatoczył się więc i wylądował w kącie pokoju, przewracając kosz na śmieci. Maria zaś rzuciła się ku drzwiom.

— Gdzie toaleta? — jęknęła do czekającej na korytarzu córki i zakryła dłonią usta. Małgosia, siedząc dość długo pod gabinetem, przestudiowała już na tym korytarzu wszystkie plakaty, ulotki i napisy na drzwiach. Od razu więc wskazała mamie właściwe wejście. Maria zdążyła tylko nacisnąć klamkę i efektownym pawiem z rozbryzgiem udekorowała ładną, nową terakotę oraz wykafelkowane ściany. Wysprzątała to potem wszystko sumiennie, udowadniając, że nadawałaby się na pomywaczkę. Wiedziała jednak, że nigdy więcej jej noga nie postanie w tym miejscu.

Przed wizytą u matki w szpitalu wstąpiły jeszcze do kawiarni. Małgosia zamówiła sobie lody, a Maria poprosiła o herbatę miętową, tłumacząc córce, że coś ze śniadania jej zaszkodziło. Sama zaczęła jednak podejrzewać, że jest w ciąży, i nie mogła już przestać o tym myśleć. W drodze do szpitala kupiła test ciążowy w aptece i schowała do torebki. Miała zamiar zaraz pójść do toalety i go wykonać. Uświadomiła sobie jednak, że od zapłodnienia minęło zaledwie kilka dni, więc test i tak nic nie wykaże. W pierwszym momencie jako sprawcę ciąży wytypowała bowiem Aarona. Kiedy razem z córką zbliżały się do szpitala Barlickiego, minął je młody, ciemnoskóry mężczyzna. Był to zapewne zagraniczny student, których zawsze pełno w okolicach Kopcińskiego, gdzie znajduje się Studium Języka Polskiego. Uśmiechnął się do nich, bo Małgosia aż klasnęła z radości na jego widok i zawołała:

— Mamo, jaki ten pan jest podobny do Zenka z Mapulaneng Hospital. Pamiętasz sanitariusza Zenka?

Maria zatrzymała się, gdyż zrobiło jej się gorąco i dosłownie oblały ją poty, a potem znów poczuła żołądek w gardle. Teraz przynajmniej nie miała wątpliwości, że to czarny mężczyzna wywołał wspomnienie dramatycznych chwil i zareagowała histerią. „Może to nie ciąża, tylko nerwy?” — myślała z nadzieją, oparta o latarnię, wymiotując wprost do kosza na śmieci. Zawstydzona zachowaniem matki Małgosia wbiegła szybko po schodach do szpitala i niezatrzymywana przez nikogo bez trudu trafiła na internę i do łóżka babci.

— Babciu, wyglądasz lepiej! — krzyknęła entuzjastycznie. — Nawet dużo

lepiej — podkreśliła i podciągnęła palcami kąciki ust kobiety, składając jej wargi w uśmiechniętą podkówkę. Odsunęła się jak malarz od sztalugi i patrzyła z zadowoleniem, gdyż ten „wymuszony” uśmiech utrzymywał się przez dłuższą chwilę. — Ty zdrowiejesz, a mamie coś jest. Rzyga teraz na ulicy i u jednego doktora w przychodni zapaprała poczekalnię. Nie wiem, co z nami będzie. Lepiej, żebyś wstała z łóżka i pojechała z nami do taty. On by was obie wyleczył. Mama bez taty jest smutna, a dzisiaj krzyczała i płakała przez sen.

Maria nocami wciąż przeżywała gwałt, ale nie sądziła, że podczas snu wydaje odgłosy, które słyszy śpiąca w innym pokoju córka. Owszem budził ją jej własny krzyk, a właściwie jego świadomość, wstawała więc, zapalała światło, piła wodę i powoli przeganiała koszmar, uświadamiając sobie, że jest już daleko od tego wszystkiego. Na jawie nie opuszczał jej nadal lęk o pozostałych w Johannesburgu męża i syna. Zrobiła tak, jak życzył sobie gwałcieciel, więc w zasadzie nie powinno grozić im nic złego. Ale czy można mieć zaufanie do ustaleń z kimś takim? Któż jest w stanie przeniknąć umysł cynicznej bestii?

Przypomniała sobie przypadek zamordowania sąsiadki i jej *maid* przez wnuczka tej ostatniej. Ten nastolatek, jak pisała gazeta, chciał zostać *tsotsi*¹. „Aaron właśnie nim jest” — pomyślała. I tak miała szczęście, że nie zarznął jej jak Stronga. Ale właściwie dlaczego jej to zrobił? Nie miał przecież żadnego powodu, żeby się na niej mścić lub jej nienawidzić. Dlaczego bił ją jeszcze po twarzy? Czy on naprawdę jest jak dzikie zwierzę? To geny czy raczej wychowanie? A może jakaś trauma? — zastanawiała się, siedząc obok łóżka matki i wbijając niewidzący wzrok w naprzeciwległą ścianę. Tymczasem Małgosia ulokowała się na łóżku babci i głośno czytała jej po angielsku *Pinokia*.

Maria miała wielką pokusę, żeby snuć rasistowskie teorie, bo przecież Aaron był wychowany w kulturze żydowskiej przez łagodną Dwojrę i nawet dość dobrze, jak na kolorowego, wykształcony, a jednak pozostał dziki. Nie chciała przedtem wierzyć Szymonowi, że chłopak byłby zdolny do zabójstwa kuzyna z Izraela, którego stary chciał uczynić posiadaczem swojej schedy. Teraz już w to wierzyła. Aaron był naładowany, wręcz napchany, jak baran szewczyka Skuby siarką i prochem, nienawiścią do ojca za to, że nie chciał uznać go za pełnoprawnego syna i spadkobiercę. Wystarczyła byle iskra, żeby wybuchnął. Maria czuła, że ta nienawiść Aarona w akcie brutalnego gwałtu przeszła na nią. Złość i nienawiść namnażały się w jej wnętrzu w tempie, w jakim dzieliły się i rozmnażały komórki zagnieżdżonego tam nowego życia. Teraz ona była takim granatem z wyciągniętą zawleczką.

przestępca, wyjątkowo bezwzględny opryszek [wróć]

ROZDZIAŁ 43

Maria, siedząc w Łodzi, musiała mieć codzienny kontakt telefoniczny z mężem, bo inaczej odchodziła wprost od zmysłów. Broniek obiecywał, że będzie dzwonił raz w tygodniu w weekend i zawsze wtedy, gdy coś ważnego się wydarzy. Ale ona nie potrafiła wytrzymać i w środku tygodnia sama wykręcała całą potrzebną litanię numerów, żeby tylko usłyszeć jego głos i przekonać się, że żyje. Co dzień była bardziej płaczliwa i nerwowa, choć u niej akurat wszystko szło ku lepszemu. Lucyna robiła wspaniałe postępy. Nie wstawała jeszcze i nie mówiła, ale można było się z nią całkiem dobrze porozumiewać za pomocą pytań, na które chora potrzasała głową potakująco lub przecząco. Lekarka uważała, że można ją już zabrać do domu i tam prowadzić dalszą rehabilitację. Trzeba było tylko przystosować do jej potrzeb mieszkanie. Córka wzięła więc przywiezione ze sobą złoto i poszła je sprzedać, by zdobyć fundusze potrzebne na remont. W sumie to, że Maria nie pracowała, było w tej sytuacji zbawienne. Przy pomocy doktora Karola zorganizowała matce specjalne łóżko i wózek. Kazała zamontować w łazience kabinę prysznicową i poręczę przy sedesie. Na razie Lucyna nie mogła z tego skorzystać samodzielnie, ale pomagającej jej córce też było wygodniej ją obsługiwać.

Trwały jeszcze wakacje, więc Maria przez cały dzień musiała także zajmować się Małgosią. Dziewczynka nie miała w Łodzi żadnych koleżanek i była niewielka szansa, że przed pójściem do szkoły uda się jej nawiązać jakieś znajomości, bo matka nie wypuszczała jej samej na krok z domu. Razem też właściwie nigdzie nie chodziły, bo nie można było na dłużej zostawiać chorej bez opieki. Zawsze natomiast chętny do spacerów i wycieczek był pan Karol. Ale Małgosia, mimo że wciąż była przez niego hojnie obdarowywana, wolała zajmować się babcią i czytać książki lub oglądać telewizję, niż spacerować z tym starszym panem, który tak jakoś dziwnie na nią spoglądał, za blisko się przysuwał i ją dotykał.

Fizycznie Maria od jakiegoś czasu czuła się lepiej. Przestały ją trapić zawroty głowy, mdłości i słabość spowodowana zbyt niskim według niej ciśnieniem. Któregoś dnia uświadomiła sobie, że dawno powinna dostać miesięczkę, drugą już od przyjazdu do Polski. Niewielkie krwawienie oraz bóle w dole brzucha, jakie odczuwała zaraz po przyjeździe, łączyła najpierw z tym, co zrobił jej Aaron. Potem pomyślała, że może jednak był to okres, nietypowy ze względu na zaistniałe okoliczności i zmianę klimatu. Ale teraz powinna dostać już następny, a nie dostała. W szafie za ręcznikami schowała zakupiony już dość dawno temu test ciążowy, więc teraz wyciągnęła go i użyła. Widok dwóch różowych kresek sprawił, że znów zakręciło jej się w głowie i wróciły mdłości.

— O Boże, co ja ci takiego zrobiłam! — powiedziała, spoglądając z wyrzutem w niebo, a właściwie w sufit łazienki. — Prosiłam Cię, żebyś dał mi następne dziecko, ale nie w takich okolicznościach. Nie, nie możesz mi tego zrobić! Ono nie może być czarne! — krzyknęła, zaciskając pięści, i zaczęła szlochać z bezsilności.

Pytania kłębiły się w jej głowie. Co robić? Wyznać wszystko Bronkowi? Czy teraz jej uwierzy? A jeśli uwierzy, czy będzie w stanie odpuścić dochodzenie sprawiedliwości? A co robi Aaron? Przestraszy się czy zemści? Jednego była pewna, że nie będzie matką dla spłodzonego w taki sposób dziecka. Ale czy to znaczy, że ma je zabić? Przecież ono nie zrobiło jej żadnej krzywdy. Z drugiej strony musiałaby je nosić w sobie jeszcze kilka miesięcy. Byłaby dla niego pełnym nienawiści inkubatorem, a każdy ruch tego płodu będzie dla niej jak obrót noża w otwartej ranie. Nie, nie może urodzić — zdecydowała.

Jeśli jednak w jej łonie rozwija się wymarzony złotowłosy Dawid? Jeśli to on ssie teraz paluszek i wystraszony wsłuchuje się w rozdygotane serce matki? Po gwałcie Maria nie miała już stosunków z mężem, zatem Dawid wkrótce po poczęciu przeżył wraz z nią tamten koszmar. Jest dzielny, chce żyć. Czy matka może odebrać mu życie z powodu niepewności? Nie znajdowała dobrych odpowiedzi na swoje pytania. Tkwiła w jakimś tragicznym klinclu. Najchętniej wyskoczyłaby przez okno lub rzuciła się pod któryś z czerwonych tramwajów przetaczających się z hałasem byłą ulicą Nowotki, którą teraz przemianowano na Pomorską. Szła do apteki po nowy test w nadziei, że tym razem rzeczywistość okaże się inna, niż była w istocie.

W dodatku przeczytała w starej gazecie, leżącej w mieszkaniu matki, że od stycznia tego roku aborcja w Polsce została zakazana. Lekarze ryzykując, bo zawsze są tacy, co dla zysku zaryzykują, brali teraz dużo większe sumy za nielegalny zabieg. Nie miała już pieniędzy. Nie mogła wziąć pożyczki, bo nie pracowała. Nie wiedziała, co robić, do kogo zwrócić się o radę i pomoc. Czowała, że znów, po raz już nie wiadomo który, otwiera się przed nią czarna, beznadziejna czeluść i to nie zabawkowego piekła, lecz jej osobistego i jak najbardziej rzeczywistego.

Tak niedawno w niedzielnej szkółce mówiła dzieciom o Bogu, który zawsze pomaga, o strzegącym każdego człowieka Aniele Stróżu. Teraz najchętniej wyrzuciłaby z domu wszystkie krzyżyki i obrazki, którymi Lucyna w dewocyjnym szaleństwie obwiesiła ściany. Gdzie był jej Anioł Stróż, kiedy Aaron gwałcił ją na zalanej krwią Stronga terakocie? A może jej, jako mieszance złego Żyda i dobrej katoliczki, nie należała się taka opieka? Chyba więc ten pomiot, ten zlepek afro-żydowsko-słowiańskich komórek też nie zasłużył sobie na szczególne traktowanie i będzie mogła się go pozbyć bez żadnych skrupułów — myślała zrozpaczona, oglądając trzeci z kolei test z takim samym wynikiem. Co by na to

wszystko powiedział Broniek, gdyby mogła mu wyznać prawdę? — zastanawiała się. Czy, jako zagorzały przeciwnik aborcji, kazałby jej wziąć swój krzyż i urodzić to dziecko? Nie miała na to siły. Ale wyrwać je z siebie także nie miała sumienia.

W dodatku nie miała z mężem kontaktu już dłużej niż tydzień. Lęk o niego i syna chwycił ją za gardło. Dzwoniła tylko po to, by go usłyszeć i mieć pewność, że żyje, ale Broniek nie odbierał, jeden dzień, drugi i trzeci. Nerwy powodowały, że miała potężne skurcze w dole brzucha. Zaświtała jej nadzieja, że może poroni samoistnie. Byłoby to przynajmniej rozwiązanie nieobciążające sumienia. Nie szukała więc pomocy u żadnego lekarza. Nie miała zresztą ubezpieczenia, zatem każda wizyta lekarska uszczuplałaby jej i tak skromne finanse. Modliła się, chyba do własnej macicy, bo na Pana Boga się wszak obraziła. Żądała wręcz, żeby macica wypluła płód, jeśli to pomiot diabolicznego Aarona, lub karmiła i hodowała nadal troskliwie dziecko jej ukochanego męża. Czasami miała wrażenie, że popada w obłąd.

Po kilku nieskończenie długich dniach i nocach Broniek wreszcie się odezwał i, nie tłumacząc wcale, co się z nim działo, zaczął wyznanie:

— Zrobiłem coś bardzo złego i muszę ponieść konsekwencje. Nie pytaj mnie teraz o nic, bo nie jestem w stanie mówić o tym przez telefon...

— Boże! Mów, co się stało?! — przerwała mu. — A co z Jackiem? — krzyczała.

— To żaden wypadek. Nie, nie denerwuj się tak. Powinienem ci już wcześniej powiedzieć, ale myślałem, że mi się uda i... — zaczął, ale się rozmyślił. — Nie, to nie ma sensu. Nie teraz i nie tak. Za długo bym musiał mówić. Nie, ja nie mogę...

— Skoro zacząłeś, to mów.

— Wysłałem list i z niego dowiesz się wszystkiego. Dostaniesz też trochę pieniędzy, bo nie jest ci chyba łatwo z renty matki. Porozmawiamy, jak przeczytasz list. Pamiętaj o jednym, ja nigdy nie przestałem cię kochać.

Po tym patetycznym wyznaniu Broniek odłożył słuchawkę. Serce Marii waliło jak młot. W pierwszym odruchu chciała dzwonić do męża i zmusić go do rozmowy, ale się opamiętała i odeszła od telefonu, żeby jej nie kusilo. Na podstawie tych paru zdań i własnej intuicji domyślała się, że chodzi o zdradę.

Zatem ledwie ona wyjechała, mąż ma już inną — myślała wściekła. I po co te śmieszne, melodramatyczne zapewnienia o miłości? To miało być zapewne pożegnanie i pocieszenie zarazem — kipiała złością i zazdrością. Przez moment chciała nawet, żeby dziecko w jej brzuchu było czarne jak heban, wtedy pokazałaby je Bronkowi i pastwiła się nad nim, że wcześniej go już zdradzała i to z Murzynem.

Nie spała całą noc, tylko wymyślała, jakich to jeszcze nieetycznych postępów mógł dokonać jej mąż. Przez następne dni nie była w stanie skupić się

na niczym. Żadna praca nie wychodziła jej jak należy. Stale po coś musiała wracać, rozsypywała cukier, przypalała potrawy i omal nie poparzyła matki herbatą. Brudne talerze zamiast do zlewu wkładała do lodówki i o byle co burczała na Małgosię. Trzeciego dnia wreszcie wyjęła ze skrzynki grubą kopertę z południowoafrykańskimi znaczkami. Jakiś czas trzymała ją w szufladzie, bo nie była wcale pewna, czy chce poznać jej zawartość.

— Może lepiej podrzeć ten list i z góry mu wszystko przebaczyć? — zastanawiała się głośno. Skoro on ją zapewnia o swojej gorącej i nieustającej miłości, a ona chce w nią wierzyć, to jakie znaczenie może mieć jego jedno potknięcie? A może ona w stosunku do Aarona też nie była całkiem fair? Podobał się jej, więc może bezwiednie go kokietowała?

List leżał w szufladzie, a ona nie była w stanie go zniszczyć ani przeczytać. Trwało to tak długo, aż w końcu zadzwonił Broniek, żeby zapytać, co postanowiła.

— Musisz go przeczytać i dać mi odpowiedź! — krzyczał. — Jesteśmy przecież małżeństwem i potrzebna mi jest twoja zgoda. Zadzwonię za godzinę — rzucił do słuchawki i rozłączył się.

Maria nic z tego nie rozumiała. Jeśli przecucia ją myliły, to może jest jeszcze dla nich jakaś szansa — pomyślała z nadzieją. Wyjaśnienie było zatem w liście. Drżącymi rękami rozdarła więc kopertę i zabrała się do czytania. List, niestety, zawierał także przyznanie się do zdrady, ale była to jakaś zupełnie nieprawdopodobna historia.

— Co on za bzdury wypisuje?! — sapała z oburzenia. — I myśli, że ja uwierzę w bajeczkę o napalonej, podstępnej Nancy i niewinnym Broniu? — mruczała do siebie pod nosem. „O Boże, chyba jej nie zgwałcił?” — pomyślała przez moment, ale zaraz sama zganiła się za to bezsensowne przypuszczenie. „Nie. Można mu było wiele zarzucić, ale czegoś tak ohydneho nigdy by nie zrobił”. Odwróciła kolejną stronę i czytała dalej. „Więc on ma syna?! I ukrywał to tak długo przede mną! Oszukiwał mnie, jeździł do Johannesburga, dawał pieniądze, a ja...!” — krzyczała w myślach, a łzy ciurkiem spływały jej po policzkach. Mąż oprócz wyznania swojej zdrady prosił ją jeszcze o zgodę na wzięcie tego jego czarnego dziecka na wychowanie.

W parę dni po wyjeździe Marii do Polski Broniek dowiedział się, że mały Jan przebywa w Aleksandrii u koleżanki Nancy, gdyż jego matka trafiła do Baragwanath Hospital. Broniek pojechał więc do szpitala, żeby wypytać dziewczynę, co się stało, i ewentualnie służyć jej pomocą. Zastał ją jednak całkowicie nieprzytomną i w bardzo ciężkim stanie. Okazało się, że została dotkliwie pobita przez konkubenta. Jakiś biały lekarz, sądząc, że Broniek interesuje się zdrowiem swojej *maid*, udzielił mu w sekrecie jako koledze po fachu kilku poufnych informacji na jej temat.

— Na tej dziewczynie to już trzeba będzie położyć krechę. Ma

prawdopodobnie uszkodzony mózg i raczej z tego nie wyjdzie. Konkubent ją pobił i poroniła tu u nas. A poza tym jest nosicielką HIV. Czyli mamy tu pełny obraz degrengolady czarnych. — Uśmiechnął się do przerażonego Bronka i poklepał go po ramieniu. — A co, zajmowała się pana dziećmi? Spokojnie, to się tak łatwo nie przenosi — pocieszył kolegę.

Po tych doniesieniach Bronek odwiedził Wirginię i zaczął drażnić sprawę. Okazało się, że ślub Nancy był fikcją. Mężczyzna, z którym Nancy przysłała do Bronka, był jej kochankiem i sutenerem obu kobiet. Kiedy dziewczyna zaszła w ciążę i nie chciała już przyjmować klientów, jej „opiekun” dotkliwie ją pobił.

„Rozumiesz, że w tej sytuacji musiałem zająć się małym, choć tego nigdy nie planowałem. Nawet jeśli Nancy wyjdzie z tego, to nie mogę narażać dziecka na zakażenie wirusem i w ogóle na życie w takim środowisku. Nie chciałbym też oddawać go do sierocińca, bo to w końcu mój syn i w dodatku bardzo miłe i inteligentne dziecko” — pisał Bronek w końcówce listu, prosząc Marię nie tyle o wybaczenie zdrady, co o zaopiekowanie się dzieckiem, które nie powinno cierpieć z powodu nieodpowiedzialności dorosłych.

Maria odłożyła list i rzuciła się z łkaniem na łóżko. Krótki szloch nie przyniósł jej ulgi. Całe wnętrze miała przepełnione bólem. W gardle, w sercu, w żołądku czuła jakby wielki balon żalu, uciskający jej wszystkie organy. Gdyby mogła płakać długo i rzewnie, z pewnością ból by ustąpił. Ale nie była w stanie uronić już ani jednej łzy więcej. Zazdrościła Nancy, że może być spokojna o losy syna, i Bronkowi, że już nie musi kłamać. Wyrzucił z siebie wszystko i teraz ona ma zdecydować, co dalej. Po kilku godzinach wewnętrznej szarpaniny wykręciła swój domowy, afrykański numer. Rozmowę z mężem przeprowadziła błyskawicznie.

— Ja do Afryki już nie wrócę — powiedziała oschle. — Nienawidzę tego kraju, tego niby-raju, który zmienił moje życie w piekło. Czy ci wybaczę, jeszcze dziś nie wiem. Ale Jacek jest mój i musisz mi go oddać.

Bronek nie brał pod uwagę takiej możliwości. Dziecko to nie zabawka, żeby je przerzucać z miejsca na miejsce, jak się podoba rodzicom. Chłopak nie chciał przecież wracać do Polski. A i Małgosia stale powtarza przez telefon, że tęskni za ojcem i bratem oraz za koleżankami. „Maria jest teraz rozżalona, ale kochająca kobieta nie powinna rzucać męża z powodu jakiejś jego jednej, przypadkowej kopulacji” — myślał i mimo wszystko był pełen nadziei, że wszystko między nimi się jeszcze ułoży.

Maria już przed otrzymaniem tego listu uważała, że jest na dnie rozpacz, a tymczasem okazało się, że dno się osuwa, a ona wpada w coraz większą głębię. Świat wirował jej przed oczyma, a grunt uciekał spod nóg. Gdyby nie obecność Małgosi i konieczność opiekowania się matką, odkręciłaby chyba gaz albo poszukała naprawdę wysokiego wieżowca, żeby skoczyć z najwyższego piętra

wprost na głowę. Na tę głowę, w której huczała tylko jedna myśl: „Nie urodzę żadnego dziecka, ani czarnego, ani białego”.

Nie miała nikogo bliskiego, kto mógłby jej pomóc, postanowiła więc udać się do sąsiada, czyli doktora Karola Maja. Nie powiedziała mu jednak całej prawdy. Poprosiła tylko o pożyczkę i skontaktowanie z kimś, kto usunąłby niechcianą ciążę. Karol Maj trochę się zdziwił, że Maria chce odejść od Bronka i usunąć jego dziecko, ale nie pytał o powody ani żadne szczegóły. Nie namawiał jej także na przemyślenie i zmianę decyzji, tylko zaraz zaczął dzwonić po znajomych i umówił ją na wieczór w jednym z prywatnych gabinetów ginekologicznych. Chętnie też przyjął w zastaw za pożyczkę jej pamiątkowy pierścionek z brylantami, który dostała na pożegnanie od babci. Maria, dziękując mu stokrotnie, poprosiła jeszcze o opiekę nad Lucyną i Małgosią w czasie, gdy ona będzie na zabiegu.

Słońce tego wieczoru zachodziło na czerwono. Chowało się za granatową warstwę chmur wypełzającą zza horyzontu. „Jutro pewnie będzie lało” — pomyślała Maria, wysiadając na przystanku z tramwaju. Jeszcze raz spojrzała na adres zapisany przez sąsiada na karteczce z nadrukiem jakiejś firmy farmaceutycznej i udała się w kierunku ulicy Julianowskiej. Gdy w długim bloku z wielkiej płyty wchodziła do rozklekotanej windy, wydawało się jej, że uporała się już ze wszystkimi swoimi słabościami i wątpliwościami. Nie było w niej lęku ani żadnego rozedrgania.

Okazało się, że nie była jedyną matką zamierzającą tego wieczoru pozbyć się w owym gabinecie swojego kłopotu. Zabieg kobiety, która była już w środku, znacznie się przedłużył, więc Maria musiała poczekać. Młody ginekolog zazwyczaj dbał o to, żeby pacjentki umówione na zabieg nie spotkały się ze sobą. Tego dnia też miał margines czasu i wszystko robił jak zawsze. Ale organizm młodej dziewczyny, właściwie nastolatki, nietypowo zareagował na znieczulenie i nagle spadło jej ciśnienie. Właściwie to była już we wstrząsie. Zadzwoił wtedy po kolegę anestezjologa, który miał tu być wcześniej i zrobić to znieczulenie, lecz coś mu wypadło. Teraz razem męczyli się z tą cholerną sikszą, bojąc się zawołać karetkę pogotowia, żeby nie ujawnić swojego procederu.

Maria za drzwiami słyszała szcęk spadających na podłogę czy nawet rzucanych narzędzi i rozmowy prowadzone podniesionym głosem, a także wulgarne przekleństwa. Poczła strach i odrazę do tego, co miało zaraz nastąpić. „Jakie by to dziecko nie było, czarne czy białe, i wszystko jedno czyje, nie zasługuje na to, żeby ginąć w takiej atmosferze, jak kurczak w ubojni” — pomyślała i poczuła delikatny ruch nieco po lewej stronie i lekko w bok od pępka. Było to jakby leciutkie pukanie od środka. Wstrzymała oddech, a pukanie stało się mocniejsze. Popłynęły jej łzy, ale na ustach zarysował się uśmiech.

— Dobrze się pani czuje? — zapytała ją nowa pacjentka, która przed chwilą

weszła do tego mieszkania zamienionego w gabinet i stała w zaimprovizowanej z maleńkiego przedpokoiku poczekalni.

— Chyba dużo lepiej niż ostatnio — powiedziała Maria i wstała z krzesła.
— Może pani zająć moje miejsce albo lepiej niech pani też stąd wyjdzie.
— Kobieta patrzyła na nią jak na obłąkaną, gdy Maria w pośpiechu opuszczała gabinet.

Nie miała nawet cierpliwości czekać na windę, więc zbiegła z siódmego piętra i wskoczyła do taksówki, która akurat odjeżdżała spod bloku. Taksówkarz miał włączone radio. Jakaś stara kobieta opowiadała o tym, jak po wojnie urodziła i wychowywała dziecko radzieckiego żołnierza, który dopadł ją i zgwałcił w piwnicy jej domu. Dziecko zmarło w wieku pięciu lat na szkarlatynę, a jego śmierć była dla niej ogromną tragedią. Nie miała innych dzieci i do samej starości wspomina szczęśliwe chwile, gdy trzymała w objęciach małą, nieco skośnooką dziewczyneczkę. Od chwili jej urodzenia nigdy nie myślała już, w jakich okolicznościach jej dziecko zostało poczęte. Maria nie odzywała się, lecz czuła, że ta kobieta mówi do niej. „Matka jest po to, żeby zawsze, w każdej sytuacji chronić swoje dzieci. Tak robi większość ptaków i ssaków w przyrodzie” — pomyślała i znów poczuła delikatne pukanie od środka.

ROZDZIAŁ 44

Było bardzo późno, więc Maria sądziła, że Małgosia i Lucyna na pewno już śpią. Dzwonek mógłby je obudzić, otworzyła zatem mieszkanie swoim kluczem i ostrożnie weszła do środka. W żadnym z pokoi nie paliło się światło, a spodziewała się zastać u siebie w domu doktora Maja. Nie znalazła go czytającego ani oglądającego telewizję na kanapie w salonie. Pomyślała więc, że może starszy pan przysnął na chwilę w jej sypialni. Lecz i tam było pusto. Pokój Lucyny, w którym zawsze całą noc paliła się mała lampka, był pograżony w ciemności. Maria zapaliła światło. Matka nie spała. Była bardzo niespokojna i próbowała coś powiedzieć córce. Niestety z krzywych wciąż warg wyszedł tylko nieartykułowany dźwięk. Chora kierowała spojrzenie na sufit i nadal niezrozumiale bełkotała. Córka przyłożyła jej dłoń do czoła, ale Lucyna gwałtownym ruchem strząsnęła tę dłoń, denerwując się jeszcze bardziej. Wtedy Maria wyciągnęła z szafki aparat do mierzenia ciśnienia, a Lucyna uniosła swoją jedyną władną rękę i wytrąciła córce sprzęt, pokazując mimiką coraz większe zniecierpliwienie. Maria też się zezłościła i wyszła z pokoju chorej. Zapaliła światło w przedpokoju i na palcach weszła do pokoju córki. Ze zgrozą stwierdziła, że dziewczynki nie ma w łóżku. Wróciła do matki i stojąc jeszcze w progu sypialni, krzyknęła:

— Mamo, gdzie Gosia?! Coś się stało? Szpital? — próbowała się domyślać, ale matka wyraźnie przeczyła głową i wywracała oczyma, wskazując ponownie na sufit.

Maria zorientowała się, że Lucyna ma na myśli mieszkanie na górze, które zajmował pan Karol. „Czyli nic się nie stało, tylko mała przechera coś wymyśliła, żeby nie iść spać o normalnej porze” — pomyślała z ulgą. Wstawiła wodę na herbatę i miała zamiar zadzwonić, żeby przywołać smarkulę i jej niefrasobliwego opiekuna do porządku. Małgosia musiała rano wstać, bo rozpoczął się już rok szkolny i mała zaczęła naukę w pobliskiej podstawówce. Maria zdjęła jednak najpierw buty i sukienkę, a potem założyła miękkie kapcie oraz szlafrok. Była bardzo zmęczona napięciem spowodowanym czekaniem na zabieg i tym, co zrobiła potem. Czuła, że powinna powiedzieć doktorowi o zmianie decyzji, przeprosić za zawracanie głowy i zwrócić mu gotówkę. Pożałowała, że się przebrała aż tak bardzo po domowemu, ale w końcu machnęła ręką na strój, wyszła na korytarz i wspięła się schodami na drugie piętro.

Już pod drzwiami usłyszała murzyńskie rytmy i poznała znajome jej jeszcze z dzieciństwa nagrania. Waliły głośno tam-tamy, hałasowały przeróżne grzechotki, a męskie, aksamitne, doskonale zestrojone głosy śpiewały jakąś pieśń. „Mała tęskni za Afryką i pan Karol pewnie puszcza jej tę starą płytę, którą zabawiał kiedyś mnie” — pomyślała i zapukała leciutko. Nikt jej jednak nie odpowiedział.

Dzwonek, podobnie jak żarówka na klatce schodowej, nie działał. W tej starej kamienicy coraz częściej coś wysiadało. Maria szarpnęła za klamkę i drzwi się same otworzyły.

W całym mieszkaniu panował mrok, tylko w gabinecie Karola paliło się kilka świec. W powietrzu unosił się dziwnie mdły zapach jakichś ziół, kadzidełek czy kwiatów. Pokój udekorowany był różnymi maskami i częściami strojów oraz uzbrojenia zuluskich wojowników. Na skórze z lamparta leżała pogrążona we śnie lub w jakimś transie jej córeczka. Małgosia była zupełnie naga. Nagi był również doktor Maj. Pochylał się właśnie nad dzieckiem i głaskał jej rozrzucone na futrze włosy. Bez garnituru wyglądał dużo starzej i obleśnie. Był bardzo chudy i pomarszczony. Maria zauważyła, że starzec od młodości uchodzący za impotentą był w stanie podniecenia seksualnego i ewidentnie gotowy do odbycia stosunku.

Doktor Maj obrócił dziecko tak, by leżało na brzuchu i zbliżył się do niej. Starcze ciało już zetknęło się z gładziutkim, ładnie opalonym ciałkiem dziewczynki. Maria chciała krzyknąć, lecz głos nagle zamarł jej w gardle. Rozejrzała się w półmroku dookoła i jej wzrok natrafił na stojącą w holu hebanową rzeźbę przedstawiającą nagiego Masaja z wyeksponowanym, potężnym, czarnym penisem, na którym Karol wieszał zwykle swój kapelusz. Tę rzeźbę przysłała mu ponoć jego była żona wraz z zawiadomieniem o tym, że ponownie bierze ślub. Mała Maryjka знаła ten posążek z czasów, gdy sama przychodziła tu na seanse afrykańskich czarów. Półtorametrowy Masaj z litego hebanu był twardy i ciężki, ale ręce Marii uniosły go w górę jak piórko i opuściły wprost na potylicę doktora. Nagi staruch opadł ciężko i bezwładnie, przyciskając Małgosię. Dziewczynka jęknęła, lecz nie ocknęła się. Matka z odrazą odciągnęła starca od córki i sprawdziła jej stan. Nie było wątpliwości, że mała jest odurzona jakimś środkiem, lecz na szczęście oddech miała normalny.

Maj był ogłuszony, ale żył i nawet zaczął się poruszać. Wtedy Maria związała mu dokładnie ręce swoim paskiem od szlafroka, a nogi paskiem od jego szlafroka, który leżał na fotelu. Spostrzegła potem na biurku, jakby dla niej naszykowany, krążek taśmy klejącej. Zakleiła więc starcowi dokładnie usta oraz wzmocniła unieruchomienie kończyn. Była z siebie naprawdę zadowolona. Wiedziała, że ze względu na swój stan nie powinna zbyt się forsować, ale chciała jak najszybciej znieść córkę na dół, aby, jeśli wróci do przytomności, ocknęła się we własnym łóżku i nie miała potem złych wspomnień.

Nie było to łatwe, gdyż Małgosia, mimo że szczuplutka, jak na swój wiek była wysoką dziewczynką, a bezwładna wydawała się wyjątkowo ciężka. Głowę i tułów córki matka niosła ostrożnie w ramionach, ale resztę wlokła po ciemnych schodach. Wreszcie ułożyła małą na tapczanie i otuliła kołdrą. Weszła jeszcze do pokoju matki, żeby ją uspokoić, że z wnuczką wszystko dobrze. Wtedy poczuła bardzo mocny ból w brzuchu. W emocjach nie zwróciła na to uwagi. Takie bóle jej

się zdarzały już przedtem, gdy była zbyt napięta i zdenerwowana. Znów wyszła na korytarz i udała się do mieszkania na górę. Działała jak w transie. Nie zastanawiała się właściwie, po co to robi. Chyba miała zamiar stamtąd wezwać pogotowie i policję.

W przedpokoju na rzeźbionym mahoniowym stoliku od zawsze stał aparat telefoniczny. Teraz też tak było, tyle że doktor wymienił staroświecki, czarny telefon na nowy model ze słuchawką bez kabla i właśnie owej słuchawki nie było na swoim miejscu. Maria, nie gasząc płonących wciąż świec, zapaliła wszystkie światła i na próżno szukała jej w gabinecie. „Czyżby schował ją z jakiegoś powodu w biurku?” — pomyślała i otworzyła jedną z szuflad potężnego, eleganckiego biurka Karola. Już na samym wierzchu spostrzegła obrzydliwe, pornograficzne zdjęcia małych dzieci, a właściwie tylko dziewczynek, bo nie znalazła tu fotografii żadnego chłopca. W każdej szufladzie było tego pełno. Najwidoczniej swój proceder doktor Maj uprawiał od bardzo wielu lat. Świadczyły o tym nie tylko stosy klisz i odbitek, ale także zmieniające się techniki fotografii. Wśród czarno-białych, starych zdjęć znalazła także swoje. Leżała, podobnie jak Małgosia, naga na jakimś futrze i na pewno spała. W kolejnym ujęciu jej twarz prawie nie była widoczna, ale sfotografował się za to w dużym zbliżeniu pochylający się nad nią Karol. „Musiał zastosować samowyzwalacz” — pomyślała trzeźwo. Zrobiło jej się teraz gorąco z wrażeń, więc otworzyła okno, a przy wstawaniu z krzesła znów poczuła skurcz i jakieś ciepło między nogami. Zajrzała do najniższej szuflady. Ta ostatnia przyprawiła ją o takie emocje, że zapomniała zupełnie o swoich bólach, a także o zaginionej słuchawce telefonicznej.

Doktor Karol Maj przypadki szczególne trzymał osobno. Fotografie przedstawiały nieszczęśliwe dzieci z twarzami charakterystycznymi dla zespołu Downa i innych upośledzeń umysłowych. Wyjątkowo wstrząsające były sceny z małymi pacjentami potwornie zniekształconymi porażeniem mózgowym i z kończynami powykręcanymi przykurczami. Nie wszystkie dzieci spały. W oczach niektórych z nich widać było lęk i cierpienie. Oprócz zdjęć w szufladzie znajdował się także skatalogowany opis każdego przypadku i rodzaj „zabiegów” zastosowanych przez doktora, a także reakcje pacjentów. Molestowanie i gwałcenie dzieci Karol Maj zaliczał zatem do terapii.

Maria wstała z krzesła, gdyż zauważyła, że jej nagi więzień odzyskał świadomość. Próbował się szarpać i wydawał jakieś odgłosy. Było mu zimno, bo na bladej, żylastej, jakby pogniecionej i piegowatej skórze pojawiła się gęsia skórka.

— To nawet bardzo dobrze, że cię tylko lekko ogłuszyłam — zwróciła się do leżącego u jej stóp doktora. — Chcę, żebyś zdawał sobie sprawę z tego, co za chwilę się wydarzy, i wszystko dokładnie czuł. Ja cię teraz radykalnie wyleczę. Zrobię to w trakcie jednego, jedyne go zabiegu.

Była blada i ręce jej drżały, ale uśmiechała się. Poszła do kuchni i przyniosła stamtąd duży, ciężki, stalowy nóż z czarnym trzonkiem oraz ostrzałkę. Wolno i z namaszczeniem ostrzyła narzędzie, a skrępowany doktor miotał się po podłodze, usiłując się uwolnić. Wreszcie uznała, że nóż jest wystarczająco ostry. Miała chyba zamiar obciąć pedofilowi genitalia, ale zawahała się, bo musiałaby wziąć do ręki i... Nie, nie była do tego zdolna. Stała przez moment pochylona nad nim, wpatrując się w jego krocze, gdzie znajdował się skurczony ze strachu i zimna do minimalnych rozmiarów starczy narząd pedofila.

Maj nie wytrzymał napięcia, gwałtownie się wyprężył, a potem machnął swoimi skrępowanymi kończynami, jak ryba ogonem, podcinając jej nogi. Zachwiała się i zupełnie w tym momencie niezamierzenie ugodziła go w podbrzusze. Jęknął i zwinął się w kłębek, podciągając kolana pod brodę. A kiedy ona, wciąż dzierżąc nóż w rękę, próbowała wstać, leżący zamachnął się raz jeszcze, chcąc wytrącić jej nóż. Nadział się jednak na ostrze i rozharatał sobie udo. Maria odchyliła się, bo krew bluznęła na nią dosłownie strumieniem. Nie zauważyła nawet, że upadający nóż także ją zranił w stopę. Przez chwilę zamiast leżącego na podłodze Maja widziała w kałuży krwi Stronga, a potem czarny pies stał się nagle czarnoskórym mężczyzną. Podniosła nóż i teraz już cięła nim na oślep. Czowała ohydny, mdły zapach i zupełnie nie wiedziała, co robi.

Dopiero przeszywający ból brzucha sprawił, że zaprzestała masakry. Zwymiotowała do kosza na papiery stojącego obok biurka. Pomyślała absurdalnie, że przed przyjazdem pogotowia powinna ten kosz opróżnić. W głowie jej szumiało z emocji i upływu krwi, ale ogólnie miała uczucie pewnej ulgi. Po wewnętrznej stronie jej ud już od dłuższego czasu płynęła czerwona strużka. Omijając wzrokiem ciało sąsiada, Maria dowlekła się do drzwi wejściowych mieszkania. Otworzyła je szeroko i wychodząc, nawet ich nie zamknęła. Nie zwracała uwagi na to, że przeciąg podniósł do góry firankę i zdmuchnął jedną ze świeczek.

Zostawiając na schodach krwawy ślad, ostatkiem sił zeszła na dół do swojego mieszkania. Miała świadomość, że nie wykonała dobrze swojej operacji. Teraz niestety i ona potrzebowała pomocy. Żeby zadzwonić, musiała dotrzeć aż do sypialni, gdzie ostatnio przeniosła aparat telefoniczny, by móc swobodnie do późna rozmawiać z mężem. W holu minęła lustro i przestraszyła się swojego odbicia. Zobaczyła zakrwawionego, śmiertelnie bladego upiora. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że w rękę wciąż trzyma ten wielki, stalowy nóż, na którym pozostały nawet jakieś fragmenty tkanek sąsiada.

„O Boże! A gdyby tak Małgosia wyszła teraz ze swojego pokoju?” — pomyślała przerażona. Takiej traumy nie mogła zafundować własnemu dziecku. Zamiast do sypialni weszła więc najpierw do łazienki. Obmyła nóż i wsunęła go pod wannę. Potem odkręciła wodę i miała zamiar obmyć z krwi przynajmniej ręce i twarz. Upadła jednak i straciła przytomność.

Pożar, jaki wznieciła, nic o tym nie wiedząc, uchronił ją od śmierci z wykrwawienia. Wychodząc od doktora, spowodowała chwilowy przeciąg, który zgasił tylko jedną świecę, a dwie pozostałe paliły się nadal. Lekka tiulowa, firanka podfrunęła do góry i zawisała na stylowej lampce z zielonym abażurem, która od niepamiętnych czasów stała na biurku doktora. Jeden koniec firanki znalazł się wprost nad płonąącą świecą i szybko się zajął. Od niego zapalił się zielony abażurek i dalej ogień poszedł na stertę fotografii, które Maria pozostawiła na biurku. Spłonęło w rezultacie także piękne, mahoniowe biurko psychiatry, a wraz z nim dowody jego kryminalnej działalności.

Płonącą firankę zobaczył ktoś z domu stojącego po drugiej stronie ulicy i zadzwonił po straż. Strażacy na czas ewakuowali rodzinę z mieszkania znajdującego się poniżej źródła pożaru. Uratowali w ten sposób życie wykrwawiającej się Marii. Straciła ciążę, nie dowiedziawszy się w końcu, czy jej sprawcą był gwałciciel, czy też wiarołomny mąż. Ratownicy na czas wynieśli z zadymionego mieszkania śpiącą wciąż i nieco podtrutą Małgosię oraz jej sparaliżowaną babkę. Inna grupa natomiast, lejąc obficie przed sobą wodę, wkroczyła do zajętego pożarem mieszkania na drugim piętrze i odkryła makabryczne znalezisko — prawie zwęglone, nagie, skrupowane zwłoki mężczyzny. Do akcji musiał wkroczyć prokurator.

ROZDZIAŁ 45

Maria ocknęła się na ginekologii w szpitalu przy Szterlinga. Straciła sporo krwi, ale jej ogólny stan był niezły. Gorzej sprawa wyglądała z emocjami. Na początku chciała stamtąd uciekać. Twierdziła, że musi wracać do Afryki, żeby w jakiejś niezwykle ważnej sprawie porozumieć się z mężem. Potem wydawało się jej, że już z nim rozmawia, więc błagała go, aby sprzedał dom i wracał z Jackiem do Polski. Na zmianę była łagodna, prosząca o pomoc, a w chwilę później okazywała agresję, nie tylko zresztą słowną. Na szczęście nie miała tyle siły, by zrobić komukolwiek krzywdę. W końcu jednak ją związano i spacyfikowano środkami uspokajającymi.

Rano wydawała się już bardziej przytomna, ale gdy przyszła do niej policjantka, żeby uspokoić ją co do losów córki i chorej matki, Maria nic nie pamiętała z owej straszliwej nocy. Nie rozumiała, dlaczego jest oskarżana o zabicie sąsiada i wywołanie pożaru. Oczywiście nie przyznała się do żadnej z tych rzeczy. Wyznała natomiast, że późnym wieczorem, a właściwie już nocą, wróciła z gabinetu ginekologicznego, w którym miała zamiar dokonać aborcji.

— Nie jestem morderczynią, żeby zabijać własne dziecko — tłumaczyła policjantce. — Nieważne, że może być czarne. Czarne czy białe ma prawo do życia. Nie jestem jakąś rasistką. Przynajmniej będziemy mieli remis w rodzinie. Bo wie pani, mój mąż też ma czarnego syna. To zabawne, dwoje dzieci białych, dwoje czarnych, taka łaciata rodzina. Ale komu to szkodzi? Tak też można żyć, więc uciekłam stamtąd i nadal mam je w sobie — mówiła, nie dopuszczając myśli, że poroniła, chociaż lekarz tłumaczył jej to jeszcze w nocy.

— Proszę powrócić do tematu — przywołała ją do porządku funkcjonariuszka. — Co robiła pani po powrocie z tego gabinetu, którego adres poda nam pani później?

Maria przypomniała sobie, że córki nie było w łóżku o tak późnej porze i to bardzo ją zaniepokoiło.

— Ach, już wiem — ucieszyła się. — Potem okazało się, że Małgosia była u sąsiada, a on jej... — Oczy Marii nagle stały się pełne łęku. — On jej... On jej... On jej... — powtarzała jak zarysowana płyta i trzęsła się z przerażenia.

— I co się tam stało, proszę opowiedzieć — zachęciła policjantka.

— Pomogłam mojemu dziecku — wyznała Maria z płaczem.

Dalej już zeznania poszły gładko. Maria przypomniała sobie prawie wszystko. Nie mogła tylko uwierzyć, że zwęglone niemalże ciało Karola było podziurawione wcześniej przez nią jak sito.

— Tam musiał być po mnie jeszcze ktoś inny — upierała się. — Ja miałam prawo do wymierzenia mu kary. On skrzywdził mnie, chciał to zrobić mojej córce

i miał na sumieniu mnóstwo nieszczęśliwych, chorych dzieci, którym zadawał ból. Ale nie mogłam. Nie zrobiłam tego. Tam musiał być jeszcze ktoś inny — upierała się.

Małgosia także nie była dobrym świadkiem. Pamiętała tylko, że mama prosiła pana Karola o opiekę nad nią i babcią.

— Pan Karol dał babci leki, a mnie zrobił kolację. Napiłam się soczku i posłuchałam muzyki — zeznawało dziecko. — A potem pokazywał mi widokówki z Afryki. Ja chciałam wrócić do taty i do szkoły w Afryce, ale mama mówiła, że jeszcze nie możemy. Pan Karol chciał się ze mną bawić w Zulusów, ale ja zrobiłam się śpiąca. Pozwolił mi zostać u siebie i spać na bardzo miłym futerku. A potem widocznie mama zabrała mnie stamtąd tuż przed pożarem — mówiła rezolutna dziewczynka.

Dziecku nie zrobiono od razu badań na obecność środków odurzających we krwi. Wykonano tylko badanie ginekologiczne, ale nie stwierdzono śladów penetracji.

— Z zeznań i ze zgromadzonych materiałów wynika zatem, że oskarżona z zimną krwią i w okrutny sposób zabiła znakomitego lekarza, dobrego człowieka i wieloletniego przyjaciela domu. Po prostu, swojego człowieka — powiedział oskarżyciel, akcentując słowo „swojego”.

— Amchu — odezwała się wtedy Maria i zaczęła się śmiać.

Jej niestosowne zachowanie oraz słowo, które sędzia poczytał za niezrozumiałą obelgę, spowodowały wyjątkową surowość wymiaru sprawiedliwości. Oskarżyciel dodatkowo zebrał wiele pochlebnych opinii o lekarzu. Sędzia też bardzo się denerwował, gdy mówiła o pedofilii zamordowanego, nie mając na to żadnych dowodów. Broniek przyjechał do Polski, żeby zabrać córkę. Zapożyczył się na dobrego adwokata dla żony, lecz ten niewiele mógł zdziałać. Składał kolejne apelacje, a nawet prośbę do prezydenta RP o ułaskawienie. Wszystko bez skutku. Maria tkwiła w więzieniu i ku zdziwieniu rodziny znosiła to nadspodziewanie dobrze. Raz tylko w ciągu dwudziestu lat skorzystała z przepustki, żeby uczestniczyć w pogrzebie matki.

Lucyna umieszczona w zakładzie dla przewlekle chorych żyła jeszcze dwanaście lat. Wnuki nie przyjechały z RPA na jej pogrzeb, bo zawiadomienie przyszło zbyt późno. Maria szła więc za trumną tylko z kuzynem z Łasku i jego rodziną. Kuzyn nawet podszedł się z nią przywitać, ale jego żona z dwójką nastoletnich dzieci trzymała się od morderczyni na bezpieczną odległość. Maria zaraz po pogrzebie wróciła do więzienia, chociaż zostały jej jeszcze dwa dni przepustki. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić ani dokąd pójść. Nikt jej nie zapraszał, nikt nie oczekiwał i nie chciał z nią rozmawiać, a w więzieniu mogła przynajmniej czytać i malować.

Głównym tematem jej obrazów były dziwne dzieci. Malowała portrety dzieci

starszych i młodszych, od niemowląt do nastolatków. Przedstawiała je w czasie zabawy, spaceru, zadumy i nauki. Nie byłoby w tych obrazach niczego nadzwyczajnego, gdyby nie skóra bohaterów. Otóż były to istoty w kolorze bieli i czerni. Na czarnym tle miały kontrastowe paski, kropki albo inne wzorki. Poza tym Maria namiętnie wyrabiała też z kartonu składaną zabawkę o nazwie piekło-niebo. Była to zabawka wybrakowana, bo piekła w niej nie było, tylko samo niebo. W środku otwieranych paszcz świeciło miniaturowe słońko, kwitły mikroskopijne kwiaty, latały barwne motylki.

Ostatniego dnia pobytu w więzieniu rozdała wszystkim więźniarkom te oszukane wróżby. Sąsiadki z jej celi i z dalszych patrzyły na nią zdziwione. Niektóre w życiu nie widziały czegoś takiego, więc nie miały świadomości, że dostają od niej wyłącznie optymistyczną wersję świata. Dziękowały, gdyż miniaturowe malunki we wnętrzach paszcz były piękne, a i na zewnątrz kartoniki zostały ślicznie przyozdobione i polakierowane.

— Dajcie swoim dzieciom — mówiła Maria. — I powiedzcie, że jest taka ciocia, co dwadzieścia lat modliła się, żeby świat każdego dziecka właśnie tak wyglądał.

EPILOG

Drżąc od porannego chłodu, a może bardziej ze strachu, Maria przekroczyła wszystkie kolejne śluzy oraz bramy więzienne i znalazła się na wolności. Stała pod ostre słońce, więc przysłoniła sobie dłonią oczy i wtedy dopiero spostrzegła po przeciwległej stronie dość wąskiej ulicy kilka osób ustawionych w szereg. Machali w jej kierunku rękami i śmiali się. To nie mogła być pomyłka. Na smutnej ulicy Wybickiego, przebiegającej wzdłuż czerwonego więziennego muru, o tej porze było pustawo. Poza tą grupą w zasięgu jej wzroku znajdowało się jeszcze kilku innych ludzi, ale wyglądali na śpieszących do swoich spraw i zaaferowanych własnym życiem. Tylko owa wesoła gromada, złożona z pięciu osób, stała i wyraźnie na nią czekała. Wyglądało to tak, jakby próbowali oderwać ją od mrocznej przeszłości, a sami bali się zrobić krok w przód i zbliżyć do więziennej bramy, żeby ich nie pochłonęła. Woleli oddzieleni jezdnią stać i czekać, zachęcając gestami, by to Maria podeszła do nich.

A cóż to za komitet powitalny? Armia Zbawienia czy jakaś inna instytucja dobroczynna chce się zaopiekować uwolnioną przestępczynią, żeby znów nie wkroczyła na drogę występku? — pomyślała z obawą, ale i z pewną dozą rozbawienia. Dwadzieścia lat to kawał czasu, świat się zmienił, może więc ktoś jej naprawdę będzie pomagał w resocjalizacji i asymilacji z nowym społeczeństwem — dumiała, stojąc wciąż pod więziennym murem, aż wreszcie usłyszała:

— Mamo! No, chodźże! Odważ się! — wołała wysoka, młoda kobieta w sportowym ubraniu. Głos miała podobny do Małgosi, ale wyglądała jakoś dziwnie. Mimo upału jej głowę i szyję okrywała błękitna chusta, skrywająca dokładnie wszystkie włosy.

„Za gorąco na taki zawój i trochę dziwnie wygląda do dzinsów” — pomyślała, mrużąc oczy. Jednocześnie stwierdziła, że potrzebuje już okularów.

— Małgosia? — spytała. Dziewczyna w chuście nie wytrzymała. Przebiegła jezdnię i rzuciła się Marii na szyję. Zaraz za nią podążyła reszta. Kiedy znaleźli się obok, przystojny, postawny mężczyzna, podobny nieco do Bronka w młodości, u którego boku stała filigranowa, czarnowłosa i skośnooka, ciężarna kobieta, objął Marię wpół i uniósł leciutko ponad ziemię.

— A ja? Mnie nie poznałaś? — mówił z wyrzutem.

— Jacek? Jak ty wyrosłeś! A to Pen Lin? — zgadła już bez trudu. — Aż tyle was tu? Skąd wiedzieliście? Ja nie pisałam, że wychodzę, bo nie byłam do końca pewna... I Bronek, ty też...? — dziwiła się, przypatrując się z rozczuleniem starszemu, eleganckiemu panu. Mąż, bo wciąż byli wszak małżeństwem, niby wiele się nie zmienił, ale miała wrażenie, że jakby trochę zmalął i zmizerniał, a może tak tylko wyglądał na tle dorodnych, urodziwych i tryskających młodością

dzieci. „Boże, to jak ja w takim razie wyglądam?” — przemknęło jej przez myśl. Odruchowo dotknęła dłonią włosów. Ale włosy jak zawsze miała zachwycające. Wciąż były bujne, kręcone, nadal rude i tylko trochę wyjaśniały od przepłatających je tu i ówdzie siwych pasemek.

Dała spokój fryzurze i przeniosła wzrok z twarzy męża na młodego mężczyznę, stojącego pomiędzy Bronkiem a Małgosią. Wpatrywał się w nią wyczekująco z nerwowym uśmiechem przyklepionym do warg, między którymi połyskiwały białe, mocne zęby. Cerę miał ciemniejszą niż Broniek i Jacek, raczej ciemnooliwkową niż kawa z mlekiem. Jego kruczoczarne, gęste, lekko faliste włosy lśniły przepięknie w słońcu. Nad czarnymi, czujnymi oczyma rysowała się gruba krecha zrosniętych brwi, która nadawała jego ładnej twarzy wyraz niepokojącej surowości. Wyglądał egzotycznie, ale nie przypominał raczej mulata.

— Czy to jest...? — Maria spojrzała pytająco na męża, nie chcąc wypowiedzieć słowa „syn”.

— Nie, mamó, to jest mój chłopak, Husayn — wyjaśniła szybko Małgosią, a młodzieniec skłonił się elegancko przed Marią, która podała mu drżącą i mokną ze zdenerwowania dłoń. Pocałował ją, bo tak pewnie kazała mu Małgosią, ale nie powiedział ani słowa, tylko znów się uśmiechnął, a może skrzywił. Rysy chłopaka, jego imię i chusta na głowie córki spowodowały w głowie Marii natychmiastowy zamęt. Chciałaby jak najprędzej dowiedzieć się czegoś więcej, ale bała się zadać pytanie, które mogłoby od razu skomplikować sytuację.

— Mój syn jest z nami również i jego dziewczyna też. — Głos Bronka wyrwał Marię z chwilowego zawieszenia. — Janek jest bardzo żywiołowy i niecierpliwy. Strasznie się denerwował przed tą podróżą oraz spotkaniem z tobą, dlatego nie mógł spokojnie wystać na miejscu. Chwilę wcześniej postanowili z Beauty pobiec dookoła muru więziennego, żeby obejrzeć ten ciekawy obiekt, a ty akurat wyszłaś. O, widzę, że już wracają. Marysiu, pamiętaj, że to bardzo uczuciowy i związany z rodziną chłopak. — Broniek najwyraźniej też był zdenerwowany i niepewny jej reakcji. Pomachał ręką do pary, która biegiem podążała w ich kierunku.

Maria najchętniej schowałaby się znów do więzienia, by uniknąć tego spotkania. Nie była przygotowana na widok swojej córki w islamskiej chuście u boku Araba, a tu jeszcze fundują jej kontakt z człowiekiem, którego istnienie starała się wyprzeć ze swojej świadomości przez całe dwadzieścia lat. Robiła to, żeby bez złości i żółci porozumiewać się z mężem w sprawach ich wspólnych dzieci. Teraz słowa Bronka wprawiły ją w popłoch, ale było za późno na wycofanie się z tej sytuacji, młodzi bowiem, zziązani i uśmiechnięci, właśnie do niej dobiegli.

— To jest Janek i jego piękna Beauty — przedstawił mąż. — Oboje jeszcze studiują w Johannesburgu, ale niedługo planują przenieść się w okolice Nelspruit. Jan będzie lekarzem, a Beauty weterynarzem. On nie zamierza, jak ja i Jacek,

zostawać w *teachingu*. Chce szybko otworzyć gabinet GP na prowincji, żeby jego dziewczyna miała blisko do pracy, bo Beauty chce pomagać dzikim zwierzętom w rezerwacie.

Maria z ciekawością słuchała o planach młodej pary i przyglądała im się uważnie. Janek, mimo zdecydowanie ciemnej skóry i większych niż u białego warg, był w jakiś sposób podobny do Bronka. Miał jasne jak na mulata włosy, śmiesznie powykręcane i sterczące. Ze wzrostu, figury, ruchów i chyba także ze spojrzenia bardzo przypominał ojca. Długonoga Beauty była natomiast prawdziwą, hebanową pięknoscią. Sądząc po delikatnych rysach i smukłej sylwetce, wywodziła się z plemienia Khosa. „Jak taka subtelna piękność poradzi sobie z chorym lwem, nosorożcem albo ze słoniem?” — zastanawiała się z troską Maria. Zauważyła, że zupełnie odruchowo potraktowała tę poznaną przed chwilą dziewczynę jak własne dziecko. „Może więc i z tym Jankiem mi się uda” — dodawała sobie w duchu otuchy, bo ścierpła jej skóra, gdy roześmiany chłopak dosłownie z rozbiegu rzucił się na nią z otwartymi ramionami.

Zamknęła oczy i przez moment stała jak sparaliżowana. Poczowała zbyt blisko jego rozgrzane biegiem, młode ciało, a do jej nozdrzy doleciał ten charakterystyczny zapach, który mimo upływu lat pamiętała tak samo wyraźnie. Była to woń ciemnej, ludzkiej skóry wymieszana z takim samym lub bardzo podobnym dezodorantem, jakiego przed laty używał Aaron. Miała ochotę krzyknąć ze strachu, lecz zacisnęła tylko pięści i powtarzała sobie bezgłośnie: „To nie Aaron. To nie ta sytuacja. To inny kraj i inny czas”. Udało się. Odzyskała zimną krew. Najpierw nieco z przymusem, a potem już bardziej szczerze uśmiechnęła się do Jana. Bez najmniejszych za to oporów przytuliła jego śliczną dziewczynę, której imię tak przyjemnie się jej kojarzyło. Nie miała się przecież czego obawiać. Otaczały ją wszak szczerze twarze najbliższych. To była jej rodzina: dorosłe, wyrosnięte, dorodne, wykształcone i mądre dzieci oraz mąż, który, choć nie okazał się idealnym partnerem, to jednak zdał egzamin z ojcostwa.

Tylko co z tym Husaynem? Dlaczego Małgosia w żadnym liście nawet o nim nie wspomniała? Skąd ona go wytrzasnęła? Dlaczego założyła islamską chustę? Czy to teraz modne, czy jednak ten gest ma głębsze znaczenie? Przez te dręczące pytania Maria nie mogła się skupić na rozmowie z Janem i Beauty, tym bardziej że dziewczyna mówiła szybko po angielsku.

— Czy ja też mogę mówić „mama”? — spytał nagle rozbrajająco Janek. Maria pokiwała potakująco głową i poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Wspięła się na palce, a potem zanurzyła dłoń w zabawnej czuprynie mulata.

— No dość tych czułości — powiedział zazdrosny chyba trochę Jacek. — Chodźmy już z tego ponurego miejsca. Zrobiliśmy ci plan na najbliższe godziny, a nawet dni. Proponujemy kąpiele w miejscowych solankach i gabinet odnowy, a także wspólne zwiedzanie Grudziądza. A może wcześniej chciałabyś iść na jakieś

zakupy? Coś nowego pewnie by ci się przydało? Ale to może chwilę poczekać, bo teraz niezwłocznie musimy iść do hotelu na porządne śniadanie — zarządził. — Moja żona, niby taka drobinka, a je za troje — zaśmiał się i przytulił zapatrzoną w niego Pen Lin. — Już za niecałe trzy miesiące będziemy mieli bliźnięta — poinformował z dumą.

— Ja muszę przede wszystkim pogadać z mamą — wtrąciła Małgosia. — Zamawiam kwadrans na osobności. — Marii zdawało się, że Husayn spojrzął na swoją dziewczynę jakoś tak kontrolująco. Wrażenie to nie było chyba bezpodstawne, gdyż Małgosia zaraz dodała, zwracając się głównie do niego: — No, chodzi mi o takie tam przedślubne między nami kobietami — a potem kontynuowała już do wszystkich. Wyciągnąwszy dłoń z okazałym pierścieniem, pomachała nim rodzinie przed oczami. — Jesteśmy z Husaynem po słowie. Nie wyobrażacie sobie, jaka jestem szczęśliwa. Nie mogę się wprost doczekać dnia ślubu. Przeciągaliśmy sprawę, oczekując na zwolnienie mamy. Husayn uczył się w tym czasie intensywnie polskiego, a ja poznawałam Koran. Ostrzegam, on już dużo rozumie, więc nie plotkujcie o nim w jego obecności.

Małgosia niby dowcipkowała i chwaliła się swoim szczęściem, ale nie wyglądała na tryskającą radością. Maria zauważyła, że córka mówi jakoś inaczej niż przedtem. Cicho, wolno i dobiera słowa z namysłem. Kiedyś zawsze się śpieszyła, chcąc wszystkie nowiny sprzedać w jednym, wielokrotnie złożonym zdaniu. Trajkotała na ogół wesoło, z wielką pewnością siebie i świadomością własnego uroku, potraszając przy tym złotymi, pięknymi loczkami. Może to właśnie brak wesołych, wijących się wkoło buzi, niesfornych włosów spowodował, że tak trudno w zakutanej w niebieską chustę osobie odnaleźć dawną Małgosię. Chciała wierzyć, że to tylko strój, a nie obecność Husayna, tak wpływa na tę dziewczynę.

Matkę w zasadzie powinien ucieszyć fakt, że widzi wreszcie u boku córki młodego, przystojnego i wpatzonego w nią mężczyznę. Samotnictwo Gosi było bowiem już od pewnego czasu zmartwieniem całej rodziny. Nigdy w żadnym liście ani w żadnej rozmowie telefonicznej córka nie wspomniała nikomu z rodziny o jakimkolwiek chłopaku. Wyglądało na to, że od powrotu z Polski nie miała również żadnej przyjaciółki, a nawet bliższej koleżanki. Maria bała się, że mimo kilku terapii córka nadal cierpi na nerwicę i może ma jakieś fobie spowodowane traumą z dzieciństwa. Miała wyrzuty sumienia, że to za jej sprawą mała przeżyła wiele stresu i w końcu wychowała się praktycznie bez matki. Kochała Jacka i interesowała się jego każdym krokiem, ale o losy i psychikę Małgosi bała się najbardziej. Z więzienia pisała listy do męża, w których naciskała, by wysłał córkę na naukę do Wielkiej Brytanii. Miała istną obsesję, że Małgosię w Afryce któregoś dnia może spotkać to, co ją ze strony Aarona. W rezultacie Broniek zafundował córce studia ekonomiczne w Londynie, po których podjęła tam pracę i tam poznała

także Husayna. Teraz Maria mogłaby wreszcie odetchnąć z ulgą, że córka jest zakochana, ma plany matrymonialne i układa sobie życie. Ale bliskowschodnie pochodzenie narzeczonego oraz chusta na głowie Gosi nie dawały jej takiego komfortu.

Podczas wspólnego, smacznego i eleganckiego śniadania wszyscy mówili dużo, z wyjątkiem Marii i Małgosi. Ożywił się nawet Husayn — okazało się, że naprawdę sporo rozumiał po polsku. Wolał jednak, podobnie jak Pen Lin i Beauty, mówić po angielsku. Maria często prosiła męża lub któreś z dzieci o przetłumaczenie jakiejś kwestii. Musiała mieć mocno wytężoną uwagę, aż w końcu rozboleła ją głowa. Nie przegapiła jednak uwagi Husayna, że Małgosia po ślubie nie będzie już pracować. Matka, która sama w młodości nie miała nigdy większych ambicji zawodowych i chętnie poświęciłaby swój czas wychowaniu własnych dzieci, myślała teraz ze smutkiem o przyszłości córki zamkniętej w domowym „seraju”. Jacek spostrzegł, że sytuacja robi się nieco napięta, a Maria ma wymuszony uśmiech i lęk w spojrzeniu skupionym głównie na siostrze i jej ukochanym. Starał się więc wprowadzić do rozmowy więcej optymizmu. Wyciągnął tabletki i zaczął robić zdjęcia.

— No spójrzcie, jaką jesteśmy dużą, piękną, wielorasową rodziną, która wkrótce zacznie się powiększać — wołał, pokazując kilka naprawdę udanych fotek. — Pierwsze przyjdą na świat nasze chłopaki. Następnie chyba coś u Małgosi. Janek taki niecierpliwy, więc pewnie też nie będzie zbyt długo czekał. A potem możemy powtórzyć kolejkę. Co wy na to? Jak się dobrze postaramy, to opanujemy trzy kontynenty: Afrykę, Europę i Azję — wyliczał ze śmiechem.

— Jak to Azję?! — wykrzyknęła zdumiona Maria.

— To następna niespodzianka. Ja i Pen Lin nie będziemy już dłużej mieszkać w RPA, przeprowadzamy się na Tajwan — wyjaśnił. — Trochę nam żal porzucać uniwersytet, bo oboje mamy tam dobre posady i całkiem niezłą pozycję startową do dalszej kariery, a w nowym miejscu trzeba będzie wszystko zaczynać od nowa. Postanowiliśmy jednak skorzystać z tego, co przynosi los. Moja żona dostała w spadku po babci ładną posiadłość w pobliżu Kenting. Nic wam to nie mówi? Jak się tam już trochę urządzimy, musicie przyjechać i zobaczyć. Są tam atrakcje dla turystów o każdej porze roku. Pen Lin uważa, że babcia tym zapisem rzuciła nam koło ratunkowe, bo RPA, bez względu na to, co pisze się w folderach, nie jest już krajem, w którym biały, żółty czy ktokolwiek inny może się czuć bezpiecznie. Dobrze, że tata też postanowił wyjechać. Tylko Janek zostaje w Afryce, ale jemu ze względu na Beauty trudno się dziwić. Pamiętaj, Jasiu, jakby co, to kierunek Polska albo Tajwan. Tu i tu masz swoich ludzi — zaśmiał się i serdecznie poklepał przyrodniego brata po plecach.

Maria była oszołomiona. Tyle słów, głosów, nowych informacji, a wśród nich także ta, że Bronek wraca do Polski. Powinna ją ucieszyć, ale raczej wprawiała

w popłoch. Czy on zamierza z nią mieszkać? Przecież ona po tym wszystkim nie nadaje się już do normalnego życia — myślała przerażona. W ogóle po kwadransie tych wesołych rozmów, śmiechów oraz konieczności bycia miłą i opanowaną czuła się bardzo zmęczona. I jeszcze ten Husayn. To było dla niej za dużo. Chciałaby im pokazać, jak bardzo się cieszy ze spotkania, ale otrzymała za dużą dawkę światła naraz. Stała i patrzyła na nich bezradnie.

Ciekawe, że pierwszy jej zmęczenie dostrzegł Janek, okazał się najbardziej uważny. Popatrzył w jej rozbiegane, zaleknione oczy i wyczytał z nich, że bardzo stara się sprostać oczekiwaniom rodziny, ale już nie starcza jej sił. On nie pamiętał swojej zmarłej matki, a Marię w myślach od dawna nazywał mamą. Wzrastał wśród przyrodniego rodzeństwa w atmosferze tęsknoty za tą piękną, białą kobietą, której zdjęcia znajdował w domu niemalże na każdym kroku. Wiedział, że zabiła człowieka, ale rodzina jej nie potępiała. Małgosia wyjaśniła mu zaraz po przyjeździe z Polski, że mama ją uratowała i ukarała pana, który krzywdził małe dziewczynki. Jak wszyscy w domu widział w Marii bohaterkę. Ojciec nigdy nie robił różnicy między dziećmi, więc chłopak uważał, że na równi z Małgosią i Jackiem jest upoważniony do cierpienia z powodu braku tej uwięzionej w dalekim kraju kobiety. Jak oni odliczał dni do jej powrotu i łudził się nadzieją, że uda się ją uwolnić lub przynajmniej skrócić wyrok. Czuł się jej synem i chciał jej teraz pomóc.

— Może sami byśmy poszli zwiedzać miasto? — zaproponował. — Robimy za dużo szumu. Mama powinna odpocząć. Nie chcemy jej przecież zamęczyć.

Maria uśmiechnęła się z wdzięcznością do najmłodszego z Guziałów i powiedziała:

— Dobrze jest mieć was wszystkich na wyciągnięcie ręki, ale Janek słusznie zauważył, że dopadło mnie zmęczenie. Muszę trochę wolniej dawkować sobie świat. Przepraszam.

Poprowadzili ją długim, hotelowym korytarzem do pokoju, który miał być jej azylem.

— Tu obok, z jednej i drugiej strony, są nasze pokoje. — Małgosia wskazała ręką na czworo drzwi, a Maria odetchnęła z ulgą. Cztery pokoje, a zatem Broniek pewnie był tak subtelny i wziął dla siebie oddzielną sypialnię. Po otwarciu drzwi okazało się jednak, że przeceniła takt męża. Centralne miejsce w tym eleganckim i przestronnym apartamencie zajmowało wielkie, małżeńskie łóżko. Szafka nocna z jego prawej strony była już zagospodarowana, a na fotelu leżała porzucona w nieładzie męska piżama, należąca zapewne do jej męża. A więc jednak będzie musiała prowadzić z Bronkiem trudne rozmowy i to już prawdopodobnie za chwilę — pomyślała z niechęcią.

— Mamo, zanim się położysz, wejdz, proszę, na moment do mojego pokoju — poprosiła córka i pociągnęła ją do sąsiadującej z małżeńskim apartamentem

jedynki. Czyli Małgosia nie mieszka z Husaynem — zauważyła natychmiast Maria. Może więc jeszcze nie wszystko jest przesądzone — pomyślała z nadzieją, a córka jakby zgadując jej myśli, wyjaśniła: — Jak widzisz, Husayn szanuje moją czystość. Paradoksalnie moje problemy psychiczne uchroniły mnie od błędów, jakie popełniają współczesne kobiety, które nie znają prawdziwej wiary ani prawdziwej małżeńskiej miłości.

— Małgosiu! — jęknęła matka i opadła na stojący nieopodal fotel. — Prawdziwa wiara? O czym ty mówisz?

— Mamo, posłuchaj mnie. Nie będę teraz rozmawiać z tobą o religii. Nie oszukujmy się, dla ciebie nigdy religia nie była zbyt ważna. Dla taty także nie, mimo że on myśli inaczej. Zresztą teraz to nieważne. Może jeszcze otworzą się wam oczy na prawdę. Ale teraz chcę cię prosić jedynie o drobną przysługę. Proszę, nie wspominaj nigdy przy Husaynie o swoich żydowskich korzeniach. On jest Palestyńczykiem, więc możesz sobie wyobrazić, jak trudne mogłyby być wasze kontakty. Nie wiem, jak by zareagował. Kocham go i nie chciałabym, żeby cokolwiek stało między nami.

— Dziecko, całe życie masz zamiar...?

— Ojej, ty także nie powiedziałaś tacie. Gdyby nie ta paczka, pewnie nigdy byś nas nie uświadomiła. Ale ta wiedza nic nie zmieniła w naszym życiu, bo tata nie jest antysemitą i nie miał nigdy złych doświadczeń związanych z Żydami. A Husayn ma. Ma powody, żeby mieć uraz, i ja go rozumiem.

— Jak daleko pójdzie to twoje zrozumienie, czy aż do terroryzmu włącznie? To, że siedziałam w więzieniu, nie oznacza, że nie wiem, co dzieje się na świecie.

— Myślisz stereotypami. Każdy Palestyńczyk to dla ciebie potencjalny terrorysta — powiedziała Małgosia podniesionym głosem.

— Nie. Wcale tak nie myślę, ale twoja postawa mnie niepokoi. Wyrzekłaś się religii, wyrzekasz się swoich przodków, rezygnujesz z pracy, tracisz finansową niezależność. Czy ty masz jeszcze coś własnego? Za chwilę nie będziesz wiedziała, kim jesteś.

— Nie pomyślałaś, że może ja tego właśnie chcę? Potrzebuję naprawdę męskiego i władczego męża, bo tylko taki ukoi mój lęk przed światem. Ja chcę mu się poddać i oddać całkowicie. Większość normalnych kobiet właśnie czegoś takiego pragnie, ale nasza fałszywa cywilizacja nie pozwala im się do tego przyznać. Jestem pewna, że ty też tego chciałaś w swoim życiu.

— Małgosiu, to wszystko wina tej traumy z dzieciństwa. Nie mogę cofnąć czasu i wymazać jej z twojego życia. Wiesz, że zrobiłabym wszystko dla ciebie, ale...

— Ja proszę o bardzo niewiele. Tylko o milczenie na tak mało ważny dla was temat. Te trochę genów przecież się dla żadnego z nas nie liczy. Rozmawiałam z ojcem i Jackiem. Oni się zgodzili. Janek nic nie wie i nikt go nie musi

uświadamiać. Jego to przecież nie dotyczy. Zachowanie tajemnicy nie powinno być trudne, bo nie żyją już żadni krewni. Po co taka drobnostka ma zatruć nam życie. Przyrzeknij, że nigdy...

— To nie jest drobnostka, wierz mi. Mnie wcale nie było łatwo, bo...

— Więc chcesz, żebym była szczęśliwa czy tylko udajesz? — Małgosia była coraz bardziej agresywna i nieprzyjemna. — Nie wymagam od ciebie zbyt wiele! Nie musisz dla mnie nikogo zabijać! — krzyknęła w końcu.

W oczach Marii nagle zachybotwały się ściany. Poczowała się, jak wtedy w górach Drakensbergu, gdy stała tuż nad przepaścią. Żołądek podchodził do gardła i łomotało serce. Co takiego zrobiła, że szczęście, które przez chwilę zamajaczyło na horyzoncie, znów umykało w popłochu. Właściwie nie chodziło o nią. Ona nie żywiła już żadnej nadziei na szczęście. Pragnęła tylko spokoju. Nie chciała też wojny z Małgosią. Była gotowa zgodzić się na wszystko i przysięgać dochowanie tajemnicy do grobowej deski, ale nie mogła już dłużej rozmawiać w tym pokoju, z którego ktoś wysłał powietrze. Obraz córki rozmazywał jej się przed oczami, a w uszach gwizdała jakaś lokomotywa. Po omacku ostatkiem sił dotarła do drzwi i nacisnęła klamkę. Zanim wszystko pochłonęła ciemność, poczuła, że czyjeś silne ramiona chwytają ją i unoszą lekko jak piórko.

Ocknęła się w swoim małżeńskim apartamencie, na wielkim łożu. Obok niej siedział Broniek i trzymał ją za nadgarstek.

— Zemdlałaś. Husayn przyniósł cię tutaj na rękach — wyjaśnił. — Mam nadzieję, że to nic poważnego, ale trzeba zrobić komplet badań — mówił jak do pacjentki. — Nie powinienem dopuścić dzisiaj do waszej rozmowy. Małgosia nie jest teraz sobą.

— Ale ona mi... — zaczęła Maria, lecz łzy stanęły jej w oczach i coś schwyliło za gardło.

— Nie ocenij jej zbyt surowo. Jest pierwszy raz zakochana. Mnie też ona martwi, a zmiana religii boli szczególnie. To moja osobista klęska. Teraz nie możemy jej krytykować i walczyć z nim, bo nie wygramy. Musimy być blisko, żeby czuła nasze wsparcie. Będziemy nad nią czuwać. — Broniek pochylił się nad żoną, próbując ją pocałować, ale Maria gwałtownie się odsunęła i skuliła po przeciwległej stronie łóżka. Nadal blada i drżąca patrzyła na męża z miną zaszczutego zwierzęcia.

— Co się stało? Czy zrobiłem teraz coś nie tak? Czy to wciąż ta stara zadra? Nigdy mnie już nie ułaskawisz? — Podniósł na nią swoje szare oczy i wpatrywał się ze smutkiem. — Wiem, że zawiniłem, ale ja też cierpiałem. Życie bez ciebie było pokutą. Według ciebie niewystarczająca? Spróbuj mi przebaczyć. Kochałem cię i Kocham. Cały czas tęskniłem. Daruj mi wreszcie, żeby nic nas więcej nie dzieliło. Chyba że nie masz dla mnie już ani odrobiny uczucia.

— Nie o to... — zaczęła Maria cicho. — Nie o ciebie mi chodzi. To on...

On mnie wtedy... — jąkała się i nie mogła dokończyć. Mąż patrzył na nią uważnie, wyczekująco i najwyraźniej nic nie pojmował. Nie umiała mu tak rzucić całej prawdy prosto w te jasne oczy. Skryła więc twarz w poduszce i zduszonym głosem powiedziała: — On mnie zgwałcił. Zgwałcił mnie na podłodze we krwi...

— Kto? Kiedy? Czyjej krwi? — Bronek był zupełnie zdezorientowany. Nie wiedział, o jakim czasie żona mówi. Czyżby w mieszkaniu Maja wydarzyło się coś więcej, niż opowiadała na procesie? A może teraz wspomina jakiś incydent z więzienia? Czy w ogóle powinien te rewelacje traktować poważnie? Przecież Maria może być psychicznie chora.

— Pamiętasz Aarona? — spytała, podnosząc głowę. — Przyjechał do nas, żeby rozliczyć się ze mną z tego Szymonowego złota. To on zarzął naszego Stronga i mnie... A potem jeszcze... Pamiętasz, byłam pobita, ale skłamałam, bo groził, że nas wszystkich...

Pierwszy raz opowiedziała z detalami scenę, która rozegrała się na podłodze w ich afrykańskiej kuchni, i po tylu latach nareszcie poczuła ulgę. Mąż wpatrywał się w nią, a na jego twarzy malowało się przerażenie. Marię natomiast ogarnął spokój. Przysunęła się do niego i przytuliła twarz do jego dłoni spoczywającej na pościeli. Bronek przyciągnął ją do siebie, położył się obok, oplótł ją ramionami i dotknął ustami jej karku.

— Nie obawiaj się — szepnął. — Będę czekał tak długo, jak będzie trzeba. Jestem przy tobie i już nikt cię nigdy nie skrzywdzi. Nie pozwolimy też skrzywdzić naszej córki. Najważniejsze to mądrze skonstruować kontrakt ślubny. Rozmawiałem już z paroma prawnikami zorientowanymi w tych sprawach. Nic więcej na razie nie możemy dla niej zrobić. No, jeszcze modlić się za nich oboje. — Zamilkł i westchnął ciężko. Maria otarła ręką łzy płynące jej po policzkach. Milczała, bo nie chciała, rozsłochać się na dobre. Bronek więc odezwał się ponownie: — Nie trzeba rozpaczać, bo jeszcze nic strasznego się nie stało. A może dobrze im się ułoży. Jak się słucha o tych wszystkich zamachach, to skóra cierpnie. Małgosia ma rację, że my mamy uprzedzenia. Może będzie z nim szczęśliwa? Długo rozmawiałem z nią o nim i o islamie. Wydaje się zorientowana w ich prawie i obyczajach i wszystko to akceptuje. Ona jest trochę inna niż większość młodych, europejskich kobiet i dlatego Husayn ją kocha. — Bronek gładził delikatnie ramiona i plecy Marii. Ten ciepły, dobry dotyk rozluźniał jej mięśnie, koił nerwy, rozplątywał się po całym ciele i sięgał aż do wnętrza duszy. — Będzie dobrze, zobaczysz. Będzie dobrze — powtarzał, jakby zaklinał rzeczywistość. — Będzie dobrze. Znów dla nas zaświeci słońce.

Maria leżała jakiś czas z zamkniętymi oczyma i z rozkoszą poddawała się niewinnej pieśczości męża. Słuchała jego słów i tak bardzo chciała mu wierzyć. Na moment chyba nawet zasnęła. We śnie szybowała pod błękitnym, słonecznym niebem. Pikowała nad błyszczącą w słońcu rzeką, która płynęła w malowniczym

kanionie. Była pewna, że to Blyde River. Poznawała to po malowniczo ułożonych, wybarwionych warstwowo skałach. Czuła się szczęśliwa i zupełnie pozbawiona swojej agorafobii.

Obudził ją przetaczający się po niebie głośny grzmot. Zanim otworzyła oczy, jeszcze przez moment myślała, że nadal jest w Afryce. Ale kiedy Broniek wstał, żeby zamknąć duże, dwuskrzydłowe, oszklone drzwi wiodące na niewielki tarasik, zorientowała się, że to pokój hotelowy w Grudziądzu. Spojrzała na fragment nieba widoczny za oknem. Pokryte było czarnymi, skłębionymi, nisko wiszącymi chmurami. Jakieś folie, papiery i zeschnięte liście fruwały w powietrzu, bo zerwał się silny wiatr, a na sąsiadującym z tarasem, blaszanym dachu przyległej kamienicy zadudniły wielkie krople deszczu.

— Od rana było bardzo upalnie, można się było spodziewać awantury — powiedział Broniek.

— Tak, można się było spodziewać awantury — powtórzyła smutno Maria, ale nie miała na myśli pogody. Wiedziała już, że jej oszukane, kartonowe wróżby nie były w stanie zmienić rzeczywistości.

